I

Wspomnienia

Fryderyka Zolla

urodzonego w r.1865

pisane w czasie wojny w latach 1940-1942.

Wspomnienia

Skorowidz.

Piszę wspomnienia, by myśl - o ile się da - odwracać od tego, co się dzieje w dobie obecnej. ~~/dokładnie w latach 1940-1942/~~. Wspomnienia bowiem wprowadzają w świat lepszy i piękniejszy niż teraźniejszość, chociaż w świat o tyle nierealny, że już miniony. Czas spełnia funkcję filtru: usuwa z naszej pamięci lub przynajmniej przykrywa w niej, co w przeszłości było złe i brzydkie, a pozostawia, a nawet uwypukla, co było dobre i piękne. I dlatego wspomnienia sprawiają nam przyjemność, nieraz radość, podnoszą na duchu i przez to koją ból i usuwają odrazę, jakie wzbudza teraźniejszość, która oddziaływa na nas silniej swym realizmem ujemnym niż dodatnim. Im wspomnienia sięgają w czas odleglejszy, tym filtr działa silniej.

Podałem na kartce tytułowej rok swego urodzenia, aby odróżnić się od innych Fryderyków Zollów. W naszej rodzinie jest bowiem dawną tradycją, że pierwszy syn nowego pokolenia otrzymuje imię Fryderyka. Tradycja ta niepraktyczna i niecelowa, skoro imiona powinny służyć dla odróżniania ludzi, noszących te same nazwiska, - ale od tradycji nie odstępujemy. Ja jej nie złamałem, nadając synowi najstarszemu imię Fryderyk, a on także poddał się naszemu zwyczajowi rodzinnemu, gdy mu się urodził pierwszy syn; ten jego ukochany syn, a mój wnuczek poległ w powstaniu w r.1944 i przerwał szereg Fryderyków.

I. Moi rodzice.

Treść tego rozdziału, którego podnietą było głębokie uczucie wdzięczności i przywiązania synowskiego, przeznaczyłem początkowo na pamiątkę tylko dla mych drogich dzieci i wnuków oraz kochanego, wówczas jeszcze żyjącego brata, Antosia. Jednak potem wcieliłem tę rzecz do "Wspomnień", przeznaczonych ewentualnie do druku. Może bowiem jako obrazek rodzajowy z czasów dawniejszych zainteresować szerszy ogół.

Powiedział ktoś: "Trzeba być ostrożnym w wyborze swych rodziców"! Upomnienia tego nie skierował do mnie, bo ja w sztuce wyboru swych rodziców, okazałem się mistrzem nad mistrzami. ~~Nie wiem, czy kto miał lepszych niż ja rodziców.~~

Ojciec - to ucieleśniona mądrość i dobroć, połączone z niezachwianą stałością przekonań i zasad, z rzadką skromnością i pogodą umysłu. Spotykałem ludzi obdarzonych nadzwyczajnymi zdolnościami, twórczością, fantazją, niezwykłym darem wymowy, artyzmem w dialektyce, niesłychaną pamięcią i nader rozległą wiedzą, różnymi innymi darami bożymi, jakich mój ojciec w tym stopniu nie posiadał, ale trudno mi kogoś postawić z nim, choćby na równi, gdy chodzi o mądrość i dobroć.

Dzięki swej mądrości, ojciec mój widział każdą sytuację życiową i czynniki w niej działające jasno i wszechstronnie, oceniał je spokojnie, przedmiotowo i trafnie, a wyciągał stąd dla postępowania czy swego, czy osób innych wnioski i konsekwencje najlepsze i najwłaściwsze. Ileż mógłbym tu przytoczyć przykładów! Wymienię przynaj-

mniej dwa z nich.

Kiedy w r.1916 ze względu na życzenie prezydium parlamentarnego Koła Polskiego i ministra Galicji, Zdzisława Morawskiego, musiałem objąć, niezwykle wówczas ze względu na stosunki wojenne, trudne i przykre stanowisko wiceprezydenta Rady Szkolnej Krajowej /a raczej prezydenta, bo namiestnik był tylko prezydentem de nomine/ i przed swym wyjazdem z Krakowa przyszedłem do ukochanego ojca, by się z nim pożegnać, powiedział mi On wówczas pamiętne słowa: "Pomimo, że będziesz musiał borykać się z wielkimi trudnościami i znosić dotkliwe przykrości, nie zapominaj o poprawie w praktyce metody nauczania, zwłaszcza w szkołach średnich, w myśl zasady: Non multa, sed multum, - u nas tak mało przestrzeganej. Zmiana w tym kierunku odda wielką usługę naszej młodzieży i społeczeństwu." Przez cały czas swego przeszło trzechletniego urzędowania, które trwało aż do rozwiązania Rady Szkolnej, propagowałem - o ile tylko mogłem - zasadę powyższą, tym bardziej, że także dzięki swym własnym obserwacjom przekonywałem się coraz więcej, jak trafną była rada ojca. Wskutek przeładowywania umysłów młodzieży naszej materiałem zbyt obszernym lub zbyt trudnym, nieraz dla niej niezrozumiałym, zadawaniu ponad miarę tych różnych rzeczy do wyuczenia się, uczniowie zniechęcali się do nauki, przyzwyczajali się, co gorsza, do niesumiennego, powierzchownego wypełniania swych powinności i przez to zamiast rozwijać, zatracali tak ważne poczucie obowiązku, sumienności i dokładności. Do tych objawów pod względem pedagogicznym, przybywały i złe wyniki z punktu widzenia dydaktycznego, bo młodzież wynosiła ze szkół coraz mniej wiedzy gruntownej i prawdziwej. Czy hasło: "Non multa, sed multum" nie

powinno być dzisiaj na czasie?

Kiedy w pierwszych tygodniach roku 1917 przybyłem ze Lwowa do Krakowa, aby odwiedzić chorego ojca, usłyszałem z ust jego jakby prorocze słowa: "Pragnienie nasze - dzisiaj nie ulega to dla mnie wątpliwości - ziści się: Polska niepodległa powstanie, a jednak radosną moją nadzieję mąci obawa, że u nas w różnych kierunkach dziać się jeszcze nie będzie dobrze. Mimo bowiem wielkich zdolności i rozlicznych przymiotów nie jesteśmy dotąd pod względem społecznym i politycznym dostatecznie wyrobieni i dlatego nie umiemy u siebie dobrze rządzić. Z boleścią obserwowałem to nieraz, a zwłaszcza, gdy posłowałem do Sejmu." Ileż w tych słowach mieści się prawdy! Ileż z nich wynika wskazówek, w jakim kierunku powinniśmy wytężyć rozwój swych sił! Między innymi i przy wychowywaniu młodzieży! Czyż nie służą źle swej Ojczyźnie ci, co sieją u nas nienawiść wzajemną, na jakimkolwiek byłoby to tle; albo ci, którzy powołani do służby publicznej pyszałkowato puszą się w swej wielkości lub myślą o własnych korzyściach, zamiast uważać objęte stanowiska za twardy i święty obowiązek służenia jak najlepiej Państwu i społeczeństwu, popierania z wszelką gotowością pracy każdego obywatela zacnego i rozwijania w ten sposób także patriotyzmu, na który przecież składają się nie tylko idealne pierwiastki, ale i czynniki realne, jak łatwiejsze warunki rzetelnej pracy i postępującego za nią dobrobytu.

Jednym z czynników w mądrości ojca mego był jego sposób myślenia zawsze bardzo ścisły i logiczny. W gimnazjum św.Anny jako uczeń celujący, zawsze drugi z rzędu, - pierwszym był Józef Kasznica[x/] - górował

x/ Późniejszy profesor prawa kanonicznego na Uniwersy-

nad wszystkimi kolegami, nie wyłączając Kasznicy, zdolnościami i pilnością w matematyce i fizyce, które, a zwłaszcza matematyka, pociągały go ścisłością i konsekwencją. Po maturze początkowo ojciec myślał o dalszych studiach na Politechnice, ale pod wpływem znajomego swego ojca zapisał się na prawo i z czasem został prawnikiem z zamiłowania, bo w prawie znalazł znowu to, co mu się szczególnie podobało w matematyce, t.j. ścisłość i konsekwencja. Wszak i w prawie, jak powiedział Laband, suwerenem jest logika.

Wstąpiwszy do służby w Prokuratorii Skarbu /dzisiaj zwanej Prokuratorią Generalną/, ojciec zaznajomił się praktycznie z obowiązującym prawem cywilnym i administracyjnym, ale oddał się także studiom teoretycznym nad prawem rzymskim, tym głównym źródłem historycznym praw cywilnych, obowiązujących obecnie w państwach cywilizowanych. W prawie rzymskim znalazł szczególne upodobanie, raz dzięki systemowi rzymskiego prawa, mistrzowsko przemyślanemu i rozwiniętemu w wielu przemądrych instytucjach, powtóre w innym jeszcze czynniku tegoż prawa, mianowicie w sławnej rzymskiej aequitas /słuszność, ius aequum et bonum/, która jakby echem odzywała się w jego własnej, dobrocią przejętej swej duszy. Dzięki takim warunkom został doskonałym prawnikiem, tak teoretykiem, jak i praktykiem, - bo, żeby być prawnikiem dobrym, trzeba mieć "nie tylko głowę, ale i serce", jak to podkreślił szczególnie Unger, sławny mistrz prawa.

---

tecie lwowskim, serdeczny od ławy szkolnej przyjaciel ojca.

Po siedmiu latach praktyki w Prokuratorii Skarbu i po napisaniu pracy o prawie zwyczajowym, ojciec habilitował się na Uniwersytecie Jagiellońskim z prawa rzymskiego w r.1862, a w rok potem, objął katedrę tegoż prawa po Niemcu, Erneście Demelitsie, - z prawem wykładania w języku polskim.

Jako profesor - tak badacz naukowy, jak i nauczyciel - zajmował się przeważnie dogmatyką prawa, a mniej jego historią. Rozprawy ojca, ściśle naukowe należą głównie do dziedziny dogmatyki. Dzięki nim zdobył sobie chlubne imię w nauce prawa, tak w kraju, jak i za granicą. Jednak nie zaniedbywał przytem historii prawa rzymskiego, czego dowodem obszerne dzieło obejmujące przeszło 600 stron: "Historia prawodawstwa rzymskiego", które wyszło w dwóch odrębnych częściach. Dla pragnących się zaznajomić z treścią prawa rzymskiego opracował i wydał "Pandekta" /dzisiaj nazwalibyśmy je Pandekty/ w trzech tomach, z których pierwszy obejmuje część ogólną, drugi prawo rzeczowe, a trzeci zobowiązania. Poszczególne tomy pojawiły się w kilku wydaniach, ale dzieło całe wykończone zostało dopiero po śmierci ojca przez romanistę, prof.Zygmunta Lisowskiego, który, korzystając z pozostałego po ojcu rękopisu prawa familijnego i początku prawa spadkowego, poddał rewizji prawo familijne i opracował w całości prawo spadkowe, poczem wydał te dwa działy cywilnego prawa rzymskiego jako tom 5-ty i końcowy dzieła Zolla. Dr.Tomasz Sołtysik opracował i wydał w r.1923 skrót wszystkich pięciu tomów w jednym tomie, ~~obejmującym 360 stronic~~, a to ze względu na zaprowadzoną w Polsce znaczną redukcję nauki prawa rzymskiego.

Pandekta ojca cechuje niezwykła ścisłość i jasność w przedstawieniu rzeczy, subtelna dokładność w każdym kierunku i świetne uwypuklanie tego, co istotne, z pomiędzy rzeczy, ustępujących na plan dalszy.

Pandekty w ogólności, czyli rzymskie "Digesta" i ich tylokrotne opracowania w ciągu wieków aż do czasów najnowszych - ta znakomita szkoła techniki i artyzmu juryeprudencji - usunięte zostały, niestety, na plan drugorzędny w programie nauki prawa na uniwersytetach. Stało się to, jakkolwiek były one dla obowiązujących po dziś dzień praw cywilnych historyczną i dogmatyczną podstawą przez lat przeszło 2000 przemyślaną, opartą na głębokiej znajomości psychiki ludzkiej, oraz na doświadczeniach życiowych. - Podstawy takiej nie mogą zastąpić ani obecnie zarysowo traktowana historia instytucyj prawa ~~cywilnego~~ rzymskiego, ani ~~jakieś~~ oderwana od życia "filozofia prawa prywatnego" na wzór próby z talentem dokonanej z końcem XIX wieku przez Sokolowskiego /Niemca/, ani "filozofia prawa natury" wieku XVIII. o ile dotyczy prawa prywatnego, ani nowoczesne teorie historycznie zmiennego prawa natury, ani t.zw. "prawo prawe", "intuicyjne" itp.

Ale powracam do już rozpoczętego tematu t.j. do dobroci mego ojca. Dr.Kazimierz Lewandowski, pisząc o ojcu w literacko-naukowym dodatku do Nru 186 "Il.Kuriera Codziennego z dnia 6 lipca 1936 w jednym z artykułów "Przedwiośnie Młodej Polski /Szkice od ręki/" - określił ową dobroć słowami "ewangeliczna miłość bliźniego" tego "Trybuna ludzkich łez niedoli".

Lecz w tej wysokiej dziedzinie lepiej będzie, że

przynajmniej, o ile chodzi o ogólną charakterystykę, umilknie syn, wstawiając wycinki z "Wspomnienia pośmiertnego" Kogoś o wiele odemnie godniejszego i więcej powołanego, kto znał mego ojca od jego szesnastego roku życia i pozostawał z nim odtąd zawsze w stosunku serdecznej przyjaźni: Ś.p.Stanisław Tarnowski po śmierci mego ojca /1917/ zamieścił naprzód w "Czasie" z r.1917 w Nrze 241 i 244 "Wspomnienie pośmiertne", a potem ogłosił je znacznie rozszerzone w osobnej broszurze, dającej piękną charakterystykę osoby mego ojca, ożywioną gorącymi słowami, płynącymi tak z głowy, jak i z serca.

Tarnowski, licząc się z głębokim uczuciem i przekonaniem religijnym ojca i przywiązaniem jego do religii katolickiej, wszczepionym mu zwłaszcza przez matkę, rozpoczyna swe "Wspomnienie" od motta wyjętego z "Kto się w opiekę", mianowicie od słów: "Słuchaj co mówi Pan: "Kto mnie miłuje, a w mym Zakonie szczerze postępuje...." Te słowa, pisze Tarnowski przypadają doskonale do postaci i duszy, do żywota ś.p.Fryderyka Zolla...." On bowiem "Miłował swego Pana i w jego Zakonie szczerze postępował" przez całe życie, bez jednego zboczenia,.... zawsze wierny w służbie Boga i bliźniego, zawsze w nich czynny, zawsze całego siebie tej służbie oddający, zawsze bez myśli o sobie.... Nigdy nie było w nim żalu do ludzi, choć nieraz mogły być do nich powody, nigdy, nigdy niechęci, nawet kiedy one były słuszne, tylko zawsze choć częściowa obrona obwinionego człowieka: "On tak źle nie chciał, on nie rozumiał". Zoll znajdywał te lub inne wymówki i okoliczności łagodzące.... Serca czystszego i serca lepszego, być nie może; i to w nim ludzie znali

i dlatego tak licznie, tak bez ustanku garnęli się do niego o radę, o pomoc i o opiekę i odchodzili zawsze pokrzepieni i ukojeni: a ta pomoc i opieka to nie jeden raz, nie dwa razy, to nieraz całe lata trwały. Zawsze, we wszystkim, dla wszystkich, ta niewyczerpana niezmordowana dobroć, obejmująca wszystko i wszystkich. Jego dobroć zaś to nie była miekkość, która się łatwo wzruszy i łatwo zapomni, to była męska energia na przekonaniu i postanowieniu oparta, kierowana stanowczą silną wolą, zawsze roztropną, zawsze gotowa i czynna, zawsze wierna. Takim był w latach osiemdziesięciu, kiedyśmy go stracili i takim /nie tak wyrobionym oczywiście/, już był wtedy, gdy go poznałem, o kilka lat starszego od siebie, jako ucznia gimnazjum św.Anny, do którego także uczęszczałem. A na innym miejscu: "Widok nieszczęścia cudzego wzruszał do głębi całą jego istotę, budził w niej najpiękniejsze strony miłości bliźniego........ Iluż biedakom umożliwił swoim orędownictwem ukończenie studiów, uzyskanie stypendiów, przebycie egzaminów! Ile wdów i sierót zawdzięczało jemu opiekę i zdobycie egzystencji! Z ewangeliczną dobrocią nie szczędził nigdy pracy, zabiegów i wpływów, ilekroć ktoś swoją niedolą albo troską poruszył jego czułą i wrażliwą duszę. Gdy chodziło o oddanie drugiemu przysługi, gotów był nie tylko listownie lub osobiście wszędzie kołatać, ale nieraz - nawet w późniejszych latach - odbyć dłuższą i nużącą podróż do Wiednia lub do Lwowa."

Trafność Zolla rad i skuteczność jego pomocy, Tarnowski przypisuje także "umysłowi Zolla dziwnie praktycznemu oraz gruntownej znajomości przepisów prawnych

i stosunków administracyjnych". Przy tej sposobności Tarnowski wspomina, jak to w Akademii Umiejętności, odkąd Zoll został jej wiceprezesem /w r/1900/, bez wysłuchania jego zdania i bez jego współdziałania niczego ważniejszego na Zarządzie nie postanowiono, ani nie dokonano, a wyraża przytym swą osobistą wdzięczność za zawsze dobre rady i skuteczną pomoc, jakiej on sam jako prezes tej wysokiej Instytucji doznawał ze strony wiceprezesa.

W dalszym ciągu Tarnowski wymienia a nieraz po krótce omawia zasługi ojca - zasługi położone zwłaszcza: W Uniwersytecie /poza jego nauczycielską działalnością/ np. opiekę nad Bratnią Pomocą Uczniów U.J., której był kuratorem z ramienia Senatu Akademickiego przez przeszło lat 30-ci, reorganizację Wydziału teologicznego, podtrzymywanie i umacnianie serdecznych stosunków koleżeńskich między profesorami, oraz dobrego stosunku do młodzieży itd.; w Akademii Umiejętności /między innymi: pozyskanie milionowego majątku Wiktora Osławskiego na fundację naukową pod zarządem Akademii, w mieście Krakowie, w którym jako radca miejski rozwinął pożyteczną działalność głównie na polu szkolnictwa i dobroczynności; w Sejmie krajowym, gdzie zajmował się przeważnie sprawami szkolnymi i był jednym z najgorliwszych i najzasłużeńszych referentów w Komisji prawniczej; - dalej z innych jeszcze dziedzin: zabiegi o przemianę Szkoły sztuk pięknych na Akademię; współpracę przy uregulowaniu granicy między Galicją a Węgrami na korzyść Galicji w sporze zwanym sporem o "Morskie Oko" itd. itd. Zasługi w zakresie nauki i nauczania prawa przedstawia

i pracowników administracyjnych". Przy tej sposobności [illegible] zaznaczyła, jak to w Akademii [illegible], od-kąd [illegible] /w [illegible]/. [illegible] [illegible] na [illegible] przeznaczono, [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] na [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

W dalszej [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] na [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] na [illegible] na [illegible] [illegible] [illegible]

Tarnowski, przytaczając opinie zawodowych jurystów.

Powyższe zapożyczenia kończę, jako obecny senior rodziny Zollów, wyrazem rzewnej i z głębi serc płynącej wdzięczności nas wszystkich dla ś.p.czcigodnego Autora "Wspomnienia pośmiertnego".

Skoro znowu syn powraca do głosu, podnoszę, że ojciec mój spotykał się za swą dobroć, uczynność i za to co zdziałał, z licznymi objawami uznania, zaufania, wdzięczności, przywiązania, które potęgowało się czasem nawet do miłości. Koledzy z Wydziału prawa wybierali go sześciokrotnie swym dziekanem, a godność rektora Wszechnicy Jagiellońskiej piastował czterokrotnie /raz dwa lata z rzędu/; studenci okazywali mu niezwykłe przywiązanie i głęboki szacunek, a ileż to razy nazywali go swym ojcem. Godność wiceprezesa Akademii Umiejętności piastował od r.1900 aż do swej śmierci, t.j. przez lat 17-ście. Posłem na Sejm Krajowy był kilkakrotnie z t.zw. "mniejszej własności /okręgu Wadowickiego/ a radcą miasta Krakowa - lat przeszło 20-ścia; był także obywatelem honorowym kilku miast, członkiem honorowym licznych stowarzyszeń itd. Czeska Akademia Umiejętności powołała go w uznaniu zasług naukowych na swego członka czynnego. Cesarz austriacki na propozycję naszego galicyjskiego Rządu odznaczył ojca kilkakrotnie tytułami honorowymi, orderami, szlachectwem i powołaniem na dożywotniego członka Izby Panów. Ojciec zmarł w kwietniu 1917 r.; nie doczekał się więc wskrzeszenia niepodległej Polski, ale Rząd nasz polski w uznaniu jego licznych zasług

odznaczył pamięć jego Komandorią orderu Polonia Restituta.

Wspaniałą manifestację uznania zasług mego ojca wywołali w r.1903 koledzy z Wydziału prawa przez obchód 40-letniej działalności profesorskiej "starego Zolla", wręczając mu uroczyście księgę pamiątkową, złożoną z rozpraw, przeważnie przez nich napisanych, a nadto piękny pierścień ozdobiony monetą złotą cesarza Justyniana. Do uroczystości tej przyłączył się Uniwersytet cały, Rada Miasta Krakowa, Kraj przez swego Marszałka, Rząd przez Namiestnika, dygnitarze miejscowi i zamiejscowi, społeczeństwo polskie, między innymi przez głosy prasy, a nie brakowało też licznych objawów uznania i gratulacji z ziem polskich z pod zaboru rosyjskiego i niemieckiego a nawet z ~~ziem~~ krajów obcych. Młodzież akademicka urządziła olbrzymi korowód z pochodniami w przeddzień uroczystości, której punktem kulminacyjnym było nazajutrz wielkie manifestacyjne zebranie w Auli uniwersyteckiej z objawami hołdu i uznania dla zasług i przymiotów mego ojca. Wieczorem tego dnia odbył się w Grand-Hotelu obiad, przy którym wygłoszono szereg toastów. Z nich pozostały mi w pamięci szczególnie następujące słowa wypowiedziane przez jednego z mowców, charakteryzujące lapidarnie jeden z przymiotów ojca: "Zoll jest wyjątkowym człowiekiem, bo mówi zawsze ~~i~~ co myśli, a gdy coś powie, zawsze dotrzyma." Po tych słowach przerwano mowcy toast nieustającymi oklaskami.

Między uczestnikami uroczystości jubileuszowych dostrzegłem jednego z byłych uczniów ojca, którego dawno bardzo nie widziałem, bo mieszkał daleko za Lwowem.

"Przyjechałeś, zagadnąłem go, znowu do Krakowa, cóż Cię do nas sprowadziło?" - "Przybyłem - odpowiedział mi - wyłącznie z powodu uroczystości jubileuszowych w nadziej i, że może będę miał sposobność z ojcem Twym kilka słów wymienić i że pozwoli mi swe drogie ręce ucałować."

Jubileuszowe uroczystości radowały niezmiernie nas, jego trzech synów i naszą drogą matkę. Inaczej jednak patrzył na to wszystko mój ojciec, który zakłopotany powtarzał ustawicznie: "Ależ przecież ja nie jestem godzien tego wszystkiego! Porównajcie mnie z tylu innymi, o wiele więcej ode mnie zasłużonymi, a zobaczycie, że mam słuszność." Mówił to z najgłębszego przekonania, bo przecież, jak już wspomniałem, tkwiła w nim taka szczerość, że nie umiałby powiedzieć czegoś innego niż to, co rzeczywiście myśli i czuje.

Wrogów nie miał ojciec mój chyba żadnych, a wielu ludzi darzyło go serdeczną przyjaźnią, między nimi tak wybitni mężowie, jak Julian Dunajewski, Paweł Popiel, Józef Szujski, Stanisław Tarnowski, Mikołaj Zyblikiewicz, Michał Bobrzyński i inni.

Bliska i serdeczna zażyłość ojca z Julianem Dunajewskim miała początek swój w zdarzeniu następującym:

Rząd austriacki po latach germanizacji bezwzględnie prowadzonej, zaczął około roku 1860 traktować Polaków przychylniej. Różne były tego objawy. Między nimi i ten, że ces.rozporządzenie z dn.4 lutego 1861 zapowiedziało przywrócenie języka wykładowego polskiego na Uniwersytecie "krakowskim". /Nie odnosiła się ta zapowiedź do Uniwersytetu lwowskiego/. Skutkiem tego za-

często dopuszczać Polaków na katedry Uniwersytetu Jagiellońskiego, a odwoływać niemieckich profesorów. Tak się stało, że i J.Dunajewski, głośny już wówczas profesor Akademii prawa w Preszburgu /w Bratysławie/, a przez kilka miesięcy potem we Lwowie, jakkolwiek był w policji źle zapisany pod względem politycznym, jako gorący Polak i skrajny nacjonalista, dlatego "niepewny", otrzymał w roku 1861 katedrę ekonomii i umiejętności politycznych w Krakowie /p.o tym poniżej w rozdziale o Dunajewskim/. Między innymi także ojciec mój, jako docent prawa rzymskiego na podstawie habilitacji, dokonanej w r.1862, został mianowany nadzwyczajnym profesorem prawa rzymskiego. Mimo wybuchu powstania początkowo prąd przychylniejszy dla Polaków utrzymywał się nadal, a nawet zdawało się, jakby rząd austriacki sprzyjał ruchowi powstańczemu skierowanemu przecież tylko przeciw Rosji. Z czasem jednak rzecz zmieniła się: aresztowano i wywieziono kilku wybitnych Polaków, kierujących organizacją powstańczą w Galicji, jak zwłaszcza hr.Stanisława Tarnowskiego, ks.Adama Sapiehę i barona Józefa Bauma /późniejszego wiceprezesa Koła Polskiego/; ogłoszono dn.24 lutego 1864 r. w całej Galicji /łącznie z Krakowem/ stan oblężenia, który trwał do dnia 6 maja 1865 r.; równocześnie zawieszono wolne wybory rektora i dziekanów na Uniwersytecie, wstrzymano przywracanie Uniwersytetowi charakteru polskiego itd. To było powodem, że Julian Dunajewski wszczął celem obrony praw Uniwersytetu pewną niebezpieczną wówczas akcję prowadzoną potajemnie, do której wciągnął kilku zaufanych i wybitnych profesorów, a między nimi <u>Dietla</u> i <u>Kremera</u>.

Dnia jednego - a było to w r.1864, - kiedy właśnie towarzysze Dunajewskiego zebrali się u niego na obrady poufne, zgłosił się mój ojciec z jakimś prywatnym interesem. Dunajewski zaprowadził ojca do oddzielnego pokoju i poprosił, aby się tam zatrzymał, a sam powrócił do swych towarzyszy i zaproponował im, żeby Zolla, jeżeli się zgodzi, wciągnąć także do ich tajemnej akcji. Dunajewski motywował swą propozycję tym, że poznał Zolla wprawdzie dopiero w czasie jego habilitacji, a więc niedawno, jednak ma już o nim wyrobione zdanie i jak najlepszy sąd jako o człowieku zacnym, z charakterem, przytem zdolnym prawniku, bardzo dobrze obeznanym z ustawodawstwem austriackim, tak sądowym, jak i administracyjnym, a że takiego prawnika im właśnie potrzeba. Co do uczuć patriotycznych Zolla, Dunajewski podniósł, że, interesując się nim, postarał się o dokładne i pewne informacje także i pod tym względem: Otóż wprawdzie dziadek Zolla był Alzatczykiem i Niemcem, który w czasie rewolucji francuskiej opuścił swą ojczyznę i osiadł naprzód na Węgrzech, a potem w Polsce, ale synowie jego związali się już z Polską tak, że stryj Zolla, Jan Antoni, walczył w r.1831 jako oficer wojsk polskich w powstaniu listopadowym a ojciec Zolla, Józef ożenił się z Polką, Wątorską, która dzieci zgodnie z intencją męża wychowała w duchu szczerze polskim - tak, że mały Fryderyk obecny profesor, już jako uczeń szkoły ludowej w Bochni zasłużył na karę i musiał na szyi przez czas dłuższy nosić czarną książkę "Sprachzeichen" - za to, że mówił w szkole ~~tylko~~ po polsku; wreszcie brat Zolla, Ludwik, jako powstaniec zmarł w grudniu 1863 r. skutkiem cięż-

kich ran, w bitwie pod Strojnowem odniesionych. Po tak umotywowanym przemówieniu Dunajewski zaprosił za zgodą swych towarzyszy ojca mego do pokoju obrad, przedstawił mu przedmiot dyskusji i zapytał się, czyby ojciec nie zechciał przystąpić do akcji. Ojciec mój, głęboko wzruszony, podziękował serdecznie za okazane mu zaufanie i z zapałem pomagał odtąd przy wspólnych wysiłkach.

Nawiązane wówczas bliższe stosunki między Dunajewskim a mym ojcem stawały się z czasem coraz serdeczniejszymi. Paweł Popiel i Józef Szujski nawiązali bliższe stosunki z ojcem także na tle politycznym, zwłaszcza odkąd ojciec przyłączył się do stronnictwa konserwatywnego, grupującego się około haseł określonych w t.zw. "Tece Stańczyka". Ojciec przywiązał się szczególnie do Józefa Szujskiego, którego zdolności podziwiał, a znał charakter i głęboki patriotyzm. Gdy Szujski ciężko zachorował, nie było dnia, żeby ojciec nie był odwiedził chorego. W ostatnich dniach życia Szujskiego, spędzał przy nim dnie i noce aż do ostatniego tchnienia i sprawił umierającemu wielką ulgę przyrzeczeniem, że obejmie opiekę nad jego dziećmi i będzie doradcą wdowy. Skutkiem wzięcia tych obowiązków na siebie, ojciec mój współdziałał także przy pomnikowym wydawnictwie wszystkich dzieł Szujskiego, kierując stroną administracyjną, zwłaszcza finansową wydawnictwa.

Podobnie jak z Dunajewskim, tak i przyjaźń z Bobrzyńskim miała swój początek w znamiennym zdarzeniu: Bobrzyński, jako docent historii prawa polskiego i niemieckiego, oczekiwał, że na opróżnioną katedrę po Buhlu profesorze historii prawa niemieckiego i Burzyńskim wykładowcy historii prawa polskiego, Wydział zaproponuje jego, skoro za-

jął już w nauce, mimo swej młodości, bardzo poważne i wybitne stanowisko, dzięki kilku świetnie napisanym pracom, ~~gdy~~ Tymczasem Girtler, jego kontrkandydat, nadzwyczajny profesor, pod względem naukowym stał nisko. Ojciec popierał Bobrzyńskiego; szale obu kandydatów wahały się raz na stronę Bobrzyńskiego, raz na stronę Girtlera, który cieszył się niezwykłą osobistą sympatią wśród kolegów. Głosowanie wypadło na korzyść Girtlera. Na drugi dzień po uchwale Wydziału Bobrzyński przyszedł do ojca, który był wówczas dziekanem, przedłożył mu podanie, w którym zrzekał się docentury i poprosił ustnie o jak najrychlejsze załatwienie tego podania, "bo nie chce już więcej wykładać." Na to ojciec odpowiedział: "Podanie załatwię natychmiast, a to tak, jak mi nakazuje interes Uniwersytetu i Wydziału, i w oczach Bobrzyńskiego podanie przedarł i wrzucił do kosza, a nie dopuszczając do głosu czerwonego z irytacji Bobrzyńskiego, przemówił do niego tak poważnie i serdecznie, że Bobrzyński, chociaż z natury nieco szorstki i do wzruszeń nie skory, ojcu ciepło podziękował i do udzielonej sobie rady zastosował się w zupełności.

Przyjaźń z Zyblikiewiczem powstała na tle koleżeństwa w Radzie Miejskiej /Zyblikiewicz był prezydentem miasta Krakowa/ i w Sejmie Krajowym, obustronnego szacunku i zgodności w poglądach politycznych i społecznych. W Sejmie postarali się nawet o to, że stale siedzieli obok siebie, aby móc się porozumiewać łatwo w czasie obrad; z tego Zyblikiewicz skorzystał raz przy następującej przygodzie:

Jeden z posłów /X/ zajął w doniosłej sprawie stanowisko, które Zyblikiewicza oburzyło. Zyblikiewicz poprosił zaraz o głos, ale wobec wielkiej liczby już zapisanych miał przemawiać dopiero nazajutrz. Zyblikiewicz był mówcą doskonałym, ale psuł nieraz efekt swych przemówień przez to, że jego krewki temperament ponosił go łatwo poza granice wskazane taktyką. Zyblikiewicz wiedział o tym i dlatego poprosił ojca, aby zechciał go, gdy będzie odpowiadał nazajutrz owemu posłowi X, pociągnąć lekko za surdut, gdyby przekraczał miarę tego, co właściwe i celowe. Wobec tego, że Zyblikiewicza obawy przed własnym temperamentem okazały się w czasie mowy uzasadnione, ojciec pociągnął go za surdut lekko, a gdy to nie pomogło - silniej, a gdy i to pociągnięcie nie miało skutku, jeszcze znacznie silniej, a wtedy Zyblikiewicz przerwał swe przemówienie i zwróciwszy się do ojca, powiedział głośno: "Możesz mi poły od surduta nawet oderwać, a ja mimo to powiem tym razem wszystko, co myślę o pośle X." Słowa te stenograf zamieścił w protokole i dostały się one nawet do odbitki szczotkowej, a dopiero w czasie rewizji zostały skreślone.

Skoro już mowa o Sejmie, wspomnę na tym miejscu jeszcze o innym zdarzeniu mającym związek ze Sejmem: Ojciec, jako członek Komisji szkolnej rozwinął między innymi żywą działalność, aby poprawić dolę nauczycieli szkół ludowych /powszechnych/, których płace nie dawały im nawet warunków bardzo skromnej egzystencji. Wiedzieli oczywiście o zabiegach ojca nauczyciele, a znając jego dobre serce, przybywali nieraz do "swego posła i orędow-

nika", aby im wyrabiał także jakieś osobiste zapomogi. Przyszedł między innymi raz jeden nauczyciel, przedstawił, że dola jego jest wprost rozpaczliwa, gdyż z nędznej pensyjki nie może wyżywić swej licznej rodziny. "A ileż masz Pan dzieci?" zapytał się ojciec. "Szesnaście żyjących", odpowiedział nauczyciel. Usłyszawszy aż taką liczbę, ojciec mój podniesionym z irytacji głosem odezwał się: "Ależ, Panie, jakżeś mógłeś Pan być tak lekkomyślnym"! Na co usłyszał odpowiedź: "Panie pośle, u nas na wsi to przecież jedyna przyjemność".

Niezwykle dobre serce mego ojca było powodem, że egzaminy uniwersyteckie dla niego jako egzaminatora łączyły się z prawdziwą udręką z tego powodu, że poczucie obowiązku nakazywało mu odmawiać stopnia dostatecznego, gdy nabrał przekonania, że kandydat nie umie wcale prawa rzymskiego. Po takim egzaminie tracił ojciec swe pogodne usposobienie, a nawet zdarzało się, że sypiać nie mógł. Wrażliwość ojca w tym kierunku potęgowała się, bo jako gorliwy kurator Bratniej Pomocy U.J. wglądał ciągle w smutne, nieraz tragiczne położenie studentów najuboższych, czasem chorych, zwłaszcza na gruźlicę, którzy, pracując na swe utrzymanie, mieli wielkie trudności, aby przygotowywać się należycie do egzaminów. Rozumiał więc, jaką czasem katastrofą dla kandydata takiego może być niezłożenie egzaminu z postępem pomyślnym. To też nie tylko jako egzaminator trudził się długo, zanim zdecydował się na odmówienie głosu, ale także obowiązki swe, jako przewodniczącego Komisyj egzaminacyjnych, pojmował w ten sposób, że uważnie słuchał pytań i odpowiedzi, aby

potem przy obradach nad wynikiem bronić kandydatów przy czym nieraz wchodził w konflikty z członkami komisji, zbyt pochopnie odmawiającymi stopnia dostatecznego.

Kiedy w r.1897 objąłem po prof.Stanisławie Madeyskim katedrę cywilnego prawa austr. na Uniwersytecie Jagiellońskim, zdarzyło się, że pytany przeze mnie kandydat przy rygorozum bardzo licho odpowiadał i dlatego napisałem do księgi rygorozalnej stopień niedostateczny. Ojciec który wszedł wtedy przypadkowo do biura dziekana, gdzie była księga, dostrzegł napisane przeze mnie "insufficienter" i mocno zirytowany odezwał się do mnie: "Ależ pamiętam dobrze tego kandydata. Egzamin z prawa rzymskiego przed trzema laty zdał wcale dobrze; umie myśleć prawniczo i przygotował się wówczas nieźle. Zapewne tak samo było i teraz z prawem cywilnym. Zdaje się, że jesteś - dodał podniesionym głosem - jeszcze za młody i dlatego pytać nie umiesz." Obecny w biurze dziekana prof.Ulanowski uśmiechnął się na to i powiedział: "Panie Rektorze, niech Pan nie zapomina, że profesor Zoll młodszy jest nie tylko Pańskim synem, podlegającym może jeszcze potestati paternae, ale także Pańskim kolegą."

Studenci nie mogli nie wiedzieć, jakiego mieli w mym ojcu wyrozumiałego egzaminatora i dobrotliwego prezesa Komisyj egzaminacyjnych, co prowadziło nieraz do różnych zabawnych indydentów. Z nich opowiem przynajmniej o jednym, który zapisał mi się szczególnie w pamięci:

Ojciec mój po ukończeniu 71 roku życia według usta-

wy austr. musiał ustąpić z katedry. Jakkolwiek uznawał ten przepis za rozsądny, nie było dla niego rzeczą łatwą rozstać się z katedrą i Uniwersytetem, do którego był gorąco przywiązany. Wystąpiło to zwłaszcza w pewnym rozstroju nerwowym w dniu, w którym miał odbyć swój wykład ostatni. Niespokojny o ojca, czekałem na niego przed salą wykładową, gdy wykład miał się skończyć. Po dzwonku słyszałem jeszcze ze sali jakieś głosy, a potem wielki śmiech. Za chwilę wyszedł ojciec ze łzami w oczach, ale i serdecznie uśmiechnięty. Cóż się stało? Po wypowiedzeniu przez ojca ostatnich słów pożegnalnych ze wzruszeniem, które udzieliło się i audytorium, przerwał ponure milczenie jeden z słuchaczów zapytaniem: "Panie Rektorze, mówią, że według przepisów obowiązujących, komisje egzaminacyjne są władzami rządowymi, od uniwersytetów niezależnymi, a w takim razie, Pan Rektor, skoro jest jeszcze zdrów i silny, pozostanie nadal egzaminatorem i prezesem Komisji egzaminacyjnej. Czy to prawda?" Ojciec mój dał odpowiedź potwierdzającą, poczem ów interlokutor odezwał się raz jeszcze, tym razem niebaczny, że jego słowa mogą mieć znaczenie inne, aniżeli chwilowo przypuszczał: "Ależ w takim razie, Panie Rektorze, będzie jeszcze nadal wszystko dobrze." Na to ojciec zaśmiał się serdecznie i równocześnie wybuchnął śmiech na sali.

Wychowanie trzech synów ojciec oddał prawie w zupełności swej żonie, a gdy ktoś wyraził zdziwienie z tego powodu, ojciec odpowiedział: "Helcia lepiej to umie aniżeli ja. Dobra i mądra matka i bez pomocy ojca najlepiej synów wychowa." Jednak powód - jak sądzę - był jeszcze

inny, chociaż ojciec nie zdawał sobie może z niego dokładnej sprawy. Ojciec rozumiał mianowicie doskonale, że synów trzeba wychowywać także w karności, a sam może czuł, że nie miał odpowiednich do tego kwalifikacyj. Jak mało miał rzeczywiście w tym kierunku uzdolnienia przekonać mogliśmy się raz na następującym przykładzie: Mój brat najmłodszy, Antoś, obdarzony niezwykłym temperamentem i fantazją a przy tym wielki psotnik, popełnił raz - miał wtedy może sześć lat - coś, za co zasłużył na surową karę. Matka postanowiła uciec się do środka, dotąd niepraktykowanego i powiedziała: "Tym razem nie ja cię ukarzę; opowiem wszystko tacie i poproszę go, żeby cię wybił trzcinką", po czym wyszła do pokoju ojca. Za chwilę rodzice powrócili razem, a ojciec z miną groźną zapowiedział Antosiowi, że zostanie ukarany tak, jak matka zapowiedziała i zaczął chodzić po pokoju, szukając daremnie trzcinki. Wtedy Antoś odezwał się: "Tatusiu, niech~~że~~ Tatuś nie ~~męczy się~~ szuk~~aniem~~ trzcinki. Przecież ona leży na szafie na swym miejscu, widać ją nawet." Ojciec, usłyszawszy te słowa, porzucił minę groźną i tylko bardzo poważnie oświadczył, że wobec tego, że Antoś sam wskazał, gdzie jest trzcinka, przebacza mu przewinienie i spodziewa się, że Antoś nigdy nie zasłuży na tak surową karę. Matka, nie mogąc podkopywać autorytetu ojca, nie zaprotestowała przeciw takiemu zakończeniu sprawy.

Ojcu przykro było, gdy w r.1887 dla wykształcenia się w języku niemieckim i zaznajomienia się z prawem w praktyce, opuściłem Kraków i dom rodzicielski, aby

wstąpić w Wiedniu do Prokuratorii Skarbu. W czasie wakacyj uniwersyteckich przybywał potem do Wiednia a wówczas spędzaliśmy razem niezapomniane dla mnie chwile, zwłaszcza gdyśmy - obaj muzykalni, ojciec grał na skrzypcach, a ja na fortepianie - zachwycali się w Wiedniu w Operze, w Teatrze "an der Wien" lub w salach koncertowych nieśmiertelnymi dziełami muzycznymi i ich niezrównaną interpretacją, w najmuzykalniejszym, jak sądzę, mieście na świecie. Kiedy ojciec został członkiem Izby Panów, przyjazdy jego stały się częstsze, - wszak miał bilet wolnej jazdy, więc wycieczki do Wiednia kosztowały odtąd znacznie mniej. Raz przybył na posiedzenie plenarne do Izby Panów, gdy na porządku dziennym była tylko jakaś mało znacząca nowelizacja ustawy podatkowej. Gdy Józef Unger bardzo wybitny profesor Uniwersytetu wiedeńskiego i były minister zobaczył ojca, wyraził zdziwienie, że ojciec dla tak błahej sprawy trudził się podróżą z Krakowa. Na co ojciec odpowiedział, że nie uważa sprawy za obojętną, a zresztą dodał, "mam syna w Wiedniu." Na co Unger uśmiechnął się i powiedział: "Panie Kolego, mamy w Pańskim przyjeździe, jak widzę, do czynienia z przykładem, na którym może Pan swym słuchaczom, wyjaśnić różnicę pojęciową między przyczyną /Ursache/ a pobudką /Beweggrund/."

Po takich anegdotycznych ekskursach, pragnę wspomnienia o mym drogim ojcu na zakończenie podnieść na diapazon bardzo wysoki i w tym celu przytoczę jeszcze kilka zdań, jakie Stanisław Tarnowski zamieścił w swym pięknym i bardzo głęboko ujętym "Wspomnieniu pośmiertnym", o

którym już poprzednio pisałem.

"Czego Zoll pragnął, o co dbał z całej duszy, to żeby ze wszystkich sił służyć temu krajowi, temu narodowi do ostatniego tchu swego życia. I to do późnej starości, do śmierci, zawsze w pracy, zawsze w zasłudze, zawsze bez myśli o sobie.......... Taka cnota, taka czystość żywota, taka miłość i służba Boga i Ojczyzny, bywa tam tylko, gdzie jest wielka dusza. Życie może być skromne, na pozór takie jak wiele innych, a w nim może tkwić wielka dusza, ukryta przed ludźmi, ukryta często sama przed sobą, nieświadoma często swojej wielkości. I tak było z Zollem. On się na swojej wartości nie znał; miał się za prostego tylko sługę Boga i Ojczyzny i takim prostym sługą być chciał, niczym więcej. Sługą bożym był wiernym i gorącym, niewzruszonej wiary i gorliwej pobożności: i w tej służbie skromny i prosty i niewiedzący o sobie. Ale nie ~~[illegible]~~ ma wielkich dusz bez wielkiej miłości bożej: tak także było z nim........

~~Pamięć i wdzięczność, ale i~~ Osobistej wdzięczności godzi się wspomnieć za przyjaźń długich lat życia, za wiele doznanego dobrego......... ale nad osobistą większa, goretsza, jest wdzięczność za tę miłość i służbę Ojczyzny, której ś.p.Fryderyk Zoll był takim doskonałym, takim pożytecznym zawsze, skutecznym nieraz przykładem i wzorem. W długim życiu znało się ludzi wielu: tak dobrych jak on, ludzi i synów ojczyzny, bardzo nie wielu. Teraz on, połączony ze wszystkimi naszymi najlepszymi ze swego czasu i dawniejszymi, błogosławi wszystko dobre, jakie w Polsce jest i jakie się robi; a my przechowujmy jego pamięć i cześć w najdalsze czasy, a starajmy się iść za jego

przykładem, wstępować w jego ślady."

Moja matka to chyba ideał kobiety, żony, matki i córki. Inteligencja niezwykła, dobroć sama, gotowa zawsze do niesienia pomocy innym, gotowa do pracy i poświęcania siebie dla męża i dzieci, a wszystko to bez cienia myśli o sobie; obdarzona przy tym żywym i wesołym usposobieniem, wrażliwością i fantazją, z czego płynął urok, który roztaczała; głęboko religijna, bez cienia bigoterii i serdecznie przywiązana i kochająca swą Ojczyznę.

Jako najlepsza przyjaciółka swego męża dzieliła jego myśli i uczucia. Zajmowało ją wszystko, co ojca żywiej obchodziło. Szło to tak daleko, że zwłaszcza w pierwszych latach małżeństwa, kiedy miała więcej czasu wolnego, starała się poznawać także owo prawo rzymskie, przedmiot studiów i zamiłowań ojca i dlatego czytywała litograficzne skróty wykładów, z których uczniowie przygotowywali się do egzaminów, jednak, jak śmiejąc się mówiła, bez zamiaru zdawania kiedykolwiek egzaminu, bo by zwłaszcza przed mężem odpowiedzi wypadły fatalnie. Ojciec miał o rozumie swej "Helci" najlepsze pojęcie; rozmawiał z nią o wszystkim, co go szczególniej interesowało - z wyjątkiem prawa rzymskiego - i nieraz zasięgał jej rady. Gdy potem nie poszedł czasem za jej radą, matka nie czuła się nigdy dotknięta, bo mądrość ojca uważała za coś wyższego. W nas, w dzieci swe, wpajała tak miłość, jak i głęboki szacunek dla ojca. A co do innych osób, mimo

swej wielkiej dobroci, byłaby zapewne - jak się mówi - oczy wyłupiła każdemu, ktoby był ośmielił się ojcu uchybić. Jej temperament nie pozwoliłby iść w takim razie na kompromisy. Jak była pod tym względem wrażliwą i stanowczą, okazała to razu jednego w stosunku do własnego brata, Ludwika, pomimo, że go kochała, a nawet dużo modliła się za niego, gdy przechodził w życiu ciężkie chwile. Ludwik czuł przez długi czas do mego ojca jakiś cichy żal. Powodem było, że pragnął ongiś, aby siostra Helcia wyszła za mąż za jego przyjaciela, barona Hartitscha, człowieka zamożnego i z pięknym stanowiskiem, a nie za niezamożnego koncypiencinę Prokuratorii Skarbu dra Fryderyka Zolla, syna inżyniera dróg i mostów. Razu jednego zdarzyło się, że Ludwik dał upust swej niechęci, zachowując się w sposób nieco lekceważący wobec ojca. Matka natychmiast zareagowała na to, oświadczając bratu, iż zrywa z nim stosunki rodzinne, i oświadczenie to zaczęła z wszelką konsekwencją w czyn wprowadzać. Wuj mój, chociaż nie należał do ustepliwych, pragnął jednak utrzymać nadal dobre stosunki z siostrą i dał ojcu pełne zadośćuczynienie x/.

---

x/ Wuj Ludwik Seeling Saulenfels miał dwa szczególne zamiłowania, mianowicie budownictwo, zwłaszcza wodne i rolnictwo. W akademii wojskowej wyspecjalizował się w pionierstwie i potem jako oficer pionierów brał udział w r.1859 w wojnie Austrii przeciw Francji, Sardynii i Piemontowi. Po wojnie oddał się studiom rolniczym, a zakochawszy się w niezwykle pięknej Francuzce, którą poznał w Wiedniu i mając zamiar ją poślubić, wystąpił z wojska, oddał się zupełnie rolnictwu i objął posadę administratora dóbr hr.Tarnowskiego w Dzikowie.

Jedną z wielkich przyjemności matki był teatr i koncerty. Sama śpiewała wcale dobrze /była uczennicą głośnego nauczyciela wiedeńskiego Procha/, grała też na fortepianie o tyle, by móc sobie przy śpiewie z łatwością akompaniować. A ponieważ ojciec mój był wybitnie muzykalny i grał dobrze na skrzypcach, więc koncerty stanowiły przyjemność wielką i wspólną mych rodziców - podobnie jak teatr. Kiedy jednak w r.1881 spłonął w Wiedniu Ringtheater i zginęło w nim przeszło tysiąc osób, matka, wiedząc, że ojciec będzie chodził nadal do teatrów i na koncerty, uczyniła, bez wiadomości ojca, votum, że nigdy już w swym życiu nie pójdzie ani do teatru, ani na koncert, a nakładając na siebie taką dotkliwą ofiarę, błagała Boga, żeby męża jej od nieszczęścia uchronił. Nie potrzebuję dodawać,

---

Jednak zaręczyny z Francuską z czasem uległy zerwaniu, a wuj, poznawszy potem we Lwowie p.Melanię Riegerównę, objął przy pomocy posagu swej żony w dzierżawę naprzód Łagiewniki koło Krakowa a potem Łękawicę koło Wadowic. Jednak dzierżawy porzucił, gdy ks.Montléart, Francuz, ale krewny Habsburgów, przyjął go na dyrektora swych wielkich dóbr Lanckorona-Izdebnik w Galicji. Posadę tę otrzymał dzięki swym stosunkom i tej okoliczności, że obok języka ojczystego /polskiego/ posiadał zupełną znajomość języka francuskiego i niemieckiego. W "Państwie izdebnickim" rozwinął niezwykłą działalność. Między innymi w Izdebniku założył fabrykę wódek i likierów /Jarzębiaka/, suszarnie jarzyn; z pomocą subwencyj krajowych uregulował potok Biertówkę, wybudował drogę "Krajową" z Sułkowic do Zembrzyc, przecinającą całe Państwo Izdebnickie itd. Na drodze tej wzniesiono z czasem sumptem Powiatu wadowickiego dwa pomniki: jeden na cześć hr.Stanisława Badeniego, jako marszałka kraju Galicja, a drugi na cześć Ludwika Seelinga Saulenfelsa, jako założyciela i budowniczego drogi.

bo to już wynika z tego, co ogólnie o matce powiedziałem, że votum swe spełniła.

Matka moja dla swej matki przejęta była nie tylko miłością, ale i uwielbieniem, które trwało, a nawet wzmogło się po śmierci tej, pod każdym względem czcigodnej i wyjątkowej osoby - naszej ukochanej babuni. Babka moja wychowana była w domu rodzicielskim[x] nader starannie, kształcona przy tym przez swego ojca, który ją jedyną córkę /obok sześciu synów/ najwięcej z dzieci kochał. Matka moja mawiała nieraz do nas po jej śmierci: "Babka Wasza - to była osoba święta" - i często wśród modlitw zasyłała do niej gorące błaganie, by u Boga wyprosiła dla nas tę, czy ową łaskę. Gdy uczyłem się w gimnazjum o Składzie Apostolskim, przyszło mi na myśl, że owe modlitwy do nieżyjącej już, ukochanej naszej babki, były chyba w religii katolickiej uzasadnione, w słowach "Świętych obcowanie". - Matka wspominała nam rzewnie, jak odczuwała nieraz opiekę swej drogiej matki nad sobą; a nawet raz - jak opowiadała - w ciężkim dla niej czasie, obudziła się w nocy i zobaczyła przy sobie główkę swej matki, która jednak gdy ją chciała ucałować, znikła. -

Mój brat Antoś, obdarzony rzadko gorącym tempera-

---

x/ Rodzina Baumów Appelshofen, która przybyła do Polski za czasów Augusta II i tu się całkiem spolonizowała. Józef br.Baum, wiceprezes Koła Polskiego był rodzonym bratem mej babki.

mentem x/ zakochał się w Izdebniku w pannie Koreckiej, "na śmierć i życie", a korzystając z nadarzającej się raz wieczorem sposobności, oświadczył się jej z swą miłością. Gdy p.Korecka odpowiedziała na to z kpinami, Antosiowi krew uderzyła do głowy i w najwyższym rozdrażnieniu, zabrawszy rewolwer z sobą, wybiegł do parku, aby sobie życie odebrać i w ten sposób pokazać swej wybranej, jak ją szalenie kochał. Kiedy jednak w parku, w ciemności przyłożył rewolwer w kierunku serca, stanęła przed nim w dziwnym oświetleniu postać dawno już nieżyjącej babki naszej, a widok tej świętej osoby tak oddziałał na niego, że oprzytomniał z szału i od zamiaru samobójstwa odstąpił. Opowiadając nam o tym zdarzeniu po powrocie do Krakowa, dodał ze wzruszeniem: "Przekonałem się wówczas, że nasza babcia nad nami czuwa i że mama miała słuszność, gdy się z nami do niej modliła jako do naszej kochanej Orędowniczki. xx/"

Matka moja wychowywała nas t.j. swych synów, mnie, Józia i Antosia w karności. Była bowiem zdania, że chłopców trzeba trzymać ostro i odpowiednio karać, gdy zawinili, lecz z drugiej strony okazywać im dużo serca, gdy

---

x/ Jako młody człowiek miał 5 pojedynków pod bardzo ciężkimi warunkami /przy trzech kule przeszły przez niego, raniąc go jednak każdym razem lekko - tak, że po kilka czy kilkanaście dni leczył się z ran bez jakichkolwiek następstw szkodliwych.

xx/ Babka moja napisała raz dla siebie modlitwę, którą znaleźliśmy po jej śmierci. Oto jej tekst dosłowny:

na to zasłużą. Karząc nas za przewinienia, wchodziła czasami w konflikt z moim dziadkiem, Józefem Zollem, który swych wnuczków tak czule i ślepo kochał, że nie uznawał, byśmy kiedykolwiek na karę mogli zasłużyć. Matka, przywiązana bardzo do dziadka /swego teścia/, pragnęła, o ile możności życzenia jego spełniać, chociaż przez to odstępowała czasem od swych zasad pedagogicznych. Dziadek bywał u nas często, bo miał jako emeryt państwowy dość wolnego czasu, burmistrzowstwo zaś w Podgórzu, nie było połączone z większą pracą, a w domu mych rodziców

---

"Przyjmij i wysłuchaj o Boże prośby i westchnienia z głębi serca błagającej Cię matki i babki o dobro i szczęście swych dzieci i wnucząt. Ty Panie błogosławiłeś moje małżenstwo i na naszą pociechę obdarzyłeś nas dobrymi dziećmi i dałeś nam łaskę doczekac się miłych wnucząt. Tyś ich stworzył, utrzymaj ich w łasce Swojej. Daj dzieciom moim wolę i siłę, aby przy Twojej pomocy dorobili się na chleb dostateczny dla siebie i dla swoich, błogosław ich potrzeby i zamysły; niech ich spełnienie będzie na chwałę Twoją i na ich pożytek według nieskonczonej opatrzności i nieprzebranej miłości Twojej! Ileż to łaski Twojej błagac Cię teraz musimy, bo ile to prac i zabiegow im potrzeba, aby i oni swe dzieci wychowac mogli na dobrych ludzi, skoro i najstroskliwsza czujnosc matki i najbaczniejsze oko rodzicielskie nie potrafi dostrzec każdego niebezpieczenstwa lub mu zapobiec, przeto polecam je Twojej opiece, Panie; Ty obdarz ich swoim błogosławienstwem. Błogosław im na duszy, na ciele, na powodzeniu i we wszystkim. Niech na nich spada obficie Twoja opieka, a żyżność niech im użycza ziemia, niech im rosną dzieci zdrowo z dobrym postępkiem w naukach i oświeceniem Ducha Swiętego, miłując rodzicow i ufając im we wszystkim.

Poślij Twego Anioła, aby czuwał nad każdym przedsięwzięciem dzieci moich, zachowaj i obron je wśród wszelkich niebezpieczenstw. Daj im dostatek w polu, w domu i w przyjazni ludzkiej. A ponieważ uczyniłeś mnie tych dzieci matką, a ich potomstwa babką, to pozwol, abym i ja choc niegodna sługa Twoja tak im błogosławic mogła, jak niegdyś błogosławili synom swoim patriarchowie, aby dzieci i wnuczęta moje stały się Tobie miłymi i światu pożytecznymi ludzmi, ktorzy Ciebie wielbiąc, umięliby pogodzic sprawiedliwośc z łagodnością, pilnośc w pracy z przyjemnością w pożyciu, a wywierając dobroczynny wpływ na rodzinę swoją, dożyli lat sędziwych, zasłużywszy sobie na chwałę w niebie i na ziemi. A mnie daj o Boże, abym kiedyś, złączywszy się z nimi przed obliczem Twoim rzec mogła: Panie, Twoje były, żadne nie zginęło, bo łaska Twoja była z nami."

czuł się zawsze doskonale. Raz jednak przyszedł do nas przed południem właśnie w chwili, gdyśmy, ja i mój brat Józek, za karę klęczeli w kącie i płakali. Dziadek rozrzewniony tym widokiem, chociaż matkę moją także bardzo kochał i miał przed nią respekt, nie mógł powstrzymać się od lekkiego zarzutu przeciw karze i poprosił matkę, aby synkom przebaczyła i pozwoliła im wstać. Matka spełniła życzenie dziadka, ale ponieważ płakaliśmy jeszcze nadal, dziadek - korzystając z chwilowej nieobecności matki w pokoju - starał się pocieszyć nas w ten sposób, że nam cichutko powiedział: "Kochani chłopcy, już nie płaczcie. Zapewne mama zgniewała się na was nie z waszej winy. Może służąca wydała za dużo pieniędzy, a mama musi oszczędzać." Gdy matka wróciła, dziadek powiedział, że chciałby z nami iść na przechadzkę, bo piękna pogoda, na co się matka zgodziła. Dziadek jednak przed spacerem zaprowadził nas do cukierni Knowiakowskiego przy ul.Floriańskiej i tam nas częstował ciastkami, a nawet dał pokosztować jakiegoś dobrego likieru, a potem, abyśmy całkiem zapomnieli o karze, opowiedział nam, jak to raz wyszedł już nocą do lasu, aby zastrzelić kilka kuropatw przy wschodzie słońca i jak w lesie w ciemnościach straszyło, odzywały się bowiem przeraźliwe rozmowy puchaczy, a on chwilowo myślał, że to złe duchy. Głosy te starał się nam naśladować, co nas bardzo bawiło.

Takim to pedagogiem był nasz kochany dziadek. Nie długo jednak mógł nas psuć, bo zmarł w r.1873, bardzo przez nas opłakiwany. Pamiętam dobrze ten nader smutny pogrzeb. Ja niosłem za trumną złoty medal, jakim dziadek odznaczony został za to, że w czasie powodzi w powiecie

bocheńskim ratował ludzi i ich mienie z narażeniem własnego życia.

Matkę naszą pomimo, że nas ostro trzymała, bardzośmy kochali. A mieliśmy ją za co kochać. Miłość naszą potęgowało, gdyśmy dojrzewali i dorastali, uczucie wdzięczności za to, że umiała rozwijać tak miło i inteligentnie nasze umysły i serca. Czytała nam dużo, opowiadała jeszcze więcej. Śpiewała z nami pieśni religijne i patriotyczne, przyczem nieraz akompaniowała przy fortepianie. Śpiewaliśmy razem zwłaszcza "Kto się w opiekę", Kolędy, Gorzkie żale, "Święty Boże","Królu, Boże Abrahama, w Tobie moc i wielkość sama", a z patriotycznych "Boże coś Polskę", "Serdeczna Matko", "Z dymem pożarów", "Nasz Dwernicki",

"Na Wawel, na Wawel, Krakowiaczku żwawy,
Podumaj, potęsknij nad pomnikiem sławy.
Dzieje Twojej ziemi na grobowcach czytaj,
Twoich wodzów groby uściskiem powitaj;
Powitaj uściskiem; w oczy spojrzyj śmiało,
Bo Tobie w dół patrzeć, nigdy nie przystało."
~~Bo Tobie w dół patrzeć nigdy nie przystało."~~

Pierwszą zwrotkę pieśni "Na Wawel" przytoczyłem w całości dlatego, że o tej pieśni, zdaje się już zapomniano. Nie słyszę jej od wielu lat wcale. A przecież to pieśń i w tekście i w muzyce bardzo ładna. - Codziennie z matką zmawialiśmy wspólnie pacierz wieczorny, dla nas przez matkę ułożony, a czasem matka dodawała jeszcze ~~Kochanowskiego~~ Karpińskiego modlitwy: "Wszystkie nasze dzienne sprawy", a z rana, "Kiedy ranne wstają zorze". W maju każdego roku cho-

dziliśmy z matką wieczorem do kościoła N.Panny Marii na nabożeństwa majowe z pieśnią "Pod Twoją Obronę", szczególnie podnoszącą kult Matki Bożej.

Z wielką przyjemnością słuchaliśmy różnych opowiadań matki, między innymi z przeżyć jej własnych i z różnych zdarzeń w rodzinie. Utkwiły mi niektóre w pamięci, np. opowiadanie o pięknych arabskich siwkach wuja matki, właściciela Kopytówki koło Skawiny, Józefa Bauma; konie te, gdy gwałtownie jakaś rzeczka w czasie nocnej burzy wezbrała, zatrzymały się nagle i nie chciały wejść na most już zalany i podmyty, przez co uratowały może życie osobom znajdującym się w powozie.

Kiedy matka bardzo barwnie bawiła nas swymi opowiadaniami, siadywał czasem ojciec i słuchał, ale często się przy tym uśmiechał, chociaż treść opowieści nie była wcale śmieszna. Gdy byłem już młodzieńcem dojrzałym, zapytałem się raz, dlaczego się ojciec tak nieraz uśmiechał. Ojciec odpowiedział: "Podziwiam, widzisz, jak to różne zdarzenia w umyśle mamy pięknie się układały, dzięki jej bujnej wyobraźni i jak ona widocznie w pełni wierzy w to wszystko, co opowiada, jakkolwiek często zdarzenia te miały inny przebieg".

Dzięki swemu wykształceniu i bujnej wyobraźni matka była dla swych synów doskonałą doradczynią i pomocnicą, gdyśmy jako uczniowie gimnazjalni pisywali zadania polskie. Poddawała nam nieraz różne myśli, z których korzystaliśmy zazwyczaj w całej pełni. I do ojca udawaliśmy się o pomoc, ale, gdy chodziło o trudne zadania matematyczne albo łacińskie lub greckie.

Bardzo uroczyście obchodzono w naszej rodzinie Święta Bożego Narodzenia. W dzień Wigilii po wieczerzy, na odgłos dzwonka otwierały się, jakby same przez się, drzwi "bawialni" /dzisiaj pokoje takie nazywają salonami/, gdzie znajdowało się drzewko, oświecone rzęsiście a pod nim podarunki dla dzieci, co wszystko "przynosił św.Aniołek". Mimo, że ojciec i matka zręcznie ukrywać umieli przed nami działalność "św.Aniołka", zacząłem, mając, zdaje się lat siedem, mocno powątpiewać, czy rzeczywiście Aniołek te dary przynosi, zwłaszcza odkąd dostrzegłem kilka razy, jak do innych domów zwyczajni ludzie wnosili choinki. Jednak wątpliwości swe jeszcze raz odparłem w następujących warunkach:

Na obiad wigilijny przybył do nas m.i. prof.literatury niemieckiej U.J. Bratranek, zakonnik, Augustianin, którego ojciec wysoko cenił i bardzo lubił. Wiedziałem o nim już wówczas, że to bardzo, bardzo mądry człowiek, który dużo po świecie podróżował, zanim do klasztoru wstąpił i mnóstwo rzeczy wiedział, /Bratranek swe prace naukowe poświęcał głównie dziełom Goethego a jego wykłady uniwersyteckie cieszyły się niezwykłą sławą; chodziłem na nie za jego pozwoleniem, już jako uczeń 7-ej klasy gimn./. Gdy w ów wieczór wigilijny na dzwonek Aniołka wbiegliśmy do bawialni, zwrócił szczególniejszą uwagę wszystkich pociąg kolei żelaznej, składający się z t.zw.parowozu i trzech wagonów. Parowóz jakkolwiek bez pary, miał po bokach tłoki posuwające się przy obrocie kół. Wozy były niezwykłych, jak na zabawkę rozmiarów. Wysokość ich przenosiła z pewnością dwa decymetry. /Zabawkę tę - jak do-

wiedziałem się z czasem - zrobił Bąkowski, blacharz krakowski/. Profesor Bratranek oglądał także ze zdziwieniem tę zabawkę i powiedział do ojca: "Czegoś podobnego nigdy i nigdzie nie widziałem". Słowa te wywarły na mnie wrażenie silne. Wysnułem też z nich wniosek, że skoro nawet ksiądz Bratranek czegoś podobnego nigdy i nigdzie nie widział, to zabawka ta nie może pochodzić z ziemi, a więc widocznie przyniósł ją "Aniołek". Jednak w kilka miesięcy potem wątpliwości powróciły. Ucząc się w domu, nie miałem koleżków, którzyby mi byli prawdę wyświetlili, udałem się zatem do mej kochanej matki, do której miałem pełne zaufanie, z prośbą, żeby mi powiedziała szczerze, czy te opowiadania rodziców o św.Aniołku, są prawdziwe. Matka ucałowała mnie serdecznie i powiedziała: "Nie,mój Frydziu, nie przynosi tych rzeczy aniołek, lecz kupują je rodzice. Ale mówi się dzieciom o aniołku, bo one jeszcze nie rozumieją, że, jeżeli rodzice mogą swym dzieciom takie podarunki sprawiać, jest to łaska Boża, za którą dzieci powinny Panu Bogu lub tym aniołkom, które się nimi opiekują, gorąco dziękować." Podziękowałem matce serdecznie, że mi dała szczerą odpowiedź, jednak odczułem po niej jakieś przykre rozczarowanie. Byłbym wolał móc nadal wierzyć w to, co się wyobraźni chłopca tak bardzo podobało i co do pięknych marzeń pobudzało.

W kilka lat później zwróciłem się do matki z prośbą, aby wskazała mi właściwą drogę na usunięcie innych, stokroć poważniejszych wątpliwości, wątpliwości religijnych, które mnie coraz więcej trapiły i gnębiły: Czy/mianowicie dogmaty, których nas nasza religia uczy, a zwłaszcza dogmat o Bóstwie Chrystusa, są prawdą. Matka zwróciła się

do mnie z wielką serdecznością i odpowiedziała mi mniej więcej co następuje: "Wszystko to jest prawdą, staraj się mój Frydziu, odrzucać nasuwające Ci się wątpliwości. Nie mają one podstaw. Przecież religia uczy nas i każdy myślący człowiek musi nawet sam przyjść do przekonania, że Bóg jest dla nas niepojęty, t.zn.że niepojętą jest dla nas ta Istota najwyższa, najpotężniejsza, najdoskonalsza i najlepsza, Stwórca tego, co my światem nazywamy - ta Istota, która istnieć musiała i istnieć musi zawsze i wszędzie w nieskończoności czasu i przestrzeni. My tej Istoty naszym rozumem małym pojąć ani zgłębić nie możemy, tak jak nie możemy pojąć nieskończoności. My ją tylko nazywamy, ale jej nie rozumiemy. Czyż więc możemy naszym małym rozumem roztrząsać, ażali się nam objawił w Chrystusie "niepojęty" Bóg? Tu wszelkie mędrkowania ludzkie ustają, tak samo, jak dociekania nad tym, czym jest Bóg, czym nieskończoność i wieczność? Ale wiemy, że Chrystus Pan dał nam religię najlepszą i najdoskonalszą, bo religię opartą na najwyższej Miłości: Miłości Boga nadewszystko, a bliźniego jak siebie samego. Najwyższa doskonałość musi być też prawdziwa. Religii Chrystusowej powinniśmy się więc trzymać, jej dogmaty przyjmować, jej przykazań słuchać i do nich się w życiu stosować. A religia, opierająca się na Objawieniu jest także dla nas łaską i to łaską wielką, bo pozwala nam, jak żadna inna religia, zbliżyć się do Boga człowieka w Chrystusie, który był z lud-źmi na naszej ziemi, z nami ból i radość dzielił. A jakżeż my tego zbliżenia do Boga potrzebujemy! Zwłaszcza, gdy przychodzą na nas w życiu niepokoje, bole, zmartwienia, nieszczęścia, gdy szukamy po-

mocy Bożej i znajdujemy ją potem w Istocie, do której możemy się zbliżyć, bo ją łatwiej pojmujemy. Gdy przyjdą na Ciebie, Frydziu, takie ciężkie chwile, - a przyjdą, bo nikt nie jest od nich wolny, poznasz, ile ukojenia w Twych cierpieniach i niepokojach daje wiara, a z nią ta łatwa możliwość zwrócenia się do Boga przez Chrystusa Pana i przez Matkę Bożą - ułatwiona jeszcze przez instytucję Eucharystii, - a wtedy poznasz, jaką wielką łaską jest nasza wiara."

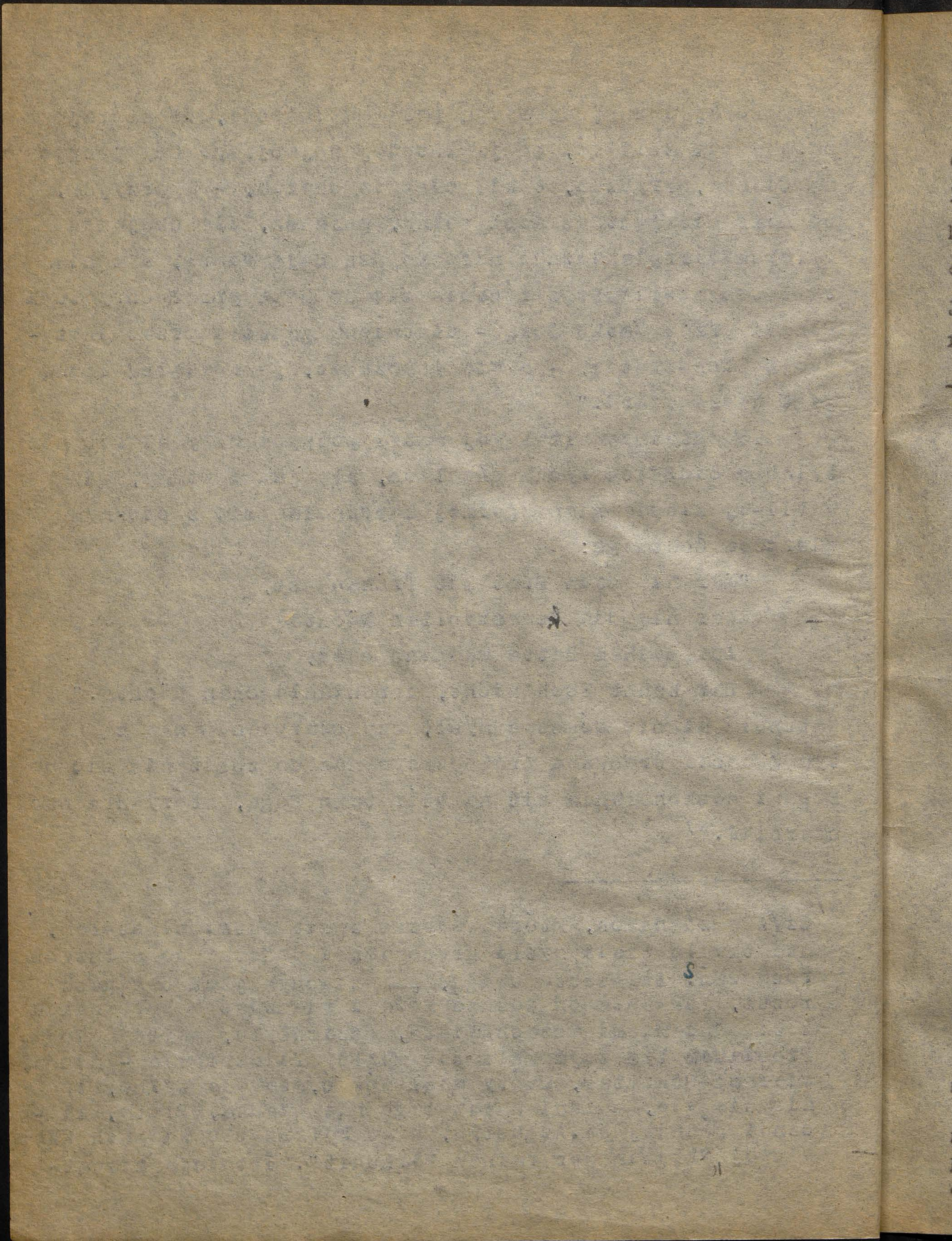
Te ostatnie słowa mej matki przypominały mi się nie tylko w ciężkich życia chwilach, ale już i wtedy, gdy w VII-ej klasie gimnazjalnej zapoznałem się z pięknym wierszem Goethego:

"Wer nie sein Brot mit Tränen ass,
Wer nie die kummervollen Nächte
Auf seinem Bette weinend sass,
Der kennt Euch nicht, ihr himmlischen Mächte."

Nasunęła mi się wówczas myśl, czy cierpienia nie są na tym świecie środkiem prowadzącym nas do zbliżania się do Boga i doskonalenia się na wzór tego Boga, który dla nas cierpiał.x/

---

x/ Czyż w zdaniach, które wówczas z ust matki słyszałem, nie tkwiło wiele myśli głębokich i podstaw do dalszych rozważań? Zwłaszcza uwagą, jak ciasnym jest ten nasz rozum, jak mało on poznać może i wiedzieć w porównaniu z zagadnieniami wszechświata, wszechbytu, pojęcia Boga. Problemem tym zajmowali się wielcy filozofowie - między wieloma Sokrates, który miał mówić, że wie tylko, iż nic nie wie, a inni nawet tego nie wiedzą, Plato, znacznie później św.Augustyn, a po kilkunastu wiekach Kant w swej „Kritik der reinen Vernunft". Istnieje niewąt-



Jaką ta nasza droga matka kochała swe dzieci miłością, przy której nigdy o sobie nie myślała! Raz przed laty, kiedy co do mego brata, Antosia powstał na tle jakiejś nadzwyczajnie korzystnej propozycji projekt wyjazdu jego na stałe do Ameryki i przy dyskusji nad tym projektem ktoś podniósł zarzut przy matce, że przecież dla rodziców byłoby takie rozstanie się z ukochanym synem

---

pliwie jakiś zakres wiedzy rzeczywistej, zakres pewności, dla ludzkich rozumów dostępny. Wiemy np., że istniejemy, że myślimy, znamy różne prawdy, jak zwłaszcza w dziedzinie matematyki /czyż może być rzeczą wątpliwą, że dwa razy dwa jest cztery?/ i możemy je rozwijać przez całkiem ścisłe i trafne wnioskowania. Jednak zakres takiej wiedzy jest ciasny. Gdzie brak nam wiedzy i możności zdobycia jej, tam gubimy się w przypuszczeniach. Nietsche w sposób piękny, ale zarazem smutny, powiada, że duch ludzki świadomy, iż nie wie i rozumem wiedzy zdobyć nie może, jest "sierotą, rzuconą oślep na zaguby morza" a pociesza Niemców, apoteozując siłę i przemoc wbrew etyce chrześcijańskiej. Jednakże ową dla rozumu normalnie nieosiągalną sferę wypełnia u wielu czynnik inny, którym jest wiara. Powstaje ona nieraz skutkiem przewrotów mentalnych u myślicieli bardzo wybitnych; jako przykłady przytaczam św.Augustyna lub J.K.Huysmansa, a obserwowałem sam taki przełom u mego kolegi i przyjaciela, ś.p.Władysława Leopolda Jaworskiego. Lecz najczęściej wiara jest wynikiem wychowania, prowadzonego przez rodziców lub inne bliskie osoby, a zatem jest ona wynikiem miłości i przywiązania, bo umiłowania tych tradycji z którymi zżyliśmy się od dzieciństwa i któreśmy ukochali.- Wiara, wypełniając przepastną i niezmierną przestrzeń zagadnień przez nasz rozum nierozwiązalnych, daje wierzącemu spokój, pomoc w ciężkich chwilach, a tym samym pociechę i wiele szczęścia /jak to już moja matka mówiła/ i dlatego Kościół nazywa ją łaską Bożą. Św.Augustyn idzie jednak dalej, bo upatruje w wierze także podnietę i podstawę do wznoszenia się na coraz wyższe stopnie wiedzy przez zbliżanie się z jej pomocą do Boga. Jednak skoro rozum ludzki, zdaniem św.Augustyna, ma u-

zbyt bolesne, matka odpowiedziała: "Jeżeli chodzi o prawdziwe szczęście naszego dziecka, nie ma dla rodziców "zbyt bolesnego bólu". - Inny przykład: Było to w kilka miesięcy po śmierci mego ojca, gdy raz, rozmawiając z matką bardzo serdecznie, usłyszałem z jej ust następujące, dla mnie pamiętne słowa: "I mnie, jak się zdaje, niewiele już czasu zostaje na tym świecie. Pójdę za mym kochanym

---

gruntowane w naturze poznawczej człowieka granice, nie może on nas doprowadzić do poznania Boga takiego, aby wystarczyć to mogło dla wzbierającej fali uczuć. Jako stopień najwyższy przedstawia się św. Augustynowi umysłowe oglądanie Boga, czyli zatopienie się w Nim całkowite - wynik nie tylko rozumowej pracy, ale i uczucia, mianowicie wielkiej miłości Boga. Na ten najwyższy stopień wstąpi dusza człowieka, jak to określa autor w dziewiątej księdze "Wyznań", wówczas: "gdy umilkną w niej żądze ciała, gdy znikną wyobrażenia ziemi, wód, powietrza i niebios, gdy dusza ucichnie i zapomni się sama, nie zwracając myśli na siebie, gdy znikną sny, marzenia i objawienia, gdy ustanie mowa i znak wszelki, a wszystko co znikome przeminie, bo wszystko to mówi do duszy słuchającej: Nie my sami siebie uczyniliśmy, ale uczynił nas Ten, który trwa na wieki. Jeżeli to wszystko umilknie a zwróci się ku temu, który uczynił wszystko, jeżeli On sam będzie mówił nie przez nie, lecz sam przez się, tak, żebyśmy słyszeli jego słowo nie za pośrednictwem mowy cielesnej, nie za pośrednictwem głosu Anioła, ani szumu obłoków, ani zagadki podobieństwa; wtedy jeżeli będziemy słuchali Tego, którego we wszystkim, co jest kochamy, tak jak co dopiero słuchaliśmy i myślą rączą doścignęli wiecznej mądrości, czuwającej nad wszystkim, jeżeli stan takowy do nieskończoności przedłuży się, a inne widzenia niższego rzędu usuną się na wieki, to zaś jedno całą naszą istność zajmie i pochłonie, a widza w wewnętrznych zagrzebie uciechach, stan takowy będzie życiem wiecznym, jakiego chwilę tylko w owym zachwyceniu naszym doznaliśmy..."

Słowa powyższe, jakby jakimś świętym natchnieniem podyktowane, przytoczyłem według dosłownego przekładu zamieszczonego w książce Maurycego Straszewskiego: "Filo-

mężem i za mym Józkiem.x/ Ale męczy mnie obawa, że Wam, którzy mnie bardzo kochacie, Tobie, Antosiowi, Adzi /mej żonie/, mym drogim wnukom i wnuczkom sprawię swą śmiercią dużo zmartwienia. Najwięcej myślę przy tym o Tobie, bo widzę, jak dotąd jeszcze głęboko odczuwasz stratę ojca. Antoś lżej śmierć moją przeboli, bo przez to, że od tylu lat mieszka od nas zdala, odwykł nieco od domu rodzicielskiego. Modlę się więc o to, żeby Bóg w swej wszechmocy uwolnił Was, a zwłaszcza Ciebie od większego żalu po mej śmierci."-Pragnienie mej matki spełniło się: Matka w kilka lat potem zaczęła bardzo podupadać umysłowo i nieraz wspominała sama, że "głupieje" i jak bardzo pragnie już śmierci. Jednak śmierć nie przychodziła, a władze umysłowe

---

zofia św.Augustyna na tle epoki", str.180 i 181.- Przypuszczam, że to i wiele innych podniosłych myśli św.Augustyn napisał nie tylko jako chrześcijanin,który przemyślał Ewangelię, ale także pod wpływem tych nauk, jakie chociaż ze zmysłem krytycznym czerpał z przestudiowania greckich filozofów, a zwłaszcza pism Platona, tego wielkiego ucznia Sokratesa, który nauczał o boskim w duszy ludzkiej pierwiastku. Przypuszczenie to wypowiadam nieśmiało jako z tą wysoką dziedziną za mało obeznany.

x/ Mój brat Józef, naczelny lekarz kolejowy, zmarł przedwcześnie trapiony chorobą płuc. Nie żyła wtedy już także jego żona.

coraz więcej tępiały, tak, że z czasem, w jej jeszcze fizycznie dość zdrowym organiźmie, nie było już ani tej inteligencji, ani tego serca, które nas tak bardzo do niej przywiązały. Wreszcie przestała nawet poznawać sobie najbliższych. W tych warunkach śmierć matki naszej przyjąć trzeba było, jakby uwolnienie jej od życia, które dla niej stało się ciężarem. I na tej drodze dawniejsze modlitwy matki osiągnęły skutek.

W stosunku do osób, pozostających poza najbliższą naszą rodziną, matka była jakby ucieleśnieniem Zakonu Chrystusowego o miłości bliźniego. Kilka przykładów tego przytoczę:

W rok po mym przyjściu na świat matka wezwana została do niedaleko od nas mieszkającej a ciężko chorej wdowy po aptekarzu Skakalskim, którą tylko jako sąsiadkę przygodnie poznała. Matka na wezwanie pospieszyła i zastała chorą w łóżku, a obok niej znajdowała się jej pięcioletnia córeczka Joasia, którą chora mej matce przedstawiła, po czym dziewczynce wyjść zaraz nakazała. Gdy Joasia pokój opuściła, chora odezwała się do mej matki w następujących mniej więcej słowach: "Czuję dobrze, że już za dni parę umrę. Zanoszę do Pani błagalną prośbę. Jakżebym pragnęła o spełnienie jej na klęczkach prosić, ale sił mi brak. Nie mam nikogo z krewnych, komu mogłabym powierzyć pod opiekę moją biedną córeczkę, sierotkę. O dobroci Pani słyszałam wiele, mam więc w Bogu nadzieję, że Pani prośbę umierającej wysłucha i Joasią się zaopiekuje." Dodała, że Joasi pozostawia niewielki kapitalik, ale dochody z niego zapewne wystarczą na utrzymanie i

kształcenie i leczenie. "Leczenie będzie konieczne, bo Joasia jest, niestety, dzieckiem skrofulicznym." - Matka po porozumieniu się z ojcem, przyrzekła pani Skakalskiej że się Joasią jak własną córką zaopiekuje. Przyrzeczenie to w całej pełni spełniła. Joasię, zwaną u nas z czasem Żańcią, matka moja uważała za córkę zupełnie na równi z własnymi dziećmi. Dzięki jej staraniom Żańcia wyleczona została ze swej słabości, otrzymała wykształcenie, a gdy osiągnęła 20 rok życia, wyszła za mąż bardzo szczęśliwie za sędziego, Ludwika Łaskiego, przezacnego człowieka, niezwykle zdolnego i wysoce cenionego prawnika. Ale i Żańcia odwdzięczała się matce najgorętszym przywiązaniem, miłością i wdzięcznością dozgonną. Żańcia rozstała się z tym światem przed moją matką.

W 13-cie lat ~~przy~~ po przyjęciu przez matkę Żańci, zmarł szwagier mego ojca, Jan Reiner, prezes sądu obwodowego w Kołomyji, pozostawiając wdowę, siostrę mego ojca i trzy córki. Warunki finansowe wdowy były nader skromne - tak, że rodzice moi wzięli do siebie na dalsze wychowanie, kształcenie i utrzymanie najstarszą sierotę, Andzię, która podobnie jak Żańcia została drugą ich córką.

Tak to rodzice moi dzięki swej dobroci i litości nad dwiema sierotkami, powiększyli swą najbliższą rodzinę o dwie córki.

Dla sług matka moja była także niezwykle dobra, chociaż i od nich, podobnie jak od swych dzieci, wymagała posłuszeństwa i gorliwego spełniania obowiązków - oczy-

wiście w zakresie stosunkiem służbowym wskazanym, ale też i na odwrót dbała o sługi, była ich jakby opiekunką, która im zastępowała poniekąd rodzinne ciepło, jakie utraciły, wstępując do służby. To też nasze pokojówki i kucharki opuszczały służbę - o ile pamiętam - tylko, wychodząc za mąż. Matka liczyła się z naturalnym życzeniem dziewcząt wchodzenia w związki małżeńskie. Jeżeli więc dowiedziała się, że służąca się spodobała jakiemuś mężczyźnie, nie pozwalała na żadne tajemne schadzki w sieni, czy przed domem - jak to było zwyczajem, - lecz żądała, aby ten mężczyzna przedstawił się matce, jako starający się o rękę służącej i pozwalała mu do niej do domu przychodzić, a kiedy nabrała przekonania, że to człowiek uczciwy, popierała narzeczeństwo i sprawiała - jeżeli tego rodzice właśni nie uczynili - wesele. Gdyś-my, synowie, już dorośli, w miejsce ostatniej pokojówki matka przyjęła do służby lokajczyka, niejakiego Władysława Świderskiego, chłopca pochodzenia szlacheckiego, ale zaniedbanego, jednak dobrego, pracowitego, a przy tym dowcipnego. Władysław przywiązał się bardzo do matki mej, chociaż go krótko trzymała i dawała mu często nauki wychowawcze. Kiedy raz matka miała jechać do swej wujenki, Baumowej na dni kilka do Kopytówki, powiedziałem do Władysława: "Będą teraz wakacje dla Władysława." Na to odpowiedział Władysław: "Nie cieszę się wcale na te wakacje. Wolę, gdy nasza pani jest w domu. Często mnie wykrzyczy, ~~gdy na to zasługuję,~~ ale w domu jest jakoś przyjemnie i wesoło i wiem, co mam robić. Raz matka ostro Władysława wyłajała, a to w następujących warunkach: Władysław przyszedł do matki z prośbą o pozwolenie na wyjazd

na dwa dni do Tarnowa. Matka nie miała w zasadzie nic przeciw wyjazdowi, ale zapytała się o przyczynę. Na to odpówiedział Władysław: "Babka moja ma zimny pysk", a na zapytanie, co to ma znaczyć, odpowiedział: "Moja babka ma zimny pysk, bo umarła, chcę więc jechać na jej pogrzeb, może coś dla mnie pozostawiła."

Pisałem już o głębokich uczuciach religijnych mej matki. Tu jeszcze dodam wspomnienie o dwóch zdarzeniach:

Razu pewnego ja, jako chłopczyk czteroletni, stałem się powodem niepokoju religijnego mej matki i babki. Ponieważ babka, osoba wątłego zdrowia, zasłabła na płuca, lekarz nakazał jej wyjechać do Rożnowa na Morawach koło Przerowa, celem przeprowadzenia wówczas renomowanej kuracji żętycznej. Z babką wyjechała matka, która mnie zabrała ze sobą a dwuletniego synka Józka i Żańcię powierzyła w Krakowie opiece swej siostry, Karolci.

W kilka dni po przybyciu do Rożnowa, babka i matka poszły do kościoła na nabożeństwo i zabrały mnie ze sobą. Kiedy zadzwoniono na Komunię św. babka i matka przykazały mi, bym grzecznie poczekał na nie w ławce, bo idą tylko na chwilę do ołtarza i zaraz powrócą. Mały Frydziu z ciekawością patrzył za babcią i mamusią, a dostrzegłszy, że one przyklękły i że im coś ksiądz dał do ust, pobiegł do ołtarza, przyklęknął i dostał do ust komunikant, który spożył. Kiedy wróciłem potem do ławki, gdzie z niepokojem matka i babka oglądały się za mną, a na zapytanie ich opowiedziałem, co się stało, matka i babka przeraziły się i zaraz po nabożeństwie ze swymi skrupułami i wątpliwościami udały się do księdza, który mi Komunii św.udzielił.

Ksiądz - jak mi kiedyś potem opowiedziała matka - uspokoił matkę i babkę, mówiąc im mniej więcej co następuje: "Zobaczywszy tego malca, klęczącego z otwartymi usteczkami, miałem do rozwiązania problem trudny - tym trudniejszy, że musiałem decyzję powziąć natychmiast. Powinnością moją jest udzielić Komunii św.każdemu, kto jej pragnie i nie mogę odmówić jej, choćby według mej wiadomości był niegodny. Ale w tym wypadku, oczywiście chłopczyk nie zdawał sobie sprawy z tego, o co chodzi, i stąd powstała u mnie wątpliwość, co mam uczynić. Wątpliwość jednak znikła na myśl, która pędem błyskawicy zaświtała w mej głowie, że przecież ten chłopczyk jest znacznie mniej niegodny łaski Bożej, aniżeli różni inni dojrzali, którzy równocześnie z nim przyklękali i dlatego bez wahania udzieliłem mu Komunii św. z cichym życzeniem, by się nim Chrystus Pan opiekował." O tym fakcie opowiedziała matka moja ks.Stanisławowi Nowińskiemu, katechecie Gimnazjum św.Anny, serdecznemu przyjacielowi naszej rodziny, gdy przygotowywał mnie do pierwszej spowiedzi a potem do Komunii św. Także on najzupełniej podzielał zdanie owego księdza z Rożnowa.

Wspomnienie o ks.Nowińskim, który obok swych zalet kapłańskich posiadał także dużo wrodzonego humoru, przypomniało mi zabawną jego enuncjację z powodu chrztu starszego już żyda, którego matką chrzestną była moja matka. Matka mianowicie, wierna zawsze Zakonowi o miłości bliźniego, uważała za swą powinność przyjmować jak najlepiej każdego żyda, który starał się zbliżyć do niej z chęcią przejścia na wiarę katolicką. Utwierdzała wahającego się

w jego zamiarze, przekonywała swą wymowną perswazją i doprowadzała najczęściej do chrztu. Kierowała się przy tym myślą, że przecież i to mój bliźni, jak ów Samarytanin z Ewangelii; trzeba więc starać się, by doprowadzić go do tego szczęścia, tych łask bożych, tego pokoju, jaki nam daje nasza religia; a chrzest przyjęty z należytym podniesieniem ducha, doprowadzi w skutkach do usunięcia w konwertycie wad, jakie tak często zarzuca się żydom. Zgłaszających się do matki było stosunkowo dość wielu z pośród inteligencji żydowskiej. - Kiedy matka z pewną radością opowiedziała ks.Nowińskiemu o owym przed kilku dniami ochrzczonym, co do którego wyraziła najlepsze nadzieje, ks.Nowiński w poważnym tonie udzielił jej następującego napomnienia: "Wszystko to pięknie i ładnie, że Pani dzięki miłości chrześcijańskiej wykonywa skutecznie taką misyjną działalność. Ale proszę nie zapominać i o sobie. Boję się bowiem, żeby św.Piotr, gdy się Pani do Niego zgłosi po najdłuższym życiu o otwarcie furty niebieskiej, nie podniósł zarzutu: "Ależ to przecież ta Zollowa, która nam tak niebo zażydziła."

Razu jednego zdolność matki przekonywania innych swą wymową nie znalazła pożądanego oddźwięku, a to nie u żyda, ale u czystej rasy katolika, mianowicie prezesa sądu apelacyjnego w Krakowie, Macieja Czyszczana, kolegi szkolnego i przyjaciela mego ojca, gdy w czasie Świąt wielkanocnych przyszedł, by złożyć rodzicom życzenia świąteczne. Matka znała czterech synów p.Czyszczana, gdyż jeden z nich Kazimierz kolegował ze mną w Gimnazjum i na Uniwersytecie i żyliśmy z sobą bardzo blisko, a nawet

przygotowywaliśmy się wspólnie do dwóch egzaminów. Wiedziała więc, że wszyscy ci synowie, chociaż podówczas mieli już po temu warunki, nie żenili się. Biorąc z tego asumpt, matka przy jajku święconym prezesowi Czyszczanowi wyraziła życzenie, aby jego synowie wstąpili w ślady nasze i wyszukali sobie dobre żony. Życzenia te uzasadniła pięknie kilku słowami o świętości i społecznym znaczeniu rodziny. P.Czyszczan wysłuchał tych słów z uwagą i odpowiedział: "Ma Pani, zupełną słuszność, synowie moi powinni się ożenić. Powtórzę im, co mi Pani tak pięknie o życiu rodzinnym, powiedziała. Ja jednak myślę sobie jeszcze i coś innego: Niechże się żenią, bo dlaczego to synom moim ma być na świecie lepiej, aniżeli ich ojcu."

Matka, o czym już wspomniałem, była gorącą patriotką. Polskę kochała z całego serca i starała się uczucie to wszczepiać i rozwijać w swych synach.

Rok 1863 był też i dla niej rokiem budzących się nadziei, a miał wywołać z czasem wielką bolesną żałobę, jaka na Polskę spadła. Matka moja - wówczas już narzeczona mego ojca - stała się też mimowolną przyczyną śmierci brata swego narzeczonego, Ludwika, 18 letniego słuchacza Wydziału filozoficznego na Uniwersytecie Jagiellońskim, który brał czynny udział w powstaniu.

Po ranie odniesionej pod Jurkowicami w październiku Ludwik powrócił do domu i w krótce wyleczył się zupełnie. Odwiedzał wówczas kilkakrotnie moją matkę, prosząc ją zawsze, aby mu coś śpiewała. Najchętniej słuchał pieśni patriotycznych. Raz przy pieśni "Boże coś Polskę" zapłakał i zaraz potem pożegnał się z mą matką i wyszedł.

Nazajutrz ze wschodem słońca znikł z domu rodzicielskiego aby połączyć się z swym oddziałem i w kilka dni później t.j. 4 listopada w bitwie pod Strojnowem pchnięty przez kozaka piką w głowę, upadł bezprzytomnie. Gdy dokonano na ciężko rannym pierwszej operacji i zaopatrzono ranę, br. Konopka, właściciel Wrząsowic, przewiózł Ludwika do domu rodziców. W szpitalu krakowskim, znakomity chirurg Gilewski i prof.Bryk, wyjmowali mu kilkakrotnie z mózgu odłamki kosteczek. Jednak pomoc lekarska okazała się bezskuteczna. Po strasznych cierpieniach zmarł 28 grudnia 1863. "Chwila", dziennik wychodzący w Krakowie, gdy policja zawiesiła "Czas", zamieściła dn.31 grudnia 1863 r. obszerniejszą wiadomość o tym pogrzebie, który stał się rodzajem wielkiej patriotycznej manifestacji: "Dnia 30 grudnia pisze "Chwila",-odbył się bardzo uroczysty pogrzeb zmarłego na Podgórzu akademika, Ludwika Zolla, ranionego śmiertelnie w bitwie pod Strojanowem. Tłumy Krakowian zebrały się w Podgórzu, przed domem Zollów, skąd koledzy i przyjaciele zmarłego ponieśli na ramionach swych trumnę, przyozdobioną krakuską, godłem powstańca, naprzód do kościoła, a następnie, po modłach kościelnych na cmentarz podgórski. Za trumną postępowała rodzina, a za nią tłum złożony z kilku tysięcy ludzi, a wśród nich /żałobne dziewice, w białych sukniach z czarnymi wstążkami jakby symboliczne postacie matki Ojczyzny, bolejącej nad stratą tylu swoich synów./ Przy bramie cmentarnej odebrały dziewice polskie trumnę niosącym ją dotychczas młodzieńcom i podźwignęły ją dalej na swych słabych ramionach do grobowca rodziny Zollów, gdzie zwłoki złożono na wieczny odpoczynek. -"Prawdziwa boleść, prawdziwa żałoba przejmowała

serca wszystkich na widok tak młodziutkiej ofiary, na widok tak wcześnie na ołtarzu Ojczyzny wylanej krwi bratniej, na widok jednej z tylu już w obecnym powstaniu, poniesionych trumien do grobu........."

Do najgłębszą żałobą przejętych należała oczywiście moja matka. Opowiadała nam nieraz o tym wzruszającym pogrzebie. Nie przeczuwała wówczas, jak straszne ofiary Ojczyzna będzie musiała ponosić w kilkadziesiąt lat później - w czasach, gdy te wspomnienia piszę!

Powyższe wspomnienia o mych rodzicach kończę nawiązując do swych słów wstępnych niniejszego Rozdziału jeszcze jednym wspomnieniem z czasu, gdy rodziców nie było już na świecie:

W r.1935 Koledzy z Wydziału prawa zaszczycili mnie nadzwyczajnym darem: Księgą pamiątkową, wydaną z powodu mej 40-letniej pracy profesorskiej i naukowej, obejmującą ich prace naukowe. Wręczyli mi tę księgę przed kolacją koleżeńską, na którą mnie zaprosili. Po wymianie kilku, coraz weselszych toastów, zabrał głos ś.p.Stanisław Estreicher, i powiedział mniej więcej co następuje: "Obawiam się, mój Frycku, byś nie popadł w jakąś manię wielkości po dzisiejszych toastach i po przeczytaniu dedykacji zamieszczonej w książce, która mówi o "czci dla Twych zasług." Są to oczywiście słowa napisane tylko z grzeczności, ale nie odpowiadające prawdzie. O żadnych Twych zasługach mówić nie można. Jeżeli masz pewne przymioty - czemu nie przeczę - to przypisać je należy nie

Tobie, ale Twym przezacnym Rodzicom......" Uściskałem Estreichera serdecznie za te słowa, ale w obronie własnej, gdy skończył swój toast, odpowiedziałem: "Zupełnie trafnie rzecz oceniłeś, kochany Stasiu, ale zapomniałeś o tym, że to ja dokonałem największej sztuki na świecie, mianowicie wybrałem sobie znakomicie swych rodziców i w tej sztuce okazałem się mistrzem nad mistrzami, a sztuka to tym większa, że się do niej nie można było ćwiczeniem przygotować."

II. Julian Dunajewski i nieco o polityce Stańczyków.x/

x/ Krótki skorowidz tego rozdziału.

~~Skorowidz.~~

Część pierwsza: Dunajewskiego początkowo opozycyjne stanowisko wobec rządu austriackiego. Przeobrażenie Austrii w państwo nowoczesne, demokratyczne i liberalne, przy równouprawnieniu narodów. Polityka Stańczyków do której Dunajewski się przyłącza i zostaje jej obrońcą i podporą. Zmiana kierunku polityki austriackiej, uchwalona w r.1891. Dymisja Dunajewskiego.

Część druga: Niesłuszność zarzutu, że kierownicy polityki polskiej w Austrii przestawali być w całej pełni Polakami, t.zn. że zatracali w sobie pragnienia wskrzeszenia niepodległej Polski. Kilka znamiennych faktów, dających odpowiedź na ten zarzut.

Petitem

Część pierwsza.

Dużo wspomnień tłoczy się w mej pamięci o Julianie Dunajewskim. Będąc przez przeszło lat dziesięć w Wiedniu, przypatrywałem się z bliska jego działalności. Miałem też szczęście stykać się z nim niejednokrotnie, wiele o nim słyszałem i czytałem, a byłem też świadkiem kilku jego publicznych wystąpień. Podziwiałem jego szeroką wiedzę i wykształcenie humanistyczne, jego olbrzymie zdolności, dar wymowy, temperament polityczny, niezwykle trzeźwy rozum, ogarniający najszersze horyzonty, a przy tym wszystkim niezłomny charakter. Odegrał bardzo wybitną rolę w historii Austrii i Galicji austr.jako prowincji polskiej, a byłby mógł w innych warunkach, aniżeli te, które dane mu były w Austrii, zapisać się - jak sądzę - w dziejach na stopniu takim, jaki osiągnęły największe postacie historyczne.

Kto chce zapoznać się z działalnością Dunajewskiego i jego zasługami, tego uwagę zwracam na liczne głosy prasy współczesnej, zwłaszcza z czasu jego ustąpienia i po ustąpieniu z ministerstwa skarbu,x/ tudzież z czasu

---

x/ I ja zaraz po dymisji Dunajewskiego napisałem obszerny artykuł p.t."Dzisiejsza sytuacja i jej źródło", który naprzód odczytałem swym najbliższym przyjaciołom w Wiedniu. Sąd ich był bardzo dla mnie miły, wobec czego chciałem artykuł przesłać do krakowskiego "Czasu", który był mi już wówczas wśród prasy galicyjskiej dziennikiem najsympatyczniejszym. Jednakże przyjaciele zwrócili moją uwagę na to, że "Czas" mógłby artykułu nie przyjąć, bo jest on napisany z temperamentem zbyt gorącym - jak na "Czas". Posłałem więc artykuł jako anonimowy do na ówczas bardzo poczytnego "Kuriera Pol-

po jego śmierci, między innymi na pracę Franciszka Szymusika: "Julian Dunajewski, jego poglądy ekonomiczne i skarbowe i działalność ministerialna"; na piękne wspomnienie pośmiertne zamieszczone w r.1910 w lwowskim Przewodniku naukowym i literackim; na "Mowy parlamentarne i sejmowe Dunajewskiego", wydane w dwóch obszarnych tomach przez Leopolda Jaworskiego itd., a przede wszystkim na głębokie i obszerne studium, jakie o Dunajewskim napisał dr.Józef baron Schenk, ukochany jego prezydialista w Ministerstwie Skarbu, uwielbiający swego szefa, i wydał je w języku niemieckim p.t. "Dr.Julian Ritter von Dunajewski, ein österreichischer Finanzminister, 1821-1907."

~~W niniejszym rozdziale zamieszczam róż~~

Z prac późniejszych o J.Dunajewskim zwracam jeszcze szczególniejszą uwagę na obszerny artykuł Leona Pinińskiego, zamieszczony w zeszycie grudniowym z r.1925 "Przeglądu Współczesnego" /Nr.44/ p.t. "Wspomnienia o Julianie Dunajewskim". W nim mieści się doskonała charakterystyka osoby Dunajewskiego i jego działalności. Z pracy tej kilka wyimków przytaczam poniżej w dopiskach.

W niniejszym rozdziale zamieszczam różne wspomnienia odnoszące się do czasów działalności Dunajewskiego, przy czym mówię nieco o rzeczach, rzucających światło także na cele i kierunek polityki t.zw.Stańczyków. O ile chodzi o niektóre daty i kilka szczegółów, czerpię wiadomości o nich częściowo z pracy Schenka. Jednakże ta uwaga nie odnosi się wcale do dwóch zdarzeń, o których

---

skiego", którego Redakcji nie podałem swego nazwiska. Kurier Polski zamieścił go w najbliższym numerze/59/ dnia 1 marca 1891 r.

rozpisuję się nieco szerzej: O jednym z nich /posiedzenie rady ministrów pod osobistym przewodnictwem cesarza austr./ Schenk wspomina mimochodem, jakby o nim nie chciał pisać, niewątpliwie dlatego, że był prezydialistą Dunajewskiego, o drugim /konferencja w Krzeszowicach/ nie czyni w swej pracy żadnej wzmianki, bo o nim nic nie wiedział.

Rząd austriacki do lat sześćdziesiątych - zgodnie z dawną polityką ks.Metternicha, zmarłego w r.1859 - rządził w Galicji policyjnie i po niemiecku i starał się germanizować Polaków, trzymając się metody, że naprzód trzeba Polaków zmienić w Galicjan, a potem z Galicjan w Niemców. /Władysław Łoziński pisze z zadowoleniem, że te dążenia Rządu nie udały się, pomimo nasyłania do Galicji licznych rzesz Niemców, że stało się właśnie coś przeciwnego: "Nasyłani Niemcy zamieniali się w Galicjan, a ich dzieci stawali się dobrymi Polakami."/

Akcja germanizacyjna rządów policyjnych nie osłabła jeszcze w latach pięćdziesiątych, mimo rewolucji z r.1848 i jej następstw. Dlatego to Dunajewski, chociaż złożył świetnie egzamin doktorski i habilitował się w r.1852 na Uniwersytecie Jagiellońskim /w którym obowiązywał na ów czas język niemiecki jako wykładowy i urzędowy/ z umiejętności politycznych a tym samym uzyskał także prawa "suplenta", jednakże wobec tego, że policyjnie zapisany był jako Polak nacjonalista, "niepewny" /politisch unverlässlich/, nie tylko nie mógł uzyskać katedry uniwersyteckiej, ale nawet miał być pozbawiony suplentury, aby nie oddziaływał na młodzież "szkodliwie". Tego zażądał

mianowicie wszechwładny wówczas szef najwyższej władzy policyjnej, Baron Kempen. Sytuację swą wobec policji Dunajewski pogorszył jeszcze przez to, że ożenił się z Estreicherówną, pochodzącą z rodziny znanej z polskiego patriotyzmu i z antyrządowego nastawienia. Jednak polecenia szefa policji co do usunięcia Dunajewskiego z suplentury nie wykonał minister oświecenia, hr.Thun, człowiek światły, o niezwykle szerokim horyzoncie i mający wpływ bezpośredni na cesarza. Thun mianowicie zawezwał do siebie Dunajewskiego, a, poznawszy go osobiście zajął się jego losem i naprzód nakłonił cesarza do wydania rozporządzenia z dn.5 grudnia 1852, którym Dunajewski utrzymany został "tymczasowo" jako suplent na Uniwersytecie krakowskim; skoro zaś potem Thun nie mógł przeprowadzić nominacji Dunajewskiego na profesora na tym Uniwersytecie wobec opozycji hr.Mercandina, prezydenta Galicji, zostającego pod wpływem br.Kempena, postarał się o to, że cesarz zamianował Dunajewskiego w r.1855 profesorem nadzwyczajnym, a w r.1856 profesorem zwyczajnym w Akademii prawa w Pressburgu /w Bratysławie/.

W r.1860 wydany został pod wpływem ministra stanu hr.Agenora Gołuchowskiego /ojca tego samego nazwiska i imienia ministra spraw zagranicznych/ t.zw.Patent październikowy, który wprowadził pewne prawa konstytucyjne ,/zaprowadził Sejmy krajowe/, daleko idące samorządy w krajach koronnych, wchodzących w skład Austrii. Odtąd zawiał przychylniejszy wiatr dla Polaków. Dunajewski, chociaż miał nadal policyjną markę ujemną, uzyskał przeniesienie na Uniwersytet lwowski /z językiem wykładowym niemieckim/, a kiedy ces.rozporządzenie z dn.4 lutego

1861 r. zapowiedziało przywrócenie Uniwersytetowi Jagiellońskiemu języka wykładowego polskiego, nominację na Uniwersytet krakowski. Mimo wdzięczności, jaką Dunajewski odczuwał osobiście wobec hr.Thuna, nie zmienił on bynajmniej swego zasadniczo nieprzychylnego stanowiska wobec rządu i na odwrót policja patrzyła na Dunajewskiego nadal podejrzliwie. Ten stosunek rządu do Dunajewskiego nie uległ zmianie także w latach 1862 i 1863, chociaż było rzeczą wiadomą, iż Dunajewski, wbrew poglądom panującym powszechnie w społeczeństwie polskim, zwalczał zbrojne powstanie Narodu, uważając je w danych warunkach za wysiłek niebezpieczny i szkodliwy dla naszych zasobów, sił i rozwoju.

Mimo samorządu zaprowadzonego w r.1860 w poszczególnych krajach koronnych a przytym i w Galicji, mimo innych drobniejszych koncesji udzielanych naszemu społeczeństwu nieprzyjazne stanowisko do rządu tylko słabło, ale bynajmniej nie ustawało. Zbyt bowiem niedawnymi a wielkimi były krzywdy wyrządzane Narodowi zwłaszcza za czasów metternichowskich, a szczególnie boleśnie zapisało się w polskich sercach i umysłach perfidne stłumienie prób powstania /t.zw.Krakowskiego/ w r.1846 przez podburzanie chłopów przez władze rządowe przeciw obszarnikom, którym przewodził między innymi osławiony Szela.

Zmiany istotne w stosunku Polaków do rządu austr. nastąpiły dopiero skutkiem doniosłych wypadków dziejowych.

Pierwszym z nich było wyłączenie w r.1866 Austrii ze "Związku państw niemieckich"; drugim - podział w 1867 roku Monarchii austriackiej na dwa państwa: austriackie

i węgierskie, oba w zasadzie suwerenne a związane ze sobą głównie unią personalną, a w ciasnych granicach unią realną; trzecim - nowa konstytucja austriacka wprowadzona z końcem r.1867.

Naprzód kilka słów o tych wypadkach: Skutkiem klęski jaką poniosły w wojnie z Prusami wojska austriackie pod Sadową /Königgrätz/ dn.3 lipca 1866 r. zawarty został w kilka tygodni potem, dn.23 sierpnia, pokój w Pradze. W nim cesarz austriacki musiał uznać rozwiązanie Związku państw niemieckich /deutscher Staatenbund/, którego był dotąd głową, i wyrazić swą zgodę na utworzenie z państw niemieckich państwa związkowego /deutscher Bundesstaat/, do którego Austria nie będzie już wcale należała. W ten sposób monarchia austriacka, która dotąd była pierwszym państwem w związku państw niemieckich i na tym charakterze niemieckim wielki jej autorytet polegał, wyrzucona z owego związku, przestawała być z natury rzeczy państwem "niemieckim" a zamieniała się w całkiem odrębną monarchię w zlepek krajów, zamieszkałych przez czternaście różnych narodowości, względnie szczepów, wśród których Niemcy byli tylko szczepem najliczniejszym, bo dochodzącym do 25 % ogólnej liczby ludności. Dalsza więc racja istnienia tej monarchii, jej cele, ustrój i fukcje musiały ulec przeobrażeniom, nawiązującym do owych prądów i dążeń nacjonalistycznych, jakie budziły się i rozwijały już poprzednio /przed wojną z Prusami/ wśród ludów należących do państwa.- Między takimi przeobrażeniami odróżniam, jak zaznaczyłem, dwie grupy: Jedna dotyczy stosunku Węgier do Austrii, druga - wewnętrznego ustroju Austrii /t.zn. österr.Erbländer/, do ~~ktx~~ których zaliczono także i Galicję.

Austria dążyła do nadania krajom węgierskiemu i kroackiemu charakteru części wielkiego państwa niemieckiego, co wywołało nawet wojnę wewnętrzną w r.1849. Stosunek Austrii do Węgier /razem z Kroacją/ był powodem ciągłych tarć, a został dopiero w r.1867 ostatecznie ustalony według planu Deaka, wybitnego patrioty i męża stanu węgierskiego w ten sposób, że Węgry stały się państwem suwerennym, związanym z Austrią unią personalną a po części realną. Unia personalna polegała na tym, że każdoczesny cesarz austriacki miał być równocześnie królem węgierskim. Skutkiem tego cesarz Franciszek Józef koronował się jako król węgierski 8 czerwca 1867 r. w Budapeszcie. Unia realna określona została dobrowolną ugodą, zawartą między obu państwami dn.25 września 1867 r. Na jej podstawie Austria i Węgry związały się wspólną polityką zagraniczną i wspólną armią /obok niej istniała odrębna armia austriacka, t.zw.Landwehr i węgierska, t.zw.Honwedzi/, oraz wspólnymi dla tych dwóch celów finansami; między innymi także wspólnymi cłami /p.ustawy austr.z dn.16 lipca 1867 i z 24 grudnia 1867 r. ogłoszone w dz.u.z r.1868/.

O ile chodzi o wewnętrzny ustrój samej Austrii - podnoszę, że nowa jej konstytucja polega głównie na t.zw. ustawach zasadniczych z dn.21 grudnia r.1867, przez które Austria stała się w całej pełni państwem nowoczesnym, opartym na zasadach demokratycznych i liberalnych. Ponadto w ustawie zasadniczej "o ogólnych prawach obywateli państwa" wprowadzono sławny art.19, którego treść była czymś nowym i wybitnym postępem w porównaniu z wszelkimi konstytucjami nowoczesnymi innych państw. Artykuł ten bowiem postanawiał:

"Wszystkie narody tego państwa mają równe prawa i każdy ma nienaruszalne prawo pielęgnowania i rozwijania swej narodowości i swego języka.

Państwo uznaje równouprawnienie wszystkich krajowych języków w szkole, urzędzie i w życiu publicznym.

W krajach zamieszkałych przez kilka narodów publiczne zakłady naukowe będą tak urządzone, żeby bez wywierania przymusu co do wyuczania się drugiego języka krajowego, każdy naród otrzymał potrzebne środki do kształcenia się w własnym języku."

Z art.następnego /20/ wynika, że prawa w art.19 zagwarantowane, nie mogą być w żadnym razie nawet zawieszone!

Poszczególne kraje, wchodzące w skład państwa austr., a do nich należało "Królestwo Galicji i Lodomerii wraz z wielkim księstwem krakowskim, oświęcimskim i zatórskim" podobnie jak austr.Księstwo górnego i Dolnego Śląska otrzymały były jeszcze na podstawie Statutu Rady Państwa z dn.26 lutego 1861 r. i późniejszych ustaw, samorząd, a nawet w pewnym - chociaż bardzo ograniczonym zakresie - autonomię, wykonywaną przez sejmy krajowe.

Dla lepszego zrozumienia powyższych tak zasadniczych zmian, którym uległa dawna niemiecko-policyjna metternichowska Austria, a które oddziałały gruntownie na nasz stosunek do tej ~~monarchi~~ monarchii cofnijmy się jeszcze na chwilę wstecz:

W kilka tygodni po zawarciu pokoju w Pradze /r.1866/ cesarz austriacki wydał Manifest uroczysty do "swych ludów" /An meine Völker/, w którym zapowiedział zasadnicze

zmiany w ustroju Austrii i w jej rządach wewnętrznych a to w duchu demokratycznym, liberalnym i opartym na równości praw wszystkich narodów, ale z dodatkiem, że monarcha oczekuje ze strony tychże ludów wyrazów i objawów pełnej lojalności i wierności. Manifest ten był więc rodzajem propozycji /oferty/, na którą narody /ludy/ miały dać odpowiedź, czy ją przyjmują, czy nie.

Wobec powyższego manifestu powstało za tym także dla przedstawicieli narodu polskiego, należących do Sejmu galicyjskiego, pytanie, jakie mają zająć stanowisko, względnie, jakiej udzielić odpowiedzi na cesarskie wezwanie. Kilku wybitnych polityków /między innymi głównie późniejsi Stańczycy/ przyszło do przekonania, że w przełomie, jaki przygotowuje się w Austrii, i ze względu na beznadziejność dalszych powstań zbrojnych, należy przyjąć propozycję monarszą i wyrazić ze strony ludności polskiej, w Galicji zamieszkałej, gotowość lojalności wobec monarchy i szczerego popierania nowego prądu, budzącego się w Austrii. Myśl ta przyjęta przez posłów sejmowych, znalazła swój wyraz w adresie do Tronu, jaki Sejm galicyjski uchwalił dn.10 grudnia 1866 r. W adresie tym zamieszczono znamienne zdanie następujące: "Bez obawy więc odstępstwa od myśli naszej narodowej, z wiarą w posłannictwo Austrii, z ufnością w stanowczość zmian, które Twoje monarsze słowo jako niezmienny zamiar wyrzekło, z głębi serc naszych oświadczamy, że przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, ~~stać~~ stoimy i stać chcemy". ~~/Do tego zdania p.niżej dalsze uwagi/.~~

W rok potem /21 grudnia 1867/ Rada Państwa uchwaliła ustawy zasadnicze i ogłoszono je wraz z sankcją cesar-

ską w Dzienniku ustaw. Sejm galicyjski wobec tego faktu wysłał jeszcze drugi adres do Tronu, uchwalony 24 września 1868, w którym mieściło się zdanie również bardzo charakterystyczne, bo tym razem wskazujące dobitniej, że, mimo lojalności wyrażonej w adresie z r.1866, naród polski bynajmniej nie zapomina o ideałach, wynikających z wielkiej swej przeszłości. Zdanie to brzmi dosłownie: "Kraj przez nas reprezentowany, część udzielnego niegdyś i potężnego państwa, pomimo losów, jakie spotkały całość naszej Ojczyzny, nie przestał być organiczną częścią narodu, który przez lat tysiąc spełniał i spełnia jeszcze teraz znakomite w krajach Europy posłannictwo".

Do grupy owych polityków polskich, o których wyżej wspomniałem, a którzy od r.1866 przez szereg lat kierowali polityką polską w Austrii, należeli początkowo zwłaszcza Paweł Popiel, Stanisław Koźmian, Józef Szujski i Stanisław Tarnowski. Ten ostatni brał swego czasu czynny udział w organizacji powstania z r.1863 i był z tego powodu więziony razem z współobwinionymi Ks.Sanguszką i br.Józefem Baumem, naprzód w Krakowie, a potem w Ołomuńcu a nawet przez czas pewien groziła im kara śmierci - pomimo, że Austria organizację powstania styczniowego początkowo z zupełną biernością tolerowała, a nawet poniekąd ją popierała.

Adres do Tronu z r.1866, zaproponowany przez takich polityków, przyjęty został w Sejmie galicyjskim nie dlatego, że podobnie lojalne odpowiedzi wyszły i z innych krajów koronnych, ale dlatego, ze zdaniem większości posłów naszych, akt ten był politycznie uzasadniony i realny. Jego realizm polegał raz na tym, że przyjmował

propozycję cesarską, zapowiadającą równouprawnienie narodów i zerwanie z dotychczasową polityką germanizacyjną i policyjną, a przez to otwierała się droga do uzyskania poważnych korzyści politycznych dla społeczeństwa polskiego. Realizm Adresu polegał dalej na tym, że reformy w manifeście cesarskim zapowiedziane, a w r.1867 w życie wprowadzone, leżały nie tylko w interesie naszego kraju, ale niewątpliwie i w interesie Austrii oraz dynastii Habsburgów. Tylko bowiem przez urzeczywistnienie samorządu, autonomii krajów, równouprawnienia narodów, wchodzących w skład Austrii, stwarzało się - zgodnie z nowym hasłem austriackim: "Viribus unitis" /w miejsce dawnego nienawistnego hasła: "Viribus Germanorum gentis"/ podstawę do wewnętrznej konsolidacji i siły odnowionego państwa, pomimo, że i nadal różne narody i szczepy w jego skład wchodziły; ponadto wolność i swoboda rozwoju poszczególnych narodowościowych szczepów i ich równouprawnienie w Austrii musiały z czasem przyciągać ku temu państwu szczepy nie-niemieckie, gnębione w sąsiednich Niemczech, a nawet szczepy słowiańskie, - ale nie ~~wszystkie~~ rosyjskie - gnębione w cesarskiej Rosji, a taka siła przyciągająca otwierała wielkie i szerokie możliwości dla wzrostu Austrii w przyszłości. Mówiąc o szczepach gnębionych w Niemczech i Rosji mam oczywiście przede wszystkim na myśli nasz Naród.

Jakie jeszcze dalsze plany łączyły się z tą polityką, mającą na celu już wprost wskrzeszenie Polski niepodległej, o tym piszę w części drugiej niniejszego rozdziału.

Wskazanych tu korzyści nowej polityki dla Austrii

i dynastii Habsburgów wobec zmienionej przez pokój w Pradze sytuacji nie rozumieli, czy nie chcieli rozumieć tylko niemieccy nacjonaliści - szowinistycznie usposobieni /Deutsch-Nationale/. Pragnęli oni bowiem, aby Austria nadal pozostała państwem niemieckim, a przynajmniej przez Niemców wyłącznie rządzonym, choćby przez to miała stracić swoją pełną suwerenność i zostać wiernym, prawie bezwolnym sprzymierzeńcem niemieckiego Reichu - rodzajem "Pufferstaatu", który słuchać będzie poleceń, wydawanych przez niemieckie państwo związkowe Hohenzollernów.

Jednak Adres galicyjski z grudnia 1866 r. spotkał się z czasem także w naszym społeczeństwie z pewną krytyką, czemu trudno się dziwić. Zdanie "Przy Tobie stoimy i stać chcemy Najjaśniejszy Panie" raziły Polaka już ze względu na wspomnienie o niedawnej przeszłości, lecz o ileż więcej jeszcze, skoro zdanie to wyrwane ze związku z innymi nasuwało łatwą a błędną interpretację, że Polacy galicyjscy zrywają z wielką przeszłością swego Narodu, z przeszłością niepodległej a zbrodniczo rozdartej Polski - i godzą się zostać na przyszłość Austriakami polskiej narodowości.

Jeżeli mimo możliwości takiej interpretacji Adres został uchwalony przez Sejm galicyjski w brzmieniu projektu zredagowanego przez naszych kierowników politycznych, to tłumaczą ten fakt smutek, boleść, nieraz apatia a często i rozpacz, które ogarnęły nasze społeczeństwo po powstaniu z lat 1863 i 1864. Wszak każdy myślący Polak zdawał sobie coraz jaśniej sprawę z tego, że my sami, własną naszą siłą zbrojną nie jesteśmy w stanie odzyskać niepodległości, że ~~[illegible]~~ dowodem tego są doświadczenia z lat 1794, 1830 i 1831, 1846, 1848, a wreszcie z lat

1863 i 1864, a ostatnie pokazały nawet, że i na pomoc obcą liczyć nie możemy - po zawodzie, jaki nas spotkał ze strony Napoleona III. Stan przygnębienia i pesymizm, w jakie popadło nasze społeczeństwo po r.1864-~~tym~~ wyraził z głębokim żalem wielki nasz liryk, Adam Asnyk w wierszu, w którym w gromkich słowach charakteryzuje wiek XIX:

"Jakże ty strasznym jesteś dla cierpiących!
Sfinksową twarzą patrzysz na ofiary,
Szyderstwem żegnasz w męczarniach ginących,
Śląc im do grobu te słowa najkrwawsze:
Wszystko skończone, giniecie na zawsze."

/II.t.Poezji Asnyka z r.1872 w wierszu p.t. "XIX wiekowi"/.

A tu nagle w czasie tak beznadziejnej nocy moralnej błyska promyk, a nawet może jutrzenka lepszej przyszłości. Entente cordiale trzech mocarstw, które Polskę podzieliły i widocznie dążyły zgodnie do zniszczenia Narodu, psuje się w r.1866. Austria bowiem wyrzucona przez Prusy ze Związku Państw Niemieckich zrywa ze swą germańską przeszłością, a w pełnym uznaniu praw innych narodów rozpada się na dwa suwerenne państwa, na Austrię i Węgry i w Austrii wprowadza "równe prawa dla wszystkich narodów" do niej należących i sankcjonuje /po raz pierwszy w świecie/ w sposób uroczysty w Konstytucji, w ustawach zasadniczych i to tak, że to równouprawnienie nie może być nawet w wyjątkowych sytuacjach /zamieszek wewnętrznych, czy wojny/ zawieszone! Tak to i Galicja zyskuje pełny samorząd a z nim dość rozległą autonomię.

Czyż w takiej sytuacji można się dziwić, że Sejm

galicyjski uchwalił z góry adres hołdowniczy w grudniu 1866 r., aby przyrzeczony przez monarchę wynik uzyskać. Nie wiem jednak, a obecnie dowiedzieć się już i zbadać nie mogę, czy osławione zdanie "Przy Tobie stoimy...." było w takiej redakcji konieczne, czy może radosna nadzieja niespodzianego otwierania się dla nas drogi do lepszej przyszłości nie poniosła naszych, chociaż rozważnych polityków w Sejmie, zbyt daleko.

Zdaje się, że złe wrażenie, jakie zdanie owe "Przy Tobie...." wywołało, było powodem, iż w-krótce, po pojawieniu się nowej Konstytucji z dn.21 grudnia 1867 r. Sejm uchwalił Drugi Adres do Tronu w treści dziękczynny, ale wyrażający - jak wyżej już podałem - że "pomimo losów, jakie spotkały całość naszej Ojczyzny Kraj przez nas reprezentowany, nie przestał być organiczną częścią Narodu, który...."

Ale i to zdanie nie osłabiło głosów opozycji przeciw kierunkowi nowemu polityki polskiej, zainaugurowanemu Adresem z r.1866.

Wobec tego Stanisław Koźmian, Józef Szujski i Stanisław Tarnowski, napisali rodzaj pamfletu, p.t. "Teka Stańczyka", skierowanego głównie przeciw tej opozycji i ogłosili go w "Przeglądzie Polskim" w r.1869. Z powodu "Teki Stańczyka" stronnictwo konserwatywne, do którego oprócz trzech autorów "Teki" należał m.i. Paweł Popiel nazwane zostało "Stańczykami". Organem Stańczyków był dziennik "Czas". /Do Stańczyków nie należeli, chociaż trzymali się podobnego programu "konserwatyści" ze Wschodniej Galicji zwani "Podolakami"/.

"Teka Stańczyka" to naprzód trzy listy Stańczyka

do Gąski, pochodzące z tamtego świata, a mające przedstawić poglądy Stańczyka na to, co się u nas w latach sześćdziesiątych działo. Stańczyk przesyła też do wiadomości Gąski grupę listów, których autorami są fikcyjne osobistości: Poloniusz /szambelan/, Sycyniusz /trybun ludu/, Brutusik /exminister/, Bankrutowicz /kandydat do parlamentu/, Aldona /kobieta polityczna/, Optymowicz/Właściciel apteki/, Tarapaciński /prezes Rady powiatowej/, Bałamucki /poseł sejmikowy/, Ignorancjusz /uczony/ i Sprycimir /dziennikarz/. Autorowie listów tych reprezentują ludzi o ciasnym horyzoncie i małej kulturze, nie orientujących się w sytuacji, ale przekonanych o swej nieomylności, lub ludzi bez charakteru, egoistów, mających własne korzyści na oku, albo demagogów, tromtadratów, głoszących dla popularności -, że powstanie nasze z żądaniem pełnej niepodległości powinno trwać nieprzerwanie itp. Poważne zaś i rozważne zdania podaje wśród tych listów, dłuższa rozmowa /35 str.druku/ pana Pawła z p.Piotrem, idąca mniej więcej po drodze zaleconej przez stronnictwo konserwatystów galicyjskich.

Końcowy list Stańczyka do Gąski daje rzut oka na sytuację i poglądy na naszą politykę, w którym mieści się m.i. bardzo charakterystyczny sąd, że w tym, co czynią kierownicy naszej polityki w Galicji, nie ma niczego "coby było contra Patriam, jeno dużo znajduje się, co jest skierowane contra falsos Zelatores Patriae et boni publici".

Ale i "Teka Stańczyka" nie zdołała doprowadzić do milczenia opozycji przeciw polityce Stańczyków. Może pobudziła nawet owych "falsos Zelatores" do gwałtowniej-

szych jeszcze ataków.x) Wpływ oponentów ~~na ogół społeczeń-~~
~~stwa~~ byłby może ustał, gdyby Stańczycy wypowiedzieli byli
jasno i otwarcie, co czują i myślą i jakie im przyświeca-
ją na dalszym planie nadzieje i możliwości. Lecz tego u-
czynić nie mogli, bo różne rzeczy trzeba było zachować
w tajemnicy, a to w gronie niewielkiej liczby osób bardzo
ostrożnych i gorąco miłujących Polskę. Przecież kierowni-
cy partii Stańczykowskiej nie mogli głosić światu, iż dą-
żeniem ich jest nie tylko pozyskanie jak najszerszego
samorządu i autonomii w austriackiej Galicji przy rozbu-
dowie pełnych praw dla polskiego języka tak w szkołach
jak i we wszystkich urzędach, nie tylko rozwinięcie t.zw.
polskiej pracy organicznej, ale także coś więcej, bo po-
zyskanie jak największego wpływu w Austrii, by ją rozbu-
dować w państwo federacyjne związanych z sobą narodów
wolnych. Nie mogli oni głosić światu, że na tym tle przy-
świecało im na dalszym planie wskrzeszenie Polski niepo-
dległej, skupiającej cały Naród, chociaż jeszcze nie prze-
sądzali, czy to miało się stać w postaci trializmu łą-
czącego Polskę, Węgry i Austrię w jedną wielką i potężną
monarchię. A może miało to nastąpić w postaci jakiejś
unii narodów, pragnących zachować pełne swe indywidual-
ności mimo imperialistycznych dążności pangermańskich
Reichu lub panrosyjskich carskiego państwa. Takie rozwią-
zanie przypominałoby poniekąd politykę Jagiellońską, któ-
ra wprowadziła członków tej dynastii na cztery trony
w Europie. Ogłaszanie takich rzeczy, czy im podobnych
planów, łączących się z możliwością wywołania wojny Nie-
miec i Rosji przeciw Austrii, byłoby pozbawiło Polaków
wszelkiego wpływu na kierunek rządów w Austrii, a prze-

x) Wydali oni „Tekę Nieczui" stanowiącą pamflet na Stańczyków

cież kierownikom naszej polityki chodziło właśnie w pierwszej linii o pozyskanie takiego wpływu jako środka do urzeczywistnienia dalszych zamierzeń.

Stańczycy musieli więc o różnych rzeczach milczeć, a nawet w swych enuncjacjach czasem oddalać się od tego, co było prawdą. Dyplomacja bez takich nieszczerości obejść się nie może. Francuzi mówią słusznie: La politique c'est un sale métier, zwłaszcza że w działalności politycznej nieraz cel ~~która się~~ przynajmniej w pewnej mierze może uświęcać środki. Stańczycy niejednokrotnie posługiwać się musieli brakiem szczerości, a mając przed oczyma wielkie, chociaż odległe cele, nie mieli możliwości ich realizacji osłabiać przez usprawiedliwianie przed Narodem dróg swego postępowania. Jak ostrożnie Stańczycy postępowali, tego dowodzi choćby taka drugorzędna okoliczność jak to, że w "Tece Stańczyka" użyli różnych pseudonimów lub zmyślonych oznaczeń. I tak np. Florian Ziemiałkowski nazywa się w Tece Florestanem, Franciszek Smolka - Deaczkiem, Agenor Gołuchowski - Antenorem, Kraków - Gawronowem, Lwów - Tygrysowem, Wiedeń - Chaopolis, Dziennik "Czas" - Wiecznością, Przegląd Polski - Lustratorem, Kraj - Całością, Dziennik Lwowski - Dz.Tygrysowskim, Dziennik Poznański - Bezstronnością itp.

Mimo niepopularności Stańczyków ich dominujący wpływ w Austrii trwał przez szereg lat, do czasu dymisji Dunajewskiego, t.j. do r.1891. Wpływ ten słabnie a nawet szybko maleje, odkąd Młodoczesi, usunąwszy od wszelkiego znaczenia Staroczechów, zwrócili się ku tworzeniu i popieraniu polityki filorosyjskiej i rozbili przez to t.zw. "Żelazny Pierścień" rządzący przez kilkanaście lat w Austrii.

Wówczas Koło Polskie, odstąpiwszy od programu Dunajewskiego, podało rękę Wszechniemcom w Austrii, przez co powstał związek, który zrywał z polityką federalistyczną. Austria zmieniała się znowu powoli w państwo o charakterze niemieckim a Reich podporządkował Austrię w polityce zagranicznej pod swe wpływy i wywołał w r.1914 wojnę światową!

Do tych wypadków powrócę jeszcze w dalszym ciągu.

CZĘŚĆ DRUGA.

Działalność Stańczyków, swego czasu bardzo pożyteczna i skuteczna, bo przynosiła wielkie korzyści Polakom w Galicji a pośrednio nieco korzyści także Polakom w innych dzielnicach /n.p. powoływanie uczonych polskich, będących obywatelami innych państw na Uniwersytety w Krakowie i we Lwowie i do Akademii Umiejętności, wolność prasy, umożliwiająca wydawnictwa w Galicji dzieł pisanych w innych zaborach, przygotowywanie także dla przyszłej Polski licznego zastępu dobrze wyszkolonych urzędników i nauczycieli itd./ - należy obecnie do archiwum historycznego. Jeżeli tak, natenczas nauka historii powinna z całą bezstronnością, a nie pod wpływem niechęci, zawiści i walk politycznych z przeszłości odsłonić i przedstawić pełną prawdę, a wtedy pokaże się, że owi zwalczani Stańczycy byli stronnictwem, które ma wielkie zasługi, że w ostatnich lat dziesiątkach przeszłego wieku obrali oni drogę w danych warunkach ówczesnych - najwłaściwszą. Stańczycy nie mogą odpowiadać ani za to, że między Polakami pod wpływem polityki popierającej Austrię, poszczególne jednostki, zwłaszcza wśród urzędników i wyższych oficerów, zatracały poczucie polskości prawdziwej a zamieniały się w t.zw.Schwarzgelberów, to znaczy: Austria-

ków mówiących po polsku, - ani za to, że w latach dziewięćdziesiątych rząd austriacki obniżył Austrię do państwa słuchającego wskazówek Reichu.

Odkrycie prawdy historycznej zapobiegnie też temu, żeby w podręcznikach szkolnych /dla szkół średnich/ nie pisano - jak to obecnie jeszcze się dzieje - o Stańczykach, jako o karierowiczach austriackich lub o służalcach Habsburgów, którzy mieli osobiste cele na oku. Z przykrością przeczytałem także np. w ostatnich dniach, że w książce tak pożytecznej, jaką jest bezwątpienia mała "Encyklopedia Powszechna dla Wszystkich" Trzaski-Ewerta i Michalskiego, mieści się na str.711 następujące błędne zdanie: "Teka Stańczyka to pamflet, zwalczający wszelkie odruchy patriotyczne".

Dunajewski, wstępując na arenę polityczną, przyłączył się do grupy polityków zwanych później "Stańczykami" i został wkrótce dzięki swym fenomenalnym zdolnościom i wykształceniu, wybitnej indywidualności i niezłomnemu charakterowi - jednym z najwybitniejszych szermierzy programu tego stronnictwa a to naprzód jako poseł na Sejm galicyjski /od r.1870/, potem jako poseł do Rady Państwa /od r.1873/ a wreszcie jako minister Skarbu /od czerwca 1880 r. do lutego 1891 r./.

Jako poseł na Sejm Dunajewski stara się szczególnie o wprowadzenie podstaw dobrej administracji polskiej i zreformowanie ustroju gmin, a jako poseł do Rady Państwa naprzód o utworzenie stałej i trwałej większości parlamentarnej, któraby popierała rząd, o ile trzymać się on

będzie wiernie i szczerze zasad nowej konstytucji, a zwłaszcza równouprawnienia Austrię zamieszkujących narodów. Silna i zgodna większość parlamentarna, która powstała wówczas pod nazwą "Der eiserne Ring" /~~pierścień żelazny~~/, składała się z trzech wielkich grup: Z Koła Polskiego, pod kierownictwem głównie prezesa Kazimierza Grocholskiego i wiceprezesa br.Józefa Bauma, z Koła czeskiego, zostającego pod kierownictwem wielkiego patrioty czeskiego Riegera oraz z t.zw. Klubu hr.Hohenwarta /Niemca/, do którego należeli Niemcy /przeważnie konserwatywni/, którzy pomyślną przyszłość w Austrii upatrywali w zasadach nowej konstytucji, oraz reprezentanci narodów południowo-słowiańskich, głównie Słoweńców i Włochów. Przeciw większości Żelaznego Pierścienia zawiązała się silna mniejszość parlamentarna, złożona z Niemców nacjonalistów /DeutscheLiberale, zwani potem die Deutsche Linke/, którymi kierował Plener /senior/, mająca na celu zdobycie z powrotem bezwzględnej hegemonii Niemców w Austrii. Dunajewski im silniejsze zdobywał stanowisko jako świetny parlamentarzysta i znawca polityki skarbowej i minister skarbu x/ tym skuteczniej zwalczał opozycję nie-

---

x/ Dunajewski został ministrem skarbu z inicjatywy samego cesarza, na którego jedna z mów Dunajewskiego wywarła niezwykłe wrażenie tak, że polecił prezydentowi ministrów, hr.Taaffe powołać Dunajewskiego do objęcia opróżnionego po dymisji baroną Kriegsau ministerstwa. Wiadomość o mającej nastąpić nominacji Dunajewskiego wywarła niemiłe wrażenie wśród wysokiej biurokracji austriackiej, do której dotychczas należeli prawie bez wyjątku Niemcy, arystokraci, członkowie wybitnych rodów szlacheckich lub wysokiego stanu burżuazyjnego.-

mieckich nacjonalistów i ich zakusy. Znaczenie miał z czasem w gabinecie hr.Taaffego /Niemca konserwatysty/, zwanym powszechnie "Ministerium Taaffe-Dunajewski", tak dominujące, że w sławnej mowie z dn.2 marca 1885 mógł, wskazując na opozycyjną lewicę niemiecką powiedzieć: "Pokaza-

---

"Jak to - mówiono sobie przed nominacją - tekę prawie najważniejszą miałby objąć profesor uniwersytetu prowincjonalnego i to Polak w dodatku." Oczekiwano też powszechnie, że ministrem zostanie bar.Dr.Chertek, pierwszy szef sekcji ministerstwa skarbu, urzędnik znany jako fachowiec, który przed bar.Kriegsau kierował przez pewien czas ministerstwem.- Dunajewski wkrótce po objęciu teki - odczuł, że ma wśród urzędników ministerstwą ludzi niechętnych a w bar.Cherteku wprost wroga, który pod nim dołki kopie. Zachowanie się Chertaka wobec Dunajewskiego było nawet do tego stopnia nielojalne, że Chertek treść kilku poufnych dyskusji, jakie miał ze swym ministrem, podał w zniekształconej formie do dzienników niemiecko-liberalnych. Razu pewnego - w kilka miesięcy po objęciu urzędowania przez Dunajewskiego - przedłożył Chertek ministrowi do aprobaty akt, którego celem była próba skompromitowania Dunajewskiego jako ministra. Dunajewski po zapoznaniu się z treścią aktu, wezwał do siebie Chertaka i w ostrych słowach skrytykował projekt i kazał mu rzecz przerobić według danych mu przez siebie wskazówek. Chertek akt przyjął do przeróbki, ale odchodząc mruknął tak, żeby Dunajewski słyszał: "Hoffentlich wird diese polnische Wirtschaft nicht mehr lange dauern". ~~/Spodziewać się należy, że ta gospodarka polska nie długo potrwa/.~~ Na to Dunajewski odpowiedział głośno, że nie wie, jak długo trwać będzie polska gospodarka, ale może bar.Chertaka zapewnić, iż jego gospodarka skończy się w ministerstwie bardzo rychło.

Zaraz po wyjściu Chertaka Dunajewski napisał i sam przepisał - bo nie miał zaufania do swego prezydium, naówczas złożonego z samych tylko Niemców - "einen alleruntertänigsten Vortrag" dla cesarza, pojechał zaraz do Burgu i tam przyjęty przez cesarza, przedstawił treść swego "Vortragu", kończącego się wnioskiem o przeniesie-

liśmy, że można rządzić Austrią i to całkiem dobrze bez tych panów". Od czasu tej mowy ataki nacjonalistów nie-

---

nie bar.Cherteka do Pragi na wakujące tam stanowisko dyrektora Dyrekcji skarbu. Cesarz nominację podpisał a Dunajewski osobiście późnym wieczorem pojechał do redakcji urzędowej gazety "Wiener Zeitung" z poleceniem umieszczenia nominacji Cherteka dyrektorem w Pradze, w rannym numerze.

Kiedy z rana Chertek przyszedł do kawiarni znajdującej się obok Ministerstwa Skarbu, kelner powitał go gratulacją z powodu nowego zaszczytu, o którym donosi Wiener Zeitung. Sądził oczywiście, że nominacja ta jest odznaczeniem.

To nadspodziewane ukaranie Cherteka wywołało wrażenie nadzwyczajne w Ministerstwie i wśród biurokracji wiedeńskiej. W miejsce lekceważenia nastał respekt i lęk przed energią i stanowczością nowego ministra.- Dunajewski zmienił też w krótce szefa biura prezydialnego powołując na to miejsce naprzód dra Hankiewicza, sekretarza Uniwersytetu Jagiell., a potem dra Witolda Mora Korytowskiego, późniejszego ministra skarbu, który pozostał przy Dunajewskim aż do dymisji szczerze mu oddanym i bardzo pożytecznym pomocnikiem i towarzyszem.

Niedługo po aferze z Chertekiem nastąpiło inne zdarzenie, które respekt dla Dunajewskiego powiększyło, ale tym razem nie w drodze lęku, ale uznania jego zacności: Do radcy sekcji w Min.Skarbu Bayera, Niemca, przyszedł p.K., poseł do parlamentu, Polak i prosił o pewne wiadomości co do projektu budowy kolei transwersalnej w Galicji. P.Bayer odmówił tej prośbie powołując się na to, że żądane wiadomości są tajemnicą urzędową. Na to p.K. oświadczył, że skrupuły p.Bayera są zbyteczne, bo przecież Dunajewski był kolegą p.K. na ławie szkolnej, a obecnie p.K. koleguje z Dunajewskim w Kole Polskim. P.Bayer poprosił wobec tego p.K., żeby przyszedł w najbliższych dniach ponownie, bo Bayer musi zasięgnąć upoważnienia swego ministra. P.Bayer zwrócił się zaraz potem do Dunajewskiego z prośbą o pouczenie jaką ma dać odpowiedź p.K. Dunajewski odpowiedział: "Prawdą jest, że K. był moim kolegą szkolnym i że należymy obaj do Koła Polskiego. Mimo to, jeżeliby p.K. przybył jeszcze raz do

[illegible] . Za wyrok [illegible] Austria, i to [illegible]
i do pomocy, od czasu, czy [illegible] nie-

---

nie por.Quesnela do Prasy na [illegible] na stanowisko urzędowym Dyrekcji [illegible]. [illegible] Dunajewski [illegible] "Figaro Zeitung" i [illegible] z-[illegible] dyrektorem w Wiedniu, w [illegible].

[illegible] w [illegible] przyznaniu [illegible] ministerstwo [illegible] na [illegible] Korytowski [illegible].

To niedopuszczalne [illegible] Czerteka wywołało [illegible] nie poruszenie w Ministerstwie i wśród ministrów [illegible] wiedeńskiego. W [illegible] rozgoryczenie [illegible] i [illegible] przyjaciół i stanowiskiem nowego ministra.- [illegible] tujące na to [illegible] dra Dunajewskiego, [illegible] Uniwersytetu Jagiell., a potem dra Witolda [illegible], późniejszego namiestnika, który [illegible] przy Dunajewskim [illegible] i bardzo [illegible] i [illegible].

Niedługo po [illegible] z Czertekiem [illegible] wie-rzenie, które [illegible] dla Dunajewskiego [illegible]. Na tym [illegible] jego [illegible]:
Do [illegible] w [illegible], [illegible] p.K., poseł do parlamentu, [illegible] i prosił o [illegible] w Galicji. P.Bajer [illegible], że [illegible]. A to p.K., [illegible] p.Bajer [illegible], co przecież Dunajewski był kolegą p.K. [illegible], a z-[illegible] p.K. [illegible] z Dunajewskim w Kole Polskim.
P.Bajer [illegible] p.K., aby przyrzekł u najbliższych [illegible], że [illegible] swego [illegible]. P.Bajer [illegible] się [illegible] potem do Dunajewskiego z prośbą o [illegible] na dwa [illegible] p.K. Dunajewski [illegible]: "prawda, jest, że K. był [illegible] i [illegible] do Koła Polskiego. Niemniej, [illegible] p.K. [illegible] jeszcze raz [illegible]

mieckich przeciw Dunajewskiemu wzrosły na sile. Plener i jego towarzysze nie przebierali w środkach, aby obalić rządy Dunajewskiego. Piętnowano go coraz gwałtowniej, zwłaszcza w prasie jako "wroga narodu niemieckiego", jakkolwiek Dunajewski nie był żadnym wrogiem Niemców, tylko wrogiem rządzenia Austrią przez nacjonalistów niemieckich, którzy nadal uważali Austrię za państwo niemieckie. Walkę przeciw Dunajewskiemu ułatwiły im trzy czynniki: naprzód ciche intrygi dwóch członków Rządu, markiza Bacquehema, ministra kolei, przemysłu i handlu i br. Gautscha, ministra wyznań i oświaty; powtóre osłabienie Koła czeskiego, pochodzące stąd, że w nim powstał rozłam między umiarkowanymi Czechami /t.zw. Staroczechami/, do których należał Rieger, a t.zw. Młodoczechami, nowym skrajnie nacjonalistycznym a przez posła Kramarza prowadzonym stronnictwem, ~~które~~ Stronnictwo Młodoczechów nieżyczliwie wobec Austrii usposobione, a nawet kia kokietujące Rosję w imię haseł panslawistycznych, dążyło środkami radykalnymi do pozyskania dla Czech dalszej emancypacji z pod wpływu Niemców mieszkających w Czechach i na Morawach, i do pozyskania separatystycznego stanowiska wobec Austrii na wzór owego jakie zajmowali Kroaci wobec Węgier. Przez to Klub czeski osłabił spoistość "Żelaznego Pierścienia", gdyż Koło Polskie i Klub Hohenwarta nie mogły solidarnie postępować z ludźmi, objawiającymi niedwuznacznie sympatię dla Rosji przeciw Austrii. Trzecią przyczyną była chwiejność

Pana, aby wyłudzić tajemnicę urzędową, może mu Pan zaraz wskazać drzwi." Jednak p.K. nie przyszedł już do Bayera ponownie, bo znał zbyt dobrze Dunajewskiego.

jaka zaczęła budzić się w łonie Koła Polskiego wobec kierunku polityki Dunajewskiego. Chwiejność tę podniecali zwłaszcza dwaj wybitni posłowie, mianowicie Stanisław Madeyski, świetny mowca /późniejszy minister oświaty, gdy zmienił się kierunek polityczny Koła/ i Apolinary Jaworski, prezes Koła Polskiego. Pomagał tym posłom niezwykle zręczny dyrektor Kancelarii parlamentarnej, szef sekcji, Henryk Halban, wrogo usposobiony osobiście względem Dunajewskiego, a bardzo oddany Gautschowi i Bacquehemowi. W Kole Polskim odzywały się też coraz częściej pomruki, że Dunajewski drażni Niemców, że Polacy zyskaliby wiele, gdyby porzucili dotychczasową większość, a połączyli się z Kołem Nacjonalistów niemieckich /die deutsche Linke/ i z nim utworzyli większość parlamentarną. Na takie głosy Dunajewski odpowiadał, że w dobrej polityce muszą panować zasady, a zasadą dla Polaków może być tylko rozbudowywanie w Austrii równouprawnienia wszystkich narodów i popierania ustroju federalistycznego, a nie popieranie hegemonii Niemców nad innymi narodami, zwłaszcza słowiańskimi; że do takiej polityki Polacy nigdy ręki przykładać nie powinni.

Jednak mimo ataków, prowadzonych przez Niemców i mimo, że spoistość i siła Żelaznego Pierścienia osłabła, Dunajewski, popierany przez większość Koła polskiego szczególnie przez M.Bobrzyńskiego, utrzymywał się nadal w pełni swej władzy. Jego potęga zaczęła się chwiać dopiero, odkąd niemiecka propaganda nacjonalistyczna wywierać poczęła wpływ coraz silniejszy na hr.Taaffego,a przez niego także na cesarza, którego z Taaffem łączył związek serdecznej przyjaźni od lat młodych. Taaffe miał zmienić

swe poglądy polityczne - jak mówiono - także skutkiem presji, wywieranej na niego przez Bismarcka. Cesarz[x/] człowiek poczciwy, ale nie będący wybitniejszą indywidualnością, ulegał łatwo wpływom swego przyjaciela osobistego.

---

x/ O cesarzu Franciszku Józefie wyraził się Leon Piniński ~~/j.w./~~ w słowach następujących: "Zdolności regencyjne tego monarchy, zdaniem moim, przeceniano za jego życia. Odznaczał się on wprawdzie pracowitością i pilnością, ale raczej w drobnostkach, natomiast zdrowego, jasnego i szerokiego poglądu na stosunki polityczne nie posiadał nigdy; był małostkowym, bez szerszego widnokręgu, nieszczerym i nieraz dla chwilowej osobistej wygody poświęcał względy zasadnicze. Pomyślnym to było tak dla niego jak i dla państwa, jeżeli na czele rządu stał ktoś wyższej miary, co mu imponował, nie był zbyt uległym, owszem dominował go. Takim mężem był przede wszystkim Dunajewski; schlebianie, uleganie kaprysom panującego było dla Dunajewskiego czymś wręcz wstrętnym, niezgodnym z energiczną jego naturą i głębokim poczuciem obowiązku.

Atoli za następców a szczególnie za rządów owych szefów gabinetu, którzy karierą urzędniczą doszli do władzy /Koerber, Gautsch, Beck i inni/ sprawdził się w zupełności głęboki aforyzm Shakespear'a, iż "nieszczęściem władców są służalczy doradcy"."

Naszkicowane powyżej zdarzenia i czynniki stały się powodem, że dn.22 stycznia 1891 r. zwołana została Rada ministrów, która pod osobistym przewodnictwem cesarza miała powziąć decyzję co do dalszego kierunku polityki Rządu, a zwłaszcza stosunku do Czechów.

Przebieg obrad Rady ministrów powinien był pozostać tajemnicą. Istnieją jednak tajemnice, które wychodzą na zewnątrz. Tak się też stało i tym razem. Przez niedyskrecję uczestników obrad, lub obecnych przy nich świadków, dowiedziano się wieczorem tego samego dnia w pewnych sferach nie tylko o uchwale powziętej, ale i towarzyszących jej okolicznościach. Byłem wówczas /od r.1886-1897/ w Wiedniu, interesowałem się żywo polityką i miałem dość rozgałęzione stosunki, skutkiem czego udało mi się posłyszeć relację o przebiegu posiedzenia a to z dobrze poinformowanego źródła; sądzę więc, że prawdziwą. Powtarzam tutaj krótko, co wówczas usłyszałem od jednego ze świadków obrad.

Obrady zaczęły się wielkim exposé politycznym hr. Taaffego, zakończonym wnioskiem o zmianę kierunku politycznego, mniej więcej według planu niemieckich nacjonalistów. Z góry przewidywano, jako rzecz nieulegającą wątpliwości, że uchwała zapadnie przeciw polityce Dunajewskiego. Jednak po premierze zabrał głos Dunajewski i w świetnej nad wyraz mowie przedstawił, że Austrii przyszłość, jeżeli ma ona być potężną monarchią, może być ugruntowana jedynie i wyłącznie, gdy nadal pozostanie państwem opartym na zasadach równouprawnienia narodów w skład jej wchodzących i otaczać będzie silną ochroną

te narody, które nie chcą utonąć w morzu ani wszechniemieckim, ani panrosyjskim, ~~zwanym panslawistycznym~~. Zakończył wnioskiem o stanowcze i trwałe zachowanie dotychczasowego kierunku politycznego.

Mowa Dunajewskiego wywarła na obecnych wrażenie nadzwyczajne. ~~Ida~~ Jeden, czy kilku ministrów Niemców porzuciło zamiar oświadczenia się za wnioskiem Taaffego, z jakim na obrady przybyli, tak, że bez formalnego głosowania okazała się liczebne równość poglądów za wnioskami Taaffego i Dunajewskiego.

I wtedy to cesarz oświadczył, że w tak ważnej chwili i sprawie pragnąłby nie rozstrzygać sam, który z wniosków ma zostać dyrektywą dla przyszłego kierunku rządów Austrią i dlatego zawiesza posiedzenie na pół godziny z życzeniem, aby panowie ministrowie jeszcze raz przemyśleli, co tu usłyszeli, a może któryś z nich zmieni swe zdanie i cesarza jako przewodniczącego zwolni od ciężkiego obowiązku ostatecznej decyzji. W pół godziny potem - po wznowieniu obrad - na zapytanie cesarza, czy który z ministrów nie zmienił zdania, zabrał głos tylko minister Galicji, Filip <u>Zaleski</u>,x/ który wpierw oświadczył się

---

x/ Filip Zaleski syn Wacława Zaleskiego dawnego gubernatora Galicji był przez szereg lat urzędnikiem administracyjnym w Galicji z czasem jej namiestnikiem, a dzięki swym zdolnościom i pilności a przy tym wytwornym formom towarzyskim powołany został na ministra dla Galicji /bez teki/ po Florianie <u>Ziemiałkowskim</u>. O jego wybitniejszych kwalifikacjach politycznych nie słyszałem, ale mówiono dość powszechnie o nim, że był „Schwarzgelberem". Nie należy go mięszać z jego synem, Wacławem Zaleskim, człowiekiem fenomenalnych zdolności, a przy tym najgorętszym patriotą polskim. Wacław Zaleski był

za wnioskiem Dunajewskiego, a obecnie powiedział, że, pragnąc jako sługa cesarza /Diener Sr.Majestät/ spełnić prawdopodobne jego życzenie, popiera teraz wniosek hr. Taaffego[x/]. Natychmiast p o nim poprosił jeszcze raz o głos Dunajewski - jakkolwiek uchwała przyjmująca wniosek Taaffego, stała się niewątpliwą - i w kilku słowach oświadczył jakby demonstracyjnie i głosem podniesionym: Ja uważam się nie za sługę cesarza, ale za jego doradcę, "Berater der Krone" i dlatego pozostaję w całej pełni przy swym zdaniu, "ich beharre bei meiner Meinung."[x/]

Zaraz po zamknięciu obrad Dunajewski poprosił cesarza o audiencję a otrzymawszy ją, zgłosił swą dymisję. Cesarz odpowiedział życzeniem, żeby Dunajewski prośbę o dymisję cofnął a to w interesie państwa, gdyż równie znakomitego ministra skarbu nie będzie można znaleźć. Dunajewski miał na to odpowiedzieć, że do życzenia cesarza zastosuje się, ale tylko pod dwoma warunkami: Po pierwsze że dymisję otrzymują ministrowie Bacquehem i Gautsch -

---

także ministrem Galicji, potem przez krótki czas ministrem rolnictwa, a wreszcie ministrem Skarbu a jako taki zasłynął różnymi swymi znakomitymi wystąpieniami i posunięciami nawet wśród zazdrosnych Niemców. Niestety, wczesna śmierć przerwała pasmo dni jego działalności, która miała na celu dobro nie tylko Austrii, ale więcej jeszcze naszego Narodu.

x/ O tym dlaczego minister Galicji tak miał postąpić, jak wyżej podałem, słyszałem różne przypuszczenia: Mówiono że od czasu dłuższego zbliżył się do ministra Madeyskiego i poglądów mniejszości w Kole Polskim, a przy pierwszym oddaniu głosów przystąpił do wniosku Dunajewskiego /z którym nie miał być w dobrych stosunkach/, tylko dlatego, bo jako ministrowi Galicji nie wypadało oświadczyć się przeciw wnioskowi Dunajewskiego minis-

na co cesarz miał się natychmiast zgodzić, - a powtóre, że kierunek polityki pozostanie ten sam, co dotychczas, warunek, którego cesarz oczywiście przyjąć już nie mógł. Czy wiadomości ostatnie, t.zn. wiadomości o przebiegu audiencji odpowiadają prawdzie, czy może stworzyła je tylko fantazja, uzupełniająca często fakty różnymi domysłami? Na to pytanie odpowiedzieć mi trudno, ale przypuszczam, że przedstawiony tu przebieg audiencji, nie tylko mógł być, ale i był prawdziwy. Lecz w takim razie, kto wiadomość o niej podał dalej? Osoby trzeciej przy rozmowie cesarza z Dunajewskim oczywiście nie było, więc uczynił to chyba sam cesarz, który mógł rzecz opowiedzieć swemu otoczeniu, skoro w niczym Dunajewskiemu przez to nie uchybiał. Nie uczynił zaś tego z pewnością Dunajewski, bo na to nie byłaby mu pozwoliła jego charakter, a nawet jego lojalność wobec cesarza. Zresztą Dunajewski znany był z milkliwości, gdy chodziło o rzeczy, o których mówić mu nie należało. Znamienną jest pod tym względem rzeczą, że on, który znał pełno tajemnic - był np. jedną z tych kilku osób, które znały /nie odkrytą dotąd/ tajemnicę śmierci następcy tronu, arcyksięcia Rudolfa w Mayerling i posiadał w swych korespondencjach i innych papierach także dokumenty wielkiej wartości historycznej, a kazał je wszystkie przed swą śmiercią spalić, dlatego

---

tra rodaka. Inni przypuszczali, że Zaleski chciał rzeczywiście oddać usługę cesarzowi, aby go zwolnić od dyrymowania, a wychodził z założenia, że sprawa jest już przesądzona, bo cesarz, gdyby był musiał dyrymować, byłby oświadczył się za wnioskiem hr.Taaffego którego wpływom silnie ulegał.

gdyż wzrok osłabiony nie dozwolił mu osobiście ich przesortować i usunąć te z nich, których treść powinna była pozostać na zawsze tajemnicą.

Cesarz w piśmie odręcznym, ogłoszonym w dzienniku urzędowym wyraził Dunajewskiemu podziękowanie i odznaczył go najwyższym orderem, dostępnym dla osób cywilnych t.j.Wielką Wstęgą orderu św.Szczepana /St.Stephans-Ordenu/. W tym nie było nic nadspodziewanego. Natomiast w piśmie owym uderza rzecz całkiem niezwykła: Zaczynało się ono bowiem od słów: "Przenosząc Pana na Pańską prośbę z dn.22 stycznia b.r. w stan spoczynku......." Wymienienie daty prośby o dymisję, wbrew zwyczajowi, nastąpiło na wyraźne życzenie Dunajewskiego, któremu zależało na tym, aby w piśmie cesarskim stwierdzono, że Dunajewski zaraz po uchwale Rady Ministrów ustanawiającej zmianę kierunku polityki rządowej podał się do dymisji, nie chcąc odtąd żadnej ponosić odpowiedzialności za następstwa owego doniosłego historycznego faktu, szkodliwego nie tylko ze względu na przyszłość Austrii, ale i dla Polaków, zwłaszcza mieszkających w Galicji, których reprezentantom, zdaniem Dunajewskiego, powinien był przyświecać stale dotychczasowy kierunek federalistycznej czy unionistycznej polityki.-

Zaraz następnego dnia, 23 stycznia, Rada Państwa została rozwiązana i nowe wybory rozpisono, aby i na tej drodze utworzyć podstawę - tym razem parlamentarną - do zasadniczej zmiany kierunku polityki austriackiej.

Gdy wspominam powyż przedstawione zdarzenie, od którego nastąpiła zmiana w kierunku polityki austriackiej, nasuwa mi się pytanie, czy dalsze wypadki dziejowe,które

sprowadziły upadek Austrii /po wojnie światowej/, a nie byłyby przybrały całkiem innej postaci, gdyby Austria była szła dalej drogą wskazaną dla państwa federalistycznego czy unionistycznego, które łączyć miało w wielką i potężną monarchię, w myśl hasła "viribus unitis", narody słabsze, pragnące pełnej wolności, a tym samym nie była popadła w zależność od kierunku polityki Reichu i cesarza Wilhelma II-go? Pytanie to nie jest wprawdzie obecnie aktualne, ale zastanowić się nad nim warto, choćby miało tylko znaczenie dla ocenienia minionej przeszłości. Odpowiedź na nie pozostawić należy oczywiście zawodowym historykom.x/

Wracam jeszcze do mej poprzedniej relacji o zdarzeniach z dn.22 stycznia 1891, aby usunąć wątpliwości, czy mianowicie Dunajewski mógł wówczas wobec cesarza występować w sposób tak bardzo stanowczy i nieustępliwy. Wątpliwości te mogłyby nasunąć się dlatego, że cesarz Franciszek Józef otoczony był w Wiedniu i w Austrii niezwykłym nimbem i że okazywał Dunajewskiemu dużo sympatii, a nawzajem Dunajewski był mu osobiście szczerze oddany. Mimo to wątpliwości powyższe odrzucam, a to ze względu na powszechnie znany niezłomny charakter Dunajewskiego, połączony z zawsze bardzo stanowczym i nieustępliwym obstawaniem przy tym, co uważał za jedynie dobre i właściwe, bez

---

x/ I ja jednak, chociaż nie jestem zawodowym historykiem spróbowałem dać odpowiedź na powyższe pytanie, ale nie w niniejszych "Wspomnieniach", lecz w innym dziele, mianowicie w "Notatkach" (niewydanych). Tam w rozdz.VIII. przedstawiam, jak wielką doniosłość miało odwrócenie się polityki austriackiej od kierunku wskazanego jej przez "Żelazny Pierścień" i popieranego tak silnie przez Dunajewskiego, a zaciągnięcie się pod wpływy Reichu.

względu na to, z kim mówił. O tej jego stanowczości kursowały różne prawdziwe a nawet nieprawdziwe anegdotki. Opowiem dwie z nich i to prawdziwe; może tylko w szczegółach niepewne.

W r.1886, czy 1887, tego nie pamiętam, minister wojny, Bauer x/ zażądał bardzo wysokiego kredytu na cele wojskowe /głównie na budowę strategicznej kolei przez Bośnię/ Dunajewski sprzeciwił się, aby nie wywołać w budżecie nowego, z taką trudnością uchylonego przez niego deficytu.

---

x/ Minister wojny Bauer był Lwowianinem, mówił więc dobrze po polsku i ożenił się z Polką, ale opowiadano o nim, że go nie można uważać za Polaka, lecz tylko za Austriaka, mówiącego po polsku. Za to pani Bauerowa niezwykłych przymiotów kobieta, podkreślała na każdym kroku swą polskość, przyjmowała u siebie licznych w Wiedniu zamieszkałych Polaków, a na balach, które odbywały się w salonach Ministerstwa Wojny "am Hof", na życzenie pani Bauerowej zawsze tańczono mazura, chociaż go tańczyć umieli tylko Polacy i Rosjanie /głównie z Ambasady/, a nadto jeden Niemiec, nazwiskiem Müller, który dzięki zacięciu i temperamentowi, z jakim tańczył mazura, uznany został powszechnie za świetnego mazurzystę. P.Müller był także niezwykle pięknym mężczyzną i odznaczał się rzadką wytwornością i elegancją. Miał dużo szczęścia u kobiet.- Na życzenie jednej z obecnych na balu Niemki p.Stawikowski, obecny na balu i lubiący żartować, przedstawił Müllera tej pani słowami: "Graf Müller". Po odejściu Müllera zdziwiona Niemka zapytała się Stawikowskiego: "Ist denn der Müller ein Graf?" "Das nicht - odpowiedział Stawikowski - aber es macht ihm eine Freude."

W Wiedniu tańczono dużo mazura. Tańczono go w polskich domach prywatnych, zwłaszcza u pp.Dunajewskich, Bilińskich, u księstwa Jerzestwa Czartoryskich, na Mazurabenden, które były właściwie mniejszymi balami i na sławnym Polenball, który rok rocznie odbywał się w wielkiej sali Musikvereinu przy udziale członków domu cesarskiego, a rozpoczynał się polonezem w strojach polskich

Wobec tego minister Bauer zwrócił się do hr.Taaffego,aby złamać opozycję Dunajewskiego. Hr.Taaffe odmówił jednak interwencji, uważając ją za bezcelową, skoro Dunajewski jest przeciwnego zdania i poradził Bauerowi, żeby wzrócił się w tej sprawie do cesarza, który jako najwyższy zwierzchnik Rządu może Dunajewskiemu swą wolę narzucić. Bauer posłuchał rady Taaffego i przedstawił cesarzowi konieczność bardzo kosztownej inwestycji oraz opozycję Dunajewskiego, ale nie wspomniał, że był już poprzednio u hr.Taaffego. Cesarz miał odpowiedzieć:"Niech Pan zwróci się w tej sprawie do hr.Taaffego, on może Dunajewskiego przekona i do ustępstwa nakłoni. Ja bowiem nie lubię mówić z Dunajewskim, jeżeli jest on zdania innego." Gdy minister Bauer powiedział, że już był poprzednio u hr. Taaffego i że tenże interwencję swą uznał za bezcelową, cesarz zwołał w tej sprawie Radę koronną, aby ona swe zdanie wypowiedziała. Członkowie Rady koronnej oświadczyli się za wnioskiem ministra Bauera. Mimo to cesarz po bardzo silnej replice Dunajewskiego, oświadczył, że wobec konieczności utrzymania równowagi budżetowej inwestycje zaproponowane przez ministra Bauera, obecnie nie będą mogły mieć miejsca.

Druga anegdota: Naaudiencji u cesarza był razu jednego Dunajewski, a zaraz po jego wyjściu wszedł Plener. Cesarz, przywitawszy Plenera odezwał się do niego żartobliwie: "Heute war der Alte /t.zn.Dunajewski/ gut gelaunt. Er hat mich gut behandelt." "Dzisiaj stary był w dobrym humorze. Dobrze się ze mną obszedł". Trudno przypuścić, żeby Plener, wróg Dunajewskiego, mógł takie słowa wymyślić, zwłaszcza, że świadczyły tylko o autorytecie, jaki

Dunajewski posiadał nawet wobec cesarza.

Powyższe moje wspomnienia i opowiadania o Dunajewskim uzupełniam ogólną charakterystyką tego wielkiego męża stanu opierając się przeważnie na wyimkach z pracy Leona Pinińskiego, wyżej przeze mnie powołanej.

Oto co pisze między innymi L.Piniński:x/

"Z pomiędzy synów naszego kraju, czynnych skutecznie na polu życia politycznego w owym okresie, wybija się ponad wszelką wątpliwość Dunajewski na czoło, jako indywidualność najpotężniejsza, mąż najbardziej realnie zasłużony. Był on nie tylko z pomiędzy Polaków politykiem najwyższej miary, musi go się ponadto - choć oczywiście opinia Niemców tego nie przyznawała i nie przyzna - uznać jako jedynego polityka i męża stanu w wielkim zakroju, jakiego posiadała Austria w ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego stulecia.

Gdyby kiedyś w przyszłości jakiś rodzimy nasz Plutarch miał podać jako wzór na przyszłość poczet życiorysów znakomitych rodaków w epoce porozbiorowej, to Dunajewskiemu tamże przypadłoby miejsce jedno z najzaszczytniejszych, lecz oczywiście tylko w tym razie, o ileby ów biograf przywiązywał przede wszystkim wagę do istotnego wzmożenia dóbr kulturalnych i ekonomicznych narodu a nie, jak to u nas bywa, widział zasługę w schlebianiu próżności narodowej, w szczych demonstracjach i pustych

---

x/ Piniński należał do stronnictwa "Podolaków" /konserwatystów wschodnich/, a nie do Stańczyków.

frazesach.

Kiedy Dunajewski w r.1880 został jako zaszczytnie znany parlamentarzysta powołany w roli ministra skarbu do gabinetu hr.Taaffego, państwo było politycznie i gospodarczo w okresie krytycznego przesilenia, stanowisko rządu kruche, skarb państwa w stanie opłakanym chronicznego deficytu, stosunki kredytowe zachwiane skutkiem kosztów okupacji Bośnii i ran niezabliźnionych, spowodowanych niedawnym "krachem" finansowym. Dzięki swym imponującym wszechstronnym zdolnościom, niestrudzonej energii, wybornej znajomości terenu parlamentarnego i świetnej wymowie stał się Dunajewski jako minister skarbu nie tylko uzdrowicielem finansów państwa i krajów, lecz istotnym sternikiem gabinetu tak co do całokształtu administracji państwowej jak i w debatach parlamentu.

A pamiętać należy, że sytuacja rządu wobec parlamentu była niezmiernie trudna. Prawica Izby posłów, popierająca rząd, składała się z Koła Polskiego, Klubu czeskiego, w którym radykalniejsze żywioły już się były wyłamały z pod solidarności, dalej z południowych Słowian i Niemców konserwatywnych, złączonych w niejednolitym Klubie hr.Hohenwarta, co wszystko razem tworzyło zaledwie kilka głosów większości przeciw zwartej opozycji partii t.zw.postępowej niemieckiej, rozporządzający wielką ilością świetnych mowców. A jednak rząd ten głównie dzięki Dunajewskiemu nie tylko zdołał utrzymać się przy władzy przez przeciąg lat 11, lecz doprowadzić finanse do kwitnącego stanu, podnieść państwo i kraje ekonomicznie, kulturalnie i oświatowo do niebywałego przed tym rozwoju i prowadzić na zewnątrz politykę rozsądną, wolną od wszelkich karkołomnych eksperymentów. Jedenastoletni ów okres

régime'u Taaffe-Dunajewski był właściwie jedyną epoką relatywnego zdrowia monarchii, okresem ładu wewnętrznego, ogólnego postępu gospodarczego i - co dla nas najważniejsze - rozwoju autonomii krajów koronnych pod względem zdobyczy narodowościowych i kulturalnych.

Podwaliną poprawy stosunków stało się dokonane w mistrzowski sposób przez Dunajewskiego, uzdrowienie finansów, dzieło przeprowadzone z żelazną siłą woli i konsekwencją, ale zarazem przezornie, przy najściślejszym liczeniu się z siłą płatniczą ludności.-

Do wspomnień o J.Dunajewskim powrócę jeszcze na końcu niniejszej części podaniem wiadomości o konferencji w Krzeszowicach, obejmujących plany powołania do życia wielkiej Polski.

Niejednokrotnie spotykaliśmy się, my Polacy galicyjscy, z zarzutami, pochodzącymi zwłaszcza ze strony naszych rodaków z zaboru rosyjskiego, że w Galicji Polacy powoli przestają być Polakami i zamieniają się w Austriaków, mówiących po polsku, a to nawet językiem niepoprawnym, bo skażonym różnymi naleciałościami niemieckimi.

Jakżeż niesłusznymi były takie zarzuty, a jak przy tym dla nas bolesnymi! Pochodziły one stąd, że ci, co je czynili, nie znali i nie rozumieli stosunków w Galicji, a patrzyli na nie jedynie przez szkła, do których przy-

wykli pod rządami rosyjskimi, - szkła które byłyby swego czasu zupełnie odpowiednie w Austrii niemieckiej, absolutnej policyjnie w duchu Metternicha rządzonej, a zawodziły w Austrii demokratycznej, liberalnej, rozwijającej się pod hasłem równouprawnienia wszystkich narodów w jej skład wchodzących.

Polacy w Galicji byli zawsze Polakami w pełnym tego słowa znaczeniu, a to nie tylko dlatego, żeśmy po polsku mówili, naszą polską kulturę i wszystkie nasze tradycje zachowywali i do nich byli gorąco przywiązani, ale przede wszystkim dlatego, żeśmy czuli pełną wspólnotę narodową ze wszystkimi Polakami, bez względu na to, w którym zaborze mieszkali, żeśmy uważali ich nie tylko za jakichś pobratymców, lecz za naszych rodaków, ziomków, tak jak my polską ziemię zamieszkających, żeśmy ich bole, cierpienia i prześladowania głęboko odczuwali, żeśmy ani na chwilę nie tracili najgorętszego pragnienia odzyskania zbrodniczo rozszarpanej Ojczyzny, - żeśmy jednym słowem Polskę równie z innymi Polakami kochali.

Co prawda, między nami znajdowały się wyjątki, które ze stanem istniejącym zupełnie się pogodziły, o Polsce niepodległej myśleć przestały i w Austrii swą ojczyznę upatrywały, ale od takich wyjątków społeczeństwo odsuwało się pogardliwie, nazywając ich "Schwarzgelberami". Prawdą jest dalej, że politycznie myślący Polacy uważali, iż powinniśmy popierać wszelkimi siłami potęgę Austrii, jako tego jedynego państwa wśród państw zaborczych, które zmieniło swój ustrój i odtąd szczerze zapewnia Polakom samorząd, a nawet w Sejmie galicyjskim pewną autonomię,

a przy tym pełny, nieograniczony rozwój Polskości w szkołach, w prasie i pod każdym względem, z czym łączy się także uznanie języka polskiego jako urzędowego w sądownictwie i administracji. Prawdą jest także, że z tych względów wyrabiało się w nas pewne uczucie wdzięczności i przywiązania do Austrii i do dynastii i to jest także prawdą, że Polacy galicyjscy lubili Wiedeń, tę piękną stolicę nad "modrym Dunajem", zawsze uśmiechniętą, wesołą, pełną humoru, nadzwyczajnie muzykalną i tchnącą wysoką kulturą, stolicę, w której dużo było domów polskich, dużo mieszkało Polaków i w której Polakom okazywano na ogół sympatię i życzliwość.- Zaznaczam i tę prawdę, o której już poprzednio pisałem, że Sejm galicyjski w odpowiedzi na manifest cesarski z r.1866 uchwalił dn.10 grudnia tegoż roku adres do Tronu, w którym wyraził swą lojalność wobec monarchy w słowach: "Przy Tobie stoimy i stać chcemy Najjaśniejszy Panie", które to słowa mogły być interpretowane, jakby Polacy galicyjscy zrzekali się przynależności do Polski nawet na przypadek, gdyby wskrzeszona została. /Że taka wykładnia była błędna, to wynika po części z moich poprzednich wywodów, a wykazane będzie także w dalszym ciągu./.

W końcu jeszcze jedna prawda: Prawda mianowicie, żeśmy w Austrii przejmowali, zwłaszcza od połowy wieku XIX z kultury, jaka do nas płynęła z Wiednia, wiele stron dodatkich, ale także i pewne ujemne, bo naszemu charakterowi obce i od właściwości i cech polskich nas oddalające.. Jako prawnik mógłbym wskazać na liczne przykłady rozwijania nowoczesnego prawa na wzorach niemieckich, obcych dawnym instytucjom prawa polskiego i urabiania

przy tym polskiego języka prawniczego w duchu tych wzorów. Ale czyż to było tylko zjawiskiem w b.zaborze austriackim czyż to samo nie występowało także w wyższym stopniu pod zaborem pruskim oraz poniekąd rosyjskim? Polacy z pod zaboru rosyjskiego pielęgnowali wprawdzie czystość języka polskiego z wielką starannością, a mimo to przyswajali sobie bezwiednie rusycyzmy; a cóż dopiero mówić o psychice rosyjskiej, o wpływach nihilizmu na niektóre dusze polskie a choćby nauk, którymi tchnęły dzieła Gogola, Dostojewskiego, Tołstoja i tylu innych. A czyż polacy z zaboru pruskiego nie przyjmowali z jednej strony przymiotów niemieckich, jak zmysłu organizacyjnego, karności, solidarności społecznej i narodowej, zmysłu ładu i porządku, ale także i pewnych wad, chociaż przeciw nim starali się być odporni, jak np. bezwzględności pruskiej.

Półtora wieku, w którym Polacy żyli, pracowali, wychowywali się i kształcili pod wpływami kulturalnymi i antykulturalnymi trzech obcych nam narodów /piszę o trzech, bo dawnych Austriaków i Prusaków uważam poniekąd za dwa odrębne narody/ wytworzyły między nami różnice znaczne, występujące nawet w pewnym antagoniźmie. Królewiacy nazywali nas czasem pogardliwie lub lekceważąco; w Galicji słyszano też piętnowanie Królewiaków lub Poznańczyków.

Były to jednak nieuniknione następstwa rozbiorów Polski. Trzeba takie objawy rozumieć i przebaczać w myśl zasady francuskiej: "Tout comprendre, c'est tout pardonner", ale pracować usilnie, aby różnice dzielnicowe znikły. Sądzę, że wojna obecna, która cały naród gnębi w niewoli, w której doznajemy tak strasznych prześladowań ze strony naszych wrogów, musi nas tym silniej zjednoczyć.

Co daj Boże dla potęgi Polski!

Mimo wszystkich powyżej przytoczonych prawd, powtarzam raz jeszcze, że zarzuty służalczości wobec ~~Tronu~~ Habsburgów i tracenia charakteru prawdziwych Polaków ze strony społeczeństwa polskiego, mieszkającego w Galicji, w szczególności jego przedstawicieli, były bezpodstawne a to oprócz powodów przedtem zaznaczonych, głównie dlatego, bo wstąpienie na drogę szczerego popierania Austrii przez kierowników galicyjskiej polityki polskiej, ograniczone było zawsze zasadniczym warunkiem i zasadniczym terminem - warunkiem i terminem w każdym polskim sercu głęboko zapisanym. Warunkiem było, że Austria pozostanie wierną kierunkowi polityki wewnętrznej, zainaugurowanej ustawami zasadniczymi z r.1867, w szczególności sławnym artykułem 19; a terminem, - że wierność nasza wobec Austrii ustać musi, gdy wskrzeszona zostanie niepodległa Polska. Termin taki nazywa się w prawniczym języku łacińskim: dies certus an, sed incertus quando. Niepewność istniała bowiem tylko co do czasu, skoro wiara, że Polska znowu powstanie, była prawie powszechna. Zdanie to i twierdzenie postaram się zilustrować przynajmniej na kilku przykładach.

Naprzód wskazuję na ducha gorącego patriotyzmu polskiego, jaki panował w naszych szkołach średnich i wyższych. W gimnazjach i innych szkołach średnich uczyliśmy się oczywiście także historii polskiej, ale z szczególnym naciskiem i jakby namaszczeniem. Tkwią dotąd żywo w mej pamięci przepiękne wykłady, jakie wygłaszał dla nas, swych uczniów 8-ej klasy gimnazjum św.Anny, w r.1881/2

profesor historii powszechnej, Juliusz Miklaszewski, w katedrze na Wawelu /oczywiście za zezwoleniem Kapituły katedralnej/ nad grobami królów polskich i w kaplicach ich pamięci poświęconych, - a to przez szereg sobót. Nieraz wykłady te poruszały nas do łez, a ostatni zakończył się odśpiewaniem w nastroju nader rzewnym hymnu: "Boże coś Polskę."

Na Uniwersytecie słuchałem między innymi wykładów Michała Bobrzyńskiego. Zajmował on wówczas katedrę historii prawa niemieckiego, ale równocześnie wykładał w półroczu zimowym, jako przedmiot nadobowiązkowy, historię prawa polskiego.x/ Na te wykłady zapisywaliśmy się wszyscy - taka była tradycja - i uczęszczaliśmy na nie pilnie. Były to wykłady bardzo zajmujące, wygłaszane z niezwykłym temperamentem i zapałem. Mimo, że przedmiot nie był obowiązkowy, prawie każdy ze studentów zdawał z końcem zimowego półrocza egzamin prywatny /colloquium/ tak z tego przedmiotu, jak i z "Dziejów Polski w Zarysie" Bobrzyńskiego - dzieła, które w dążności, aby niczym nie zaciemnić "prawdy historycznej" wytyka nieraz bardzo ostro błędy popełniane w Polsce niepodległej i dlatego było powodem zaciętej krytyki. Czy nasze w historii Polski popełniane błędy nie były zbyt przez Bobrzyńskiego piętnowane, o tym sądu wypowiadać nie mogę, bo nie jestem ~~zawodowym~~ historykiem, ale to muszę podnieść, że studiowanie przez nas studentów "Dziejów Polski w Zarysie" rozwijało w nas

---

x/ Według ministerialnego programu przedmiotem obowiązkowych wykładów była tylko historia prawa niemieckiego.

jakiś inny, realny patriotyzm, który uważaliśmy właśnie dlatego za prawdziwie podniosły, bo wyzbywał się ułudy romantycznej, jakoby Polska była Chrystusem narodów, a smutny los Polaków miał być wyłącznie następstwem zbrodni naszych sąsiadów.

Tenże sam Bobrzyński, jeden z najwybitniejszych, jeżeli nie najwybitniejszy z młodszych Stańczyków wygłosił dn.24 lutego 1883 r. w Krakowskiej sali ratuszowej odczyt publiczny p.t. "Stańczyk". Naprzód zajął się historyczną postacią Stańczyka, owego błazna królewskiego z czasów Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta, który odznaczał się niezwykłym dowcipem a umiał mówić i gorzką prawdę dworzanom, dostojnikom a nawet samemu królowi, gdy mu ją dyktowała gorąca miłość Ojczyzny i mądrość polityczna. W dalszym ciągu prelegent przeszedł do charakterystyki stronnictwa Stańczyków współczesnych, przy czym nie zatajał pewnych stron ujemnych. Zarzucał zwłaszcza, że Stańczycy, rekrutując się przeważnie z arystokracji rozumu lub rodu, nie uchronili się od właściwości arystokracji, nie umieli czy nie mogli wciągnąć do swoich usiłowań szerszych kół mieszczaństwa i duchowieństwa; nie umieli rozwinąć agitacji, zdobyć popularności, nie umieli przekroczyć Sanu i we wschodniej części kraju tylko ukrytych lub połowicznych mieli zwolenników....." Bobrzyński między stronami dodatnimi swego stronnictwa podnosił, że członkowie jego, nie zatracając w niczym tego, co płynie z uczucia patriotycznego, kierują się równocześnie "rozwagą" - zwłaszcza po bolesnych doświadczeniach z lat 1863 i 1864. Mocno akcentował wielkie hasło prawdy. Tylko naga historyczna

prawda otworzy przed nami skarby przeszłości i nauczy nas co z niej jako drogą spuściznę mamy zachować, co jako błąd stanowczo od siebie odepchnąć. Tylko prawda pozwoli nam zmierzyć nasze rzeczywiste siły i warunki walki, którą toczymy. "Tylko w ogniu prawdy możemy się zahartować, w jej bolu wytrawić".

Pod koniec odczytu prelegent wyraził się o kierunku narodowego dążenia i ruchu Stańczyków w słowach następujących: "Opiera się kierunek ten na głębokiej wierze w żywotność naszego narodu, na niewzruszonym przekonaniu, że własnymi siłami zdołamy odzyskać wszystko, powtarzam wszystko, cośmy stracili. Siły te moralne i fizyczne musimy zdobyć wytężoną pracą. Stąd krzepi nas to poczucie obowiązku względem Ojczyzny, które wśród najgorszych warunków rośnie, w miarę ucisku potężnieje. Stąd dźwigać wysoko sztandar narodowej godności, bez której nie ma moralnego hartu. Stąd strzec całej zdrowej po przeszłości spuścizny; stąd iść za postępem, za tym, który buduje, nie burzy".

Bobrzyński niestrudzony bojownik o prawdę powiedział te słowa, bo tak a nie inaczej czuli i myśleli Stańczycy. Znałem ich dobrze i piszę niniejszym świadectwo prawdy.

Odczyt Bobrzyńskiego ogłosił krakowski "Czas" jako feljeton w dziennikach z dn.4 i 6 marca 1883 r.

Bobrzyński nie cieszył się wcale popularnością już jako Stańczyk, a nadto osobiście zrażał sobie niepotrzebnie ludzi, których znał mało lub którzy byli mu niesympatyczni, właściwym sobie chłodem, przechodzącym nieraz

w szorstkość.x/ -

Mimo swej niepopularności Bobrzyński spotkał się raz z objawami hucznego i nadzwyczajnego uznania, które wystąpiło w najburzliwszych możliwie oklaskach ze strony zachwyconych słuchaczy, pochodzących z różnych sfer społeczeństwa i różnych obozów politycznych. Stało się to w r.1918, kiedy na wiecu ogólnoobywatelskim, zwołanym do wielkiej sali Ratusza krakowskiego z powodu zawarcia pokoju w Brześciu Litewskim, Bobrzyński zabrał głos i wbrew oczekiwaniu zebranych, że będzie jako Stańczyk "oczywiście" usprawiedliwiał rząd austriacki, wykazał w dłuższym, znakomitym i gorącym przemówieniu, że podpisaniem pokoju w Brześciu Austria zlekceważyła nasze narodowe interesy nawet nasze ideały i misję dziejową, że tym samym zerwała więzy, które zawiązały się między nami a Austrią przez mądrą politykę obustronną lat kilkudziesięciu. Wobec tego nadeszła chwila, gdy i nam trzeba politykę dotychczasową przekreślić. Stańczyk, który wobec krzywdy, wyrządzonej Polsce, w tym duchu przemówił, wywołał wśród zgromadzonych powszechny entuzjazm. Bobrzyński po wyjściu z Ratusza wobec kilku znajomych z uśmiechem powiedział: "Nie przypuszczałem nigdy, żeby w moim portfelu znaleźć się

---

x/ Jak mało Bobrzyński znał tę swoją wadę! Raz powiedział do mego ojca, któremu był bardzo oddany: "Nie rozumiem, dlaczego ludzie zarzucają mi, jak słyszę, że należę do ludzi nieuprzejmych, a nawet niegrzecznych. Przecież trudno o kogoś, ktoby był ode mnie uprzejmiejszy i grzeczniejszy". Ojciec, który mógł Bobrzyńskiemu dużo powiedzieć, przedstawił mu łagodnie, że nie zna on widocznie siebie samego dostatecznie. Ale już Rzymianie mówili - a ojciec był romanistą - "Se ipsum noscere, summa est notitia".

mógł atut popularności".

Ze wszystkich przemówień Bobrzyńskiego najsilniej-
sze wrażenie na mnie zrobiła wielka mowa, jaką usłysza-
łem we Lwowie w gmachu sejmowym w r.1913, na drugi dzień
po rozwiązaniu Sejmu krajowego głównie z powodu obstruk-
cji Rusinów /Ukraińców/ a po części i trudności, jakie
powstały na tle proponowanej przez namiestnika Bobrzyń-
skiego reformy wyborczej do Sejmu. Bobrzyński ogłosiwszy
jako reprezentant Rządu rozwiązanie Sejmu, rozesłał w pa-
rę godzin potem zaproszenia do wszystkich członków Sejmu
narodowości polskiej /ja do nich należałem jako cywilis-
ta, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego/ oraz do bawią-
cych we Lwowie członków parlamentarnego Koła Polskiego,
aby przybyli nazajutrz do sali sejmowej. Do zebranych
Bobrzyński, wszedłszy na trybunę, odezwał się naprzód,
że zaprosił nas, aby do nas przemówić, ale nie jako c.k.
namiestnik Galicji, lecz jako Polak do Polaków. Prosi
więc żeby jego mowa była uważana jako akt poufny i żeby
jej nie stenografować i nie robić z niej notatek.

Przedmiotem mowy była głównie kwestia ruska /ukra-
ińska/. Na szerokim tle historycznym Bobrzyński przed-
stawił jej wielką doniosłość dla Polski i dla Polaków
w przeszłości i na przyszłość. W szczególności mówił,
nawiązując do chwili ówczesnej o Starorusinach, jako ele-
mencie wyższym pod względem kulturalnym, ale oddanym po-
litycznie Rosji, i o Ukraińcach, czynniku narodowościo-
wo i społecznie radykalnym, z którym o zgodę znacznie
trudniej, z którym mimo to dążyć powinniśmy do porozu-
mienia i uregulowania współżycia, skoro oni przeciwsta-
wiają się imperializmowi rosyjskiemu, dla nas tak nie-

bezpiecznemu. Mowy tej nie mógłbym streścić, gdyż pozostała mi w pamięci tylko w mglistych zarysach, a jakiekolwiek odtwarzanie, czy uzupełnianie pozostałych mi wspomnień mogłoby zniekształcić to, co ów wybitny historyk i polityk przedstawił przed nami w sposób świetny. Nadmieniam tylko, że jakkolwiek poglądy wielu obecnych słuchaczy, jak wiedzieliśmy, szły po innej drodze, wyszliśmy, zapewne wszyscy, po mowie pod wrażeniem wyjątkowo silnym i to pod wrażeniem łączącym się z tym niewątpliwym przeświadczeniem, iż słuchaliśmy gorącego patrioty, szczerego Polaka.

— O Stanisławie Tarnowskim , z którym z pośród pierwszych, wielkich Stańczyków stykałem się także niejednokrotnie, piszę tylko słów kilka, bo nie byłem jego uczniem i nie miałem szczęścia poznania go tak bliskiego, jak się rzecz miała z Dunajewskim lub z Bobrzyńskim. Słyszałem kilka jego świetnych wykładów publicznych ze serii prelekcji, jakie wygłaszał w Collegium Minus jako t.zw. "publica" w czasie - o ile pamiętam - między rokiem 1883 a 1886. Wykłady te dostępne dla każdego bez zapisania się na Uniwersytet miały za przedmiot różne tematy z historii literatury polskiej, a celem ich było nie tylko pouczanie, ale może jeszcze w znacznie wyższym stopniu utrwalanie w słuchaczach miłości Ojczyzny i wiary w przyszłą niepodległość Polski. Były to arcydzieła nauki i sztuki, połączone z najszlachetniejszą propagandą, podnoszącą na duchu, zgodnie z hasłem "Sursum corda." Cieszyły się one taką frekwencją, że na długo przed rozpoczęciem wykładu wielka sala w Collegium minus była

przepełniona a liczne osoby słuchały wykładu przy drzwiach otwartych do sali stojąc w westybulu a nawet na schodach.

A jak świetne musiały być wykłady ~~Stan~~.Tarnowskiego w Warszawie, skoro entuzjazm, jaki wywoływały, odbijał się głośnym echem aż w Krakowie -, pomimo, że prelegent ze względu na cenzurę rosyjską musiał posługiwać się często szyfrem zrozumiałym tylko dla najinteligentniejszej publiczności polskiej, gromadzącej się w sali wykładowej.

W czasie wybuchu wojny światowej w lipcu 1914 r. rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego Kazimierz Kostanecki był we Włoszech, skutkiem czego ja, jako prorektor, spełniać musiałem ciężkie na ówczas obowiązki rektora, aż do powrotu Kostaneckiego, t.j.do grudnia. Kiedy wojska austriackie, ponosząc jedną klęskę za drugą dopuściły wojska rosyjskie aż pod Kraków w listopadzie 1914 r. i Wieliczka została zajęta, a armaty rosyjskie ustawiono na wzgórzu między Wieliczką a Bieżanowem, tak, że uważaliśmy zdobycie Krakowa /Kraków był twierdzą/ przez Rosjan jako rzecz bardzo prawdopodobną, zaprosiłem x/ w Krakowie jeszcze pozostałych członków Senatu akademickiego i profesorów, aby omówić z nimi, jak mamy zachować się w razie, gdy Rosjanie zajmą Kraków. Przedstawiłem kolegom swój projekt, wychodzący z założenia, że nas profesorów bezwzględnie wiąże wierność dla naszej Alma Mater

---

x/ Wobec groźby oblężenia Krakowa, znaczna część ludności cywilnej bądź to dobrowolnie miasto opuściła, bądź też została przymusowo ewakuowana. Profesorowie, którzy Kraków opuścili, wyjechali z rodzinami przeważnie do Wiednia.

Jagellonica i dlatego, możemy z władzami rosyjskimi układać się, spełniać ich racjonalne polecenia i w ten sposób dojść do porozumienia, ale tylko pod warunkiem, że polskości Uniwersytetu i naszego samorządu nie naruszą i im nie uchybią. Projekt mój po krótkiej dyskusji został przyjęty jednomyślnie. Wiadomość o tym fakcie doszła do Wiednia do naszych uniwersyteckich kolegów, ale widocznie przekręcona została w atmosferze wojennej tak, że dała powód do potępienia nas, jako "moskalofilów".- Kiedy po klęsce wojsk rosyjskich pod Limanową wycofały się one także z pod Krakowa poza Tarnów i pozwolono powracać Krakowianom z Wiednia, przybył tu między innymi Stanisław Estreicher.x/ Przy pierwszym widzeniu się ze mną Estreicher, z którym żyłem w szczerej przyjaźni, wyraził zdziwienie, że ja, który przecież także zaliczam się do krakowskich konserwatystów, tak szybko zostałem moskalofilem. Na to z miną na pozór całkiem poważną, odpowiedziałem mniej więcej w sposób następujący: "Respektuję zawsze poglądy innych i dlatego proszę i Ciebie, abyś mnie wysłuchał i starał się zapatrywania me spokojnie ocenić, chociaż tym razem rozeszliśmy się w naszych poglądach. Ja mianowicie uważam się za związanego bezwzględnie z Uniwersytetem Jagiellońskim i przy nim chcę pozostać; dlatego nie opuszczę go, choćby Kraków nie pozostał przy Austrii i zajęty został na stałe przez Rosjan lub Niemców, jeżeli tylko Uniwersytet nasz polskim pozostanie. Mimo to szanuję także Twą zasadę, że miano-

---

x/ Był on wówczas już nie tylko powszechnie znanym uczonym i literatem, ale należał także do najwybitniejszych Stańczyków młodszej generacji.

wicie związany przysięgą wierności wobec Austrii, nie możesz pozostać profesorem naszego Uniwersytetu, gdyby Kraków należeć miał do Rosji, albo do Prus i dlatego, opuściwszy wówczas naszą Alma Mater, będziesz starał się o katedrę na jednym z uniwersytetów niemiecko-austriackich" Estreicher parsknął śmiechem i powiedział mi tylko, że nie przypuszczał, abym próbował kpić sobie ze swych bliźnich, gdyż to nie tkwi w mej naturze. Nie potrzebował już dodawać, że w rozumieniu przeze mnie określonym, on także jest Moskalofilem.

W związku z tezą, której bronię powołam się dalej na pogląd o Polakach w Galicji Józefa bar. Schenka doskonałego znawcę tak przymiotów, jak i wad polskich, którego wszyscy Polacy, co go znali i znają,x/ cenią i poważają wysoko.

Schenk urodzony we Lwowie, syn prezydenta Sądu krajowego wyższego ~~tamże~~, jakkolwiek pochodził z rodziny niemiecko-austriackiej, mówił po polsku równie dobrze, jak po niemiecku, ożenił się z Polką, zachwycał się z nami wspólnie arcydziełami literatury i sztuki polskiej. Żył on w bliskich stosunkach towarzyskich a nawet przyjacielskich z Polakami w Wiedniu i podtrzymywał te stosunki nadal, o ile to przy jego domicylu w Wiedniu było jeszcze możliwe. Na dawnych swych stanowiskach urzędowych w Wiedniu był Schenk zawsze obrońcą naszych interesów. Został on powołany przez Dunajewskiego do prezydium Ministerstwa Skarbu, gdyż Dunajewski wiedział, jakim

---

x/ Czasy teraźniejsze należy zamieniać na przeszłe, bo Schenk zmarł w 1944 roku.

Schenk jest przyjacielem Polaków i znał jego piękny charakter, niezwykłe zdolności, wiedzę i obowiązkowość. Schenk stał się swego ministra wierną i silną podporą, oraz szczerze oddanym przyjacielem aż do grobowej deski. Wzniósł on na cześć jego pamięci piękny, nieśmiertelny pomnik w pracy o Dunajewskim, o jakiej wyżej wspomniałem. I Dunajewski nawzajem darzył Schenka szczerą przyjaźnią i nieraz wspominał po przeniesieniu się do Krakowa, jak tęskni za ukochanym Schenkiem. Schenk, o ile mógł odwiedzał swego byłego szefa w Krakowie.x/

---

x/ Schenk był miłym, dowcipnym i wytwornym causeurem, obdarzonym iście francuskim esprit. Miał zawsze w zapasie różne zabawne anegdotki. Powtórzę przynajmniej jedną z nich, którą usłyszałem, gdy w r.1918 odwiedziłem go w Wiedniu. Był on wtedy ministrem sprawiedliwości.

"Arcyksiężniczka Maria Teresa, panna w podeszłym wieku - opowiadał mi wówczas Schenk - zajmuje się wiele humanitarną działalnością, a w szczególności interesuje się smutnym losem więźniów. Jej ochmistrzem /każdy członek domu panującego miał swego ochmistrza/ jest znany arystokrata styryjski, hrabia M. nie słynący wybitniejszą inteligencją. Otóż tenże p.M. przyszedł do mnie przed kilku dniami, widocznie bardzo rozdrażniony z relacją, że arcyksiężniczka postanowiła osobiście zwiedzić więzienie Landesgerichtu wiedeńskiego i mówić z więźniami; trzeba zatem obmyślec jakiś środek, aby uniemożliwić arcyksiężniczce realizację takiego zamiaru; Spełnienie tego zadania należy chyba do ministra sprawiedliwości i dlatego hr.M. do niego przybywa. Odpowiedziałem hr.M., - mówił dalej Schenk, - że tego zadania nie mogę się podjąć, bo nie widzę żadnego powodu racjonalnego, dla którego nie mielibyśmy się zastosować do woli arcyksiężniczki; uważam zatem jej życzenie za rozkaz, który spełnić należy. Na to hr.M. prawie z oburzeniem odezwał się, że przecież niepodobna dopuścić, by "Jej Wysokość" /ihre kaiserliche Hoheit/ weszła w jakikol-

Mimo powyższych właściwości i przymiotów nie mogliśmy br. Schenka uważać za Polaka, gdyż on sam - jak każdemu szczerze na zapytanie odpowiadał - nie uważał się za Polaka. Motywował to tym, że jest tylko Austriakiem, bo wskutek wychowania, jakie otrzymał w domu rodzicielskim, uważa za swą ojczyznę Austrię, a nie Polskę, a Polakami prawdziwymi w jego rozumieniu, opartym na poznaniu duszy polskiej, są tylko ci, którzy noszą w swych sercach pragnienie odzyskania wolnej Polski w dawnych granicach i gotowi są za ten ideał w danej chwili krew przelać, gdy tymczasem on mógłby się tylko cieszyć, gdyby się urzeczywistniły marzenia Narodu, do którego tak przylgnął.- Takie zdanie miał o Polakach galicyjskich, doskonały ich znawca -Józef Schenk.

W końcu opowiem jeszcze, co wiem, o pewnym epizodzie z Krzeszowic, o którym, zdaje się, dzisiaj już, oprócz mnie, nikt nie wie.

Dunajewski zostawał w bliskich stosunkach z właścicielami Krzeszowic, hr. Adamem Potockim i z jego starszym synem Arturem /później także z młodszym Andrzejem/. Odbywał też z nimi niejednokrotnie poufne rozmowy natury politycznej. Gdy arcyksiążę Rudolf, następca tronu, przybył

---

x/ wiek kontakt z prostymi zbrodniarzami. Kiedy jednak ja obstawałem nadal stanowczo przy swym zdaniu, posmutniał M.; przez chwilę nic nie mówił, popadł w zadumę, a potem nagle z radością zwrócił się do mnie z następującą propozycją: "Ekscelencjo, znalazłem świetną drogę wyjścia z trudności, ale musi to pozostać tajemnicą, zwłaszcza wobec Cesarskiej Wysokości: Zaprowadzimy ją stosownie do jej woli do więzienia, ale wprowadzimy ją tylko do tego oddziału, w którym zamknięci są skazani niewinnie".

raz na polowanie do Krzeszowic, zaprosił hr.Artur Potocki Dunajewskiego, jakkolwiek Dunajewski nie był wcale myśliwym. Chodziło wówczas bowiem także o cele, nie mające nic wspólnego ze sportem łowieckim. Między Arcyksięciem Rudolfem, Arturem Potockim i Dunajewskim odbyła się konferencja, czy odbywały się liczniejsze konferencje /tego nie wiem/, w których omawiano wśród innych tematów zagadnienie wskrzeszenia Polski, a to z pomocą Austrii, naturalnie pod berłem Habsburgów, jako przyszłych królów polskich. Austro-Węgry miałyby z monarchii dualistycznej, zamienić się w monarchię trialistyczną, w której składzie Polska byłaby, jak Węgry, państwem suwerennym. Myśl sama podobała się arcyksięciu Rudolfowi, jakkolwiek wszyscy trzej panowie zdawali sobie sprawę z trudności, jakie łączyły się z jej realizacją i dlatego uznawali konieczność wyczekania odpowiedniej międzynarodowej konstelacji. Jednak rzecz nie przedstawiała się obradującym jako jakaś utopia, zwłaszcza, że rosły sprzeczne interesy między Austrią i Rosją, które mogły łatwo doprowadzić do wojny. Znamienną w tych obradach było rzeczą, że sam arcyksiążę Rudolf podniósł, iż Polska w ten sposób wskrzeszona, musiałaby objąć także ziemie polskie, zagarnięte przez Prusy, chociażby to nie miało nastąpić odrazu. Niewątpliwie kierowały arcyks.Rudolfem przy tej enuncjacji zasadnicze i szerokie polityczne względy, ale może nie były obojętnymi i pewne motywy natury osobistej. Mam tu na myśli ów stary antagonizm, jaki istniał między Austrią i Prusami, a odczuwał go arcyksiążę Rudolf także osobiście, - antagonizm powstały wskutek różnych wypadków dziejowych/przypominam wojny o Śląsk z lat 1740-1763, politykę Bismarcka

wroga Austrii a rozpoczętą już w t.zw.Parlamencie frankfurckim w r.1848, która doprowadziła ostatecznie do pokoju w Pradze w r.1866/ - antagonizm łączący się także z bardzo różnym charakterem i usposobieniem Austriaków i Prusaków, co sprawiało, że były to jakby różne narody, chociaż mówiące tym samym językiem niemieckim.x/ Może także nie była obojętną i niechęć, jaką czuł arcyks.Rudolf do samego następcy tronu niemieckiego, późniejszego cesarza Wilhelma II. O powodzie tej szczególnej niechęci opowiadano w Wiedniu między innymi epizod następujący:

Kiedy późniejszy cesarz Wilhelm II., jako dezygnowany następca tronu, wybrał się do Austrii z oficjalną wizytą do cesarza Franciszka Józefa, wyjechał na jego spotkanie, z polecenia cesarza, arcyks.Rudolf, aż do Bodenbach aby powitać gościa na granicy austriackiej. Po pierwszych słowach ceremonialnych zapytał arcyks.Rudolf, następcę tronu, Wilhelma, czy nie chce wprowadzić może zmian jakichś w ułożonym już programie odwiedzin Austrii. Na co Wilhelm miał odpowiedzieć, że pragnąłby przede wszystkim zatrzymać się przez pewien czas w Czechach, aby tu dokładnie zwiedzić teren walk z r.1866, a zwłaszcza pole bitwy

---

x/ Przebywając przez lat jedenaście w Wiedniu miałem nieraz sposobność słyszenia o niechęci, potęgującej się czasem nawet do nienawiści, Austriaków, a zwłaszcza Wiedeńczyków do Prusaków. Ale i na odwrót Prusacy nie kochali bynajmniej Austriaków i lekceważyli ich z powodu rzekomego braku energii, ~~tęgości~~ [sprężyny], zmysłu organizacyjnego, niemieckiego ładu itd. Słyszałem raz w Wiedniu o rozmowie, jaką miał mieć kanclerz Bismarck z jakimś wysokim dygnitarzem pruskim. Ów dygnitarz zapytał w ciągu dyskusji: "Co książę myśli o Bawarczykach? Bismark miał odpowiedzieć: "Bawarczyk jest tworem pośrednim /ein Mittelding/ między człowiekiem a Austriakiem".

pod Königsgrätz /Sadową/, gdzie, jak wiadomo Austriacy pobici zostali na głowę przez Prusaków!

Projekty, które były przedmiotem obrad w Krzeszowicach straciły znaczenie skutkiem śmierci arcyks.Rudolfa /30 stycznia 1889 r./. Obrady nad nimi mogły przejść więc do historii tylko jako piękne zamiary. Jednakże ich myśl podstawowa odżyła w pierwszych miesiącach pierwszej wojny światowej, mianowicie w projekcie utworzenia w razie wojny zwycięskiej, z Austro-Węgier monarchii trialistycznej, w której skład weszłaby Polska jako trzecie Państwo suwerenne. Tym razem jednak nie było już mowy o tym, żeby ziemie polskie podlegające królowi pruskiemu mogły i miały wejść w skład przyszłej Polski. Jak wiadomo, projekt ten został zduszony w zarodku przez premiera węgierskiego, hr.Tiszę, który obawiał się, że w monarchii trialistycznej Węgry utraciłyby swe wielkie znaczenie i prawie dominujące stanowisko, jakie posiadały w ostatnich lat dziesiątkach w Austro-Węgrzech. /Świadek konferencji/n hr.Tisza, żyje w Krakowie. Jest nim dr.Ernest Habicht./

Dunajewski miał do mego ojca wielkie zaufanie, opowiadał mu też nieraz o rzeczach, o którychby zresztą nikomu nie był mówił, wiedział bowiem, że ojciec niczego bez wyraźnej czy dorozumianej zgody Dunajewskiego nie powtórzy. Ojciec dowiedział się od Dunajewskiego między innymi o konferencji krzeszowickiej i mnie o niej opowiedział w czasie, gdy straciła ona dawno wszelkie znaczenie aktualne. Usłyszałem mianowicie o niej w 1913 r., kiedy wróciłem z obchodu jubileuszowego wiedeńskiej Hochschule für Bodenkultur i opowiedziałem ojcu o toaś-

cie treści politycznej, jaki w charakterze rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, zniewolony okolicznościami, wygłosiłem w Wiedniu. Ojciec, zachęcony treścią tego toastu opowiedział mi wówczas w kilku słowach to, co powyżej podałem o konferencji w Krzeszowicach.

Oto szereg zdarzeń i uwag, może drobnych, ale ilustrujących wcale jaskrawo tezę, że Polacy galicyjscy, a w szczególności Stańczycy krakowscy, kierowali się na drodze politycznej, jaką wybrali, głównie interesem Polski i naszego Narodu. W danej sytuacji, gdy z Zachodu gniótł nas brutalnymi metodami, po Zakonie Krzyżackim rozwiniętymi, Niemiec-Prusak, ze Wschodu - "Moskal okrutny" a bohaterskie powstania polskie okazały, że własnym mieczem niepodległości nie możemy zdobyć, Polacy galicyjscy w szczególności Stańczycy upatrywali możliwość urzeczywistnienia najgorętszych naszych pragnień tylko w oparciu o Austrię, bo na jej czele stała dynastia katolicka, która uważała się bądź co bądź za spadkobierczynię uniwersalnego świętego Cesarstwa Rzymskiego. Dlatego Austria, daleka od ciasnego, nacjonalistyczno-niemieckiego szowinizmu, wskrzesiła suwerenność Węgier, a równocześnie /1867 r./ pod jej rządami i za jej poparciem w Austrii wprowadzona została konstytucja, nadająca wszystkim ludom, do Austrii należącym, pełne równouprawnienie i to pod sankcją najwyższą niezawieszalnych ustaw zasadniczych. Ugruntował się też ustrój demokratyczno-liberalny, a nawet przez szereg lat ustrój zbliżony do federalizmu.

Rozwaga i racja stanu wskazywały zatem, że trzeba nam w tej dzielnicy stanąć przy Austrii lojalnie i ją popierać, ale motywem tej polityki, tkwiącym w sercach była miłość Polskości i Polski a nie Austrii.

Serię powyższych przykładów czy wspomnień kończę jeszcze jednym, pochodzącym z r.1881. Upływała wówczas rocznica 50-letnia powstania listopadowego. Dla uczczenia jej wydano m.i. we Lwowie "Księgę Pamiątkową", zawierającą spis imienny dowódców i sztabs-oficerów, oficerów i podoficerów i żołnierzy Armii Polskiej z r.1831 odznaczonych krzyżem wojskowym Virtuti Militari.

O tym, jak tę uroczystość obchodzić powinniśmy, napisał Stanisław Tarnowski, a więc jeden z czołowych Stańczyków w przepięknej przedmowie do książki pamiątkowej, którą zakończył następującymi zdaniami:

"Czasy się zmieniają, zmieniają się sposoby i obowiązki służby, ale jedno nie zmienia się nigdy, to, że rdzeniem siły narodu, szpikiem jego kości, źrenicą jego oka, miarą jego honoru i wartości, jest żołnierz i żołnierski duch. W czasach szczęśliwych on zwycięża i daje moc i chwałę i wielkość, w złych on jeden krwią swoją ratuje cześć. Jemu chwała zawsze i wszędzie, a zwłaszcza w pół wieku po roku 1830, zwłaszcza w pośród nas, którzy straciwszy wszystko, zachowaliśmy tylko odblask jego wojennych czynów, zasługę jego krwi, pamięć jego honoru i męstwa. Bo kiedy /żeby skończyć słowami ówczesnych pieśni powstańczych/, kiedy "o Ojczyźnie i o sławie nuci młodzież po Warszawie", nuci i marzy, a z tego rozmarze-

nia i rozśpiewania, zerwie się do czynu 29 listopada czy jakiego dnia innego, to potem "leci liście z drzewa co wyrosło wolne", a dzwon jeczy smutno, "od pół wieku lud mój płacze". Ale kiedy przez te płacze pół wieku przebiły się echa tych armat, co grzmiały pod Stoczkiem, to choć była "pod Ostrołęką przegrana", choć się smutnym okiem szuka, "gdzie wojsko nasze bitne, gdzie Wawru rycerze", przecież śpiewa coś w duszy "nie masz pana nad ułana", i przypomina, że "krew lacka cuda może", i to, że są przecie zawsze "straszne sądy Boże".

III. Z czasu mego rektoratu.

Dnia 12 października 1912, w dniu dla mnie bardzo pamiętnym, odbyła się uroczystość inauguracyjna roku szkolnego 549 naszej "Almae Matris Jagellonicae", Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły! Po nabożeństwie w kościele św.Anny z"Te Deum" i po odśpiewaniu pieśni "Boże coś Polskę" przez profesorów i młodzież, zebraliśmy się profesorowie w togach, młodzież i publiczność w Auli Collegium Novum. Przybyli też, zgodnie z tradycją, na uroczystość reprezentanci władz i inni dygnitarze, z biskupem krakowskim, jako kanclerzem Uniwersytetu na czele. Ustępujący rektor, Dr.Władysław Szajnocha odczytał sprawozdanie z najważniejszych zdarzeń roku ubiegłego i zakończył je przemówieniem do mnie, przy czym wręczył mi historyczne insygnia władzy rektorskiej: stare berło, pierścień i łańcuch rektorski. Objąwszy te insygnia, wygłosiłem naprzód przemówienie do rektora Szajnochy i kolegów, do młodzieży uniwersyteckiej i publiczności, po czym rozpocząłem rok szkolny wykładem, którego przedmiot określiłem tytułem: "Z pracowni sędziego cywilisty". Treść tego wykładu ogłosiłem potem drukiem w czasopiśmie prawniczym "Themis Polska". Stał się on też podstawą opracowania dla wydawanych przeze mnie podręczników nauki o "wykładni" prawa cywilnego.

Rok szkolny 1912/13 zapowiadał się niezwykle burzliwie. W poprzednim roku odbyła się "Zimmermaniada". Tak

nazwano rozruchy wywołane z końcem ubiegłego roku przez młodzież "postępową", a raczej wywrotową, z powodu powołania z Poznania na katedrę socjologii Wydziału teologicznego, ks.prof.dra Zimmermanna, świetnego wykładowcy, który ogłosił także publiczny wykład o socjologii. Do organizatorów i kierowników rozruchów należeli socjaliści, żydzi z nielicznymi wyjątkami, a nadto studenci, a może i niestudenci, którzy przybyli z Rosji lub z Królestwa Polskiego a propagowali wśród naszej młodzieży raczej nihilizm, aniżeli prawdy socjalno-demokratyczne. Z powodu Zimmermaniady Senat polecił ubiegłego roku przeprowadzić śledztwo dyscyplinarne, a na podstawie jego wyniku relegował na zawsze z Uniwersytetu Jagiellońskiego sześciu głównych podżegaczy zaburzeń. Orzeczenie zapadło w ostatnich dniach czerwca 1912 r. tak, że z powodu kończącego się roku szkolnego młodzież rozjeżdżała się i wichrzyciele nie mogli urządzić demonstracji przeciw Senatowi. Odłożyli więc swe plany na rok szkolny 1912/13. Wkrótce, po rozpoczęciu wykładów zgłosiła się do mnie, jako rektora, deputacja złożona z sześciu młodych ludzi, mówiąc, że są studentami i zażądali, abym pozwolił na zwołanie na najbliższą sobotę ogólnego wiecu studentów. Na zypytanie moje, co ma być przedmiotem obrad wiecu, wystąpił z pośród deputacji, zdaje się, najstarszy z nich, jakiś brodaty student, czy może i niestudent, niedbale ubrany, w wysokich butach i odpowiedział mi, zacinając akcentem wybitnie obcym, że chodzi im o protest ze strony młodzieży uniwersyteckiej przeciw wydaleniu z Uniwersytetu sześciu studentów, którzy organizowali zeszłoroczne rozruchy. Na to odezwałem się: "Ta-

ki wiec odbyć się nie może". "A dlaczego", zapytał się mnie ów przodownik"."Powodem jest - odpowiedziałem, że taki wiec nie jest prawnie dopuszczalny po myśli § 7 uniwersyteckiej ordynacji dyscyplinarnej, wydanej przez ministra oświaty w r.1849, a mającej dotąd w całej Austrii, a tym samym i w Galicji moc ustawy.

Na to zaśmiał się mój interlokutor i rzekł mniej więcej: "A to ciekawe! To ja słyszał, że w tym kraju panuje wolność, że Uniwersytet Jagielloński jest uniwersytetem polskim, a jego rektor Polakiem. A tu Pan, powołuje się na jakiś przez ministra austriackiego wydany ukaz i uważa, że to ma polską młodzież obowiązywać. Ale my studenci takiego prawa słuchać nie będziemy." Pomimo, że najchętniej byłbym drzwi wskazał temu brodaczowi za jego słowa z kpinami wypowiedziane, opanowałem się, by nie wywołać zaraz z początkiem roku szkolnego ostrego konfliktu między rektorem, a znacznym odłamem młodzieży i dlatego najspokojniej, jak tylko mogłem, odpowiedziałem: "Widzę po treści odpowiedzi i po akcencie, jakim pan mówisz po polsku, że Pan wyszedłeś, a może i Pańscy towarzysze wyszli z pod knuta carskiego i dlatego nie wiecie i nie rozumiecie, co jest wolność i co prawo i jakie ich warunki. Trzeba więc naprzód Wam pojęcia te wyjaśnić. Uczynię to, siadajcie." Po tym wstępie, odezwałem się, układając treść swego przemówienia odpowiednio do prawdopodobnej mentalności mych słuchaczów: "Wolność tam tylko istnieć może, jak powiedział jeden z największych demokratów i obrońców wolności, Jan Jakób Rousseau, gdzie suwerennem jest prawo". A inni demokraci, rozwijając myśli Montes-

quiego, zwanego także powszechnie obrońcy wolności, głosili, że prawem jest wola całego ludu i tej woli każdy człowiek poddać się musi w danym państwie, bo inaczej zamiast prawa rządziłaby samowola jednostek i siła brutalna. Otóż prawem w tym państwie, do którego część dawnej Polski należy, jest jeszcze zawsze owe rozporządzenie z roku 1849, na które się powołałem, ale tylko dlatego, że przedstawiciele ludu suwerennego, zdaje się, jedynie skutkiem nieświadomości, że w rozporządzeniu tym mieszczą się różne anachronizmy, nie odpowiadające dzisiejszym poglądom, nie zajęli się uchyleniem tych norm i zastąpieniem ich innymi, odpowiednimi. Otóż trzebaby było zwrócić się do naszych posłów parlamentarnych, - a przecież z Krakowa posłuje Dr.Marek, wybitny prawnik,-aby wnieśli w Izbie Posłów odpowiedni projekt uchylenia lub zmiany ordynacji dyscyplinarnej z r.1849, a gdy projekt ~~jego~~ ten stanie się ustawą, będziemy podlegali wszyscy wraz z Senatem innemu prawu, zapewne lepszemu. Możecie zatem panowie oddać usługę młodzieży akademickiej i wszechnicom w ogólności, jeżeli opracujecie projekt odpowiedni i przedłożycie go posłowi Markowi, aby go uchwalono w parlamencie. W ten sposób możecie osiągnąć na drodze legalnej to, o co Wam chodzi, t.j. żeby relegowani studenci mogli swe studia uniwersyteckie kontynuować. Wszelka inna droga byłaby tylko czczą demonstracją, na której Wam chyba nie zależy. Otóż przypuszczając, że Panowie przyjmiecie mą radę, oświadczam, że, jeżeli zechcecie, pozwolę Panom na zwołanie wiecu ogólno akademickiego na najbliższą sobotę, którego przedmiotem będzie: "Reforma dyscyplinarnej ordynacji akademickiej z roku 1849." Deputacja, porozumiawszy się

między sobą, zgodziła się na moją propozycję. Wiec odbył się, wybrano na nim komisję, która ma ułożyć projekt nowej ustawy, ale już przy uchwaleniu instrukcji dla Komisji zdania były tak podzielone i sprzeczne, że wiec odłożono na następcą sobotę i powtarzano te wiece jeszcze kilkakrotnie lecz bez rezultatu pozytywnego. A kiedy nadeszły ferie Bożego Narodzenia i młodzież rozjechała się, nastąpiła przerwa w obradach, a po świętach sprawa nie została już wznowiona.

Jednak z czasem wśród młodzieży zaczęło się nowe wrzenie. Agitowano, żeby młodzież wystąpiła w jakiś sposób stanowczy i ostry przeciw Senatowi z powodu zeszłorocznej relegacji sześciu studentów i przeciw powołaniu na katedrę socjologii ks.Zimmermanna. Do wybuchu przyszło dopiero w czerwcu 1913 roku, niedługo przed ukończeniem roku szkolnego. Młodzież "postępowa" ogłosiła strajk młodzieży i jednego poranku koło godziny 7-ej znaczny zastęp młodzieży zamknął główny budynek uniwersytecki /Collegium Novum/ i kilka innych, nie dozwalając żadnemu studentowi wstępu do nich. Zawiadomiony o tym przez woźnych uniwersyteckich, pospieszyłem zaraz do Collegium Novum, gdzie zastałem przy bramie wchodowej dużo studentów i studentek, stojących przy żelaznych kratach i otwierających je tylko profesorom i urzędnikom uniwersyteckim. Na ten gwałt postanowiłem odpowiedzieć środkiem energicznym, by zapobiec dalszym rozruchom. Ogłosiłem, że zamykam Uniwersytet na czas, dopóki gwałty nie ustaną i wydałem bliższe instrukcje, jak zamknięcie to ma być przeprowadzone. Poleciłem nie tylko wstrzymanie wszelkich wykładów i ćwiczeń seminaryjnych, ale wykluczenie studentów także od

wstępu do klinik, laboratoriów /np.chemicznych/ i wszelkich innych naukowych zakładów uniwersyteckich, chociażby przez to prace rozpoczęte pójść miały na marne lub chociażby przez to studenci nie mogli się przygotowywać do egzaminów, których terminy wyznaczone były przeważnie na dni bliskie. Ze strony kolegów doznałem co do przeprowadzenia mych zarządzeń najgoręt<s>sze</s>go poparcia i skutek był ten, że już po 12-ej w południe przyszło do mnie kilka deputacji studenckich z gorącą prośbą o cofnięcie mych zarządzeń, gdyż one wywołują nie-obliczalne szkody wśród pilnej młodzieży. Odpowiedziałem, że, zdaję sobie sprawę z tego, ale mimo to nie cofnę żadnego zarządzenia, dopóki nie ustanie zamiar kontynuowania strajków i gwałtów ze strony młodzieży. W następstwie mej nieustępliwości powstał ostry rozłam wśród młodzieży i coraz większa ilość studentów przystępowała do większości, która z oburzeniem zaczęła reagować przeciw rozruchom tak, że trzeciego dnia mogłem odwołać zamknięcie Uniwersytetu.

W ciągu mego rektoratu weszedłem raz w pewien konflikt także z grupą kolegów, hołdujących radykalnemu nacjonalizmowi. Chodziło mianowicie o rzecz następującą: Skutkiem silnej agitacji nacjonalistów ruskich w Galicji, którzy nazywali się Ukraińcami, Bobrzyński, ówczesny namiestnik, oświadczył, że gotów poprzeć ich wnioski o założenie Uniwersytetu ukraińskiego, ale z tym, że założenie ~~nastąpi~~ następować będzie w miarę, jak znajdować się będą naukowe siły z pełnymi kwalifikacjami, wymaganymi dla profesorów uniwersyteckich, i że siedzibą uniwersytetu ruskiego

będzie Lwów. Przy warunku drugim chodziło namiestnikowi o to, aby przez założenie uniwersytetu gdzieindziej, zwłaszcza w Stanisławowie, w którym ludność ruska była w większości, nie utworzyła się jakaś stolica Ukrainizmu i ukraińskiej irredenty. We Lwowie, mieście tak bardzo polskim, niebezpieczeństwo takie nie groziło.

Otóż grupa profesorów naszego Uniwersytetu, należąca do t.zw.Endekcji /narodowej demokracji/ zwróciła się do mnie z życzeniem, żeby Uniwersytet Jagielloński zaprotestował przeciw zamiarom namiestnika, gdyż Galicja jest prowincją polską. Dowodzono, że nie należy popierać ukraińskich zakusów, skrajnie nacjonalistycznych, że zresztą naród ten nie ma sił naukowych, któreby mogły utworzyć wszechnicę. Kolegom do mnie przybyłym odpowiedziałem, że w sprawie tej zwołam Senat akademicki, skoro Senat jest ustawowym organem reprezentującym wolę Uniwersytetu. W kilka dni potem zwołałem Senat i na posiedzeniu przedstawiłem w swym wstępnym przemówieniu własny pogląd na sprawę: że jestem przeciw zabieraniu głosu przez Uniwersytet jako taki w tej sprawie, głównie dlatego, bo nasza Wszechnica stoi zbyt wysoko, aby ją w zatargi polityczne wciągać. Powinna ona - moim zdaniem - stać zawsze ponad wszelkimi partiami, jeżeli jej dostojność nie ma być narażona na szwank. Końcowo dodałem, że z punktu widzenia politycznego uważam stworzenie jakiegoś bliższego i lepszego pożycia /modus vivendi/ z Ukraińcami za rzecz nie tylko wskazaną, ale nawet potrzebną, zwłaszcza, że Polska i Polacy - zdaniem moim - popełnili w stosunku do Rusinów błędy w przeszłości. Po dyskusji dłuższej moje stanowisko zostało w Senacie prawie jednomyślnie przyjęte

/jeden tylko głos oświadczył się przeciw/. W kilka dni potem przybyli do mnie koledzy endecy /było ich 13-tu/ z prośbą, abym wobec biernego stanowiska Senatu w tej sprawie, zwołał ogólny wiec wszystkich profesorów. Niech oni swą opinię wypowiedzą! Odpowiedziałem, że tego nie uczynię, bo nie mogę uznawać żadnej samorządowej wyższej władzy uniwersyteckiej nad Senatem, zgodnie z ustrojem naszej Wszechnicy. Na to jeden z kolegów odezwał się: "Byliśmy przygotowani na tę odmowę i na ten przypadek postanowiliśmy urządzić "wiec zakazany", a nawet w razie potrzeby wywalić drzwi w którejś z sal wykładowych, aby wiec mógł się odbyć". Moja odpowiedź była następująca: "Drzwi żadnych szanowni koledzy nie wywalicie, bo nie będzie to potrzebne. Wszystkie sale wykładowe dla kolegów stoją otworem. Możecie panowie więc urządzić zebranie, gdzie chcecie i powziąć dowolne uchwały. Ale będzie to jedynie zebranie profesorów, którzy na zebranie przyjdą i uchwały przez nich powzięte mogą mieć jedynie znaczenie opinii tych panów, którzy przybyli i głosowali, ale nie będzie to głos naszej wielkiej Instytucji, którą zastępuje tylko Senat z rektorem na czele. Zebranie choćby nawet wszystkich profesorów, nie jest żadnym oficjalnym organem uniwersytetu". /W Polsce wolnej wprowadzono potem pod tym względem pewną zmianęx/.

Koledzy do mnie przybyli zwołali następnie wiec profesorów i przyszło nań, o ile pamiętam, niespełna 30xx członków grona nauczycielskiego, którzy swe zapatrywania wypowiedzieli i uchwalili pewne rezolucje. Ale rzecz nie miała żadnego dalszego znaczenia. Przy tym stwierdzam z przyjemnością, że sprawa ta nie wywołała rozdźwięku

między profesorami endekami a rektorem i większością Senatu, gdyż obie strony zdawały sobie sprawę z tego, że w polityce sprzeczne poglądy są nieuniknione, co jednak nie powinno nigdy uchybiać wzajemnemu szacunkowi i uczuciom koleżeńskim.

Memu stanowisku wyżej zaznaczonemu, że Uniwersytetu Jagiellońskiego, jako takiego, nie należy wciągać w żadną agitację czy pracę natury politycznej, nie sprzeniewierzyłem się, gdy wprawdzie imieniem naszego Uniwersytetu, bo jako rektor, lecz nie na ziemiach polskich, ale w Wiedniu, ale na obczyźnie wystąpiłem publicznie z pewną zasadniczą enuncjacją, dotyczącą polityki austriackiej.

W 1913 r. obchodzono w Wiedniu uroczyście dwudziestopięciolecie istnienia wiedeńskiej "Hochschule für Bodenkultur" /wyższej szkoły rolniczej/. Po nabożeństwie uroczystość główna odbyła się w auli Hochschule. Naprzód przemówił jako gospodarz rektor Hochschule, profesor Bauer, a po nim zabrał głos imieniem rządu austriackiego minister oświaty, Hussarek von Heinlein, były profesor Uniwersytetu wiedeńskiego, mój znajomy, bośmy byli równocześnie swego czasu docentami tegoż uniwersytetu - on prawa kanonicznego, a ja prawa cywilnego. Po dwóch mowach wstępnych nastąpiły gratulacyjne przemówienia przedstawicieli wszystkich uniwersytetów, mających siedzibę w Austrii. Pomimo, że według programu kolejność przemówień opierała się na podstawie dat założenia uniwersytetów, rektor Bauer zaprosił naprzód na Trybunę rektora Uniwersytetu wiedeńskiego, założonego w 1365 r., a dopiero po

jego przemówieniu rektora Uniwersytetu praskiego, założonego w 1348 r. a jako trzeciego mnie, jako rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, założonego w 1364 r. Ubodło mnie to, że Uniwersytetowi wiedeńskiemu dano pierwszeństwo przed uniwersytetem praskim i Jagiellońskim i dlatego rozpocząłem swe przemówienie od słów: "Im Namen der zweitältesten Universität...../W imieniu historycznie drugiego uniwersytetu z pośród uniwersytetów znajdujących się obecnie na terytorium austriackim..../

Po uroczystości odbyło się małe śniadanie w gmachu Hochschule, gdzie wielu z obecnych podziwiało przepiękny łańcuch rektorski, jaki miałem na swym frakowym ubraniu, łańcuch, który Uniwersytet nasz otrzymał w darze od Polaków z Litwy w 1900 r. /W roku tym obchodzono w Krakowie 500-letnią rocznicę odnowienia przez królowę Jadwigę i Władysława Jagiełłę Uniwersytetu, założonego przez Kazimierza Wielkiego/.

Wieczorem zeszliśmy się na obiad w wielkiej sali hotelu Meissel i Schaden. Przy szampanie toast pierwszy wniósł rektor Bauer na obecnego na uczcie ministra Hussarka. Drugi toast wniósł Hussarek na cześć wszystkich uniwersytetów istniejących w Austrii. Jeden z rektorów musiał odpowiedzieć. Uważałem, że obowiązek ten spada ze względu na kolejność przyjętą przy rannej uroczystości na rektora Uniwersytetu wiedeńskiego. Jednak rektor ten, siedzący naprzeciw mnie, powiedział do mnie, że on nie odezwie się, lecz prosi mnie, żebym ja głos zabrał jako "zweitältester", skoro rektor Uniwersytetu praskiego wezwany telegraficznie do Pragi, na obiad nie przybył. Tak się stało, że ja głos zabrałem. Toast mój musiał być -

prosze o tym pamiętać - oczywiście austriacko lojalny. Zadzwoniwszy o kieliszek, wygłosiłem mniej więcej następujące przemówienie:

"Pozwólcie Ekscelencje i Szanowni Panowie, że tym razem odezwę się tu jako prawnik i nawiążę swe przemówienie do problemu, który ma swe źródło w tym wielkim procesie dziejowym, jaki ludzkość przeszła, walcząc o wolność jednostki - w procesie dziejowym, w którym naprzód człowiek jako jednostka walczył w państwach pierwotnych o uznanie swej osobistej wolności, a tym samym nietykalności czci i zdolności nabywania praw i zaciągania obowiązków, potem zdobywał prawa polityczne, wpływ i współudział w rządzie, a wreszcie dzięki wielkim prawnikom i filozofom, zwłaszcza wieku XVII i XVIII, uzyskał i te prawa, które nazywamy dzisiaj technicznie prawami wolnościowymi, t.j., ogólnie mówiąc, prawo żądania, żeby nawet państwo suwerenne uszanowało pewną sferę mocy i wolności człowieka, w jaką państwu wkraczać nie wolno i jaką powinno w swych ustawach zasadniczych zagwarantować. Prawa wolnościowe uznane zostały w różny sposób i w różnej mierze w konstytucjach państw nowoczesnych. Tak to uznano nietykalność osobistą, nietykalność mieszkania, wolność sumienia, wolność wybierania miejsca pobytu, zawodu, zarobkowania, tajemnicę listową, wolność własności, wolność słowa i prasy, wolność stowarzyszeń i zgromadzeń itd. Mimo to nie wciągano w sferę ustaw zasadniczych ochrony prawnej tego czynnika przywiązania, jaki łączy człowieka z narodem, do którego należy i z jego kulturą. I dlatego w dziedzinie narodowościowej nawet w państwach, o wysokim zresztą poziomie prawnym, panowała i panuje dotąd siła,

a nie prawo: Naród, który ma większą moc i potęgę, niszczy i gubi narody słabsze a nie widzi nic w tym złego. Panują więc w tej dziedzinie stosunki przypominające to, co świetnie scharakteryzował Goethe w swym Reinecke Fuchs: Lis siłą i podstępem zabija owce i zjada je i nie widzi w tym nic złego, nawet wynajduje zawsze przed majestatem królewskim zręczne i pełne usprawiedliwienie swego działania - w winie owiec.

Kiedy te zdania mówiłem, usłyszałem pomruki niezadowolenia wśród mego audytorium. Widocznie zrozumiano, że jako Polak czynię aluzję do prześladowań i widocznie uważano to za nietakt z mej strony, skoro przecież znajdowałem się w środowisku w większości niemieckim. Mimo to po zrobieniu krótkiej pauzy dla uciszenia pomruków, mówiłem dalej: "Jednak szanowni panowie, istnieje już państwo, które, pierwsze dotychczas, uznało prawa narodowościowe i zagwarantowało je w swej konstytucji, a tym samym w rozwoju praw wolnościowych uczyniło postęp wielkiej wagi i wskazało wzór do naśladowania. Tym państwem jest Austria. Ona to w art.19 ustawy zasadniczej o prawach obywatelskich wyraziła w sposób jasny i stanowczy zasadę dotąd w ustawodawstwach nieznaną, że każdy naród ma prawo do pielęgnowania swej narodowości, swych tradycji i kultury, że ma prawo do używania swego języka w szkołach, w sądzie i władzach administracyjnych. Cesarz tej monarchii zamieścić kazał na äusseres Burgtor pałacu Habsburgów w Wiedniu hasło, którego emanacją jest uznanie praw narodowościowych: Iustitia fundamentum regnorum. Uczucie wdzięczności Polaka dyktuje mi dalsze słowa, gdy, wznosząc ten kielich, wyrażam życzenia, aby ten postęp w prawach

wolnościowych budził coraz większą siłę przyciągającą do Austrii wśród narodów uciskanych, aby przez urzeczywistnianie tego postępu Austria wzmagała się w coraz większe i potężniejsze państwo jako ostoja narodów, ulegających dotąd brutalnej przemocy i aby tej dynastii, która przewodzi Austrii, służyła trwale i w każdym kierunku najszczytniejsza i najlepsza pomyślność."

Gdy tę końcową część przemówienia wygłaszałem, panowała już w sali najzupełniejsza cisza, a po ostatnich słowach odezwały się gromkie oklaski, chociaż zapewne w nich nie brali udziału duchem Prusactwa przepojeni narodowcy niemieccy, którzy byliby może najchętniej wyrzucili mnie przez okno, jak się to stało w 1618 r. Martinicowi i Slawacie w Pradze. Minister Hussarek przyszedł do mnie zaraz po toaście, dziękując mi w serdecznych słowach za przemówienie, a w kilka dni potem, otrzymałem od niego dzieło wydane przez Rząd p.t."Die Pragmatische Sanktion" w bardzo ozdobnej oprawie z pięknym listem dedykacyjnym.

Nadmieniam jeszcze, że huczne oklaski, jakie otrzymałem po zakończeniu toastu i podziękowanie ministra, były widocznie aktem politycznej demonstracji Niemców austriackich, na uczcie obecnych, a wrogo usposobionych przeciw Prusactwu, przeciw jego wpływowi na Austrię i przeciw zależności od państwa niemieckiego, w jaką Austria popadała coraz silniej skutkiem propagandy niemieckich nacjonalistów. O tych ostatnich rzeczach pisałem obszerniej w Rozdziale II.

Jako rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego byłem członkiem Sejmu galicyjskiego /wirylistą/. Korzystając z tego stanowiska, wniosłem do laski marszałkowskiej dwa wnioski, których realizacja przedstawiała mi się jako dezyderat wielkiej doniosłości ze względu na interesy społeczeństwa galicyjskiego, tak polskiego, jak i ukraińskiego.

Pierwszy wniosek miał za przedmiot ochronę własności i służebności niewpisanych do ksiąg gruntowych.

Drugi mój wniosek miał na celu wydanie ustawy krajowej o rozjemczych urzędach gminnych.

Oba wnioski odesłane do Komisji prawniczej, znalazły tam bardzo życzliwe poparcie, jednakże nie przeszły potem pod obrady plenum Sejmu. Sejm bowiem został rozwiązany z powodu obstrukcji i projektu reformy wyborczej.

Po przewrotach, jakie po pierwszej i drugiej wojnie światowej nastąpiły, wnioski moje straciły znaczenie aktualne i dlatego o nich więcej nie piszę.

IV. Nieco z moich przeżyć w pierwszych dwóch latach po wybuchu wojny światowej.

W Uniwersytecie.

W czasie wybuchu pierwszej wojny światowej Kazimierz Kostanecki był rektorem U.J. a ja prorektorem. Kostanecki jeszcze z początkiem lipca 1914 r. prosił mnie wobec swego zamiaru wyjazdu do Włoch, abym go zastępował przez miesiące wakacyjne, zwłaszcza, że ja nie miałem żadnych innych projektów ferialnych jak tylko pobyt w Zakopanem, skąd przecież w razie potrzeby mogłem przynajmniej raz na tydzień przybywać do Krakowa. Kiedy wojna wybuchła, powróciłem do Krakowa na stały pobyt, aby tu czuwać nad sprawami naszej drogiej Instytucji, dopóki Kostanecki nie zdoła powrócić.

Pierwszym pytaniem, jakie mi się nasunęło, było, czy rektor, względnie Senat nie ma wydać jakiejś odezwy do tych licznych naszych uczniów, którzy powołani zostali do wojska, a powtóre, co ważniejsze, czy może nasza Instytucja nie ma zachęcać tych, którzy do wojska nie należeli, aby wstępowali do tworzących się legionów pod dowództwem Józefa Piłsudskiego. Po naradzeniu się z kilku szczerze mi oddanymi kolegami, którzy w Krakowie pozostali, zwłaszcza z Kazimierzem Morawskim i Władysławem Szajnochą, /Jaworskiego, Estreichera i wielu innych nie było w Krakowie/ zwołałem posiedzenie Senatu a zarazem zaprosiłem na rodzaj wiecu innych obecnych w Krakowie profesorów, aby i ich opinii wysłuchać i na tym wspólnym

zebraniu przedstawiłem wnioski, przyjęte po krótkiej dyskusji jednomyślnie. Wnioski moje brzmiały, że mam imieniem Senatu tylko pożegnać w gorących słowach profesorów i studentów, którzy idą na pole walki, życząc im szczęśliwego powrotu, natomiast kwestię Legionów zupełnie pominąć. Oczywiście uchwałę kolegów, odpowiadającą zresztą mym intencjom i wnioskom, wykonałem ściśle. - Sprawę Legionów pominęliśmy z dwóch powodów: Raz dlatego, że opinie kolegów były pod tym względem podzielone, a powtóre dlatego, że nie należy Uniwersytetu Jagiellońskiego, tej odwiecznej Instytucji polskiej, którą Naród cały powinien niepodzielnie szanować i czcić, wciągać w czynną politykę, a co za tym idzie, nie nadawać Jej nigdy jakichś znamion partyjnych, a w sprawie Legionów społeczeństwo polskie zajęło kilka odrębnych stanowisk, politycznie wybitnie partyjnych.

Dalszym mym zadaniem była obrona budynków i zakładów uniwersyteckich przed zajmowaniem ich przez wojsko, komendą twierdzy. Komendantem był generał Kuk, dobry człowiek, ale ulegający w każdym kierunku wpływom swej żony, Amalii, osławionej Prusaczki, dla Polaków bardzo nieżyczliwej, która powtarzała jako swą opinię, że wobec wojny i potrzeb wojska nie można mieć względów na żadne zakłady naukowe. I żądała opróżnienia różnych budynków uniwersyteckich, a nawet Biblioteki Jagiellońskiej. Z tego powodu powstawały konflikty między mną a generałem Kukiem, przy których pomagał mi szef sztabu generalnego komendy twierdzy, pułkownik Stanisław Haller /Polak/, a podjudzali Kuka przeciw interesom Uniwersytetu szef intendantury,

Wessely, Czech, niecierpiący Polaków i oczywiście pani Amalia. Powołując się ciągle na ustawę austriacką z 1912 roku o świadczeniach wojennych, zdołałem uratować przed zajęciem na cele wojskowe szereg budynków uniwersyteckich, a przede wszystkim Bibliotekę, ale oddać musiałem kilka innych objektów, a między nimi Collegium Physicum i część Collegium Novum. Dyskusje z generałem Kukiem dochodziły nieraz do tonów ostrych, zwłaszcza, odkąd przekonałem się, że stanowczość z mej strony odnosiła niejednokrotnie zwycięstwo nad wpływami pana Wessely'ego i pani Amalii. Raz, kiedy chodziło znowu o zajęcie któregoś budynku uniwersyteckiego, a ja stanowczo protestowałem, zniecierpliwiony generał Kuk odezwał się do mnie - oczywiście po niemiecku: "Magnificencjo, powiem Panu szczerze, że z Panem muszę być bardzo ostrożny, bo nie wierzę w Pański patriotyzm /oczywiście austriacki/ podobnie zresztą jak w patriotyzm przeważnej liczby Pańskich kolegów, a nawet uważam Pana za małego zdrajcę ojczyzny /ein kleiner Landesverräter/". Na to bardzo ostro odpowiedziałem, bo musiałem przecież wobec austriackiego generała udawać, że czuję się jego słowami bardzo dotkniętym: "Ekscelencjo, takiego zarzutu gołosłownego znieść nie mogę i proszę o uzasadnienie." Na to Kuk odpowiedział: "Niech Pan nie sądzi, żem się nie uczył historii powszechnej w Akademii wojskowej. Wiem więc dobrze, kim był ks.Józef Poniatowski, którego pamięć jest Polakom tak droga, i żeście przed kilku laty w Krakowie oddali hołd jego pamięci w wielkiej uroczystości. Pan byłeś przy tym bardzo czynny, jako dziekan Wydziału prawa. A przecież Pan musisz także wiedzieć, że ks.Józef był naprzód oficerem wojsk austria-

ckich, a mimo to walczył potem pod Lipskiem po stronie Napoleona, a więc także przeciw Austriakom, zdradził więc Austrię i jej cesarza." Po odpowiedniej replice z mej strony, Kuk uspokoił się i ostatecznie od swego żądania odstąpił.

Po jednym czy dwu tygodniach zdawało mi się, że sprawa zajmowania budynków ucichła. Jednak nagle otrzymuję "rozkaz" z Festungskommando, że należy opróżnić dla celów wosjkowych Collegium Medicum /wielki bardzo budynek/ przy ul.Grzegórzeckiej i to w przeciągu trzech godzin! Tym razem ucieszyłem się, bo przez ten rozkaz Kuk wsunął mi sam w rękę doskonały atut! Połączyłem się więc telefocznie z nim samym, prosząc go o przyjęcie w sprawie bardzo ważnej i pilnej. Kuk odpowiedział, żebym zaraz przybył, a kiedy wszedłem do jego gabinetu, przyjął mnie z uśmiechem, mówiąc, że się domyśla, co to za sprawa pilna, że oczywiście chcę znowu oponować przeciw zajęciu Collegium Medicum, ale tym razem on nie ustąpi. Ja na to zrobiłem minę bardzo poważną, nieco grobową i powiedziałem: "Ekscelencjo dzisiaj nie przychodzę z żadnymi prośbami ani nawet z protestem, ale wprost z żądaniem stanowczym, żeby Ekscelencja swój rozkaz zaraz odwołał i oświadczam lojalnie, że jeżeli Ekscelencja tego nie uczyni, zatelegrafuję zaraz do cesarskiej Kancelarii: "Komendant twierdzy, Generał Kuk hhce żołnierzy umieścić w budynku Collegium Medicum, w którym znajdują się kultury tyfusu plamistego, brzęusznego, cholery, dżumy i innych chorób zakaźnych, o czym donoszę w interesie ""naszej"" armii z prośbą o zarządzenie odpowiednie." Kuk,

gdy to mówiłem, zmiędsał się, a, gdy skończyłem, natychmiast zawezwał naczelnego konsulenta sanitarnego twierdzy, jakiegoś bardzo sympatycznego Czecha i poprosił mnie, abym zechciał z tym konsulentem pojechać do Collegium Medicum celem ustalenia stanu rzeczy. Przewidując z góry takie oględziny, telefonowałem uprzednio do profesora Łazarskiego, gospodarza Collegium, aby porozkładał w sposób jak najgrzniejszy owe kultury. Po powrocie z Collegium i sprawozdaniu konsulenta, generał Kuk podziękował mi serdecznie za moje ostrzeżenie i kazał jeszcze tego samego dnia zamieścić na Collegium Medicum ogłoszenie we wszystkich 14-tu językach austriacko-węgierskich, że żadnemu wojskowemu nie wolno wchodzić do tego budynku pod groźbą surowych kar. Kukowi, żegnając się z nim, powiedziałem, że chyba dzisiaj mógł się przekonać, jak niesłusznymi były niedawno mi uczynione zarzuty braku troski o "naszą" armię.- Po kilku dniach dałem zezwolenie jako rektor, aby w salach wykładowych Collegium odbywała się nauka szkolna gimnazjum im.Króla Sobieskiego wobec tego, że budynek gimnazjum zajęty został przez wojsko, a na wydziale lekarskim dla braku uczniów, nie odbywały się wykłady.

Gdy wojska rosyjskie po zajęciu Lwowa zaczęły zbliżać się ku Krakowowi, troską moją było ukrycie i zabezpieczenie należyte cymelii uniwersyteckich, t.j. najcenniejszych dokumentów, klejnotów, obrazów i innych kosztowności. Podzieliłem je na trzy grupy: Rzeczy najcenniejsze, jak dokumenty, dotyczące założenia i odnowienia Uniwersytetu /bulle papieskie, królewskie dekrety/, łańcuchy rektorskie i dziekańskie, berło ofiarowane Uniwer-

sytetowi przez Zbigniewa Oleśnickiego, pierścienie itd. zaliczyłem do grupy pierwszej; obrazy, dywany, pamiątkowe meble, różne księgi i dokumenty itp. do grupy drugiej, a do trzeciej jeszcze inne przedmioty cenniejsze, między nimi zbiory uniwersyteckie a zwłaszcza muzeum historii sztuki.Cimelia pierwszej grupy włożyliśmy /ja z mymi zaufanymi pomocnikami/ do zrobionej w tym celu skrzyni dębowej; opieczętowaliśmy skrzynię i umieściliśmy na niej napis "Depozyt prywatny profesorów Kazimierza Kostaneckiego, Władysława Szajnochy i Fryderyka Zolla /młodszego/", poczem odwieźliśmy skrzynię do Banku Krajowego, który wziął ją w swe przechowanie z tym, że każdy z trzech wymienionych profesorów ma prawo rozporządzenia depozytem. Gdy poważna groźba zawisła nad Krakowem,Bank wymiózł skrzynię z innymi swymi depozytami do Wiednia do lokalu najętego przy Dominikanerbastei 13. Przedmioty drugiej grupy zamieszczone zostały w wybornie ukrytych, odwiecznych piwnicach, o których prawie nikt z wyjątkiem osób ściśle wtajemniczonych nie wiedział, a do których dostęp został znakomicie zamaskowany. Przedmioty trzeciej grupy umieszczone zostały w lokalach piwnicznych ukrytych pod Collegium Novum, obok zwykłych piwnic. - Piszę w liczbie mnogiej o osobach, które przy tych pracach brały czynny udział, gdyż miałem przy nich kilku bardzo gorliwych pomocników. Zwłaszcza służyli mi radą i pracą fizyczną i to z wielką gorliwością b.rektor Szajnocha, prof.Wrzosek i prezydialny woźny Serafin.

W pierwszych dniach listopada 1914 r. wezwany zostałem do telefonu, bo chciał ze mną mówić austriacki

minister oświecenia, Hussarek von Heinlein. Wiedziałem, że to człowiek o niezwykle wysokiej kulturze, ~~pięknym charakterze, wytworny i bardzo uprzejmy~~, a dla Polaków życzliwie usposobiony. Gdy na wezwanie zgłosiłem się do telefonu, Hussarek powiedział mi, że z największym niepokojem czyta i słyszy o postępach wojsk rosyjskich. Dowiedział się, że Kraków jest już także poważnie zagrożony. Pragnąc zabezpieczyć cimelia Wszechnicy krakowskiej, postarał się o opróżnienie kilku sal w Muzeum cesarskim historii sztuki, aby w nich umieścić nasze kosztowności i dokumenty. Prosi mnie więc, abym polecił wywiezienie tych rzeczy do Wiednia pod adresem ministerstwa i na jego rachunek, a to jak najprędzej.

Znalazłem się w trudnej sytuacji; rozumiałem bowiem dobrze, że życzenia ministra spełnić nie mogę. Uważałem, że nasze kosztowności i dokumenty muszą pozostać przy Uniwersytecie, bez względu na to, czy Kraków zostanie przy Austrii, czy zajmą go Rosjanie, czy Niemcy, - czy może przecież powstanie Polska i Kraków jej przypadnie. Wiedziałem, że nasi rektorowie i Senat starali się od lat 60-tych napróżno o przyznanie Uniwersytetowi osobowości prawnej. Rząd jednak, nawet mimo usilnych starań szefa sekcji, a później ministra, przezacnego Polaka, Edwarda Rittnera, nie przychylił się do wniosków naszego Senatu tak, że wszystko, co należało faktycznie do Uniwersytetu, było formalnie własnością Skarbu austriackiego. Wywiezienie cimeliów do Muzeum cesarskiego, mogło nas pozbawić na zawsze nadzwyczajnie drogich pamiątek.- Wobec tego po bardzo uprzejmym podziękowaniu za troskę

o cimelia uniwersyteckie, odpowiedziałem ministrowi - nie mogąc mu prawdy wyznać, że, niestety, nie mogę skorzystać z jego uczynności i spełnić jego życzenia, bo wywiezienie tak cennych rzeczy łączyłoby się chwilowo z wielkim dla nich niebezpieczeństwem, że artyleria rosyjska zajęła już kilka miejscowości na północ od Trzebini i stamtąd ostrzeliwuje kolej północną ces.Ferdynanda, a zagrożoną jest także i kolej przez Zator /co nie było prawdą/, że jednak mimo to jesteśmy dobrej myśli w Krakowie, mając pełne zaufanie do sił "naszej" armii, która z pewnością, niech i Minister w to uwierzy, nie dopuści do zajęcia Krakowa, choćby Kraków miał być podobnie jak Przemyśl przez czas pewien oblęgany, że zresztą w ostatnich tygodniach ja oraz kilku profesorów zdołaliśmy poukrywać wszystkie naszej największe kosztowności w miejscach zupełnie pewnych. Na tym skończyła się nasza rozmowa.

Ale na drugi dzień koło południa, przyszedł do mnie p.Adam Fedorowicz, delegat Namiestnika Galicji, urzędujący w Krakowie także jako starosta. Powiedział mi, że przychodzi z poufną misją, jaką mu powierzył dzisiaj rano minister Hussarek, że zna dokładnie treść rozmowy mej z ministrem z dnia poprzedniego i otrzymał polecenie,aby na mnie wpłynąć, bym życzenie ministra w interesie Almae Matris Jagellonicae spełnił. Prosi mnie zatem, bym mu nie utrudniał powierzonego mu zadania.

Ponieważ nie znałem p.Adama Fedorowicza dostatecznie, a niektórzy zarzucali mu, że bywa zbyt uległy rządowi, więc, kierując się względami ostrożności, odezwałem się do niego w słowach następujących: "Wybacz mi Pan,

Panie Delegacie, że tym razem postawię Panu naprzód pytanie, z którym nigdy bym zresztą nie ośmieliłł się do Pana zwrócić. Pytanie to postawić muszę jako urzędujący rektor naszej drogiej Almae Matris Jagellonicae, którą z pewnością i Pan Delegat kocha. Od odpowiedzi Pańskiej zależeć będzie to, co następnie ja ze swej strony Panu odpowiem. Otóż muszę wiedzieć naprzód, czy mam mówić dalej z ces.król.Delegatem c.k.Namiestnika Galicji, czy z Polakiem?" Pytanie moje zmięszało widocznie Fedorowicza. Z pewnością nikt mu takiego pytania dotąd nie postawił. Po chwili namysłu odpowiedział: "Jeżeli odpowiem, że przybył do Magnificencji delegat Namiestnika, a w tym charakterze tu faktycznie przybyłem, przypuszczam, że mi Pan powtórzy to samo, coś Pan wczoraj powiedział p.Ministrowi. Pragnąc w rzecz wniknąć głębiej, abym potem telefonicznie zdać sprawę panu Ministrowi, i to zaraz po naszej rozmowie, nie mogę inaczej odpowiedzieć jak, że proszę mnie uważać w tej chwili tylko za Polaka. Rozumiem jednak, że w takim razie muszę zachować tajemnicę co do tego co Pan Polakowi powie."

Po tej odpowiedzi, zaznaczyłem z góry, iż zapewnienie mnie o zachowaniu tajemnicy z jego strony uważam za rzecz zbyteczną, bo wiem, że Adam Fedorowicz+ jako dżentelman tajemnicy dochowa i bez zapewnienia. Potem opowiedziałem mu o bezskutecznych zabiegach naszego Uniwersytetu w sprawie przyznania nam osobowości prawnej. Ich bezskuteczność razi tym więcej, że przed kilkudziesięciu laty nowozałożony Uniwersytet niemiecki w Czerniowcach już w akcie erekcyjnym uzyskał uznanie osobowości prawnej. Wobec takiego stanu rzeczy nie mam dostatecznego zaufania

do Rządu austriackiego, który niejednokrotnie nie był wobec nas szczerym i jakkolwiek wiem, że minister Hussarek nigdyby Uniwersytetu naszego nie skrzywdził, pamiętać muszę, iż on nie będzie zawsze ministrem. Dlatego pod pozorem innych, nie bardzo realnych przyczyn, muszę nadal obstawać przy swojej decyzji. /Gdyśmy rozmawiali z p.Fedorowiczem, najdroższe cimelia były już wywiezione, znajdowały się bowiem w Wiedniu, ale nie w Hofmuseum, lecz na Dominikanerbastei 13, w przechowaniu Banku Krajowego, i to jako depozyt nie Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale prof.Kostaneckiego, Szajnochy i Zolla, a więc depozyt prywatnych osób, na którego losy nie mógł mieć wpływu Rząd austriackiX./

Wysłuchawszy mych wyjaśnień powyższych, p.Fedorowicz poprosił mnie o radę, co ma odpowiedzieć panu Ministrowi, jest bowiem w sytuacji trudnej, skoro prawdziwych motywów mej decyzji podać nie może, a przecież liczyć się musi także z położeniem przykrym pana ministra, który z jednej strony jako były profesor Uniwersytetu, szanujący samorząd szkół wyższych, nie zdecyduje się zapewne na wydanie stanowczego polecenia, do którego miałby formalne prawo, a z drugiej strony uważa za swój obowiązek zabezpieczenie w interesie publicznym tak drogocennych skarbów, jakimi są kosztowności i zbiory starego Uniwersytetu Jagiellońskiego.- Poradziłem Panu Delegatowi, by całą winę na mnie zepchnął i powiedział, że ja mimo różnych przymiotów mam brzydką wadę, że mianowicie jestem uparty i mimo silnych motywów, jakie on, delegat Namiestnika, przytoczył, ja od mego postanowienia nie odstąpiłem i dobrowolnie nie odstąpię. Pan delegat do

mej rady zastosował się i na tym skończył się ten epizod, bo minister Hussarek, jak przewidywałem, szanując samorząd uniwersytecki, nie wywarł na mnie żadnej presji.

W połowie grudnia 1914 r. wrócił rektor Kostanecki z Włoch, oddałem zatem w jego wytrawne ręce rządy w Uniwersytecie, nie wręczyłem mu jednak starego berła, symbolu władzy rektorskiej, bo znajdowało się ono jeszcze wówczas w przechowaniu Banku Krajowego w Wiedniu.

W Prezydium Miasta Krakowa.

Niedługo potem spadł na mnie inny niewesoły, a nawet uciążliwy, często bardzo przykry obowiązek. Jako wojenny wiceprezydent miasta Krakowa objąć musiałem kierownictwo Wydziału wojskowego w Magistracie, przez co wchodziłem w powtarzające się konflikty Magistratu z wojskiem a głównie z Komendą twierdzy /znowu z panem Kukiem/, która zasypywała Magistrat różnymi żądaniami, często nieuzasadnionymi, a nawet bezprawnymi. Stąd pochodziły nieustanne tarcia, przy czym Komenda twierdzy nieraz w sposób dotkliwy i lekceważący uchybiała samorządowi miejskiemu.x/ Aby wprowadzić lepszy stosunek z władzami woj-

---

x/ Lekceważenie magistrackich funkcjonariuszów i członków Prezydium Miasta było powodem powstania pewnej anegdoty, niezgodnej z prawdą, która po mieście kursowała:

W r.1915 rozpisano pobór rekruta ze starszych niż dotąd roczników, mianowicie mężczyzn, którzy nie skończyli 50 lat życia. Ponieważ w roku tym miałem lat 49, więc musiałem stanąć do asenterunku, a pułkownik prowadzący asenterunek, mój znajomy, uznał mnie za niezdolnego do służby wojskowej. Z tego powodu jednak, że

skowymi wybrałem się na dłuższą konferencję do Komendanta, generała Kuka i przedstawiłem mu, z jakimi to żądaniami, niezgodnymi z prawem, Komenda twierdzy zwraca się niejednokrotnie do Miasta a przecież stosunki dobre mogą powstać wtedy dopiero, gdy będą oparte na obustronnym, ścisłym poszanowaniu przepisów prawnych. Kuk uznał moje zdanie za trafne i poradził mi, abym wszystkie prawne wywody, jakie mu ustnie przedstawiłem, napisał w obszerniejszym memoriale, powołując się na źródła ustawowe i memoriał ten przedłożył Komendzie twierdzy. Postąpiłem za radą Kuka. Po niedługim czasie nadeszła krótka odpowiedź na mój memoriał, wyrażająca tylko, że wywody Magistratu z daty......., nie przekonały Komendy twierdzy, gdyż sprzeciwiają się naturalnym zasadom prawnym. /"Die Ausführungen des Stadtmagistrates vom.....haben das Festungskommando nicht zu überzeugen vermocht, weil sie den natürlichen Rechtsgrundsätzen widersprechen"./ To powołanie się na"prawo natury" było rzeczywiście w danej sytuacji czymś groteskowym. Jednak trudno się było śmiać, gdyż sytuacja dla miasta stawała się z dniem każdym przykrzejszą w szczególności, odkąd młody adwokat wiedeński

---

kiedys stanąłem przed Komisją, pułkownik zapytał się mnie przede wszystkim, jakie mam zajęcie, na co odpowiedziałem, że jestem wiceprezydentem Miasta. Pułkownik mnie zapytał: A zatem Pan pracujesz w Magistracie? Odpowiedziałem, że tak, Na to pułkownik nie kazał mi się rozebrać do badania lekarskiego, lecz natychmiast wydał decyzję krótką, którą protokolant zapisał słowami: "Untauglich, weil zu dumm". /Niezdolny, bo za głupi/.

do tekstu s. 133

Dr.Ludwik Markus, podporucznik rezerwy, przydzielony do służby Komendy twierdzy, wymyślał coraz to nowe rzeczy, aby stać się w Krakowie "niezbędnym" i przez to "dekować się", to znaczy nie iść na front. Niebezpieczeństwo poważne mogło powstać m.i. przez to, że ów oficer przedstawił wielki referat piśmienny generałowi Kukowi z planem rozbudowy twierdzy krakowskiej przez włączenie w nią znacznych terenów i odpowiednie zmiany w 18 gminach sąsiadujących z Krakowem, których mieszkańcy musieliby zostać w znacznej liczbie wywłaszczeni i gdzieś indziej przesiedleni. Generał Kuk przesłał ten projekt do Magistratu celem wyrażenia opinii. Zadałem sobie wraz z Wydziałem technicznym Magistratu dużo pracy, aby jak najsilniej możliwie wykazać wadliwości techniczne i prawnicze projektu. Jednak wywód Magistratu nie odniósł pożądanego skutku. Komendant Kuk wydał polecenie, aby wykonać z możliwym pośpiechem projekt, przy czym mają być pomocni funkcjonariusze Magistratu. Wobec takiej decyzji wniosłem natychmiast zażalenie do Ministerstwa Wojny, które także nie odniosło żadnego skutku, a nawet wprost przeciwnie. Minister z pełnym uznaniem wyraził się o zarządzeniach Komendy i polecił przystąpić do ich rychłego wykonania. Wobec tego wniosłem imieniem gminy miasta Krakowa w pospiesznym tempie skargę do Najwyższego Trybunału Administracyjnego i tam uzyskałem w czasie niespełna miesiąca pełne zadośćuczynienie. N/T.A. uznał zarządzenie Komendy twierdzy zatwierdzone przez Ministerstwo Wojny za niezgodne z ustawą austriacką o świadczeniach wojennych i skasował je jako bezprawne - tak, że roboty rozpoczęte według planów Komendy twierdzy zostały wstrzymane.-

Po tym zwycięstwie miałem przez czas dłuższy spokój. Jednakże po kilku miesiącach powstał nowy zatarg, w którym nie mogłem uciekać się do Trybunału Adm. Sprawa była także o tyle trudna, że p.Markus, Wessely, a za nimi i K.Kuk, zajęli stanowisko dla miasta wrogie.- Jak sobie w tej sytuacji poradzić? Otóż tym razem wpadła mi na myśl rada inna, mniej skomplikowana, wyrażona w przysłowiu polskim: "Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle". Poszedłem do "baby", mianowicie do pani generałowej Amalii Kukowej i złożyłem jej jako referent spraw wojskowych w Prezydium miasta oficjalną wizytę, ale w godzinach, w których, wiedziałem, że generała nie ma w domu. Pani Amalia była nadzwyczajnie zadowolona z tej wizyty, mówiła dużo o swym mężu, wychwalając różne jego przymioty, a ja, podnosząc jeż jeszcze do potęgi wyższej, dodałem, że, szkoda tylko, że tak znakomity generał ma złych doradców, w szczególności w osobie pana Wessely'ego i pana Markusa. Pani Amalia nie przyjęła ostatniej uwagi źle i owszem powiedziała, że będzie się starała takie szkodliwe wpływy osłabiać, a potem, wracając do tematu wybitnych zdolności i wszechstronności męża, powiedziała, że mąż jej zajmował się także dużo literaturą piękną i wydał drukiem pod pseudonimem Karl Willen obszerniejsze studium o Goethowskim Fauście. "Jakby to dobrze było - dodała w końcu - gdyby publiczność krakowska dowiedziała się coś o tej pracy mego męża". "Nic prostszego, odpowiedziałem, przeczytam to studium w chwilach wolnych i zamieszczę o nim wiadomość w krakowskim ""Czasie"". Proszę tylko o egzemplarz broszury". Otrzymałem zaraz aż trzy egzemplarze, a po miesiącu pojawił się w Czasie z dn.20 lutego 1915 r. w dziale "Ruch

artystyczny i literacki" mój artykuł /feljeton/ o Studium Willena, pod którym to pseudonimem kryje się, jak podałem, komendant twierdzy krakowskiej generał Kuk. W artykule tym przedstawiłem krótko, jak autor na podstawie głębokich filozoficznych dociekań określa dramat życiowy Fausta, historię wiecznego błąkania się człowieka dążącego do doskonałości, dramat kończący się podniesieniem Fausta ku niebu przez poświęcenie się pracy dla dobra ogółu, dzięki której Faust uwalnia się od wpływów Mefistofelesa. Nie chcąc narazić się na jakieś ostre słowa krytyki z powodu artykułu, nie umieściłem pod nim swego podpisu. Mimo anonimu dowiedział się, że ja jestem autorem artykułu Ignacy Rosner, /Mój kolega szkolny, ówczesny członek Izby posłów, wybitny urzędnik w Prezydium Rady Ministrów, przydzielony do Ministerstwa Galicji, za rządów generalnego gubernatora Baeselera komisarz rządu austr. w Warszawie, a zarazem naczelny redaktor Kuriera Polskiego, który miał wielkie wpływy polityczne za czasów ministerstwa Władysława Grabskiego/. Otóż Rosner, spotkawszy mnie przygodnie, powiedział mi, że po przeczytaniu mego artykułu przeraził się o losy naszego rodzinnego miasta, którego bronić ma krytyk, literat i filozof, a nie generał. Sprowadził więc zaraz studium Kuka, ale po zaznajomieniu się z jego treścią, uspokoił się w zupełności!

Lecz ja cel zamierzony osiągnąłem. Wpływy szkodliwe tak pana Wessely'ego jak i p. Markusa zostały sparaliżowane, a przynajmniej znacznie osłabione. Cieszyłem się odtąd szczególnymi łaskami państwa Kuków - tak dalece, że generał pobłażliwie przebaczył mi nawet pewien nowy objaw nie dość gorącego patriotyzmu austriackiego: Cho-

dziło mianowicie o to, że, jakkolwiek byłem wiceprezydentem Miasta, nie przybyłem na uroczyste nabożeństwo dziękczynne, które odbyło się na zamówienie generała z powodu jakiegoś zwycięstwa austriackiego nad wojskiem rosyjskim.

Jednak nie zbyt długo korzystałem ze zmienionej swej pozycji wobec Komendanta twierdzy, gdyż w lipcu 1916 r. musiałem pożegnać swe miasto rodzinne, swą rodzinę, katedrę uniwersytecką i wiceprezydenturę w Zarządzie miejskim, aby objąć inny urząd poza Krakowem, mianowicie stanowisko wiceprezydenta ~~/w rzeczywistości prezydenta/~~ Rady Szkolnej Krajowej.-

V. Trzy lata Rady Szkolnej Krajowej pod moim kierownictwem.

Rozdział ten jest stosunkowo bardzo długi, do czego przyczyniły się między innymi dwa powody:

Raz, że chciałem nieco bliżej objaśnić zasadę tak dydaktyczną, jak i pedagogiczną: "Non multa sed multum", do której szczególniejszą wagę przykładałem; chodziło mi bowiem o to, aby w naszą młodzież w szkołach wpajać gruntowność, dokładność i sumienność w pracy, a wypleniać powierzchowność i blagę.

Powtóre, że wychodząc poza zakres "Wspomnień", wdałem się w ważne dla Polski zagadnienie polityczne, mianowicie w problem stosunku naszego do mniejszości narodowych, zwłaszcza do Ukraińców i Żydów, ~~a to także z punktu widzenia chwili obecnej~~. Tak powstał rodzaj ekskursu w mych Wspomnieniach, ~~Zamieściłem go jako dodatek do działów M. i N., omawiających mój memoriał z r.1918 i okólnik z r.1919.~~ który notuje moje myśli, mające już przy pisaniu tych wspomnień wobec głębokich zmian – znaczenie tylko historyczne.

A. Jak się stało, że zostałem prezydentem Rady Szkolnej Krajowej.

W pierwszych miesiącach r.1916 rozeszła się po Krakowie wieść, że dr.Ignacy Dembowski, prezydent Rady szkolnej /raczej wiceprezydent, bo prezydentem był według ustawy namiestnik Galicji/, zachorował nerwowo i to tak ciężko, że, zdaniem lekarzy, musi przejść w trwały stan spoczynku. O prawdziwości tej wieści dowiedziałem się,

gdy
nam
gen
pre
dła
nie
Wyt
rzą
cał
nau
mu
pra
nig
prz
wsz
wid
war
się
por
i o
lię
zas
ry
pie
czy
któ
ski
dę
zdz
cyz
pol

gdy w czerwcu tegoż roku przybył do mnie wiceprezydent namiesnictwa Stanisław Grodzicki z polecenia namiestnika generała br.Dillera, proponując mi w imieniu Rządu wiceprezydenturę Rady szkolnej. Mimo, że propozycja ta spadła na mnie tak niespodziewanie, jak piorun z pogodnego nieba, dałem zaraz p.Grodzickiemu odpowiedź odmowną. Wytłumaczyłem się tym, że w czasach dla szkolnego samorządu galicyjskiego tak niezwykle trudnych, gdy prawie cały kraj /aż po Dunajec/ zajmują wojska rosyjskie, gdy nauczycielstwo przymiera w strasznej nędzy, przeciw czemu nie ma środków ratunku, gdy nauka szkolna po wsiach prawie nigdzie odbywać się nie może, a samorząd galicyjski jest przedmiotem gwałtownych ataków i napaści ze strony coraz wszechmocniej panoszącej się generalicji, w której najwidoczniej odzywa się duch metternichowski, że w takich warunkach nie myślę obejmować prezydentury, przenosić się do Białej /tymczasowej siedziby rządu galicyjskiego/, porzucać swej katedry i wiceprezydentury miasta Krakowa, i opuszczać rodziny na to, aby kłaść "głowę pod ewangelię". Było to wprawdzie stanowisko pozornie ze względu na zasadniczo piękne i ważne zadania najwyższej magistratury szkolnej galicyjskiej i wysoką rangę urzędniczą /stopień IV bezpośredni po namiestniku/ ponętne, jednak rzeczywiście połączone z prawdziwie ciernistą koroną, pod którą, jak przypuszczam, załamał się p.prezydent Dembowski, - a co najważniejsze - stanowisko, na którym nie będę mógł niczego pożytecznego w obecnej wojennej sytuacji zdziałać. Pan Grodzicki zrozumiał w zupełności moją decyzję i jej powody, ale powiedział mi, że wobec wybitnie politycznej strony sprawy, odpowiedź moja w tej formie

przez pośrednika nie może być dostateczna, że muszę zaraz pojechać do Białej i tam namiestnikowi Dillerowi wytłumaczyć powody mej odmowy. Wyjechałem najbliższym pociągiem do namiestnika, a gdy wyłuszczyłem mu swe postanowienie i jego przyczyny, oświadczył mi, że trzeba, abym zaraz pojechał do Wiednia i zdał sprawę ze swej decyzji tak ministrowi oświaty, drowi Hussarkowi, jak i ministrowi Galicji, drowi Zdzisławowi Morawskiemu; że on, namiestnik, jeszcze wieczorem tegoż dnia zatelefonuje o mej odmowie ministrowi oświaty, bo sprawa jest pilna ze względu na swe tło polityczne.

Tu wtrącam kilka zdań o namiestniku Dillerze: Był to wyjątkowy generał o szerokim horyzoncie, niezwykle wykształcony, humanista, który między innymi z łatwością czytał klasyków łacińskich i greckich i głęboko ich rozumiał. Po skończeniu studiów prawniczych w Wiedniu, wstąpił do służby administracyjnej państwowej, ale po kilku latach porzucił ją i został czynnym oficerem kawalerii; awansował szybko, a w czasie wybuchu wojny światowej zamianowany został generałem. Właściciel wielkiego majątku, należał do arystokracji austriacko-niemieckiej. Krytycznie patrzył na to, co się wówczas w Austrii działo, a o Armee=Ober=Kommando austr. /A.O.K., główne dowództwo armii/ miał wyobrażenie bardzo ujemne. Nie skąpił nawet uwag cynicznych przede mną. Razu pewnego opowiadał mi z uśmiechem, jak to A.O.K. wydawało nieraz nie wykonalne rozkazy. "I tak - mówił - otrzymałem po klęsce wojsk austr. nad Nidą rozkaz wycofania się z brygadą na zachód. Jakże mogłem polecenie to spełnić, skoro cała moja brygada dawno uciekła." - Przy tym wszystkim czło-

wiek niezwykłej dobroci i szlachetności i ożywiony szczerą sympatią dla naszego narodu. Baron Puget powiedział raz do mnie: "Nie znam lepszego Polaka, gorącej z nami współczującego, jak generał Diller. Co za szkoda, że po polsku nie umie."

Po przybyciu do Wiednia poszedłem naprzód do ministra Morawskiego, aby go zawiadomić o mym postanowieniu nieprzyjęcia ofiarowanej mi godności prezydenta Rady Szkolnej. Morawski zatrzymał mnie przez czas dłuższy, aby mi wyjaśnić poufnie sytuację, której wcale nie znałem, i zażądać potem ode mnie, bym zmienił swe postanowienie i przyjął trudną i przykrą godność prezydenta, bo tego wymagają ode mnie, jako od Polaka, rozstrzygające czynniki w Kole Polskim. Minister Morawski przedstawił mi, jak to pod wpływem wojny generalicja z A.O.K. na czele, wszędzie chce rządzić, jak pod tym wpływem usunięto namiestnika Polaka, dra Witolda Korytowskiego, a zamianowano na jego miejsce generała Collarda, mówiącego wprawdzie doskonale po polsku, jednakże Austriaka ciasnego. Opowiedział mi, jak po śmierci Collarda Koło Polskie dzięki zręcznym posunięciom zdołało przeprowadzić nominację Dillera na namiestnika Galicji, a tym samym osłabić, mimo, że Diller był generałem, wpływ A.O.K. na rządy w Galicji. Skutkiem ciężkiej choroby p.Dembowskiego powstała nowa trudność: obsadzenie tak ważnego pod względem politycznym stanowiska, jakim jest prezydentura Rady Szk. Sfery wojskowe i rządowe wysunęły już jako kandydata na to stanowisko wybitną jednostkę X, uchodzącą za Polaka, który jednak poszedłby niewątpliwie zupełnie na pasku generalicji. Dzięki interwencji kilku członków Koła Polskiego i ministra

Morawskiego udało się u hr.Stürgkha, prezydenta ministrów uzyskać zgodę na terno na ten posterunek: na pierwszym miejscu postawiono prof.prawa kościelnego we Lwowie, rektora dr.Władysława Abrahama, na drugim miejscu mnie, a na trzecim pana X. Rząd, godząc się na takie terno,liczył, że jego kandydat, pan X. zostanie prezydentem, bo ani Abraham, ani Zoll ofiarowanej im godności przyjąć nie zechcą. Prof.Abraham odmówił już stanowczo przyjęcia prezydentury a podał takie powody, że wszelka moralna presja na niego byłaby bezcelowa. W tej sytuacji, ja przyjąć muszę prezydenturę, bo w przeciwnym razie prezydentem zostałby pan X.- Pod takim przymusem moralnym wolnego wyboru nie miałem. P.Morawskiemu przed pożegnaniem się z nim złożyłem uroczyste przyrzeczenie, że nasza rozmowa pozostanie poufną i że zwłaszcza nie wymienię nazwiska p.X., jako kandydata zwalczanego przez Koło Polskie.

Po powrocie do Krakowa z ciężkim żalem przyszło mi rozstać się z mym kochanym Uniwersytetem Jagiellońskim, a także z wielką przykrością z prezydium Miasta Krakowa, gdzie - poza ciągłymi tarciami z wojskowością - miałem bardzo miłe koleżeńskie stosunki. W Prezydium Miasta zdziwiono się, że dałem się nakłonić w Wiedniu do przyjęcia prezydentury Rady Szkolnej. Przyczyny decyzji, jakie podawałem, nie były przekonywujące. Kiedy między innymi powiedziałem: "Prezydentura Rady Szkolnej ma także tę dobrą stronę, że na przypadek mojej śmierci moja żona otrzymałaby znacznie wyższe zaopatrzenie wdowie niż po profesorze uniwersytetu", Julian Nowak odezwał się: "Słyszałem już o różnych aberacjach seksualnych. Lecz tym razem dowiaduję się poraz pierwszy, że ktoś może

palić się do swej własnej wdowy".

Po otrzymaniu dekretu nominacyjnego w ostatnich dniach lipca, wyjechałem dn.7 sierpnia do Białej, gdzie z rąk zastępcy pana Dembowskiego, radcy dworu dra Stanisłowa Okęckiego objąłem formalnie urzędowanie wobec urzędniczego personelu Rady Szkolnej, t.zn. tak inspektorów szkolnych, jak i urzędników administracyjnych przydzielonych do Rady Szkolnej.

Odpowiadając p.Okęckiemu na jego słowa powitania, przedstawiłem w niedługim przemówieniu swój program, w którym, wskazawszy między innymi na grozą przejmujący ówczesny stan szkolnictwa galicyjskiego, na przeważnie rozpaczliwe położenie nauczycieli i ich rodzin, na tysiące poniszczonych lub przez wojsko zajętych budynków szkolnych, powiedziałem, że Rada Szkolna musi być obecnie przede wszystkim gorącą opiekunką z sercem i nieść pomoc, gdzie trzeba i ile tylko jest to w jej mocy, że jednak mimo to tracić nie powinna ani na chwilę z oka zadania tak ważnego, wyższego, jakim jest odbudowa naszego szkolnictwa. Wielkie te zadania, mówiłem dalej, muszą mieć ułatwione podłoże przez dobrą administrację. Administracja jest dobra, gdy akty administracyjne są sprawiedliwe, celowe, wolne od niepotrzebnych biurokratycznych utrudnień. W sprawach bieżących chodzi jeszcze o jeden postulat, żeby mianowicie załatwiano sprawy szybko. W obecnym czasie dwukrotnie trafną jest zasada: bis dat, qui cito dat.-

Kierunek pedagogiczny i dydaktyczny zaznaczyłem tylko ogólnie, zastrzegając sobie pod tym względem obszerniejsze omówienie programu na plenarnym posiedzeniu Rady szk. które mimo toczącej się wojny i niemożności przybycia

do Białej znacznej liczby jej członków, pragnę zwołać jeszcze w tymże samym miesiącu - a to zgodnie z wolą pana namiestnika - aby rozpocząć w granicach możliwości pełną działalność naszej samorządowej instytucji.

B. Pierwsze plenarne posiedzenia "autonomicznej" Rady Szkolnej Krajowej pod moim przewodnictwem. Nieco z pedagogii i dydaktyki. Zasada: Non multa sed multum.

Plenarne posiedzenia Rady Szkolnej Krajowej, /R.S./ zwanej niewłaściwie także "autonomiczną", x/ rozpoczęły się dnia 23 sierpnia i trwały przez kilka dni, bo program

---

x/ "Rada Szkolna Krajowa" - będę ją w dalszym ciągu oznaczał krótko literami R.S. - nazywano autonomiczną, jakkolwiek przymiotnik ten nie odpowiadał treści. R.S.nie posiadała bowiem prawa wydawania ustaw w zakresie szkolnictwa, zależnie czy niezależnie od centralnej władzy ustawodawczej, t.j. Rady Państwa. Autonomia m.i. istniała także w zakresie szkolnictwa, ale służyła ona w granicach ustawami zasadniczymi określonych Sejmowi galicyjskiemu. Jednak R.S. posiadała w dziedzinie szkolnictwa samorząd, t.zn. samodzielne, od Ministerstwa Oświaty niezależne prawo wykonywania ustaw w tej dziedzinie i wydawania w tym celu rozporządzeń. Nazywanie R.S. autonomiczną pochodziło stąd, że nie odróżniano należycie pojęć autonomii i samorządu. I ja w dalszych swych wywodach nie zarzucam całkiem tej nieścisłości, nazywając m.i. np. członków R.S., mających samodzielne prawo głosowania w Radzie - członkami autonomicznymi - w przeciwstawieniu do tych funckjonariuszów R.S., którzy mieli tylko jej uchwały wykonywać.

był obfity, już choćby dlatego, że od wielu miesięcy Rady Szkolnej nie zwoływano, - z czego oczywiście nie można było nikomu czynić zarzutu wobec panujących stosunków. Po załatwieniu wielu spraw natury administracyjnej, których mnogość spotęgowały wypadki wojenne: śmierć na polach walki wielu nauczycieli, nędza skrajna, zwłaszcza nauczycieli wiejskich, zniszczenie budynków szkolnych, środków nauczania itd. - przedstawiłem mój program pedagogiczny i dydaktyczny o tyle, o ile to było konieczne, aby uzyskać zgodę członków R.S. na zasady wytyczne. Z programu tego przedstawię tu niektóre zagadnienia, zwłaszcza te, które, jak sądzę, są i dzisiaj jeszcze aktualne:

".......Czy nasza szkoła ma się odrodzić - zapytałem m.i. w swym przemówieniu programowym - jak ów Feniks mityczny, który z popiołów powstawał zawsze w tej samej postaci? Czy chodzi tylko o restytucję in integrum tego co było? Sądzę, że nie. Narody, co żyją normalnie, muszą iść naprzód. Trzeba nam zachować skrzętnie, co było dobre, ale poprawiać to, co reformy wymaga.

Gorącym mym życzeniem jest, aby zająć się programem tak pojętego odrodzenia, a sądzę, że nauczycielstwo będzie w tym kierunku pomagało w szczególności przez prace tych stowarzyszeń, które kwestiami pedagogicznymi i dydaktycznymi żywo się zajmują. Programu szczegółowego jeszcze nie rozwijam - nie sądzę, by na to była obecnie chwila odpowiednia - ale już dzisiaj podniosę z tego programu postulat, który uważam za pierwszorzędny, a stosunkowo najprostszy i o tyle łatwy do urzeczywistnienia, że nie łączy się ze zmianą przepisów, planu nauk i nie wymaga do ogólnego wprowadzenia w życie, zmiany podręczników.

...yć ochoty, już chociażby dlatego, że od wielu miesięcy Rady Szkolnej nie zwoływano, - a czego oczywiście nie można było nikomu czynić zarzutu wobec panujących stosunków. Po załatwieniu wielu spraw natury administracyjnej, których mnogość spotęgowały wypadki wojenne: dzieci na polach walki wielu nauczycieli, nędza szkolnictwa, świadectwa nauczycieli wiejskich, zniszczenie budynków szkolnych, środków nauczania itd. - przedstawiłem swój program pedagogiczny i dydaktyczny o tyle, o ile to było konieczne, aby uzyskać zgodę członków R.S. na zasady wytyczne. Z programu tego przedstawię tu niektóre zagadnienia, zwłaszcza te, które, jak sądzę, są i dzisiaj jeszcze aktualne:

"......Czy nasza szkoła ma się odrodzić - zapytałem - w swym przeobrażeniu programowym - jak ów Feniks mityczny, który z popiołów powstawał zawsze w tej samej postaci? Czy chodzi tylko o restytucję in integrum tego co było? Sądzę, że nie. Narody, co żyją normalnie, muszą iść naprzód. Trzeba nam zachować starannie, co było dobre, nie poprawiać to, co reformy wymaga.

Gorącym mym życzeniem jest, aby zajęto programem tak pojętego odrodzenia, a sądzę, że nauczycielstwo będzie w tym kierunku pomagało w szczególności przez prace tych stowarzyszeń, które kwestiami pedagogicznymi i dydaktycznymi żywo się zajmują. Programu szczegółowego jeszcze nie rozwijam - nie sądzę, by na to była obecnie chwila odpowiednia - ale już dzisiaj podniosę z tego programu postulat, który uważam za pierwszorzędny, a stosunkowo najprostszy i o tyle łatwy do urzeczywistnienia, że nie łączy się ze zmianą przepisów, planu nauk i nie wymaga do ogólnego wprowadzenia w życie, zmiany podręczników.

// Jeżeli prawdą jest, - a temu nikt nie przeczy - że szkoła nie tylko ma dawać wiedzę, ale także kształcić charaktery, budzić w młodzieży hart i silną wolę, to trzeba z pomocą nauki i nauczania kształcić poczucie obowiązku. Na uczniów należy więc nakładać pewne obowiązki, w szczególności zadawać im do wyuczania się w domu i czuwać by te obowiązki wypełniali sumiennie.

// Ale obowiązki nie śmią być nadmierne; zaczynać trzeba od małych, zadawać tylko, co i ile słaby uczeń zdoła z łatwością rozumieć i wyuczyć się. Gdy książka jest rozwlekła, przeładowana, zwłaszcza ustępami niejasnymi lub niepotrzebnymi, należy je opuszczać, kreślić, skracać.x/

---

x/ Dla ilustracji rzeczy, o które mi chodzi, przytaczam przykłady: I tak języka niemieckiego uczono nie tylko przez"wkuwanie" w ucznia różnych skomplikowanych reguł gramatycznych, ale nadto przemordowanie tysiącami mało rozpowszechnionych i znanych słówek, np. z zakresu ważniejszych dziedzin technicznych, rzemieślniczych, fabrycznych itd., aby uczeń "wszechstronnie opanował język". Inny przykład: W podręcznikach gramatycznych, matematycznych i innych zamieszczano, idąc metodą dedukcyjną, naprzód ogólne pojęcia i definicje, może nieraz bardzo mądre - chociaż"omnis definitio periculosa est"x- ale których uczeń nie był jeszcze w stanie zrozumieć,albo z których niczego nie mógł się nauczyć. Oto np. w gramatyczkach dla szkół ludowych /zwanych obecnie powszechnymi/ mieściła się następująca definicja: "Samogłoski są to takie głoski, do których wymówienia nie potrzeba znaczniejszej /?/ pomocy żadnego narzędzia mownego, ani języka, ani warg, ani zębów". Jeszcze inny przykład: Kilkanaście miesięcy po posiedzeniu sierpniowym z roku 1916, kiedy na jednym z plenarnych posiedzeń postawiłem na porządku dziennym kwestię rewizji podręczników szkolnych, przestudiowałem poprzednio m.i. pewien podręcznik geograficzny, z punktu widzenia naukowego podobnoś bez zarzutu i podkreśliłem w nim 10 określeń

Nic nie ma gorszego, jak zadawanie ponad siły uczącego się, gdyż to nie tylko zniechęca ucznia, ale przyzwyczaja go także do lekceważenia obowiązków, do powierzchowności, z czasem do blagi.- Blagę ze szkół trzeba usuwać z korzeniem.- Zadawać zatem mało, ale żądać bezwzględnie, by uczeń to minimum w zupełności sobie przyswoił. Niech wie, że w przeciwnym razie nie uzyska promocji. Lepiej, że uczniowie ze szkoły wyniosą mniej, ale dobrze - aniżeli więcej, ale powierzchownie."Non multa, sed multum".

"Hasło to - mówiłem dalej - ma znaczenie dla wszystkich szkół, tak ludowych, jak seminariów nauczycielskich, gimnazjów /szkół średnich ogólnie kształcących/, szkół realnych, gimnazjów realnych, liceów i szkół zawodowych, ale szczególnie powinno być lekarstwem na niedomagania naszej szkoły średniej, w której najwięcej przeciw niej grzeszymy. Nauczyciele tych szkół, nie przeszedłszy przed objęciem swego zawodu praktycznej szkoły, jaką przechodzą nauczyciele szkół ludowych, którzy w szkołach ćwiczeń uczą się uczyć, robią doświadczenia na oddanej jej do wychowania młodzieży - zapomniawszy nawet o tych drobnych

---

pojęciowych, względnie definicji których nie zrozumiałem. Na posiedzeniu plenarnym R.Sz. odczytałem te określenia dla mnie niejasne powoli, dwukrotnie, prosząc z góry, aby obecni członkowie, którzyby czytane określenia zrozumieli, zechcieli każdym razem rękę podnieść. Ręki nikt przez cały czas nie podniósł! Wywołało to wielkie wrażenie, zwłaszcza, gdy powiedziałem, że według sprawozdań, jakie otrzymuję, uczniowie powinni każdą definicję przyswajać sobie pamięciowo, a nawet na żądanie nauczyciela, dosłownie.

zasobach wiedzy dydaktycznej, które z czysto teoretycznych wykładów uniwersyteckich wynieśli. Prawie każdy nauczyciel szkoły średniej, zapatrzony w doniosłość swego przedmiotu, stwarza sobie program z punktu widzenia tego, czego, jego zdaniem, nauczyć trzeba, co przepisuje plan naukowy i przeładowany podręcznik - a zapomina, ile można nauczyć. O siłę percepcyjną dziecka nauczyciel nie troszczy się, zwłaszcza, że, chcąc z niej miarę brać musiałby porozumiewać się ze swymi kolegami w każdej klasie, na co nie ma czasu. I tak zapomina się o tym, że natłok wiadomości i myśli dziecku udzielanych wytwarza chaos, znużenie, osłabienie wrażliwości, niechęć do nauki, przytłacza fantazję, twórczość - tak cenny w rozwoju psychicznym dziecka czynnik, który chronić i rozwijać jest obowiązkiem szkoły. Rolnik wie, że jeżeli zasadzi lub zasieje w ziemię za wiele nasienia lub ziarna, to rozwijające się rośliny, tłumiąc się wzajemnie, marnieją - specjalista, nauczyciel z takimi względami nie liczy się zwyczajnie...
......Proszę zaglądnąć do planów nauki: jaka w nich różnorodność przedmiotów, a potem przejrzeć podręczniki, aby nabrać pojęcia, ile to wiadomości z każdego przedmiotu ma się pomieścić w biednych małych główkach. Ile np. tysięcy słówek niemieckich i łacińskich ma przyswoić sobie uczeń zaraz w pierwszych klasach. Jeden z pp. inspektorów krajowych obliczył na podstawie podręczników z pierwszej i drugiej klasy gimnazjalnej, że uczeń sumienny ó zdolnościach średnich powinienby nie tylko w klasie pilnie uważać, ale nadto w domu pracować po 5-6 godzin, aby nauczyć się tego, czego się od niego z reguły domagają.
A więc dziennie około 10-ciu godzin intensywnej pracy

umysłowej. A czasem, gdy złoży się tak, iż z kilku przedmiotów więcej żądano, może liczba powyższa zostać bardzo przekroczona! Sądzę, że ta liczba dłuższego komentarza nie potrzebuje. Czy takie przeciążenie nie wywołuje w chłopcach i dziewczętach bolesnych i szkodliwych konfliktów między zapałem do pracy, sumiennością, budzącym się poczuciem obowiązku, które wynieśli z domu lub ze szkoły ludowej, a tym co wykonać można? Takie konflikty podnoszą się u dzieci wrażliwych do tragizmu, ale tragizm ten w umyśle i sercu chłopca nie trwa długo. Po szeregu bezskutecznych wysiłków uczeń zniechęca się do pracy, raz jeden i drugi nie wyuczy się, czego miał się nauczyć i przekonuje się, że nic mu się złego nie stało. Dowiaduje się, że można istnieć w szkole bez spełniania obowiązków. Przybywają też różne pomoce i pomocnicy. Odpisuje się zadania, słucha tego, co podpowiadają, posługuje się "brykami", streszczeniami dzieł klasycznych; nauczyciele są zresztą pobłażliwi, instancje i prośby wywierają skutek itd. itd.....i tak powoli dochodzi uczeń do tej perfekcji że przy minimalnym nakładzie pracy przechodzi z klasy do klasy i to nawet nieraz z dobrymi cenzurami,.......,mówi i pisze o rzeczach, o których nie wie nic lub wie niewiele. W klasach wyższych z reguły już się bardzo mało uczy, przechodzi z klasy do klasy "przemysłem", a z czasem wierzy w to, że coś umie na serio. System powierzchowności, lekceważenia obowiązków musi ustać, - a w tym celu trzeba naprzód usunąć grzech główny: przymusowe uczenie i zadawanie ponad miarę tego, co uczeń z łatwością może sobie przyswoić.

Gdy ograniczy się w ten sposób materiał do wyuczenia

przeznaczony, będzie można go egzekwować stanowczo: Uczeń, który pewnego minimum nie umie, nie powinien, jak powiedziałem, promocji otrzymać.....

/ Jeżeli ze szkoły naszej wychodzić będą młodzieńcy, którzy nauczyli się i przyzwyczaili obowiązki sumiennie spełniać, jeżeli z tych młodzieńców będziemy mieli księży, żołnierzy, urzędników, nauczycieli, kupców, rolników, rzemieślników, z których każdy na swym posterunku spełniać będzie gorliwie swe zadanie, szkoła z tryumfem spoglądać może potem na owoce swej pracy; będzie miała zasługi i narodowe i społeczne i polityczne. Te narody są silne i mają wielką przyszłość, w których wszystkie jednostki spełniają swe obowiązki.- A zresztą, nadmieniłem jeszcze, gorliwe spełnianie swych obowiązków - to źródło szczęścia osobistego. Słusznie powiedział taki myśliciel, jak André Gide: ""Szczęście człowieka nie zawiera się w samym szczęściu, lecz w wypełnianiu swych obowiązków........""

"Jesteśmy narodem, posiadającym wybitne zdolności, a jednak, jeżeli w wielu kierunkach nie dochodzimy do wyników równych, zwłaszcza narodom na Zachodzie, to przyczyn w wielkim stopniu szukać należy w braku sumienności, dokładności, solidności naszej pracy, w braku dostatecznego poczucia obowiązku! Mógłbym to wykazywać na licznych przykładach. Ograniczę się tylko do kilku z życia codziennego: Ileż to np.skarg słyszy się na naszych rzemieślników. Nie dotrzymują terminu, pracują niedbale, trzeba żądać ciągłych poprawek itp.". [Tu powołałem się na nowelkę Prusa, który z uczuciem zazdrości wskazuje na gorliwość, sumienność, dokładność i umiejętność rzemieślników

czeskich w spełnianiu swych obowiązków. Przytoczyłem dalej przykład z innej dziedziny: Skargi na nasze władze administracyjne: "Chodzić musiałem - słyszy się nieraz - do urzędu tylokrotnie, czekać godzinami, nie miałem protekcji, załatwiono mi ostatecznie sprawę źle, tak, że nie osiągnąłem tego, czego potrzebowałem, a co mi się słusznie należało". "Oczywiście nie chcę - mówiłem dalej - podstaw takich skarg generalizować. Przecież nie dawno słyszałem z ust urzędnika administracyjnego takie piękne słowa: ""Codziennie wieczorem robię rachunek sumienia, pytając się, czym dnia tego spełniłem należycie swe obowiązki. Wszak od mej decyzji zależy tak często powodzenie, przyszłość i los tych, co się do mnie zwracają. I nie mam nocy spokojnej, gdy sumienie wskaże mi, żem w jakimś przypadku inaczej postąpił, aniżeli postąpić należało"". - Niestety takich urzędników nie ma wielu, a są u nas dość liczni tacy, którzy pojmują swój urząd jako źródło władzy, wyższości, rozdawania łask, wyświadczanych przygodnie i dowolnie pewnym osobom, zwłaszcza uprzywilejowanym przez partie polityczne."x/

---

x/ W kilka lat później w wolnej Polsce byłbym ten ostatni temat znacznie silniej rozwinął. Byłbym m.i.dodał, na podstawie niektórych przeżyć i doświadczeń: "Poczucie obowiązku odnosi się także do obowiązków, które nakłada na nas prawo, a prawo przecież - jak trafnie wyraził się J.J.Rousseau - powinno być w każdym państwie, a zwłaszcza w demokratycznym, suwerenem! Od przestrzegania i szanowania prawa zależy zdrowie naszego życia ekonomicznego i społecznego, a co jeszcze ważniejsze, zależą siły naszej Ojczyzny - potęga naszego Państwa! Brak poczucia prawa podkopuje nie tylko nasze siły wewnętrzne, ale i zewnętrzne, między innymi np.kredyt

Otóż po wywodach, powyżej częściowo przytoczonych, zastrzegłem się również silnie przeciw jednostronnemu pojmowaniu podniesionego przeze mnie hasła. Powiedziałem

---

nasz w stosunkach zagranicznych. Król Waldemar Duński jeszcze w r.1240 rozpoczął swą księgę praw dewizą:""Na prawie należy Kraj budować."" U Anglików, demokratycznie wychowanych, poszanowanie prawa jest tak wielkie, że urzędy podatkowe otrzymują niejednokrotnie skargi podatników dlatego, że podatek wymierzono im za nisko."

Dodam tu jeszcze uwagę, że sumienne spełnianie swych obowiązków w ogólności, a zwłaszcza obowiązków prawnych i to nie tylko przez sądy i władze administracyjne, ale i przez każdego obywatela, jest czynnikiem szlachetnie pojętego patriotyzmu, a nawet propagandową podnietą do rozwijania patriotyzmu u innych. W patriotyźmie tkwią bowiem nie tylko same ideowe pierwiastki. Z boleścią obserwowałem, jak czasem Polacy zniechęcali się do polskich rządów a pośrednio i do Polski dla tego, że władze nasze lekceważyły wobec nich swe obowiązki. Przypominam sobie, co mi powiedział poważny chłop, który przyszedł do mnie o życzliwą radę: "Polska - Polską, ale dobrze nie dzieje się; za czasów austriackich nawet lichy c.k.starosta nie byłby odważył się tak sponiewierać słusznych próśb chłopa, jak to uczynił pan komisarz X w mojej sprawie. Takie krzywdy budzą niechęć do polskich rządów". - Urzędnik administracyjny, który nie wie o tym, że jego patriotycznym obowiązkiem jest służyć społeczeństwu jak najlepiej, powinien być usunięty ze swego urzędu.

zatem mniej więcej słowa następujące: "Jednak chroń nas Boże przed cofaniem się w błędy przeszłości, w szczególności chroń nas przed osławionymi "Einpaukerschulen" ~~/"Kuźniami"/~~, w których nauczyciel uważał za swe zadanie tylko zadawać do pamięciowej nauki /wybębnienia/, a potem pytać, co było zadane.)

Nauka powinna być żywą i przyjemną, a nią jest wtedy, gdy budzi i rozwija samodzielność i siły twórcze w młodzieży. Dlatego z radością śledzę wprowadzanie - byle w miarę - metody ~~hauxxtaxx~~ heurystycznej, zwłaszcza w dziedzinie nauk matematycznych i przyrodniczych! Ileż to radości wywołuje w skutkach metoda indukcyjna u ucznia, który, poznawszy w drodze analizy fakty, odkrywa potem sam w nich wspólne cechy i łączy je w syntezy. - Mocno podkreślałem także cele zadań nadobowiązkowych, zwłaszcza dla uczniów zdolniejszych, lektur, wykładów utalentowanych nauczycieli, rozwijających inteligencję młodzieży. Wszak po dziś dzień wspominam piękne, wprost porywające wykłady z historii polskiej prof.Juliusza Miklaszewskiego, jakich słuchałem jako uczeń gimnazjum św.Anny, albo czytaną nam przez prof.J.Stroke Nieboską Komedię - którą prelegent równocześnie mistrzowsko objaśniał, wprowadzając nas w świat socjalnych i ekonomicznych zagadnień, tak głęboko i proroczo ujętych w "Śnie"."

Reasumując dotychczasowe wywody, dodałem uwagę: "Postęp kroczy naprzód ruchem dialektycznym. Przerzucamy się z łatwością z jednej ostateczności w drugą. Dlatego wyraziłem obawy, żeby hasło "Non multa, sed multum", które w swym programie wysoko stawiam, nie zostało zniekształcone przez jednostronność w jego ujęciu i stosowa-

niu. Pamiętajmy zatem także o innym trafnym przysłowiu łacińskim: "Et haec facienda et illa non omittenda".

Wspomniałem, że Senat Akademicki U.J., do którego miałem zaszczyt należeć, już na kilka lat przed wybuchem wojny światowej zaniepokojony obniżającym się coraz więcej poziomem wiedzy w młodzieży rozpoczynającej studia uniwersyteckie, zaniepokojony też niewyrobieniem pamięci, słabym umysłem obserwacyjnym, a, co gorsza, brakiem woli i niewyrobionym charakterem u uczniów, opracował memoriał, którego przewodnią myślą było: "Szkoła ma być instytucją, w której surowy materiał prymitywnych uczuć i wyobrażeń przekształca się na subtelną tkankę bogatego życia duchowego". Senat nasz wyraził, jak sądzę, dewizę trafną.

Pod powyższymi hasłami postawiłem pod obrady szereg konkretnych wniosków, które po części na posiedzeniach sierpniowych, a w większej części na posiedzeniu z 16 listopada 1916 r. doprowadziły do uchwał, o których p.w Kronice Rady Szkolnej x/ na str.54 i następnych, gdzie znaleźć można również omówienia innych zadań, poruszanych na pierwszym posiedzeniu.

---

x/ O działalności R.S. przed wojną wydawano corocznie obszerne sprawozdania z wielkim materiałem statystycznym. Ostatnie wyszło w 1913 r. W czasie wojny nie było można myśleć o takich publikacjach. Ponieważ jednak zależało mi na tym, by działalność R.S. za czas trzechlecia mego urzędowania /od r.1916-1919/ przedstawić a poniekąd także usprawiedliwić, zwłaszcza wobec oskarżeń pewnych natury politycznej przeciw mnie w r.1919 skierowanych, powołałem do życia komitet redakcyjny pod swim przewodnictwem, złożony z inspektora krajowego Michała Siwaka,

Program nakreślony na posiedzeniach sierpniowych w r.1916, a bardzoprzychylnie przez R.S. przyjęty, rozrastał się w ciągu najbliższych trzech lat i krystalizował w kilku kierunkach na podstawie szczegółowych obrad, których wykładnikiem był szereg uchwał i zarządzeń R.S.

Z przyjemnością zaznaczam, że, jak mnie z wielu stron zapewniano, prasa nasza mimo wojny nie poświęcała

---

inspektora powiatowego Wanczury i prof.Lesława Jaworskiego, aby ułożył Kronikę R.Szk/Kr. za to trzechlecie. Sam objąłem kierownictwo redakcyjne, a część IV napisałem wyłącznie sam. Fundusze na to wydawnictwo miałem szczupłe, skutkiem czego, Kronika obejmuje łącznie tylko 140 str.druku. W niej wiele rzeczy ważnych trzeba było traktować bardzo pobieżnie. Nie wiem, czy dla oszczędności, czy z innego jakiegoś powodu, zwielokrotniono Kronikę tylko w 200 egzemplarzach tak, że ma być ona podobnoś rzadkością bibliograficzną!

"Kronika R.Szk.Kr." /nazywana przeze mnie w "Wspomnieniach" krótko Kroniką/ składa się z Wstępu i czterech następujących części: I. Dola nauczycielstwa /str.11-31/; II. Inne braki i powody upadku szkolnictwa /str.32-45/; III. Działalność pedagogiczna-dydaktyczna /str.46-96/; IV. Z polityki i administracji /str.97-133/; Pomijam w"Wspomnieniach" prawie zupełnie pierwsze dwa działy,bo znaczenie owych bolesnych faktów przestało być aktualne. Na tym miejscu nadmieniam tylko, że R.S. miała w tym zakresie nader trudne zadania; między innymi raz dla braku funduszów odpowiednich; powtóre wobec tego, że przez długi czas znaczna część kraju była dla nas niedostępna; po trzecie z powodu wielkiej redukcji niezbędnego personelu administracyjnego w R.S.itd. Podziwiałem nieraz nadzwyczajną pracowitość tych funkcjonariuszów, którzy nam pozostali. Z pełnym uznaniem nazywałem ich "bohaterami pracy". Stosunki co do personelu poprawiły się dopiero, odkąd w czerwcu 1918 r. R.S. powróciła do Lwowa. Ale skutkiem wojny domowej z Rusinami ~~/Ukraińcami/~~ sytuacja znowu pogorszyła się znacznie i to przez przeszło sześć miesięcy.

nigdy dotychczas tyle miejsca sprawom szkoły, ile w owym trzechleciu. Zabierali głos na łamach dzienników i pism fachowych profesorowie uniwersytetów, dyrektorowie i profesorowie szkół średnich, nauczyciele ludowi, członkowie R.S.K. Nie brak było i artykułów pisanych przez rodziców, a nawet ludzi zdala wprawdzie stojących od szkoły, lecz przejętych duchem obywatelskim i troską o przyszłość młodzieży. Jak sam w różny sposób zdawać musiałem sprawę z tego, co Rada działała i co zamierza na przyszłość - w szczególności w wywiadach, które pojawiały się potem w pismach codziennych lwowskich i krakowskich, - te zaś wywiady dawały impuls do nowych rozważań, rad i wskazówek, jakie społeczeństwo zapomocą drukowanego słowa dawało Radzie. Nawiązały się ściślejsze stosunki między Radą a znaczną częścią społeczeństwa, która dobro i przyszłość szkoły wysoko stawiała. Silny wpływ na to zajęcie się szkołą w r.1919 zaczęły wywierać także wieści, przychodzące z Warszawy o bardzo radykalnych zmianach, jakie nasze Ministerstwo Oświecenia zamierza wprowadzić w ~~axxx~~ ustrój szkół powszechnych i średnich, oraz kierunki pedagogiczne i dydaktyczne.

Wdzięczny i sympatyczny oddźwięk w społeczeństwie, jakim cieszyła się Rada Szkolna w latach 1916,1917 i 1918 zaczął się psuć dopiero w pierwszych miesiącach 1919 r., a dysharmonia doszła do najsilniejszego zgrzytu w maju i w czerwcu tegoż roku. Powodem nie były już jednak różnice w poglądach wychowawczych i nauczania dotyczących, ale pewien program natury przede wszystkim politycznej, który przedłożyłem Rządowi. O tych rzeczach zdam więc

sprawę w częściach dalszych głównie końcowych niniejszego rozdziału.

C. Nadmierny ~~w~~ naj~~p~~pływ młodzieży do gimnazjów klasycznych.
Wywiad u mnie redaktora "Gazety Wieczornej".

Jeszcze przed wybuchem wojny światowej austr.Ministerstwo Wyznań i Oświaty zwróciło się do R.S. z uwagą, że w naszym kraju rośnie, już dotąd nadmierny, napływ młodzieży do gimnazjów klasycznych, a stosunkowo mała liczba uczniów zapisuje się do szkół realnych, gimnazjów realnych i szkół zawodowych, że więc należałoby zbadać przyczyny tego, bądź co bądź nienormalnego zjawiska i ewentualnie pomyśleć nad środkami zaradczymi przeciw objawowi dla społeczeństwa niekorzystnemu. Wkrótce po objęciu funkcji przewodniczącego R.S. zająłem się zagadnieniem z tym zjawiskiem połączonym i powierzyłem referat drowi Karolowi Opuszyńskiemu, jednemu z najlepszych inspektorów krajowych. /Nawiasowo dodaję, że skład inspektorów krajowych był w R.S. za moich czasów na ogół pierwszorzędny/. Pan Opuszyński przedstawił gruntowny referat już na posiedzeniu listopadowym tegoż roku i odtąd sprawa weszła na porządek dzienny także dalszych posiedzeń. Zainteresowały się nią szerokie sfery społeczeństwa. I to było powodem, że redaktor lwowskiej Gazety Wieczornej zgłosił się u mnie z prośbą o wywiad. Oświadczyłem gotowość spełnienia jego

życzenia, jednakże z tym zastrzeżeniem, że skoro zdania w R.S. są dotąd nieco rozbieżne, a w każdym razie nieustalone, przeto mogę mu przedstawić tylko swoje osobiste poglądy. Sprawozdanie z wywiadu Gazeta Wieczorna ogłosiła z dn.2 kwietnia 1917 r. Podaję z niego następujące wyimki:........"Jestem stanowczym zwolennikiem gimnazjum klasycznego z łaciną i greką. Kto chce poznać i zrozumieć w pełni, a więc i genetycznie, naszą kulturę, ten musi poznać język a potem literaturę tych dwóch wielkich narodów. Język bowiem - podobnie jak prawo narodu - jest miękką, podatną formą, na której kultura odciska się jak obraz plastyczny na wosku. Bez znajomości języka nie pozna nikt w pełni narodu i jego kultury - może o nim mówić czytać i pisać, może z tłumaczeń nabierać wyobrażeń o jego dziełach literackich, ale go naprawdę nie zrozumie. Trzeba zatem nauczyć się języka greckiego, by poznać należycie starożytnych Greków i ich wielkie dzieła, by poznać Helladę, kolebkę humanizmu i nowoczesnej kultury, by pojąć tę dziwną harmonię i boskim pięknem pociągający świat, z którego wychodzą wielkie impulsy naszej wiedzy i sztuki.

Oto dlaczego gimnazjum klasyczne i humanistyczne w ściślejszym tego słowa znaczeniu nie może porzucić nauki nie tylko języka łacińskiego, ale i greckiego i powinno doprowadzać uczniów do możności rozczytywania się w oryginałach dzieł greckiej literatury.

Ale iluż ludzi potrzeba społeczeństwu z taką głęboką genetyczną znajomością naszej kultury? Czy tylu, ilu chłopców i dziewcząt zapisuje się u nas do gimnazjów? Czy Galicja potrzebuje tak licznych znawców kultury sta-

rożytnej i czy może ich tylu wychować i wykształcić? Czy do tej wysokiej duchowej biesiady nie jest za dużo powołanych - a mało wybranych? Na te pytania, sądzę, odpowiedź nie może być wątpliwa. Rażącą jest więc w naszym kraju dysproporcja między ilością gimnazjów klasycznych i ilością zapisujących się z jednej strony, a z drugiej strony ilością ludzi uzdolnionych do wysokiego humanistycznego wykształcenia, oraz ilością zapotrzebowania ich w społeczeństwie. Nie ma zaś dosyć szkół realnych i szkół fachowych, handlowych, przemysłowych i rolniczych. U nas, kto nie poprzestaje na nauce w szkole ludowej lub wydziałowej, zapisuje się z reguły do gimnazjum klasycznego. Szkoła klasyczna przestaje więc być tym, czym być powinna, a zamienia się z konieczności w szkołę powszechną - chociaż wyższą! Stąd to liczne zastępy zapisanej młodzieży upatrują w grece, a także w łacinie tylko ciężar, balast niepotrzebny, uczą się wprawdzie gramatyki i bębnią słówka, a by przejść z klasy do klasy, czytają mniej lub więcej mechanicznie nieśmiertelne dzieła klasyków, a tak mało je poznają, że, opuściwszy szkołę, rzucają je z przyjemnością, aby do nich więcej nigdy nie zaglądnąć. Z litością i współczuciem patrzą wraz z rodzicami na młodsze rodzeństwo, które nadal ma "mordować się" nad Cyceronem, Horacym lub Demostenesem i Sofoklesem itd. - "Jeszcze na łacinę zgoda" - mówią - "bo łaciny potrzebuje do nabożeństwa ksiądz, lekarz do napisania recepty, prawnik do czytania "corpus juris civilis" - ale pocóż ta greka?" - Tak sobie rodzice z dziećmi biadają, a nauczyciele coraz więcej ulegają prądowi ogólnemu i uczniom pobłażają, wyczuwając, że uczą nie w gimnazjum klasycz-

nym, ale w wyższej szkole powszechnej - świadomi tego, że tym licznym rzeszom uczniów nie ~~idzie o~~ zależy na wysokiem humanistycznem wykształceniu, ale na patencie dojrzałości - jako środku do szukania chleba. Szkoła klasyczna doprowadza rzesze uczniów po ciężkiej, żmudnej i bezcelowej pracy najczęściej tylko przed kurtynę; wybranym pozwala przez otworki wglądnąć w wielką scenę starożytnego świata, ale kurtyny nie odsłania, przed okiem widzów nie otwiera szerokiego piękna i harmonii obrazu, któryby pozostał w ich pamięci, jak gwiazda przewodnia przez życie całe i do któregoby nieraz później wracali, gdyby w gimnazjum byli zdołali weń się wpatrzyć należycie i swobodnie.

//.......Z takich to powodów trzeba zdecydować się na redukcję znaczną, choć powolną, szkół klasycznych, uczynić je przez podniesienie ich poziomu mniej dostępnymi, a zastąpić część ich szkołami, jakich nam już teraz potrzeba i coraz więcej w przyszłości potrzeba będzie: dobrymi szkołami realnymi i szkołami zawodowymi.

//.......Nie jestem zwolennikiem żadnych gwałtownych i szybkich zmian, nie chcę rewolucji, ale pragnę postępu spokojnego w drodze ewolucji. Z tego punktu widzenia nasuwa się sama przez się jako forma dogodna i podatna - gimnazjum realne. Uważam ją za środek przejściowy.

Nie wiemy jeszcze, co po wojnie będzie. Nie wiemy, ilu będzie nam potrzeba realistów, ilu handlowców, przemysłowców i rolników - nie wiadomo, jak się życie ekonomiczne u nas rozwinie - zresztą rodzice nie chcą, często i nie mogą z góry rozstrzygać o przyszłym zawodzie swych dzieci, czy kształcić je na humanistów, czy na realistów. To przecież dwa odrębne światy. - Siła przyzwyczajenia i

głęboko zakorzenionych uprzedzeń odgrywa także pewną rolę. Społeczeństwo domaga się więc szkoły średniej, powszechnej, do tych wymogów zbliża się gimnazjum realne. Daje ono i to i owo: uczy łaciny tyle, co gimnazjum klasyczne, ale nie greki, zato uczy francuskiego lub angielskiego /nauka języka niemieckiego była obowiązkowa/; uczy więcej - niż gimnazjum realiów chemii, fizyki itd. ~~itd,~~ wszystkiego po trosze - a przytem uprawnia do wstępu na uniwersytet, prawie na wszystkie wydziały. Przytem przygotowuje lepiej, niż gimnazjum klasyczne do politechniki.

Przeciwnicy Greki agitują nadto za realnem gimnazjum argumentem, że przecież byli nawet wielcy humaniści na świecie, którzy wykształcili się na łacinie, a po grecku nie umieli.

Oto przyczyny, dla których gimnazjum realne jest coraz popularniejsze. Niewątpliwie nie można zachwycać się tym typem szkoły, któremu brak jednolitej podstawowej myśli i organizacji, konsekwencji i ścisłości z punktu widzenia dydaktycznego. Ale typ ten istnieje, a wiele względów praktycznych za nim przemawia. Jako forma przejściowa ma swe wielkie zalety i może służyć na czas pewien jako szkoła powszechna wyższa.

Z tymi względami liczy się i liczyć musi R.S., jeżeli patrzy na świat realnie, nie po doktrynersku - jeżeli nie ma spotkać się z zarzutami, że w niej zasiadają archeologowie, historycy, idealiści, rozumiejący może świat piękna klasycznego, ale nie znający potrzeb społeczeństwa."

Dla mych poglądów znajdowałem w R.S. na ogół poparcie. Rzecz znamienna, że w dyskusjach popierali mnie zwłaszcza reprezentanci filologii klasycznej.

Do tego tematu powrócę jeszcze w dalszym ciągu. Stał się on szczególnie aktualny, gdy sprawa weszła na inne tory w wolnej Polsce /p.poniżej pod literą R./.

D. Sprawa ucznia Wodnieckiego.

Dowództwa wojsk austriackich starały się usprawiedliwiać klęski militarne w latach 1914 i ~~nst.~~ następnych wrogim dla Austrii usposobieniem ludności ruskiej, a także poniekąd polskiej, częstymi zdradami i sympatyzowaniem z wojskami rosyjskimi, a nawet szpiegostwami na ich rzecz. Trzeba przecież było znaleźć kozła ofiarnego. Powołując się na takie nieprzyjazne nastawienie ludności cywilnej, Armee-Ober-Kommando /A.O.K./, wprowadziło w ówczesnej Galicji po miastach i miasteczkach t.zw. Kundschaftstellen t.j. biura szpiegowsko-donosicielskie, które zwracać się mogły /bezpośrednio/ do Głównego Dowództwa. W biurach tych zajęte różne obskurne indywidua starały się przypodobać organom wojskowości i zdobywać korzyści przez donosy prawdziwych lub zmyślonych zdarzeń. Dzięki osobistej interwencji namiestnika Dillera u cesarza Karola udało się z czasem doprowadzić do zwinięcia tych Kundschaftstellen. Jednak skutek był krótkotrwały. Wkrótce po dymisji br. Dillera wprowadzono ponownie biura podobne, tylko pod nazwą zmienioną: "Nachrichtenstellen".

Otóż jeszcze za czasów funkcjonowania Kundschaftstellen w r.1916, uczeń ósmej klasy gimnazjum tarnowskie-

do, Wodniecki, syn krakowskiego dentysty, dra Wodnieckiego, młodzieniec niezwykłych zdolności i bardzo przez kolegów lubiany, urządził jakąś uroczystość koleżeńską, na którą zaprosił także popularnego wśród młodzieży profesora. Na kilka dni przed tą uroczystością wojska austriackie poniosły porażkę czy większą klęskę, a tarnowska Kundschaftstelle doniosła Głównemu Dowództwu, że powodem uroczystości była owa klęska wojska austr. Dowódca korpusu krakowskiego, generał Brandtner, "ein schneidiger Offizier", wychowanek szkół wojskowych, kazał aresztować Wodnieckiego i kilku innych jego towarzyszy, oraz profesora. Ja otrzymałem o tym wszystkim wiadomość ze sfer szkolnych z prośbą, żeby robić co można dla ratowanie przede wszystkim głównie obwinionego Wodnieckiego, o którego losy są poważne obawy.

O pomoc zwróciłem się do br.Dillera, który dwukrotnie interweniował w A.O.K., ale bezskutecznie. To jedynie uzyskaliśmy, że otrzymałem pozwolenie przysłuchiwania się przez cały czas rozprawie, która toczyła się przeciw Wodnieckiemu przed sądem wojskowym. Jednak ta pozornie mała zdobycz okazała się w skutkach zbawienną. Uważałem już od początku toku rozprawy, że sąd widocznie liczył się z moją obecnością. Sąd wiedzieć musiał, że jestem profesorem prawa, skoro audytor, oskarżyciel, był moim dawnym uczniem. Sprawę traktowano objektywnie a nawet z pewną życzliwością i wyrok zapadł uniewinniający. Z radością wyszedłem z sądu, ale nadspodziewanie po kilku minutach przystąpił do mnie na ulicy Warszawskiej ów audytor, oskarżyciel i powiedział mi bardzo poufnie. "Sprawa mimo wyroku sądowego nie jest wygrana, bo generał Brandtner po

wglądnięciu w akty jako Kriegsherr może skazać Wodnieckiego nawet na śmierć". Usłyszawszy to, podziękowałem prokuratorowi za ostrzeżenie i udałem się natychmiast na Stradom do Komendy Korpusu, prosząc o przyjęcie przez Brandtnera. Przyjęty przez generała, odezwałem się mniej więcej w słowach następujących: "Ekscelencjo, wracam właśnie z rozprawy przeciw Wodnieckiemu. Sąd uznał bezwinność Wodnieckiego, który mógł był zostać ofiarą podłych donosicieli. Przyszedłem do Ekscelencji zakomunikować z radością, nie wątpiąc, że wiadomość ta będzie miła i dla Ekscelencji". Na to Bradtner odpowiedział: "Panie Prezydencie, prawomocność wyroku zależy ode mnie, a ja nie wiem jeszcze co uczynić, skoro uważam za swój obowiązek, żeby odstraszać ludność od tego rodzaju manifestacyj/. "Man wird doch vielleicht ein Exempel statuiren müssen". /Trzeba będzie może stworzyć przykład odstraszający/. Po tych słowach odezwałem się: "Ekscelencjo, dziękuję za szczerość, którą uważam za objaw szlachetny. Sądzę, że nawzajem jestem obowiązany i ja do szczerości i dlatego oświadczam Ekscelencji szczerze i stanowczo, że zaraz stąd pójdę do urzędu telegraficznego i nadam depeszę do nadwornej kancelarii cesarskiej z prośbą o nadzwyczajną audiencję u cesarza Franciszka Józefa "celem ratowania życia człowieka". To oświadczenie zrobiło na Brandtnerze wrażenie olbrzymie. Z początku zmieszał się wielki generał, a potem, opanowawszy się, powiedział: "I ja chcę być lojalnym wobec Pana; otóż zwracam uwagę, że Pański pośpiech jest przedwczesny. Ja każę sobie bowiem naprzód akty przedłożyć i muszę rzecz zbadać dokładniej, niż ją dotąd znam. Otóż jeżeli przyjdę do przekonania, że Wodnieckiego trzeba skazać, doniosę o tym Panu do Białej i to

o tyle na czas, żebyś Pan mógł jeszcze odwołać się do Najjaśniejszego Pana." Przyjąłem do oświadczenie z podziękowaniem do wiadomości, bo zrozumiałem tym samym, że sprawę wygrałem. Nie pomyliłem się; wyrok uniewinniający został przez Brandtnera zatwierdzony.

Potem rozmawialiśmy jeszcze o różnych rzeczach, ale nie bardzo mądrze: Brandtner mówił np. jakim to nonsensem są te różne narodowości w Austrii, że wojna będzie miała ten dobry skutek, iż po niej wszyscy w Austrii nauczą się po niemiecku a z czasem mówić będą wyłącznie tym językiem. Bardzo ujemnie Brandtner wyrażał się o Polakach jako żołnierzach, m.i. na tej podstawie, że widział, jak pułk Krakowski /13/ wymaszerowywał do boju z chorągwią Matki Boskiej. "I to mają być żołnierze!" Na moje zdanie przeciwne odpowiedział: "Na podstawie tego, co widziałem w bojach, w których brałem sam udział, mogę uczynić wyjątek tylko co do brygadiera Piłsudskiego i jego żołnierzy. Byłem ja z mym wojskiem w najbliższym sąsiedztwie oddziału Piłsudskiego, w najstraszniejszym ogniu huraganowym i zachowywaliśmy się, my dwaj, jakby to była gra w karty." Zdaje się, że Bradtner mówił o tym, żeby się pochwalić.- Kiedy kiedyś potem powtórzyłem przy sposobności enuncjacje Bradtnera marsz.Piłsudskiemu, zaśmiał się i powiedział do mnie: "Generał Bradtner, - przypominam go sobie dobrze! Ależ to był bardzo, bardzo zwyczajny trołpier!" Widocznie Marszałek Piłsudski nie miał o nim wysokiego pojęcia.

E. Projekt ministerialny reformy seminariów nauczycielskich.

Było to - o ile pamiętam - z początkiem 1917 r. Położenie militarne i polityczne Austrii stawało się coraz gorsze. Wojska poniosły szereg klęsk, zależność od Niemiec rosła z każdym dniem. W takim to czasie otrzymałem od dra Ludwika Ćwiklińskiego wówczas pierwszego szefa sekcyjnego w Ministerstwie Wyznań i Oświaty "w najpoufniejszy sposób" zaproszenie, bym przybył do Wiednia na konferencję ministerialną. Przedmiotem obrad według komunikatu będzie projekt ogólnej państwowej ustawy o seminariach, mających kształcić kandydatów na nauczycieli szkół ludowych. Projekt, który miał być jak najrychlej przedłożony parlamentowi /Radzie Państwa/ został do zaproszenia dołączony.

Oczywiście wyjechałem na oznaczony dzień do Wiednia. Gdy przybyłem do sali obrad, zdziwiło mnie, że między obecnymi znajdowali się sami wyżsi urzędnicy ministerialni a prócz mnie nie było nikogo z rad szkolnych krajowych.

Obrady rozpoczęły się pod przewodnictwem szefa Ćwiklińskiego. Wstępne przemówienie ożywione gorącym patriotyzmem austriackim wygłosił nieznany mi hofrat, przydzielony do Ministerstwa, będący już w podeszłym wieku. Przedstawił groźną sytuację Austrii a winę przypisywał w znacznym stopniu temu, że w Austrii nie ma dość patriotyzmu, że patriotyzm powinien być przede wszystkim wszczepiany w szkołach ludowych, co się w Austrii nie dzieje w stopniu dostatecznym, a, powołując się na zdanie Bismarcka,

że wojnę w 1871 r. wygrał niemiecki nauczyciel szkół ludowych, scharakteryzował opracowany przez siebie projekt reformy seminariów nauczycielskich, dla którego, jak widziałem, wśród zebranych usposobienie było jak najlepsze, a to ze względu nie tyle na jego treść, ile na motywy patriotyczne, które ożywiały projekt. Nie bardzo rozumiałem że nie podniesiono zarzutu przeciw całej akcji. Czyż można było na serio traktować zamiar ratowania chylącej się ku upadkowi Austrii przez ustawę, której skutki mogły były wystąpić najwcześniej dopiero po latach kilkunastu, a może dopiero po latach kilkudziesięciu. Wobec nastroju patriotycznego, jaki panował w zebraniu, zarzutu takiego podnieść nie mogłem, ale też zdawałem sobie sprawę z tego, że już w dyskusji generalnej nie mogę oświadczyć się za przyjęciem projektu jako podstawy do szczegółowej dyskusji. Na zapytanie zatem - po przemówieniu kilku innych panów - do mnie skierowane, co powie prezydent tej Rady Szkolnej, która posiada najdalej idący samorząd, oświadczyłem: "Z przykrością zająć muszę stanowisko przeciwne projektowi, a to z powodu prawnego, nader prostego: Projekt ustawy według swej treści należy po myśli art.11 lit "i" ustawy zasadniczej z 1867 r. o przedstawicielstwie Państwa - wyłącznie do kompetencji sejmów krajowych, a nie do Rady Państwa i dlatego, o ile chodzi o kraj, który ja reprezentuję, oświadczam, że projekt powinien być przedłożony /po ewentualnym opracowaniu przez R.S./ Sejmowi galicyjskiemu".

Moja enuncjacja wywołała wrażenie takie, jak gdybym oblał obecnych zimną wodą. Po chwili ogólnego milczenia zabrał głos referent i zwrócił się do mnie z prośbą, bym od opozycji opartej tylko na czysto formalnym przepisie,

jakim jest art.11 ustawy zasadniczej, odstąpił, skoro przecież chodzi o dobro tak wielkie, jak ratunek Ojczyzny. Kilku obecnych przyłączyło się do tych przedstawień, poczem zabrałem głos ponownie, oświadczając, że życzeniom przedmowców nie mogę uczynić zadość, bo jestem związany przysięgą na wierność ustawom zasadniczym. - Sytuacja wytworzyła się trudna, tak, że przyjęto bardzo chętnie formalny wniosek szefa sekcji, Fescha, żeby przerwać obrady do godzin popołudniowych.

Urzędnicy rozeszli się, ale zatrzymał mnie p.Ćwikliński i powiedział wówczas, oczywiście już w języku polskim jak jest na mnie poirytowany, nawet oburzony: "Odznaczyłem Pana ze względu na Galicję - powiedział - zapraszając jedynie Pana z pośród wszystkich prezydentów r.szk.kr. na konferencję w tej sprawie, a Pan mi urządzasz opozycję, która rzuca najgorsze światło na brak austriackiego patriotyzmu u Polaków - tak często przeciw nam podnoszonego. Powinieneś Pan swą opozycję cofnąć". Odpowiedziałem że tego nie uczynię, bo jako Polak nie mogę głosować niezgodnie z prawami konstytucyjnymi naszego kraju.

Dla wytłumaczenia kilku powyższych słów p.Ćwiklińskiego, które mogłyby zadziwić, dodaję tu jego sylwetkę: Ćwikliński był z zawodu profesorem języka starogreckiego i literatury. Z pochodzenia Poznaniak, otrzymał w młodym wieku w berlińskim gimnazjum posadę profesora języka i piśmiennictwa greckiego. Dzięki swym wybitnym zdolnościom i pięknym pracom naukowym powołany został na profesora Uniwersytetu do Lwowa i został czynnym członkiem Polskiej Akademii Umiejętności. Jego wielkie zdolności, dar wymowy świetna znajomość języka niemieckiego, a także konstela-

cja polityczną stały się powodem, że rząd powołał go na stanowisko szefa sekcji w ministerstwie oświaty. /W lipcu 1917 r. został ministrem/. Był to człowiek wielkiej dobroci i łagodności a tylko wobec Polaków występował czasem ostro, uważając nas za ludzi krnąbrnych, niekarnych /w porównaniu z Prusakami, których znał tak dobrze/, a przy tym oburzało go wszystko, co mogło tchnąć jakąś nielojalnością wobec dynastii i tego państwa, w którym Polakom działo się o wiele lepiej aniżeli pod zaborem pruskim i rosyjskim, bośmy tu mieli szeroki samorząd, a nawet autonomię. Na ogół trzeba Ćwiklińskiemu wystawić świadectwo najlepsze, ale z dwoma zastrzeżeniami: raz,że bał się bardzo Niemców i liczył się ponad miarę nawet z opinią podwładnych sobie urzędników niemieckich, a powtóre, że nie miał niezbędnych kwalifikacji do rządzenia, o czym żartobliwie a nawet z kpinami wyrażano się nieraz w Wiedniu. - Ja miałem z nim osobiście kilka zatargów, które skończyły się wszystkie dobrze, pomimo, że przy swym zdaniu zawsze obstawałem. Także powyższy konflikt skończył się dobrze.

Gdyśmy zeszli się popołudniu zauważyłem, jak niezwykle Ćwikliński był rozdrażniony. Pierwszy zapisał się do głosu szef sekcji Fesch i oświadczył: "My, obecni tu urzędnicy ministerialni odbyliśmy wspólną konferencję i na podstawie naszego porozumienia stawiam wniosek następujący: Przyjmujemy protest prezydenta Zolla do poufnej wiadomości i jego o poufność prosimy, a do projektu dodajemy artykuł krótki, treści następującej: ""Ustawa niniejsza nie ma mocy obowiązującej w Galicji."" Zabrałem natychmiast głos, oświadczając: "Dziękuję Panom za Waszą

wyrozumiałość; zachowanie poufności sprawy przyrzekam, a wobec tego, że jestem tu przedstawicielem tylko Galicji która skutkiem dodatkowego artykułu nie wchodzi w grę, zgłaszam wobec projektu zupełne désintéressement". Oświadczenie moje przyjęto oklaskiem, po czym pożegnałem się z obecnymi, aby powrócić do Lwowa. Żegnając się z Ćwiklińskim, powiedziałem do niego cicho po polsku: "Widzi, Ekscelencja, że nie było powodu do irytacji; koniec jest dobry". "Tak, odpowiedział Ćwikliński, udało się Panu, lecz coby się było stało, gdyby Fesch nie był miał tak doskonałego pomysłu!"

F. Namiestnicy Galicji: br.Diller i hr.Huyn.

W lutym 1917 r. otrzymał dymisję namiestnik, br. Diller. W ciągu swego niedługiego urzędowania zyskał sobie taką ogólną sympatię, że urzędnicy Namiestnictwa, R.S. i Dyrekcji Skarbu postanowili go pożegnać pięknym adresem i przemową uroczystą, a do wręczenia adresu i przemówienia wybrali mnie i dwóch urzędników z namiestnictwa i dyrekcji skarbu. Wyjechaliśmy do Wiednia, spełniliśmy tam powierzoną sobie misję, po czym br.Diller zaprosił nas na obiad.

Po obiedzie w ciągu rozmowy przypomniałem Dillerowi i opowiedziałem innym obecnym zdarzenie następujące, które tu powtórzę, bo jest godne powtórzenia ze względu na pamięć, jaką po sobie br.Diller u nas zostawił.

"W kilka dni po objęciu przeze mnie urzędowania

namiestnik wręczył mi pismo, jakie otrzymał z A.O.K. Pismo donosiło na podstawie relacji z Kundschaftstelle o nielojalnym i niepatriotycznym zachowaniu się prof. gimn.X., którego zdaniem A.O.K. należałoby przykładowo ukarać. Namiestnik powiedział mi wówczas: ""Ja, panie, nie robię sobie nic z różnych babrot /Wisch/ A.O.K. Chciałbym jednak wiedzieć, czy to doniesienie polega na prawdzie i co to za człowiek ten pan X."" Na podstawie sprawozdania właściwego inspektora krajowego powiedziałem nazajutrz namiestnikowi, że przewinienie X-a jest nie wielkie, ale zdaniem inspektora byłoby rzeczą wskazaną skorzystać z tego zdarzenia i usunąć na zawsze ze szkół tego nauczyciela, który w różnych kierunkach obowiązków swych nie spełnia należycie. Na to usłyszałem takie słowa z ust namiestnika: ""Proszę, o ile pan nie ma nic przeciw temu, wezwać pana X. do siebie w swym własnym i moim imieniu, przedstawić mu cały stan rzeczy, a w szczególności to, co administracja szkolna ma mu do zarzucenia i dodać, że w tej sytuacji moglibyśmy natychmiast usunąć go ze szkół, że jednak postanowiliśmy tego nie uczynić, ale zażądać, żeby się X. opamiętał i poprawił i w ten sposób okazał nam wdzięczność.""

Zgodnie z życzeniem p.namiestnika, rozmówiłem się z nauczycielem X. w tonie poważnym, ale i serdecznym, a X, zwruszony powiedział mi, że się poprawi ku naszemu zadowoleniu i to uroczyście przyrzeka. Odtąd miewam o nim relacje od właściwego inspektora co miesiąc. Nauczyciel zmienił się nie do poznania. Jest teraz wzorem obowiązkowości i zachowywania się pełnego godności.

""Jakąż przyjemność sprawiłeś mi Pan tą wiadomością,

Panie Prezydencie, powiedział do mnie br.Diller. Zdaje się, żeśmy wspólnie uratowali człowieka!""

Takim był namiestnik Diller. Jego następcą zamianowany został generał hr.Huyn.

Ludność polska przyjęła [illegible] nominację hr.Huyna z obawą, iż generał ten będzie podatnym narzędziem A.O.K. i rządu centralnego. Obawy te jednak okazały się wkrótce nieuzasadnionymi. Huyn, bardzo samodzielny i odznaczający się żywym temperamentem, gorliwy katolik /arcybiskup praski był jego bratem/, przywiązany głęboko do dynastii i do Austrii, jako swej ojczyzny, a zupełnie wolny od szowinizmu niemiecko-narodowego, upatrywał interes dynastii i Austrii w unikaniu wszystkiego, coby mogło jątrzyć i drażnić narody w Galicji zamieszkałe. Rozpatrzywszy się dokładniej w sytuacji, wytknął sobie własny plan polityczny, bezstronnością i życzliwością dla Polaków i Rusinów kierowany i paraliżował niejednokrotnie różne nieprzyjazne zamiary władz wojskowych, a nawet pewne zakusy ministerstw austriackich. W stosunku do R.S. pozostawił mi obszerną władzę dyskrecjonalną, żądając jednak sprawozdań z najważ-niejszych zdarzeń. Tylko raz jeden wmięszał się bezpośrednio i to bez porozumienia się ze mną w mój zakres działania, co prawda w czasie, gdy był we Lwowie, a ja w Białej. Mianowicie pod wpływem budzących się wśród Polaków nadziei, że Polska powstanie, odbył się w styczniu 1919 r. we Lwowie wiec legalny, gdyż zmierzający według zapowiedzi do demonstracji za powstaniem Polski suwerennej, której królem będzie cesarz Karol - tak samo, jak już jest królem węgierskim. Królest-

stwo Kongresowe miało być połączone z Galicją w jedno państwo. Wiec jednak wywołał przeciwną dynastii demonstrację tłumu, a w następstwie zastrzelenie w ulicy Kamiennej /czy Fredry/ ucznia szkół średnich, Czerkasa i ciężkie poranienie ucznia Wodzickiego. Pospieszyłem z Białej do Lwowa, gdzie zastałem niezwykle wzburzonego namiestnika. Nieszczęście, które się stało, wraz z objawem antydynastycznym, jakim była niewątpliwie demonstracja skierowana przeciw legalnemu wiecowi styczniowemu, poruszyła silnie impulsywną naturę namiestnika, który tym razem natychmiast wystąpił czynnie jako prezydent R.S. Zwołał mianowicie konferencję dyrektorów i wyraził im swe niezadowolenie, iż dają się unosić przez falę pewnych prądów, nurtujących wśród młodzieży, zamiast im energicznie przeciwdziałać. Przypominał obowiązki wobec państwa i dynastii i konieczność zwalczania pajdokracji, a raczej polityki, rozbudzanej w szkole przez żywioły nieodpowiedzialne, które używają za swe narzędzie młodzież niedoświadczoną - ku jej zgubie.

Z mymi sprawozdaniami ze spraw najważniejszych, mających znaczenie polityczne, przychodziłem do namiestnika zwykle w godzinach rannych. Dyskusje prowadzone wprawdzie zawsze w najuprzejmiejszym tonie, nieraz dochodziły do stwierdzenia zupełnie sprzecznych zapatrywań. Raz jeden, gdyśmy dojść do zgody nie mogli, odezwałem się z niechęcią: "Lepiej o tej rzeczy więcej nie mówić, bo przecież Ekscelencja jest Niemcem, a ja Polakiem, więc nie uzgodnimi naszych poglądów". Na to odpowiedział Huyn podniesionym głosem: "Jak Pan możesz twierdzić, że ja jestem Niemcem. Jeszcze gotóweś Pan zrobić ze mnie

"einen Deutschnationalen". Proszę pamiętać raz na zawsze, że ja jestem Austriakiem".

Mimo tego drobnego incydentu, nie było między nami na ogół kolizji w urzędowaniu, a nawet sprzecznych zdań w rzeczach zasadniczych politycznych. Hr.Huyn kochał po za Bogiem, nadewszystko cesarza, dynastię i Austrię, a ja na podstawie tego, czego nauczyłem się od Stańczyków, utwierdziłem się w poglądzie, o którym już na innym miejscu pisałem /Rozdz.II./, że Austria od czasu, odkąd na podstawie ustaw zasadniczych stanęła na stanowisku wolności i równo-uprawnienia wszystkich narodów w jej skład wchodzących, poniekąd przejęła starą ideę jagiellońską - ideę, która wystąpiła tak silnie w Unii horodelskiej i lubelskiej. /Jagiellonowie zasiadali także, jak wiadomo, na tronie węgierskim i czeskim/. A zatem Austria dążyć musi w warunkach zmienionych do łączenia tych wszystkich narodów w jak najsilniejsze i jak największe państwo związkowe, które pragną zachować i rozwijać swą indywidualność narodową i nie chcą zginąć ani w morzu wszechniemieckim, ani w morzu wszerosyjskim. W takim państwie związkowym Polska nie tylko może odzyskać swą niepodległość ale zarazem zabezpieczyć się przeciw zakusom odwiecznych wrogów, zachodniego i wschodniego. Tak to hr.Huyn i ja mieliśmy wspólną platformę polityczną, jakkolwiek opartą na odrębnych motywach. Huyn potępiał - podobnie jak ja, choć z innych powodów - politykę niemieckich "Deutsch-Nationale", którzy mniej lub więcej wyraźnie dążyli do nadania Austrii charakteru państwa niemieckiego i stopić ją chcieli z czasem z Reichem w jedno wielkie państwo wszechniemieckie i dlatego zwalczali politykę federalis-

tyczną w Austrii współczesnej. Tak hr.Huyn jak i ja widzieliśmy, jak interesy Polski i Austrii - przynajmniej w owym czasie - zazębiały się i jak zrywanie z kierunkiem polityki federalistycznej zgubnym jest nie tylko dla samej Austrii i jej dynastii, ale także i dla Polski.

G. Traktat w Brześciu Litewskim zawarty i projekt podziału R.S.

Zgodność między namiestnikiem Huynem a mną co do poglądów politycznych mimo różnych przesłanek, wystąpiła na jaw, /jakkolwiek tylko w pewnej mierze/ w szczególności po zawarciu w pierwszych dniach lutego 1918 r. pokoju z Rosją w Brześciu Litewskim. Układem tym przedstawiciele Austrii i Niemiec przyznali Rosji ziemię Chełmską i Podlasie, t.zn. te obszary, na których od lat kilkudziesięciu ludność polska rzymsko-katolicka i ruska, grecko-katolicka była przez rosyjskie władze policyjne traktowana jako zdrajcy "ojczyzny rosyjskiej" - dlatego, że nie są prawosławnymi; była tam w najokrutniejszy sposób prześladowana i tępiona, przeciągana na prawosławie i rusyfikowana. Działy się tam męczeństwa w obronie wiary i narodowości, o jakich podobnych od wieków średnich nie słyszano, a mimo to ludność bohatersko broniła /chociaż potajemnie/ swych zasad, a księża katoliccy przeważnie z Galicji przybywali tam, by nocami w lasach urządzać nabożeństwa katolickie, lub Polacy i Rusini z ziemi Chełmskiej i z Podlasia przybywali potajemnie wśród wielkich niebez-

pieczeństw do Galicji, by tu chrzcić swe dzieci lub zawierać śluby przed kapłanami katolickimi.

I te to ziemie na podstawie układu w Brześciu miały definitywnie należeć do carskiej Rosji, aby jej siepacze tam zamieszkujących katolików mogli przemienić z czasem w prawosławnych Moskali.

Pokój w Brześciu krzywdził nader żywotne prawa polskie i przyniósł gorzkie rozczarowanie tym wszystkim, którzy w Austrii pokładali nadzieję lepszej przyszłości dla narodu polskiego. To też namiestnik Huyn powrócił z Brześcia, gdzie spełniał tylko funkcje eksperta austriackiego bardzo przygnębiony. Po pierwszym widzeniu się ze mną powiedział: "Panu jako Polakowi z powodu traktatu w Brześciu wyrażam współczucie. Ale i mnie jako gorąco kochającemu dynastię i Austrię powinieneś Pan wyrazić współczucie. Z Austrią bowiem musi być już bardzo źle, jeżeli zawarła tak nierozsądny i szkodliwy układ".

Niedługo potem hr.Huyn zaprosił mnie do siebie na konferencję w sprawie, jak mi telefonicznie doniósł, politycznej, ważnej i pilnej. Gdy przybyłem, powiedział mi, że nie chcąc mnie przedwcześnie martwić, nie powiedział mi niczego o pewnym dodatkowym, w traktat brzeski nie włączonym przyrzeczeniu, jakie rząd austriacki przez hr. Czernina /ministra spraw zagranicznych/ złożył w Brześciu baronowi Wassilce, który tam funkcjonował jako przedstawiciel interesów rusińskich /ruskich/ t.zn. tak Ukraińców, jak i Staro-Rusinów.x/ Otóż rząd austriacki przy-

---

x/ Ponieważ w tekście podaję różne wiadomości dotyczące Rusinów mianowicie tych, których w przeciwieństwie do

rzekł, że R.S. Galicyjska będzie podzielona na dwie odrębne rady: polską i rusińską. "Ja starałem się takiemu podziałowi zapobiec - dodał w rozmowie ze mną hr.Huyn - ale mi się nie udało. Tylko to jedno uzyskałem, że kierownictwo ogólne pozostanie nadal w rękach polskich: Pan będziesz prezydentem obu rad, ale wiceprezydentem R.S. pol-

---

Białorusinów, możnaby nazywać Czerwono-Rusinami, więc zamieszczam w dopisku pewną uwagę terminologicznej natury, aby uchylić niejasności.

Czerwono-Rusinów nazywano u nas krótko Rusinami /po niem.Ruthenen/ w wieku XIX. Jednak między nimi odróżniano dwie partie polityczne: Jedna stała na stanowisku, że Rusini są właściwie tylko odłamem Rosjan /Moskali-Rusów/, sympatyzowała z Rosjanami i uważała przeważnie, że z czasem Rusini stopią się z narodem wielkorosyjskim w jedną całość. Nazywano Rusinów do tej partii należących Starorusinami. Druga partia uważała, że Rusini są narodem odrębnym, który ma swą odrębną przeszłość i tradycje bardzo różne, aniżeli Rosjanie, posiada także własne piśmiennictwo /poeta Szewczenko/. Uważali oni, że naród ten powinien nazywać się Ukraińcami nie tylko ze względu na przeszłość, ale i dlatego, żeby nazywanie ich nie brzmiało podobnie jak Rosjan. /Raził ich bardzo przymiotnik "ruski"/. Z czasem nazwa Ukraińców przyjęła się dość powszechnie, ale tylko w odniesieniu do Rusinów, uważających się za naród odrębny niż Rosjanie.

Licząc się z tym, także ja nazwy Rusini, rusiński /ruski/ przeciwstawiam oznaczeniom Rosjanie, rosyjski, a wyrazów Ukraińcy, ukraiński używam ~~przeważnie~~, gdy chodzi o Rusinów, poczuwających się do odrębności narodowej. Ponieważ jednak partia Starorusinów nie istnieje prawie od szeregu lat, więc można używać na ogół nazwy Ukraińcy na oznaczenie wszystkich Rusinów, nie będących Białorusinami.

Pewna część Starorusinów była bardzo przychylna Polakom a wrogo nastawiona do Ukraińców.

skiej zamianuje się p.Okęckiego, a R.S. rusińskiej - p.Smal-Stockiego, prof.Uniw. w Czerniowcach /ojca/. Jednak tym razem, zakończył hr.Huyn, opozycja Pańska byłaby bezcelową. Pan musi poddać się woli Rządu". Po tych słowach Huyna ja przez chwilę, ku wielkiemu zdziwieniu namiestnika głosu nie zabrałem, a dopiero po dłuższej pauzie na zapytanie namiestnika, dlaczego milczę, odezwałem się mniej więcej w słowach następujących: "Ekscelencjo, podział R.S. na polską i rusińską nie może mieć miejsca, ale tym razem nie ja, ale Ekscelencja zaprotestuje przeciw wykonaniu przyrzeczenia rządowego, które jest aktem bezprawnym. Znam przecież Ekscelencję już dobrze i wiem, jak Ekscelencja prawo szanuje i nigdyby z pewnością nie przyłożył ręki do żadnego bezprawia". Dobrze tymi słowami ujęty namiestnik poprosił mnie o bliższe wyjaśnienie. Wyjąłem więc z jego biblioteki podręcznej statut R.S. w przekładzie niemieckim /oryginałem był tekst polski/ i przeczytałem artykuły, z których wynikało, że podział R.S. nie jest dopuszczalny według zasad statutu. Kiedy Huyn jeszcze bliżej wskazane przeze mnie artykuły rozpatrzył, powiedział, że moją interpretację Statutu uznaje za trafną, ale z pewnym tonem lekceważącym zapytał się mnie, czy Rząd nie ma mieć prawa postąpić wbrew statutowi? Na to odpowiedziałem: "Rząd tego prawa nie ma, bo statut Rady jest ustawą krajową "Ein von Seiner Majestät, dem Kaiser Franz Josef, sanktioniertes Landesgesetz", która w kraju naszym ma zupełnie tę samą moc prawną, jak każda ustawa państwowa; wiąże zatem rząd bezwzględnie. Huyn po krótkim namyśle odezwał się: "Panie Prezydencie, masz Pan zupełną słuszność, ja zaprotestuję przeciw po-

działowi R.S., ale Pan pojedziesz ze mną do Wiednia, by mi pomagać. Czy mógłbyś Pan wybrać się w podróż zaraz?" Odpowiedziałem, że tak, poczem - była godzina 10-ta - Huyn zażądał natychmiastowego połączenia telefonicznego z prezesem Rady ministrów, Seidlerem. Po przeprowadzeniu rozmowy, powiedział mi, że za trzy godziny wyjedziemy do Wiednia pociągiem pospiesznym, salonówką namiestnika, że na drugi dzień zaraz po naszym przybyciu do Wiednia odbędzie się konferencja w pałacu parlamentu w czerwonej sali Prezydium Rady Ministrów o godzinie 9-ej rano, a na konferencję zaproszeni zostaną p.Ćwikliński jako minister Oświaty i p.Twardowski, jako minister Galicji.

Podróż miałem bardzo miłą, bo hr.Huyn odznaczał się wielkimi przymiotami towarzyskimi. Nazywał mnie żartobliwie: "Sie, Präsident, Leuchte der Wissenschaft"; poruszał różne tematy aktualne, polityczne, społeczne, ekonomiczne, między innymi krytykował zbyt liberalną praktykę w unieważnianiu, względnie rozwodzeniu małżeństw, zwłaszcza z punktu widzenia religijnego - był bowiem, jak już wspomniałem, głęboko religijnym katolikiem. Kiedy temat małżeństw nowoczesnych poruszył, wspomniałem mimochodem: "Ekscelencjo, ja osobiście, ani o unieważnieniu, ani nawet o rozdziale małżeństwa z mą żoną nie myślę; a jeżeli raz jeszcze przyjdę na świat, to się powtórnie z nią ożenię". "Panie, - odpowiedział mi na to Huyn, - a znał osobiście moją żonę, - zapominasz Pan, że ja jestem od Pana o kilka lat starszy, więc to się Panu nie uda." "Cóż wiek Ekscelencji ma do rzeczy", zapytałem. Huyn odpowiedział: "Rzecz bardzo prosta, ja Pana uprzedzę".

Kiedy po wygodnie w salonce przespanej nocy, przybyliśmy do Wiednia, namiestnik zlecił mi, bym przyszedł na konferencję do Prezydium Rady Ministrów dopiero na 9.30. Lepiej będzie, że on sam przed ministrami sprawę wyświetli naprzód z punktu widzenia politycznego, poczem ja przytoczę swe wywody prawne.

Zgodnie z tym życzeniem namiestnika, przybyłem do Prezydium w oznaczonym terminie i spotkałem się w korytarzu z namiestnikiem, który widocznie nieco podniecony powiedział do mnie tylko w pośpiechu: "Sprawa jest załatwiona tak, że Pańska interwencja stała się zbyteczną. Wyjaśni Panu wszystko Ćwikliński, który czeka na Pańskie przybycie, bo ma jeszcze inne sprawy z Panem do omówienia. Jeżeli Pan chce ze mną do Lwowa wracać, proszę na pierwszą po południu przybyć na Nordbahnhof do mej salonki". Pożegnawszy się z hr.Huynem, wszedłem zaraz do sali prezydialnej i zobaczyłem tam obraz następujący: W środku stał minister Ćwikliński z nogami w kolanach mocno zgiętymi, co wskazywało - jak wiedziałem - że był w najwyższym stopniu rozdrażniony. Drzwiami bocznymi na prawo wychodził premier Seidler, a lewymi minister Twardowski tak, że nie widziałem prawie ich twarzy. Skłoniłem się więc tylko p.Ćwiklińskiemu, który jakby nie całkiem jeszcze przytomny powiedział do mnie kilka zdań oderwanych, mniej więcej następujących: "Przeżyliśmy tu bardzo niemiłą chwilę..... Pan Huyn, to hrabia, arystokrata, wysoki generał, namiestnik, tajny radca cesarski..... to wszystko prawda, ale przecież p.Seidler jest premierem Rady Ministrów i namiestnik powinien był o tym pamiętać.....Gdzież autorytet,

gdzie karność....." Na moją prośbę, by mi minister coś bliższego co do samej rzeczy powiedział, bo jeszcze prawie nic dotąd nie rozumię, minister Ćwikliński mówił dalej: "Pan namiestnik po przedstawieniu rzeczy, powołał się na statut R.S. i zakończył swój wywód pod adresem p.premiera słowami wypowiedzianymi w bardzo podniesionym tonie: ""Exzellenz, ich werde mich keinesfalls dazu hergeben, ein von Seiner Majestät, meinem teuren Kaiser Franz Josef, sanktioniertes Landesgesetz zu brechen - /Ekscelencjo, ja ani myślę przyłożyć ręki do tego, aby złamać ustawę krajową, sankcjonowaną przez mego kochanego cesarza, Franciszka Józefa/....."" Potem pan Twardowski poparł silnie stanowisko namiestnika......No i pan prezes ministrów musiał się poddać..... Rada Szkolna nie będzie podzielona". "Ależ Ekscelencjo - odpowiedziałem - to stało się przepysznie. Wygraliśmy sprawę zupełnie". "Tak jest, dorzucił p.Ćwikliński, ale z Austrią źle się dzieje jeżeli namiestnik pozwala sobie w takim tonie występować z zarzutami wobec pierwszego ministra". - Po tej krótkiej rozmowie przeszliśmy do innych spraw, a przed pożegnaniem się, p.Ćwikliński wyraził jeszcze prośbę, ażebym p.Huynowi nie mówił, jak ostro wyraził się o zachowaniu się namiestnika, boby nie chciał wywołać jakiegoś do siebie żalu.

H. Żądania represyj kryminalnych w szkolnictwie z powodu manifestacyj politycznych.

Po układzie zawartym w Brześciu Litewskim nie tylko ostygły sympatie Polaków w stosunku do Austrii, ale nawet podnosiły się tu i ówdzie głosy wprost wrogie i nienawistne. Nie mogło to pozostać bez silnego wpływu także w szkolnictwie. W różnych zakładach, a zwłaszcza w szkołach średnich, zaczęto palić i niszczyć portrety cesarskie, usuwać emblematy austriackie, układać i uczyć wierszyków przeciw dynastii i państwu. O faktach takich donosiły Nachrichtenstellen, a czasem i osoby prywatne - nieraz w przesadnych barwach - do A.O.K., a A.O.K. kancelarii cesarskiej i ministerstwu, poczem namiestnik i wiceprezydent wzywani byli do sprawozdań, jakie środki represyjne i prewencyjne zarządziły władze szkolne. Położenie moje stało się odtąd bardzo trudne i przykre, gdyż nie mogłem w takim czasie żądać dymisji i wypuszczać z ręki steru, który mi dawał wpływ na bieg spraw. Rozumiałem, że usunięcie się wówczas z tak ważnego posterunku narodowego nie byłoby w gruncie rzeczy niczym innym jak dezercją, a z drugiej strony jako Polak nie mogłem karać lub władzom karnym oddawać tych, którzy - podobnie jak ja sam - myślą po polsku, choć oburzenie swoje wyrażają zbyt drastycznymi środkami.

Niełatwym jednak było i położenie namiestnika Huyna. Odczuwał on wielką krzywdę, którą wyrządzono narodowi polskiemu traktatem w Brześciu; bolał nad nią, a jednak nie mógł patrzeć biernie na czyny, mające znamiona zbrodni przewidzianych Kodeksem Karnym /obraza majestatu,

zdrada główna itd./. Mimo, że namiestnik rozumiał tragizm mej sytuacji, nieraz domagał się, abym rozpoczął akcję represyjną celem ukarania "przestępców" i odstraszenia od czynów karygodnych na przyszłość. Zarządzałem wówczas dochodzenia wstępne przez władze szkolne, konferowałem z różnymi osobistościami, uspakajałem jak mogłem namiestnika, pisałem różne relacje do Ministerstwa itp., - by przynajmniej zyskać na czasie.

Jednakże zaszedł fakt, który - jak się zdawało - uniemożliwi dalsze posługiwanie się półśrodkami: Otrzymałem z Wiednia depeszę od ministra Ćwiklińskiego, wzywającą mnie do natychmiastowego przybycia do Wiednia w sprawie ważnej, niecierpiącej zwłoki. Domyśliłem się o co chodzi i zabrałem z sobą do Wiednia akty, dotyczące manifestacji szkolnych, pachnących kryminałem. Od ministra dowiedziałem się, że był on przed dwoma dniami na śniadaniu u arcyksiężniczki Marii Teresy, gdzie przybył także cesarz Karol. Cesarz był wprawdzie dla niego bardzo łaskawy, ale z widocznym niezadowoleniem wyraził zdziwienie, że mimo często powtarzających się sprawozdań o czynach bardzo karygodnych, przeciw państwu i dynastii zwróconych, które miały miejsce w szkołach polskich, nie ma żadnych relacyj, czy przestępcy zostają lub będą zgodnie z ustawami ukarani. Wobec tego napomnienia cesarskiego p.minister zażądał, bym natychmiast celem wyjaśnienia sprawy przybył do Wiednia, bo musi on udzielić w tej sprawie cesarzowi jak najrychlej wyjaśnień. Odpowiedziałem panu ministrowi, że donosy Nachrichttenstellen są przeważnie prawdziwe, że ja zarządzałem wprawdzie zawsze dochodzenia wstępne, ale tylko ut aliquid fecisse videatur, jednakże nie mam za-

miaru w żadnym z takich wypadków demonstracji antydynastycznych czy antypaństwowych wdrażać postępowań dyscyplinarnych, a tym mniej donosić o tych rzeczach prokuratorom państwa, bo czyny podpadają w wielkiej części pod bardzo surowe przepisy kodeksu karnego i mogą prowadzić do skazań na ciężkie więzienie, a nawet karę śmierci /przed sądami doraźnymi/. P.Ćwikliński na to moje oświadczenie, jakkolwiek zakłopotany, oświadczył jednak, że mimo wszystko muszę zmienić swe postępowanie i wskazał na przykłady z innych krajów koronnych, zwłaszcza z Czech, Styrii i Karyntii, w których represje karne z powodów politycznych są także w zakresie szkolnictwa na porządku dziennym. Nie można więc tolerować bezkarności w Galicji. Odpowiedziałem, że w takim razie zgłaszam swą dymisję, bo ja ani o krok od mego stanowiska nie odstąpię. To doprowadziło p.Ćwiklińskiego do największej irytacji. Rozumiał bowiem, że mej dymisji przyjąć w danej sytuacji nie może, a żadnej drogi, wyprowadzającej go z trudnej sytuacji wobec cesarza i rządu nie widział. Żal mi się go zrobiło i dlatego, oraz i z rzeczowych względów zaproponowałem mu projekt następujący: "Ekscelencjo, proszę o trzy dni zwłoki. Zostanę w Wiedniu przez ten czas i napiszę dla Ekscelencji sprawozdanie od siebie, w którym wezmę całą winę na własne barki, tak, że potem rząd będzie mógł mnie usunąć z mego stanowiska, jeżeli nie uzna mego oporu za usprawiedliwiony.- Ćwikliński zgodził się na moją propozycję. Wróciłem więc do hotelu Klomsera, i po wysłaniu depeszy do inspektora dra Opuszyńskiego, żeby z pewnymi materiałami dodatkowymi zaraz do Wiednia przyjechał, zabrałem się do pracy, którą po przybyciu p.Opuszyńskiego w ter-

minie oznaczonym skończyłem z jego pomocą i sprawozdanie swe panu ministrowi osobiście wręczyłem. Ze sprawozdania tego podaję tu przewodnie myśli. Jednak proszę szanownych Czytelników, aby, czytając je, pamiętali, że mogłem tylko to pisać i tak pisać, jak funkcjonariusz państwowy pisać mógł, bez narażenia na szwank sprawy, o którą szło, że nadto liczyłem się bardzo ze względu na cel, do jakiego dążyłem, z tym, że cesarz Karol, podobnie zresztą jak prawie wszyscy Habsburgowie, był głębokim wyznawcą religii katolickiej.

Zacząłem swe sprawozdanie od rzutu oka na antydynastyczne i antypaństwowe demonstracje w szkołach galicyjskich, przyznając, że donosy Nachrichtenstellen były przeważnie prawdziwe. Wskazałem dalej na ciężkie kary kodeksem karnym przewidziane za tego rodzaju czyny. Jednak, pisałem dalej, że nie chcę na tych podstawach robić żadnego innego użytku, jak tylko zarządzać wstępne dochodzenia, żeby przez nie przynajmniej odstraszać od szerzenia się karygodnych działań. Moje na ogół bierne zachowanie usprawiedliwiłem następującymi rozważaniami: Naród polski oczywiście odczuł boleśnie i dotąd odczuwa utratę swej niepodległości, dokonaną przez podział Polski z końcem wieku XVIII. A jednak mimo to w dzielnicy austriackiej po kilkudziesięciu latach wrogie usposobienie wobec rządu ustąpiło, a zwłaszcza po wprowadzeniu w życie przez konstytucję z r.1867 równouprawnienia narodu polskiego ze wszystkimi innymi narodami w skład Austrii wchodzącymi. Polacy w tej dzielnicy z głębi przekonania stali się prawdziwymi i szczerymi podporami państwa, dynastii i lojalnymi poddanymi. Taką zmianę wywołało nie tylko u-

dzielenie Polakom pełni praw, innym narodom przyznanych, nie tylko porównywanie naszego położenia w Austrii ze smutnym położeniem naszych współziomków w Prusach i Rosji ale jeszcze coś innego: To, że Habsburgowie są dobrymi katolikami, a Austria ma charakter państwa katolickiego. Naród polski, należący do najwięcej katolickich, żywą pobożnością ożywiony, zapisał się niejednokrotnie w dziejach jako obrońca chrześcijaństwa i wiary katolickiej. W tym państwie nie potrzebuję przypominać roku 1683! Otóż także propaganda Unii to jedna z wielkich zasług Polski. Rozdarcie Polski na trzy części, z których jedna przypadła Rosji, umożliwia niszczenie przez rząd prawosławny Unii przy rozlewie krwi i męczeństwie Unitów. Polacy jako naród bardzo pobożny patrzyli dotąd na Habsburgów jako na tę dynastię, która wielką misję katolicką na wschodzie po Polsce przejęła, chociaż z konieczności tylko w granicach wpływów państwa austriackiego. To wszystko było powodem, że Polscy w Galicji stanęli z czasem wiernie przy tronie habsburskim. O ile chodzi o cesarza Karola, to jego postać stała się na ziemiach polskich i poza granicami Galicji popularną, odkąd coraz więcej mówiono a nawet pisano, że będzie on przyszłym królem polskim, który zjednoczy pod swym berłem ziemie polskie, zostające pod panowaniem rosyjskim i austriackim.- Układ w Brześciu wywołał rozczarowanie. Zwłaszcza prysły nadzieje, że Austria popierać będzie dawną polską misję katolicką na Wschodzie. Coraz większe powstają obecnie wśród Polaków obawy, że układ w Brześciu ułatwi dalszy rozwój prawosławia ze szkodą Unii i z tego powodu powstał spontanicznie wielki żal do Austrii i jej cesarza. Pożałowania godne demonstracje

antydynastyczne i antypaństwowe mają więc charakter nie tylko narodowościowo-polityczny, ale i religijny. Gdyby skutkiem tych demonstracji nastąpiły kary kryminalne, skazani byliby uważani w opinii narodu polskiego nie tylko za bohaterów narodowo-politycznych, ale i za męczenników za religię katolicką - za męczenników prześladowanych pod panowaniem cesarza Karola i za jego wolą!

Oto powody mego oporu przeciw jakimkolwiek represjom karnym, któreby zostawały w związku przyczynowym z układem w Brześciu Litewskim. Na przypadek, gdyby rząd wymagał zmiany w mym postępowaniu w tej przykrej sprawie, proszę o natychmiastową dymisję z mego stanowiska.

Tą prośbą zakończyłem mój referat.

Powyższe sprawozdanie podpisałem i wręczyłem p.Ćwiklińskiemu, który wprawdzie wiedział oczywiście, co mi zresztą wyraźnie powiedział, że zdania o lojalności Polaków galicyjskich wobec Austrii i jej dynastii są w mym sprawozdaniu przesadzone i w dużym stopniu mijają się z prawdą, jednakże, nie widząc innej drogi wyjścia, przedłożył cesarzowi to sprawozdanie w t.zw."koszulce", którą był jego króciutki "Alleruntertänigster Vortrag!"x/

Po powrocie do Lwowa, na zapytanie namiestnika, opowiedziałem mu krótko, że ministrowi chodziło o to, aby cesarzowi zdać sprawę z tego, co się u nas dzieje celem represji ubolewania godnych demonstracji w szkołach; że w tym przedmiocie, napisałem sprawozdanie w Wiedniu i

---

x/ Na podstawie zapisek swych dodaję, że sprawozdanie moje odeszło pod datą 16 marca 1918 r. pod l.prezyd.94.

wręczyłem p.Ćwiklińskiemu, które on przedłożyć ma cesarzowi, a w sprawozdaniu tłumaczyłem demonstracje chwilowym podnieceniem, wywołanym w społeczeństwie polskim z powodu układu w Brześciu.

Nie upłynęły od mego powrotu trzy tygodnie, gdy hr. Huyn poprosił mnie do siebie w sprawie nadzwyczajnie "pilnej i ważnej". Dowiedziałem się, że namiestnik otrzymał właśnie pismo z cesarskiej kancelarii, z tym, że ma jego treść zaraz także mnie zakomunikować. W piśmie mieściło się wyraźne polecenie cesarskie, żeby z powodu demonstracyj, mających za przyczynę układ w Brześciu Litewskim nie ~~wywoływać~~ stosować żadnych represji karnych.

Ucieszyłem się prawdziwie, że sprawozdanie moje odniosło taki skutek, a zdawało mi się, że także hr.Huyn był z polecenia cesarskiego zadowolony - tak, jakby mu kamień z serca spadł. Mimo to nie pokazałem mu odpisu sprawozdania, bo hr.Huyn byłby się z pewnością na mnie na serio pogniewał, że w zdaniach o lojalności Polaków wobec dynastii oddaliłem się znacznie od rzeczywistego stanu rzeczy. Namiestnik wiedział dobrze, ~~że~~ co Polacy pod tym względem myślą i czują i do jakich granic lojalność nasza dochodzi. /p. o tym w Rozdziale II Wspomnień/.

W sprawie powyższej dowiedziałem się o ciekawym szczególe, gdy z polecenia Rządu polskiego i jako jego delegat pojechałem z końcem listopada 1918 r. do Wiednia by spowodować wysłanie stamtąd do naszego Ministerstwa Wyznań Rel.i Oświecenia Publ. najważniejszych aktów, dotyczących szkolnictwa w Galicji. Po omówieniu tej sprawy z austr.ministrem Oświaty, p.Hampe, odwiedziłem kilku urzędników ministerialnych, którzy mi okazywali niejed-

nokrotnie dużo życzliwości. Byłem także w prezydium tego ministerstwa, gdzie dobry znajomy X powiedział mi, żebym się u niego nieco zatrzymał, bo mi pokaże akt, który mnie zainteresuje. Po chwili przyniósł mi moje sprawozdanie, które potem Kancelaria nadworna zwróciła Ministerstwu. "Cóż w tym ma być ciekawego, zapytałem." Mój znajomy X pokazał mi wówczas uwagę zamieszczoną ołówkiem na końcu mego sprawozdania, treści bardzo krótkiej: "Der Vizepräsident des Landesschulrates hat vollständig Recht" /Wiceprezydent R.Szk. ma pełną słuszność/, a pod tym zdaniem podpis nieczytelny z krzyżykiem, wskazującym, że był to podpis jakiegoś księdza. Na moje zapytanie, co to znaczy, pan X opowiedział mi co następuje: "Cesarz Karol w sprawach ważnych niejednokrotnie zasięgał rady swej żony, osoby bardzo rozumnej. Cesarz i cesarzowa odznaczają się wielką pobożnością. Spowiednikiem ich i doradcą religijnym był ojciec Kapucyn Y /nazwisko zapomniałem/, mieszkający w klasztorze blisko Burgu na Neuer Markt. Otóż cesarz najprawdopodobniej sprawozdanie Pańskie podał do wiadomości cesarzowej, a potem oboje postanowili zasięgnąć opinii spowiednika, który swą odpowiedź ołówkiem napisał. Pismo i podpis O.Y. znane są w Ministerstwie. Uwaga ołówkowa pochodzi niewątpliwie z jego ręki". Tak to wyjaśniło się źródło decyzji cesarza Karola.

I. Dwa drobne epizody.

Dla charakterystyki hr.Huyna niech posłużą jeszcze dwa drobne epizody.

W czerwcu lub lipcu 1918 r. przybył do Lwowa mianowany niedaw-

no ministerstwo oświaty na miejsce p.Ćwiklińskiego ~~zamianowany~~ dr.Jerzy Madeyski, syn byłego ministra oświaty z lat 90-tych, Stanisława. Przyjęciem ministra zajął się oczywiście namiestnik, ale i ja miałem nieco przy tym do czynienia jako prezydent Rady szkolnej.- Przy wizytach oficjalnych, jakie minister składał /np.arcybiskupowi Bilczewskiemu, metropolicie Szeptyckiemu itd./ towarzyszył ministrowi Huyn. Jedynie w wizycie u komendanta armii, generała Pfeffera ja także wziąłem udział, jako towarzysz ministra, a to na wyraźne życzenie i prośbę namiestnika. Powiedział on mi wtedy: "Pfeffera nie znoszę, uważam go za zupełnie liche indiwiduum. Unikam go, jak mogę, i dlatego pana proszę, żeby pan wziął w tej wizycie udział i starał się przy tym zręcznie uwolnić mnie od potrzeby odzywania się do tego człowieka".

Ten drobny incydent, wskazujący na zły stosunek między dwoma generałami, zwierzchnikiem władz cywilnych i komendantem armii we Lwowie, rzuci później światło na kwestię, kto współdziałał i pomagał przy przygotowaniu powstania ukraińskiego, które wybuchło w nocy z dn.31 października na 1 listopada 1918 r.

W pierwszych dniach października 1918 r., a więc prawie bezpośrednio przed rozpadnięciem się Austrii, hr. Huyn wyjechał na tydzień do Wiednia. Kiedy powrócił, poszedłem do niego, żeby się dowiedzieć, co w Wiedniu słychać. Huyn widocznie przygnębiony wypadkami politycznymi, powiedział mi na końcu naszej rozmowy rzecz następującą: "W niedzielę pojechałem rano do Schönbrunu,x/ aby tam być

---

x/ Przedmieście Wiednia z wspaniałym cesarskim pałacem i olbrzymim ogrodem.

być w kaplicy nadwornej na mszy św., której cesarz słucha co niedzielę ze swą rodziną. Widziałem tam biednego cesarza, modlącego się widocznie bardzo gorąco, obok niego również zamodloną cesarzową. Zdawało mi się, że to już po raz ostatni mego cesarza widziałem......" Tu przerwał, łzy stanęły mu w oczach i łkanie nie pozwoliło mu dalej mówić.

J. Mój wyjazd do Warszawy z końcem października r.1918 i przygody z nim połączone.

W niedzielę po południu dn.27 października 1918 r. przyjechał nadspodziewanie z Warszawy do Lwowa i przyszedł do mego kawalerskiego mieszkanka, jakie zajmowałem w Rynku w t.zw. Domu Sobieskiego, minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w gabinecie p.Świerzyńskiego, p.Antoni Ponikowski. Radość moja była wielka. Witałem u siebie ministra niepodległej Polski!

P.Ponikowski powiedział mi, iż przybywa w ścisłym ~~inkognito~~ incognito ze swym sekretarzem Wróblewskim i pragnie ze mną, a ewentualnie także z kilku urzędnikami R.S., których mu wskażę, pomówić o przejęciu szkolnictwa tutejszego przez Rząd Polski i w tym celu chce się zapoznać należycie z ustrojem szkół i z galicyjską administracją szkolną. Przybywa także i dlatego, że tutejsza administracja szkolna cieszy się /tak wówczas było/ dobrą sławą i z niej będzie można zapewne zaczerpnąć pewne wzory, godne naśladownictwa w Polsce. Jednakże ma mało czasu, bo już w piątek rano, dn.1 listopada musi być

z powrotem w Warszawie, aby przewodniczyć w obradach nad przyszłym ustrojem szkolnictwa w Polsce. Dlatego prosi mnie, abyśmy zaraz nazajutrz rano rozpoczęli naszą pracę. "Nic prostszego, Ekscelencjo, - powiedziałem, tytułując ministra polskiego według zwyczajów austriackich - proszę przyjść z p.Wróblewskim do R.S. o 9-ej rano". Minister jednak tej propozycji nie przyjął, raz dlatego, że chciał zachować ścisłe incognito, a powtóre dlatego, by nie pracować w c.k. /cesarsko-królewskiej/ R.S. Prosił mnie zatem, abym ja przybył, ewentualnie z funkcjonariuszami R.S., których współpracę uznam za wskazaną, do apartamentu, jaki Minister najął w Hotelu Krakowskim i abym tam polecił przynieść potrzebne akty i książki. Do życzenia p.Ministra zastosowałem się i w poniedziałek rozpoczęliśmy naszą pracę informacyjną w hotelu. Jednak już we wtorek powiedział mi p.Ponikowski, że - jak widzi zadanie, które sobie zakreślił nie da się wykonać w ciągu tak krótkiego czasu, dlatego zostawi we Lwowie swego sekretarza, aby tenże według wskazówek ministra a przy pomocy dra Zagórowskiego, mego sekretarza prezydialnego, zbierał dalej materiał potrzebny, a sam nazajutrz /we środę/ wyjedzie popołudniowym pociągiem przez Kraków do Warszawy. Prosił mnie, żebym i ja z nim wyjechał, a to na jakiś tydzień do Warszawy, bo będę tam potrzebny przy obradach, dotyczących różnych zagadnień przyszłego szkolnictwa i administracji szkolnej w Polsce. Na moją prośbę, bym mógł z sobą zabrać p.inspektora Opuszyńskiego, minister zgodził się chętnie, zwłaszcza, że dostrzegł, jak Opuszyński zna doskonale cały aparat szkolnej administracji.- Tak to stało się, żeśmy wspólnie z p.Opuszyńskim

na drugi dzień wyjechać mieli jako towarzysze p.ministra do Warszawy. Jednak trzeba mi było przed wyjazdem dwie sprawy jeszcze załatwić: Dla formy i grzeczności poprosić namiestnika o urlop na wyjazd, a powtóre wystarać się o dokument potrzebny do wyjazdu do Warszawy, bo przecież miałem przejechać w Ząbkowicach granicę okupacji austriackiej i wjechać w obszar okupacyjny niemiecki. Nie przypuszczałem, że te dwie rzeczy wywołają różne komplikacje.

Do namiestnika zgłosiłem się w środę rano koło 10-ej. Wyszedł od niego b.minister i poseł do Rady Państwa Głąbiński, którego wizyta u namiestnika, bardzo mnie zdziwiła. Zaraz po p.Głąbińskim, ~~jak~~ wszedłem do gabinetu namiestnika, bo jako prezydent R.S. miałem pierwszeństwo przed panami Barwińskim i Fedakiem /obydwaj wybitni Ukraińcy/, którzy czekali w salonie na audiencję. Także ich obecność mocno mnie zdziwiła.

Namiestnikowi opowiedziałem, że przybył do Lwowa minister Ponikowski, że na jego życzenie mam jechać do Warszawy i dlatego przychodzę prosić namiestnika o urlop. Na to odpowiedział hr.Huyn, że żałuje, iż p.Ponikowski nie przyszedł do niego; że byłby bardzo chętnie poznał się z ministrem Rządu polskiego. Podziękował mi też za akt kurtuazji, za jaki uważa w obecnej sytuacji przyjście do niego o urlop, a życzy mi owocnej pracy w Warszawie. Potem pożegnał mnie, lecz, kiedy już byłem przy drzwiach, zawołał mnie jeszcze i odezwał się mniej więcej w sposób następujący: "Niech pan jeszcze chwilę zostanie, bo chciałbym usłyszeć Pańskie zdanie w sprawie, która mnie teraz żywo zajmuje: Przed Panem był u mnie b.minister Głąbiński

i mówiliśmy o Komisji Likwidacyjnej, która samorzutnie i bez mojej wiedzy powstała w Krakowie. Powiedziałem p. Głąbińskiemu, że mimo, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa Galicja będzie do Polski przyłączona, uważam eksperyment krakowski za przedwczesny, a nawet za niebezpieczny, bo może wywołać odruch ukraiński i próby Ukraińców utworzenia na Wschodzie rządu ukraińskiego, a kto wie, jakie dalsze następstwa z tego wynikną. Ja zanadto przywiązałem się do tego kraju, bym nie pragnął go uchronić od niebezpiecznych konfliktów, a może i rozlewu krwi. W poczekalni czekają Barwiński i Fedak na audiencję u mnie - a to - jak przypuszczam - aby uzyskać moje pozwolenie na utworzenie podobnej Komisji likwidacyjnej, ale ukraińskiej na całą wschodnią Galicję, którą uważają ze względu na większość ludności niepolskiej za kraj rusiński i dlatego chcą zaraz utworzyć jakiegoś embriona państwa ukraińskiego. Ja nie udzielę im pozwolenia i podam powody. Czy mnie posłuchają, nie wiem, bo precedens krakowski może być zaraźliwy. Otóż ja, widząc, co się dzieje, ułożyłem odezwę do wszystkich starostów galicyjskich /było ich 84-ch/, którą panu chcę przeczytać, aby usłyszeć o niej Pańskie zdanie?. Treść tej odezwy w znacznym skróceniu była następująca: "Co się stanie z Galicją, nie można przewidzieć jeszcze, ale tworzenie się samorzutnie jakichś władz obok dotychczas istniejących, w szczególności podział tych władz na polskie i ukraińskie i podział Galicji już teraz na odrębne narodowościowo części uważam za eksperyment nie tylko przedwczesny ale i niebezpieczny, - niebezpieczny dlatego, bo może zaostrzyć antagonizmy

dwóch ludów, ten kraj zamieszkujących, a nawet wywołać rozlew krwi. Dlatego wzywam Panów Starostów, żeby nadal, jak dotychczas władzę swą pod moim kierunkiem sprawowali aż do chwili, kiedy dowiemy się stanowczo, do kogo ten kraj będzie należał, ale też do tego czasu stłumili wszelkie próby tworzenia się samozwańczych władz, które co najmniej wywołują nieład, chaos i niepokój. Wezwanie to jest wypływem szczerej sympatii, jaką jestem ożywiony dla obu narodów."

Po odczytaniu powyższego projektu odezwy przez namiestnika, oświadczyłem mu, że najzupełniej do jego opinii przystępuję, że czuję za nią jako Polak wdzięczność i pragnę tylko, żeby zamierzony skutek osiągnęła.

Jak dowiedziałem się potem, hr.Jerzy Wodzicki x// odezwę przełożył na język polski, ale rozesłana nie została, bo już w drugą noc potem, t.j. z czwartku /31.X./ na piątek /1.XI./ wybuchło powstanie ukraińskie a zaczęło się internowaniem namiestnika. Rządy normalne ustały, a wśród chaosu i walk rozpoczął się rozlew krwi obu narodów który ustał dopiero w pół roku potem, po wyparciu ze wschodniej Małopolski wojsk ukraińskich przez wojsko polskie, zostające pod dowództwem generała Iwaszkiewicza. Ani hr.Huyn, ani dyrektor policji we Lwowie Reinländer nie mieli o postanowionym powstaniu żadnych wiadomości. Dyrektor policji miał w nocy z czwartku na piątek bawić

---

x/ Hr.Jerzy Wodzicki był szefem prezydium Namiestnika, jego pomocnikiem był dr.Sobolewski, referentem dla spraw rusińskich dr.Panejko, a rotmistrz hr.Schaffgotsch spełniał funkcje adjutanta wojskowego namiestnika jako generała.

się w wesołym towarzystwie w jednej z lwowskich kawiarń. Hr.Huyn na kilka dni po wybuchu powstania wyjechał za pozwoleniem Ukraińców ze Lwowa przez Kowel i Kraków do Wiednia x/.

Jak po powrocie swym z Warszawy słyszałem, wojskową organizacją ukraińskiego powstania zajmował się austr.generał, Pfeffer o którym wyżej pisałem.

Drugą sprawą, którą zająłem się jeszcze we wtorek /dn.29 października/ były zabiegi o pozwolenie, czy o przepustkę na przejazd przez Ząbkowice do obszaru ziem polskich, zajętych przez wojska niemieckie. W tym celu udałem się o paszport dla siebie i p.Opuszyńskiego do znanego mi osobiście konsula niemieckiego we Lwowie, który powiedział mi, że obydwa paszporty zaraz wystawi, ale dla mnie jako urzędnika austriackiego, zaliczonego do wysokich funkcjonariuszy państwowych, taki paszport absolutnie nie wystarczy do przedostania się przez Ząbkowice do Warszawy i że ja muszę mieć w tym celu "eine Offene Ordre" wystawioną przez austriackiego lub niemieckiego ministra wojny albo pozwolenie szczególne, podpisane przez Generalnego Gubernatora Beselera w Warszawie a na tego rodzaju dokumenty musiałbym czekać dni kilkanaście. Z tą odpowiedzią wróciłem do p.Ponikowskiego, mówiąc mu, że wyjazd mój do Warszawy jest niemożliwy, żeby więc zabrał ze sobą tylko p.Opuszyńskiego. Jednak p.Ponikowski

---

x/ p. o tych wypadkach początkowych Nr.311 Kuriera Lwowskiego z dn.14.listopada 1919 r.

nie chciał na to przystać. Powiedział mi, że informacje konsula niemieckiego są najprawdopodniej niedokładne, że, jeżeli ja pojadę z ministrem polskim, a to na wyraźne jego życzenie, natenczas władze niemieckie z pewnością żadnych nie będą robiły trudności; żebym więc zaryzykował podróż, a z pewnością rzecz się uda. Przyrzekłem Ministrowi, że się do jego życzenia zastosuję i że się na drugi dzień, t.j. w środę, przed 1-szą na dworcu stawię.

"La nuit porte conseil", mówią trafnie Francuzi. Mnie przyszła do głowy myśl iście szatańska, żeby sobie samemu wystawić "offene Ordre" według wzoru, jaki znałem i w ten sposób mieć dokument, najbezprawniej wystawiony, w rezerwie na wszelki wypadek. O 9-ej rano w środę poszedłem do biura, zaprosiłem do siebie dra Zagórowskiego i poleciłem woźnemu przyniesienie maszyny do pisania. Potem poprosiłem p.Zagórowskiego, aby w sprawie bardzo poufnej zechciał pisać według mego dyktatu. Dyktowałem po niemiecku "Offene Ordre", której tekst w polskim języku brzmiałby mniej więcej w sposób następujący: Do pana........Zolla, wiceprezydenta R.S.: "Poleca się Panu udać się bezwłocznie do Warszawy. Wzywa się wszelkie władze wojskowe i cywilne, by Panu nie robiły żadnych trudności. Masz Pan prawo do przejazdu wszelkimi pociągami dla osób cywilnych a w razie potrzeby także pociągami wojskowymi......" itd. Na dole dzień wystawienia 27 października 1918 r. pieczątka niemiecka "k.k.Landesschulrat" i podpis........ "Im Auftrage:"........ Ale któż podpisze, zapytał się, nie mogący wyjść ze zdziwienia p.Zagórowski: "Nikt inny odpowiedziałem, jak Pan". "A, panie Prezydencie - odezwał

się na to p.Zagórowski - wszystkie Pańskie zlecenia zawsze dotąd spełniałem najchętniej, ale tym razem po raz pierwszy posłusznym nie będę. Przecież rozumiem, chociaż nie jestem prawnikiem, /p.Zagórowski był doktorem filozofii/, że ten dokument, to corpus delicti, a ja przecież nie chcę dostać się do kryminału." Na to ja zapewniłem go, że jeżeli ktoś będzie karnie skazany, to tylko ja, bo powiem w śledztwie, "żem Panu dokument ten w sposób zręczny do podpisu podsunął, tak że Pan jego treści nie znał, że ja więc wyłącznie, ja, a nikt inny, czyn karygodny popełniłem i na skazanie zasługuję. Zresztą jestem prawie pewien, że z tego dokumentu żadnego użytku nie zrobię". Poczciwy Zagórowski podpisał Offene Ordre, ale przez ostrożność w sposób mało czytelny.

O godzinie 3-ej w środę po południu wyjechaliśmy z ministrem Ponikowskim i radcą Opuszyńskim przez Kraków do Warszawy pięknym wagonem salonowym, który naczelnik stacji Klus w ostatniej chwili kazał dołączyć do pociągu dla "pierwszego ministra polskiego, który przybył do Lwowa". Około wagonu zebrała się grupa funkcjonariuszów kolejowych, którzy zgotowali ministrowi serdeczną owację..

Po przybyciu do Krakowa wysiadł z pociągu równocześnie z nami ks.arcybiskup Teodorowicz /arcyb.ormiański/ a zobaczywszy mnie, przystąpił i powiedział mi cicho: "We Lwowie źle, dowiedziałem się dzisiaj przed wyjazdem od jednego Ukraińca, że jutro w nocy wybuchnie powstanie i Rusini utworzą własny rząd." Odpowiedziałem arcybiskupowi, że to zapewne bajka, bo dzisiaj rano byłem na dłuższej konferencji u namiestnika, i że on z pewnością o

żdnym projekcie powstania nic nie wie, a Barwiński i Fedak byli u namiestnika, aby w sposób wiernopoddańczy prosić o pozwolenie na utworzenie Komisji likwidacyjnej na wzór krakowskiej - czemu namiestnik jest stanowczo przeciwny. Informacja ks.arcybiskupa, jak się pokazało, była prawdziwa /-lepsza niż dyrektora policji lwowskiej i namiestnika/.

Nazajutrz w Krakowie, gdzieśmy się zatrzymali do czwartku wieczorem koło godz.10-ej rano ze strażnicy pod ratuszową wieżą w rynku głównym wymaszerował oddział wojska austriackiego, a wmaszerował pluton wojska polskiego przy dźwiękach "Jeszcze Polska nie zginęła". Orkiestrę zdaje się sprowadzono z Wieliczki. Potem zaintonowano "Boże coś Polskę", a ludzie około strażnicy zebrani uklękli na bruku i modlitwę śpiewali. Wrażenie tej chwili nie zatrze się nigdy w mej pamięci. Mało kto z obecnych zdołał opanować wzruszenie. Wielu z radości i ze wzruszenia płakało.

W trzy godziny potem komendanci austriackiej załogi krakowskiej kapitulowali wobec władzy Rządu Polskiego w budynku magistrackim przy placu Wszystkich Świętych. Rządy austriackie w Polsce kończyły się.

Po południu byłem u p.Michała Bobrzyńskiego. Kiedy dowiedział się, że jadę na kilka dni do Warszawy, poprosił mnie, żebym poszedł do pana premiera Świerzyńskiego i, powołując się na uchwałę, która niedawno w kierownictwie partii Stańczykowskiej zapadła, oświadczył mu, że w wolnej Polsce powinny ustać antagonizmy między Stańczy-

kami a partią narodowo-demokratyczną, że takie jest zdanie Stańczyków krakowskich - a więc pdint de ressentiments!

Koło 6-ej po południu wyjechaliśmy z ministrem Ponikowskim pociągiem warszawskim i przybyliśmy do Ząbkowic koło 10-ej. Trzeba było wysiąść do rewizji dokumentów. Kiedy jako towarzysz ministra Ponikowskiego przedstawiłem swój paszport i kilka legitymacyj, urzędnik niemiecki powiedział mi, że to wszystko nie wystarcza. Na to ja z pewną obawą wyciągam moją Offene Ordre i pokazuję mu ją. Urzędnik przeczytał napis i może dwa wiersze tekstu i, nie oglądając dokumentu dalej, m.juprzejmiej powiedział: "Ach, dlaczegoż mi Pan zaraz nie powiedział, że Pan ma Offene Ordre. Oczywiście Pan ma przejazd wolny". Tak dostałem się do pociągu, który zawiózł mnie do Warszawy bez żadnych przeszkód.

W Warszawie zajechaliśmy z p.Opuszyńskim do Hotelu Europejskiego. Kiedy znany mi z dawniejszych czasów portier przyszedł do mnie, aby zabrać moje dokumenty i zgłosić mój przyjazd w niemieckim Urzędzie policyjnym na placu Saskim oraz uzyskać pozwolenie na wyjazd z Warszawy /die Ausreisebewilligung/, powiedziałem mu, że moje dokumenty są wszystkie w porządku z wyjątkiem ostatniego zatytułowanego "Offene Ordre". Niech zatem urzędnikowi pokaże paszport i inne legitymacje, a ten ostatni dokument niech zachowa narazie przy sobie i pokaże go dopiero w razie konieczności. Ponieważ jednak urzędnik mógłby papier ten uważać za nielegalny i kazać mnie aresztować, więc ja na razie ulotnię się z hotelu ze swą waliską i

pojadę do mego przyjaciela, Feliksa Czerwiakowskiego, gdzie zostanę tak długo, dopóki się nie dowiem, jak wypadła rewizja dokumentów. Niech mi o wyniku zatelefonuje do Czerwiakowskiego.

Stosunkowo wnet portier zatelefonował, że wszystko jest w pełnym porządku i mogę spokojnie do hotelu przybyć. Po mym powrocie portier opowiedział mi przebieg rewizji: "Według Pańskiego zlecenia pokazałem urzędnikowi wszystkie Pańskie papiery z wyjątkiem "Offene Ordre", ale urzędnik powiedział, że na tej podstawie pan Zoll nie miał prawa wjazdu do Warszawy, że rzecz nie jest w porządku, że wymaga dodatkowych dochodzeń. Na to - mówi portier - ja jeszcze niby szukam po kieszeniach i znajduję ową Offene Ordre, którą podaję dodatkowo urzędnikowi. Kiedy urzędnik ten papier zobaczył, nawet go nie przeczytał, tylko nabeształ mnie, że ja tego, co najważniejsze, zaraz mu nie pokazałem, i wystawił - spieszył się bardzo, bo wielu było czekających - nie tylko die Ausreisebewilligung, ale i żółty Entlausungsschein, który zwalnia Pana od chodzenia do instytutu odwszenia przed wyjazdem. Obydwa te dokumenty, mam jeszcze w swym przechowaniu.

Tak to popełniłem czyn karygodny sąsiadujący ze zbrodnią fałszerstwa publicznego dokumentu /§ 199 lit.d.austr. k.k./. Mam jednak nadzieję, że przed Sądem Ostatecznym nie będzie mi on poczytany za zbrodnię.

K. Z pobytu mego w Warszawie.

Zaraz pierwszego dnia poszedłem z p.Opuszyńskim na Zamek, aby wystarać się o audiencję u naszych Regentów.

Uważaliśmy to za obowiązek i za potrzebę serca, aby w imieniu Rady szkolnej galicyjskiej złożyć hołd przedstawicielom Polski, przywróconej do wielkości po półtorawiekowej niewoli. Mieliśmy rzadkie szczęście, bośmy zaraz po pięknej defiladzie, dokonanej przed Regentami przez znaczny oddział polskiego wojska, uzyskali u nich audiencję. Była to dla mnie podniosła chwila, kiedy stanąłem przed arcybiskupem Kakowskim, ks.Zdzisławem Lubomirskim i p.Józefem Ostrowskim, aby wyrazić wobec nich to, co wówczas jako Polak odczuwałem.

Po południu tegoż dnia, jakkolwiek był to dzień świąteczny, rozpoczęły się pod przewodnictwem ministra Ponikowskiego, a przy współudziale ministra Bukowińskiego, kilku wyższych urzędników Ministerstwa Oświecenia oraz pp.prof.Kazimierza Twardowskiego, prof.Buzka, inspektora dra Opuszyńskiego i autora tych wspomnień, wstępne obrady nad przyszłym i jednolitym ustrojem szkolnictwa w całej Polsce, które trwały jeszcze przez dzień następny. Nasamprzód p.Ponikowski przedstawił szkic projektu administracji szkolnej, oparty na podziale ziem polskich na 6 dyrektoriatów: poznański, krakowski, lubelski, lwowski, warszawski i wileński. Przy ostatnim dodano wówczas znak zapytania. Myślą przewodnią był centralizm w administracji szkolnej,ześrodkowany w Sejmie i Ministerstwie. Dyrektoriaty miały więc z reguły być władzami wykonawczymi, a nie autonomicznymi a nawet nie samorządowymi; Ministerstwo otrzymywało instytucję doradczą w Radzie Oświecenia, złożonej z reprezentantów nauczycielstwa, wyznań, miast, szkół wyższych itd. Jednak centralizacja nie wykluczała daleko idących odchyleń, a nawet wyjątków. Zwłaszcza dla

Galicji wschodniej planowano szeroki samorząd, a nawet pewną autonomię, ze względu na przeważającą tutaj liczbę Rusinów. W całej zaś Polsce, pod hasłem tolerancji i poszanowania obcych plemion, projekt przewidywał szkoły dla mniejszości narodowych: niemieckich, litewskich i ruskich z ich językiem wykładowym. Szkoła polska miała wszędzie istnieć dla dzieci narodowości polskiej. W ciągu obrad uczestnicy pochodzący z Galicji popierali silnie projekt zaprowadzenia samorządów prowincjonalnych - zwłaszcza na Śląsku. O ile chodzi specjalnie o Galicję wschodnią wyrażaliśmy zasadniczo a zgodnie z przewodnim kierunkiem referatu tendencje i myśli, by z chwilą przyłączenia Galicji do Polski okazać, że Rusini odtąd będą mogli wspólnie z nami działać i pracować, jak wolni z wolnymi i równi z równymi, że i dla nich powstanie Polski jest jutrzenką swobody, - byleby zechcieli być wiernymi obywatelami Państwa Polskiego i zerwać stosunki z tymi /z Niemcami zwłaszcza z Berlina/, którzy dlatego tylko pozornie się nimi opiekują, by nas osłabić, a sobie ułatwić dalszą ekspansję na wschód. Te tendencje i myśli tak dobrze przyjęte zostały przez innych uczestników obrad, że zwrócono się do p.ministra z prośbą, by przedmiotem najbliższych obrad szczegółowych mógł być już pewien konkretny projekt, mający na celu wydzielenie dotychczasowej Galicji wschodniej z ogólnego ustroju szkolnictwa polskiego przy udzieleniu jej nie tylko samorządu, ale i pewnej autonomii.- Jednak wypadki na wschodzie nie dały nam czasu i sposobności okazania, jak szczere i silne były w Warszawie chęci podania Rusinom przyjacielskiej dłoni. Przy końcu nanaszych dwudniowych obrad warszawskich nadeszły niedo-

kładne wieści o wybuchu wojny domowej w Galicji, o rozlewie krwi we Lwowie, o częściowym opanowaniu miasta przez Ukraińców. Wieści te potem sprawdziły się w zupełności i wychodziło powoli na jaw, że mimo rozpadnięcia się Austrii, ów "trzeci" z Berlina a także po części z Wiednia /Niemcy narodowo-liberalni/, - nieśmiertelny, znowu czynny, opiekuje się - jak dawniej - "uciemiężonym narodem", by z pomocą starej, wypróbowanej zasady divide et impera, wywoływać na wschodzie niepokoje i osłabiać Polskę.

Po ukończeniu wstępnych obrad minister Ponikowski zamianował mnie delegatem Ministerstwa dla Galicji, zachowując mnie na dotychczasowym stanowisku wiceprezydentem R.S., a radcę Opuszyńskiego zamianował delegatem dla Śląska austriackiego. Dekrety nominacyjne otrzymaliśmy tegoż samego dnia.

Pełnomocnictwa nasze były rozległe; obejmowały w drodze dewolucji część władzy Ministra odnoszącą się do szkolnictwa i uprawniały w razach koniecznych, nie cierpiących zwłoki, do wprowadzania zmian w istniejącym stanie rzeczy nawet przez zmiany przepisów ustawowych. Zresztą jednak na ogół należało utrzymać wszystkie przepisy, dotychczas w Galicji i na ŚŚ Śląsku obowiązujące.

Mimo naszych obrad piątkowych i sobotnich miałem chwilę czasu, by pojechać do pałacu Kronenberga, ówczesnej siedziby prezydium Rady Ministrów, przedstawić się p.premierowi Świerzyńskiemu i prosić go o audiencję, celem spełnienia misji powierzonej mi przez p.Bobrzyńskiego. P.Świerzyński wyznaczył mi na audiencję godzinę 3-cią

po południu w poniedziałek. Nie przypuszczałem wtedy w sobotę, że ta audiencja poniedziałkowa stanie się bezprzedmiotową.

W niedzielę rozeszliśmy się z p.Opuszyńskim w kawiarni Loursa, gdzieśmy dowiedzieli się z dzienników o zamachu stanu, jaki rząd p.Świerzyńskiego zainaugurował odezwą do polskiej ludności zwróconej przeciw Regentom. Odczułem ten fakt nader boleśnie. Nie wiem, czy nawet łzy mi się nie cisnęły do oczu, gdy podzieliłem się swym nader smutnym wrażeniem z p.Opuszyńskim: Jakżeż ta biedna Polska powstaje po półtorawiekowej niewoli! Czyż objawami anarchii w samych początkach nie szkodzimy sobie i nie kompromitujemy się wobec świata i tych, którzy Polskę powołują do życia i wolności? Rząd polski, ustanowiony przez Regentów, urządza rokosz przeciw nim, przeciw władzy najwyższej i centralnej; samorzutnie tworzą się różne rządy małe prowincjonalne: krakowska Komisja Likwidacyjna, rząd socjalistyczny w Lublinie, rząd ruski we Lwowie, urządzający powstanie - wszystko rządy, nie chcące uznać Rządu polskiego centralnego. Zamiast jednoczyć się pod wspólną władzą najwyższą, wracamy do osławionej starej niezgody polskiej, która ułatwiła wrogom ich polityczną działalność ekspanzywną przez podział i upadek Polski w wieku XVIII!.

Niedzielę spędziłem pod wpływem takich refleksji w głębokim przygnębieniu. Jednak poniedziałek przyniósł pewną otuchę, bo Rada Regencyjna wystąpiła energicznie przeciw rokoszanom. Dowiedziałem się o tym w następujących warunkach:

Wspomniałem powyżej, że p.premier Świerzyński w sobotę wyznaczył mi u siebie posłuchanie na poniedziałek, na godzinę trzecią po południu. W czasie oznaczonym przybyłem do pałacu Kronenberga, a dowiedziawszy się, że p. premier jeszcze nie przybył, spacerowałem, zamiast iść do poczekalni, po pięknym westybulu na pierwszym piętrze, skąd był widok na klatkę schodową. Wkrótce po mnie przybył elegancki rotmistrz, adjutant Rady Regencyjnej /o ile pamiętam nazywał się Górka/ - a kiedyśmy się zapoznali, powiedział mi, że ma wręczyć ważne pismo od p.Regentów p.Świerzyńskiemu. W kilka chwil potem przybył także p. Świerzyński i już w westybulu powitał mnie i rotmistrza. W westybulu nie było prócz nas trzech nikogo. P.rotmistrz wręczył więc natychmiast premierowi Świerzyńskiemu pismo Rady Regencyjnej, które tenże zaraz przy nas otworzył i przy nas - było ono widocznie krótkie - przeczytał. Bardzo zmieszany zwrócił się następnie do mnie z tym, że otrzymał bardzo ważne pismo i że dlatego przyjmie mnie nieco później, po czym poprosił do swego gabinetu rotmistrza. Ja, korzystając z wolnej chwili, wstąpiłem do gabinetu dra Władysława Wróblewskiego, późniejszego posła w Waszyngtonie, a później przez czas dłuższy prezesa Banku Polskiego. P.Wład.Wróblewski był wówczas przydzielony do Prezydium Rady Ministrów. Znaliśmy się dobrze,bo pan Wróblewski, brat profesora Uniw/Jagiel., Stanisława, habilitował się na naszym Uniwersytecie z zakresu prawa administracyjnego. Od Wróblewskiego dowiedziałem się o treści pisma Rady Regencyjnej: Rada dimisjonowała premiera i jego współpracowników, ministrów a to z mocą natychmiastową. Władzę rządową aż do powołania nowego gabinetu,

kazała przejąć od ustępujących ministrów p.Władysławowi Wróblewskiemu.

Temu postanowieniu, jak wiadomo, Rząd poddał się i ustąpił.

Dalsze wypadki są powszechnie znane: Przybycie Józefa Piłsudskiego dn.11 listopada z Magdeburga z więzienia, objęcie przez niego władzy, zlikwidowanie bardzo zręczne rządu lubelskiego, pomimo, że Piłsudski oparł się początkowo na socjalistach, rozwiązanie Komisji Likwidacyjnej, zwołanie pierwszego sejmu itd. itd.

Z ustąpieniem ministra Ponikowskiego ustały w Ministerstwie Ośw. obrady nad ustrojem administracji szkolnej. Wyjechaliśmy zatem z p.Opuszyńskim 5 listopada z Warszawy, ale powrót do Lwowa nie był na razie możliwy, bo skutkiem zbrojnej akcji Ukraińców ruch kolejowy do Lwowa został przerwany. Musieliśmy więc zatrzymać się w Krakowie, gdzie ja zresztą jako delegat Ministra Oświecenia miałem ważną misję do spełnienia. [Nawiasowo dodaję, że mimo dymisji gabinetu p.Świerzyńskiego, nasze nominacje delegackie t.j. moja i p.Opuszyńskiego zachowywały pełną moc, podobnie jak nominacje nauczycieli i urzędników przez p.ministra Ponikowskiego dokonane. Skoro jednak chodziło w nich o pełnomocnictwa, więc naturalnie mógł je odwołać nowy minister. Jednakże p.Praus z tego prawa nie skorzystał.

I. Z pobytu w Krakowie.

W Krakowie udałem się naprzód do "Krzysztoforów" /nazwa kamienicy w Rynku/, głównej siedziby Komisji

Likw
kimi
sław
jest
nich
wcal
z Wa
go,
licj
Likw
remu
że t
ks.W
skie
Zost
"Ja
ty -
bo d
ka G
Komi
ko w
prez
wpra
żany
jedy
na.
fałs
go j
ceni
mogę

Likwidacyjnej. Tam dowiedziałem się w prezydium, że wszelkimi sprawami oświatowymi kieruje dyrektor gimn. z Jarosławia, Rychlik b.poseł do Rady Państwa, a jego zastępcą jest prof.Józef ~~Krajusz~~ Krajewski, że więc mam się do nich zwrócić. Pan naczelnik Wydziału Oświaty przyjął mnie wcale łaskawie, ale, kiedy powiedziałem mu, że przybyłem z Warszawy jako delegat Ministra Oświecenia Rządu Polskiego, aby objąć władzę w zakresie szkolnictwa w całej b.Galicji, oświadczył mi, że to stać się nie może, bo Komisja Likwidacyjna nie uważa "Rządu Warszawskiego" za rząd,któremuby miała podlegać, że ona jedynie ma władzę w Galicji że także tylko taką odpowiedź otrzymał trzy dni przed tym ks.Witold Czartoryski, który z ramienia "Rządu Warszawskiego" miał objąć wszystkie agendy namiestnika Galicji. Został więc odprawiony z niczym i powrócił do Warszawy. "Ja jednak - odpowiedziałem p.kierownikowi Wydziału oświaty - nie myślę poddać się decyzji Komisji Likwidacyjnej, bo dla mnie nie istnieje już ani dotychczasowa austriacka Galicja ani dla rządzenia nią samorzutnie utworzona Komisja Likwidacyjna. Ja - jako Polak - znam obecnie tylko wolną Polskę, jako całość, i podlegam w charakterze prezydenta Rady Szkolnej jedynie temu Rządowi, który ma wprawdzie swą siedzibę w Warszawie, ale powinien być uważany za rząd ogólno-polski i jest nim, bo go ustanowiła jedyna suwerenna władza polska, mianowicie Rada Regencyjna. Nazywanie tego rządu rządem warszawskim polega na fałszywym ujęciu rzeczy i niezrozumieniu sytuacji. Dlatego ja jako delegat tego Rządu polskiego w zakresie oświecenia publicznego i prezydent R.S., - skoro chwilowo nie mogę wrócić do Lwowa, otworzę w Krakowie filię R.S. dla

obszaru dawnej Galicji i tu prowadzić będę w dalszym ciągu swe urzędowanie".

Tak też uczyniłem: Nająłem lokal początkowo przy ulicy Długiej i tam urządziłem oddział R.S., w której rozpoczęli urzędowanie pod moim kierownictwem funkcjonariusze R.S., znajdujący się wówczas w Krakowie. Nauczycielstwo napływało do nas wnet licznie z różnymi sprawami, przeważnie finansowej natury i doznawało z naszej strony najżyczliwszego przyjęcia. Do Wydziału oświaty w Krzysztoforach przestano się zwracać. Odniosłem zatem zwycięstwo, ale mało skuteczne, a nawet tylko pozorne, bo asygnat, jakie wystawiałem jako prezydent R.S. Komisja Likwidacyjna nie uznawała i nie honorowała. Chcąc zatem skutecznie pomagać nauczycielom także zasiłkami pieniężnymi i utrzymać filię R.S. oraz ją rozwinąć, przeprowadziłem z Wydziałem oświaty Komisji likwid. rokowania, które doprowadziły wkrótce do ugody następującej: Komisja Likwidacyjna uznała moją władzę jako prezydenta R.S., aprobowała utworzenie przeze mnie tymczasowej filii Rady Szk. w Krakowie pod nazwą Ekspozytury R.Szk. i zobowiązała się dostarczyć mi potrzebnego dla niej lokalu oraz personelu; honorować też będzie asygnaty kasowe przeze mnie podpisane. W zamian za to ja przyrzekłem, że sprawami, wychodzącymi poza zakres kompetencji prezydenta Rady szkolnej, którebym miał załatwiać jako delegat Ministra Oświecenia, zwracać się będę do Wydziału Oświatowego i tylko za jego zgodą wydam właściwe rozporządzenia, czy zarządzenia.

Na podstawie tej ugody zorganizowałem w kilku dniach Ekspozyturę, a wszystkie moje wnioski były załatwiane przychylnie i szybko przez Komisję Likwidacyjną. Powołałem

więc do Ekspozytury kilku urzędników administracyjnych, a między nimi takie siły pierwszorzędne, jak starostów Konckiego i Mikosza. Pierwszy został potem wojewodą śląskim, drugi - wicewojewodą krakowskim. Koncki, niestety zmarł przedwcześnie w wieku około lat 40-tu. Powołałem także kilku profesorów, inspektorów okręgowych i nauczycieli szkół ludowych do spełniania zadań inspektorów krajowych oraz zorganizowałem niezbędny personel manipulacyjny; funkcje biur rachunkowych objęła krakowska Dyrekcja Skarbu. Ekspozyturę tak rozwiniętą przeniosłem do wygodnego lokalu najętego w "Hotelu Krakowskim" przy plantach u wylotu ulicy Łobzowskiej. Praca w niej szła ochoczo i wzorowo. Załatwiano wszystkie sprawy bieżące z reguły w tym samym dniu, w którym wpływały, a z możliwą szybkością sprawy zasadnicze. Przygotowano w niej między innymi na wezwanie Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia publicznego sprawozdanie, dotyczące regulacji płac nauczycieli szkół średnich, zawodowych i seminariów nauczycielskich, tudzież projekty zaopatrzenia emerytów, wdów i sierot.

Ekspozyturę zwinąłem dopiero w czerwcu 1919 r.t.j. w czasie, gdy R.S. po ostatecznym zabezpieczeniu wschodniej Małopolski od inwazji ukraińskiej w całej pełni wznowiła swe normalne funkcje we Lwowie.

Ważniejszą jeszcze rzeczą było natychmiastowe wprowadzenie zmian w programie nauk tak w szkołach powszechnych, dotąd zwanych ludowymi, jak i w szkołach średnich. Po odbyciu więc konferencji z kilkunastu nauczycielami szkół ludowych i dyrektorami szkół średnich i zawodowych wydałem zgodnie z Polską Komisją Likwidacyjną dnia 10-go

listopada okólnik antydatowany dniem 5 listopada, wprowadzający szereg najniezbędniejszych zmian w planach naukowych polskich szkół galicyjskich i mieszczący zarządzenia co do dalszego prowadzenia nauki w tych szkołach. Okólnikiem uchyliłem między innymi ze szkół galicyjskich t.zw.austriaca, a nadto naukę języka niemieckiego w III i IV klasie szkół ludowych, jako przedmiotu obowiązkowego, poleciłem zaś rozszerzać lub wprowadzać t.zw.polonica. - Okólnik z dn.5 listopada rozszerzony został potem na całą Galicję reskryptem R.S. z dnia 5 grudnia /Dziennik Urzędowy Nr.11, z dnia 15 grudnia 1918, str.213-216, 218 i 219/.

Rozporządzenie to zwane okólnikiem podane zostało w skrócie w Kronice R.S. na str.82-84.

Po dokonaniu wszystkich powyższych prac wyjechałem z pełnomocnictwami Ministerstwa Oświecenia i Polskiej Komisji Likwidacyjnej do Wiednia, aby z austriackiego Ministerstwa Wyznań i Oświaty odebrać wszystkie akty, dotyczące szkół galicyjskich. Ta misja jednak nie udała mi się, gdyż skutkiem protestu bawiących w Wiedniu posłów ukraińskich zatrzymano w Wiedniu akty galicyjskie jako sporny "depozyt polsko-ukraiński". Niewydanie mi wówczas żądanych aktów stało się powodem zwłoki w załatwieniu wielu spraw bardzo aktualnych oraz późniejszych skarg na R.S., którą bezpodstawnie obwiniano o powolność w załatwianiu ważnych spraw.

Nie żałowałem jednak trudów mej podróży wiedeńskiej, bo przybyłem tam w chwili historycznej, gdy dokonywał się wielki przewrót, łączący się z upadkiem wielkiej monar-

chii austr.-węg.

Między innymi i w Ministerstwie Wyznań i Oświaty wprowadzono właśnie w urzędowanie ministra "niemiecko-austriackiego" Bauera. Odźwierny na me zapytanie, gdzie jest minister austriacki, Hampe, z lekceważeniem machnął ręką i zaprowadził mnie przez ganek podwórkowy do małego pokoju, w którym przy niewielkim stoliczku siedział reprezentant ustępującego rządu.

Na Franzensringu przed parlamentem widziałem demonstrujące tłumy ludzi, pędzone wirem rewolucyjnym, podniecane jeszcze krzykami i wrzaskami, graniczącymi z wyciem. Siłą kontrastu wzbudziło się wówczas we mnie wspomnienie niedawnego obrazu z rynku krakowskiego: powaga i spokój, z jakim wojsko austriackie ustępowało miejsca wojsku polskiemu i rozrzewnienie modlącego się na Rynku tłumu, który przy pieśni: "Boże coś Polskę" radośnie łzy wylewał. Tam, w Krakowie wschodzące polskiej wolności słońce - tu, w Wiedniu zmierzch rozpadającego się mocarstwa, które mogło stać się olbrzymią potęgą, gdyby było wprowadziło w świat nowe idee, szczytne w dziedzinie zgodnego współżycia różnych narodów, łącząc harmonijnie prądy nacjonalistyczne, coraz silniej rozwijące się w ostatnich lat dziesiątkach, z zasadami ludzkości i sprawiedliwości. Na drogę tego kierunku monarchia wstąpiła w drugiej połowie XIX wieku, zaczęła też ku sobie przyciągać narody, pragnące pełnej wolności, a zbyt słabe, aby opierać się ekspansji i przemocy pangermanizmu i panrusycyzmu. Jednak drogę tę jeszcze nieutrwaloną Austria opuściła pod wpływem Berlina i jego ekspozytury austriackiej, skupiającej się w partii der Deutsch-Nationalen. Porzuciła

wielkie humanitarne kierunki, mające ideały sprawiedliwości i prawa urzeczywistniać w stosunkach między narodami, wśród których konflikty usuwała dotąd brutalna siła i przemoc. Monarchia habsburgska poddała się pod wpływy Prusactwa, które rozwinęło w nieznanej dotąd mierze militaryzm pod hasłem nacjonalizmu niemieckiego, chorobliwie spotęgowanego. I na tej drodze austriaccy Deutsch-Nationale wspólnie z szowinistami niemieckimi z Reichu doprowadzili Austrię do upadku, a w końcu do zagłady w trzeciej Rzeszy Hitlera.

Ł. Powrót do Lwowa.

W kilka dni po powrocie do Krakowa z Wiednia dowiedziałem się, że droga do Lwowa jest otwarta, że dzięki naszym wojskom, które naprzód opanowały Przemyśl a potem usunęły oddziały ukraińskie z linii kolejowej Przemyśl-Lwów, przywrócono ruch kolejowy na tej przestrzeni. Nie był to jeszcze ruch normalny; łączył się on z wielkimi trudnościami, a nawet z niebezpieczeństwem, bo wojska ukraińskie opanowały tak ziemie na północ jak i na południe linii kolejowej położone i ostrzeliwały pociągi; - jednakże do Lwowa można się już było dostać. Wybrałem się zatem jeszcze w listopadzie do Lwowa i tym razem odbyłem podróż, trwającą blisko dwie doby, względnie dobrze. Podróż trwała dlatego tak długo, bo od Przemyśla pociąg posuwał się powoli, a po drodze odbyła się utarczka między oddziałem naszego wojska, eskortującym pociąg, a ~~powstańcami~~ ukraiń~~sk~~cami, którzy tylko z karabi-

nów pociąg ostrzeliwali. Jednak zdarzały się na tej linii także pociski armatnie, które na szczęście całkiem wyjątkowo w pociąg trafiały. Gdy 3-go stycznia wracałem ze świąt, spędzonych w Krakowie, do Lwowa, pocisk armatni /szrapnel/ na stacji Mszana trafił w wagon obok mego wagonu: Zginęły na miejscu trzy osoby - między nimi prof. Papée z Tarnowa - a z kilku innych osób, które znajdowały się w roztrzaskanym wagonie, wyniesiono jedną okropnie poranioną.

Mimo takich incydentów ruch kolejowy utrzymywano prawie ustawicznie; przerwy zdarzały się, ale rzadko i trwały krótko. Raz tylko jeden Lwów został od Zachodu na kilka, czy kilkanaście dni odcięty, a to wtedy, gdy oddział ukraiński zniszczył most na Wereszycy. Ale nasi pionierzy odbudowali go wkrótce i ruch kolejowy został przywrócony.- Do Przemyśla, a potem i do Lwowa przybył w owym czasie generał francuski, aby skomunikować się z generałem Rozwadowskim, głównodowodzącym wojskiem polskim we Lwowie i wyrażał zdziwienie z powodu niedołęstwa dowództwa ukraińskiego, które nie postarało się na szczęście o trwałe odcięcie Lwowa od komunikacji bezpośredniej z Zachodem - mimo tak łatwych warunków, jak wielkie, bo 100 kilometrowe, oddalenie Lwowa od Przemyśla, tor kolejowy przebiegający ziemie zajęte przez wojsko ukraińskie lub dla niego wszędzie dostępne, liczba wojska ukraińskiego znacznie przewyższająca drobną dotąd liczbę wojska polskiego na Wschodzie itd. Temu niedołęstwu dowództwa przypisać też należy, że most na Wereszycy mógł być tak łatwo odbudowany.

Stosunki w R.S. zastałem nader opłakane: Ogólna depresja moralna, brak opału w biurach i niemożność uzyskania go skądkolwiek, brak sił urzędniczych, ostrzeliwanie miasta - i to często skuteczne - z armat z Persenkówki, ciągle grożące niebezpieczeństwo odcięcia miasta od Zachodu, bardzo wielkie trudności aprowizacyjne itd. - były powodem prawie zupełnego zastoju w pracy, jakby paraliżu, z którego R.S. mogła się podźwignąć w zupełności dopiero po ostatecznym wyparciu Ukraińców z okolic Lwowa i z sąsiedztwa linii kolejowej, łączącej Lwów z Przemyślem. O zwoływaniu posiedzeń R.S. w tym czasie nie mogło być mowy. Zastój agend kilkumiesięczny odbijał się ujemnie na urzędowaniu R.S. także później, gdy rozpoczęła ona swe urzędowanie w warunkach łatwiejszych, ale ze zmniejszonym znacznie personelem konceptowym, rachunkowym i manipulacyjnym. Na R.S. mnożyły się skargi, a nawet napaści ze strony tych, którzy od niej mieli prawo domagać się pomocy, a sami chłostani nędzą i nękani rozpaczą nie mogli zdobyć się na tyle sądu przedmiotowego, aby odróżnić winę od bezwinnego związku przyczynowego z faktami od R.S. niezależnymi.

Na drugi dzień po objęciu urzędowania w R.S. przedstawiłem się Wydziałowi Oświatowemu, Komitetu Rządzącego, który jako naczelna władza polska we Lwowie zawiązał się dla Galicji wschodniej, podobnie jak P.K.L.dla Galicji zachodniej. W Komitecie Rządzącym nie spotkałem się z żadnymi trudnościami. Uznano władzę R.S. i jej prezydenta, a nadto także władzę moją jako delegata Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego;

przyjęto też do wiadomości, że w sprawach delegackich będę porozumiewał się z Komitetem Rządzącym tak, jak z Polską Komisją Likwidacyjną.

Podobny stosunek łączył R.S. także z Komisją Rządzącą, która powstała z połączenia się Polskiej Komisji Likwidacyjnej w Krakowie z Komitetem Rządzącym we Lwowie, - stosunek, który rozwiązał się, gdy z końcem marca 1919 agendy Wydziału Oświatowego Komitetu Rządzącego przejęło ostatecznie Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

M. Mój memoriał z dn.25 grudnia 1918 r. w sprawie szkolnictwa rusińskiego w Polsce.

Wobec zastoju, jakby jakiegoś paraliżu częściowego, w jakim znajdowała się R.S., gdy z końcem listopada 1918 powróciłem do Lwowa i w jakim pozostawała, dopóki wojska ukraińskie miasto ostrzeliwały, a groźba odcięcia nas od Zachodu istniała i wojna domowa trwała, nie byłem w R.S. aktami bieżącymi obciążony. Miałem zatem dość wolnego czasu. Poświęciłem go dalszym rozmyślaniom nad zagadnieniem, które mnie od dłuższego czasu, zwłaszcza odkąd zostałem prezydentem R.S., żywo zajmowało - mianowicie nad zagadnieniem, jakim powinien być nasz stosunek do Rusinów, w wolnej i niepodległej Polsce, w której siłą faktu, mianowicie dzięki temu, że stanowimy olbrzymią większość w stosunku do mniejszości narodowych, przypada nam zwierzchnictwo w rządach. Uważałem, że zagadnienie naszego stosunku do Ukraińców jest problemem pierwszo-

rzędnej doniosłości, którego rozwiązanie mądre i sprawiedliwe leży w interesie nie tylko Polski, ale i samych Ukraińców. Sprawę uważałem także za nader pilną. Zabrałem się więc natychmiast po powrocie do Lwowa do pracy, do przemyślenia jeszcze raz problemu i przygotowania memoriału dla Rządu polskiego.

Naprzód zdaję sprawę z moich listopadowych i grudniowych rozmyślań i roztrząsań. Oto ich treść w kilku ogólnych zarysach:

Kiedy po zaprowadzeniu konstytucji w Austrii, galicyjskimi Rusinami kierowali pod względem politycznym t.zw. Starorusini, niebezpieczeństwo dla rządów polskich w Galicji nie było stosunkowo groźne, bo Starorusini upatrywali w Rusinach tylko odłam licznego, potężnego narodu wszechrosyjskiego i na Rosję oglądali się, chcąc podkopywać rządy polskie w Galicji. Tym samym prowokowali przeciw sobie rząd austriacki i Niemców, mających w tym rządzie przodownictwo, i wzmacniali pośrednio wpływy polskie w Austrii i Galicji. Jednak zmiana zupełna nastąpiła, odkąd wśród Rusinów osłabł wpływ Starorusinów a kierownictwo polityki rusińskiej objęli Ukraińcy, partia radykalna, skrajnie nacjonalistyczna. Ci w opozycji przeciw rządom polskim w Galicji i dominującemu znaczeniu, jakie w parlamencie austriackim posiadało Koło Polskie, znaleźli pomoc i poparcie w partii austro-niemieckich liberałów /deutsch-liberale Partei/ a za nimi także w rządzie państwa niemieckiego, dla którego wszystko było poparcia godne, co mogło podkopywać znaczenie polityczne Polaków. Za czasów mej wiceprezydentury niejednokrotnie dostrzegłem, jak to rząd pruski i Niemcy z Rzeszy umieli przy-

ciągać ku sobie Ukraińców, niosąc im pomoc moralną, czasem i materialną; jak podburzali ich przeciw Polakom. Słyszałem też o nadziejach, którymi Niemcy z Rzeszy łudzili Ukraińców, że z pomocą niemiecką powstanie w imię sprawiedliwości dziejowej wielka niepodległa Ukraina. Ukraińcy naiwni, nie liczący się z realnymi warunkami, szli na lep takich fantazmagorii /przynajmniej na ówczas/. Nie rozumieli, że Niemcom chodzi tylko o to, aby zgodnie z odwiecznym prądem /Drang nach Osten/ zniszczyć a nawet wygubić polskość, która jest w pierwszej linii dla ekspansji niemieckiej przeszkodą. Ukraińcy nie rozważali, że ten prąd po wyniszczeniu narodu polskiego popchnie potem Niemców na bogatsze jeszcze ziemie ukraińskich autochtonów, usunie ich z ojcowiny lub zamieni w niewolników niemieckich. Dość wyraźne świadectwo takiego planu mieści się w napisanej później książce Hitlera "Mein Kampf", w której projekty pochodu na Wschód odpowiadają zresztą dawnym tradycjom historycznym Niemców, Zakonu Krzyżackiego, niemieckich Prusaków, Fryderyka II, Bismarcka itd.

Ale nawet, abstrahując od nowych wpływów niemieckich nie podobną rzeczą było nie widzieć, że w samych Ukraińcach, partii radykalno-nacjonalistycznej i demokratycznymi hasłami upojonej, tkwiło wiele zarzewia nie tylko do nieprzychylnego, ale nawet do wrogiego nienawistnego usposobienia względem Polaków. Wszak ono to było powodem podkopywania przez Ukraińców w Wiedniu /w wyższym stopniu niż swego czasu przez Starorusinów/ znaczenia Koła Polskiego, obstrukcji w Sejmie Krajowym itd., - ono też było głównym źródłem wybuchu zbrojnego ruchu przeciw przyłączeniu Galicji wschodniej do niepodległej Polski.

Otóż sądziłem, że taki stan rzeczy trzeba w interesie Polski, ale także w interesie Ukraińców zwalczać i usuwać i czynić wszystko, co było możliwe, aby Ukraińców ku sobie przyciągać, a z czasem przerobić z wrogów na lojalnych obywateli Państwa polskiego.

Czyż jednak takie zamiary nie są utopią? Oto pytanie, które sobie niejednokrotnie stawiałem. Wszak - nasuwała się myśl - Ukraińcy dążą głównie do tego, żeby sąbx sobą sami rządzili, a nie podlegali rządom polskim; to dążenie jest wypływem ogólnego i już dlatego silnego popędu nacjonalistycznego, jaki wzbudzony przez wojny napoleońskie, rósł w wieku XIX i XX coraz intenzywniej i z czasem ogarnął także mieszkańców dawnej Rusi Czerwonej, którzy przyjąwszy nazwę Ukraińców, rozwinęli akcję niepodległościową za wzorem innych narodów, bo exempla trahunt? Czyż można taki żywiołowy prąd poskromić jakimiś ugodami, czy koncesjami, czy więc nie mają słuszności polskie nacjonalistycznie skrajne stronnictwa, gdy twierdzą, że Ukraińców, jako wrogów, należy siłą i przemocą zwalczać i do posłuszeństwa zniewalać?

Otóż w planach swych odrzucałem wszelkie gwałty, choćby pomny prawd, że "Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie". "Bagnetami można walczyć, ale na nich siedzieć nie można". A jakkolwiek zdawałem sobie sprawę z wielkich trudności, jakie na drodze ugodowej musi się napotkać, nie uważałem myśli wskazanej bynajmniej za utopię, lecz przeciwnie, sądziłem, że ona jedynie może doprowadzić do pożądanych wyników. Liczne rozważania skłaniały mnie do tego poglądu:

Uważałem za rzecz wykluczoną, żeby państwa miały

opierać się wbrew temu, co było dotychczas, w przyszłości tylko na jednolitych narodowościowo społeczeństwach. Wszak na tych samych przestrzeniach mieszkają nadal ludzie różnych narodowości, szczepów i ras. Jeżeli więc nie ma się wprowadzać jakichś barbarzyńskich, nieludzkich środków tępienia lub niszczenia słabszych przez silniejszych, albo przesiedlania masowego, aby stwarzać podstawy do jednolitych narodowościowo i rasowo państw /niemieckiej "Gleichschaltung"/, to państwa kulturalne mogą współżycie różnych narodów, które należą do tego samego państwa, urządzić tylko na drodze prawnej - a to licząc się z ich wolą i interesami, a usuwając konflikty w drodze sprawiedliwości. O przykłady ilustrujące takie drogi, nie trudno. Dostarcza ich wiele historia, choćby ostatnich czasów. Nie szukając daleko, znajdywałem takie wzory już w monarchii austriacko-węgierskiej, w skład której wchodziło kilkanaście narodów i szczepów, zwłaszcza w ugodzie, zawartej między Austrią a Węgrami w r.1867, albo w austriackich ustawach zasadniczych z r.1867, w których znajduje się ów sławny art.19, wprowadzający równouprawnienie wszystkich ludów /Völker/, w skład Austrii wchodzących - artykuł, który stanowi w historii prawa publicznego wielki postęp, bo wprowadza do zasadniczych ustaw konstytucyjnych obowiązek uznawania praw narodowościowych. Przykładu bardzo znamiennego dostarcza dalej np. Szwajcaria, w której, dzięki jej ustrojowi i praktykom, trzy ludy różnych narodowości, w jednym państwie złączone, mimo przywiązania do swych właściwości i tradycyj narodowościowych, ożywione są najgorętszym patriotyzmem i umiłowaniem jedynie państwowo wspólnej ojczyzny,

i to tak, że każdy obywatel, czy jest narodowościowo Francuzem, Niemcem, czy Włochem, czuje się przede wszystkim Szwajcarem, że więc np. Niemcowi z Zurichu bliższym jest Francuz z Genewy, aniżeli Niemiec z Berlina. Żeby nie mnożyć przykładów wspomnę jeszcze tylko o Alzacji: Alzatczycy, chociaż narodowościowo byli przeważnie Niemcami i swą niemieckość gorąco pielęgnowali, uważali się do r.1871 chętnie, często z zapałem, za obywateli francuskich i gorąco do Francji jako do swej ojczyzny byli przywiązani, czego dowody składali w latach 1870 i 1871, przelewając krew za ojczyznę francuską. W r.1889, kiedy spędziłem kilka dni w Alzacji, miałem sposobność dowiedzenia się na miejscu, że znaczna część Alzatczyków i to nie tylko Francuzów, ale i narodowościowo Niemców pragnęła, by ówczesny "Reichsland" powrócił znowu do Francji i by przez to Alzacja pozbyła się "wreszcie" rządów i "Drillu" Prusactwa.

Czy, rozmyślałem dalej, marzenia gorących, przeważnie młodych Ukraińców o utworzeniu wielkiej niepodległej Ukrainy miały wówczas jakiekolwiek realne podstawy? Otóż tych absolutnie nie widziałem. Rosja ze względu na swą integralność tłumiła skutecznie w zarodkach wszelkie myśli o powstaniu jakiejś wolnej Ukrainy. Znamienną rzeczą było pod tym względem np., że w latach 80-dziesiątych nie wiele brakowało do wybuchu wojny Rosji przeciw Austrii, gdy Niemcy austriaccy, aby osłabiać znaczenie Koła Polskiego, zaczęli popierać tendencje separatystyczne, budzących się do samoistnego życia politycznego

Ukraińców,[x] które mogły grozić przeniesieniem na liczne miliony Rusinów, poddanych rosyjskich. - Jeżeli zatem Ukraińcy nie mogli myśleć na serio o utworzeniu Ukrainy

---

x/ O popieraniu przez austr.Niemców /niemieckich liberałów/ tendencyj separatystycznych Ukraińców /zwróconych oczywiście przeciw Polakom/ mówiono dużo w Wiedniu w latach 80-dziesiątych. W szczególności - jak słyszałem - chciano powoływać do ministerstw, a nawet na dwór cesarski Ukraińców, tak, jak to było zwyczajem co do Polaków. Ale podobno trudno było znaleźć odpowiednich kandydatów nie tylko ze znajomością dobrą języka niemieckiego, ale także z wymaganą ogładą i wyrobieniem towarzyskim. Jeden z Niemców z Kancelarii Nadwornej opowiedział mi następującą anegdotkę, - za której prawdziwość oczywiście ręczyć nie mogę:

Na dworze cesarskim nie było żadnego Ukraińca. Otóż skutkiem polecenia jakiejś wpływowej figury powołano do służby około samego cesarza - Ukraińca O., władającego zupełnie dobrze językiem niemieckim. Ponieważ nie było na razie dla niego innego wolnego zajęcia, nałożono na O. tylko obowiązek, aby codziennie wieczorem był w Wielkiej Operze i tam przez cały czas przedstawienia znajdował się we fraku w przedpokoju loży cesarskiej. O. objął tę służbę. Zaraz pierwszego wieczora cesarz Franciszek Józef przybył do opery. O. zobaczywszy cesarza wstał, jak mu przykazano - i bardzo nisko się ukłonił. Po pewnym czasie przybył następca tronu, arcyksiążę Rudolf. O. znowu wstał i bardzo nisko ukłonił się, ale arcyksiążę Rudolf zbliżył się do niego i zapytał, czy jest może już ktoś w loży. Na to O. miał odpowiedzieć: "Der Papa" /"Tatuś"/. Arcyksiążę zgniewany z powodu tego poufałego oznaczenia osoby cesarza, podniesionym głosem zapytał się O.: "Ist er /zamiast Sie; jest to wyrażenie użyte dla zlekceważenia osoby, do której się mówi/ denn besoffen? /Czy jest on pijany?/. O. zrozumiawszy rzecz inaczej, odpowiedział ze zdziwieniem: "Das habe ich nicht bemerkt". /Tego nie zauważyłem/. Po tym zdarzeniu O. wyznaczyć miano zajęcie inne.

na wielkich obszarach Rosji południowej, to musieli, rzecz biorąc realnie, ograniczać się w swych projektach do b.Galicji wschodniej i ewentualnie Wołynia, na których silne państwo ukraińskie /w danych warunkach/ powstać oczywiście nie mogło.

W takiej sytuacji dla Ukraińców, jeżeli pragnęli zapewnić sobie swobodny rozwój swych odrębności narodowych, nie pozostawało nic innego, jak współżycie z Polską na sprawiedliwych, prawnie zabezpieczonych podstawach oparte.

Przecież, sądziłem, zrozumieć to muszą z czasem Ukraińcy, jeżeli tylko wyemancypują się z pod wpływów swych pseudo opiekunów niemieckich.

A pod tym względem miałem nadzieje, widząc, że wśród Ukraińców rośnie liczba ludzi wykształconych, inteligentnych, odznaczających się zdolnościami organizacyjnymi, przymiotami społecznymi, występującymi m.i. w działalności ich związkowej. Można było więc spodziewać się, że znajdą się wśród nich także ludzie myślący politycznie, liczący się z danymi warunkami i wstąpią z czasem, jak mi raz jeden z Ukraińców powiedział, na drogę mądrą, jaką obrali krakowscy Stańczycy wobec Austrii ze względu na dobro swego narodu.

Ale z drugiej strony i my - snułem dalej swe myśli i roztrząsania - musimy poczynić potrzebne wobec Ukraińców awanse, czy zabiegi.

Otóż powinniśmy się liczyć z tym, że ci inteligentni Ukraińcy, których liczba, jak właśnie zaznaczyłem, wzrastała, już z natury rzeczy, a także pod wpływem ogólnych

prądów demokratycznych i nacjonalistycznych, pragną mieć wpływ na rządy w społeczeństwie, do którego narodowościowo należą. Odsuwanie ich od tych rządów, budzić musi przeciw nam nieprzyjazne nastawienie, gdy tymczasem dopuszczenie do współrządów, ich przyciągnie. Środkiem właściwym byłoby, jak sądziłem, wprowadzenie samorządu dla Rusinów a może z czasem autonomii, - ale na razie jedynie z odpowiednimi kautelami, koniecznymi w interesie Polski, ze względu na nieprzyjazne wobec nas usposobienie większości Rusinów, a zwłaszcza sfer inteligentniejszych i kleru. /O tych kautelach podaję wiadomości w dalszym ciągu przy streszczeniu Memoriału/.

Zdawałem sobie sprawę dalej z tego, w czym mnie tak historia prawa jak i własne doświadczenie pouczyło, że warunkiem dobrych stosunków między ludźmi i narodami jest bezwzględne szanowanie prawa. Rusini bardzo często przeciw rządom ~~samym~~ naszym występowali, powołując się na to, że im Polacy wyrządzają krzywdy. "Krywdy" /czy "Kriwdy"/ stanowiły ciągle powtarzany motyw żalów. Niewątpliwie było w tym dużo przesady i mijania się z prawdą, ale jako prezydent R.S. przekonałem się, że czasem skargi takie miały podstawy, a każda stwierdzona "krzywda" mogła być i bywała źródłem nienawistnej propagandy przeciw Polakom i polskim rządom. Ścisłe trzymanie się i przestrzeganie prawa obowiązującego, powinno być bezwzględnym postulatem w Polsce, czy chodzi o Polaka czy o Rusina. Rusin powinien wiedzieć, że jest na równi z Polakiem uprawnionym obywatelem Polski i że w Polsce, według wskazań J.J.Rousseau najwyższym suwerenem jest <u>Prawo</u>, a

nie samowola jednostek. To jest platforma, na której można jedynie tworzyć podstawy do ugody i porozumienia! Ale trzeba też, by Rusin nabrał przekonania, że prawo nie jest tylko w pięknych słowach ustawy spisane, ale że każda jednostka musi się do niego stosować, a władze do tego powołane, powinny jego norm w praktyce przestrzegać. Żal, jaki przez nieprzyznawanie Rusinowi należącego mu się prawa powstaje, nie może być uchylony przez późniejsze głaskanie go, jakieś przymilanie się do niego / o przykładach takich praktyk słyszałem/, bo widzi on w takim postępowaniu fałsz i słabość. Imponuje mu zaś, a nawet przyciąga stanowczość i siła, kierowana sprawiedliwością. - Dlatego to jako prezydent czuwałem nad tym, by i Rusinom przyznawano najskrupulatniej wszystko, co się im prawnie należy, ale też, tak samo jak od Polaków, wymagałem od nich sumiennego spełniania obowiązków. Takim postępowaniem wzbudzałem do siebie zaufanie, zjednywałem ich sobie, a nawet miałem na nich pewien wpływ. -
Na dowód przytoczę tu następujący przypadek:

Wybitniejsi Ukraińcy przedstawiali mi swe prośby, czy żale, zawsze w języku rusińskim. Ja nie przerywałem - choć mało co rozumiałem - lecz po skończeniu przez nich rusińskiego przemówienia, dodawałem ze swej strony: "Wysłuchałem panów petycji w obcym dla mnie języku, bo macie prawo w języku ojczystym wasze życzenia wobec władzy przedstawiać, ale rzeczy nie zrozumiałem dokładnie. Proszę więc o powtórzenie treści w języku polskim. Po czym Rusini chętnie powtarzali rzecz w języku polskim. Jednakże razu pewnego przyszedł do mnie najwybitniejszy między Rusinami polityk, Barwiński, członek Izby Panów wraz

z dwoma innymi Ukraińcami; o ile pamiętam byli to p.Fedak i prof.Studziński. P.Barwiński tym razem przemówił do mnie odrazu po polsku, nawet bez wstępnego zastrzeżenia co do języka i przedstawił mi spór prawny, jaki w ich obozie powstał, prosząc żebym go zechciał rozstrzygnąć. Zdziwiony zapytałem, dlaczego z tą prośbą zwracają się do mnie, do Polaka, jakkolwiek przecież z niechęcią, czasem wrogo, patrzą na mięszanie się nasze w ich sprawy. Usłyszałem po tym następującą odpowiedź: "Panie Prezydencie, może nie wzbudzamy w Tobie sympatii, ale wiemy, że jesteś także zawsze wobec nas stróżem prawa, a za to czujemy dla Ciebie wdzięczność i mamy do Twych rządów pełne zaufanie."-Odpowiedziałem, że słowa, które usłyszałem, są dla mnie, miłym objawem. Zająłem się sporem, a po kilku dniach wydałem polubowne orzeczenie, za które obie strony wyraziły mi - jak wierzę - szczerą wdzięczność.

O ile chodziłoby o pozyskanie pewnego wpływu i na szersze warstwy społeczeństwa rusińskiego zwłaszcza na włościan, poczytywałem za rzecz bardzo ważną, utrzymywanie przez nas dobrych stosunków z wyższym klerem grecko katolickim, od którego zależy kler niższy, mający ciągły kontakt zwłaszcza z włościaństwem ruskim. - Co prawda utrzymywanie takich stosunków nie jest rzeczą łatwą - zdawałem sobie z tego sprawę, - bo nie wielu wśród kleru było tak światłych i ugodowo usposobionych kapłanów, jak np. czcigodny biskup Chomyszyn.

Dla kierunku mych rozmyślań a zwłaszcza opinii, że z memoriałem zamierzonym nie powinienem zwlekać, miał znaczenie pierwszorzędne - przypominam, że był to grudzień r.1918 - fakt, że granice Polski nie były jeszcze ustalone, że Żydzi, mający wpływy na obrady w Paryżu czy w Wersalu przez Alliance israëlite, a do Żydów przyłączyli się Ukraińcy, szerzyli na Zachodzie, a zwłaszcza w Paryżu i Londynie wśród przedstawicieli państw sprzymierzonych, którzy przyszłe granice mieli ustalić, najgorszą opinię o naszej nietolerancji, wyciągając stąd wnioski, że Polska powinna istnieć jedynie na obszarze etnograficznym polskim, t.j. zamykać się w granicach, w których Polacy pozostają w większości, a nawet i na tym obszarze powinny być jej narzucone gwarancje, by Polacy szanowali prawa mniejszości narodowych, a zwłaszcza ludności żydowskiej. Takie głosy doznawały podobnoś poparcia ze strony tak wybitnych ludzi, jak Clémenceau, Lloyd George, Masaryk - może i Wilson itd. Przeciw nim ze strony Polski trzeba było się bronić, agitacji żydowsko-ukraińskiej przeciwstawić kontrakcję polską. Robili z pewnością co mogli Paderewski i Dmowski /jednak Dmowski, jak mi mówiono, nie miał być dość ostrożny, bo zbyt ujemnie przed Lloyd George'm mówił o Żydach/; ale trzeba było - jak sądziłem - przedstawicielom państw sprzymierzonych, którzy w Paryżu czy w Wersalu obradowali, dostarczyć jakichś dowodów, a przynajmniej podstaw prawdopodobieństwa, że Polacy w wolnej Polsce ożywieni są liberalnymi dążnościami i pragną stosunki do mniejszości narodowych, urządzić na zasadach pełnej sprawiedliwości.

Że miałem pod tym względem słuszność i że moje obawy z powyższymi roztrząsaniami połączone, miały realne podstawy, o tym przekonałem się, gdy po blisko roku dowiedziałem się o traktacie, zwanym "Traktatem o mniejszościach narodowych", który Polska na życzenie, a właściwie na żądanie "Mocarstw sprzymierzonych i stowarzyszonych" /Stany Zjednoczone Amer., Imperium Brytanii, Francja Włochy i Japonia/ musiała podpisać i podpisała dn.28-go czerwca 1919 r., a tym samym przez traktat zobowiązywała się do rzeczy, które wynikają już z prostego poczucia humanitarnego. Robiło to wrażenie takie, jak gdyby Polacy bez traktatu nie byli poczuwali się do wyrażonych w traktacie obowiązków wobec mniejszości narodowych i mniejszości nie wyznających religii katolickiej; jakbyśmy byli narodem, dla których liberalizm i tolerancja były pojęciami obcymi! Ten traktat uważam za akt nas kompromitujący. Ogłoszony on został w polskim Dzienniku ustaw dopiero w r.1920 pod Nr.110, poz.728.x/

W końcu na moje rozważania grudniowe we Lwowie nie były bez wpływu wspomnienia z dyskusji, przeprowadzonej w pierwszych dniach listopada w Ministerstwie Oświecenia pod przewodnictwem p.ministra Ponikowskiego a ożywionej

---

x/ Pułkownik Beck, polski minister spraw zagr., złożył dn. 13 września 1934 w Genewie na posiedzeniu Rady Ligi Narodów deklarację, że Polska zawiesza w stosunku do siebie moc obowiązującą Traktatu o mniejszościach narodowych i wyznaniowych do czasu opracowania i wprowadzenia w życie powszechnego systemu ochrony mniejszości. W ten sposób Polska zaprotestowała przeciw upokorzeniu wyrządzonemu jej przez narzucenie na nią na drodze prawa na-

pięknymi, zgodnie wygłaszanymi zasadami liberalnymi o tym, jak Polska ma być państwem gwarantującym wolność i równość wobec prawa wszystkim swym obywatelom, bez względu na ich religię, narodowość, rasę, pochodzenie. Nie posiadaliśmy niestety propagandy, któraby takie zamiary Rządu polskiego rozpowszechniała w Paryżu, aby przeciwdziałała agitacji czynników nam wrogich.

Pod wpływem takich mniej więcej rozmyślań wygotowałem memoriał, który w ostatnich dniach grudnia odszedł do Ministerstwa W.R. i O.P., a w drugim egzemplarzu do Komitetu Rządzącego we Lwowie. Memoriał ten zawierał poglądy i zarysy projektu, które przedłożyłem tylko jako delegat Min.W.R.i O.P. bez opinii R.S., gdyż wobec stanu wojennego, w jakim Lwów się znajdował, zwołać jej nie mogłem, a chodziło mi o pośpiech.

Odpisu Memoriału znaleźć nie mogę w aktach, jakie u siebie posiadam. Pożyczyłem go komuś, kto mi go nie oddał. Prawdopodobnie będzie go można w oryginalnym egzemplarzu odnaleźć w aktach Ministerstwa W.R.i O.P.,/gdyby komuś na tym zależało/, o ile one nie zostały w ciągu obecnej wojny zniszczone. Memoriał odszedł do Warszawy pod L.105/del. i datą 25 grudnia 1918 r.

Memoriał wychodzi z założenia zasadniczego: Iustitia - fundamentum regnorum, czyli z maksymy: neminem laedere, suum cuique tribuere - oraz z założenia utylitar-

---

rodów powinności ogólno-ludzkich.
/p.o tym w broszurze: "Polska i Anglia na tle przemian polityki międzynarodowej", Warszawa,1943,na str.24/.

nego, mianowicie, że nie tylko w interesie Ukraińców ale i Polski trzeba przyciągać Ukraińców do Polski, a odrywać od Berlina, który łudzi ich nierealnymi widokami - tylko dlatego, aby szkodzić Polsce, a nie zżadnej miłości do Ukraińców. Środkiem przyciągającym może być między innymi udzielenie Ukraińcom pewnego samorządu. Jakie dziedziny administracyjne ma samorząd obejmować, w to nie wchodziłem, nie chcąc przekraczać kompetencji swej, jako delegata Ministra W.R.i O.P. Ale za podstawę memoriału przyjąłem, że samorząd może i powinien obejmować szkolnictwo i administrację szkolną.

Jednak samorząd tak ogólny, jak i w zakresie szkolnictwa nie może opierać się już obecnie na jakimś odrębnym obszarze geograficznym, któryby tworzył ukraińską prowincję Polski, bo to wobec przeważnie nieprzyjaznego x/ nastawienia Ukraińców, prowadziłoby do jakiegoś rodzaju "Irredenty", tym groźniejszej, żeby z nią zapanowały wpływy z Berlina, a ludność polska, na takim obszarze znajdująca się w mniejszości, byłaby uciskana i wynaradawiana. Samorząd może zatem opierać się na razie tylko na katastrze narodowym, t.zn., że Ukraińcy, będący polskimi obywatelami, tworzyć mają wielką narodową korporację publiczną, wyposażoną na podstawie polskich ustaw w samorząd w dziedzinie szkolnictwa.

---

x/ Jak wrogim było społeczeństwo ukraińskie dla ludności polskiej, tego dowodzą liczne fakty z owej wojny domowej, jaka się wówczas toczyła we wschodniej Galicji; że tylko wspomnę o strasznych mordach w Złoczowie, o okrucieństwach popełnionych na polskich żołnierzach i polskiej ludności itp. - o czym dowiedzieliśmy się we Lwowie dopiero po wyparciu wojsk ukraińskich ze wschodniej Małopolski.

Samorząd powinien obejmować nie tylko prawa, ale i obowiązki. Spisani w katastrze ukraińskim Rusini będą zatem obciążeni opłatami, czy raczej podatkami na cele szkolne przy równoczesnym, odpowiednim, ułamkowym zwolnieniu ich od podatków ogólnych o tyle, by nie musieli przyczyniać się do utrzymywania szkół polskich. Wpływającymi z tych źródeł funduszami władze ukraińskie będą we własnym zarządzie rozporządzały, utrzymując z nich szkoły, nauczycieli i administrację szkolną. Oczywiście taki system nie miał wykluczać możliwości, że Rusini, którzyby woleli posyłać dzieci do szkół polskich, mogliby płacić w pełni państwowe podatki, ale za to byliby zwolnieni od podatków szkolnych rusińskich.

Mimo samorządu Rząd polski musiałby mieć kontrolę nad szkolnictwem w takim kierunku, aby młodzież ukraińską kształcono i wychowywano w szkołach nie tylko na Ukraińców przywiązanych do swej narodowości, swych tradycji, swej kultury, ale równocześnie także na dobrych i wiernych obywateli polskich.

Rozdział szkół na polskie i ukraińskie miał być według projektu dokonany przede wszystkim w szkołach ludowych /powszechnych/ - i to tak, żeby Polacy do szkół ukraińskich, a Rusini do polskich szkół uczęszczać nie potrzebowali. W każdej gminie należy zorganizować osobną naukę, choćby w szkole jednoklasowej, jeżeli w gminie 40 dzieci, obowiązanych do uczęszczania do szkoły, należy do mniejszości narodowej. W szkole polskiej powinien uczyć nauczyciel Polak, a w ruskiej Rusin. Seminaria utrakwistyczne należy znieść, a w ich miejsce wprowadzić seminaria z językiem wykładowym polskim i

ruskim i z nauczycielami Polakami i Rusinami. Administracja szkół ludowych skupia się wprawdzie nadal naprzód w Radach szkolnych okręgowych jako I instancji, ale w Radach tych mają być utworzone osobne kurie polskie i ruskie. Do każdej Rady ma należeć inspektor i zastępca inspektora. W okręgu o polskiej większości ma być inspektorem Polak, a zastępcą inspektora Rusin, w okręgu zaś o większości ruskiej ma być odwrotnie. Działalność inspektora lub zastępcy może jednak rozciągać się i na kilka okręgów.

Na dalszą metę odsuwałem plany tworzenia odrębnych zawodowych i średnich szkół polskich i rusińskich.

Tak to przedstawia się w mej pamięci ów "Memoriał" z dn.25 grudnia 1918 r. w głównych zarysach. W szczegóły oczywiście nie wchodzę, a zresztą memoriał nie był opracowany szczegółowo. Przecież chodziło mi wówczas jedynie o pobudzenie w kierunkach ogólnie przezemnie wskazanych jawnej i głównej akcji rządowej, pod adresem Paryża i Wersalu. Przedstawiałem substrat do dyskusyj, z których ma wyłonić się projekt przez R.S. opracowany. Wprowadzenie go w życie byłoby wymagało kilku zmian w ustawach i wydania rozporządzeń wykonawczych. Pośpiech, w jakim memoriał opracowywałem, uważałem za wskazany z powodów powyżej podanych, żeby mianowicie w Paryżu pokazać, jak koła rządowe w Polsce pojmują stosunek do mniejszości narodowych.

Projekt pomimo, że nie powinien był być w Polsce zaraz rozgłaszany, przedostał się jednak do wiadomości publicznej. Podniosła się w kilka miesięcy potem opozycja,

z początku poważna, jak zwłaszcza w piśmie zwróconym do mnie ze strony Lwowskiego Koła Tow.Nauczycieli Szkół Wyższych, potem coraz mniej poważna, jak prowadzona przeciw mnie przez prasę reprezentującą skrajne kierunki. Odsądzano mnie w niej od czci i wiary /np."Trybuna" lwowska piętnowała mnie wprost jako zdrajcę Ojczyzny/ itp.

Ale o tych rzeczach nie piszę tu dalej, bo niskimi atakami nie ma się co zajmować, a do poważnych głosów opozycji będę musiał powrócić jeszcze potem, kiedy przyjdzie na nie kolej, po przedstawieniu kilku innych, pod względem daty wcześniejszych faktów.

N. Odezwa do nauczycielstwa b.Galicji z dn.24 lutego 1919 r., nazywana "Orędziem".

W listopadzie 1918 r., a więc zaraz po faktycznym przyłączeniu b.Galicji austriackiej do wskrzeszonej Polski powziąłem zamiar wydania do nauczycielstwa odezwy, witającej uroczyście wielki dziejowy fakt powołania do życia naszej Ojczyzny, oraz przypominającej wzmożone obowiązki, jakie na każdym nauczycielu Polaku odtąd ciążą. Jednakże z wykonaniem tego zamiaru wstrzymałem się do chwili, którą uznam za właściwszą. Zwłoka była wskazana: Nauczyciele ludowi b.Galicji, których wynagrodzenia za pracę zależały za czasów austriackich wyłącznie od Sejmu Krajowego, mieli słuszny żal do krajowego rządu polskiego. Ze względu bowiem na równowagę budżetu krajowego Sejm oszczędzał tak bardzo na wynagrodzeniach

nauczycieli i urządzeniu szkół, że sytuacja materialna nauczycieli praniczyła prawie z nędzą, a szkoły ludowe wyposażone były marnie, co nauczyciele odczuwali osobiście w lichych pomieszczeniach, jakie im na mieszkania przydzielano. Niezadowolenie wśród nauczycielstwa, a w ślad za tym niechęć do spełniania obowiązków rosły, a podniecane były przez zręczną destrukcyjną agitację kierowników Związku Nauczycieli Szkół Ludowych. Związek ten podburzał nauczycieli od dawna także przeciw R.S. Wprawdzie agitacja związkowa osłabła znacznie, odkąd jako prezydent R.S. starałem się na każdym kroku, w granicach możności, nieść pomoc nauczycielom, lecz wznowiona została, gdy w pracach R.S. skutkiem powstania ukraińskiego z końcem października nastąpił zastój znaczny w urzędowaniu R.S. Faktu tego Związek oczywiście nie usprawiedliwiał przed nauczycielami ani wojną z Ukraińcami, ani powoływaniem przez Ministerstwo pierwszorzędnych sił R.S. do Warszawy, nie pisał też o tym, że jelem zaradzenia złemu utworzyłem w zachodniej Galicji Ekspozyturę R.S. w Krakowie, a już 6 stycznia 1919 r. przedłożyłem wnioski Ministerstwu, dążące do stałego etatu urzędniczego dla R.S., od Namiestnictwa niezależnego itd., natomiast winę przypisywano głównie bezwinnej R.S. w celach podkopywania autorytetu jej władzy.x/

---

x/ Gdy czytałem ówczesne skargi Związku na R.S. przypominała mi się stara bajka o wozie, który ciągnęły cztery konie po gładkim gościńcu, ale, gdy wjechał na drogę złą, kamienistą i wywrotną, wyprzągnięto z niego dwa konie, a dołożono jeszcze w dwójnasób ciężaru.

Za czasu krótkiego urzędowania ministra Prausa płace nauczycielstwa ludowego uległy poprawie, a tym samym żal nauczycieli do władz polskich nieco osłabł; uważałem więc że można ogłosić odezwę. Przybył jeszcze inny powód, który skłonił mnie, by nie zwlekać dłużej z wydaniem odezwy. Była nim wzmożona destrukcyjna robota kierowników Związku. Z prawdziwym smutkiem zaobserwowałem szerzące się w-śród nauczycieli szkół ludowych, rozagitowanych przez Związek, rozprężenie, zanik patriotyzmu i poczucia obowiązku, dążność, by nauczyciel w wolnej Polsce mógł mniej pracować, niż za czasów rządów zaborczych, mnożenie się w niebywałych dotąd liczbach podań o urlopy itd. To były przyczyny, że odezwę w odpowiednio zmienionej postaci ogłosiłem pod datą 24 lutego 1919 r. naprzód w urzędowej Gazecie Lwowskiej dn.6 marca, a potem w Dzienniku Urzędowym R.S. Nr.2. z dnia 11 marca. Odezwę tę, nazywaną potem przez nauczycielstwo "Orędziem", podaję w dalszym ciągu w dosłownym tekście bez jakichkolwiek zmian, jakkolwiek zdaję sobie sprawę z tego, że na podstawie późniejszych doświadczeń i zdarzeń, mogą pewne jej ustępy wywoływać dzisiaj krytykę.

Oto jej tekst:

Delegat Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego i Wiceprezydent Rady szkolnej krajowej do Nauczycieli i Nauczycielek polskiej narodowości zajętych w szkołach elementarnych, średnich i zawodowych w obszarze dawnej Galicji.

Dźwiga się nasza Ojczyzna z wiekowego letargu, w którym ją przemoc zaborów trzymała. Nieugiętą i ciężkimi próbami okupioną wiarę, że "nie umarła, ale śpi", wyna-

gradza nam radość z obecnego jej zmartwychwstania. W czasie, kiedy goręcej biją serca, uczuwam i ja z tytułu mojego urzędu potrzebę zwrócenia się do Was wszystkich,którym przypadło w udziale budzić i rozwijać młode siły na pożytek i dobro tej Umiłowanej.

Uprzytomnijmy sobie stan naszego Państwa: Nie opasały go jeszcze granice stałe, a już wrogowie liczni opadli je silnym naporem dookoła i wdzierają się w jego sadyby, - ledwo urządzać się zaczęło, a już nieprzyjaciel wewnętrzny sieje kąkol niezgody, prywaty, zawiści osobistej czy partyjnej, co rozrywa spójność i osłabia poczucie obowiązku wobec całości. Tym przeciwnościom z trudem opiera się wycieńczony długotrwałą wojną organizm, niewsparty jeszcze jak dotąd dostatecznie mocą ustroju państwowego, który zaledwo jest w poczęciu, ni osłoną wszechstronnie zorganizowanego silnego wojska, ani pomocą urzędów zbrojnych w egzekutywę, których sprawności każdemu państwu potrzeba, ani podstawą uregulowania skarbu, ani dla potrzeb społeczeństwa wystarczającą siecią instytucyj oświatowych i humanitarnych.

Te niedomagania, towarzyszące narodzinom naszej państwowości, stają się przedmiotem niepokoju i troski jednostek, grup, towarzystw, patrzących w dal. Każdyby pragnął znaleźć drogi do ich usunięcia. I mnie to pragnienie skłania dziś do podzielenia się swymi na te sprawy poglądami z Wami, iżeście mi bliżsi i niezawodnie tak samo zatroskani, w nadziei, że z takiego zetknięcia się myśli na wspólnym gruncie, który równo nas obchodzi, wyniknie niejedna korzyść dla dobra ogólnego, że służąc poczciwej sprawie, uczynimy zadość wezwaniu: "A jako kto

może, Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże".

Na plan pierwszy dzisiejszych potrzeb Państwa wysuwa się wojsko. Samorzutny prawie i ochotniczy jego początek przypomniał światu rycerskość naszych przodków. Bohaterstwo garstki dzieci, kobiet, młodzieży w obronie Lwowa przejdzie do historii jako rządki czyn poświęcenia i cnoty. Ale sam zapał, postawa, duch, choćby najświętszy, nie zastąpią armii, jakiej państwo wielkie potrzebuje.

Poza pierwszy zawiązek, który chlubne daje świadectwo jednostkom i pewnym odłamom, wytworzenie się armii utyka i mimo stadiów pomyślnych sprawa tylko wtedy może być celowo rozwiązana, gdy w społeczeństwie całym znajdzie oddźwięk i zrozumienie, że dziś do wojska każdy,kto młody i silny, powinien wstępować, by granice ubezpieczyć i umożliwić spokojną, wielką na wewnątrz pracę. Jak długo nie będą w pełni puszczone w ruch urządzenia państwowe, które podobną akcję przeprowadzają, pomagać tu musi inicjatywa prywatna, która już dotąd wiele zdziałała. Współpraca Wasza i przykład może skutecznie oddziałać i przyczynić się walnie do pomyślnego załatwienia sprawy, oplątanej dotąd przeróżnymi trudnościami. Wojska jest i będzie nam potrzeba, choćby sytuacja przemijająco łudziła pozorami spokoju. Już początki zapowiadają, że nieprzyjaciół nam nie braknie.

W rozważaniu kwestii organów państwowych i krajowych tych szerokich rzesz urzędników i nauczycieli, nikt nie zaprzeczy, że to warstwa społeczna najdotkliwiej przez wojnę nawiedzona. Przynajmniej o naszym kraju /o Galicji/ stanowczo to powiedzieć się musi. Olbrzymie wydatki pań-

stwa austriackiego, wywołane prowadzeniem wojny i złą gospodarką, nadmierna emisja not bankowych, a skutkiem tego ich niesłychana deprecjacja, tym samym zaś zmniejszenie wartościowe płac funkcjonariuszy państwowych i krajowych, drożyzna szalona środków, niezbędnych do życia lub brak ich zupełny, a na tych nieszczęściach wybujała chęć zysku tych, co ceny podbijają na swą korzyść by krzywdą drugich się bogacić - wszystko to doprowadziło funkcjonariuszy publicznych mimo ponawianego przyznawania dodatków drożyźnianych do położenia wręcz rozpaczliwego. I nie dziw, że w tej nędzy zaczęli się funkcjonariusze publiczni, a między nimi i nauczyciele, organizować, że domagają się poprawy bytu, że zwiększyli szeregi tych, co walczą o swe prawa. Zapewnienie im egzystencji, to nie tylko obowiązek słuszny, ale i interes Państwa, który z ich wydatnej pracy korzysta. Świadoma tego Rada szkolna krajowa w bezustannej walce o te prawa nauczycielstwa za rządów austriackich nie zrażała się niepowodzeniami żadnymi, a i dzisiaj u władz polskich kołata i kołatać będzie, by tych praw nie spuszczano z oka, a jest wszelka po temu nadzieja, że niebawem przyjdzie kolej na ich życzliwe załatwienie.

Ale wśród upominania się o swe prawa padło wśród nauczycielstwa także hasło złowrogie, zgoła nieoczekiwane, chwytane przez dość licznych zwolenników: Strajk. A więc w czasie, gdy Ojczyzna ze swego powicia śmiertelnego zaledwie się otrząsła, słaba i prawie bezbronna, gdy nie ma jeszcze środków do życia, gdy nie ma potrzebnych do rozwoju organów, gdy jeszcze nie ma dostatecznego skarbu a nie wie[my], jaki on będzie, bo nawet

subskrypcja pożyczki państwowej leniwo postępuje, gdy wokół Polski wrogów pełno i tych odwiecznych i nowych a nawet nieprzeczuwanych, którzy znowu szarpią Jej ciało, w czasie, gdy siły wszystkie powinniśmy zgodnie skupić dla ratowania życia i zdrowia Tej, zdawna upragnionej i umiłowanej, nauczyciele mieliby wstrzymać swą pracę, odmówić posłuszeństwa, mieliby stawiać ultimatum strajkowe?

Zapomnieli chyba ci, co to hasło rzucili lub popierali, że oni są także cząstką tego organizmu, co się Polską nazywa, zapomnieli, że presja i przymus przeciw własnej Matce, to środek zdrożny! Cóżby się stało, gdyby za wzorem tych, co uczą, poszli inni? Coby się stało, gdyby żołnierz zażądał żołdu wyższego lub pełnego zabezpieczenia rodziny, gdyż w przeciwnym razie nie pójdzie przeciw wrogowi lub z szeregu zbiegnie? Coby się stało, gdyby urzędnik odmówił swych usług, dyktując Państwu przymusowo żądanie wyższych poborów? Czyżby wtedy cała Ojczyzna w swych słabych podstawach nie wstrząsła się i niezachwiała? Czyżby wówczas nawet i ów nauczyciel, strajkiem grożący, nie został naraz pozbawionych wszelkich środków, dotychczas od państwa pobieranych? Wybitny socjolog ostatniej doby powiedział, że są tak szczytne i ważne dla ogółu zawody, w których strajku nigdy stosować nie wolno, a próby strajku w tych zawodach określił jako czyny nieetyczne, nie dające się niczym usprawiedliwić. Te zawody - powiedział dalej - są powołaniem, kapłaństwem, służbą wielką; do nich należą: zawód kapłana, żołnierza, urzędnika publicznego, lekarza i nauczyciela. Socjolog ten miał inne wyobrażenie o naszym powołaniu i zawodzie, aniżeli ci nauczyciele, co sztandar złowrogi podnieśli a

przecież mówił on tylko ogólnie, nie myślał o sytuacji naszej wyjątkowej, z wskrzeszeniem Polski złączonej i tym wyższe na nas obowiązki nakładającej!

Ułuda zwodniczego hasła rozwiała się pod wpływem zdrowego instynktu i rozwagi. Nauczycielstwo nasze odrzuciło pokusę. Większość orzekła, jak czuła: "Naprzód Polska, potem my!" Strajk polską szkołę ominął.

Inny jednak, choć nie tak groźny, nie tak niebezpieczny, a przecież ujemny objaw, coraz silniej występuje: usuwanie się ciche od pełnienia obowiązków pod różnymi pozorami, a zwłaszcza - urlopowanie się masowe na podstawie świadectw lekarskich. Że mało jest dzisiaj całkiem jeszcze zdrowych - to pewna, że więc o świadectwo lekarskie nie trudno - to jasne, ale, czy jeszcze przez pewien czas, dopóki nie nastąpią czasy lepsze, nie należałoby wytężyć wszystkich sił, by nie ustawać w usługach dla swego Państwa i społeczeństwa, gdy takim przykładem przyświecają nam ci, co nawet życie niosą Ojczyźnie w ofierze i bez słabości obłożnej nie usuwają się od pracy. Tu nie należałoby oczekiwać ingerencji władzy, tu powinna sama społeczność nauczycielska przeciw takiemu licznemu omijaniu powinności zawodowych zareagować w imię miłości wspólnej Ojczyzny.

Na ołtarzu miłości Ojczyzny złożyć trzeba dzisiejsze uciążliwości i to wszystko, co nas zniecierpliwia i wprawia w stany często usprawiedliwionego rozdrażnienia lub nawet słusznego żalu; tam winniśmy szukać umocnienia dla siebie i wzajemnej pobłażliwości. Ten wgląd wzajemności zwracałby się także w stronę naszej admini-

stracji szkolnej, której nieraz mroźny lub ociężały tok urzędowania podsyca gorycz obecnych utrapień. A jednak jest w mocy tej kategorii urzędników ulżyć niejednej bolączce przez szybkie podanie ręki, choćby z pogrzebaniem ubitych ścieżek biurokratyzmu, byle miejsce jego zajęła życzliwość i ciepło, byle w aktach widziało się losy ludzi żywych, czujących i cierpiących, byle sprawo nie dawać zalegać i wlec się w nieskończoność pod przymusem zwyczajowego lub instancyjnego odleżenia się. Władza silna i zapobiegliwa, budząca pełne zaufanie w społeczeństwie, jest państwowo pożądanym czynnikiem. Wszelka inna, nie mająca tych cech, podkopuje wcześniej czy później i osłabia warunki państwowego zdrowia. W tej sprawie zarządzenia osobne po ogłoszeniu przynależności do wolnej Polski niewątpliwie skutek pożądany wnet przyniosą, zwłaszcza, gdy nastaną tutaj normalne warunki urzędowania, gdy trapić urzędników przestaną głód i chłód, brak wody i światła, gdy pękające granaty i szrapnele nie będą wtórowały załatwianiu aktów.

Powstającemu Państwu Polskiemu trzeba licznego zastępu publicznych funkcjonariuszy, a kandydatów należycie przygotowanych jest mało, bo dwa państwa zaborcze Polaków od władzy prawie zupełnie usuwały. Zgłasza się więc wielu ochotników; nieraz samorzutnie tworzą się władze, ale wśród tych, co to czynią w interesie dobra publicznego, znajdują się i tacy, których popycha wygórowana ambicja lub nawet korzyść własna a przy braku odpowiednich kwalifikacyj zapominają, że władza jest przede wszystkim ciężkim obowiązkiem, połączonym z odpowiedzialnością wielką, ze szkodą Rzeczypospolitej, gdy władzę

wykonują bez znajomości rzeczy i lekkomyślnie trwonią dobro publiczne, którym rządzą. O tym powinien każdy, imający się władzy, wiedzieć, a w państwie demokratycznym już wcześnie w młodzieży taką świadomość należy budzić.

Ale, odwracając oczy od czynników państwowych, popatrzmy na całe społeczeństwo, czy tu nie ma objawów prywaty, czy zasada "Salus rei publicae suprema lex esto!" weszła w duszę ogółu?

W zdrowym organiźmie państwowym powinno społeczeństwo być karnym. Skupiać się należy koło tego lub tych, którzy reprezentują państwo i są jego widomym symbolem, ich należy popierać a władze państwowe, czy z nimi sympatyzujemy czy nie, szanować i słuchać, przede wszystkim zaś trzymać się obowiązujących praw i rozporządzeń. Pod tym względem społeczeństwo polskie wyszło jednak z fatalnej szkoły. Mieliśmy na ziemiach polskich rządy obce, nieraz znienawidzone i wrogie. I dlatego opór władzy z natury rzeczy był nie tylko popularny, ale niejednokrotnie uzasadniony, czynność konspiratorska bywała często pożądaną, a pociągała niebezpieczeństwem i aureolą bohaterstwa. Pod rządami mocarstw, o których wiedziało społeczeństwo, że na nas zbrodnię podziału popełniły, że w swym własnym interesie Polski wolnej nie chcą i myśl powstania jej zwalczać muszą, nie mogło wzbudzić się i wykształcić to poczucie państwowości, które w każdym narodzie, mającym własny rząd, tworzy się i wychowuje. Dla poszanowania praw i ustaw, uległości i karności wobec prawowitej władzy, poczucia przynależności do Państwa - dla

wszystkiego tego, co stanowi warunki i podstawy spoistości i siły państwowej, tradycji u nas nie ma; należy dopiero w naszym społeczeństwie wszczepić i urobić zasadę, że lepiej jest wykonać nawet nieodpowiednią ustawę i zastosować się do niewłaściwego polecenia władzy, aniżeli wyłamać się z pod przepisów prawa i wprowadzać samowolę, anarchię i bezrząd. Wszak historia naszej Ojczyzny dała nam najboleśniejszy przykład trafności tej zasady! Od niej odstępować nie wolno. Gdy ustawy nie są odpowiednie, Sejm je tylko znieść może i powinien, gdy zaś władza wydaje niewłaściwe zarządzenia, to można udać się ze środkami prawnymi do władz wyższych, a konstytucja nasza niewątpliwie stworzy gwarancję za wzorem innych państw cywilizowanych w trybunałach administracyjnych, trybunałach stanu itp. instytucjach, przed którymi zaskarżyć będzie można funkcjonariuszy publicznych i złe ich zarządzenia, ewentualnie pociągnąć do odpowiedzialności choćby najwyższych urzędników. Poszanowanie prawa powinno stać się odtąd dogmatem, obowiązującym każdego Polaka, czy on jest wielki czy mały, bogaty czy ubogi, na jakimkolwiek znajduje się szczeblu drabiny społecznej czy stanowiska urzędowego.

Największe poszanowanie i przestrzeganie obowiązujących ustaw nie wyklucza oczywiście możliwości reformy i zmian w drodze ustawodawstwa, a więc za wolą reprezentantów całego Narodu, za wolą Sejmu i Naczelnika Państwa. W naszym położeniu reforma szkolnictwa jest nie tylko wskazana, ale i konieczna. Polskie szkolnictwo musi być od podstaw budowane po myśli zmienionych zasad; trzeba innych planów, innych podręczników, innej organizacji,

a nawet w metodzie nauczania winna nastąpić zmiana, na którejby swoisty charakter narodowej szkoły wywarł właściwe sobie piętno. Wielkie zadania nas tu wszystkich czekają, a Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, ich świadome, pracuje z wytężoną energią nad przygotowaniem odpowiednich projektów przy współudziale reprezentantów Rady Szkolnej Krajowej. Na szalę toczących się obrad padnie z pożytkiem i głos Waszego doświadczenia zawodowego w drodze, jaką wskazałem w okólniku z dnia 5. listopada 1918 i 5 grudnia 1918 l. 431 pr. /Dziennik urzędowy Rady szk.kraj.Nr.11 z r.1918/ i bezpośrednio w projektowanej Radzie Oświecenia.

Może najtrudniej będzie poczucie państwowości - o którym wyżej mówiłem - wzbudzić w utwierdzeniu i w wykonywaniu naszych obowiązków obywatelskich wobec Skarbu Państwa. Ponieważ skarby państw zaborczych były dla nas czymś obcym, więc uważano uchylenie się od obowiązków wobec nich za coś zupełnie naturalnego, jak n.p. płacenie mniejszego podatku, niż ustawa nakazywała lub nawet usuwanie się całkowite od tego obowiązku, nieumieszczanie stempli na podaniach, sprzedawanie skarbowi /n.p.wojsku/ przedmiotów potrzebnych po cenach najwyższych, wynajmowanie za wygórowane czynsze lokali na cele publiczne, nieszanowanie własności państwowych. Wszystko to z punktu widzenia etyki społecznej nie tylko nie uchodziło za coś zdrożnego, ale nawet spotykało się z uznaniem i pochwałą życiowego sprytu. Takie objawy muszą w Polsce wolnej bezwzględnie ustać. Wszystkie jednostki niech obecnie rozumieją, żeśmy powinni obowiązki swe wobec Skarbu jak najsumienniej spełniać i energicznie występować przeciw tym,

którzy działają na jego szkodę, a więc piętnować tych, co nie dają Państwu, co się mu należy, co nie płacą podatków w całej pełni, co uchylają się od należytości publicznych, co starają się w umowach, z organami państwowymi o korzyści nadmierne ze szkodą Skarbu, co niszczą lub nie szanują majątku państwowego. Powinniśmy ciągle pamiętać o tym, że to, co państwowe, to nasze wspólne, własne, powinniśmy ciągle o tym myśleć i nawet przeciw pozornie drobnym szkodom występować - czy ktoś odcina pas z wagonu, czy nie szanuje sprzętów w budynku publicznym, czy zużywa niepotrzebnie opał, światło, papier itp. Niech sobie trwoni kto chce, swe własne mienie, ale zwykła oszczędność i skrupulatność w szanowaniu dóbr prywatnych powinna przenieść się ze zdwojoną energią na wspólne dobro publiczne, na majątek Polski, od którego Jej siła ekonomiczna zależy. Obecnie wprost piekącym jest obowiązek udzielenia Państwu pożyczki, by mu dać niezbędne środki do ukonstytuowania się i obrony. W tej sprawie odniosłem się do Was z zachętą pod dniem 10 lutego 1919 l.prez.35 /Gazeta Lwowska z 20 lutego 1919/, a w rejestrze dzisiejszych potrzeb tu ją tylko przypominam i z naciskiem podkreślam.

Zasada, znana w republice rzymskiej, "Dobro Rzeczypospolitej ponad wszystko", powinna zwrócić się także przeciw różnym nadużyciom i czynom nieetycznym w handlu i przemyśle, w tych dźwigniach bytu ekonomicznego i zdrowia gospodarczego. Pod wpływem szalonej deprecjacji pieniędzy, bardzo obniżonej podaży środków, niezbędnych do życia, a ogromnego ich zapotrzebowania, wobec słabości

lub nawet braku władz administracyjnych i niewystarczającej reakcji władz sądowych przeciw przestępstwom z chciwości zysku popełnionym, powstało w handlu to, co oznaczono ogólną nazwą "paskarstwa". A więc rolnik i przemysłowiec i pośrednik-kupiec, podbijają ceny dla własnej korzyści w niepomierny sposób, działają przez to antyspołecznie i antypaństwowo. W ten bowiem sposób pieniądz traci coraz więcej na wartości, zubożenie ogólne rośnie, chęć i zdolność do pracy tych czynników, które niełatwo podwyższenie płac uzyskać mogą, zatem urzędników państwowych, nauczycieli i wogóle sług publicznych, zmniejsza się, rozstraja i słabnie, wynagrodzenie zaś nominalne za pracę fizyczną tak rośnie, że podkopuje siłę konkurencyjną naszej wytwórczości wobec zagranicy i wcześniej czy później musi doprowadzić do zupełnej zależności ekonomicznej od przemysłu obcego. A zresztą i podwyższenie cen za pracę wytwórczą obraca się w błędnym kole, bo za każdą taką zwyżką postępuje zwyżka cen produktów i zniżka wartości pieniędzy i znowu dalsze podnoszenie cen wytwórczości.

Komu więc dobro publiczne drogie, czy on jest rolnikiem, czy przemysłowcem, czy kupcem, ten powinien zaraz porzucić metody paskarskie i zadowolić się drobnym zyskiem a nawet pracować, choćby bez zysku, przez pewien czas, byle umożliwić uzdrowienie gospodarstwa społecznego i przyczynić się do podniesienia wartości pieniądza polskiego. Bez tego żadne podwyższenie płac do wynagrodzenia słusznego za pracę nie doprowadzi. Niech zresztą ci, co realnie na wartość pieniężną wszystko obliczają, ale są Polakami, powiedzą sobie i uprzytomnią, że jeżeli

chcemy mieć Polskę, musimy za to zapłacić i to bardzo hojnie. Jeżeli tylu naszych braci niesie ofiary z krwi i szczęścia rodzinnego, to niechaj inni wyrzekną się dla dobra Polski przynajmniej na czas pewien korzyści osobistych, a na stałe egoistycznego wyzyskiwania współobywateli.

Spokojny rozwój i siła Rzeczypospolitej zależy także od tego, by wewnątrz niej nie było walk narodowościowych i wyznaniowych. Tego nie będzie, gdy każdy obywatel Państwa Polskiego, każdy Polak w znaczeniu przynależności do Państwa naszego, będzie czuł się w pełni obywatelem, gdy będzie wiedział, że na nim wprawdzie wszystkie ciążą obowiązki, ale że na równi ze wszystkimi obywatelami ma, może i powinien mieć udział we wszystkich prawach i to bez względu na swą religię i narodowość. A zatem Żyd-Polak niech będzie naszym współobywatelem w całej pełni. Jankiel nie tylko istnieje w poezji, ale i w rzeczywistości. Są przecież wśród żydów tacy, co i dzisiaj walczą we frontowych szeregach naszego wojska, niejednego krew przelewała się i przelewa za Ojczyznę; ci powinni być naszymi braćmi, nie wolno im żadnej ujmy obywatelskiej wyrządzić. Podobnie rzecz się ma i z osobami, należącymi do innych od nas narodowości, ale pragnącymi żyć z nami, należeć do nas, być synami Polski. Wszak w roku 1831 i 1863 walczyli w naszych szeregach Rusini, Włosi, Francuzi a nawet Niemcy. Zresztą choć może nie zaraz, to z czasem będziemy mogli pozyskać w członkach innych narodowości dobrych obywateli Polaków, jeżeli tylko w zasadzie chcą naszej państwowości podlegać. Słyszałem jednak o smutnym

zdarzeniu przed kilku miesiącami. Wielka grupa ludzi obcej narodowości, terytorialnie zwarta, oświadczyła się za przynależnością do Polski, ale żądała w reprezentacji i rządzie powiatowym odpowiedniego do liczby swej udziału. Tego jej odmówiły czynniki lokalne. W odpowiedzi na to grupa ta zwróciła się do obcego nam państwa, aby dla ochrony swych praw uzyskać wrogą interwencją wojskową/ Oto, do czego prowadzi ekskluzywność, brak tolerancji, szowinizm, nieprzestrzeganie tak ważnej zasady rzymskiej: Suum cuique /Oddaj każdemu, co się komu należy/. Tylko, zachowując tę zasadę, możemy rościć sobie pretensje do szerszego pociągnięcia naszych granic i utrzymania państwa wielkiego i potężnego; tylko ta zasada umożliwi, że każdy Polak w znaczeniu przynależności państwowej czuć się będzie chętnie obywatelem polskim, a nawet będzie z tego dumny, jak dumnym ze swej przynależności czuje się dzisiaj syn Albionu bez względu na ciaśniejszy krąg narodowości, której jest członkiem, jak dumnym był rzymski obywatel, Rzymianin, Grek czy Syryjczyk, gdy mówił: "Civis Romanus sum!" /Jestem obywatelem rzymskim!/

Uwagi powyższe nie tyczą się oczywiście osób i grup społecznych, które wobec Polski nie poczuwają się do żadnych obowiązków, w Polsce widzą obcy sobie związek państwowy i chcą dla siebie zyskać odrębną państwowość lub przyłączyć się do państw innych. Oni polskimi obywatelami są tylko formalnie, ale nie w rzeczywistości. Ich więc traktować można tylko jako obcokrajowców, według prawa międzynarodowego, z wszelkimi dodatkami i ujemnymi skutkami jego norm. Pomijam przy tym oczywiście czyny antypaństwowe, podpadające pod przepisy kodeksów karnych.

Oto garść uwag o naszych niedomaganiach i naszych obowiązkach wobec Ojczyzny, których wskazanie na dzisiejszą dobę uważałem za najpilniejsze. Nie poruszyłem wielu innych spraw z tej dziedziny, bądźto, że one są powszechnie znane i przypominać ich nie potrzeba, bądź to, że ich poruszenie wychodziłoby poza ramy, wskazane przez cel tego pisma. Zresztą nauczyciele zechcą zapewne pogłębić i rozszerzyć te luźne uwagi czytaniem dzieł treści politycznej, społecznej i ekonomicznej, a socjologia, choćby w małych granicach stanie się w przyszłości przedmiotem zajmującym tych, którzy w wolnej Polsce na niwie pedagogicznej pracować będą. Bo szkoła nasza w przyszłości musi stać się, jak szkoła w demokratycznych republikach, wychowawczynią dobrych obywateli, źródłem hygieny państwowej i społecznej. Teoretyczne poznanie prawd tej nauki jednak nie wystarczy. Trzeba naprzód, by krzewiciele jej w szkole sami cnoty obywatelskie w całej pełni posiedli i z przekonania je wykonywali. Przykład Wasz dobry, to pierwszy warunek korzystnego wpływu na innych. Musicie więc sami być wzorem karności i sumiennego spełniania obowiązków, a to nie tyle z obawy przed odpowiedzialnością wobec władz, bo to byłaby niższa pobudka, ile z miłości Ojczyzny i z tej świadomości że tego dla Polski potrzeba. A potem nieście nauki hygieny państwowej i społecznej do tych, których nauczanie i wychowanie Wam powierzono. W nich - w tych przyszłych obywatelach Państwa Polskiego - wszczepiajcie zdrowe poglądy państwowe, zaprawiajcie ich do cnót obywatelskich, do działań i praktyk wyżej wskazanych, kulminujących w zasadzie, że dobru ogólnemu należy podporządkować interes jednostki,

że "Naprzód Polska, a potem my" i że dla Polski trzeba być karnym i spełniać swe obowiązki i nieść Jej w ofierze i swą wybujałą wolę i zdrowie i mienie a nawet życie. Macie do takiego nauczania wiele sposobności, czy to przy nauce historii polskiej i powszechnej, zwłaszcza rzymskiej lub greckiej, czy literatury naszej z wieku XIX lub pisarzy politycznych z wieku XVI, czy w osobistym zetknięciu się z Waszymi wychowankami. Jaką wychowacie młodzież, takich Polska będzie miała obywateli. Wy urabiacie i rzeźbicie myśl i serce młodzieży. Wszak wpływ macie lub możecie mieć wielki. Trzeba tylko trafić do młodocianych serc miłością a przyciągnąć umysły mądrym i dobrym słowem, nie odstraszać zaś od siebie bezduszną formalistyką dogmatycznych metod i oderwanych definicji i mechanicznym obciążeniem pamięci zbędnymi szczegółami. Żywa nauka i zapał przykuwa ucznia do nauczyciela. Unikać też trzeba w szkole wszystkiego, coby mogło budzić lub podniecać walki i zawiści religijne, partyjne, polityczne i społeczne. Myśl zgody i harmonii winna kiełkować w umysłach młodocianych, a dla Was największą chwałą je zasiewać.

Ale zadania Wasze nie kończą się w szkole; możecie światło cnót obywatelskich szerzyć i w szerszym społeczeństwie. Zadanie Wasze będzie wdzięczne, a zabiegi pełne owocnych skutków. Grunt jest podatny, widać to w licznych, pocieszających objawach: że przykładowo wspomnę tylko o uchwałach członków Komitetu Narodowego kolejowców w sali Sokoła lwowskiego dnia 15 lutego b.r. powziętych a tchnących szczerym i gorącym umiłowaniem dobra ogólnego. W imię tego podjęta działalność Wasza wśród coraz silniej narodowo uświadomionego ludu włościańskiego wydałaby nieobli-

czalne skutki, a już teraz zdołałaby wydobyć nagromadzoną po wsiach gotówkę do oddania na cele państwowe, młodzież zaś dojrzałą zachęcić do licznego zaciągania się w szeregi armii polskiej!

Na kartach historii lat minionych zapisujemy już dzisiaj niezaprzeczoną zasługę nauczycielstwa galicyjskiego. Austria dała nam wprawdzie samorząd, a z nim szkołę z polskim językiem i ze szczegółową nauką historii i literatury polskiej, ale żądała także, by ta szkoła wychowywała dobrych obywateli austriackich. Z tego punktu widzenia musiały być układane plany naukowe i podręczniki i wprowadzane różne urządzenia szkolne, a tym samym znaleźliśmy się na terenie grząskim, gdzie trzeba było dobrych przewodników. W młodzieży mógł bowiem zatrzeć się ideał, który nam zawsze przyświecał w państwowości polskiej; Austria z naszych pragnień mogła wyprzeć Polskę. Polaka mógł zastąpić po polsku mówiący Austriak. A jednak tak się nie stało; ze szkoły austriacko-polskiej nadal wychodzili Polacy marzący o Polsce, a nie o Austrii. Zaimek dzierżawczy "nasz" pozostał określeniem dla tego, co polskie, a nie co austriackie; za "nasz" uważaliśmy Poznań, Warszawę, Wilno, a nie Wiedeń lub Insbruk. Że tak było i jest, to Wasze i polskich matek dzieło.

Bismarck, żelazny kanclerz, chełpliwie powtarzał, że Francuzów w roku 1870 i 1871 pokonał niemiecki nauczyciel. Wam niech przyszła historia wystawi świadectwo wyższe i piękniejsze: żeście skutecznie pomagali odbudować naszą wspólną Ojczyznę, żeście dźwigającej się do życia Polsce d ostarczali dzielnych, karnych i pożytecznych

obywateli, żeście ją wzmacniali dobrymi do poświęceń ze siebie zawsze gotowymi synami. Do takiej pracy życzę Wam "Szczęść Boże!"

Lwów, dnia 24 lutego 1919.

Zoll w.r.

O. Pierwsze tygodnie po oswobodzeniu Lwowa i usunięcie wojsk ukraińskich z b.Galicji.

Dzięki naszym wojskom rozpoczęło się w połowie kwietnia 1919 r. wycofywanie się Ukraińców /naprzód z okolic Lwowa, a potem coraz dalej ze wschodniej Małopolski. Z początkiem maja biura R.S. pracowały już normalnie, a nawet ze zdwojoną siłą, aby odrobić nagromadzone zaległości pomimo, że personel R.S. uległ znacznej redukcji. Zadania rosły i przez to, że postanowiłem zwołać na czerwiec i na lipiec kilka posiedzeń samorządowej R.S. dla omówienia i załatwienia spraw zasadniczych, których nagromadziło się mnóstwo po przerwie przeszło półrocznej a przede wszystkim przez to, że Galicja przestała być krajem koronnym austriackim, a wcielona została do Polski pod nazwą Małopolski.

Jeszcze w marcu został przez Naczelnika Państwa* rozwiązany Komitet Rządzący, który jako zespół Komisji Likwidacyjnej krakowskiej i Komisji rządzącej lwowskiej sprawował samorzutnie władzę namiestnika b.Galicji. Naczelnik Państwa powierzył władzę Komitetu drowi Kazimierzowi Gałeckiemu, jako "generalnemu delegatowi Rządu Polskiego"

dla b.Galicji. Ale z tej władzy wyłączono zwierzchnictwo nad R.S. i Dyrekcją Skarbu. Tak to siłą faktu przestałem być wiceprezydentem, a zostałem prezydentem, co jednak miało stronę bardzo ujemną - jak już wyżej zaznaczyłem - gdyż nie miałem prawa żądania od generalnego delegata przydzielania R.S. potrzebnych sił urzędniczych, a mimo to Ministerstwo Ośw. nie załatwiało mego wniosku z dnia 6 stycznia o utworzenie dla R.S. osobnego etatu urzędniczego.

Niezależnie od powyższych zmian rozwijać się zaczęła w maju coraz silniejsza agitacja przeciw mnie, jako prezydentowi R.S. z powodu Memoriału z dnia 25 grudnia 1918, w sprawie projektowanego przeze mnie samorządu szkolnego rusińskiego w wolnej Polsce. Agitację tę podniecały jeszcze dwie inne sprawy:

Naprzód kwestia, jak uregulować stosunki publicznych funkcjonariuszów narodowości rusińskiej, a między innymi Nauczycieli Ukraińców, do czasu, dopóki nie zostaną ustalone w Wersalu i Paryżu granice wschodnie Małopolski. Ta sprawa była skomplikowana, bo wielu Rusinów, a nawet Polaków pod wpływem terroru ukraińskiego złożyło ~~w czasie powstania~~ uroczyste przyrzeczenia wierności rządowi ukraińskiemu, a wśród nauczycieli Ukraińców byli i tacy, którzy pomagali przy prześladowaniu ludności polskiej, a nawet do różnych gwałtów podjudzali. Z tą ostatnią kategorię proces był prosty: Po stwierdzeniu faktów wydalało się ich bezwzględnie z ich stanowisk, a ukaranie ich pozostawiało sądom karnym. - Co do takich zaś, którzy tylko przyrzeczenia wierności rządowi ukraińskiemu złożyli, wprowa-

działem możliwość utrzymania ich na dotychczasowych stanowiskach, ale pod pewnymi warunkami /p.o nich Kronika str. 128 i 129/. Do tych warunków należy końcowo złożenia przyrzeczenia, którego tekst ustalił ostrożnie Komitet rządzący, dla wszystkich publicznych funkcjonariuszów w b.Galicji a to tak, aby to przyrzeczenie nie uchybiało przepisom Konwencji haskiej. /p.Kronika str.123 i 124/. Żądanie wówczas już złożenia przysięgi na wierność Rzeczypospolitej nie tylko było ze względu na Konwencję haską i zasady Wilsona niedopuszczalne, wobec tego, że losy wschodniej Galicji nie były jeszcze przez państwa zwycięskie ustalone, ale łączyło się nadto dla polskich interesów z niebezpieczeństwem, bo mogło dostarczyć naszym wrogom, którzy pracowali w Paryżu i Wersalu, argumentów nowych do skarg przeciw naszej nietolerancji i brakowi respektowania ustaw: Ponieważ jednak generalny delegat Gałecki zażądał dekretem z 17-go kwietnia 1919 r. od urzędników administracyjnych także we wschodniej Małopolsce przysięgi na wierność Rzeczypospolitej, co sfery polskie, skrajnie narodowościowe przyjęły z aplauzem, nieliczące się ani z Konwencją haską, ani z wyżej wspomnianym niebezpieczeństwem, a ja zadawalniałem się na ogół tylko przyrzeczeniem ułożonym przez Komitet rządzący /dopuszczając oczywiście do przysięgi na wierność R.P. tych, którzy się do jej złożenia dobrowolnie zgłaszali - /sam uczyniłem to w Ministerstwie/, przeto te same sfery skrajne obwiniały mnie o stanowisko niegodne Polaka. /p.zresztą o tym wszystkim w Kronice na str.122-130/.

Drugim powodem rzekomej obrazy uczuć narodowych polskich przeze mnie miało być, żem przyjął do wiadomości, zgodnie z obowiązującymi przepisami, założenie prywatnego

gimnazjum żydowskiego we Lwowie, odmawiając mu tylko prawa publiczności, bo to zależało od mej władzy dyskrecjonalnej. Zastosowanie się w tej sprawie do obowiązujących przepisów było - czego tu już powtarzać nie potrzebuję - nie tylko ze względów zasadniczych, ale i politycznych wskazane, a nawet konieczne.

Kierunek polityczno-szkolny, jakiego trzymałem się w poczuciu obowiązku, jaki na mnie według mych pojęć ciążył jako na Polaku i prezydencie R.S., stawał się powodem, jak już wyżej wspomniałem - coraz silniejszych ataków ze strony pewnych odłamów prasy endeckiej - ataków, kończących się najczęściej żądaniem, bym z prezydentury ustąpił. Agitacja ta nie pozostała bez wpływu także na naszą parlamentarną reprezentację. Posłowie sejmowi z wschodniej Małopolski zaprosili mnie do Warszawy, bym tam przed nimi usprawiedliwił kierunek polityczny, jaki w swym Memoriale z 25 grudnia 1918 r. zająłem. Oczywiście pojechałem zaraz do Warszawy. Z przebiegu obrad byłem zadowolony. Wprawdzie większość posłów obecnych krytykowała moje stanowisko i zachęcała mnie, żebym je zmienił, ale zarzucała mi tylko niedokładną znajomość stosunków we wschodniej Małopolsce. Jednak podniosły się także głosy w mej obronie, zwłaszcza, gdy powiedziałem, że - zdaniem moim - lepiej będzie dla naszej Ojczyzny, jeżeli z czasem, dzięki liberalnej polityce, będziemy mieli wśród obywateli polskich kilka milionów Rusinów, szczerze do Polski przywiązanych, aniżeli tyluż wrogów, stanowiących rozkładowy element w Polsce i czyhających na jej zgubę pod wpływem a może i pod kierunkiem tak groźnych nam wrogów, jakimi są Niemcy, dla któ-

rych stanowimy przeszkodę w ich zaborczych zamiarach /im Drang nach Osten/."Ponieważ takie jest moje głębokie przekonanie, więc - dodałem - mimo wymownych słów większości obecnych tu Panów Posłów nie mógłbym zgodnie z swym sumieniem zmienić politycznego kierunku, jakkolwiek wiem, jakie konsekwencje będę musiał stąd wyciągnąć, jeżeli się okaże, że nie zostaję w zgodzie z kierunkiem politycznym suwerennego Sejmu i centralnego Rządu."

P. Pierwsze w wolnej Polsce i ostatnie posiedzenie samorządowej R.S.

Pierwsza seria tych posiedzeń rozpoczęła się dnia 3 czerwca 1919 r. i zajęła pięć dni czasu. Przed pierwszym posiedzeniem odbyła się w kościele O.O.Karmelitów msza św., którą odprawił ks.prałat Jaszowski. Po nabożeństwie obecni odśpiewali: "Boże coś Polskę". O godzinie 10-ej otworzyłem uroczyste posiedzenie Rady, następującym przemówieniem, ogłoszonym w urzędowej Gazecie Lwowskiej z dn.4 czerwca:

"Polska wolna - my Jej obywatelami a nie poddanymi obcych państw!

Ja mam imieniem Rady szkolnej Polskę wolną powitać, Jej hołd złożyć! Kogo? Ją, Która żyje lat tysiąc, tego Ducha zbiorowego, dla Którego setki tysięcy ludzi ginęło z miłości i wierności, tę Ojczyznę, którą przed półtora wiekiem nienawistni sąsiedzi żywą do grobu złożyli i wielkim kamieniem przywalili, by nie powstała i umarła, a gdy słyszeli Jej żale, Jej jęki i oddech nowe glazy zno-

sili, a przez szczeliny trucizny i jadowite węże zapuszczali, bezskutecznie, bo Ona powstała teraz w tryumfie żywa, nieskalana, chociaż jeszcze słaba. Ja Ją mam powitać, Tę, którą widzę w Warszawie i na Wawelu i w Gnieźnie w kopalniach śląskich i koło Ostrej Bramy, w Paryżu i daleko za morzami i tu we Lwowie wśród nas, w naszych myślach i sercach i na kresach wschodnich i zachodnich, gdzie się przelewa jeszcze krew oddanych Jej bohaterów.

Rozumiem jak jesteś wielką i mimo słabości chwilowej potężną, a czuję jak jestem niegodnym i małym, jak nie umiem znaleźć słów właściwych, jak głos mi zamiera na ustach.

Ale w tym uczuciu słabości i niegodności, w tym akcie pokory, myśl ulata ku jeszcze znacznie większej od Ciebie, Ojczyzno, Potędze, ku Temu, który jest nad nami wszystkimi i wysoko nad naszą Rzeczątpospolitą, a mimo to pozwolił nam nazywać się Ojcem naszym. Do Niego kornym błaganiem zwróciliśmy się przed chwilą w Pańskiej świątyni, by błogosławił naszej Rzeczypospolitej, by uczynił Ją wielką i silną, dobrą i szlachetną, by spełniła swą wielką misję dziejową! W tej myśli kończę słowa mego hołdu staropolskim dla Ojczyzny życzeniem: Szczęść Ci Boże!

Nawiązując do form zwyczajem uświęconych, wzywam Panów, abyście wyrazili nasze gorące pragnienia trzechkrotnym okrzykiem: Polska niech żyje, niech żyje, niech żyje!"

Po tym przemówieniu przerwałem posiedzenie na chwilę, aby ułożyć telegramy hołdownicze do Sejmu i do Naczelnika Państwa, które odesłano na ręce Ministra W.R. i O.P. w Warszawie.

Uroczyste posiedzenie zakończyło się odebraniem ślubowania od członków autonomicznych na wierność Rzeczypospo-

litej Polskiej, posłuszeństwo Jej organom itd.

Ślubowanie złożyli wszyscy członkowie autonomiczni z wyjątkiem nieobecnych, względnie przeze mnie zasuspendowanych jeszcze dawniej z powodu odmówienia "przyrzeczenia", przepisanego przez Komitet Rządzący.

Po tej inauguracji zamknąłem uroczyste posiedzenie, a po dłuższej pauzie otworzyłem zwykłe plenarne posiedzenie samorządowej Rady z porządkiem dziennym nader obfitym, obejmującym między innymi program organizacji szkolnictwa w wolnej Polsce. Na tym i następnych plenarnych posiedzeniach przerywanych kilkakrotnie przez posiedzenia sekcyjne /Sekcji I szkół ludowych, Sek.II - szkół średnich, Sek.III - szkół zawodowych/ nie zdołano wyczerpać porządku dziennego, więc na dalszy ciąg przeznaczyłem kilka dni lipcowych. Z czerwcowych obrad i uchwał R.S. podała Gazeta Lwowska sprawozdanie. /Nr.128, 133, 134 i 135 z r.1919/, podnoszące rzeczy najważniejsze. Mimo to przedstawiam tu jeszcze następujące wspomnienia z obrad, które zapisały się szczególniej w mej pamięci:

Pomijam interpelację o założenie krakowskiej ekspozytury R.S., która przez zwinięcie przeze mnie tej tylko czasowej instytucji przestała być aktualną.

Na interpelację, dlaczego we wschodniej Małopolsce zadawalniam się na razie "przyrzeczeniem" składanym przez nauczycieli, a nie żądam - pod groźbą wydalenia ze służby - przysięgi na wierność Rzeczypospolitej, jak to czyni generalny delegat dr.Gałecki, dałem obszerne wyjaśnienia wyżej wspomniane, które R.S. przyjęła do wiadomości bez dalszych protestów.

Długą dyskusję wywołał natomiast mój memoriał z dn. 25 grudnia 1918 r., projektujący na podstawie katastru narodowościowego udzielenie Rusinom samorządu w dziedzinie szkolnictwa, ale pod nadzorem centralnych władz polskich. Oczywiście i tym razem - jak zawsze na posiedzeniach R.S. - obrady toczyły się na wysokim poziomie, dalekim od tonów napastnych prasy ulicznej. Mimo to głosy krytyki były surowe. Członkowie R.S. wskazywali na przerażające odkrycia, jakie okazały się po oswobodzeniu wschodniej Małopolski z pod panowania rządów ukraińskich, na straszny terror, jaki władze ukraińskie wprowadziły, prześladowanie Polaków, morderstwa i okrucieństwa, które były na porządku dziennym, a spowodowały skargi nie tylko Polaków, ale i Rusinów na rządy ukraińskie. Czyż, mówiono, rządy Ukraińców nie okazały, że Rusini nie mogą być do władzy żadnej dopuszczeni, że nie są zdolni do samorządu? Po wysłuchaniu wszystkich zarzutów, zabrałem głos i w dłuższym przemówieniu zaznaczyłem naprzód, że Memoriał napisałem i przedłożyłem Rządowi centralnemu w czasie, gdy jeszcze nie były mi znane rządy terrorystyczne z czasów powstania; że memoriał ten napisałem w charakterze nie prezydenta R.S., ale delegata Ministra Oświecenia a to zgodnie z pięknymi, liberalnymi zasadami, jakie wygłaszano w obradach pod przewodnictwem ministra Ponikowskiego dn.1 i 2 listopada w Warszawie, że był to zresztą pierwszy projekt, który miał być wstępem do prac dalszych. Przyznałem, że o wprowadzeniu w życie samorządu już obecnie, po smutnych doświadczeniach z miesięcy ostatnich, mowy być nie może; że naprzód trzeba wprowadzić na tych

ziemiach, tak boleśnie umartwionych, ład i porządek i w tym celu po ustaleniu stanu rzeczy ukarać zbrodniarzy, których nie brak wśród nauczycielstwa ruskińskiego; natychmiast więc usunąć ich z administracji i ze szkoły, pozostawiając dalszy wymiar sprawiedliwości sądom karnym; że w tych kierunkach R.S. w swym zakresie w przeciągu ubiegłych tygodni wiele już dokonała; że dopiero po wprowadzeniu ładu i spokoju, można wystąpić z różczką oliwną i balsamem kojącym, by przygotować współżycie obu, bądź co bądź, pobratymczych narodów, a będzie to rzeczą łatwiejszą, gdy ustaną lub przynajmniej osłabną wpływy obcych obu narodom czynników zachodnich; że po pacyfikacji przystąpi się do ugody, ale nie z tymi agitatorami, którzy wywołali straszną niszczycielską katastrofę na wschodzie, ale z takimi Ukraińcami, którzy rozumieją, iż zgodne współżycie Polaków i Ukraińców jest postulatem pierwszorzędnym, a to nie tylko, by sprawiedliwości stało się zadość, ale także i w tym celu, by siły Polski umocnić przeciw zakusom naszych groźnych sąsiadów i wspólnych wrogów. Nadmieniłem, że Niemcy są także wspólnymi wrogami Polaków i Ukraińców, jakkolwiek istnieje w naszym położeniu pewna różnica: My bowiem Polacy, jesteśmy ich wrogami na planie pierwszym, bo graniczymy bezpośrednio z Reichem, a Ukraińców kokietują Niemcy na razie, aby im do wygubienia Polaków pomagali. Ale i na Rusinów przyszłaby później kolej, gdy Niemcy, idąc za Drang nach Osten, zajęliby bogate ziemie wschodnie. Wkońcu postawiłem wniosek, żeby dla znalezienia drogi najwłaściwszej, zwłaszcza w obecnym stadium przejściowym, powołać do życia komisję, którаby opracowała projekt ustroju i urządzenia szkolnic-

twa na terenie b.Galicji wschodniej. Wniosek ten został przyjęty jednomyślnie bez dalszej dyskusji. Do komisji wybrano członków autonomicznych, mianowicie pp.Chlamtacza prof.U.J.K., prof.U.J.Ciechanowskiego, Stanisława Dąbskiego i hr.Leona Pinińskiego, a nadto ja dezygnowałem dla Komisji specjalnych referentów z pośród inspektorów krajowych i referentów administracyjnych.

Gładko, po przeprowadzonej dyskusji i udzielonych przeze mnie wyjaśnieniach załatwioną została sprawa przyjęcia do wiadomości założenia prywatnego gimnazjum żydowskiego przy odrzuceniu ~~práby~~ prośby o przyznanie mu prawa publiczności. R.S. uznała nawet za stosowne, celem uniknięcia na przyszłość w tego rodzaju sprawach zarzutów i wątpliwości, powziąć trzy uchwały, które ustaliły zasadniczo na podstawie obowiązujących ustaw, normy szczególne odpowiadające w zupełności stanowisku, dotychczas przeze mnie zajmowanemu. Postanowiono równocześnie poddać ścisłej i rygorystycznej rewizji prawa publiczności już udzielone różnym zakładom prywatnym. Skutkiem tej uchwały sekcja II R.S. nie przychyliła się potem do kilku nowych próśb o udzielenie praw publiczności.

Przyjęto również mój prezydialny wniosek, aby R.S. opracowała dzieło wielkie w trzech częściach, wskazujące, w jakich kierunkach rozwijać się powinno szkolnictwo w Polsce niepodległej. Plan tego dzieła podałem w głównych zarysach /o czym p.w Kronice str.95 i 196/. Nadmieniłem, że dla tego planu pozyskałem zgodę p.Ministra, któremu plan spodobał się tak, że przyrzekł udzielenia subwencji.

Rada po krótkiej dyskusji wnioski moje przyjęła w pełni, ale uchwała jej nie została urzeczywistniona, gdyż w cztery miesiące potem R.S. rozwiązano.

Oprócz mego "Memoriału" z grudnia jeszcze dwie inne sprawy wysunęły się na plan pierwszy obrad czerwcowych: Jedną był projekt zaprowadzenia jak najrychlej powszechnej /ludowej, pospolitej/ szkoły siedmioklasowej, do której każde dziecko w wolnej Polsce powinnoby chodzić; drugą był nowy ustrój szkoły średniej.

Pierwszy projekt powstał z inicjatywy Związku nauczycieli szkół ludowych, którego prezesem był p.Nowak, a rzeczywistym kierownikiem bardzo ruchliwy, radykalne tylko środki uznający p.Smulikowski - obydwaj nauczyciele szkół ludowych; drugi z czasem także poseł na Sejm. Pięknie wyglądały takie szumne wezwania Związku: "W wolnej Polsce każde dziecko powinno otrzymać co najmniej takie wykształcenie, jakie dać może szkoła siedmioklasowa"! Podobało się ono licznym rzeszom społeczeństwa, spotęgowane było nacjonalistycznymi hasłami, a budziło daleko idące nadzieje poprawy bytu materialnego wśród nauczycielstwa szkół ludowych, które dotychczas, zwłaszcza w b.Galicji, żyło przeważnie w nędzy. Między nauczycielami ludowymi mówiono sobie, że, jeżeli oni będą uczyli w szkołach siedmioklasowych, zatrzeć się muszą różnice w stopniach ich wynagrodzenia w porównaniu z nauczycielami szkół średnich, o tyle dotąd materialnie lepiej sytuowanymi. Projekt znalazł licznych zwolenników w partiach radykalnych sejmowych, a nadto poparcie wśród urzędników Ministerstwa

Oświecenia, liczących się z wpływami partyj skrajnych.

Uważano z czasem, że projekt dostał aprobatę Ministerstwa, skoro ono wygotowało "Program naukowy szkoły średniej", w którym przyjęto dla tych szkół tylko 5 lat nauki uważając za ich podbudowę naukę, jaką dziecko uzyska w powszechnej szkole siedmioklasowej.

Jednakże R.S. po wysłuchaniu opracowanych sumiennie referatów i po przeprowadzeniu na ich podstawie stosunkowo krótkiej dyskusji, oświadczyła się przeciw siedmioklasowej szkole powszechnej, przyszedłszy do przekonania, że projekt w owym czasie, był nierealny, nawet niepoważny, fikcyjny i demagogiczny; nie liczył się bowiem z rzeczywistością i z danymi warunkami, nie liczył się z tym, ilu w Polsce mamy nauczycieli i kandydatów na nauczycieli, a iluby ich potrzeba było dla wprowadzenia projektu w życie; ile mamy budynków szkolnych i w jak lichym stanie przeważnie się one znajdują - tak, że o pomieszczeniu w nich szkół siedmioklasowych nie może być mowy; jakimi środkami finansowymi ta biedna, gospodarczo zupełnie wyniszczona Polska może rozporządzać itd. itd. Dla ilustracji, jak autorzy projektu nie troszczyli się o istniejące warunki, podaję tu tylko przykładowo następujące z referatów wyjęte dane: Na 100 szkół ludowych w b.Galicji mieliśmy przed wojną światową 35 jednoklasowych a 48 dwuklasowych, czyli 83 szkół z jednym względnie z dwoma nauczycielami; z pozostałych 17 szkół przypada tylko 3 na szkoły sześcio i siedmioklasowe, a więc zbliżone typem do proponowanej szkoły powszechnej siedmioklasowej. Liczba szkół ludowych w Galicji wynosiła około 6.000, a nauczycieli /lek/ około 18.000. Licząc na szkołę siedmioklasową tylko 7 nauczycie-

li /co oczywiście jest za mało, choćby ze względu na ewentualne paralelki/, wypadłoby w samej b.Galicji zapotrzebowanie na 42.000 sił nauczycielkbich, czyli, że brakowałoby około 24.000 nauczycieli. A przecież wojna przerzedziła bardzo szeregi nauczycielskie, przecież mimo to i mimo, że b.Galicja nie zajmuje terytorialnie nawet czwartej części Polski, musiał ten kraj już wówczas masowo dostarczać nauczycieli do b.zaboru pruskiego na miejsca nauczycieli Niemców, a także wielką ilość do b.zaboru rosyjskiego, gdzie nauczycieli i szkół było stosunkowo tak mało. Już tych kik kilka danych mówi za siebie. A ileż innych dat, wykazujących niemożliwość realizacji projektu, podały referaty, o ile chodziło o budynki, mieszkania dla nauczycieli, boiska szkolne, środki naukowe itd., itd. - Podnoszono przytem w R.S., jak niezbędnym dezyderatem jest przede wszystkim zakładanie nowych szkół w tylu, tylu gminach, w których żadnych szkół nie ma, jak dalej potrzeba budować choćby dość prymitywne budynki szkolne w gminach, w których ich wcale nie ma mimo istnienia szkół - tak, że nauka odbywa się w nędznych izbach najętych, a nawet w stodołach! -

Takiego to rodzaju motywy, oparte na datach statystycznych, skłoniły R.S., że zajęła w swych uchwałach wobec projektu stanowisko negatywne, że go nazwała fikcją, czym był wówczas w rzeczywistości. Niesumienni agitatorzy starali się potem wpajać w ogół społeczeństwa przekonanie, że R.S. ta "dogorywająca instytucja samorządowa" jest wrogiem oświaty ludu i nędznie uposażonego nauczycielstwa! - Gdy czytałem tego rodzaju enuncjacje, rozumiałem, jak trafnym jest zdanie, - nie pamiętam już któregoś ze zna-

nych
mago
nym
krat

niej
stwo
któr
1.C.
wskr
gram
ze z
pięc
trze
szkó
szko
w ki
wedł
gim
gimn
dzie
z pi
tylk
młod
utrz
skaz

gram
Lew

nych statystów, - że wstrętną stroną demokratyzmu jest demagogia i że ona powinna być w każdym państwie demokratycznym jak najusilniej zwalczana, żeby trafnych podstaw demokratyzmu nie zohydzała.

Drugi projekt, dotyczący zmian w ustroju szkoły średniej, opierał się głównie na opracowanym przez Ministerstwo "Programie naukowym szkoły średniej". Zagadnienia, o które przy nim głównie chodziło, zajmowały - ~~jak wyżej pod I.C. przedstawiłem~~ - R.S. już za czasów austr., ale po wskrzeszeniu Polski weszły one na inne tory. Ówczesny "Program" ministerialny wychodził, jak dopiero co zaznaczyłem, ze założenia, że szkoła średnia ma obejmować tylko kurs pięcioletni, a jego podbudowę ma tworzyć jednolity kurs trzechletni, który według projektu Związku nauczycieli szkół ludowych stanowiłby część integralną siedmioklasowej szkoły powszechnej.- Szkoła średnia ma być zorganizowana w kilku typach: Pierwszym i "najidealniejszym" typem jest według Programu szkoła matematyczno-przyrodnicza. Na drugim miejscu projekt minist. przedstawia nowy typ gimnazjum humanistycznego, bez łaciny i greki; w nim młodzież ma się m.i. zaznajamiać w granicach umiarkowanych z piśmiennictwem starożytnym, łacińskim i greckim, ale tylko z pomocą polskich przekładów. Dla niewielkiej liczby młodzieży /widocznie jakichś specjalnych amatorów/ ma być utrzymany typ gimnazjum klasycznego. Ostatnim, na wymarcie skazanym typem - gimnazjum realne.

Po szczegółowym przedstawieniu ministerialnego "Programu" członkowie R.S., dyrektor Kulczyński i insp.kraj. Lewicki, postawili wniosek o traktowanie całej sprawy

w R.S. jako nagłej. Uzasadniali swój wniosek tym, że "Program" przedstawia się jako rezultat pracy bardzo poważnej; istnieje więc tym większe niebezpieczeństwo, że może być rychło w życie wprowadzony; a ponieważ, zdaniem wnioskodawców, jest on chybiony, trzeba niebezpieczeństwu w granicach możliwości zapobiec; dlatego sprawa powinna być traktowana jako pilna.

Wniosek o nagłość został przyjęty, po czym przystąpiono do obrad merytorycznych, które trwały kilkanaście godzin. Niepodobna ich tu streścić. Podniosę tylko nieco wyimków z tych debat, pomagając sobie przy tym streszczeniem zamieszczonym w Gazecie Lwowskiej z dn.13 czerwca 1919 r.

Zarzucano"Programowi" m.i. że nagłe i bez poprzednich przygotowań zamierzone narzucenie jednolitego ustroju szkolnictwu średniemu w całej Polsce byłoby szkodliwym dla prawidłowego jego rozwoju. Należy bowiem liczyć się z różnicami, które pod wpływem odrębnych warunków życia, wyłoniły się i utrwaliły w okresie niewoli blisko półtorawiekowej i zaznaczają się obecnie wyraźnie w umysłowości, poglądach etycznych, w stosunkach społecznych, a nawet towarzyskich. Ujednostajnienie treści duchowej i form życia może się dokonać tylko na drodze powolnej i stopniowej ewolucji. Próba gwałtownej reformy, opartа na hasłach teoretycznych, a nie na doświadczeniu, wywołaćby musiała ferment niepożądany dla normalnego rozwoju tutejszej szkoły. Z tego względu należy bronić się przeciw reformie pojętej bądź jak bądź jednostronnie i zastrzec sobie stanowczo możność przedstawienia projektów i wpływ na sprawę reformy szkolnictwa średniego na obszarze byłej

Galicji.

Z innej strony zaznaczono: Wszystkie trzy rodzaje szkół średnich, ogólnie kształcących t.j. gimnazja klasyczne, gimnazja realne i szkoły realne w byłej Galicji mają zupełne uzasadnienie istnienia nadal. Szkoły realne mogą dać całkiem odpowiednie ogólne wyższe wykształcenie, a więc należyty zasób wiadomości, rozbudzić myślenie, kształcić zmysł estetyczny, ugruntować religijność, rozwijać zdrowy i prawidłowy współudział w pożyciu z ludźmi, jak niemniej poczucie społeczne. Ale to są szkoły, przeznaczone dla tych usposobień, którym wystarcza świat dzisiejszy, jak jest, w całej swojej rozmaitości i bogactwie. Gimnazja realne i klasyczne są dla uczniów, którzy chcą poznać głębiej podstawy historyczne dzisiejszej kultury przez czytanie dzieł starożytnych w oryginale. A mianowicie, gimnazja realne - dla tych, którzy chcą ograniczyć się do podstaw naszej kultury w literaturze łacińskiej; dla tych zaś, którzy pragną zgłębić pierwotne i właściwe źródła naszej cywilizacji, służą klasyczne gimnazja, obejmujące lekturę greckiego i łacińskiego piśmiennictwa w oryginale. Każdy z tych trzech rodzajów szkół najlepiej spełnia swoje zadanie, jeżeli sam w sobie jest jednolitą, zwartą całością od pierwszej do ostatniej klasy. Wtedy bowiem zatrzymuje w całym ciągu właściwy sobie charakter.- Tego charakteru nie ma i mieć nie może w szczególności projektowany przez Ministerstwo typ humanistyczny szkoły średniej bez łaciny i greki. Z celem należytego wykształcenia w gimnazjach klasycznych, realnych i szkołach realnych mija się także zaprowadzenie wspólnej dla nich podstawy z trzech klas przy redukcji dalszej nauki do lat pięciu.

W uwagach i "wywodach", na których opiera się "Program naukowy szkoły średn." przesadnym jest twierdzenie, że zarówno istniejące dziś gimnazjum klasyczne nie spełniło stawianych mu zadań, jak i szkoły realne nie ziszczają nadziei, jaką w nich pokładano. Twierdzeniom tym przeczy rzeczywistość, przeczy temu ogólny, ciągły rozwój kultury w naszym kraju, ciągły rozwój i doskonalenie we wszystkich dziedzinach pracy i urządzeń publicznych. Objawy te muszą być do pewnego stopnia uważane także jako świadectwo że tutejsze szkoły średnie kładą dobry fundament pod przygotowanie młodzieży do zadań zawodowych i życia obywatelskiego. Takim świadectwem są również te zastępy wybitnych przedstawicieli rozmaitych zawodów, którzy wiedzą, pracą i doświadczeniem zyskują uznanie i rozgłos poza krajem, a którymi dziś, gdy nadeszła potrzeba, zasilać możemy obficie dwie inne dzielnice Polski.

Jeśli zaś chodzi o wychowanie narodowe w tutejszych szkołach średnich, to najnowsze wydarzenia wojenne, w których młodzież szkolna tak nadzwyczajny wzięła udział, usuwają wszelkie pod tym względem wątpliwości. Wysokie napięcie uczuć patriotycznych, serdeczna ofiarność i bezgraniczne poświęcenie, jakie okazali w tej wojnie młodzi chłopcy, nie znajdujące równych sobie przykładów w historii, muszą być w znacznej przynajmniej części przypisane wpływom naszej szkoły i naszego nauczycielstwa.

Wśród pomysłów objętych wspomnianym na wstępie W"Programem" typ szkoły średniej, humanistycznej bez łaciny i greki, oparty na językach nowożytnych, historii i naukach społecznych, jest śmiałym pomysłem o wątpliwej wartości. Werbalizm w nauce, tak słusznie potępiany przy omawianiu

tego typu szkolnego, tu może znaleźć dziedzinę do wybujałego rozrostu i trzebaby prawdziwie wyjątkowych nauczycieli, aby nauką literatury i historii tak pokierowali, by ta nauka ustrzegła się pamięciowego, na mechanicznej reprodukcji opartego traktowania.

Także i typ szkoły średniej matematyczno-przyrodniczej "Programu", odpowiadający tutejszej szkole realnej, posiada poważne braki. Jako wadę wytknąć mu wypada usunięcie z programu naukowego geometrii wykreślnej. "Wywody uzasadniające Program" usprawiedliwiała pominięcie geometrii wykreślnej w sposób niewytrzymujący krytyki i zawierający sprzeczności co do poglądu na wartość dydaktyczną. Niemniej niesprawiedliwie są zarzuty podniesione tam także przeciw nauce rysunków odręcznych, uważając je bowiem jako zajęcie polegające głównie na mechanicznej zręczności.

Byłoby niekonsekwencją, a nawet pewnego rodzaju lekkomyślnością, gdybyśmy dla nowego pomysłu, tyczącego się organizacji szkół średnich typu matematyczno-przyrodniczego, przejść mieli do porządku dziennego nad przygotowanym i przyjętym przed wojną planem reorganizacji tutejszych szkół średnich na zakłady ośmioklasowe. Plan ten - to owoc długich, gruntownych i sumiennych, na doświadczeniach opartych rozważań, nie tylko R.S.krajowej, ale i szerokich kół nauczycielskich.

W końcu podniesiono z naciskiem, że na początku zamierzonej reformy postawiono fikcję: siedmioletnią szkołę powszechną. - Przedmiot ostatni pozostaje w ścisłym związku z poprzednio już na posiedzeniu R.S. omówionym projektem wprowadzenia powszechnej szkoły siedmioklasowej w całej Polsce. Ponieważ projekt ów został uznany za "fikcję"

i napiętnowano go tym samym za nierealny, więc do niego na tym miejscu już nie wracam.

Jednak zbliżał się termin zakończenia posiedzeń, zapowiedziany z góry na wieczór 7-go czerwca. Zamknąłem więc listę zapisujących się do głosu, aby zakończyć obrady. Po wysłuchaniu ostatnich do głosu zapisanych, dałem krótki rzut oka na treść naszych pięciodniowych obrad; podniosłem szczególniej nader zajmującą treść obrad nad "Programem naukowym szkoły średniej"; powiedziałem następnie, że skoro ten ostatni temat nie został załatwiony i wymaga jeszcze w niektórych kierunkach pewnych uzupełnień i pogłębień, zapraszam - licząc się z udziałem, jaki poszczególni członkowie brali w dyskusji, - pp.dyrektora Kulczyńskiego i inspektorów T.M.Lewickiego, Rembacza, Rzepińskiego i dra Janellego, nie wyłączając bynajmniej innych członków, którym czas na to pozwoli, aby przygotowali referaty - o ile możności na piśmie - na najbliższe posiedzenia, jakie zwołam na dni 22-28 lipca. Dodałem, że na końcowe /dn.28 lipca/ zaproszę szefa sekcji Ministerstwa Oświaty p.T.Łopuszańskiego, aby zechciał przybyć na nasze obrady celem bliższego zaznajomienia się z poglądami R.S. Uczyniłem to dlatego, że p.Łopuszański ma być inicjatorem a jak się zdaje, także głównym autorem i propagatorem "Programu" ministerialnego.

Jednakże zaniepokojony pewnymi głosami, które padły w ciągu dyskusji nad ministerialnym "Programem", dodałem jeszcze przed ostatecznym zamknięciem posiedzenia z swej strony następujące zdania:

Wszelkie prace nad ustrojem, planami i podręcznikami naszych szkół powinien ożywiać i przenikać czynnik teleo-

logiczny, Jeżeli pedagogowie cel szkoły trafnie upatrują w wychowaniu dobrego człowieka i dobrego obywatela państwa to my na tym tle położyć musimy nacisk jeszcze i na to, aby w sposób ciągły, trwały i konsekwentny zastępować na ziemiach polskich trzy różniące się od siebie odłamy kultur jedną jednolitą kulturą polską, - by pojęcia Galicjanina, Królewiaka i Wielkopolanina znikły zupełnie jako dystynkcje kulturalne, będące nawet niejednokrotnie powodem przykrych antagonizmów. Taka unifikacja nastąpi, gdy utworzymy szkoły, nie bezwzględnie najlepsze według abstrakcyjnych, z recept niemieckich, francuskich lub angielskich zaczerpniętych wzorów, ale najlepsze ze względu na indywidualne potrzeby Polaka. Z tego punktu widzenia niewątpliwie w naszej szkole muszą być akcentowane tak zwane "polonica"; ale to jeszcze nie wystarcza. Twórca naszej przyszłej szkoły powinien przede wszystkim zdać sobie dokładnie sprawę z naszych psychicznych właściwości, przymiotów i wad, jakimi są np. silna wrażliwość, natura zapalna, ale brak wytrwałości, bujna wyobraźnia, ale skłonność do powierzchowności, słabe poczucie obowiązku, mało wyrobione poczucie społeczne i państwowe, mała skłonność do karności przy wybitnie wybujałym indywidualizmie, - szybka orientacja w rzeczach konkretnych, a brak zamiłowania do abstrakcji /którymi dzieci polskie tak nuży się niepotrzebnie w szkołach na niemieckich wzorach opartych/. Po tego rodzaju a(na)uto~~no~~micznej, bardzo skrupulatnie przeprowadzonej diagnozie polskiej natury należy dobrać ze znanych środków dydaktyczno-pedagogicznych takie, które najlepiej zdołają rozwijać nasze przymioty, tłumić wady, a zachowywać cenne narodowe właściwości. Środki pedago-

giczno-dydaktyczne, na tej podstawie celowo dobrane, winny przenikać ustrój szkolny, plany naukowe, instrukcje dydaktyczne i podręczniki i być dyrektywą dla nadzoru szkolnego.

Po tym końcowym przemówieniu zamknąłem posiedzenie..

Posiedzenia lipcowe odbyły się w dniach przeze mnie z góry oznaczonych. W dyskusji, której poziom podnosił się nieraz bardzo wysoko, zabierał także niejednokrotnie głos p.Łopuszański, odpierając zarzuty przeciw "Programowi" podnoszone i broniąc jego treści. Żałuję, że bardzo cenne referaty pp.Kulczyńskiego, Lewickiego, Rembacza i Janellego, oraz niektóre przemówienia pełne głębokich myśli nie wyszły - jak się zdaje - drukiem. Miałem zamiar zamieścić je w projektowanym przez siebie /p.wyżej/ dziele o przyszłym szkolnictwie w Polsce, które pozostało tylko projektem z powodu rozwiązania R.S. Nie wykluczam, że referaty pojawiły się po mojej dymisji w Czasopiśmie Pedagogicznym, wydawanym przez R.S. pod kierunkiem inspektora krajowego Bruchnalskiego. Czy się to stało, tego, pisząc niniejsze "Wspomnienia", stwierdzić nie mogę. /W czasie wojny zeszyty Czaspȧisma pojawiały się bardzo rzadko/. W Kronice podałem powyższe referaty tylko w streszczeniu na str.84-94, nie mając funduszów dostatecznych na ich przedruk oraz na przedruk treści obrad czerwcowych i lipcowych w całości, co byłoby stanowiło rodzaj testamentu R.S., przeznaczonej już wówczas na rozwiązanie.

Na posiedzeniach lipcowych R.S. załatwiła, a to prawie bez dyskusji, projekt rozporządzenia opracowanego

przez biura w sprawie przystosowania planów naukowych we wszystkich szkołach stosownie do zmienionych stosunków, z mocą prawną od roku szkolnego 1919/20. Projekt ten jest rozwinięciem gruntowym tych zarządzeń, jakie ja w pierwszej chwili, bo już 5 listopada 1918 r. wydałem w tym samym przedmiocie. ~~/O owym prowizorycznym zarządzeniu była mowa pod L./~~. Rozporządzenie R.S., ogłoszone zostało jako okólnik w Dzienniku Urzędowym R.S. wydanym dnia 15 sierpnia 1919 r.

R. Moja dymisja i rozwiązanie R.S.

Stronnictwo endeckie tak we Lwowie, jak i poza nim a zwłaszcza w Sejmie, zwalczało mnie nadal z powodu kierunku politycznego jaki zająłem głównie w mym memoriale z dn.25 grudnia 1918 r. Domagano się mej dymisji. Minister Łukasiewicz miał coraz większe trudności; przybywszy więc do Lwowa w pierwszych dniach lipca, przedstawił mi sytuację, swe trudności i prosił mnie, bym wniósł prośbę o dymisję, wyrażając mi przy tym ubolewanie z powodu wyrażonego mi przez siebie życzenia. Oczywiście wniosłem zaraz podanie o dymisję, co uspokoiło mych przeciwników, ale zdałem swe urzędowanie za zgodą p.Ministra dopiero dn.16 września po załatwieniu różnych agend - m.i. po zakończeniu obrad nad ministerialnym "Programem" naukowym szkoły średniej" - p.Stanisławowi Sobińskiemu, wizytatorowi szkół w Warszawie, który objął urzędowanie po mnie w charakterze delegata Ministra W.R.i O.P. /P.Dz.Urzędowy

R.S.z dnia 15 października 1919/. Samorządowa R.S. została wkrótce potem rozwiązana.

Ustąpiłem z R.S. jako ostatni jej prezydent. P.Sobiński urzędował już tylko jako organ w zupełności zależny od Ministra W.R.i O.P., a nie jako prezydent samorządowej Rady Szkolnej Krajowej.

Pożegnałem R.S. - z pewnym smutkiem, że w mych planach politycznych poniosłem porażkę, gdyż byłem i jestem dotąd zdania, iż dla sprawy polskiej zamierzenia moje były przynajmniej w zasadniczych kierunkach lepsze niż skrajnych narodowców, - z przykrością, bo rozstawałem się z tylu zacnymi, wysoko pod względem kulturalnym stojącymi funkcjonariuszami R.S., - z uczuciem ulgi, że pozbywam się ciężaru z wielką odpowiedzialnością wobec Narodu i wobec własnego sumienia połączonego, - z radością, że powracam na łono ukochanej przez mego czcigodnego ojca i przeze mnie Almae Matris Jagellonicae.

VI. Mój udział w pracach ustawodawczych w Polsce.

A. Wstęp.
Nauka i sztuka prawa.

Ten dział wspomnień rozpoczynam małym wstępem. Chcę bowiem naprzód uspokoić Szan.Czytelników, że ich tu nie myślę nudzić zbytecznie nieznaną im przeważnie nauką prawa, nie cieszącą się popularnością w szerszych sferach inteligencji - niesłusznie, bo jest to nauka piękna i bardzo interesująca, a tylko wstępna droga do jej poznania prowadząca, t.j. zaznajamianie się z jej bardzo wielkim abecadłem /t.j. z ustawami/ wymaga dużo żmudnej pracy.

Ponieważ pragnę, aby ta część moich "Wspomnień" mogła zająć także nieprawników, przeto nie zamieszczam w nich prawie wcale notatek, któreby dotyczyły wprost teorii i dogmatyki prawa prywatnego, jakkolwiek, gdy chodzi o Wspomnienia, miałbym tu najwięcej do napisania, bo przecież przedmiot ten stanowił podstawę prac zawodowych mego życia i ciągle jeszcze wracam do niego.

Ale umiejętność prawa nie jest tylko <u>nauką</u>; jest ona zarazem <u>sztuką</u>. Każda nauka jest <u>poznawaniem</u>. Naukowe badanie rozpatruje zjawiska, odkrywa dotychczas nieznane - szuka przyczyn zjawisk - porządkuje je na podstawie ich istoty oraz treści i łączy w pewne grupy i w system. Nauka stwierdza, że <u>coś jest</u> i <u>jak jest</u>, albo że <u>nie ma nic</u>, a gdzie poznać czegoś nie może, tam pędzona prądami porządku, całości i ruchu stawia hipotezy. Wynik badań naukowych może być więc <u>prawdziwy</u> lub <u>błędny</u>. Ale nauka dąży zawsze do poznania <u>prawdy</u>.

Nauka prawa zajmuje się życiem człowieka w społeczeństwie, obserwuje więc i bada człowieka, jako istotę społeczną /animal sociale/. W tym celu dąży do poznania norm /ustawowych, czy zwyczajowych/, które regulują współżycie ludzi - norm współcześnie w jednym kraju lub także w innych krajach obowiązujących /studia porównawcze/, a także tych, które należą do minionej przeszłości. Szuka przyczyn, dla których normy są, czy były takie, a nie inne i w tym celu roztrząsa motywy ich etyczne, gospodarcze i społeczne, normy te objaśnia, łączy w niższe i wyższe grupy, tworząc z nich wielki, jednolity, logicznie zbudowany system.

Sztuka w ogólności, choćby - jak zwykle bywa - z nauki czerpała impulsy i na niej się opierała, - nie bada, nie poznaje, ale działa i tworzy. Przy tym chce być pożyteczną, uszczęśliwiać, bawić, wzbudzać to, co być powinno, kształtować piękno, podnosić ludzi w wyższe sfery ducha, wywoływać różne wrażenia, a czasem działa i tworzy bez takich uświadomionych zamiarów, - jednak prowadzi nie - jak nauka - do prawdziwych lub błędnych, ale do lepszych lub gorszych wyników. Rezultatem jej jest dobro lub zło.

Sztuka prawa szuka norm najlepszych, najwięcej odpowiadających ideałom współżycia ludzkiego w danych warunkach, tworzy normy nowe, poprawia istniejące i kształtuje je, nadając im jasne, krystaliczne a tym samym harmonijne i piękne formy i postacie. Przypomina ona tym inne "sztuki" zwłaszcza sztuki piękne, że stara się najlepiej, najdoskonalej uchwycić i wyrazić ideały /w zakresie sprawiedliwości/, drzemiące w nieświadomych lub podświadomych uczuciach ludzkich i w ten sposób budzić je do życia. Z powodu "artyzmu", łączącego się z prawem, najwięksi na świecie praw-

nicy, starożytni Rzymianie, nazywali prawo /ius/ ars boni et aequi /sztuka dobra i słuszności/. My moglibyśmy ją nazywać także polityką, jeżeli w polityce ujętej w znaczeniu szerszym niż potocznym, upatrujemy sztukę znajdywania w danych warunkach najlepszej, najwięcej celowej, najodpowiedniejszej drogi w urządzaniu współżycia ludzi i w rządzeniu państwem.

Nauka - jak wiadomo - mniej na ogół pociąga, aniżeli sztuka. Nie ma się zwłaszcza ochoty do uczenia się rzeczy znanych, ale z przyjemnością odkrywa się własną pracą rzeczy choćby już przez innych znane. Dlatego to w nowoczesnej dydaktyce tak popiera się heurezę przy nauce szkolnej.

Inaczej jest ze sztuką. Ona cieszy się na ogół popularnością. Jakże pociągającą jest dla tych ludzi rzeczą, aby objawiać swe zdanie o tym, co i jak być powinno. Można to obserwować na różnych przykładach. Mało stosunkowo jest takich, którzyby chcieli studiować anatomię, fizjologię, patologię i inne działy medycyny, ale ile ludzi jest na świecie, tylu prawie jest "lekarzy", którzy zalecają przy każdej nadarzającej się sposobności różne sposoby i środki leczenia chorób, chociaż nie mają pojęcia o medycynie. Mało kto chce uczyć się prawa prywatnego i publicznego i innych umiejętności społecznych, ale każdy prawie jest politykiem, każdy prawie uważa się za powołanego do wskazywania najlepszych metod i środków rządzenia państwem i społeczeństwem oraz do regulowania stosunków między jednostkami ludzkimi. Popularniejszą jest polityka w zakresie prawa publicznego, zwłaszcza prawa państwowego aniżeli prawa prywatnego, chociaż i w tym zakresie

różni nasi "politycy" zabierają, choć nieproszeni, chętnie głos i narzucają swe zdania.

Z takimi to doświadczeniami licząc się, staram się w niniejszej części "Wspomnień" jak najmniej wchodzić w dziedzinę mało popularnej nauki prawa; natomiast zamieszczam notatki z zakresu sztuki prawa i tych zdarzeń, które z nią w moim życiu w związku zostawały.

Sztuką prawa zajmuje się w państwie w pierwszej linii ustawodawca. Jego zadaniem jest bowiem tworzyć i wydawać normy najlepsze, najwięcej celowe dla szczęścia i dobra społeczeństwa. Ci, co ustawodawcy w tej twórczej pracy pomagają, również sztukę tę opanować powinni. Ale biegłymi w sztuce prawa powinni być także prawnicy, których powołaniem jest stosowanie prawa obowiązującego w codziennym życiu, a zatem przede wszystkim - sędziowie. Dość jest rozpowszechnione mniemanie, jakoby sędzia dla wydania wyroku lub innego orzeczenia powinien jedynie wyszukać przepis dla danego przypadku właściwy i ten przepis ściśle zastosować, czyli, że zadaniem sędziego jest tylko t.zw. subsumcja t.j. podporządkowywanie danych faktów pod właściwe dla nich przepisy prawne. Mylą się ci, co tak sądzą, bo nie rozumieją, że przepisy prawne, choćby najstaranniej opracowane przez organa ustawodawcze nigdy nie mogą objąć w sobie bogatej treści prawa, niezbędnej dla nader barwnego i rozmaitego życia ludzkiego, a zwłaszcza treści tego ideału wysokiego, jakim jest tzw. prawo prawe /sprawiedliwe/, że więc stosujący prawo do objawów życia codziennego musi te przepisy obowiązujące dopiero odpowiednio urabiać, uzupełniać, luki ich przez analogię wypełniać, nieraz nawet poprawiać, jeżeli nie-

wątpliwie nie wyrażają trafnie woli ustawodawcy - a przy tej pracy już twórczej, musi kierować się wielką sztuką prawa prawego, doskonałego.

Kiedy opuściłem Radę Szkolną Krajową i wracałem do Krakowa na łono ukochanej Alma Mater Jagellonica aby objąć w niej znowu katedrę prawa cywilnego, zdawało mi się, że będę mógł powrócić w pełni do swej działalności nauczycielskiej, ucząc prawa w wykładach a zaprawiając w seminariach swych uczniów w sztuce prawa; że także będę mógł ponownie podjąć przerwane przed kilku laty, prace ściśle naukowe, odkrywcze. Tymczasem pragnienia te tylko w części spełnić się mogły.

Sejm Polski ustawą z dnia 3 czerwca 1919 r. powołał do życia Komisję Kodyfikacyjną, aby przygotowała projekty jednolitego ustawodawstwa dla całej Polski a to głównie w dziedzinie prawa materialnego, cywilnego/raczej ogólnie mówiąc "prywatnego"/ i karnego, oraz prawa formalnego /procesowego i w sprawach niespornych/. Rząd po moim powrocie do Krakowa powołał mnie na członka tej Komisji a ja, zgłosiłem swój akces do Sekcji prawa cywilnego.

B. Międzynarodowe i międzydzielnicowe prawo prywatne.

Na pierwszym posiedzeniu Sekcji prawa cywilnego zwołanym w listopadzie 1919 r. przy omawianiu jej programu prac zabrałem głos, wysuwając na plan pierwszy zadanie opracowania projektu międzydzielnicowego, a przy tym i

międzynarodowego prawa prywatnego z tym, że rzecz powinna być uważana za nader pilną. O cóż tu bowiem chodzi? W dziedzinie prawa prywatnego mamy - tak wówczas mówiłem - w zjednoczonej Polsce aż pięć obszarów prawnych /b.Królestwo Kongresowe, b.Galicja, b.zabór pruski, ziemie północne i wschodnie i mały skrawek Węgier czy Czechosłowacji /Spiż i Orawę/. Na każdym obszarze obowiązują różne prawa prywatne. Padły granice zaborów, jesteśmy jednym państwem mieszkańcy poszczególnych dzielnic nawiązują z sobą coraz żywsze i liczniejsze stosunki prawne; powstają więc codziennie pytania, któremu z tych pięciu różnych praw stosunki, nieograniczone tylko do jednego obszaru podlegać mają np.: Warszawianin żeni się z Krakowianką a ślub zawierają w Poznaniu; według jakiego prawa i pod jakimi warunkami ma się odbyć ślub, aby małżeństwo było ważnie zawarte i według jakiego prawa ocenić należy skutki osobiste i majątkowe małżeństwa? Krakowianin kupuje w Warszawie od mieszkańca z pod Wilna majątek ziemski. Jakiemu prawu podlega sprzedaż, a jakiemu nabycie własności itd. itd. Na takie pytania codzienne, ustawodawca powinien dać podstawy do odpowiedzi, a tym samym usunąć kwestie dotyczące właściwości różnych praw w Polsce obowiązujących /zanim nie będziemy mieli jednolitego prawa prywatnego/. I dlatego należy postarać się w Polsce jak najrychlej o wydanie t.zw. prawa międzydzielnicowego, usuwającego kolizje między różnymi prawami w naszym państwie obowiązującymi. Jego normy muszą być oparte w znacznej części na zasadach międzynarodowego prawa prywatnego."

"Ale równocześnie - mówiłem dalej - trzeba postarać się o jak najrychlejsze wydanie jednolitego prawa między-

narodowego prywatnego, bo jest rzeczą konieczną uchylić niezgodne z sobą normy tego prawa, obowiązujące na wymienionych pięciu obszarach prawnych w Polsce. Jeżeli mianowicie stosunek prawny nie ogranicza się tylko do obszaru Polski, lecz wkracza w jakimkolwiek kierunku w obszar państwa innego np. Polak żeni się z Angielką, a ślub biorą w Paryżu, Rosjanin sprzedaje Polakowi pszenicę w Warszawie, Angielska Spółka Akcyjna zakłada fabrykę w Poznaniu itp. - w takich przypadkach polskie władze, opierając się na swych normach prawa międzynarodowego powinny żądać, aby w odpowiednich granicach obce państwa uznawały właściwość prawa obowiązującego w Polsce. Ale na jakich normach prawa międzynarodowego nasze władze mają się oprzeć, jeżeli takich norm jest aż pięć rodzajów i jeżeli są one między sobą niezgodne? Oczywiście podstaw do odpowiedzi na te pytania nie mamy, dopóki nasz ustawodawca nie wyda jednolitego prawa międzynarodowego polskiego."

Sekcja uznała w pełni trafność moich wywodów i wniosków i powierzyła mnie opracowanie projektów i motywów, a to w czasie możliwie jak najkrótszym. Korreferentem oznaczyła adwokata Konic'a, a kiedy tenże po kilku miesiącach korreferat złożył - prof. Michała Rostworowskiego, znawcę prawa międzynarodowego i to tak prywatnego, jak i publicznego.

Świadom wielkiego zadania, jakie na mnie spadło, zabrałem się natychmiast do pracy. Wymagała ona największego wysiłku, bo zadanie było bardzo trudne, a przy tym pośpiech konieczny. Francuzi nazywają słusznie międzynarodowe prawo prywatne "un excellent magasin de doutes."

Dzięki pracy, wykonywanej dosłownie dniami i nocami /była

to największa praca w mym życiu/, zdołałem przedłożyć Sekcji Komisji Kodyf. gotowe projekty obu praw po pięciu miesiącach! Nie byłbym w stanie tego zadania dokonać, gdybym nie był zajmował się z predylekcją przez szereg lat, jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej, prywatnym prawem międzynarodowym i nie był przeszedł w r.1912 doskonałej szkoły w austriackim Ministerstwie Sprawiedliwości, - które powołało mnie do współpracy nad projektem austr.prawa międzynarodowego. Wówczas to pogłębiłem w tej dziedzinie znacznie moje wiadomości, pracując wspólnie z pierwszorzędnymi fachowcami, jak zwłaszcza z Walkerem i Strisowerem.

Projekt mój bez zmian poważniejszych przeszedł rewizję korreferenta Rostworowskiego a następnie skomplikowaną drogę obrad sekcyjnych i wydziałowych, które stosunkowo krótko trwały - po części dla braku specjalistów w zakresie prawa ~~mnd.pryw~~ międzynarodowego prywatnego, a po części ze względu na nagłość sprawy - tak, że dn.9 kwietnia 1921 r. oba projekty zostały jednomyślnie uchwalone na posiedzeniu plenarnym Komisji Kodyfikacyjnej. Prezydium Komisji uznało jednak za stosowne, zasięgnąć jeszcze, ze względu na niezwykle trudny - jurydycznie - przedmiot, opinii profesora prawa międzynarodowego w Paryżu, Andrzeja Weissa, wówczas największej powagi światowej w tej dziedzinie. Opinia nadeszła wkrótce i to nader pochlebna. Wyimek z niej zamieściłem w dosłownym brzmieniu francuskim w wydanym przeze mnie "Zarysie międzynarodowego i międzydzielnicowego prawa prywatnego". /ogłoszonym naprzód w Encyklopedii Podręcznej Prawa Prywatnego, a potem w dwóch odbitkach z lat 1936 i 1937/. Prof.Weiss do swej opinii dodał, że pomijając kilka odchyleń - "z wielką przyjemnością znajduje

w tych projektach legislacyjnych zrealizowanie wielu zasad, jakich zawsze bronił w nauce."

Po odpowiedzi prof.Weissa Prezydium Komisji Kodyf. przedłożyło projekty Rządowi a Ministerstwo Sprawiedliwości - Sejmowi.

Jednak nasi suwereni w Sejmie zajęli stanowisko krytyczne. Nie rozumieli, czy nie chcieli rozumieć w obradach komisyjnych, o co chodzi i chodzić może w projekcie prawa międzydzielnicowego, mianowicie, że chodzi tu wyłącznie tylko i wyłącznie chodzić może ze względu na naturę prawa międzydzielnicowego o odpowiedź na pytanie, które z pięciu praw prywatnych merytorycznych, w poszczególnych dzielnicach Polski obowiązujących, mają być w danych przypadkach stosowane, a bynajmniej nie o to, jakimi mają być te prawa merytoryczne, którewchodzą w zastosowanie. Otóż posłowie nasi zrobili ze sprawy prawa międzydzielnicowego wielkie zagadnienie polityczno-wyznaniowe! Socjaliści - w komisjach sejmowych domagali się uzupełnienia prawa międzydzielnicowego różnymi przepisami merytorycznymi dla ludzi bezwyznaniowych /sic!/ a Chadecy żądali nadania prawu międzydzielnicowemu charakteru wyznaniowego, z podniesieniem znaczenia wyznania katolickiego /sic!/. Sprawa obu projektów stała się w ten sposób przedmiotem walk partyjnych, a skutkiem sporów przewlekłych ugrzęzła, a jej akta wydostały się dopiero w r.1926, kiedy po zamachu majowym nasz parlament, którego autorytet skutkiem walk partyjnych i niewysokich kwalifikacyj licznych posłów bardzo ucierpiał, - starał się pod adresem Marszałka Piłsudskiego rehabilitować się i składać dowody, że umie pracować legislacyjnie. Wówczas to m.i. projekty prawa ~~mn. i md.~~ międzynarodowego i międzydzielnicowego wstawiono na po-

rządek dzienny Sejmu a potem Senatu. Oba te ciała parlamentarne uchwaliły tym razem projekty szybko i bez zmian, tak, że otrzymały one moc obowiązującą jako ustawy z dn. 2 sierpnia 1926 r. i ogłoszone zostały w Dz.U.pod Nr.101 /poz.580 i 581/.

A jak działo się w praktyce życiowej bez takich ustaw, zwłaszcza bez ustawy międzydzielnicowej, do czasu jej wydania? Prawnicy, a w szczególności sądy radziły sobie w sposób oryginalny: Szukając norm niezbędnie potrzebnych w rozwijającym się, wraz z potrzebami życiowymi, poczuciu prawnym społeczeństwa, posługiwały się przeważnie w praktyce projektem Komisji Kodyfikacyjnej, drukiem rozpowszechnionym tak, że niejednokrotnie we wyrokach z owych czasów znajdują się nawet cytaty z projektów, jakby one miały już wówczas moc obowiązującą!

C. Prawo autorskie.

Na wstępnym posiedzeniu Sekcji prawa cywilnego w listopadzie 1919 r. członek Komisji Kodyf., profesor Parczewski zwrócił uwagę na konieczność rychłego zajęcia się skodyfikowaniem jednolitego prawa autorskiego. Jego uwagę poparłem jak najgoręcej. Powiedziałem, że prawo autorskie podobnie jak t.zw. własność przemysłowa obejmująca patenty, modele i zarejestrowane wzory użytkowe, które wynalazcy dają wyłączną możność eksploatacji zrobionego przez się wynalazku w całym państwie, dalej wzory zdobnicze /wyłączność podobna w zakresie sztuki stosowanej/, jak i środki zwalczania nieuczciwej konkurencji /połączone z rzeczową indywidualnością przedsiębiorstw/ - wszystko to

są prawa, które dają podmiotowi uprawnionemu, t.zw. właścicielowi, moc polegającą na wyłączności eksploatacji majątkowej jakiegoś dobra niematerialnego /dzieła literackiego lub innego artystycznego albo wynalazku/ a więc moc o charakterze monopolistycznym państwowym, który to charakter tym silniej występuje, że prawo nie jest wcale umiejscowione jak np. własność nieruchomości, lecz rozciąga się równocześnie na obszar całego państwa, jakby było monopolem w pełnym znaczeniu tego słowa. Ale tym więcej wygląda to wprost na dziwoląg prawniczy, gdy takie jednolite prawo monopolistyczne ze względu na temat dyskusji - przy czym mam na myśli prawa twórców dzieł literackich i artystycznych - podlega w zjednoczonej Polsce czterem różnym ustawom /ustawie autorskiej rosyjskiej, niemieckiej, austriackiej i węgierskiej/! Ten stan powinien być usunięty najprędzej co zresztą bez Komisji Kodyfikacyjnej. Rząd nasz częściowo spróbował uczynić w pokrewnej dziedzinie, mianowicie w dziedzinie "własności przemysłowej" Dekretem Naczelnika Państwa z dn. 13 grudnia 1918 r. powołany bowiem został do życia Urząd Patentowy obejmujący swą działalnością cały kraj, a trzema Dekretami Naczelnika Państwa x/ uchylił obowiązujące dotychczas w tych dziedzinach na ziemiach polskich różne i sprzeczne przepisy.

---

x/ Nowe dekrety ułożone w projekcie pospiesznie według ~~mxm~~ wzoru ustaw niemieckich przez jednego z rzeczników patentowych, z tymi ustawami szczególnie obznajmionego, okazały się zupełnie nieodpowiednimi w Polsce, o czym piszę w dalszym ciągu pod D., jednakże Rząd nasz wydaniem ich okazał przynajmniej zrozumienie trafnej zasady, że w zakresie praw na dobrach niematerialnych, których treścią są prawa o charakterze monopolistycznym, rozciągające się na całe państwo, nie można tolerować istnienia sprzecznych z sobą ustaw, równocześnie w państwie obowiązujących.

Mimo, że Sekcja uznała trafność uwagi członka Komisji Parczewskiego, nie zajmowała się dalej poruszoną przez niego sprawą, a to ze względu na brak formalnych wniosków. Jednakże Rząd zainteresował się sprawą. Mianowicie Minister Sztuki i Kultury, Z.Przesmycki /Miriam/ zwrócił się do mnie w marcu 1920 r. z prośbą, abym opracował z możliwym pośpiechem projekt polskiej ustawy autorskiej. Zadania tego podjąłem się z miłą gotowością zwłaszcza, że przedmiot znałem stosunkowo dobrze, wykładałem go bowiem przez trzy lata na Uniwersytecie Wiedeńskim, jako tamtejszy docent prawa cywilnego w latach 1895 do 1898. Niedługo po piśmie ministra Przesmyckiego otrzymałem także prośbę z Prezydium Komisji Kodyfikacyjnej napisania projektu polskiej ustawy autorskiej - z zawiadomieniem, iż moim korreferentem w Komisji Kodyfikacyjnej będzie adwokat Litauer.

Projekt przeze mnie opracowany został po kilku dniach obrad w Ministerstwie Sztuki i Kultury ogłoszony drukiem w czerwcu 1920 r. wraz motywami.

Najwybitniejsze cechy wyróżniające mój projekt od dotychczasowych ustaw autorskich światowych, wystąpiły głównie w następujących dwu kierunkach:

1./ Idąc za prądami nauki zachodnio-europejskiej, głównie francuskiej, wprowadziłem do projektu ustawy szereg przepisów, normujących obok ochrony interesów majątkowych autora /twórcy/ także ochronę wyższych interesów autora osobistych, duchowych, moralnych = tych interesów, które francuska literatura prawnicza obejmowała i obejmuje wspólną nazwą "le droit moral". Uczyniłem to w sposób w ustawodawstwach dotąd niepraktykowany, gdyż ochronę tę ująłem jako pierwszorzędną, a nawet wysunąłem ją

na czoło. Dla czynów wkraczających w to droit moral przyjąłem w swych projektach oznaczenie "Krzywda osobista", - nazwę nie całkiem poprawną, bo ochrona, o którą chodzi, ma trwać i po śmierci twórcy. Tę krzywdę osobistą określiłem w moich projektach przykładowo: "Taką krzywdą osobistą jest, gdy ktoś przywłaszcza sobie autorstwo, nazwisko twórcy lub pseudonim; gdy nie podaje w swym utworze autora lub źródła, z którego zaczerpnął treść, lub wyimki, przez co może powstać błędne mniemanie co do autorstwa albo podaje fałszywie autora lub źródło; gdy publikuje dzieło do publikacji przez twórcę nie przeznaczone; gdy wprowadza w publikacji zmiany, dodatki, skrócenia, które treść wykrzywiają lub uwłaczają godności i wartości dzieła; gdy wydaje dzieło w rażąco nieodpowiedni sposób; gdy czyni zmiany w oryginale dzieła; gdy oryginał dzieła sztuki oznacza nazwiskiem twórcy wbrew jego woli lub w inny sposób wbrew jego woli ujawnia autorstwo; gdy w krytyce obniża wartość dzieła przez świadomie fałszywe przedstawienie faktów itp."

Prawo ścigania sądowego takich wkroczeń w "droit moral" ma według moich projektów służyć twórcy przez całe jego życie, bez względu na to, czy prawo autorskie majątkowe jeszcze istnieje, czy nie, natomiast w myśl pierwotnego projektu:

"....Po śmierci twórcy następujące osoby powołane są do wniesienia skargi z artykułu poprzedniego: jego dziedzice, pozostały małżonek, krewni /bez względu na to, czy są, czy nie są spadkobiercami zmarłego twórcy/, a jeżeli osób takich nie ma lub ochrona z ich strony nie jest dostateczna, Ministerstwo Sztuki i Kultury, które może także przyłączyć się do skargi osób wpierw wymienionych,

lub samoistnie wnieść skargę przed sądem cywilnym w obronie publicznego dobra."

Powyższe przepisy przeze mnie projektowane znalazły aprobatę w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Nieco inaczej rzecz miała się w Komisji Kodyfikacyjnej. Tam mianowicie wprawdzie zgodzono się na ogół na przepisy proponowane, ale sprzeciwiano się mej propozycji, aby w obronie droit moral twórcy, po jego śmierci droga sądowa była otwarta obok osób, twórcy najbliższych, także dla Ministerstwa Sztuki i Kultury. Przeciw tej mojej propozycji oświadczył się mianowicie prof.Wróblewski i w sposób bardzo wymowny - jak to zawsze czynić umiał - wywodził i dowodził, że ściganie wkroczeń w droit moral może po śmierci twórcy należeć tylko do osób zmarłemu najbliższych, ale poza tym władze państwowe mogłyby tylko w drodze administracyjnej /policyjnej/ przeciwstawiać się nadużyciom.

Ja broniłem swego stanowiska jak mogłem. Powoływałem się na to, , że Prokuratoria Generalna jest powołana do występowania przed sądami nie tylko w obronie Skarbu Państwa, ale także w interesie dobra publicznego; że między innymi ma ona legitymację do działania w interesie dobra publicznego w dziedzinie tak zbliżonej do ochrony prawa autorskiego, jaką jest ochrona praw patentowych, wzorów i znaków towarowych i wolności przemysłowej. Zresztą powinno się otoczyć ochroną pełną i doskonałą, a więc sądową i to nawet na wieki arcydzieła literatury i innych sztuk, które są tworami naprawdę nieśmiertelnymi, skoro nas od setek a nawet od tysięcy lat /arcydzieła greckie/ podnoszą, oświecają i zachwycają. Czyż więc ze względu na te wysokie, nieśmiertelne dobra kulturalne nie powinna istnieć w interesie dobra publi-

cznego ochrona i to sądowa przeciw ich obniżaniu, zniekształcaniu, niszczeniu. Nadmieniłem też, że arcydzieła literatury i sztuki ze względu na ich nieśmiertelność mogą być porównane z osobami prawnymi, które, chociaż nie są ludźmi, doznają prawnej ochrony sądowej. Wszystkie te i inne moje argumenty miały tylko ten efekt, że zdobyłem przy głosowaniu w Sekcji prawa cywilnego poważną mniejszość głosów, bo wniosek negatywny prof.Wróblewskiego przyjęty został większością jednego tylko głosu. Małą to było dla mnie pociechą, skoro wniosek mój upadł w sprawie, na której mi wiele zależało.

Jeszcze w kilka lat później odczułem kilkakrotnie żal z powodu rezultatu owego głosowania, a to m.i. wśród następujących okoliczności:

W 1922 r. a więc w dwa lata potem, kiedy projekt polskiej ustawy autorskiej został drukiem ogłoszony, Rumunia przystąpiła do rewizji swej ustawy o prawie autorskim i także rozwinęła nieco podobnie jak projekt polski ochronę droit moral twórcy. Może redaktorowie rumuńskiej ustawy projektu polskiego z r.1920 nie znali, może działali tylko, podobnie jak ja, pod wpływem impulsów pochodzących z francuskiej literatury prawniczej. Jednakże za tym, że projekt polski był im znany przemawia to, iż wprowadzili do ustawy rumuńskiej skargę sądową organu publicznego w obronie droit moral przeciw pogwałceniom tego prawa, dokonanym po śmierci twórcy - myśl, której nigdzie w literaturze francuskiej ani w żadnym ustawodawstwie nie spotkałem, tak, że mogłem ją uważać za pochodzącą z Polski, /chociaż do ustawy polskiej z r.1926 nie weszła, ~~tak, że~~ wobec czego Rumunia miała tu pierwszeństwo/.

Jeszcze przykrzej dotknęło mnie, gdy w dwa lata po ogłoszeniu w r.1923 ustawy rumuńskiej pojawiła się ustawa włoska opracowana przy współudziale takich głośnych znawców prawa ~~ak~~ autorskiego jak Stalfi, Piola, Caselli i Giannini, w której nie tylko droit moral rozbudowano ale zamieszczono także ową przeze mnie tak gorąco popieraną skargę sądową organu publicznego przeciw pogwałceniom tego prawa po śmierci twórcy.

W 1928 r. odbył się w Rzymie dyplomatyczny Kongres dla rewizji międzynarodowego prawa autorskiego ugruntowanego międzypaństwowym Związkiem, założonym w Bernie Szwajcarskim w 1886 r. Głównym referentem w Rzymie był prezes Sądu Najwyższego w Rzymie Piola Caselli, znawca pierwszorzędny prawa autorskiego. Kiedy przystąpiono do ukonstytuowania poszczególnych Komisyj, spotkał mnie ten zaszczyt że jako przedstawiciel /fachowy/ Polski - /przedstawicielem Rządu polskiego był wiceminister Stefan Sieczkowski/, powołany zostałem do najwyższej Komisji, t.zn.do Komisji redakcyjnej, do której należało początkowo tylko pięciu członków, mianowicie: Piola Caselli,delegat Włoch, Maillard, del.Francji, Beckett, del.W.Brytanii, Zoll, del. Polski i Coloman de Alkér, del.Węgier. Piola Caselli i prof.Giannini powiedzieli mi, że odznaczenie Polski przez powołanie jej delegata fachowego do szczupłego grona Komisji Redakcyjnej, jest uznaniem dla pięknego i trafnego rozbudowania ochrony Droit moral w ustawie z marca 1926 roku, ale szkoda tylko - dodali - że Polska nie wprowadziła do swej ustawy jeszcze skargi sądowej w obronie dobra publicznego przeciw naruszeniom droit moral po śmierci twórcy, bo dała się w ten sposób wyprzedzić przez Rumunię, a także przez Italię. Jakżeż mnie te słowa bo-

leśnie dotknęły, jak mi trudno było nie powiedzieć: "Ależ Panowie, - to co się mieści w waszej ustawie włoskiej było wyrażone w całej pełni już w polskim projekcie z r.1920, a tylko przez fatalny rezultat głosowania w Sekcji Komisji Kodyf. nie weszło wówczas do ustawy."

Konferencja berneńska w nowym tekście uchwalonym w Rzymie przez przedstawicieli państw Związkowych, wywołała konieczność pewnych zmian wewnętrznych w ustawach tych państw. Skorzystałem z tej sposobności i z pomocą p.wiceministra Sieczkowskiego, któremu jestem za to szczerze wdzięczny, postarałem się o to, że równocześnie w noweli do ustawy polskiej z dn.22 marca 1935 r. Dz.U.poz.176, wprowadzającej zmiany w ustawie z dn.29 marca 1926, zamieszczony został ustęp 2-gi do art.59 w następującym brzmieniu:

"Niezależnie od osób wymienionych w ustępie poprzedzającym /są to osoby najbliższe zmarłego twórcy/ po śmierci twórcy może wnieść pozew samodzielny z art.58 Prokuratoria Generalna Rp.P. w interesie publicznym, na polecenie Ministerstwa W.R.i O.P. Pozew może również obejmować żądanie pokutnego".

Tak uzupełniony art.59 zamieszczony został następnie w nowym jednolitym tekście ustawy z r.1926 o prawie autorskim.

Tak ostatecznie - post tot discrimina rerum - zdołałem wprowadzić do ustawy polskiej proponowany przez siebie w r.1920 przepis w całości.

2./ Drugą bardzo charakterystyczną cechą naszej ustawy autorskiej, zgodnie z jej projektami z lat 1920 i 1921 jest to, że - mówiąc tu językiem prawniczym - zerwa-

ła
nol
cyw
do

kry
nie
sam
wła
w j
itd
i c
jes
ma
lic

pos

każ
ma
i w

ra
nie

x/

ła ona w koncepcji prawa autorskiego zdawną metodą kryminologiczną, a przyjęła dla tej koncepcji metodę głównie cywilistyczną. To zdanie wyjaśniam tu krótko nawiązując do motywów projektów z r.1920.

Koncepcja ustaw autorskich była dotychczas przeważnie kryminologiczna t.zn., że ustawy autorskie określały głównie czyny bezprawne i to nieraz w sposób drobiazgowy, a samo prawo twórcy, - chociaż nazywano je szumnie "prawem własności" - opisywano przeważnie zewnętrznymi postaciami, w jakich jego przedmiot występuje: "książki, nuty, rzeźby itd." Ustawa polska przeciwnie określa tylko zasadniczo i ogólnie prawo twórcy, a wszystko, co z tym prawem nie jest zgodne, uważa za naruszenie bezprawne. Przez to nie ma w naszej ustawie luk, które występują w przepisach wyliczających i opisujących czyny bezprawne.

Zasadniczym w naszej ustawie jest więc art.12, który postanawia:

"Twórca rozporządza swym dziełem wyłącznie i pod każdym względem; w szczególności rozstrzyga, czy dzieło ma się ukazać, czy ma być odtworzone, rozpowszechnione i w jaki sposób.

Ochrona praw osobistych /tak nazywa ustawa droit moral/ służy każdemu twórcy, - bez względu na istnienie lub nieistnienie prawa autorskiego /art.62/".x/

---

x/ Zasada ustępu 2-go art.12. wyrażona została dlatego nieściśle, by była łatwiej zrozumiała. Ściśle rzecz biorąc ustęp 2-gi powinien był otrzymać redakcję mniej więcej następującą:

"Ochrona prawna dobra duchowego, ideowego, tkwiącego w utworze poza jego wartością majątkową, nie zależy od tego, czy autorskie prawo majątkowe istnieje czy nie istnieje. Służy ona każdemu twórcy przez cały czas jego życia a po jego śmierci - oprócz osób mu najbliż-

Tak zasadniczo i krótko określiwszy istotę praw twórcy, ustawa w sposób szczegółowy i wyczerpujący podaje potem w art.13-18 ograniczenia, jakim prawo twórcy podlega ze względu na dobro publiczne.

W ten sposób nasza ustawa pojęła prawo autora /lepiej twórcy/ jako prawo własności, a nie jako sumę uprawnień szczególnych. Istota bowiem prawa własności nie polega na różnych specjalnych uprawnieniach, ale na tym, że właścicielowi wolno w zasadzie wszystko z wyjątkiem tego, co ustawa wyraźnie zakazuje, czyli w czym go ustawa ogranicza.

Ustawa polska ująwszy w ten sposób prawa twórcy, wniknęła w pełni w myśl przewodnią wielkich francuskich geniuszów, którzy prawo autorskie podnieśli do godności "własności" "propriété", w miejsce koncepcji średniowiecznej "przywilejów" poszczególnym autorom /często nakładcom/

---

szych także organem państwowym, działającym w interesie publicznym".

Przy takiej redakcji uniknęłoby się sprzeczności zewnętrznej, która razi w tym, że owo droit moral, które służy twórcy, a po jego śmierci przechodzi na osoby mu najbliższe i na organa państwowe, mające czuwać nad integralnością wartości ideowych, tkwiących w utworach literatury i innych sztuk, nazwana jest w ustawie prawem osobistym twórcy, jakkolwiek prawa osobiste we właściwym ich znaczeniu /les droits dela personnalité/ gasną ze śmiercią osoby uprawnionej.

Stylizacja tu podana wyraża też lepiej stosunek "droit moral" do "droit pecuniaire" w prawie autorskim i uwydatnia lepiej niezależność pierwszego od drugiego.

Do powyższych uwag, dotyczących art.12, dodaję jeszcze, że podkład pojęciowy art.12 mieści się w syntetycznej definicji przedmiotów praw autorskich, określonej w ustępie pierwszym art.1 ustawy, w definicji, która jest właściwie dziełem nie moim ale Przesmyckiego.

On to bowiem zaproponował rozpocząć ustawę od takiej definicji, co prawda przez niego pierwotnie nieco odmiennie zredagowanej /p.co do tej definicji mój projekt z motywami z r.1920 na str.13./.-

przyznawanych z łaski panującego.[x/]

---

x/ Oto wielki <u>Diderot</u> w r.1767 napisał pamiętne słowa: "Quel est le bien qui puisse appartenir à un homme, si un ouvrage d'esprit, le fruit unique de son éducation, de ses études, de ses veilles, de son temps, de ses recherches, de ses observations... si ses propres pensées, les sentiments de son coeur, la portion de lui même la plus precieuse, celle qui ne périt point, celle qui l'immortalise, ne lui appartient pas?" Takimi to słowami pobudzony <u>Lakanal</u> napisał w swym sprawozdaniu dla Konwentu francuskiego o prawie autorskim z r.1793 słowa następujące: "De toutes les propriétés la moins susceptible de contestation, celle dont l'accroissement ne peut ni blesser l'égalité républicaine ni donner l'ombrage à la liberté, c'est sans contredit celle des productions du génie; et si quelque chose doit étonner, c'est qu'il ait fallu reconnaître cette propriété, assurer son libre exercice par une loi positive, c'est qu'une aussi grande révolution que la notre ait été necesaire pour nous ramener sur ce point, comme sur tant d'autres, aux simples éléments de la justice la plus commune". Sprawozdanie, w którym te zdania zamieszczone stało się podstawą dekretu z dn.24 lipca 1793, zasadniczej ustawy francuskiej o własności literackiej i artystycznej, uznającej prawa twórców.

W XIX wieku odzywają się echa wielkich myśli wyrażanych przez Francuzów w wieku XVIII w zdaniach takich jak "La légitimité du droit absolu de propriété littéraire est dans la conscience de tous", albo: "La propriété littéraire c'est la plus intime, la plus sacrée des propriétés, la plus inattaquable, la plus digne de la protection des lois".

Zdania wielu uczonych zwracających uwagę na brak ochrony prawnej tworów ducha i myśli powtarzano w Europie, ale konsekwencji stąd praktycznych w ustawach nie wyciągano. Dopiero znowu Francuzi podjęli nowe myśli w rozwoju prawa autorskiego i w wieku XIX. Napoleon III poruszył sprawę usunięcia granic państwowych w ochronie praw autorskich - tak jak one nie istnieją co do własności na rzeczach zmysłowych. Pod auspicjami Wiktora Hugo, Meissoniera powstał dzięki zabiegom stowarzyszeń literatów i innych artystów związek szeregu państw, które celem międzynarodowej ochrony dzieł literackich i innych artystycznych przed bezprawnymi naruszeniami zawarły i podpisały w Bernie Szwajcarskim dn.9 września 1886 r. sławną Konwencję, o której rewizji w Rzymie w r.1928 pisałem powyżej.x/

Powyższa myśl rozwojowa w prawie autorskim, dotycząca międzynarodowej rozciągłości praw podmiotowych twórcy ma swe źródło głównie w pismach francuskich prawników, a łączy się ściśle z wyżej przeze mnie podanym i cośkolwiek objaśnionym hasłem "le droit moral", jakoteż z pojęciem praw twórcy jako praw własnościowych w znaczeniu cywilistycznym. W rozwoju tych dwóch ujęć praw autorskich Polska zapisała się chlubnie w świecie międzynarodowym swą ustawą o prawie autorskim z 1926 r.

---

x/ Cele Kongresu zwołanego 1908 r. dla rewizji Konwencji Berneńskiej określił prof.Józef Kohler w słowach następujących: La premiere condition de communaute des peuples est la maxime que le droit de l'esprit soit reconnu non seulement par la nation, à laquelle appartient ~~ixhexima~~ ,l'homme createur,mais par tous Etats; quiconque a cree une ocuvre de la pensée, doit avoir son droit partout dans le monde car il n'est pas seulement membre de la nation il est membre de l humanite /Actes de la Conference réunie à Berlin 1908 str.159/.

A teraz jeszcze drobne dodatki z historii naszej ustawy.

Projekty moje z 1920 r. i 1921 Kom.Kodyf. stały się przedmiotem żywych obrad w Sekcji cywilistycznej Kom.Kod. Nawet wybrano specjalną podkomisję, która zajęła się intenzywnie projektem, przesłuchiwała różnych ekspertów, przeprowadzała bardzo zajmujące obrady pod przewodnictwem prof.Wróblewskiego. W skład tej Komisji wchodzili oprócz przewodniczącego, referenta i korreferenta, prof.Petrażycki i b.minister, Przesmycki. Protokół pisał sędzia Dbałowski. Niestety protokół nader interesujących obrad tej Podkomisji zaginął. Nie wydał go prof.Gołąb w swej książce, która pojawiła się p.t. "Ustawa o prawie autorskim z materiałami".

Jednak zmian istotnych Podkomisja w projekcie nie dokonała.

Projekt, przeszedłszy następnie /według pierwotnego regulaminu/ przez plenum Sekcji, przez Wydział i pełną Komisję Kodyfikacyjną przedłożony został Ministerstwu Sprawiedliwości, zdaje się, z początkiem roku 1923.

Lecz tu stała się rzecz niezwykła: Ministerstwo Sprawiedliwości zamiast - jak było jego zwyczajem - przedłożyć projekt Sejmowi z możliwym pośpiechem, zatrzymało go długo w swych biurach. Dopiero po roku i czterech miesiącach minister Żychliński wydobył z letargicznego stanu zapomnienia leżący w registraturze projekt i przedłożył go Sejmowi, przypominając królewicza z baśni, który obudził śpiącą przez czas długi królewnę.

Opowiadano mi, że powodem zwłoki był jeden z posłów

sejmowych, nauczyciel szkół powszechnych, który zainteresować się miał projektem i postanowił go w różnych kierunkach "poprawić", zanim projekt wejdzie do Sejmu. Podobno on to całkiem niepotrzebnie m.i. wstawił w art.1 niewłaściwy pleonazm "osobistej twórczości", tak jakby twórczość mogła nie być "osobistą". Czy to prawda - nie wiem...

Inny fakt niewątpliwy:

Przy ogłoszeniu drukiem ustawy z r.1926 w ~~Dz.ust.~~ dzienniku ustaw, popełniono dwie pomyłki drukarskie. Jedną z nich było to, że w art.14, należącym do grupy tych artykułów, które określają ograniczenia, jakim podlegają prawa twórcy ze względu na dobro publiczne, - znalazł się przepis, dozwalający każdemu - pod warunkami art.16 - "przytaczać" w dziełach naukowych i literackich albo w podręcznikach ..."odrębne" powinno było być: "drobne" utwory muzyczne w całości." W przekładzie francuskim zamiast "petit" /drobne/ zamieszczono przymiotnik "different" czy "separé", - co wywołało w prasie francuskiej i niemieckiej istną burzę przeciw polskiej ustawie, "że ta ustawa dozwala przedrukowywać utwory muzyczne w całości, jeżeli to się dzieje w takich a takich dziełach. Ta burza stała się powodem, że tę omyłkę drukarską uchyliło króciutkie rozp.Prezyd. Rp.z dn.11 kwietnia 1927 r. Dz.ust.Nr.36, poz.318.

O polskim prawie autorskim wydałem w r.1926 książkę p.t. "Polska ustawa o prawie autorskim i Konwencja berneńska". Oczywiście w niej nie są, bo być nie mogły - uwzględnione zmiany wprowadzone przez nowelę z r.1935.

D. "Własność przemysłowa".

Termin techniczny "własność przemysłowa" /propriété industrielle/ - jakby w przeciwstawieniu do "własności literackiej i artystycznej" /propriété littéraire et artistique/ utworzyli Francuzi w czasie Rewolucji francuskiej, a potem przyjęły go i inne narody. Własność literacką, artystyczną i przemysłową Francuzi wówczas nazwali łącznie propriété intellectuelle.

Termin "własność przemysłowa" obejmuje prawa wynalazców do wyłącznej eksploatacji, przez okres z reguły lat 15, dokonanych przez nich wynalazków większych lub mniejszych /tych drugich zwanych modelami lub wzorami użytkowymi/, wzorów zdobniczych, wchodzących w zakres sztuki stosowanej; nadto prawa przedsiębiorców do wyłącznego używania w obrocie przemysłowym i handlowym wszelkich oznaczeń indywidualizujących przedsiębiorstwa zewnętrznie, jako to nazw firm, znaków towarowych itp. a tym samym i prawa udzielające przedsiębiorcom możność sądowego zwalczania nieuczciwego współzawodnictwa w przemyśle i handlu. Wszystkie te prawa /własność przemysłowa/ rozciągające się początkowo tylko na obszary państw, w których przedsiębiorstwa mają siedzibę, uzyskują powoli także znaczenie międzynarodowe przez związek państw, jaki głównie z inicjatywy Francuzów powstał w Paryżu. Tam to normy dla międzypaństwowej ochrony własności przemysłowej zredagowano po raz pierwszy w t.zw. Konwencji paryskiej z dn. 20 maja 1883 r., gdzie ją delegaci państw związkowych podpisali. Związek rozciąga się na coraz więcej państw, a należy do niego także Polska.

Ja przez zbieg okoliczności zajmowałem się dość wiele nie tylko prawem autorskim, ale także własnością przemysłową, tą drugą nie tylko teoretycznie /jako docent prawa cywilnego wykładałem te przedmioty na Uniwersytecie Wiedeńskim/, ale i praktycznie, bo po pięcioletniej praktyce w Prokuratorii Skarbu /zwanej u nas "Prokuratorią Generalną"/ w Wiedniu, zostałem powołany do austr. Ministerstwa Przemysłu i Handlu i przydzielony do departamentu własności przemysłowej. Ogłosiłem też drukiem kilka prac naukowych z tej dziedziny. Wiedziano więc i w Polsce, że własność przemysłowa jest mi stosunkowo dobrze znana.

To widocznie było powodem, że w pierwszych miesiącach r.1923 otrzymałem zaproszenie od p.Stefana Ossowskiego, ministra Przemysłu i Handlu, abym zechciał zbadać i powiedzieć mu, co jest powodem, że Polski Urząd Patentowy, pomimo, że ma w swym składzie kilku zdolnych urzędników, z zadaniami Urzędu dokładnie z dawniejszych czasów obeznanych, - jest właściwie dotychczas prawie nieczynny. Patentów nowych, mimo licznych zgłoszeń, nie udziela, wzorów nie rejestruje, a liczba rejestrowanych znaków towarowych jest minimalna w stosunku do liczby wniosków do Urzędu wpływających. Z polecenia pana Ministra udałem się do Urzędu, rzecz zbadałem i na drugi dzień przybyłem z odpowiedzią, iż winy nie ponoszą urzędnicy, lecz powodem złego funckjonowania Urzędu jest to, że trzy dekrety Naczelnika Państwa, wydane dn.4 lutego 1919 r. Dz.ust. Nr.13 o ochronie patentów na wynalazki, zarejestrowanych wzorów i modeli, tudzież znaków towarowych, chociaż uchyliły - co dobrze się stało - niezgodne co do treści prze-

pisy obowiązujące dotychczas na ziemiach polskich, ale wprowadziły w ich miejsce ustawy dla naszych stosunków zupełnie nieodpowiednie, nieliczące się z siłami, jakimi rozporządzamy i rozporządzać możemy. Użyłem tu porównania następującego: Jeżeli młodzieniaszek jeszcze niedojrzały włoży na siebie ciężką zbroję żelazną ukutą na dojrzałego rycerza, siłacza, to młodzieniaszek ten w niej nie tylko nie będzie mógł walczyć, ale nawet chodzić nie będzie w stanie. Trzeba więc - mówiłem dalej - dekrety zastąpić ustawą, odpowiadającą naszym siłom, warunkom i stosunkom, a wtedy wszystko pójdzie dobrze. Dekrety z lutego r.1919 - uzasadniałem swoje zdanie w dalszym ciągu - są nieco przerobionymi kopiami ustaw niemieckich, które przyjęły system badania amerykański, rozwinięty jeszcze dokładniej w ustawach niemieckich i połączony z kosztownym postępowaniem wywoławczym. Wszystko to wymaga olbrzymich bibliotek technicznych, wielkiego zastępu urzędników, głównie technicznych i to fachowców ze wszystkich gałęzi przemysłu, nadto prawników, a o ile chodzi o postępowanie wywoławcze, także wielkiego zainteresowania sprawami własności przemysłowej, jakie istnieje w sferach przemysłowych i handlowych w krajach zachodnich europejskich i w Stanach Zjednoczonych Am.Półn., a brak go dotychczas na ziemiach polskich. W tym stanie rzeczy - powiedziałem - jedyną drogą wyjścia z całkiem zabagnionego stanu rzeczy byłoby przyjęcie dla Polski, przynajmniej na razie - wzoru innego, mianowicie francuskiego systemu, według którego udzielanie patentów i rejestrację wzorów i znaków opiera się na prostych zgłoszeniach, badanych przez urząd jedynie pod względem formalnym, a udzielanie praw "sans

ga
że
wa
ni
wła
tak
dla
Fra
ob
Ge
co

Mi
dz
ża
ab
ła
oc
z
w
pa
no
ne
mu
op
la
bi
je
re
pr

garantie du gouvernement" t.zn.bez gwarancji państwowej, że prawa udzielone są w ustawie uzasadnione, a więc, że ważnie istnieją. Kto, zgłaszając wynalazek, czy znak uczyni to bezprawnie, będzie potem w razie sporu za swe przywłaszczenie i jego następstwa prawnie odpowiadał. System taki obowiązuje od 100 lat we Francji z dobrymi skutkami, dlaczegoż my mamy w tym wypadku naśladować Niemców, a nie Francuzów? /Przypomniałem sobie słowa, które raz w mej obecności wypowiedział znany chlubnie prawnik francuski Georges Maillard: "Mais les Plonais - ils ne savent pas comme ils sont Boches!"/

~~Po krótkiej pauzie~~ powiedziałem dalej: "Ale - panie Ministrze - ja nie jestem bynajmniej zwolennikiem wprowadzania tylko dobrych wzorów zagranicznych do Polski. Uważam, że ustawy trzeba wprowadzać u nas w takiej treści, aby były dla nas pożyteczne a nie szkodliwe. Polska musiała podpisać i podpisała Konwencję paryską z r.1883 dla ochrony własności przemysłowej i dlatego - a zresztą i z innych powodów - ciąży na nas obowiązek wprowadzenia w Polsce ochrony własności przemysłowej, ale powinniśmy pamiętać o tym, że ochrona takich wyłączności będzie przynosiła korzyści w pierwszej linii przemysłowi zagranicznemu, zwłaszcza amerykańskiemu, angielskiemu, niemieckiemu, francuskiemu i włoskiemu, bo przemysł tych krajów opiera się na wprowadzaniu ciągle coraz to nowszych wynalazków i ulepszeń i koncentruje się w wielkich przedsiębiorstwach i koncernach, gdy tymczasem nasz przemysł jest jeszcze słabo rozwinięty i nie może wytrzymać konkurencji z przemysłem zagranicznym. Tworzenie więc masowe przez własność przemysłową monopolów dla zagranicznego

przemysłu i handlu może gnębić a nawet zdusić wszelkie najlepsze usiłowania rozwoju naszego przemysłu, a tym samym odbić się bardzo niekorzystnie na naszym stanie ekonomicznym i bilansie handlowym. Przeciw temu niebezpieczeństwu istnieje tylko jeden środek ~~- powiedziałem -~~ a jest nim wprowadzenie w ustawie czy w ustawach polskich możliwie / o ile to jeszcze jest dopuszczalne według Konwencji Paryskiej/ jak najostrzejszego obowiązku wykonywania w Polsce zagranicznych wynalazków i innych praw wyłączności, a to w rozmiarze odpowiadającym naszemu zapotrzebowaniu wewnętrznemu i pod grozą umorzenia praw niewykonywanych w Polsce. Następstwo takiego przymusu objawia się w tym, że zagraniczni przedsiębiorcy, celem utrzymania monopolistycznych swych praw, będą albo zakładali fabryki w Polsce i przez to dadzą zajęcie licznym rzeszom pracowników umysłowych i fizycznych polskich, albo będą wykonywali swe prawa w fabrykach w Polsce już istniejących, udzielając w tym celu ich właścicielom t.zw.licencyj. Jeden i drugi środek będzie znakomicie użyźniać rozwój naszego przemysłu wewnętrznego." Tu powołałem się na bardzo znamienny przykład: "Przemysł większy w Prusach był ~~przeważnie~~ nieomal, ~~że~~ w powijakach w pierwszych dziesiątkach wieku XIX-go. Bilans międzynarodowy pruskiej industrii był wówczas mniej więcej podobnie bierny jak jest on nim dzisiaj w Polsce. Cóż zrobili Prusacy? Oto z największą łatwością udzielali patentów /zwanych wówczas przywilejami/ Anglikom, Amerykanom, Francuzom i innym cudzoziemcom na eksploatację ich wynalazków w Prusach, ale te prawa z pruską bezwzględnością kasowali, jeżeli ich cudzoziemcy nie wykonywali na pruskim terytorium w tej

rozciągłości, jaka odpowiada zapotrzebowaniu wewnętrznemu społeczeństwa pruskiego. Taką to metodą przemysł niemiecki nie tylko stał się zdolnym do konkurencji z przemysłem zachodnim, ale nawet rozwinął się w mierze zupełnie nieoczekiwanej. Polska wprawdzie - dodałem - nie jest w tym szczęśliwym położeniu, w jakim były Prusy w pierwszej połowie XIX-go wieku, gdyż jest obecnie skrępowana Konwencją Paryską z r.1883, zrewidowaną w Berlinie i w Waszyngtonie, ale i w tych granicach można jeszcze dość wiele uczynić, by ochronić Polskę przed masowym importem towarów zagranicznych /zwłaszcza niemieckich/ ze szkodą naszego przemysłu i handlu".

Zakończyłem swoje ~~xxx~~ wywody tym, że Polska, jeżeli w zakresie własności przemysłowej chce stanąć w pełni na poziomie państw cywilizowanych, powinna postarać się także o rychłe wydanie ogólnej ustawy o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji. /Ustawa taka obowiązywała wówczas tylko w byłej dzielnicy pruskiej/.

P.Minister Ossowski po wysłuchaniu mego sprawozdania poprosił mnie, bym podjął się opracowania projektu ustawy czy kilku ustaw, mających za cel ochronę własności przemysłowej. Na moje przedstawienie, że opracowanie takich projektów wchodzi w zakres zadań Komisji Kodyfikacyjnej, p.Ossowski wyraził obawę, by na tej drodze sprawa tak nader pilna nie została opóźniona, lecz potem za moją namową zwrócił się do Prezydium Komisji Kodyfikacyjnej, aby sprawa była wbrew regulaminowi odrębnie traktowana. Skutek był pomyślny. Otrzymałem polecenie opracowania projektu ustawy o ochronie wynalazków, wzorów i znaków towarów z zawiadomieniem, że korreferentem moim ma być profesor

Wróblewski, jako członek Sekcji handlowej Kom.Kod., że jednak projekt nie będzie przedmiotem obrad i uchwał Sekcji prawa handlowego, Wydziału i Plenum Kom.Kod., lecz zostanie przedłożony jako projekt Ministra przemysłu i handlu za zgodą Komisji Kod. wprost Sejmowi. Na tej to drodze przyszła do skutku ustawa o ochronie wynalazków, wzorów i znaków towarowych, ogłoszona w Dz.ust.Nr.31 poz.306 pod datą 5 lutego 1925. Narodziny tej ustawy nie były połączone z większymi trudnościami. Korreferent Wróblewski ograniczył się do kilku nieistotnych uwag, mówiąc, że przedmiot ten jest mu zbyt obcy, by mógł w rzecz głębiej wchodzić. Referentem w Sejmie był poseł prof.Politechniki Warszawskiej Trepka.w zupełności się z moim projektem godzący. Tylko w Sejmowej Komisji Przemysłowej, której przewodniczył poseł Wierzbicki, również dla projektu jak najżyczliwiej usposobiony, spotkałem się z kilku bardzo - zwłaszcza co do formy - ostrymi zarzutami /jak np. że znać po mnie b.austriackiego poddanego, skoro do projektu wprowadziłem jakieś przepisy policyjne o przymusie wykonywania opatentowanych wynalazków, tak jakbyśmy nie żyli w Wolnej Polsce, ale w policyjnie rządzonej Austrii itp./, które jednak tylko dlatego boleśnie odczuwałem, bo świadczyły o nader niskim poziomie intelektualnym niektórych członków naszego suwerennego Sejmu. Nadzwyczaj był mi pomocny przy odpieraniu takich i innych zarzutów podnoszonych bezpodstawnie w Komisji Sejmowej przeciw projektowi, poseł Chełmoński, adwokat i bardzo wybitny prawnik, który potem został profesorem Uniwersytetu Wileńskiego.

Po wydaniu ustawy z r.1924 Urząd Patentowy rozpoczął w całej pełni swą działalność, udzielał patentów,

rejestrował wzory i znaki towarowe i spełniał wszelkie inne czynności przez ustawę nań nałożone.

Opracowanie ustawy z r.1924 miało w następstwie dla mnie inne zajmujące zajęcie. Oto Biuro międzynarodowe Związku dla własności przemysłowej w Bernie szwajcarskim zwołało do Hagi na 8 października 1925 r. kongres przedstawicieli wszystkich państw, które podpisały Konwencję Paryską.-- Rząd polski zamianował dra Stanisława Koźmińskiego, posła Polski w Hadzé i mnie swymi przedstawicielami. Jednak p.Koźmiński oświadczył mi z góry, że sprawy własności przemysłowej są mu obce i że zresztą musi w "Cour permanente de Justice Internationale w Hadze" pilnować innej bardzo ważnej sprawy, a więc przybędzie tylko dla formy na pierwsze i ostatnie posiedzenie Kongresu, a poza tym usunie się całkiem od udziału w pracach kongresowych. Na mnie więc spadł cały ciężar zastępstwa Polski na Kongresie, - a był to ciężar wielki, bo chodziło o kilka zasadniczych spraw, żywo obchodzących nasz handel i przemysł. Najtrudniejszą, a dla Polski najważniejszą była sprawa, aby Kongres nie przyjął wniosku Biura międzynarodowego, zmierzającego do zupełnego uchylenia w państwach związkowych przymusu wykonywania wynalazków opatentowanych albo zarejestrowanych jako wzory lub modele. Wniosek ten opracowany przez Biuro, i bardzo zręcznie umotywowany, powstał pod dyktatem państw wysoce uprzemysłowionych, jak Anglia, Stany Zjedn.Am.Półn., Francja, i Włochy, Szwajcária, Holandia, Belgia itd., które w egoistycznych celach pragnęły uwolnić swych producentów od przymusu wykonywania wynalazków w innych krajach, a tym samym umożliwić zaspokajanie gospodarczych potrzeb

w tych innych krajach przez import do nich wytworów z krajów ojczystych, a nie przez produkcję w tychże krajach dokonywaną. Przeciw temu wnioskowi trzeba było utworzyć silną opozycję. Niebezpieczeństwo było poważne, skoro na Kongresie rej wodziły państwa wysoko uprzemysłowione, a Francuzi uważali nadto - co mi dali dość wyraźnie poznać- że Polska powinna pod każdym względem iść jako sprzymierzeniec z Francją. Z początku zdawało mi się, że sprawa przedstawia się dla Polski niedobrze, bo wśród przedstawicieli państw słabo uprzemysłowionych nie znalazłem w poufnych konwentyklach dość zrozumienia dla zagadnienia, o które chodzi lub spotkałem się z biernością, spowodowaną przez autorytet wielkich państw i związkowego Biura międzynarodowego. Opracowałem więc w tej sprawie obszerny referat na piśmie, przygotowałem należycie umotywowane wywody ustne, które wygłosiłem potem na posiedzeniu właściwej Komisji,x/ a odniosłem sukces, bo pierwsza Jugosławia, za nią zaraz Kanada, a potem i różne inne państwa, między nimi potężna Japonia, oświadczyły się przeciw wnioskowi Biura. Satysfakcję miałem zwłaszcza, gdy po przemówieniu delegata Francji, który zwalczał stanowisko zajęte przez "delegata Polski", zabrał głos Anglik Sir Hubert Smith, staruszek, mający lat przeszło 70, /ale grający mimo to codziennie rano w tennisa przez go-

---

x/ Moje przemówienie zostało podane w obszerniejszym streszczeniu /na str.433/ w opracowanym przez Biuro związkowe dziele p.t. "Union Internationale pour la protection de la propriété industrielle. Actes de la Conférence réunie à la Haye", Berne, 1926. W dalszym ciągu powołuję się na to dzieło krótko w słowach:"Akty Konferencji".

dzinę/, występując "w imię sprawiedliwości" w obronie przytoczonych przeze mnie argumentów i postawił wniosek, aby w tej sprawie szukać drogi kompromisowej z pomocą zwołanej ad hoc podkomisji. Drogę kompromisu ostatecznie znaleziono. Przymus wykonywania został utrzymany, ale złagodzono treść sancji przez wprowadzenie instytucji licencji przymusowych, których żądać mogą od właścicieli patentów przemysłowcy krajowi. Zgodnie z tą modyfikacją w Konwencji w art.5 dokonaną zmieniliśmy potem w Polsce m.i. art.13 ustawy z r.1924. Stało się to w rozporządzeniu Prezydenta Rp.z dn.22 marca 1920 Dz.ust.Nr.39, poz.384, które ze względu na nową Konwencję zmieniło ustawę z r.1924 w kilku innych jeszcze punktach, a przy tej sposobności zmodyfikowało także nieco jej układ. Zmiany te opracowałem wspólnie z Urzędem patentowym i oczywiście w porozumieniu z Prezydium Komisji Kodyf.

Drugą sprawą kongresową, dla Polski doniosłą, był wniosek Biura, aby sprzeczności, jakie powstają niejednokrotnie między poszczególnymi krajami związkowymi przy wykładni artykułów konwencji, były uchylone w sposób bezwzględnie obowiązujący przez "Cour permanente de iustice internationale" w Hadze.

Wniosek ten poparty przez Anglię i Francję, spotkał się z opozycją Stanów Zjednoczonych. I ja w tej sprawie głos zabrałem, przyłączając się do zdania St.Zjedn. a to - chociaż tego wyraźnie nie powiedziałem - ze względu na autorytet suwerenny naszych sądów i innych władz orzekających w sprawach własności przemysłowej.

To moje przemówienie jest streszczone w Aktach Konferencji /na str.421 i 422/.

Trzecią sprawą bardzo żywo mnie interesującą była

sprawa rewizji art.10 Konwencji, dotycząca obowiązku zwalczania nieuczciwej konkurencji w państwach związkowych. Sprawa ta, która wywołała liczne wnioski i życzenia /voeux/, skierowane w pierwszej linii do Biura, skłoniła mnie do zabrania głosu i przedstawienia w formie exposé, w jaki sposób, zdaniem moim, należy zwalczać skutecznie nieuczciwe współzawodnictwo /także w stosunkach międzypaństwowych/; że należy mianowicie w koncepcji prawnej zerwać zasadniczo z metodą kryminologiczną, a przyjąć także do Konwencji jako podstawę metodę cywilistyczną. To moje exposé, którego Komisja dla spraw zwalczania nieuczciwej konkurencji wysłuchała z wielką uwagą, zamieszczone zostało w całości, wbrew panującemu zwyczajowi, w Aktach Konferencji na str.473 i 474. Co było przewodnią myślą mego exposé, to przedstawię w krótkości w dalszym ciągu /pod L.E./

Powyższe trzy sprawy były najważniejszymi, jakimi zajmowałem się na Kongresie. Drobniejsze pomijam.x/

---

x/ Językiem urzędowym tak Związku państw /obrad i uchwał/ jak i międzynarodowego Biura Związkowego jest język francuski. Jednak wolno przemawiać delegatom państw związkowych po angielsku, jeżeli mowcy zapewniają sobie natychmiastowe powtórzenie swych przemówień angielskich w języku francuskim. Czasem łączy się to z zabawnymi incydentami. Sam byłem świadkiem, jak przewodniczący jednej z Komisji p.Capitaine, Belgijczyk, ~~umiejący świetnie po francusku, ale~~ nie znający wcale języka angielskiego, po kilkuminutowym przemówieniu Anglika, który wyjątkowo przemówił po francusku, ale tak, jak mżą mówią Anglicy, nie umiejący dobrze po francusku, zawezwał Anglika zwykłą formułką "Traduction s'il vous plait" - o przekład na język francuski, sądząc, że Anglik mówił po angielsku. Śmiech naturalnie był ogólny.
Wprawdzie na Kongresie nie przestrzega się wobec

do dopisku

międzynarodowego charakteru Związku poprawności języka francuskiego i pobłażliwość idzie tu nawet bardzo daleko, jednak wobec tak ważnych dla Polski spraw, w jakich głos miałem zabrać i referaty pisemne przedkładać, zależało mi na tym, aby wszystkie moje wywody jak najlepiej i jak najjaśniej w języku urzędowym przedstawić. Na pomoc językową p.Koźmińskiego liczyć nie mogłem, bo był on innymi sprawami zanadto zajęty. Jednak przypadek zesłał mi pomoc nadspodziewaną. Oto do hotelu Vieux Doulen, w którym zamieszkałem, przyjechał na drugi dzień z Paryża profesor Ecole du droit Basdevant, specjalista w sprawie państwowym i w prawie narodów, członek Trybunału międzynarodowego, mającego swą siedzibę w Hadze, mianowicie owej "Cour ~~Paxmanta~~ Permanente de Justice Internationale", o której już wyżej wspomniałem. Prof.Basdevant'a znałem z Krakowa, dokąd przyjechał na zaproszenie prof.Rostworowskiego, aby wygłosić szereg wykładów w Szkole Nauk Politycznych, założonej przy Wydziale prawa na Uniw Jagiell. przez prof. Rostworowskiego.)

(Zaraz nazajutrz złożyłem wizytę p.Basdevant i przedstawiłem mu prośbę swą o przelotne rewizje językowe elaboratów francuskich, które będę dla Kongresu opracowywał. P.Basdevant z nadzwyczajną uprzejmością oświadczył gotowość spełnienia prośby. Lecz kiedyśmy rozpoczęli nasze konferencje, jakżeż zdziwiłem się, gdy p.Basdevant wchodzić zaczął przygodnie w samą treść poruszonych przeze mnie zagadnień, przy czym okazywał głęboką znajomość systemu prawa cywilnego. Wdzięczny mu za jego pomoc, ale i zdziwiony, że mój łaskawy pomocnik tak zna prawo cywilne i jego teorię, zapytałem się, czy studiował specjalnie także prawo cywilne? Otrzymałem na to odpowiedź: "Praco-

 311

do dopisku

wałem dużo w prawie cywilnym i nadal się nim interesuję podobnie jak moi francuscy koledzy - bo uważamy wszyscy, że najlepszą szkołą myślenia prawniczego daje nauka prawa cywilnego, na rzymskim prawie opartego. Dlatego też i uczniowie francuscy przez cały ciąg studiów na uniw. wyższych francuskich muszą uczyć się według odpowiedniego programu, prawa cywilnego. Mimowoli przyszło mi na myśl porównanie z Polską. Jak to u nas niestety nauka teorii prawa cywilnego oparta na prawie rzymskim, znikła zupełnie ze studiów na pierwszych 3 latach, bo trudno za taką uważać zarysowe przedstawienie instytucji prawa rzymskiego na pierwszym roku i to głównie z punktu widzenia historycznego, bez wnikania w ich dogmatyczną stronę, a naukę teorii i dogmatyki prawa cywilnego wraz z prawem handlowym, wekslowym i czekowym skoncentrowano dopiero na roku IV-tym, w którym biedni nasi studenci opanować nie są w stanie tak rozległych przedmiotów, a przede wszystkim nie mogą przy tak pobieżnych studiach wyrabiać i kształcić w sobie stopniowo metody prawniczego myślenia. Ministerstwo W.R.i O.P. przy układaniu programu studiów prawniczych nie pytało się widocznie zawodowych prawników i nauczycieli prawa, albo nie zasięgało dostatecznie ich opinii.-

Doświadczenia lat blisko 14-tu, jakie pochodziły ze stosowania w praktyce ustawy z r.1924 i nowelizującego ją rozporządzenia Prezydenta Rp. z r.1928, liczne zmiany wprowadzone w Polsce przez nasze ustawy w prawie i postępowaniu administracyjnym, a w drobnej mierze także zmiany w Konwencji Paryskiej, dokonane w Londynie, wykazały konieczność ponownej rewizji ustawy z r.1924 o ochronie wynalazków, wzorów i znaków towarowych.-

Prezydent Komisji Kodyfikacyjnej - wspólnie z Ministrem Przemysłu i Handlu /w porozumieniu ze mną/ powołali do pracy rewizyjnej w pierwszej połowie r.1928 "Podkomisję Prawa Patentowego", do której powołano oprócz kilku członków Komisji Kodyf., delegata Ministra Sprawiedliwości, delegata Ministw ~~Handlu i~~ Przemysłu i Handlu, prezesa Urzędu Patentowego p.St.Czaykowskiego, a nadto jako ekspertów pp.inż. Kühna i prof.Politechniki, inż.Suchowiaka. Przewodnictwo w Podkomisji objął prezydent Komisji Kodyfikacyjnej p.Pohorecki, który powołał mnie na głównego referenta, a na korreferentów pp.prof.Wasilkowskiego i sędziego Miszewskiego.

Praca i obrady rozpoczęły się dn.14 maja 1938 r. W przeciągu roku dokonano znacznej części rewizji. Wybuch wojny przerwał prace, które były prawie na ukończeniu.

E. ~~W szczególności polska~~ Ustawa o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji.

W zakres tych przedmiotów, które Francuzi objęli wspólną nazwą "własności przemysłowej", zaliczyli oni - oprócz praw, o których wyżej pisałem, t.j. praw wyłącznego wykonywania i wykorzystywania wynalazków, czy to opatentowanych, czy zarejestrowanych jako wzory lub modele, oprócz wyłącznego prawa używania nazwy przedsiębiorstwa, firmy, znaków towarowych - także prawa zwalczania nieuczciwego współzawodnictwa /la repression de la concurrence déloyale/. Przy tym ostatnim zaliczeniu nie zdawano sobie dokładniej sprawy, dlaczego się to właściwie dzieje. Francuzów wiódł tu widocznie zdrowy ich instynkt prawniczy, który odziedziczyli - podobnie zresztą jak Anglicy

i Włosi - po wielkich starożytnych Rzymianach.

Dopiero poż dłuższych studiach zagadnień, łączących się z t.zw. "własnością przemysłową" odkryłem - jak przypuszczam - przyczynę teoretyczno-prawniczą, dla której zwalczanie nieuczciwej konkurencji ma prawo obywatelstwa w instytucji "własności przemysłowej", a mianowicie w grupie praw na t.zw.dobrach niematerialnych. Utwierdziłem się z czasem w przekonaniu, że w tym ujęciu rzeczy tkwi głęboka myśl teoretyczna, która jednak nie została ~~tylko~~ należycie wyrażona we francuskiej literaturze prawniczej.

Króciutki rzut oka na moje odnośne studia i ich rezultat zapisuję w Wspomnieniach, mimo, że jeszcze raz, ale tylko wyjątkowo, odstępuję od zamiaru, aby Szanownych Czytelników nie zajmować zagadnieniami teoretyczno-prawnymi. Niech przysłowie: "Natura ciągnie wilka do lasu" usprawiedliwi ten wyjątek oraz ta okoliczność, że mnie owe badania naukowe bardzo interesowały. A zresztą Szanowni Czytelnicy, już z góry przeze mnie ostrzeżeni, mogą dział niniejszy, dotyczący nieuczciwego współzawodnictwa pominąć.

Studiami nad zwalczaniem nieuczciwej konkurencji zająłem się intenzywnie już jako urzędnik w austriackim Ministerstwie Handlu i Przemysłu, t.j. w r.1891. W departamencie "własności przemysłowej", do którego zostałem przydzielony, postawiono na porządku dziennym ułożenie odpowiedniego ustawowego projektu. Mnie wciągnięto także w tę pracę. Po zorientowaniu się w sprawie, zająłem wkrótce stanowisko odrębne od moich kolegów departamentowych.

Jednak nie tylko w Austrii ale i w Niemczech zajmowano się wówczas żywo problemami zwalczania nieuczciwej konkurencji. Wiadomą było rzeczą z literatury i judyka-

tury francuskiej, że we Francji sądy cywilne zwalczają bardzo skutecznie nieuczciwą konkurencję, opierając się głównie na artykule 1382 Kodeksu Napoleona, który brzmi: Tout fait quelconque de l'homme, qui cause à autrui un dommage, oblige celui par la faute duquel il est arrivé, à le réparer. /Wszelki jakikolwiek czyn człowieka, zrządzający drugiemu szkodę, obowiązuje tego, z czyjej winy szkoda nastąpiła, do jej naprawienia/. Czyż jednak nauka niemiecka może tego rodzaju podstawę jak art.1382 Kodeksu Napoleona, któremu podobnych nie brak w niemieckich ustawach /w kodeksie cywilnym austriackim, w pruskim Landrecht itd./, przyjmować jako wystarczającą zasadę do oparcia na niej zwalczania nieuczciwej konkurencji w ogólności? Takie pytanie postawili sobie Niemcy i odpowiedzieli na nie negatywnie, a to z powodów następujących:

~~Niemcy stoją na stanowisku, że~~ Za występek / czyn niedozwolony/ w rozumieniu prawa cywilnego można uważać tylko czyn taki, który jest wadliwy nie tylko podmiotowo t.zn.etycznie, ale i przedmiotowo, t.zn. że musi sprzeciwiać się jakimś normom ustawowym. Prawo nie może przecież uważać każdego czynu nieetycznego za czyn bezprawny, obowiązujący do zadośćuczynienia. Czynem nieuczciwej konkurencji jest więc nieuczciwe nadużywanie obcej firmy lub obcego znaku towarowego dla celów konkurencyjnych - dlatego, bo wyłączność firm i znaków towarowych jest przewidziana w przepisach ustawowych, ale nie można uważać za występek czynu, którym współzawodnik nie przekracza żadnego zakazu ustawowego.x/

---

x/ Dla ilustracji takich czynów przez ustawy nieprzewidzianych niech posłuży następujący przypadek: Na rogu jednej z najbardziej ożywionych ulic Wiednia /Maria-

Na takie zarzuty odpowiadali Francuzi, że stojąc nawet na stanowisku niemieckim, można dopatrzeć się w czynach, zwanych powszechnie nieuczciwą konkurencją w przemyśle i handlu, czynów bezprawnych wchodzących w kolizję z przepisami prawa, a nie tylko etyki, skoro są one naruszeniami prawa własności. Za własność kupca i przemysłowca uważać bowiem trzeba klientelę, którą on sobie własną pracą i zabiegami zdobył. Klientela uzasadnia wartość równie godną ochrony prawnej, jak własność na rzeczach zmysłowych /constitue une valeur aussi digne de protection que la propriété materielle/. Francuzi powoływali się na wysoki autorytet starego Domolombe'a, który w swym sławnym:

---

hilferstrasse/, w miejscu krzyżowania się tej ulicy z przecznicą dość odległą od śródmieścia istniał od dawna renomowany bardzo sklep z rękawiczkami Henryka Bära. W Wiedniu mówiono ogólnie: "Kto chce mieć dobre rękawiczki, niech idzie tylko do Bära". Na miejscu, na którym ta sama ulica /Mariahilferstrasse/ krzyżuje się z inną przecznicą, więcej zbliżoną do śródmieścia, założył jakiś rękawicznik sklep, a na szyldzie zamieścić kazał napis małymi literkami, podający jego imię i nazwisko, a wielkimi głoskami: "Zum Bären", przed sklepem umieszczono dużego wypchanego niedźwiedzia. Wynik, jak okazało się był taki, że wypchany niedźwiedź zabrał znaczną, a może nawet przeważną część klienteli H.Bärowi, a nadto popsuł jego dobrą opinię jako rękawicznika, bo ci, co kupowali rękawiczki w sklepie "zum Bären", przekonywali się, że rękawiczki są liche i szerzyli potem wieści, że ~~są~~ rękawiczki Bära widocznie bardzo się popsuły, skoro są obecnie towarem lichym.

Cours de code Napoleon, IX Nr.440, uważa klientelę /clientele i achalandage/ wprost za przedmiot własności, tak samo jak dobra ruchome /biens, meubles/.

Na to odpowiadały głosy niemieckie: "To już coś, z czym świat prawniczy - poza Francją - nigdy się nie pogodzi, aby za przedmioty własności można uważać stosunki przedsiębiorcy do klienteli. Przecież każdy klient może kupować, gdzie chce i zerwać dowolnie stosunki łączące go z przedsiębiorcą tylko na podstawie przyzwyczajenia."

Taką to argumentacją - mniej więcej - powodowani Niemcy postanowili opracować specjalną ustawę o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji, przewidującą na podstawie zebranych doświadczeń, wszystkie znane dotychczas objawy nieuczciwego współzawodnictwa, które powinny być zagrożone represją prawną tak cywilną, jak karną. Prawnik Stegemann zestawił w grupy, - po przeprowadzeniu gruntownych poszukiwań - znane mu objawy nieuczciwej konkurencji i ogłosił je w książce pod tyt.: Unlauteres Geschäftsgebahren /I Typische Fälle, II Berichte, Anträge/. Na podstawie tej książki Niemcy w Reichu opracowali ustawę, która pojawiła się dn. 27 maja 1896 i określiła w kilkunastu paragrafach znamiona czynów, stanowiących nieuczciwą konkurencję i uzasadniających sankcje tak karne jak i prawnocywilne /głównie odszkodowanie/.-

Jednakże nieuczciwa konkurencja to objaw stary jak świat i występujący w nader różnych postaciach. Wszak już w Starym Testamencie czytamy, jak to Jakub, syn Izaaka, ulubieniec matki Rebeki wykpił od brata Ezawa prawo pierworództwa za zgotowane na prędce przez matkę ziarnka soczewicy, a błogosławieństwo przeznaczone dla Ezawa, jako syna pierworodnego, wyłudził podstępnie od ślepego ojca

przez to, że ubrał się w skórę kozła, aby mieć ręce obrośnięte jak Ezaw i ojca w ten sposób w błąd wprowadził.

Nieuczciwa konkurencja, zwłaszcza w zakresie przemysłu i handlu wykazała i wykazuje tyle pomysłowości, że ujęcie jej wyczerpujące w szczegółowe przepisy ustawowe tak samo wydaje się być rzeczą niemożliwą, jak według mitologii greckiej bezcelową rzeczą było ściganie boga Proteusza dlatego, że zmieniać umiał ciągle postacie, w jakich występował. Pokazało się coś podobnego i z ustawą niemiecką z r.1896 jako środkiem niewystarczającym do represji nieuczciwej konkurencji. Ustanowiła ona sankcje karne i cywilno-prawne przeciw występkom, w niej szczegółowo jako objawy nieuczciwej konkurencji określonym, lecz wkrótce, po jej wydaniu pomysłowość wprowadziła nowe środki nieuczciwe, pod przepisy ustawowe nie podpadające. Wydano zatem w Niemczech znowelizowaną ustawę pod datą 7-go czerwca 1909 r., która wprawdzie zachowała na ogół przepisy ustawy z r.1896, ale rozpoczyna się od t.zw.klauzuli generalnej. Przepis paragrafu 1. postanawia mianowicie najogólniej, że roszczenia sądowe o zaniechanie i o odszkodowanie są uzasadnione przeciw osobie, która w obrocie w celach konkurencyjnych działa w sposób sprzeczny z dobrymi obyczajami. Taki krótki i ogólny przepis bez wątpienia ma wiele za sobą; jest jednakże pewną kapitulacją ustawodawcy wobec władzy sędziowskiej, bo nie on - ustawodawca - lecz sąd ma rozstrzygać o tym, jakie czyny uważać należy prawnie za występki, t.j. za nieuczciwe współzawodnictwo. A nie zapominajmy i o tym, że klauzula generalna ustawy z r.1909 daje podstawę do represji nieuczciwej konkurencji, nie różniącą się w istocie rzeczy od stanu, jaki istnieje we Francji od lat kilkudziesięciu w praktyce

sądowej, opartej na art.1382 Kodeksu Napoleona, co Niemcy zwalczali ze swego stanowiska teoretycznego.

Otóż obserwując to, co powyżej podałem, a przy tym także wiele innych rzeczy, o których pisałem np. już w swej rozprawie p.t. "Nieuczciwa konkurencja i jej pokrewne objawy ze stanowiska prawa prywatnego", ogłoszonej naprzód w "Przeglądzie" Tilla w r.1897, postawiłem sobie zasadnicze pytanie, czy w dziedzinie zwalczania nieuczciwego współzawodnictwa w przemyśle i handlu, nie możnaby odkryć i przyjąć podstaw dla koncepcji jurydycznej, któraby dawała możność zwalczania nieuczciwej konkurencji metodą cywilistyczną, t.zn. zamiast w ustawie określać występek, lub występki, które mają być podstawą represji, - czy nie możnaby uznać w ustawie jakiegoś prawa podmiotowego, zwłaszcza własności - /idąc tu poniekąd za wskazówką Francuzów/, któreby dawało - jak każda własność - zasadniczą i pełną podstawę do ścigania sądowego na drodze prawno-cywilnej wszelkich czynów, wkraczających w jakikolwiek sposób w tę własność, choćby przedmiotem jej nie było dobro zmysłowe jak nieruchomość lub ruchomość, ale jakiś substrat niematerialny, nadający się jednak na przedmiot własności, jakim jest n.p. utwór literacki lub inny artystyczny, wyrażony w tej czy innej postaci, lub wynalazek przemysłowy, chroniony przez t.zw. opatentowanie lub rejestrację urzędową jako przedmiot wyłącznej własności twórcy - itp.?

Moje studia, roztrząsania i dociekania doprowadziły mnie jeszcze w latach dziewięćdziesiątych przeszłego stulecia do wyniku pozytywnego i w nim mnie utwierdziły: Mianowicie w dziedzinie, o której mowa, istnieje dobro

M

niematerialne, które poczytać można za przedmiot własności, Tkwi ono - czy to w zarodku, czy w pełnym rozwoju, w sile i wartości - w każdym przedsiębiorstwie, skoro celem przedsiębiorstwa jest zaspakajanie dla zarobku przedsiębiorcy potrzeb innych ludzi przez dostarczanie im towarów lub przez spełnianie innych świadczeń. Może to być przedsiębiorstwo fabryczne, rzemieślnicze, wyłącznie kupieckie, albo n.p. teatr, kino, restauracja, bank, cyrk, zakład ubezpieczeń, lecznica, szkoła prywatna a nawet gospodarstwo wiejskie, jako przedsiębiorstwo rolnicze, dostarczające publiczności produktów wiejskich itd. - A więc każda, zwykle przez jakąś wybitniejszą indywidualność zorganizowana jednostka ekonomiczna, która w celach zarobkowych jej właściciela ma zaspakajać potrzeby publiczności, t.zn. zgłaszających się po świadczenia odbiorców /t.zw.konsumentów/. - Jakie ~~istnieje - jako~~ przedsiębiorstwo - odrębne od przedsiębiorcy /właściciela/, może być zbyte i przeniesione na własność innej osoby fizycznej, czy prawnej /n.p. na Spółkę akcyjną/ przez umowę, lub może przejść w drodze spadku. Przedsiębiorstwo jest dobrem zbiorowym, bo w jego skład wchodzą różne przedmioty, jako to czasem nieruchomości /domy, grunty/, ruchomości /n.p. maszyny, meble, szklanki, talerze, ubrania, przyrządy rozmaite, towary, materiały itd. itd, dalej prawa, jak prawa patentowe /czasem przedsiębiorstwa powstają tylko dla eksploatacji pewnego patentu/, prawa z wzorów, wierzytelności powstałe przy prowadzeniu przedsiębiorstwa, prawa wynikające z najmu i dzierżawy lokali lub gruntów, zajmowanych przez przedsiębiorstwo, prawa ze stosunków służbowych, nawiązanych przez przedsiębiorcę z pracownikami umysłowymi i fizycznymi itd., itd.

M

Wszystko to razem złączone w całość ekonomiczną tworzy dopiero jednostkę zbiorową, która jest przedmiotową indywidualnością i dlatego nosi też nazwę lub inne oznaczenia odróżniające ją od przedsiębiorstw innych. Nimi mogą być imię i nazwisko właściciela lub jego poprzedników, firmy przedsiębiorstwa, określenia takie jak "Restauracja pod Kogutem", a między innymi także specjalne oznaczenie towarów z przedsiębiorstwa pochodzących, zwane znakami towarowymi itd. Takie to różne oznaczenia indywidualizują przedsiębiorstwo na zewnątrz.

Wyżej przykładowo zestawione przedmioty /rzeczy i prawa/ w skład przedsiębiorstwa wchodzące, reprezentują każdy z osobna - pewną wartość, którą można w pozycjach czynnych przedsiębiorstwa bilansowo oznaczyć, ale ich suma nie wyczerpuje zwykle wartości przedsiębiorstwa. Przedsiębiorstwo dane ma jeszcze najczęściej dodatkową wartość jako zindywidualizowana jednostka - a to przeważnie dzięki opinii, jaką się wśród publiczności cieszy. Dzięki bowiem dobrej sławie przedsiębiorstwo posiada siłę atrakcyjną, przyciągającą publiczność /odbiorców, klientelę/, , co powiększa dochodowość przedsiębiorstwa i dlatego ta siła atrakcyjna nieraz przedstawia wartość większą, aniżeli wszystkie rzeczy i prawa w skład przedsiębiorstwa wchodzące, i bywa główną przyczyną dochodowości. Ta siła atrakcyjna bywa przy alienacjach przedsiębiorstwa osobno taksowana /oceniana/ i do ceny wszystkich zinwentaryzowanych rzeczy i praw doliczana. Przy tym oznacza się ją w umowach w różny sposób, np. że za "firmę i znaki towarowe" płaci się tyle a tyle, albo - jak Francuzi piszą - za "klientelę" /clientele lub achalandage/ należy się tyle a tyle itd. Są to określenia nieścisłe, bo brzmie-

nie firmy, czy tekst towarowego znaku słownego lub obrazek /jelenia, koguta, słonia itp./ służący jako znak towarowy obrazowy itp. - same przez się nie przedstawiają żadnej wartości, a przyczynę wartości szukać należy w przymiotach rzeczywistych, czy urojonych przedsiębiorstwa a raczej, gdy rzecz ściślej i właściwiej ujmiemy w sile przyciągającej odbiorców i utrzymującej klientelę a połączonej z indywidualnością przedsiębiorstwa, które tylko dla odróżnienia go od przedsiębiorstw innych nosi pewne nazwy, czy posługuje się różnymi innymi oznaczeniami jak w szczególności znakami towarowymi.

Podobnie nie jest trafnym określanie w umowach alienacyjnych, przedmiotu owej nadwyżki w wartości przedsiębiorstwa, przez wyrażenia: "Za klientelę płaci się tyle a tyle", skoro przedsiębiorca nie ma i nie może mieć żadnego wyłącznego prawa do tego, żeby ci a ci odbiorcy tylko u niego kupowali. Staroniemieckie "Bannrechte" dawno już nieistnieją! Ich resztki przez zniesienie praw propinacji zostały uchylone.

To, za co kupujący przedsiębiorstwo płaci sprzedającemu poza wartością rzeczy i praw w skład przedsiębiorstwa wchodzących jest zatem siła atrakcyjna przedsiębiorstwa, która może być uważana za dobro, za przedmiot wyłącznej własności tego, a nie innego przedsiębiorcy.

Siła atrakcyjna przedsiębiorstwa tworzy się, a potem może być spotęgowana, przez różne środki i czynniki, jako to przez dobór korzystny miejsca i siedziby przedsiębiorstwa, przez umiejętną i staranną produkcję, przez uprzejmość personelu, przez punktualność w spełnianiu zleceń i zamówień, przez różne inne przymioty, - jak zaznaczyłem powyżej, - rzeczywiste lub zmyślone, nieraz wytworzone

przez sztuczną, kłamliwą reklamę.

W każdym razie ta siła atrakcyjna, tkwiąca w przedsiębiorstwie, jako przyczyna powiększająca jego wartość, bo mnożąca jego dochodowość, jest dobrem niematerialnym, w przedsiębiorstwie immanentnie tkwiącym.

Pod tym względem występuje analogia z innymi dobrami niematerialnymi, które tworzą przedmioty własności przemysłowej, a nawet literackiej i artystycznej. Na czymże bowiem polega wartość majątkowa, /dochodowa, pieniężna) owych dóbr, które geniusz ludzki tworzy w dziełach literatury i sztuki lub w wynalazkach, jak nie na owej sile przyciągającej, jaką one na publiczność wywierają. Ta wartość odbiega często i to nawet bardzo znacznie od wartości rzeczywistej, ideowej, zwłaszcza w dziełach literackich. I tak n.p. nędzny wodewil przysparza czasem autorowi nadzwyczajne korzyści, a dramat o wartości ideowej olbrzymiej, nie przynosi żadnych dochodów.

Jeżeli więc siłę atrakcyjną przedsiębiorstwa, jako dobro niematerialne możemy poczytywać za przedmiot majątkowy, za przedmiot prawa własności, natenczas zdobywamy w zakresie prawa cywilnego podstawę zupełnie wystarczającą do zwalczania wszelkich objawów nieuczciwej konkurencji bez względu na postacie, jakie one przybierają, czy przybrać mogą. Własność jest bowiem chroniona raz przeciw wszelkim przywłaszczeniom, w jakikolwiek by sposób one wystąpiły, a powtóre przeciw wszelkim naruszeniom jej przedmiotu ale tylko zawinionym. W zasięgu jednych i drugich czynów zmieszczą się w zupełności wszystkie działania, jakie w obrocie przemysłowym czy handlowym nazywane bywają nieuczciwą konkurencją.

I. Nieuczciwa konkurencja występuje bowiem ~~1/ albo~~

w przywłaszczeniach (1) obcej siły atrakcyjnej /n.p.A. wprowadza w obrót własne wytwory pod oznaczeniami przedsiębiorstwa B. posługując się przy tym firmą B., jego znakami towarowymi, czy jakimiś innymi oznaczeniami produkcji B., czy choćby tylko zapewnieniami ustnymi, że towar prze przez A. ofiarowany jest wytworem przedsiębiorstwa B./ Przeciw wszelkim tego rodzaju czynom już dlatego bezprawnym, że wkraczają w wyłączne prawo, jakim jest własność, ~~służąca przedsiębiorcy na przedsiębiorstwie~~, uzasadnione są skargi /powództwa/, - ~~a więc 1~~ nawet wtedy, gdyby krzywdziciel działał w dobrej wierze, co się zdarza niejednokrotnie.x/ - ~~2/ albo~~ Nieuczciwa konkurencja może także występować w umniejszaniu tej siły atrakcyjnej (2), jaką posiada przedsiębiorstwo B. przez różne, przez A ~~/czy inną jakąś osobę/~~ popełniane czyny, ale wtedy podług ogólnych zasad prawa cywilnego roszczenie o wstrzymanie i zaniechanie takich czynów oraz o zadośćuczynienie jest przeciw A uzasadnione, jeżeli czyny są etycznie /choćby przez niedbalstwo/ zawinionymi czy nagannymi; ~~jeżeli więc~~ (n.p. A, rozpuszcza nieprawdziwe wieści o przedsiębiorstwie B, że w nim produkuje się od pewnego czasu towar znacznie gorszy, bo przedsiębiorstwo się nieopłaca, albo ~~jeżeli~~ A podaje do

x/ Francuska teoria licząc się z takimi objawami wprowadziła obok pojęcia concurrence deloyale, także pojęcie concurrence illicite /niedozwolona, bezprawna/ bo i przeciw niej konieczną jest skarga sądowa, podobnie jak właściciel nieruchomości, czy ruchomości ma i musi mieć skargę sądową o wydanie mu rzeczy, choćby ten, kto ją bezprawnie posiada, nie był n.p. złodziejem, ale posiadał rzecz w dobrej wierze, uważając się, - w swym najgłębszym przekonaniu - za właściciela.

 324

wiadomości publicznej tajemnice produkcji lub interesu przedsiębiorstwa B /n.p. listy odbiorców z adresami/, albo ~~jeżeli~~ podmawia najlepszych pracowników firmy B, żeby zerwali stosunki służbowe z A i do niego przechodzili itp.)

Tak to przez uznanie siły atrakcyjnej przedsiębiorstwa jako dobra niematerialnego i jako przedmiotu prawa własności przedsiębiorcy zyskuje się podstawę do wszechstronnej represji na drodze prawa cywilnego wszystkich tych czynów, które czy to w teraźniejszości są już znane, czy może dopiero w przyszłości w jakichkolwiek formach wystąpią jako czyny mogące podpadać pod pojęcie objawów nieuczciwego współzawodnictwa w przemyśle i handlu /choćby rolniczym/.[x]

Oto w króciutkim zarysie rezultat moich studiów, czy roztrząsań i docieków, conajmniej kilkudziesięcioletnich, skoro zaczęły się one jeszcze w przeszłym wieku w r.1891.

Studia moje i ich rezultat przedstawiłem w różnych pracach, głównie polskich, ale także niemieckich i francuskich, drukiem ogłoszonych, ostatnio w książce opraco-

---

x/ Jeżeli przyjmie się koncepcję prawniczą, jaką powyżej przedstawiłem, natenczas t.zw. praw do firmy, do znaków towarowych i do innych oznaczeń przedsiębiorstwa, nie można uważać za odrębne prawa majątkowe - jak to powszechnie teoria prawa po dziś dzień pojmuje /sławny Józef Kohler tworzy z tych praw odrębną grupę zwaną prawami indywidualnymi, do których zalicza także osobiste prawa do imienia i nazwiska/, ale tylko za uprawnienia, emanacje prawa własności na przedsiębiorstwie /mówiąc ogólnie/ albo emanacje prawa własności na sile atrakcyjnej tkwiącej w przedsiębiorstwie /mówiąc ściślej/.

wanej wspólnie z drem Alfredem Krausem a wydanej w r.1929 nakładem Wojewódzkiego /Poznańskiego/ Instytutu Wydawniczego p.t. "Polska ustawa o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji", w dwa lata później, w r.1931 w II tomie Prawa cywilnego, wydanym przeze mnie przy współudziale prof.Gwiazdomorskiego, dra Oberlendera i dra Sołtysika /str.143-178/. Rezultat moich studiów przedstawiłem też krótko na dwóch zjazdach międzynarodowych: jednym zwołanym przez Ligę Narodów do Genewy /w r.1923/ dla przeprowadzenia przez Ligę Narodów ankiety w sprawie międzynarodowego zwalczania nieuczciwej konkurencji. Na ten zjazd wydelegowany zostałem przez nasze Ministerstwo Sprawiedliwości. Drugim - był kongres dyplomatyczny zwołany do Hagi w r.1924 celem rewizji Konwencji Paryskiej o międzynarodowej ochronie własności przemysłowej, o czym pisałem powyżej pod D./.

Prace moje teoretyczne w dziedzinie zwalczania nieuczciwej konkurencji miały się jeszcze przydać w Polsce w innym celu: mianowicie dla ułożenia polskiej ustawy o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji.

Stało się to wśród następujących okoliczności:

W pierwszych dniach roku 1926 Prezydium Komisji Kodyfikacyjnej, z inicjatywy Ministra Przemysłu i Handlu zwróciło się do mnie, bym z Podkomisją prawa handlowego opracował /jako główny referent/ projekt ustawy o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji i to jak najrychlej. Sprawa jest nader pilna, gdyż Rząd, zawierając z Francją traktat handlowy /Dz.Ust.z r.1925?Nr,67,poz.468/ zobowiązał się dodatkowo, że postara się o rychłe wydanie w Polsce ustawy o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji, a jako osta-

teczny termin oznaczono dzień 10 maja 1926 r. Do tego terminu musi ustawa pojawić się w Dzienniku Ustaw. Francuski rząd nagli dla-tego, bo z powodu braku odpowiedniej ustawy w Polsce /tylko w b.dzielnicy pruskiej obowiązywała ustawa o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji/ rozpętały się objawy nieuczciwej konkurencji, zwłaszcza w zakresie win i likierów francuskich.-

Podjąłem się zadania bardzo chętnie w nadziei, że moje studia i wyniki, do jakich doszedłem w ciągu lat, będę mógł przyoblec w formę ustawy obowiązującej. W połowie marca projekt mój był już gotowy i przedłożyłem go wraz z motywami profesorowi Dolińskiemu, jako przewodniczącemu Podkomisji prawa handlowego.

Projektowi nadałem tytuł: "Ustawa o prawach na przedsiębiorstwach i o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji". Składał się on z 39 ~~/właściwie 43/~~ artykułów, ujętych w duże grupy. Pierwsza grupa /art.1-20/ obejmowała przepisy, określające pojęcie przedsiębiorstwa w rozumieniu ustawy, przepisy o rejestrowaniu przedsiębiorstw, nie będących przedmiotem wpisu do rejestru handlowego, przepisy o zbywaniu przedsiębiorstw, o obciążaniu przedsiębiorstw prawami zastawniczymi, o egzekucji z przedsiębiorstw i o sankcji w przedsiębiorstwie w drodze spadku. Druga grupa /art.21-39/ składała się z następujących grup przepisów: pierwsze artykuły normowały ochronę cywilno-prawną przedsiębiorcy przeciw przywłaszczeniom siły atrakcyjnej jego przedsiębiorstwa dokonanym przez współzawodników /konkurentów/, oraz przeciw występkom /deliktom, t.zw. obecnie w kodeksie zobowiązań czynom niedozwolonym/ t.j. działaniom /czynom/ przez które ktoś /niekoniecznie współzawodnik/ w sposób sprzeczny z obo-

wiązującymi przepisami albo z dobrymi obyczajami umniejsza tę siłę atrakcyjną. Oczywiście w tekstach projektu roszczenia, o które chodzi, przedstawiłem w sposób dla każdego łatwo zrozumiały, a więc bez teoretycznego, całkiem poprawnego ich ujęcia, bez posługiwania się wyrażeniami "siła atrakcyjna przedsiębiorstwa" "jej przywłaszczenia" itd. i dlatego art.21 rozpoczynał się od słów: "Przedsiębiorca ma prawo żądania, aby inny przedsiębiorca /konkurent/ nie wdzierał się w jego klientelę przez jakiekolwiek czynności, + zdolne do wywołania u osób, którym ofiarowuje swe wytwory, towary lub świadczenia, mylnego mniemania, że one pochodzą od przedsiębiorcy pierwszego". Tekst ten jest mniej ścisły, ale do zrozumienia całkiem łatwy. Dwa następne artykuły należały jeszcze do ochrony cywilno-prawnej. Trzecia grupa artykułów /26-32/ poświęcona była przepisom, normującym ochronę karno-prawną. Artykuły te opracował prof.Makarewicz w porozumieniu ze mną. Art.32 a rozszerzał przepisy o ochronie cywilno-prawnej na zakres "wolnych zawodów", w których nie ma przedsiębiorstw w rozumieniu art.1-go, ale są wolno zarobkujący "przedsiębiorcy", jak lekarze, adwokaci, prywatni inżynierowie itd., nie mający "przedsiębiorstw" /osobnych jakichś zakładów/, jednak cieszący się większą lub mniejszą siłą atrakcyjną wobec publiczności i dlatego potrzebujący także podobnej ochrony przynajmniej cywilno-prawnej, jaka przyznana zostaje właścicielom przedsiębiorstw. Ostatnia grupa artykułów /33-39/ obejmowała przepisy końcowe i przechodnie.

Nie potrzebuję po tym co wyżej napisałem, podnosić, że projekt mój odpowiadał w zupełności wynikom moich studiów, a zarazem spełniał dezyderat Rządu. W pierwszej

swej części określał bowiem prawo podmiotowe przedsiębiorcy, powstanie tegoż prawa, alienacje jego itd. - w części zaś drugiej dawał ochronę prawną przeciw działaniom wyrządzającym ujmy w przedsiębiorstwie jako zorganizowanej, zindywidualizowanej całości, - mianowicie w jego sile atrakcyjnej; ochrona ta w swej części cywilnoprawnej obejmowała tym samym swą treścią środki do zwalczania wszelkiej nieuczciwej, czy niedozwolonej konkurencji w przemyśle i handlu, a nawet w zawodach wolnych.

Prezes Doliński po rozesłaniu projektu musiał pozostawić kilka dni czasu członkom Podkomisji /Sekcji/ prawa handlowego, żeby się zapoznali z projektem i z jego motywami, po czym zwołał zebranie członków Podkomisji, na którym dowiedzieliśmy się, że ze względu na termin 10 maja 1926 r., do którego ustawa ma być w Dzienniku Ustaw ogłoszona, pozostaje na nasze obrady sekcyjne tylko tydzień czasu! Wszak trzeba było zarezerwować terminy dla obrad i uchwał w Kollegium uchwalającym Komisji Kodyfikacyjnej /wówczas zwanym: "Komitetem Organizacji Prac Komisji Kodyfikacyjnej/, dalej dla pracy Rządu, Sejmu i Senatu.

W generalnej debacie w Podkomisji nad projektem podniesiono zaraz, że pierwsza część projektu /do art.20 włącznie/, normująca prawo podmiotowe na przedsiębiorstwie, dotyczy spraw bardzo trudnych, oryginalnie przez referenta ujętych, których legislacyjne należyte uregulowanie wymaga roztrząsań, badań i dyskusji dłuższych, bodaj czy nie kilkumiesięcznych, że jednak znaczna część przepisów tych może znaleźć odpowiednie z punktu widzenia systematycznego miejsce w przepisach przyszłego polskiego Kodeksu prawa handlowego. ~~że~~ Trzeba będzie przy tym gruntownie przedyskutować wniosek referenta mający

na celu, by w Polsce wprowadzić za wzorem ustaw francuskich, a wbrew poglądom i ustawom niemieckim możliwość ustanawiania prawa zastawu na przedsiębiorstwie. Przepisy o egzekucji z przedsiębiorstwa lepiej odłożyć do obrad nad nową jednolitą ordynacją egzekucyjną i dlatego nie jest rzeczą celową, aby pierwszą część projektu czynić zarazem przedmiotem obrad. Zresztą jest rzeczą wykluczoną, aby tę część można w ciągu jednego tygodnia przedyskutować i uchwalić. Natomiast przedmiotem obrad i uchwał Podkomisji - nawet do tygodnia - może stać się druga część projektu, która bez uchybienia podstawowej koncepcji referenta, nadaje się zupełnie na treść samoistnej ustawy, mającej za cel ogólne zwalczanie w Polsce nieuczciwej konkurencji. Nie mogłem przeciwstawić się powyższym wywodom, bo były trafne i koniecznością dyktowane. Przystąpiłem więc do nich, ale zastrzegłem sobie, aby część pierwsza projektu /do art.18 włącznie/ stała się przedmiotem obrad przy dyskusji nad projektem kodeksu handlowego i aby art. 19 i 20 projektu zostały uwzględnione przy obradach Podkomisji procesualnej, gdy będzie obradowała nad egzekucją z "innych praw majątkowych". Pierwszy z tych dwóch dezyderatów został spełniony o tyle, że z art.1 do 18 mego projektu szereg przepisów w zmienionej nieco postaci wszedł do kodeksu handlowego w art.39 do 53 /ale skreślono zupełnie z mego projektu wnioski dotyczące ustanawiania zastawu na przedsiębiorstwie/. Natomiast w k.p.c. nie znajduję w rozdziale "o egzekucji z wierzytelności pieniężnych i z innych praw majątkowych" żadnych przepisów, któreby liczyły się z potrzebami, jakie występować mogą przy egzekucji z przedsiębiorstw /p.art.629 do 652 k.p.c. Nie dziwię się temu, skoro w k.p.c. egzekucja z "innych

9/

praw majątkowych" została potraktowana bardzo po macoszemu.[x/]

Druga część mego projektu /art.21-39/ została przez Podkomisję prawa handlowego w przeciągu tygodnia prawie bez zmian uchwalona i jako projekt "Polskiej ustawy o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji" obejmujący 19 artykułów przedłożona Komitetowi Organizacji Prac Komisji Kodyfikacyjnej, który ją przesłał Ministrowi Sprawiedliwości. Minister przedłożył projekt bez zmian Sejmowi, gdzie jednak sprawa uległa kilkumiesięcznej zwłoce głównie skutkiem znanych wypadków majowych 1926 r. Dopiero dnia 1 lipca 1926 r. sprawozdawca Sejmowej Komisji Prawniczej, poseł Chełmoński, postarał się o to, że do 5 lipca 1926 r. Sejm przyjął projekt prawie bez zmian w trzech czytaniach. Jednakże rzecz utknęła znowu w Senacie, gdzie senator Adelman, przemysłowiec, wystąpił z wnioskami o szereg "poprawek", które w większej części były nie do przyjęcia. Pewną część z nich przyjął jednak Senat tak, że projekt wrócił do Sejmu, gdzie ze względów kurtuazyjnych i partyjnych nie odrzucono wszystkich poprawek przez Senat uchwalonych. Skutkiem tego do ustawy dostało się kilka niepożądanych zmian w projekcie ustawy, uchwalonym przez Komisję Kod. Najwięcej rażące, zwłaszcza zmiany art.5 zostały

---

x/ Pierwszą część mego ówczesnego projektu t.zn.art.1-20, ogłosiłem drukiem w III.zeszycie poznańskiego "Ruchu prawniczego, ekonomicznego i socjologicznego" za rok 1927, w krótkiej rozprawie p.t. "Projekt ustawy o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji, a sprawa kredytu realnego dla przedsiębiorstw."

uchylone na wniosek Wydziału ustawodawczego Ministra Sprawiedliwości /opracowany wspólnie ze mną/ przez rozporządzenie Prezydenta R.P.z dn.17 września 1927 r. Dz.ust. Nr.84 poz.749. Jednolity tekst ustawy został ogłoszony w Dzienniku ustaw z r.1930, Nr.56, poz.467/.

F. Waloryzacja należności pieniężnych.

Inflacja biletów bankowych i jej następstwa.

Fatalna gospodarka finansowa państw pierwszą wojnę światową prowadzących i powojenna występowała zwłaszcza w t.zw.inflacji pieniądza papierowego, to jest w tym, że państwa z pomocą nadmiernej emisji papierowych znaków pieniężnych zaspakajały swe potrzeby wojenne i poza wojenne, chociaż te znaki pieniężne puszczane w obieg jako bilety bankowe, nie miały pokrycia. Tym samym państwa wywłaszczały celem pokrywania własnych potrzeb powoli, w sposób zdradziecki, bo niewidoczny, obywateli z ich mienia. Kto miał gotówkę tracił z dniem każdym na jej wartości. Kto miał do żądania od drugiego sumę pieniężną, mógł żądać jej w nominalnej wysokości, ale otrzymywał, wartość znacznie mniejszą. Kapitał zamierał, ulatniał się, ginął, a t.zw."pieniądz", pozostając nadal ogólnym środkiem wymiany i umarzania zobowiązań, tracił swą drugą funkcję: przestawał być miernikiem wartości, bo sam tracił na wartości, a to nawet w mierze, nie dającej się przewidzieć.

Polska, po skończeniu wojny światowej, do życia i wolności przywrócona, przejęła niestety, powyższe wady

złej gospodarki finansowej państw zaborczych i wprowadziła je w swój budzący się do życia organizm. Chociaż nasza dzielna młodzież, gorącym patriotyzmem ożywiona, odparła bohatersko i zwycięsko wrogów, którzy Ojczyznę naszą zaraz znowu zdusić chcieli, jednak ci, co władzę u nas objęli tak w Sejmie i Senacie jak i w Rządzie, skutkiem braku fachowych wiadomości, ale także, ulegając demagogicznym wpływom, nie rozumieli, czy nie chcieli rozumieć, że zdrowy rozwój wskrzeszonej, a słabej Polski może być osiągnięty tylko przez zaprowadzenie jak najlepszej gospodarki finansowej, że zatem m.i. trzeba, aby Państwo oparło ją na prawdziwym, a nie oszukańczym pieniądzu jako środku wymiany i miernika wartości oraz na wielkiej oszczędności w zarządzie Państwem. Od tych dwóch postulatów byliby z pewnością działalność swą we wolnej Polsce rozpoczęli tacy mistrze skarbowi i gorący patrioci, jakimi byli Lubecki, Dunajewski lub Wacław Zaleski, gdyby byli żyli w r.1918 i w latach następnych i zostali do władzy powołani lub dopuszczeni.

Stało się jednak inaczej: Wprawdzie dzięki inicjatywie krótko na razie rządzącego Władysława Grabskiego, ministra Skarbu ujednostajniono walutę, wprowadzono mianowicie w miejsce rubli, koron austriackich i marek niemieckich w latach 1919 i 1920 markę polską jako jednolity "prawny środek płatniczy na całym obszarze" Rzeczypospolitej", ale nie myślano o tym, czy nie chciano myśleć z obawy przed utratą popularności, aby temu prawnemu środkowi płatniczemu zapewnić trwałą wartość, przez pokrycie w sile podatkowej społeczeństwa, przez zapewnienie mu tym samym niezbędnej dla zdrowej gospodarki państwowej i społecznej <u>funkcji pieniądza</u>. Przeciw tym, któ-

rzyz planami racjonalnymi odważyli się występować, różni demagogowie podnosili zarzuty nieraz bardzo ostre; n.p. ministrowi Bilińskiemu zarzucano, że do wolnej Polski chce wprowadzać jako stary "Austriak" obce niepolskie metody; Jerzy Michalski jako minister Skarbu spotkał się z silną opozycją w Sejmie, gdy domagał się uchwalenia owej "strasznej daniny", która była w rzeczywistości znacznie niższa, co do wartości na zboże przeliczonej, niż n.p. austriackie podatki itd.

Już w pierwszych latach, kiedy marka polska nie była jeszcze silnie zdeprecjonowaną, Polska - jak dowiedziałem się w Urzędzie statystycznym w Warszawie, - nie otrzymywała nawet jednej szóstej części niezbędnych na swe potrzeby sum z podatków, daniny, z ceł i z tym podobnych publicznych opłat; Resztę całą t.j. 5/6 pokrywano przez emisję banknotów bez pokrycia. A jakżeż te stosunki pogarszały się w miarę, gdy należności państwowe, nominalnie te same, płacone były w znakach pieniężnych coraz mniejszą wartość reprezentujących.x/

---

x/ Między różnymi planami jak zaradzić złemu, czytałem, że Polska powinna zakupić 1½ miliarda franków w złocie i na tym podkładzie zaprowadzić złoty polski. Każdemu na żądanie wypłacać go w złocie. Zdziwiła mnie ta rada. Przypomniałem sobie zdanie Dunajewskiego: To państwo może wprowadzić u siebie walutę złotą, którego bilans płatniczy jest tak korzystny, że złoto samo do niego wpływa. Państwo zaś, które więcej płacić musi zagranicy, aniżeli z niej otrzymuje, wyrównywa niedobór naprzód złotem, jeżeli złote pieniądze posiada i dlatego waluty złotej utrzymać nie może. Wnioskowałem stąd: Ponieważ Polska ma bilans płatniczy niekorzystny, przeto zakupiłaby złoto tylko na to, aby znowu je straciła na wyrównanie swego niedoboru wobec innych państw, tak, jak je straciły ongi n.p. Włochy, gdy mimo swego niekorzystnego bilansu zaprowadziły u siebie walutę złotą. Czyż więc nie lepiej rozważać, jakby spotęgować inten-

Skutki tego stanu rzeczy występowały w coraz to groźniejszych formach. Chaos w obrocie pieniężnym wywoływał symptomaty wstrząsające groźnie życiem społecznym i gospodarczym. Podnoszono ceny samowolnie i swawolnie. Wywoływano strajki, dążące do wymuszania słusznych czy niesłusznych wynagrodzeń za pracę. Powstał szalony wzrost nieproduktywnej spekulacji. Wobec tego, że t.zw. pieniądz przestał być stałym i trwałym miernikiem wartości, wszystkie większe, na dłuższy czas obliczone tranzakcje zawierano wprawdzie w markach polskich, jako "w jedynym prawnym środku płatniczym na obszarze Rp.", ale wysokość tego, co się należy lub należeć będzie, oznaczano we frankach szwajcarskich, w dolarach i innych pewnych walutach zagranicznych. Na ogół pożyczki ustawały a kredyt zamierał. Nikt nie składał oszczędności w kasach, bo wiedziano, że po kilku miesiącach stracić się może prawie wszystko przez zniżkę wartości pieniądza. Kapitał nowy rzadko powstawał, a jeżeli powstał lub jeżeli pozostał, to jego posiadacz szukał lokaty za granicą. Przemysł dla braku ka-

---

zywność pracy, jak stworzyć silny rząd, któryby zachęcał obce kapitały do zorganizowania u nas wielkiego przemysłu - bo nam właśnie brak kapitału, - jak przygotować w te i inne sposoby podłoże do większego a dla gospodarstwa społecznego, nieszkodliwego eksportu, aniżeli pisać o kosztownych próbach zakupywania złota, któreby po niedługim czasie wypłynęło i ośmieszyło przyszły "złoty polski" któryby nazywał się złotym, a był w rzeczywistości pieniądzem papierowym i dalej upadał na wartości jak polska marka? - Przypomniałem sobie także wówczas i coś innego, że mianowicie w w.XV i XVI Polska, jak czytałem, była tak bogata, że złota do niej wpływało znacznie więcej, aniżeli wypływało, a przy tym nasunęło mi się przypuszczenie, że może i Polska obecna nie będzie musiała z czasem szukać kredytów zwłaszcza zagranicą, i dla pokrycia wyników swego złego gospodarstwa wywozić za granicę największych swych bogactw tj. tęgich i zdrowych emigrantów, którzy dla obcych pracować muszą, bo w Polsce skutkiem złej gospodarki nie mogą znaleźć zajęcia.

pitału i z powodu niemożności uzyskania kredytu upadający, powodował zwyżkę nadzwyczajną cen wytworów przemysłowych. Nawet pokrywanie codziennych potrzeb życiowych stawało się coraz trudniejsze; wszak n.p. wieśniak tracił ochotę sprzedawania w mieście mleka i jarzyn i innych produktów swego gospodarstwa i mówił, że woli "mleko dać gadzinie, aniżeli dostać za nie w mieście papierki, których i tak ma więcej aniżeli potrzebuje i dlatego córkom każe złote zęby wprawiać". "Pieniądz" przestał być nie tylko miernikiem wartości ale nawet po części środkiem wymiany, bo społeczeństwo wracało do pierwotnych stosunków, gdy potrzebne rzeczy nabywano w drodze zamiany towarów na towary. Łatwość w "robieniu pieniędzy" przez proste drukowanie znaków pieniężnych bez pokrycia, spotęgowała także rozrzutność i to władz panujących: Mnożono urzędy i urzędników, w znacznej części niekwalifikowanych, podwyższano płace i wynagrodzenia. Przypominało mi to rządy wszechwładnego w starożytnej Grecji Peryklesa, który pozyskiwał tłumy, płacąc im za zupełnie bezwartościowe współdziałanie w zebraniach ludowych i sądach po trzy obole /triobole/.x/

W ślad za tymi wszystkimi smutnymi objawami szło zubożenie społeczeństwa, a nawet szerzyła się nędza. Z niepewnością stosunków budziła się niechęć do pracy, zwątpienie i brak zaufania do sił własnego społeczeństwa w rządzeniu państwem a małoduszni z widoczną tęsknotą czasem wspominali przeszłość z czasów służalczej niewoli.

---

x/ P. o takiej gospodarce n.p. bardzo zajmujące dzieło Stanisława Łosia: Hellada na przełomie.

tracąc poczucie, że to zbrodnia wobec matki Ojczyzny. Rosły także prądy ku skrajnym przewrotom komunistycznym.

Państwo i społeczeństwo popadły, - jak widzimy z powyższego przedstawienia rzeczy - w ciężką chorobę ekonomiczną, a w następstwie społeczną i moralną.

Mimo to wszystko jeszcze nie nadchodziła chwila, w której społeczeństwo, bałamucone nadal przez demagogię byłoby zrozumiało, że trzeba dla Ojczyzny, gdy zażąda, nie tylko krew przelewać, ale także dla Niej żyć i pracować z gotowością ofiarowania Jej swego mienia i owoców pracy, że trzeba Polsce, która jest żywym organizmem, dać to, czego Ona potrzebuje, a że potrzeb takich nie można zaspakajać papierkami, choćby nawet najpiękniej narysowanymi.

Z powyż przedstawionego chaosu, jaki powstał skutkiem braku fachowego wykształcenia ludzi do rządów powołanych i skutkiem najszkodliwszej demagogii bałamucącej i rozstrajającej społeczeństwo, Polska miała wydobyć się w znacznej części dopiero w r.1924 t.zn. w czasie, gdy marka polska obniżyła się w stosunku do swej wartości pierwotnej blisko dwa miliony razy! Naprawa nastąpiła przez zaprowadzenie Złotego i przez szereg reform skarbowych, wprowadzonych lub zainicjonowanych za czasów premierowstwa Władysława Grabskiego, który równocześnie objął tekę Ministra Skarbu.x)

---

x) O tych reformach p.w książce o waloryzacji, opracowanej przez Zolla i Hełczyńskiego a wydanej po raz drugi w r.1925 p.t. "Rozporządzenie Prezydenta Rp.z dn.24 maja 1924 r. o przerachowaniu zobowiązań prywatno-prawnych wraz.....", wydanie drugie z r.1925; na str.14 do 17/.

Zagadnienie waloryzacji.[x/]

Odkąd w niepodległej Polsce pieniądz oficjalny zaczął obniżać się w wartości, wysuwano też coraz częściej pytania, czy wierzyciele, mający jakieś pretensje pieniężne, zwłaszcza z czasów dawniejszych, powinni zadawalniać się spłatami swych pretensyj tylko nominalnymi, t.j. w tych wysokościach, jakie wyrażone zostały w tytułach prawnych lub z nich wynikają - bez możności żądania nadpłat ze względu na wielki spadek oficjalnego pieniądza?

Z tym zagadnieniem spotkałem się m.i. w następującej sprawie:

W pierwszych dniach września r.1921 przyszedł do mnie współredaktor "Czasu" p.Z. z prośbą o radę prawną w sprawie, którą mi przedstawił mniej więcej w następujących słowach: "Matka moja i mego znacznie starszego odemnie brata zmarła w r.1914. W rozporządzeniu ostatniej woli zapisała moim dwom synom a swym wnukom A i B tudzież

---

x/ Posługuję się wyrażeniem "waloryzacji", które ma obejmować łącznie dwie czynności, jakie się na waloryzację z reguły składają, mianowicie naprzód proste <u>przerachowanie</u> oparte na datach statystycznych, wskazujących, jakie wartości przedstawiał pieniądz papierowy w chwilach powstania tytułu i zapłaty długu, a powtóre <u>przewartościowanie</u> zobowiązania, zmieniające ze względu na słuszność wyniki prostego przerachowania. - W głównym rozporządzeniu waloryzacyjnym z dn.14 maja 1924 r., o którym piszę poniżej, używany jest w znaczeniu waloryzacji jako termin techniczny wyraz "przerachowanie". Stało się to, bo tak stać się musiało, gdyż w ustawie z dn.11-go stycznia 1924 r. o naprawie Skarbu Panstwa i reformie walutowej, pełnomocnictwa, udzielone Rządowi na waloryzację, opiewają na "przerachowanie" zobowiązań publicznych i prywatno-prawnych a nie na "waloryzację", jakkolwiek mają obejmować głównie "przewartościowanie". /p.Dz.ust.Nr.4 poz.28 z r.1924, art.1 L.10 i art.2./.

trzem synom mego brata: C.D.i E. realność w Krakowie w równych częściach, która w r.1914 przedstawiała wartość mniej więcej 40.000 koron austr.. Między mną, działającym w imieniu moich dzieci, niedojrzałych synków A i B a mym bratem, działającym w imieniu wówczas także jeszcze małoletnich synów C.D.i E. przyszedł do skutku układ tej treści, iż C.D.i E. zostaną wpisani do księgi gruntowej jako współwłaściciele realności i spłacą moich synów A i B w ciągu lat ośmiu sumą 16.000 Kor., która to suma odpowiadała wówczas 2/5 wartości realności. Na podstawie tego układu zatwierdzonego przez Sąd nadopiekuńczy, C.D.i E. wpisani zostali do księgi gruntowej jako właściciele realności, a na rzecz moich synów A i B wpisano wierzytelność hipoteczną w kwocie 16.000 Koron.

W czasie wojny światowej zmarł brat mój, a jego trzej synowie doszli do pełnoletności; moi synowie są jeszcze małoletni. - Otóż niedawno temu przyszli do mnie moi bratankowie C.D.i E. i chcieli złożyć dla moich synów A i B sumę 11.200 marek polskich, będących według ustawy z r.1920 równoważnikiem 16.000 kor.austr. /wycofanych z obiegu/. Prosili mnie, abym postarał się o kwit ekstabulacyjny, bo oni chcą realność uwolnić od wierzytelności hipotecznej a potem ją korzystnie sprzedać. Pieniędzy nie przyjąłem - mówił dalej p.Z., bo uważam, że suma 11.200 m.p. nie może uchodzić za ekwiwalent 16.000 koron austr. z r.1914. Za tę sumę bowiem obecnie mógłbym moim synom kupić może po jednej parze butów, a przecież ich babka chciała wszystkich swych wnuków równo obdzielić i taka też była intencja układu zawartego

między mną i moim bratem w r.1914. Zresztą - powiedziałem moim bratankom - jestem przekonany, że Sędzia nadopiekuńczy nie zatwierdziłby takiego kwitu ekstabulacyjnego. Na drugi dzień byłem w sądzie i tam sędzia powiedział mi, żem dobrze zrobił, gdyż sąd opiekuńczy nie mógłby zatwierdzić kwitu ekstabulacyjnego, a tym samym przyczynić się do tak rażącej niesprawiedliwości. Moi bratankowie przez adwokata Y złożyli sumę 11.200 mk.pol. do depozytu sądowego i zawiadomili mnie, że jeżeli nie otrzymają w terminie takim a takim kwitu ekstabulacyjnego, wniosą skargę przeciw mym synom o wykreślenie z księgi gruntowej ich pretensji o 16.000 kor.austr.

Panu Z. odpowiedziałem, że podzielam zupełnie zdanie sędziego X i cieszę się, słysząc, że między naszymi sędziami znajdują się tacy, którzy w poszczególnych przypadkach, wbrew przeważnie przyjętym poglądom, odstępują w praktyce wobec zupełnie nienormalnych i katastrofalnych stosunków, od przepisów ustawowych, nakazujących spłaty pieniężne w nominalnej wysokości; że gotów jestem w tych sprawach, na razie w prasie, wypowiedzieć swe zdanie z punktu widzenia tylko zasadniczego i, popierając pogląd sędziego X, napisać kilka artykułów dla "Czasu".

Pan Z. zgodził się na to z podziękowaniem, a ja zamieściłem w "Czasie" naprzód dn.3 października 1921 r. rodzaj pierwszego artykułu a potem w dm.24 i 25 listopada tegoż roku dwa znacznie obszerniejsze artykuły, wszystkie p.t. "Sędzia sprawiedliwy", w których przedstawiłem stan faktyczny, zagadnienie zasadnicze, o które chodzi i poparłem kilku motywami zdanie sądu nadopiekuńczego. Z tych artykułów podaję w dalszym ciągu częściowe streszczenie a nawet kilka dosłownych wyimków, aby pro-

blem waloryzacji, tak mało rozumiany, jak najjaśniej możliwie oświetlić. Oto co w artykułach Czasu między innymi napisałem:

Wszystkie trzy kodeksy cyw. na ziemiach polskich obowiązujące zawierają przepisy o zapłatach długów pieniężnych według ich nominalnej, w tytule prawnym oznaczonej wysokości x)/ /Kodeks cywilny austr.w § 988, kodeks nap. w art.1895, k.c.niem. w § 244 wraz z ustawą monetarną niem.z dn.1 czerwca 1909/. Wyjątki oczywiście pomijam.

Dlaczego reguła taka a nie inna? Rzecz prosta: Chodzi o pewność w obrotach pieniężnych - o to, aby wierzyciel wiedział dokładnie, czego może żądać od dłużnika, a dłużnik żeby wiedział, że ma płacić. Jednak ustawodawca w powołanych przepisach wychodził z założenia, że pieniądz spełnia swą ekonomiczną funkcję t.zn., że jest stałym, pewnym i trwałym miernikiem wartości, że jest pieniądzem. Przewidywał oczywiście - jak z treści przepisów wynika - pewne fluktuacje wartości, zniżki i zwyżki kursu pieniądza, ale nie takie, jakich byliśmy świadkami w czasie wojny i jesteśmy nimi po dzień dzisiejszy. I dlatego nie uważał za stosowne dla niewielkich stosunkowo wahań wartości pieniądza, łączących się z niewielkimi stratami wierzycieli lub dłużników, poświęcać tak ważnej rzeczy, jaką jest pewność w obrocie pieniężnym, polegająca na nominalnie stałych wysokościach zobowiązań pieniężnych. Ale ustawodawca nie obejmował w swych przepisach żadnych katastrofalnych załamań pieniądza.

Przemisą przepisów powyższych, także w Polsce obowiązujących, było i jest zatem, że pieniądz jest stałym miernikiem wartości. Tymczasem ta przesłanka runęła i dotychczas nie istnieje. Wartość pieniądza skacze w dół

/wyjątkowo w górę/ w sposób tak nadmierny, że raczej ziemia, zboże, czy choćby nawet różne wytwory fabryczne mogłyby być podstawą wymiaru wartości, aniżeli to, co się jeszcze nazywa wskutek przyzwyczajenia "pieniądzem". "Pieniądz" nawet nie cyrkuluje na prawdę: Państwo puszcza go w obieg w biletach bankowych w coraz większych ilościach, - ale zamiast, żeby wracał, skąd wyszedł, t.j. do kas publicznych i stąd ~~wchodził~~ wnikał przez wypłatę poborów urzędników, wojskowych itp., w społeczeństwo a potem wracał znowu do tych samych kas przez podatki, opłaty, daniny, cła i inne spłaty na rzecz państwa - i tak ciągle dalej cyrkulowało, jak krew w organiźmie ludzkim, - tworzy on zatory dla spekulacji w jakichś złogach często zagranicznych lub n.p. w skrzyniach chłopskich i nie ułatwia lecz utrudnia, zabagnia i tamuje gospodarstwo społeczne. W następstwie kredyt pieniężny ustaje; ustają oszczędności pieniężne a zastępuje je magazynowanie wytworów dla konsumcji niezbędnych, wywołując coraz większą drożyznę; każda umowa na dalszą metę, każda kalkulacja łączy się z nieobliczalnym ryzykiem; handel wymienny - najpierwotniejszy sposób gospodarki społecznej - powraca z dawno zamierzchłej przeszłości i zastępuje gospodarkę na pieniądzu opartą.

Czyż wobec takiego stanu rzeczy nie wygląda co najmniej na anachronizm przepis prawny o spłatach pieniężnych według ich nominalnej wysokości? Czy prawnik może twierdzić, że ten przepis w dzisiejszych stosunkach jest wyrazem zamiaru ustawodawcy - tego ustawodawcy, który przecież przez pieniądz rozumiał środek prawidłowej cyrkulacji i stały miernik wartości? Czy sędzia, któryby się

powoływał na przepis ten, nie opierałby się tylko na czczych, pozbawionych właściwej treści słowach ustawy, według woli ustawodawcy dla innych sytuacyj podyktowanych?

Jeżeli tak jest, jeżeli odpadły premisy, to przestaje obowiązywać nakaz ustawy. Cessante ratione legis, cessat lex ipsa - jak mówili rzymscy prawnicy. Gdy usuniemy fundamenty, runie sama budowa. Znajdujemy się zatem dzisiaj co do obowiązków spłat pieniężnych w stadium, które nazywane bywa "ex-lex", t.zn., że nie ma przepisu w ustawie, dla oznaczania wysokości spłat, bo nie ma już pieniądza.

Jednak chociaż sędzia stwierdzi, że dla danego przypadku brak przepisu prawnego w ustawie, to nie wolno mu dlatego odmówić orzeczenia. Musi je wydać, a podstawy do niego powinien znaleźć w wyższych zasadach, będących podstawami różnych przepisów prawnych, a w braku także takich podstaw lub jeżeli nie są dostateczne - w tym ideale prawa, jaki nazywamy sprawiedliwością. Zadanie sędziego jest tu trudniejsze, ale i szczytniejsze. Nie będzie bowiem podporządkowywał przypadku praktycznego pod gotową formułką ustawową, ale musi być twórcą i artystą. Musi odnaleźć prawo żywe, "prawo prawe", choć nie spisane; musi ucieleśnić i wyrazić w pewnej formie konkretnej, ideał sprawiedliwości drzemiący w nieświadomych uczuciach ludzkich. Oto powód, dla którego już w moim pierwszym artykule, ogłoszonym w "Czasie" dn.3-go października 1921 r. odwołałem się do "sędziego sprawiedliwego".

Sędzia sprawiedliwy znajdzie - jak właśnie nadmieniłem już w ustawach obowiązujących różne zasady kierow-

nicze, które mu nasuną podstawy do orzeczenia, jakie jego poczuciu prawnemu w przypadkach, o które tu chodzi, odpowiadać będą. Przytoczę tu chociby dwie takie zasady, a mianowicie:

O treści praw i obowiązków stron rozstrzyga w pierwszej linii wola stron, które umowę zawarły, albo wola osoby, która akt jednostronny /n.p. testament/ wydała. Ale za wolę stron lub osoby, która czynność prawną jednostronną sporządziła, uważać należy nie tylko to, co te osoby wyraźnie wypowiedziały, ale i co według wszelkiego prawdopodobieństwa chciały, chociaż nie powiedziały, co zatem odpowiada ich woli domniemanej, - bo odpowiada uczciwości, dobrym obyczajom i słuszności w obrocie majątkowym.

Tego rodzaju zasada, w różny sposób wyrażona, mieści się w kodeksach, obowiązujących na ziemiach polskich. A daje ona sędziemu podstawę do orzeczenia sprawiedliwego także w naszym przypadku, a mianowicie w woli owej babki, która chciała swych wnuków równomiernie zapisaną realnością obdzielić oraz w zamiarze stron zawierających w r.1914 umowę, według której A i B /wnuki/ mieli być przez C.D. i E /wnuków/, nabywających posiadłość na wyłączną własność, spłaceni odpowiednio do udziałów, jakie mieli mieć w spólnej własności, t.zn. po 1/5 wartości.

Drugą zasadę kierowniczą, a również we wszystkich kodeksach zamieszczoną jest, iż nikt nie powinien odnosić korzyści z majątku innej osoby niesłusznie z jej krzywdą i dlatego ten, ktoby się w takich warunkach zbogacił, obowiązany jest niesłusznie uzyskaną korzyść wydać pokrzywdzonemu /roszczenie z tytułu niesłusznego

zbogacenia/. I ta zasada, jak busola, wskazuje sędziemu drogę, prowadzącą do sprawiedliwości, gdyż nie może być rzeczą wątpliwą, że wnuki C.D.E. zbogacą się niesłusznie kosztem i krzywdą wnuków A i B, jeżeli C.D.i E. pozostaną współwłaścicielami realności wolnej od ciężaru hipotecznego i będą ją mogli ewentualnie za ładną cenę kupna sprzedać, podczas gdy wnuki A i B zostaną dotkliwie skrzywdzeni, gdy stracą swą wierzytelność hipoteczną za sumę pieniężną, za którą każdy z nich może potem kupić sobie po jednej parze butów!

Moje artykuły wywołały ogólne zainteresowanie i dlatego księgarz Czernecki wydał je w osobnej broszurce p.t. Nasza waluta a spłaty pieniężne "Sędzia sprawiedliwy". Otrzymywałem potem liczne listy ~~a te~~/ od wierzycieli ze słowami uznania, ale także od dłużników, potępiających moje artykuły. ~~bo~~ Zdaniem bowiem dłużników, podkopują one porządek prawny i bezpieczeństwo obrotu na pieniądzu oparte!

W cztery miesiące potem zwróciła się do mnie redakcja pisma periodycznego "Orzecznictwo Sądów Polskich", ogłaszającego wyroki Sądu Najwyższego jurydycznie najwięcej interesujące, o napisanie "glosy" do wyroku z dn. 25 lutego 1922, wydanego w głośnym w Warszawie procesie Fliederbaum c/a Kunke. Chodziło o sprawę następującą zupełnie prawnie podobną do sprawy wyżej przedstawionej panów Z.: W r.1911 powodowie Fliederbaum zaciągnęli u pozwanej /Kunke/ pożyczkę w kwocie 28.000 rb. i ustanowili na zabezpieczenie pretensji hipotekę na swej realności w Warszawie. W r.1920 powodowie zaofiarowali po-

zwanej spłatę długu z ubocznymi należnościami sumą 59.822 Mk polskich a to zgodnie z ustawą z dn.29 kwietnia 1920, która /zwana lex Grabski/ ustaliła stosunek rubla do marki polskiej relacją 100 rb = 216 Mp. Kunke odmówiła przyjęcia tej zapłaty, ponieważ wierzytelność jej przedstawia wobec wielkiego spadku Mp. kilkaset razy wyższą wartość, niż suma zaofiarowana ale w Mp. Wobec tego Fliederbaum złożyli sumę zaofiarowaną do depozytu sądowego i wnieśli pozew o wykreślenie z księgi hipotecznej swego długu wraz z kaucją. Sądy Okręgowy i Apelacyjny wydały wyroki po myśli żądania dłużników. Jednak Sąd Najwyższy wyrok Sądu apelacyjnego uchylił i sprawę do ponownego rozpoznania temuż Sądowi przekazał, nie podając oczywiście jako Sąd Kasacyjny, ile dłużnicy winni są zapłacić wierzycielce w Mp., ale zaznaczył we wyroku wyraźnie, że nie wynika z niego bynajmniej, aby spłata nastąpić miała, jak Kunke żąda, w złocie, gdyż wobec niepomiernie wysokiej ceny tego kruszcu, uiszczenie złotem ekwiwalentu 28.000 rb. spowodowałoby wielką stratę dłużników, a może nawet zupełną ich ruinę majątkową. /Nadmieniam, że wartość marki polskiej w lutym r.1922 przedstawiała wartość mniej więcej 500 razy niższą, aniżeli w czasie pierwotnej jej emisji; /p.§ 2 rozp.Prezyd. Rp.z 24 ma 1924/.

Zgodnie z życzeniem redakcji O.S.P. napisałem ~~gkx~~ glosę do wyroku S.N., która objęła 34 str. w osobnej broszurze; a ogłoszona została naprzód w I tomie O.S.P. pod L. 461.

W niej omówiłem - o ile to było możliwe - wszechstronnie problem ewentualnej waloryzacji wierzytelności pieniężnych w ogólności, zdeprecjonowanych katastrofal-

nie przez nadmierną emisję biletów bankowych.

Nie będę oczywiście w moich "Wspomnieniach" streszczał wywodów prawnych w głosie przedstawionych. Kogo by problem ten szczególnie zaciekawił, może przeczytać głosę w O.S.P.. - Ale na kilka punktów natury ogólnej zwrócę tutaj uwagę, aby dla Szanownych Czytelników dać z góry odpowiedź na te liczne zarzuty - nawet inwektywy - wierzycieli lub dłużników, podnoszone przeciw waloryzacji tak, jak ja ją już w głosie a później w projektach pojąłem i zaproponowałem i jak ona weszła w zastosowanie na podstawie rozporządzenia z dn. 14 maja 1924 r.

Wierzyciele żalili się, że nie mają dostawać od dłużników przez waloryzację <u>wszystkiego</u>, co stracili przez deprecjację pieniądza, a wielu z nich oczekiwało waloryzacji w pełnej wysokości w złocie; dłużnicy zaś podnosili z oburzeniem, że w ogólności coś dopłacać mają do swych nominalnych długów, bo to burzy porządek prawny, na pieniądzu oparty - przywraca się bowiem do życia ponownie w części czy całości długi już umorzone.

Otóż naprzód zaznaczam tu jeszcze raz, o czym już pisałem powyżej, że Rząd nasz, wstępując w ślady państw zaborczych, zaspakajał potrzeby Rzeczypospolitej przeważnie za pomocą nadmiernej emisji biletów bankowych /a przez to <u>faktycznie wywłaszczał</u> w części a często prawie w całości wszystkich, co mieli kapitały w jakichkolwiek wierzytelnościach - używam tego określenia w znaczeniu najszerszym, obejmującym i tych, co posiadali bilety bankowe, weksle, czeki, obligacje, priorytety, listy zastawne, książeczki opiewające na wkładki oszczędnościowe i tych co pobierali renty życiowe lub inne renty, dalej tych, którym należały się ceny kupna w całości lub części

n.p. za sprzedane posiadłości miejskie lub wiejskie lub inne przedmioty; tych co mieli pretensje odszkodowawcze n.p. z powodu wypadków kolejowych, wyrządzenia im szkód na ciele lub mieniu przez t.zw. czyny niedozwolone; wierzycieli mających pretensje ze zwykłych pożyczek czy pożyczek hipotecznych itd. itd. Ze stratami wszystkich tak wywłaszczonych osób łączyło się bezpowrotne zniszczenie olbrzymich kapitałów społeczeństwa, bo państwo, na rzecz którego wywłaszczenia nastąpiły, zużyło kapitały na swe potrzeby, a było bankrutem, który ich zwrócić nie mógł.

Czyż wobec takiej sytuacji istniał jakiś środek ratunku dla tych różnych skrzywdzonych wierzycieli? Na to odpowiedź jest następująca: O ile wierzyciele mieliby pretensje do państwa jako posiadacze zdeprecjonowanych biletów bankowych, ratunek dla nich był zupełnie wykluczony, gdyż państwo nie mogło i nie może stworzyć z powrotem tych miliardowych kapitałów, które przez emisję banknotów bez pokrycia zginęły. Ale rzecz przedstawia się poniekąd inaczej, gdy chodzi o wierzytelności, w których dłużnikami są różne osoby prywatne a nawet często publiczne, w szczególności także państwo, ale państwo nie jako instytucja zwierzchnia, która, wykonując swe prawa suwerenne, wprowadzała przez bank emisyjny w obieg znaki pieniężne, mianowicie bilety bankowe, ale państwo jako zwykły dłużnik n.p. gdy kupowało różne przedmioty a ceny nie zapłaciło, gdy zaciągało pożyczki itp. W takich to razach przed prawnikiem występuje problem waloryzacji na podstawie pytania: Czy jest rzeczą zgodną ze sprawiedliwością - skoro kapitałów straconych oczywiście odtworzyć nie można, - żeby olbrzymie straty połączone ze zniszczeniem tytułów

kapitałowych, - ponosili sami tylko wierzyciele, jak się to dotychczas działo? Czyż te wielkie straty nie mogliby a nawet nie powinniby ponosić w drodze sprawiedliwej repartycji także dłużnicy zwłaszcza wtedy lub o tyle, gdy lub o ile oni sami zbogacili się z krzywdą wierzycieli a więc niesłusznie przez to, że uwolnieni zostali od swych zobowiązań prawie w całości lub w znacznej części? Na to pytanie odpowiedziałem wbrew bardzo rozpowszechnionym w społeczeństwie polskim poglądom /opierającym się n.p. na paremiach niemieckich "Mark ist Mark" "Krone ist Krone"/, że repartycja w zasadzie i w ogóle nastąpić powinna, że jest onauzasadniona w ogólnych zasadach praw u nas obowiązujących, oraz w naszym poczuciu prawnym, zwanym także prawem intuicyjnym, prawem prawym lub krótko mówiąc, sprawiedliwością. Niech przez taką repartycję wierzyciele otrzymają od dłużników choćby w części zwrot tego, co stracili, przez wywłaszczenie przez państwo dokonane.

Ale taka pozytywna odpowiedź, popierająca w zasadzie t.zw.waloryzację,nasuwa zadanie nader trudne i złożone. Trzeba bowiem oznaczyć miarę, według której repartycja szkód ma nastąpić, a czynników, z którymi sprawiedliwość liczyć się przy tym musi, jest nieskończona ilość. Niech kilka przynajmniej zdań i przykładów rzecz wyjaśni:

Wierzyciele - jak wspomniałem - podnosili głosy: Miara jest bardzo prosta; trzeba ustalić tylko, jaką wartość w złocie przedstawiała należność w chwili powstania tytułu prawnego i niech dłużnik zapłaci wierzycielowi tę samą wartość w złocie, bo on zbogacił się o tyle, o ile dług jego przez spadek wartości pieniądza pomniej-

szył się w międzyczasie. Taka zasada ogólna uchybiałaby słuszności. Przecież przez wojnę społeczeństwo całe - z małymi wyjątkami, uległo zubożeniu, a istnieją okolice, które przez wojnę szczególnie zniszczone zostały, lub są warstwy społeczne, które szczególnie ucierpiały. Czyż można żądać, n.p. ażeby właściciel posiadłości wiejskiej, w której nieprzyjaciel zabrał inwentarze, spalił zabudowania, tak, że mu została naga ziemia miał spłacić wierzytelność hipoteczną w żądanej przez wierzyciela mierze ekwiwalentu złota, jako "zbogacony dłużnik". Spełniając takie żądania wierzycieli, doszlibyśmy do rezultatu, że w społeczeństwie tak bardzo przez wojnę zrujnowanym, wierzyciele wzbogaciliby się niepomiernie wobec znacznego podniesienia się wartości złota, a dłużnicy musieliby częstokroć stracić resztę swego mienia, by spłacić i naprawdę zbogacić niesłusznie wierzycieli. Jednak z drugiej strony: Czyż, jeżeli n.p. A sprzedał swą realność przed wojną osobie B za 100.000 rubli, a otrzymał 50.000 rubli a drugą połowę zapłacić miał kupujący B w 8 lat później, nie powinien ten co kupił - o ile nie zachodzą jakieś wyjątkowe okoliczności - zapłacić sprzedawcy obecnie mniej więcej wartość połowy realności, jaką ona przedstawia w tym stanie, w jakim znajduje się obecnie, gdy druga połowa ceny ma być zapłacona? Albo: A płacił w Zakładzie Ubezpieczeń przez lat 30 składki, aby na stare lata mieć utrzymanie, czy w tym przypadku Zakład Ubezpieczeń nie ma być obowiązany do płacenia renty staruszkowi możliwie najwyższej w granicach oczywiście aktywów Zakładu? Albo czyż podobnego stanowiska nie zajmie się z punktu widzenia sprawiedliwości w znanym mi przypadku: A postrzelił w r.1912 na polowaniu chłopa z nagonki tak nieszczęśliwie, że chłop ociemniał. Sąd przy-

znał poszkodowanemu dożywotnią rentę po 30 koron miesięcznie; czyż i tu nie należało wobec zdeprecjonowania pieniądza przyznać poszkodowanemu renty pod względem efektywnej wartości najwięcej zbliżonej do tej, jaką ona reprezentowała w czasie wydania przez sąd wyroku? Lecz czyż podobnie wysoka miara waloryzacji ma być przyznawana, gdy chodzi o spłatę zwykłych pożyczek, udzielanych przez kapitalistów, którzy zarobkowo i spekulacyjnie zajmowali się wypożyczaniem pieniędzy, albo, gdy chodziło o spłatę weksli, przy których z reguły tytuł zobowiązania jest dla jego powstania i treści obojętny itd?

Tych kilka przykładów przytoczyłem dlatego, aby na nich zilustrować, że miara waloryzacji nie może być jednakowa i że jej wysokość zgodnie ze słusznością a za nią i ze sprawiedliwością zależeć powinna od różnych okoliczności i czynników, między którymi w pierwszej linii znaczenie mieć powinny różnice w rodzajach tytułów, z których zobowiązania powstały.

Praca nad projektem głównego rozporządzenia waloryzacyjnego z dn.14 maja 1924 r.

W lutym 1923 r. w kilka tygodni po pojawieniu się glosy w druku otrzymałem list p.Władysława Grabskiego, ministra Skarbu w gabinecie generała Władysława Sikorskiego z zaproszeniem, abym przybył do niego na dłuższą rozmowę w sprawach waloryzacyjnych. P.minister powiedział mi, że glosę moją nie tylko przeczytał, ale i przemyślał, że do zapatrywań w niej przedstawionych prawie w zupełności przystępnie, , jednak pragnąłby zobaczyć, jakby one wyglądały, ujęte w formie ustawy - ale ustawy, nie

tylko wskazującej, pod jakimi warunkami waloryzacja jest możliwa i jaką drogą i metodą szukać sprawiedliwości należy, ale wprowadzającej nadto, gdzie się tylko da, szablonowe przepisy, któreby ułatwiły w praktyce waloryzację masową bez konieczności szukania dla niej miary sprawiedliwej w przypadkach poszczególnych. Pan Minister wyraził następnie życzenie, bym projekt ustawy waloryzacyjnej na razie we formie szkicu /avant - projekt/ opracował i jemu wnet przedłożył. Dodał, że zdaje sobie sprawę z tego, iż waloryzacja tytułów prawnych będzie możliwa dopiero wtedy, gdy wprowadzony zostanie w Polsce stały miernik wartości i dlatego także stara się i starać się będzie, by wprowadzić w Polsce nową walutę ugruntowaną na pełnym pokryciu, a równocześnie wstrzymać dalszą inflację marki polskiej, która rujnuje gospodarczo a nawet moralnie nasze społeczeństwo i podkopuje autorytet Polski. W końcu p.Grabski nadmienił, że prosi o moją pomoc przy waloryzacji jednak z ograniczeniem jej do należności prywatno-prawnych, gdyż ewentualna waloryzacja należności publiczno-prawnych ma być na prośbę kilku urzędników Ministerstwa Skarbu opracowana w samym Ministerstwie.

Zadania podjąłem się, jakkolwiek odczuwałem, co wyraźnie p.Ministrowi oświadczyłem, że zadanie to jest nie tylko bardzo trudne, ale także przykre i niewdzięczne: Trudne - bo problem jest bardzo obszerny i złożony, a wzorów żadnych właściwie nie ma, skoro owe waloryzacje z pierwszych lat XVIII wieku, w czasie i po wojnach napoleońskich dokonywane, wskazują chyba tylko, jakimi waloryzacje być nie powinny. /Waloryzacje opierano wówczas

jedynie na czysto mechanicznym przerachowywaniu tytułów według zmian wartości pieniądza w stosunku do srebra/. Zadanie jest jednak także bardzo niewdzięczne, bo rezultat najusilniejszej pracy spotka się zawsze z niezadowoleniem i ostrą krytyką a to zarówno obowiązanych do spłat, którzy przez to w porównaniu z nominalnymi sumami, w tytułach prawnych oznaczonymi, tracą przez waloryzację jak i uprawnionych do żądania spłat, bo częściowa tylko waloryzacja /a innej, zdaniem moim, przeważnie dopuścić nie można/, zawiedzie ich nadzieję odzyskania w pełni tego, co przez deprecjację pieniądza stracili, wreszcie także prawników i społeczeństwa na ogół, gdyż w dziedzinie tak trudnych i dotychczas nie rozwiązanych kwestyj, trzeba stawać się pionierem, który nowe drogi wskazuje. Śmiałków takich karze się, wyśmiewa, a przynajmniej udziela się im surowych upomnień lub pisze się im złe noty. Dopiero ci, co potem przychodzą, gdy opozycja słabnie, mogą już spokojnie budować drogi we wskazanym poprzednio, co prawda, nieraz pod wpływem krytyki ulepszonym kierunku. Taki jest porządek rzeczy na tym świecie.

Uwagi moje, przewidujące krytyki i protesty okazały się zasadniczymi, bo już sama myśl, żeby u nas w drodze ustawodawczej uregulować oddziaływanie deprecjacji pieniądza na tytuły prywatno-prawne, wywołała opozycję. /P. zwłaszcza artykuł Tilla w "Przeglądzie prawa" p.t. Lex Zoll"/. Czyż - podnoszono m.i. problem taki da się rozwiązać, czyż któreś z państw podjęło się dotychczas tego zadania, czy nie wywoła to chaosu i ruiny różnych jednostek gospodarczych, a zwłaszcza wielu żywotnych instytucji finansowych, czy zyski nie przypadną stąd różnym, wrogim nam cudzoziemcom, czy deprecjacja nie jest

objawem i skutkiem wojny, z którą tak samo trzeba się pogodzić, jak pogodzono się z konieczności ze śmiercią tylu milionów ludzi, z okaleczeniem wielu, ze zniszczeniem licznych majątków?

Niewątpliwie wiele w takich zarzutach mieści się trafnych spostrzeżeń. Niewątpliwie nie można marzyć o tym, aby przywrócono wartości, których już nie ma, które zniknęły bezpowrotnie w bezprzykładnej, w nadmiernej emisji biletów pieniężnych, w kosztach wojen państw zaborczych i wojen jakie prowadziła Polska, oraz w złej gospodarce naszego państwa. Te dobra nie odżyją tak samo, jak nie odżyją ci, co w walkach polegli. Także zubożenia ogólnego żaden ustawodawca nie może odwołać. Pod tym względem oponenci mają słuszność, ale też nikt ze zwolenników waloryzacji nie łudzi się, żeby tego rodzaju cele dały się urzeczywistnić. Również nie można oponentom odmówić słuszności, gdy wskazują, jak trudnym i złożonym jest problem waloryzacji. Trzeba im także przyznać rację, że waloryzacja wywoła nowe, nieraz nieoczekiwane przesunięcie się wartości i dóbr z jednych majątków do drugich, że będzie bolesną dla wielu, a wymaga wysiłku i wielkiej pracy organów, do jej urzeczywistnienia powołanych.

A jednak mimo to wszystko katastrofalna deprecjacja pieniądza powinna spowodować waloryzację tytułów prawnych a waloryzacja nie może obejść się bez ustawy, którąby podała kierunek i udzieliła wskazówek, w jaki sposób i w jakich granicach waloryzacja może się odbyć.

Powody, dla których uważam waloryzację za konieczną naszkicowałem już powyżej a tkwią one, jak podałem, w postulatach sprawiedliwości, o ile z deprecjacją pieniądza

łączy się zbogacenie takich dłużników, którzy bez własnej ruiny mogą spłacić odpowiednio powiększone już prawie wygasłe długi. Że zaś powszechna waloryzacja nie może obejść się bez ustawy, tego dowiodła wielka rozbieżność w poglądach na kwestię waloryzacji, jakie nurtowały w społeczeństwie, a w szczególności wśród prawników i sędziów. Chaos zapanował tak powszechny, że coraz częściej podnosiły się głosy, zwłaszcza w prasie codziennej, domagające się wydania jakiejś ustawy, któraby wskazała i utrwaliła, co jest prawem obowiązującym, względnie co nim ma być.

Życzenie p.ministra Grabskiego spełniłem i w maju 1923 r. przedłożyłem mu rodzaj avant-projektu ustawy, obejmującej 35 artykułów wraz z krótko skreślonymi motywami. Projekt ten ogłoszony został drukiem w krakowskim "Czasopiśmie Prawniczym".

Na mogą prośbę p.Grabski, wraz ze mną przeprowadził dwudniową ankietę, aby wysłuchać nieco głosów z różnych sfer społeczeństwa. Jednak dalsze nasze prace zostały przerwane przez dymisję p.min.Grabskiego. Jego następcy /pp.Linde i Kucharski/ sprawami ogólnej i zasadniczej waloryzacji widocznie się mało interesowali.

Jednak w grudniu tegoż roku /1923/ p.Wład.Grabski ponownie objął tekę ministra Skarbu /po raz trzeci/ a równocześnie został prezesem Rady Ministrów /po raz drugi/.

Już w styczniu 1924 r. p.Grabski zaprosił mnie do siebie i powiedział: "Trzeba będzie, Panie Rektorze teraz opracować ostateczny projekt ustawy waloryzacyjnej względnie rozporządzenia Prezydenta Rp.; mam także w planie najbliższym wprowadzenie ~~złotego~~ złotego polskiego

i chcę skończyć z inflacją marki polskiej." Na to odpowiedziałem: "Panie Premierze, proszę jednak pamiętać, że obecnie dla waloryzacji takiej, jaka jest możliwa i w sprawiedliwości uzasadniona są warunki nierównie trudniejsze, niż były w czasie, gdym się do pracy na Pańskie zlecenie zabierał. Przed rokiem wierzyciele w swych nadziejach i roszczeniach byli bardzo skromni; uważali wówczas za wielkie szczęście, jeżeli mogli swe pretensje /nawet wierzytelności hipoteczne/ sprzedać za 1% pierwotnej wartości. Ale od tego czasu nadzieje ich na wysoką waloryzację tak się podniosły, wobec przez Rząd stanowczo rozpoczętej pracy nad projektem waloryzacji i pewnej zmiany na ich korzyść judykatury sądowej, że jeżeli wystąpię z projektem takim, jaki według mego sumienia i poglądu prawniczego da się w pełni uzasadnić, natenczas powieszą mnie w Warszawie na pierwszej lepszej latarni". Na to p.Grabski odrzekł: "Przecież mi Pan, Panie Rektorze, nie chcesz odmówić przyrzeczonej mi przed rokiem pomocy? Włożyłeś Pan już tyle pracy w plan waloryzacji. Trzeba teraz rzecz dokończyć - zwłaszcza, że waloryzacja, jak Pan sam uznajesz jest koniecznością. Ktoś musi się poświęcić!" Na to odpowiedziałem: "Nie miałem zamiaru usunięcia się od spełnienia zadania, ale uważałem za swój obowiązek zwrócenia uwagi Pana Premiera na to, że z tym zadaniem naszym łączą się obecnie znacznie większe niebezpieczeństwa, aniżeli wówczas, gdy waloryzacji nie traktowano jeszcze jako projekt stanowczy". Dodałem żartobliwie: "Pan Premier zapewne zapomina, że latarń w Warszawie jest dużo, a na najbliższej latarni ~~nie~~ może zawisnąć ten, kto projekt rozporządzenia waloryzacyjnego przedłoży Prezydentowi Rp.

do podpisu". Opowiedziałem także p.Grabskiemu jaki to los spotkał owego hofrata z Oberste Justizstelle w Austrii, który opracował projekt patentu cesarskiego z dn. 20 lutego 1811 r.1.929 Zb.u.z. Skutkiem nadmiernej emisji w Austrii pieniężnych znaków papierowych w czasie wojen napoleońskich i potem, nastąpiła znaczna jak na ówczesne czasy - zniżka wartości t.zw. bankocetli w stosunkxxku do guldenów srebrnych, tak, że w r.1811 gulden papierowy przedstawiał wartość 13-cie razy niższą, niż gulden srebrny. To było powodem waloryzacji zarządzonej patentem z r.1811, która wywołała gorszy chaos ekonomiczny, niż ten, jaki panował przed waloryzacją. Wielu ludzi z rozpaczy życie sobie odebrało, a autora projektu patentu cesarskiego tak pobito, że w pół roku potem zmarł.Jednak na końcu tej smutnej opowieści o prawdziwym zdarzeniu dodałem, na pocieszenie p.Premiera uwagę, że patent cesarski był tak powierzchownie i licho ułożony, iż autor projektu zasłużył sobie - zdaniem moim - na ciężką karę.

Po tym wstępnym, nieco humorystycznym dialogu p.Minister powiedział mi, że postara się dla mnie o urlopy urzędowe w Uniwersytecie Jagiellońskim i w Komisji Kodyfikacyjnej na kilka miesięcy, zaofiarował mi mieszkanie w Ministerstwie Skarbu itd., bylebym oddał się w zupełności pracom nad ułożeniem definitywnym projektu, Ja poprosiłem nawzajem o polecenie Urzędowi Statystycznemu, aby na moje życzenie dostarczał mi z największym pośpiechem wszelkich żądanych przeze mnie dat, o powołanie do życia Komisji, którąby wyrażała swe opinie, gdy ją o to prosić będę - w końcu o przydzielenie mi do pomocy w myc pracach Dra Bronisława Hełczyńskiego z Prezydium Rady Ministrów, którego znałem dobrze z Krakowa, jako swego

byłego ucznia i uważałem go za wybitnie uzdolnionego prawnika. P.Premier zastosował się do moich życzeń, chociaż bardzo niechętnie, o ile chodziło o powołanie do życia Komisji, obawiał się bowiem, że przez to prace nad projektem mogą ulec zwłoce. Zgodził się ostatecznie na Komisję /a to/ w składzie następującym, przezemnie zaproponowanym: Sędzia S.N.dr.Bujak, poseł na sejm Chełmoński, radca prawny Ministerstwa Przemysłu i Handlu Dziewanowski, dr.Gałuszka, Dyr.Państw.Urzędu Kontroli Ubezpieczeń Dr.Gruber, radca Min.Skarbu Januszkiewicz, adwokat Kuratowski /senior/, dyrektor ustawod. do p. Min. Sprawiedliwości dr.Müller, dr.Aleksander Raczyński, sędzia S.N.prof. Stelmachowski, radca Prokuratorii Generalnej Werner, radca Państw.Urzędu Kontroli Ubezpieczeń Weryho, wreszcie ja jako przewodniczący a dr.Hełczyński jako sekretarz Komisji i mój pomocnik.

Czytań projektu odbyło się w tej Komisji pięć. Kilka paragrafów projektu, dotyczących tematów szczegółowych, opracowali na moją prośbę członkowie Komisji, zwłaszcza pp.Müller, Raczyński, Werner i Weryho. Prawie codziennie rano o godzinie 8-ej przybywałem do biura pana Grabskiego w Min.Skarbu i zdawałem mu sprawę z postępów pracy. Interesował się nimi nadzwyczajnie. Rzadko kiedy wyrażał krytyczne uwagi lub sprzeczne poglądy, ale się nie upierał przy swych zdaniach, jeżeli ja stanowczo oponowałem. Raz tylko powstał między nami ostrzejszy spór a ponieważ p.Grabski od swego zdania nie odstąpił, musiałem ja ulec i wprowadzić do projektu przepis niezgodny z moją propozycją. Wszak decyzja należała do niego. Chodziło mianowicie o to, w jakim stopniu przewartościo-

wywać wierzytelności hipoteczne, ciążące na posiadłościach ziemskich /wiejskich/, położonych w b.Królestwie Kongresowym. Ja, opierając się na danych, dostarczonych mi przez Urząd statystyczny byłem za przewartościowywaniem tych wierzytelności w 33%, a p.Grabski był za 50%. Uzyskałem jedynie to, że co do niektórych obszarów pan Premier zgodził się na 42%-wą waloryzację /p.zresztą §6 rozp.Prez.z 14 maja 1924/. P.Grabski, motywując swe stanowisko, powiedział mi wówczas m.i.: "Zresztą proszę Pana, ja sam jestem ziemianinem z tego obszaru i dlatego znam stosunki bardzo dobrze. Wiem, że obywatele ziemscy, mimo zniszczeń wojennych, które na ogół nie były na tym obszarze zbyt wielkie, są przeważnie[x/] w stanie spłacić swe długi w wysokości 50% otrzymanej wartości." Jednak po dwóch latach, kiedy spotkałem się przygodnie z p.Grabskim, powiedział mi on, że obecnie przekonał się z żalem, iż w sporze owym, czy waloryzacja wierzytelności hipotecznych na obszarze b.Król.Kongr. miała być 50%-wa czy 33%-wa, nie on, lecz ja miałem słuszność; widzi bowiem coraz częściej, że stawka 50% jest stanowczo z reguły za wysoka i dlatego trzeba ze względów słuszności wprowadzać zbyt często wyjątkowe zniżki w waloryzacji, przewidziane w § 36 rozporządzenia.

Projekt rozporządzenia podpisał p.Prezydent Rp. Wojciechowski dn.14 maja 1924, a otrzymało ono moc obowiązującą z dniem ogłoszenia, które nastąpiło dnia 21-go maja 1924 r. w Dz.U.Nr.42 poz.441.

---

x/ Wyjątki były zastrzeżone w projekcie. P.co do nich zwłaszcza § 36 rozp.Prez.

O treści rozporządzenia nie piszę, gdyż dla niej nie ma miejsca we "Wspomnieniach". A zresztą byłoby to zbyteczne, bo wpólnie z p.Hałczyńskim opracowaliśmy na podstawie zebranych motywów dziełko, objaśniające rozporządzenie i oddaliśmy je do druku już w czerwcu 1924 r., a w pół roku potem okazało się drugie wydanie tejże książki z różnymi dodatkami i uzupełnieniami, obejmujące około 500 str.druku. W ~~którym~~ książce tej zamieściłem na str.284 do 297 "Objaśnienie dla nieprawników", aby ułatwić rzut oka na treść rozporządzenia, zrozumienie a nieraz i stosowanie przepisów rozporządzenia osobom, które nie uczyły się prawa. Za ten dodatek otrzymywałem nawet nieraz podziękowania.

Tylko jedną rzecz na końcu tych uwag, dotyczących rozp.Prez.z 14 maja 1924 r. jeszcze raz zaznaczę i zaakcentuję, aby tym dokładniej wyjaśnić, jak zarzuty podnoszone przeciw treści rozporządzenia ze strony głównie wierzycieli, polegały na zupełnym nierozumieniu funkcji, jaką rozp.Prez. miało spełnić. Wierzyciele występowali, jak wspomniałem, ze skargami, że przez rozporządzenie zostali ze swych praw uczciwie nabytych wywłaszczeni skutkiem zbyt niskiej miary waloryzacyjnej, zwłaszcza przyjętej dla pretensji pochodzących z pożyczek. Otóż przypomnieć muszę raz jeszcze, że "wywłaszczenie" wierzycieli wprawdzie nastąpiło, ale nie przez rozporządzenie, lecz przez nadmierną emisję biletów bankowych. Trudno bowiem nie mówić o "wywłaszczeniu", jeżeli wierzyciel w ostatnim czasie inflacji znaków pieniężnych otrzymywać miał od dłużnika, gdy chodziło o tytuły pochodzące zwłaszcza z czasów dawniejszych milion osiemset tysięcy razy mniej

w wartości, niż to, comu się należało. Tego wxławłxxzx wywłaszczenia nie można było usunąć. Prawnicy nie są cudotwórcami, nie mogą więc także wskrzesić tego, co zamarło lub zginęło, t.j. nie mogli wskrzesić kapitału, który tkwił w różnych wierzytelnościach. Ale prawnicy mogli uczynić coś innego. Mogli te wielkie straty, jakie wierzyciele ponieśli przez inflację bezwartościowych znaków pieniężnych, przerzucić w większych lub mniejszych częściach na dłużników, o ile oni przez umorzenie wierzytelności odnieśli korzyści. Do tego dawało im podstawę obowiązujące prawo cywilne w kilku kardynalnych zasadach, z których najważniejszymi są: że nikt nie powinien bogacić się "niesłusznie", co znaczy nieuczciwie z krzywdą drugiego i dlatego powinien swe niesłuszne zbogacenie zwrócić pokrzywdzonemu; że dalej czynności prawne, a zwłaszcza umowy zobowiązują nie tylko do tego, co strony <u>wyraźnie</u> oświadczyły, ale także do następstw, wynikających dorozumianie z ich woli zgodnej z uczciwością; że bez względu na to, z jakiego tytułu zobowiązanie powstało, czy z czynności prawnej, czy z jakiegoś czynu dozwolonego lub niedozwolonego, czy z innego zdarzenia, dłużnik powinien wykonać swe zobowiązanie zgodnie z zasadami uczciwego obrotu;x/ że wreszcie zobowiązanie każde wygasa, w całości lub odpowiedniej części przez przedmiotową niemożność spełnienia należnego świadczenia. Lecz te i

---

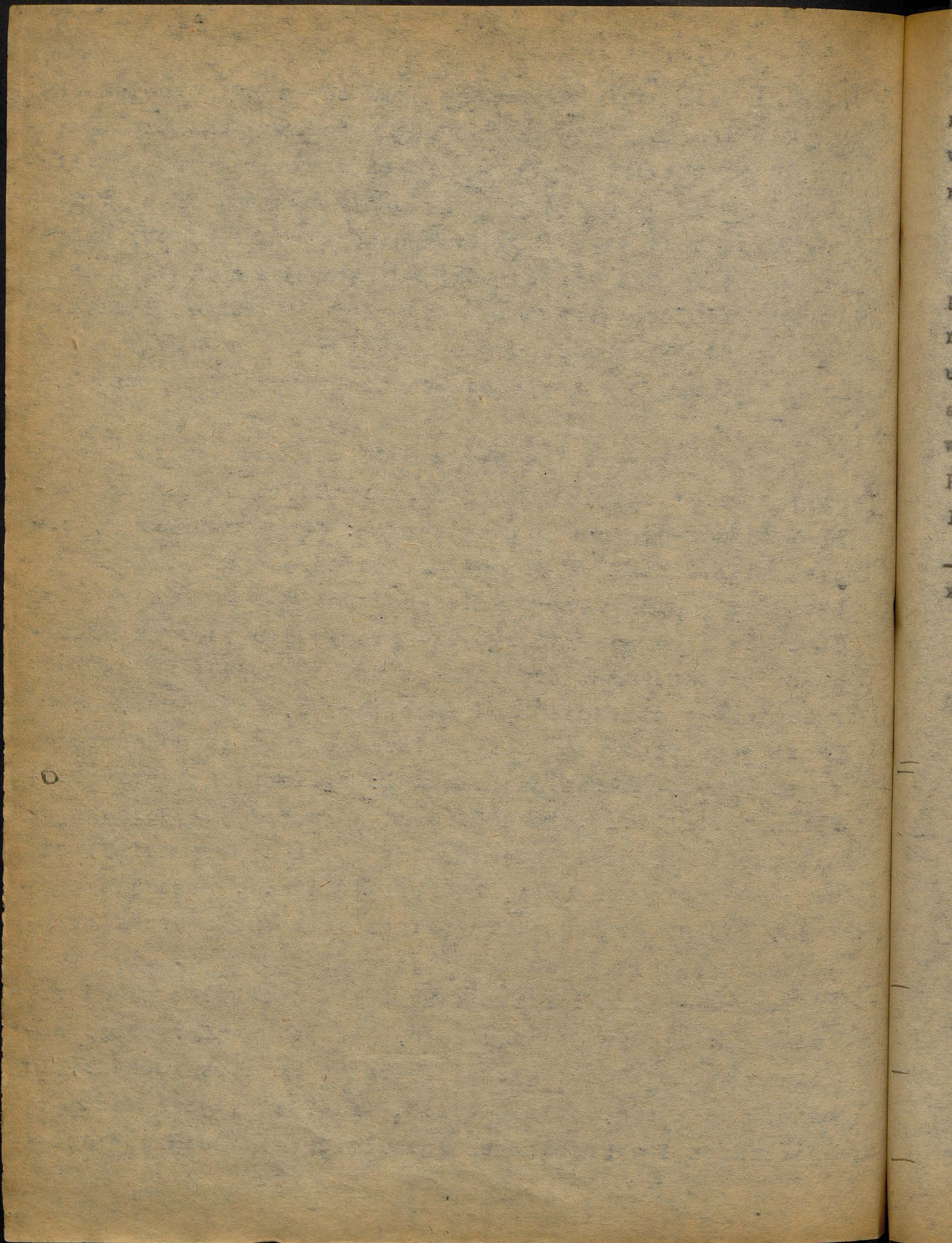
x/ /Zasada ta nie dość wyraźnie podana w Kod.Nap. i w K.c.austr., określona została dość dobitnie w § 242 k.c.n., a lepiej w r.1933 w polskim k.zobow. w art. 189/.

inne jeszcze mniej donioałe, ale również trafne zasady są jednak prawie tak ogólne i dlatego mało uchwytne, jak zasady starorzymskie: "honeste vivere, neminem laedere, suum cuique tribuere". Aby je więc zgodnie ze sprawiedliwością w życie wprowadzać, trzebaby każdy przypadek indywidualnie i wszechstronnie zbadać i dla niego waloryzację właściwą ustanowić. Tymczasem życie codzienne wymaga norm szablonowych, łatwo stosowalnych, wymaga, żeby nie z każdym przypadkiem zwracać się do sądu państwowego, czy polubownego, ale znaleźć w ustawie gotowy szematyczny przepis. Otóż rozporządzenie licząc się z takimi potrzebami życiowymi, podało wprawdzie ogólne normy zwłaszcza w §§ 28 i 29, według których miara waloryzacji ma być oznaczona w braku zgody stron, po zbadaniu danego przypadku według szeroko ujętej swobody w uznaniu sądów, ale obok nich zamieściło także w §§ 5 do 27 szczegółowe przepisy, które ustanawiają dla waloryzacji w licznych grupach przypadków bardzo konkretne, szematyczne podstawy. Ale nawet i w tych grupach przypadków ustawodawca dozwala odstępować od przepisów, gdy zachodzą szczególnie na uwzględnienie zasługujące okoliczności /p.n.p.§§ 11, 36, 37 i inne/.

Jednak w grupie tych szematycznych przepisów nie można było przyjmować zbyt wysokich stawek waloryzacyjnych, boby one były mogły wywołać wstrząsy gwałtowne w życiu gospodarczym społeczeństwa. Trzeba zatem było liczyć się z tym, że bądź co bądź wywłaszczenie wierzycieli stało się faktem dokonanym i trwało przez czas dłuższy, podobnie jak zwolnienie dłużników od ich zobowiązań. Odczuwali ten wzgląd - jak zaznaczyłem - wierzyciele, gdy

zadawalniali się w ostatnich czasach, zanim problem waloryzacji stanął poważnie i stanowczo na porządku dziennym, bardzo małymi spłatami swych pretensji lub odsprzedawali wierzytelności za ceny nader niskie. Gdyby rozporządzenie z 14 maja 1924 r. wydane zostało choćby o rok wcześniej /akcja waloryzacyjna przerwana została przez dymisję ministra Grabskiego w połowie r.1923/, apetyty wierzycieli byłyby znacznie skromniejsze i skargi na niską waloryzację w przepisach szablonowych znacznie słabsze.

W rok przeszło po pojawieniu się naszego rozporządzenia waloryzacyjnego Niemcy zerwali stanowczo ze swoją do znudzenia powtarzaną zasadą: "Mark ist Mark", zresztą kilkakrotnie w przepisach szczególnych przełamaną i wydali ogólną ustawę waloryzacyjną o rok później /16 lipca 1925/ - jak się zdaje - przyjmując wzory z naszego rozporządzenia. Ale funkcję ustawy lepiej na ogół rozumiano w społeczeństwie niemieckim, niż u nas, bo skarg o zbyt niskie miary waloryzacyjne nie podnoszono a waloryzację określano słowami: "Aufwertung der verlorenen Werte" t.zn. "podnoszenie wartości już utraconych". Ale chcąc w ustawie niemieckiej podać lepsze normy, od oznaczonych w polskiej, nie przyjęli m.i. naszej zasady § 40, według której wierzytelności umorzone przez przyjęcie zapłaty, nie mogą być już waloryzowane. Dlatego to rozszerzyli waloryzację także na już spłacone wierzytelności. Ale tu się pokazało, jak przy waloryzacji należało zachowywać w każdym kierunku konieczny umiar, liczący się z tym, co się stało. Waloryzacja zwłaszcza umorzonych i wykreślonych już wierzytelności hipotecz-



nych wywołała w Niemczech nadzwyczajne trudności, a nawet chaos, o którym w pismach niemieckich z żalem pisano.

Wprowadzenie natychmiastowe w życie głównego rozporządzenia waloryzacyjnego obejmującego prywatno-prawne wierzytelności było możliwe, bo p.premier Grabski utorował mu drogę już poprzednio swą akcją przez szereg aktów ustawodawczych. Naprzód mianowicie Sejm polski w ustawie z dn.11 stycznia 1924 r. o naprawie Skarbu Państwa i reformie walutowej /Nr.4 Dz.U.poz.28/ udzielił Rządowi bardzo szerokich pełnomocnictw, x/ poczem

---

x/ Dlaczego sprawy tak ważne jak naprawa Skarbu Państwa i reforma walutowa nie miały byc załatwione w drodze ustawy, lecz w drodze rozp.Prez.Rp., dlaczego Sejm nasz udzielił dla ich uregulowania Rządowi pełnomocnictw, które z punktu widzenia naszej Konstytucji z r. 1921 były nawet aktami nielegalnymi, skoro Konstytucja ta żadnych delegacji w zakresie władzy ustawodawczej nie przewidywała /inaczej jak późniejszą Konstytucja z r.1935/, o tym różnie sądzono. Niektórzy twierdzili, że jest to objaw nadzwyczajnego zaufania, jakim Sejm darzy premiera Grabskiego; inni, że Sejm nie czuje się na siłach, aby załatwic tak trudnej i wielkiej sprawy i to w czasie krótkim, a uważa ją za rzecz wprost palącą; że waloryzacja wywołałaby bezbrzeżne dyskusje w Komisjach i w plenarnych zebraniach. Inni jeszcze tłumaczyli sobie - po cichu - decyzję Sejmu względem, że reforma Skarbu, połączona z konieczności z większym obciążeniem społeczeństwa opłatami na rzecz Skarbu, nie będzie na ogół dobrze widziana a jeszcze gorzej przedstawia się sprawa waloryzacji,która jest nieunikniona a wywoła niewątpliwie nie tylko krytyki ale nawet oburzenie, a to albo wszystkich wierzycieli, gdy waloryzacja będzie niską, albo wszystkich dłużników,gdy będzie wysoką,albo jednych i drugich,gdy pojdzie drogą pośrednią. Lepiej zatem nie narażac sobie przyszłych wyborców,i dlatego trudne,a tak niepopularne zadanie powierzyc Rządowi i na Rząd przerzucic całe "odium" tej sprawy. Sądzę, że to ostatnie przypuszczenie było bliskie prawdy.

wyszło naprzód rozp.Prez.Rp. Dz.U.Nr.7 poz.65, które wprowadziło jako jednostkę monetarną w Rp.P. Złoty, zawierający 9/31 grama czystego złota. Zaraz potem wydane zostało rozp.Prez.Rp.Dz.U.Nr.12 poz.104, które jednym zamachem wstrzymało dalszą inflację marki polskiej. Po kilku jeszcze rozporządzeniach pojawiło się rozp/Prez.Rp.z dn.14 kwietnia 1924 r.Dz.U.Nr.34 poz.35, które relację marki polskiej do złotego ustaliło w wysokości 1,800.000 mk. pol.za 1 złotego a marce polskiej odebrało charakter prawnego środka płatniczego, począwszy od 1 lipca 1924 r.

Siedem rozporządzeń waloryzacyjnych z dnia 27 grudnia 1924 r.

Sądziłem, że po wyjściu na świat rozporządzenia z dn.14 maja 1924 r., które zwano w Polsce dość często krótko - za Tillem - "lex Zoll" - zadanie moje legislacyjne w zakresie waloryzacji zostało zakończone. Wprawdzie nie obejmowało ono przerachowania i przewartościowania należności publiczno-prawnych, ale nie stało się to tylko dlatego, jak wyżej podałem, gdyż premier Grabski, zaraz przy pierwszej ze mną konferencji z początkiem roku 1923, zastrzegł opracowanie waloryzacji tych należności wyłącznie dla Ministerstwa Skarbu, a to na prośbę kilku panów z tego Ministerstwa.x/ Panowie ci za-

---

x/ Z powodu tego zastrzeżenia mieści się w rozporządzeniu z 14 maja 1924 r.§ 42,który pod nagłówkiem "Wyłączenia" wylicza wyraźnie należności pieniężne,które nie podlegają "przerachowaniu" według rozporządzenia z 14 maja 1924 r. Między nimi wymienia ten § bliżej w nim określone zobowiązania Skarbu Państwa i terytorialnych Związków samorządowych.

dania sobie powierzonego nie skończyli w pierwszej połowie r.1924 t.j. w okresie, na który Sejm udzielił Rządowi pełnomocnictw, ale premier Grabski postarał się o przedłużenie ich ustawą dodatkową z dn.31 lipca 1924 r. aż do końca roku 1924. Ministerstwo Skarbu uzyskało więc dość czasu, aby zadanie mu pozostawione opracować.

Tymczasem spotkała mnie niewesoła niespodzianka: W drugiej połowie października 1924 r. otrzymałem telegram od p.Premiera, abym przyjechał zaraz do Warszawy. Kiedy się na wezwanie stawiłem, Premier powiedział mi, że pełnomocnictwa Rządu do wydawania rozporządzeń z mocą ustawy, w sprawach reformy walutowej wygasają, jak wiem, 31 grudnia 1924 r. Do tego terminu muszą być więc ostatecznie wydane wszystkie jeszcze potrzebne przepisy waloryzacyjne. Tymczasem p.Premier po konferencji, jaką odbył przed dwoma dniami ze swymi urzędnikami, widzi z przerażeniem, że, jakkolwiek niektóre prace postąpiły dość naprzód, ale nie ma prawie nadziei, ażeby wszystkie niezbędne projekty mogły być na czas przygotowane. Wobec tego prosi mnie gorąco, żebym się tą sprawą zajął, żebym objął "współudział i przewodnictwo" we wszystkich pracach nad rozporządzeniami, które mają zakończyć waloryzację tak, żeby one w Dz.U. jeszcze w r.1924 mogły być ogłoszone. Zadania tego podjąłem się na razie tylko warunkowo, a dopiero, gdy się z rzeczą nieco bliżej zapoznałem - bezwarunkowo, ale postawiłem i ja ze swej strony warunki, abym mógł organizować pracę, jak uznam za wskazane, powoływać komisje do pomocy, dawać polecenia w imieniu Premiera urzędnikom tak w ministerstwie Skarbu, jak - w razie potrzeby - i w innych ministerstwach.

Moje warunki przyjął premier z wszelką gotowością, "byle tylko rzecz była na czas ukończona". Podzieliłem zadanie na siedem grup, z których każda ma stanowić przedmiot osobnego rozporządzenia. Dla grupy pierwszej i siódmej powołałem do życia z powrotem Komisję waloryzacyjną, która mi pomagała przy opracowaniu głównego rozporządzenia z 14 maja 1924 r., a to dlatego, bo jej zadaniem miało być według mego planu, usunięcie pewnych usterek, wprowadzonych w § 35 i 35a głównego rozporządzenia waloryzacyjnego przez dodatkowe rozporządzenie Prez.z 28 czerwca 1924 r. /opracowane w Ministerstwie Kolei, bez udziału mego i naszej Komisji/ a nadto ułożenie norm, celem stosowania posiłkowego rozporządzenia z 14 maja 1924 r. w braku przepisów w innych rozporządzeniach waloryzacyjnych. Głównym referentem tej Komisji ustanowiłem dra Hełczyńskiego, zachowując dla siebie tylko przewodnictwo; w miejsce zmarłego p.Januszkiewicza powołałem dra Kulikowskiego a w miejsce p.Müllera, który na dłuższy czas wyjechał z Warszawy, dra Jaszczurowskiego. Opracowanie grup 2 do 6 pozostawiłem tym panom, którzy się odnośnymi zadaniami głównie dotąd zajmowali i posiadali niezbędne fachowe wiadomości, ułatwiając im jednak dalsze prace przez powołanie kilku sił pomocniczych. W tych grupach pracowali głównie pp.Czeremisinow z Państwowego Banku Rolnego, p.Krypski z Głównego Urzędu Likwidacyjnego, p.Werner z Prokuratorii Generalnej, Dyrektor Szpor z Banku Gospodarstwa Krajowego, radca Boryński z Ministerstwa Kolei, Dr.Kulikowski z Ministerstwa Skarbu, Dr. Hełczyński i inni jeszcze panowie. Praca postępowała ochoczo i szybko, tak, że 15 grudnia 1924 r. mogłem prze-

dłożyć Premierowi projekty siedmiu rozporządzeń, wygotowane - o ile mogłem sądzić - gruntownie i dobrze. P.Grabski najserdeczniej podziękował mi za me starania, a ja podziękowałem wszystkim współpracownikom w imieniu p.Grabskiego, a także i w imieniu własnym za ich wysiłki, bez których dzieło nie byłoby doprowadzone do końca.

Rada Ministrów przyjęła wszystkie projekty bez zmian a p.Prezydent podpisał je 27 grudnia 1924 r. po czym zostały ogłoszone w Nr.115 Dz.U.z r.1924 pod poz.1024-1030.

Bliższe wiadomości o tych rozporządzeniach znaleźć można w dziele już wyżej powołanym Zolla i Hełczyńskiego w drugim wydaniu z r.1925 a to naprzód krótko w przedmowie a obszernie na str.437 do 441.

Pisząc Wspomnienia o pracach nad rozporządzeniami waloryzacyjnymi tak o głównym z dn.14 maja 1924 r. jak i o dodatkowych z 27 grudnia tegoż roku, przypomniałem sobie następujące zdarzenie, które miało miejsce - zdaje mi się - w maju 1925 r. - początkowo dla mnie przykre, w końcu jednak ~~pomyślne a~~ nawet nieco zabawne.

P.Prezydent Rp., Stanisław Wojciechowski zaprosił do Belwederu wszystkich członków Komisji Kodyfikacyjnej na zebranie, którego celem miało być powzięcie jakichś postanowień, celem przyspieszenia prac tejże Komisji.

Przybyłem więc na oznaczony czas jeden z pierwszych i zostałem przedstawiony Panu Prezydentowi. Gdy usłyszał moje nazwisko, powtórzył je i zapytał: "Zoll, czy to nie ten Zoll, co opracował projekt waloryzacji zobowiązań pieniężnych?" Kiedy odpowiedziałem, że to ja właśnie nim jestem, Pan Prezydent odezwał się: "A więc to Pan jesteś

tą osobą, która swą pracą obniżyła autorytet Prezydenta Rzeczypospolitej". Kiedy odpowiedziałem, że tak ciężkiego zarzutu dobrze nie rozumiem i dlatego prosiłbym bardzo Pana Prezydenta o wyjaśnienie - odpowiedział on: "Z powodu tej Pańskiej waloryzacji otrzymuję żale i wyrzuty z różnych stron, iż podpisałem rozporządzenie tak bardzo różnych ludzi krzywdzące. A przecież ja nie miałem czasu, aby je przeczytać i poprawić". Tu Pan Prezydent swe wyjaśnienie przerwał, bo wprowadzono i przedstawiono mu trzech innych członków Komisji Kodyfikacyjnej, którzy przybyli na zebranie. Pan Prezydent zwrócił się do nich, a ja natychmiast poszedłem do gabinetu p.Lenza, szefa Kancelarii Cywilnej Pana Prezydenta. Opowiedziałem mu bardzo rozżalony, co się stało i prosiłem go o wskazanie mi drogi właściwej, aby uzyskać satysfakcję za tak ciężką osobistą krzywdę, wyrządzoną mi przez najwyższego dostojnika w Państwie. Pan Lenz starał się mnie uspokoić, a w końcu powiedział, żebym przyszedł w dzień następny około godz. 17-ej do Belwederu, bo jest to dzień przyjęć pani Prezydentowej. Proszę naprzód - dodał - zgłosić się u mnie, a ja pana rektora sam zaprowadzę do Prezydenta, któremu przed południem sprawę całą wyjaśnię, a jestem przekonany, że on - taki w gruncie rzeczy dobry człowiek - panu nie odmówi pełnej satysfakcji.

Po posiedzeniu członków Komisji Kodyfikacyjnej, któremu przewodniczył Pan Prezydent, wstąpiłem do Prezydium Rady Ministrów, aby opowiedzieć Premierowi, jaki despekt mnie spotkał u P.Prezydenta Rp. i o poleceniu danym mi przez p.Lenza, aby nazajutrz się zgłosił o jakiś plaster moralny. P.Grabski poprosił mnie, abym i nazajutrz zaraz

po otrzymanej satysfakcji do niego przyszedł, bo jest ciekawy, co Prezydent powie.

Na drugi dzień wprowadził mnie p.Lenz do P.Prezydenta a także bardzo uprzejmie zwrócił się do mnie i powiedział: "Bardzo mi przyjemnie, że Pana tu dzisiaj widzę, bo usunąć mogę zaraz nieporozumienie, jakie wczoraj zaszło. Ja, wyrażając tak ostro swą krytykę, nie miałem bynajmniej na myśli pracy pańskiej, t.j. projektu głównego rozporządzenia z 14 maja 1924 r. Wiem m.i. od zawodowych prawników, że Pan wywiązałeś się ze swego trudnego zadania doskonale. Moje zarzuty odnosiły się do czegoś innego, co wywołało słusznie podnoszoną krytykę w społeczeństwie. Chodziło mi o dodatkowe rozporządzenia waloryzacyjne, które opracowane zostały, nie przez Pana, ale w Min.Skarbu w sposób zupełnie niedołężny". Oczywiście nie mogłem wdawać się w wyjaśnienia, że i ja za te rozporządzenia ponoszę w pewnej mierze odpowiedzialność, więc ograniczyłem się jedynie do podziękowania za tak miłe i dla mnie zaszczytne słowa uznania, a po niedługim pobycie w salonie pani Prezydentowej, pojechałem do Prezydium Rady Ministrów i powtórzyłem tam to, co usłyszałem z ust P.Prezydenta. Na to p.Grabski powiedział: "W najbliższych dniach to znowu ja zgłoszę się o audiencję u p.Prezydenta, a uzyskawszy ją poproszę o satysfakcję za słowa wypowiedziane przed Panem pod adresem Ministerstwa Skarbu, którego jestem kierownikiem".

Czy Pan Grabski zamiar swój wykonał, czy nie, nie wiem, bo tego samego dnia pojechałem do Krakowa, a do Warszawy powróciłem dopiero w kilka miesięcy potem, gdy cała sprawa poszła już w zapomnienie.

G. Inne jeszcze prace legislacyjne.

Nie piszę o pracach stosunkowo niewielkich. Z nich największą było opracowanie przezemnie w Komisji Kodyfikacyjnej /Podkom.Pr.Rzeczowego/ projektu do ustawy "o ochronie przyrody" z dn.16 marca 1934 r. Dz.U. Nr.31 poz.274 ~~Dz. U.~~ Praca ta dokonana została z inicjatywy prof.Uniw.Jagiell.dra Szafera i częściowo na podstawie materiałów przez niego dostarczonych.

Nie piszę też obszerniejszych wspomnień o pracach większych, ale jeszcze niedokończonych. O jednej rozpoczętej w r.1938, t.j. rewizji na wielką skalę ustawy i rozporządzenia "o ochronie wynalazków i znaków towarowych" zamieściłem słów kilka w ustępie oznaczonym literą D.

Za drugą, jeszcze niedokończoną uważam główną moją pracę legislacyjną, do jakiej zgłosiłem się zaraz po powołaniu do życia Komisji Kodyfikacyjnej w r.1919, mianowicie projekt prawa rzeczowego w Polsce.

Projekt prawa rzeczowego w tej postaci, w jakiej znajdował się przed wybuchem wojny w r.1939 uważam za pracę niedokończoną, jakkolwiek przeszedł już /według regulaminu/ dwa czytania w Podkomisji i miał być poddany jeszcze pod rewizję w t.zw.Kolegium Uchwalającym. Uważam go za rzecz niedokończoną raz dlatego, że nie są jeszcze opracowane przepisy końcowe i wprowadzające kodeks prawa rzeczowego, bez których kodeks ten nie mógłby być w Dzienniku Ustaw ogłoszony, a te przepisy będą wymagały jeszcze dużego wkładu uciążliwej i trudnej pracy - powtóre dlatego, że zgłosiłem do projektu kilka t.zw.votów separatów, na pierwszym miejscu najważniejsze votum separatum, ma-

jące na celu znaczne osłabienie t.zw.zasady wpisu do ksiąg gruntowych, a to na korzyść prawych posiadaczy nieruchomości, z ujmą dla formalnych a nieuczciwych nabywców praw na nieruchomościach. Vota separata mogą stać się powodem zmian nawet istotnych, jeżeli przyjęte zostaną w Kol.Uchwal. a nawet mogą spowodować zwrot projektu Podkomisji celem opracowania wskazanych zmian.- W interesie naszego społeczeństwa, a zwłaszcza ludności włościańskiej pragnę, aby moje pierwsze i główne votum separatum zostało w pełni uwzględnione czy to w Kolegium Uchwalającym, czy choćby w Minist.Sprawiedliwości lub w Parlamencie. Napisałem je w sierpniu 1939 r. jednakże nie zostało oddane do druku z powodu wybuchu wojny. Ponieważ do sprawy w tym votum omówionej przywiązuję szczególniejszą wagę, przeto poświęcam jej we Wspomnieniach nieco ~~więcej~~ miejsca, jakkolwiek dotyczy ono jeszcze niedokończonego projektu ustawowego.

Przepraszam znowu, że będę w dalszym ciągu zapuszczał się nieco w wywody prawne, może nie dość zrozumiałe dla nieprawników. Jeżeliby ich nużyły, niech przerzucą dalsze kartki, a przeczytają może tylko dopisek o wielkim przywiązaniu prawników w b.Król.Kongr. do ustawy hypotecznej z r.1818.

Prawem rzeczowym a zwłaszcza zasadą wpisu do ksiąg gruntowych zacząłem się zajmować intensywnie od czasu, odkąd przybyłem z powrotem z Wiednia do Krakowa i objąłem na Uniw.Jagiell. katedrę prawa cywilnego po Stanisławie Madeyskim. Powodem zwrócenia mych studiów w szczególności w zakres prawa rzeczowego były uwłaczające wszelkiemu

uczuciu sprawiedliwości czy słuszności zdarzenia, które coraz częściej występowały w b.Galicji i na Bukowinie a miały swe przyczyny w bezwzględnym stosowaniu do posiadłości włościańskich zasady wpisu do ksiąg gruntowych.

Obowiązująca w Austrii od r.1871 jednolita i ogólna ustawa o księgach gruntowych w miejsce dawniejszych ustaw prowincjonalnych wprowadziła liczne zmiany w tym dziale prawa cywilnego, unormowanym dotąd na ogół dobrze w kod. cyw.austriackim. Między innymi księgi gruntowe miały być prowadzone przymusowo dla wszelkich posiadłości, a więc także tam, gdzie tego jeszcze nie było dotychczas jak w Galicji i na Bukowinie - dla posiadłości małych, włościańskich, zwanych rustykalnymi. Dlatego to Sejm Galicyjski uchwalił w r.1874 ustawę krajową, której § 1 stanowi, iż księgi hipoteczne /gruntowe/ założone być mają z urzędu dla <u>wszystkich</u> miejscowości, dla których nie istnieją dotychczas takie księgi.

Zgodnie z ustawą z r.1874 zaprowadzono według nowych wzorów odnowione księgi dla posiadłości tabularnych /wielkich, dawnych szlacheckich, dominikalnych/ i miejskich na podstawie dawniejszych ksiąg, pochodzących jeszcze z czasów polskich /przypominam księgi ziemskie i grodzkie/ a nadto prowadzono na podstawie dochodzeń lokalnych całkiem nowe księgi /t.zw./ rustykalne dla posiadłości włościańskich oraz dla położonych w miasteczkach, dla których nie było dotychczas ksiąg publicznych. Dochodzenia lokalne były prowadzone pospiesznie i dlatego nie dość dokładnie, a przez to wpisy do ksiąg nie odpowiadały często już od początku rzeczywistej sytuacji prawnej. Potem rozbieżności między stanem rzeczywistym a tym, co było napisane

w księgach mnożyły się i powiększały, bo chłopi na ogół nie troszczyli się o to, co jest lub ma być do księgi wpisane a w obrocie prawnym nieruchomościami trzymali się zgodnie z tradycją zasady, że dla zmian w prawach także na nieruchomościach potrzeba ważnego tytułu /umowy, rozporządzenia ostatniej woli, lub innego faktu w ustawie przewidzianego/ oraz przeprowadzenia odpowiednich zmian w posiadaniu.

A tymczasem w ustawie państwowej z r.1871 mieścił się § 4, który stanowi, że: "Nabycie, przeniesienie, ograniczenie i umorzenie praw księgowych /t.zn.zwłaszcza własności, służebności i hipotecznego prawa zastawu/ można uzyskać tylko przez wpisanie ich do księgi głównej". /Księga główna jest księgą właściwą, obok której istnieje księga lub zbiór dokumentów/.

Z lapidarnej zasady § 4 wynikają między innymi takie następstwa i nauki takie dla naszego chłopa: "Jeżeli chłopie chcesz nabyć na własność posiadłość ziemską, to nie wystarczy, abyś ją kupił od dotychczasowego właściciela, cenę zapłacił i objął ją w posiadanie, abyś więc tam zamieszkał, inwentarz żywy i martwy wprowadził, grunty uprawiał, obsiewał,plony z nich zbierał itd., itd. Jak długo zapisany jest w księdze gruntowej jako właściciel nadal ów sprzedawca, - nazwijmy go A, - a nie ty B - to A pozostaje nadal niezmiennie właścicielem, a ty masz tylko do niego roszczenie /prawo żądania, osobiste/ o to, aby na ciebie własność przeniósł. Żadnym więc właścicielem nie jesteś. Dlatego jeżeli A jako właściciel tę samą, przez Ciebie pozaksięgowo nabytą posiadłość sprzeda jeszcze raz osobie C, a C zostanie do księgi gruntowej wpisany

jako właściciel, to B - choćby wiedział, co się stało między Tobą a A, - nabędzie tę nieruchomość na własność i może Ciebie z niej usunąć prawnie jako nowy właściciel, a Ty możesz jedynie poszukiwać wynagrodzenia Twej szkody na osobie A dlatego, że nie wypełniła obowiązku względem Ciebie zaciągniętego. Jak długo A jest właścicielem według księgi gruntowej, może on także, pożyczywszy pieniądze u D, zabezpieczyć spłatę swego długu na rzecz wierzyciela przez ustanowienie hipotecznego prawa zastawu na nieruchomości, a ów D może z powodu swej pretensji, albo także inni wierzyciele osoby A mogą z powodu swych wierzytelności przeprowadzić egzekucję z tej nieruchomości i, sprzedawszy ją w drodze licytacji sądowej, - spowodować przez to usunięcie Ciebie B, pozaksięgowego nabywcę z posiadłości, którą kupiłeś i którą posiadasz chociażby od lat kilkunastu!"

Podobne konsekwencje występowały i występują również wtedy, gdy zmiany w posiadaniu ~~uszkm~~ uskuteczniono prawnie na podstawie innych tytułów, aniżeli sprzedaży a więc n.p. ważnej darowizny, działu spadkowego itd.

Ponieważ, jak nadmieniłem, włościanie nasi zgodnie z tradycją nie troszczyli się o to, by na ważnych tytułach oparte zmiany w posiadaniu były do księgi gruntowej wpisywane, przeto sądy zaczęły ów nieszczęsny § 4 ust. z r.1871 z jego konsekwencjami stosować, co prowadziło do srogich, bolesnych, nieraz oburzenie budzących krzywd wyrządzanych osobom, które o wpisy swych praw do ksiąg gruntowych nie postarały się a zwłaszcza, gdy przy tym bogacili się niesłusznie ludzie nieuczciwi. Byłem kilkakrotnie świadkiem takich tragedyj!

Przeciw takim to praktykom zwrócili się teoretycy i praktycy. Do teoretyków zaliczam zwłaszcza profesora prawa cywilnego Tilla /Polaka/, Dniestrańskiego /Rusina-Ukraińca/, Steinlechnera /Niemca/ i siebie. Ja w szczególności wystąpiłem w kilku pracach przeciw takiemu stosowaniu § 4-go, wykazując, że w tym ~~§-fie~~ paragrafie mieszczą się niewątpliwe błędy, które uzasadniają konieczność wprowadzenia znacznych ograniczeń w jego zasięgu, a nadto, że obok § 4-go, stosować należy nadal mądre i sprawiedliwe różne przepisy k.c.austr. i innych ustaw, które przez ustawę z r.1871 nie zostały uchylone i nadal obowiązują. Stosować więc należy przepisy o ochronie podobnej do tej, jaka służy właścicielowi, a przyznana jest w różnych ustawach austriackich /n.p.w § 372 K.c.austr/ także posiadaczowi w dobrej wierze i prawnemu, t.j. takiemu, który posiada na podstawie tytułu prawnego, - ze skutecznością przeciw każdemu innemu posiadaczowi nieruchomości a nawet przeciw księgowemu nabywcy. Bezskuteczną jest tylko ochrona prawnego posiadania przeciw takiemu księgowemu nabywcy, który nabył swe wpisane prawo w dobrej wierze, działając w zaufaniu do księgi gruntowej. Sądy polskie zaczęły odstępować coraz częściej zgodnie z poglądami powyższych teoretyków od stosowania § 4-go ustawy z roku 1871 w jego pełnej, iście prusackiej bezwzględności, - sądy bowiem zrozumiały, że chłopi tylokrotnie nie mogli postarać się o wpisy swych praw wobec coraz większych sprzeczności, jakie powstawały między stanem posiadania, a stanem przedstawionym w księgach hipotecznych. Rozbieżności te tworzyły się zwłaszcza skutkiem niedostatecznego postępowania spadkowego, kończącego się /według patentu

 375

o postępowaniu w sprawach niespornych/ na wydawaniu dekretów dziedzictwa, a nie uwzględniającego zmian, jakie z konieczności spadkobiercy wprowadzali po śmierci spadkodawcy. /O tych rzeczach na tym miejscu pisać więcej nie mogę, a ciekawych odsyłam do innych moich prac niejednokrotnie opublikowanych/.

Jednak różne i ze sobą niezgodne orzeczenia sądowe wydawane w tych sprawach nie tylko w Galicji ale i w innych krajach koronnych Austrii prowadziły do często sprzecznej praktyki sądowej w Sądzie Najwyższym w Wiedniu i stały się powodem, że Sąd ten na pełnym zebraniu sędziów wydał zasadnicze orzeczenie pod nazwą "Judykatu" /Judykat Nr.186/, w którym wypowiedział, że § 4 należy w pełni stosować i że tytuły prawne /umowy/ same przez się, choćby zostały na ich podstawie wykonane zmiany w posiadaniu, wywołują skutki prawne tylko <u>między osobami</u> z tych tytułów uprawnionymi i obowiązanymi - a zatem nie wywierają żadnych skutków prawnych w obec osób trzecich.

Przeciw Judykatowi Nr.186 napisałem rozprawę w języku polskim i niemieckim i doczekałem się tej satysfakcji, że Senat Galicyjski N.S. w Wiedniu we wyroku wydanym wkrótce potem odstąpił od Judykatu Nr.186 i wydał orzeczenie zgodne z tezami przeze mnie bronionymi. Większą jeszcze satysfakcję miałem, gdy Sąd Najwyższy Polski w Warszawie również stanął na stanowisku tej wykładni, jakiej od lat broniłem. Wyrok pierwszy S.N.Polskiego, przesądzający tę sprawę, został ogłoszony w "Orzecznictwie Sądów Polskich" ~~xxTx~~ w I tomie pod L.26 z moją obszerną glosą.

Na podstawie powyższych faktów i doświadczeń - co

prawda, na razie tylko z Galicji pochodzących - a zarazem opinii tylokrotnie słyszanej z ust wybitnych sędziów i adwokatów, utwierdziłem się w przekonaniu, że jakkolwiek instytucja ksiąg gruntowych jest nie tylko zalecenia godna, ale nawet niezbędna i łączyć się powinna z obowiązkiem wpisu do ksiąg zmian w prawach rzeczowych, mających za przedmiot nieruchomości. Zasadę wpisu można wprowadzić w Polsce tylko ze znacznymi ograniczeniami, zwłaszcza takimi, żeby ona nie tylko nie tolerowała, ale tym więcej nie ułatwiała nagannych, karygodnych działań, które z punktu widzenia etycznego są po prostu oszustwami, chociaż przeważnie nie wykazują wszystkich znamion tej zbrodni. Takie ograniczenia są konieczne zwłaszcza, gdy chodzi o posiadłości włościańskie. Tu bowiem liczyć się trzeba z poczuciem prawnym naszego chłopa, który nie zrozumie łatwo i nie przerobi swego mózgu na modłę niemiecką - tak, aby uznawał za własność tylko własność w księdze zapisaną i mógł pogodzić się z zapatrywaniem, że chociaż uczciwie kupił grunt, cenę zapłacił i objął ziemię w posiadanie, nie jest mimo to właścicielem i dlatego ma z ziemi ustąpić pierwszemu lepszemu, ~~także~~ nawet łajdakowi, który postarał się o wpis do księgi prawa własności na swą rzecz, wiedząc dobrze o tym, że grunt nabył poprzednio pod tytułem prawnym w posiadanie ktoś inny. Chłop nasz myśli realnie a nie abstrakcyjnie jak chłop niemiecki, który uznaje tylko das Papiereigentum, jak je nazwał Till. O tym pamiętać trzeba!

Zresztą i tego przeoczyć nie należy, że w obrocie nieruchomościami włościańskimi zdarzają się nieraz sytuacje takie, iż wpisu uzyskać nie można bez przeprowadze-

nia nadmiernie kosztownego postępowania, zwłaszcza, gdy wpisy dotychczasowe w księgach - jak wyżej już zaznaczyłem - nie były zgodne z rzeczywistością, albo gdy chodzi o drobne zmiany w posiadaniu, np. dla zaokrąglenia posiadłości, dla utworzenia łatwego dostępu itp.

Z takich to powodów, ale przede wszystkim dla zapobiegania ciężkim i rażącym krzywdom, wyrządzanym przez zręcznych wykpigroszy, trzeba - obok wyprowadzenia zasady wpisu i wydania różnych celowych przepisów, dążących do tego, aby wpisy były zgodne z rzeczywistością i dawały w uzasadnionych granicach "rękojmię wiary publicznej" - otoczyć ochroną odpowiednią i skuteczną posiadaczy prawych, niewpisanych do księgi gruntowej nie tylko przeciw osobom, od których posiadanie praw nie nabyły, ale także przeciw innym osobom /t.zw.trzecim/, które swe prawa nabyły wprawdzie przez wpis, ale w sposób etycznie naganny. Tego wymaga także piękne, lapidarne przysłowie francuskie: "La loi impose l'honnêteté".

Wprawdzie prawo starorzymskie nie znało instytucji ksiąg gruntowych, ale zagadnienie zupełnie podobne, jak obecne, występowało już za owych czasów, bo według rzymskiego ius civile prawo własności pełne, właściwe dominium ex iure Quiritium, nabywać można było na gruntach italskich tylko przez uroczyste publiczne akty, przez mancipatio, in iure cessio i inne rodzaje addictionis - a zatem akty, które przez swój charakter publiczny można porównać z wpisami do ksiąg w sądach prowadzonych. Mimo to praetor Publicianus otoczył ochroną podobną, jaka służyła pełnym właścicielom, posiadaczy prawych /iusti possessores/. Środki tej ochrony pod nazwą actiones publi-

cianae /skargi z domniemanej własności/ przetrwały wieki a nawet weszły do wielkich kodeksów z końca XVIII i pierwszej połowy XIX wieku i dopiero znikły z kod.cyw.niem. z r.1896 i w ustawach niemieckich o księgach gruntowych pod hasłem zaprowadzenia ładu i porządku z całą bezwzględnością. Wszak nawet instytucja właściwego "zasiedzenia" znikła z tego powodu w Kod.cyw.niem., o ile chodzi o nieruchomości. /Oczywiście to, o czym mówi § 927 K.c.niem. nie jest żadnym zasiedzeniem, podobnie jak t.zw. "zasiedzenie hipoteczne" z §§-fów 900 i nast./.

Stare prawo polskie rozwiązało także powyższy problem: Konstytucja polska bowiem z r.1588 /Vol.legum VI/ wymaga do przeniesienia własności na nieruchomościach trzech faktów: Tytułu /umowy stron/, wwiązania i wpisu do ksiąg ziemskich lub grodzkich. Ale tytuł jest tylko podstawą prawną; wwiązanie, czyli wprowadzenie w posiadanie nieruchomości, jest właściwym aktem przeniesienia własności i dlatego odbywało się ono jawnie, nieraz nawet bardzo uroczyście a takie uroczystości przetrwały wieki; wpis zaś do ksiąg sądowych miał tylko na celu zapewnienie nabywcy łatwego dowodu, że posiadacz jest właścicielem, ale dowód własności mógł być przeprowadzony także przez inne środki.

Jednak w Królestwie Kongresowym nastąpiła pod tym względem zmiana radykalna: Naprzód przez wprowadzenie kodeksu Napoleona, który w art.1138 stanowi ogólnie, że sama umowa zobowiązuje do wydania rzeczy tak ruchomej jak i nieruchomej i czyni uprawnionego właścicielem, a za tym artykułem postanawia art.1583, że już przez umowę sprzedaży własność przechodzi na nabywcę. Te przepisy

uległy potem co do nieruchomości, dla których istniały księgi, innej zmianie zasadniczej przez t.zw. ustawę hypoteczną z r.1818. Autorem jej był wybitnie zdolny i mądry prawnik Antoni <u>Wyczechowski</u>, Poznańczyk, który po ukończeniu studiów prawniczych w Berlinie wstąpił do praktyki sądowej we Wrocławiu i tam zapoznał się bliżej z "Preussische Hypothekenordnung z r.1783 i z pruskim Landrechtem, a uważając zasady prawa pruskiego co do zmian w prawach rzeczowych na nieruchomościach za normy możliwie najlepsze, postanowił potem obrót nieruchomościami w Królestwie Kongresowym, dokąd przybył po Kongresie Wiedeńskim - oprzeć na wzorach pruskich. Jednakże Wyczechowski nie był ślepym naśladowcą prawa pruskiego, lecz starał się je do naszych stosunków dostosować, a przede wszystkim jasno i dobitnie ująć i wyrazić - nie tak, jak to było w rozwlekłej pruskiej ustawie z r.1783. Tak się więc stało, że w projekcie, który przedstawił Sejmowi Królestwa Kongresowego, a który został w całości uchwalony, uwypuklił bardzo silnie, dobitnie i stanowczo w art.5 i 11 zasadę wpisu z jej konsekwencjami /zwłaszcza w art. 11/, ale równocześnie osłabił jej bezwzględność w art.33 i 34,x/ które uznają skuteczność praw właścicieli "rzeczywistych", chociaż do ksiąg nie-wpisanych, przeciw osobom wpisanym jako właściciele, które działały w złej

---

x/ Art.33 i 34 są przepisami, o których, o ile chodzi o ochronę prawną właścicieli "rzeczywistych", chociaż nie wpisanych do ksiąg, mówi się mało z bardzo prostego powodu, mianowicie dlatego, że, jak dalej wskazuję, sytuacja ksiąg gruntowych istniała, a nawet dotąd przeważnie istnieje w Królestwie głównie dla większych posiadłości ziemskich, których właściciele z reguły o to się troszczą pilnie, aby ich prawa były w księgach gruntowych /hipotecznych/ należycie wpisane.

wierze /t.zn. wiedząc o stanie rzeczywistym/. Wyczechowski liczył się także z mentalnością małego posiadacza a zwłaszcza włościanina polskiego i dlatego nie uważał, żeby można instytucję ksiąg gruntowych wraz z zasadą wpisu zaprowadzać przymusowo dla posiadłości drobnych i z tego powodu zamieścił w swym projekcie w art.162 przepis ograniczający moc ustawy do "nieruchomości i hipotek ziemskich" /t.zn.wielkich folwarcznych obszarów/ tudzież miast, w których ma siedzibę sąd ziemski. Przez ten przepis, mocy ustawy podlegać miała tylko sfera osób przyjmująca z reguły bez trudności prawo jej narzucone, choćby ono jej poczuciu prawnemu nie odpowiadało.x/

W projektach i innych elaboratach, jakie przedkładałem Podkomisji Prawa Rzeczowego Komisji Kodyfikacyjnej, starałem się od początku z powodów, które powyżej w szkicu podałem, o to, aby obok zasady wpisu ugruntować silną ochronę posiadaczów prawych, niewpisanych do księgi, także przeciw osobom trzecim, jeżeli te osoby przy nabyciu praw przez wpis nie działały uczciwie, lub działały z niedbalstwem, graniczącym ze złą wiarą, bo albo wiedziały, albo wiedzieć były powinny o niezgodności wpisów w księdze z istniejącym faktycznie stanem rzeczy.Jednak w Podkomisji spotkałem się z bardzo stanowczą opozycją od samego początku przeciw tym zamiarom. Tendencją na

---

x/ Instytucja ksiąg hipotecznych wchodzi w zastosowanie do innych posiadłości /mniejszych/ na podstawie "Prawa o przywilejach i hypotekach" z r.1825 ale tylko o tyle, o ile zażąda tego strona zainteresowana /p.zwłaszcza art.11/; z tego robiono stosunkowo mały użytek bo zdarzało się to tylko wtedy, gdy chodziło o zaciągnięcie pożyczki hipotecznej.

ogół było w Podkomisji, żeby zasadę wpisu wprowadzić w tak szerokim zasięgu /a więc z iście pruską bezwzględnością/, w jakim obowiązuje w kod.cyw.niem. Powoływano się przy tym na dobro publiczne, na konieczność ładu i porządku itd., a przeciw takim argumentom nie chciano słuchać i rozważać moduh argumentów opartych na "ius aequum et bonum", na zasadach starych prawa polskiego, rodzimego, na poczuciu prawnym włościan, których jest przeszło 70% w Polsce, na myśli głębszej, chociaż nie dość dobitnie wypowiedzianej w art.33 i 34 ustawy hypotecznej z r.1818 itd.

Przewidywałem z góry, że podejmuję walkę bardzo trudną, zwłaszcza wobec składu Podkomisji. Większość w niej bowiem mieli Królewiacy, pozostający pod urokiem ustawy hipotecznej z r.1818, której nawet - jako "najlepszego polskiego aktu ustawodawczego" - obchodzono uroczysty jubileusz w r.1918 /ja w nim chętnie wziąłem czynny udział/. Przypominam, co już wyżej zaznaczyłem, że Królewiacy - zdaniem moim - nie uwzględniali dostatecznie myśli głębszych, tkwiących w art.33 i 34 ustawy hipotecznej, do czego m.i. przyczynił się może duch nadwiewający z kodeksu cywilnego niemieckiego/. Królewiacy, członkowie Podkomisji dlatego, że nie mieli prawie żadnych doświadczeń, co do kwestii jakie stanowisko chłop nasz zajmie na ogół wobec przymusowej zasady wpisu, - uważali, że cała warstwa włościańska podda się chętnie w całej pełni zasadzie wpisu, zgodnie z obecnymi przepisami art.11 ustawy z r.1818, z którymi w Królestwie doświadczenia stuletnie, co do większych posiadłości okazały na ogół

dobre wyniki.x/ Naturalnie dwaj prawnicy, członkowie Podkomisji, z województw zachodnich, obydwaj notariusze, byli za bezwzględnym wprowadzeniem zasady wpisu, a to raz pod wpływem siły przyzwyczajenia, skoro mieli do czynienia w praktyce tylko z kod.cyw.niem., a powtóre dlatego, że jako znani notariusze, mieli wielką klientelę i zajmowali się ~~mażymi~~ dużymi sprawami a unikali - jak mi jeden z nich powiedział wyraźnie - klienteli chłopskiej. Potrzeb więc i poglądów włościan nie znali dostatecznie.

Za bezwzględnością wprowadzeniu zasady wpisu agitowali bardzo silnie t.zw.notariusze hipoteczni w województwach centralnych, - co może także wywarło pewien wpływ na poglądy członków Podkomisji.

A zresztą - jak o tym niejednokrotnie przekonałem się - prawnicza nauka niemiecka, mająca niewątpliwie wielkie walory - oddziaływała silnie na mentalność członków Podkomisji, niewyłączając Królewiaków. ~~Przypominały mi się nieraz przy naszych obradach słowa znanego jurysty francuskiego, adwokata George'a Maillara'a, zacytowane przeze mnie już powyżej: Mais les Polonais - ils ne savent pas, comme ils sont Boches"!~~

Jak wielkie w świecie palestry, zwłaszcza warszawskiej istnieje uznanie, a nawet przywiązanie do ustawy hypotecznej z r.1818 niech zilustruje następujący fakt: W czasie obrad w Podkomisji nad zasadą wpisu, która zdaniem przedmowców powinna być przyjęta zgodnie z art.11

---

x/ Przeciwnikiem bezwzględnej zasady wpisu był tylko jeden członek, który szedł nawet dalej jeszcze, niż ja, bo chciał przyjąć do prawa polskiego zasadę Kod. Napol. o zmianach w prawach rzeczowych, dokonywanych już przez samą umowę.

naszej polskiej ustawy z r.1818, odezwałem się, że nie należy przeceniać ustawy z r.1818 jako produktu specjalnie myśli polskiej, bo myśl polska tkwi nie tyle w ustawie z r.1818, jak raczej w Konstytucji z r.1588, że przecież ustawa z r.1818 jest produktem raczej zasad niemieckich. Tu przerwał mi czcigodny nasz prezes Bukowiecki, mówiąc, że nie może zgodzić się na to, aby obniżać w jego obecności chlubne i piękne dzieło polskiego ustawodawcy. Temu protestowi poddać się musiałem, ale w kilka dni potem przyniosłem na nasze zebranie diariusz sejmowy z r.1818 i przeczytałem obecnym mowę Wyczechowskiego, jaką rozpoczął w Sejmie uzasadnienie swego projektu. Wyczechowski powiedział wówczas, że jego projekt nie jest żadnym dziełem oryginalnym, że opiera się na prawie pruskim, które on uważa za wzór dotąd najlepszy i dlatego pragnie go wprowadzić, z odpowiednimi zmianami w Królestwie Polskim. Odczytanie mowy Wyczechowskiego zrobiło wrażenie wielkie na członkach Komisji, nie wyłączając naszego przezacnego Prezesa.

Mimo sporów w czasie naszych obrad, dotyczących zasady wpisu, nastrój między członkami Podkomisji był zawsze pod względem osobistym jak najlepszy. Dałem temu wyraz w rozprawie ogłoszonej p.t."Na marginesie projektu prawa rzeczowego. Zasada wpisu a posiadanie prawne" - w "Kwartalniku prawa prywatnego" wydawanym przez Izby Notarialne, z.I.z r.1938, gdzie podałem charakterystykę współpracy moich Kolegów w Podkomisji. - Przypominam sobie też m.i. miłe chwile, które spędziłem w bardzo gościnnym domu państwa Bukowieckich w towarzystwie członków Podkomisji. W czasie obiadu, podnieceni dobrym winem, za-

częliśmy toastować. Ja zabrałem głos aby przemówić na pomyślność Pani Bukowieckiej. Zwracając się do niej powiedziałem, iż, niestety, muszę oczy jej otworzyć na pewien objaw niewierności małżeńskiej jej męża; przekonałem się bowiem, że nasz Czcigodny Prezes kocha zbyt gorąco inną istotę rodzaju żeńskiego. Mogę panią Bukowiecką tylko tym faktem pocieszyć, że istota ta jest staruszką, bo liczy znacznie więcej aniżeli lat 100. Mimo jej wieku nasz prezes kocha ją a nawet ubóstwia.-

Umiłowaną tą jest ustawa hypoteczna z r.1818.

Nie ma się co dziwić, że w takich warunkach moje chociaż trwałe, nawet wbrew mej naturze uporczywe obstawanie przy wnioskach dotyczących stanowczej i trwałej /a nie tylko "prowizorycznej"/ ochrony posiadaczy prawych przeciw nieuczciwym machinacjom opartym na rygorystycznej zasadzie wpisu, spowodowało tylko ten efekt - niezgodny tym razem z zasadami kod.cyw.niem., że w drugim czytaniu projektu dopuszczono w art.46 zasiedzenie /przedawnieniemia nabywcze/ nieruchomości pod nagłówkiem "dawności". Inne moje wnioski dotyczące zagadnienia tu poruszonego nie zostały przyjęte. Spory o nie były głównym powodem, że obrady nad prawem rzeczowym trwały w Podkomisji stosunkowo bardzo długo.

Uważałem, że obowiązkiem moim jest bronić do ostatniej chwili mych wniosków, a to ze względu na bardzo ważne interesy publiczne i dlatego, skoro klamka jeszcze nie zapadła, napisałem Votum separatum, o którym na początku tych wywodów wspomniałem. Pobudką mych wniosków, we Votum separatum znacznie zmodyfikowanych jest: "ius bonum

et aequum", które uważałem zawsze za najwyższy postulat. Są dalej niezapomniane bolesne wrażenia z widoku chłopów wyrzucanych o kiju żebraczym wraz z rodzinami z ziemi, którą nabyli - bez wymaganego formalnie wpisu księgowego - za ciężko zarobione, przeważnie na emigracji, pieniądze; są wkońcu i rozważania, że te tragedie działy się na korzyść i bogacenie się niesłuszne ludzi przeważnie pod względem etycznym nisko stojących, którzy popełniali czyny etycznie naganne.

Kogo poruszone tu zagadnienie zaciekawiło, niech zaznajomi się z moim votum separatum, które chcę ogłosić drukiem, jak tylko będzie to już rzeczą możliwą.

Wspomnienie o mych pracach z dziedziny ustawodawczej kończę uwagą, że do nich należą także dwa wnioski, z jakimi wystąpiłem w Sejmie Galicyjskim w r.1913, jako rektor Uniwersytetu Jagiell. Pisałem o nich w części moich "Wspomnień z czasów mego rektoratu"/pod III./

VII. Bezskuteczne starania Rządu Polskiego o założenie Uniwersytetu Ukraińskiego.

Trudne zagadnienie, jak w wolnej Polsce powinien być urządzony stosunek nasz do mniejszości narodowych, a zwłaszcza do Ukraińców, poruszyłem już nieco w moich Wspomnieniach z Rady Szkolnej Krajowej. Tam podałem m.i. - chociaż tylko bardzo zwięźle - jak w Warszawie w dniu 1 listopada 1918 r. wszyscy uczestnicy /ja do nich należałem/ obrad kierowanych przez Ministra W.R.i O.P. Ponikowskiego jednomyślnie wyrazili opinie swe w zakresie szkolnictwa - bo tą sprawą mieliśmy się jedynie zajmować, - że Polska niepodległa powinna stanąć na stanowisku na wskroś liberalnym, wstępując w piękne dawne tradycje historyczne, żeby nie przez siłę i gwałt ale przez szanowanie praw innych narodów, pozyskiwać je dla siebie /Unia horodelska, lubelska itd./. Niech więc każda mniejszość narodowa w Polsce ma swe szkoły z nauką prowadzoną w języku ojczystym, swą administrację szkolną, poddaną tylko ogólnemu kierownictwu państwowemu, byleby w tych szkołach mniejszościowych wszczepiano w młodzież przywiązanie do wspólnego nam państwa, do Polski i uczono w nich języka polskiego, historii i literatury polskiej. Ktoś w naszym zebraniu powiedział, ujmując problem bardzo ogólnie: "W wolnej Polsce bądźmy my, Polacy, pierwszymi między równymi, a wtedy Polska stanie się państwem o wielkiej sile, a w szczególności o sile przyciągającej." Apel ten przyjęto oklaskami. Kiedy wieczorem wyszedłem z obrad podniesiony na duchu, bo zdawało mi się, że Rząd polski

wkracza na dobrą drogę, powiedziałem do towarzyszącego mi inspektora szkolnego p.Opuszyńskiego, którego uważałem za swego przyjaciela, następujące zdanie: "Miałem dzisiaj radosne wrażenie; zdawało mi się, jak gdyby wstąpił w nas duch Platona. Wszak ten wielki filozof i uczeń Sokratesa, głównie w swej politei, ale i w innych pismach pozostawił światu nieocenione nauki,z których wynika, że największą jest sztuka rządzenia rzeczą-pospolitą, a, żeby tę sztukę posiąść, trzeba dwóch cnót z czterech kardynalnych: - jedną z nich, którą Platon uważał za najwyższą, jest sprawiedliwość, ale jej urzeczywistnienie uzależnił od innej, mianowicie od mądrości. Daj Boże, aby osoby w Polsce do rządów powoływane te dwie cnoty posiadały i wykonywały, a wtedy wszystko będzie dobrze".

Kiedy wróciłem do hotelu uzupełniłem w myśli uwagę wypowiedzianą p.Opuszyńskiemu jeszcze następującym dodatkiem: Zebranie nasze w Warszawie i jego obrady zostawały niewątpliwie pod wpływem radości i szczęścia, iż mamy znowu tę tak długo oczekiwaną Niepodległą Polskę, oraz pod wpływem wdzięczności Bogu za to, żeśmy tę upragnioną odzyskali. Czyż zatem obok cnót dwóch, o których mówiłem p.Opuszyńskiemu: sprawiedliwości i mądrości, wskazanych światu przez Sokratesa i Platona, nie ożywiała nas jeszcze cnota trzecia od tych dwóch wyższa, która powinna być światłem jaśniejącym po drogach postępowania ludzkiego, - cnota odkryta w pełni i wyrażona w cztery wieki po Platonie w wielkim Zakonie Chrystusowym - cnota miłości człowieka, zwana inaczej "miłością bliźniego"?

Nie wiedzieliśmy w czasie naszych pięknych obrad w Warszawie że równocześnie we Lwowie wybuchło powstanie Ukraińców przeciw powstającej państwowości polskiej, dlatego, że Polska miała objąć także Wschodnią Małopolskę. Nikt nie mógł też przypuszczać wówczas, do jakich strasznych następstw powstanie to militarnie przygotowane i kierowane początkowo przez wstrętnego generała austriackiego Pfeffera - doprowadzi: nietylko do wielkiego rozlewu krwi ludzi należących do pobratymczych narodów, ale i do potwornych okrucieństw, popełnianych przez Ukraińców na Polakach, budzących uczucie "nienawiści" - antytezę wszystkich trzech cnót, wyżej wymienionych.

Po ujarzmieniu powstania przez generała Iwaszkiewicza, karano winnych, ale nie wszystkich, bo wyśledzenie i odszukanie choćby większej ich części było niepodobieństwem, a bezwinnych nie można było pociągać aż do odpowiedzialności za winy innych. Niestety: Errare humanum est. Nieznajomość stanu rzeczy mogła być powodem omyłek i karania bezwinnych. - Między innymi utracili katedry na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie wykładający tam Ukraińcy, których uważano za wrogo usposobionych wobec Polski.

Antagonizm dwóch narodów, polskiego i rusińskiego /ruskiego/ zaostrzył się jeszcze silniej, niż to było za czasów austriackich, kiedy go podniecali Niemcy z Berlina i Deutschliberale austriaccy. Od czasu wskrzeszenia niepodległej Polski, której przede wszystkim Prusactwo uznać nie chciało i nową jej zagładę gotowało, aby polskie ziemie przyłączyć do Reichu, - Berlin podwoił swą opiekę nad "biednymi, uciskanymi przez Pola-

ków Ukraińcami", starał się o coraz intenzywniejsze wpływy na nich, posługując się przy tym różnymi środkami i nie szczędząc w tych celach pieniędzy. Ukraińcy, wśród których pod wpływem ogólno-europejskim, rosły prądy nacjonalistyczne i którzy wymarzyli nawet plan utworzenia wielkiej, niepodległej i suwerennej Ukrainy i przypuszczali, że im Berlin w urzeczywistnieniu tego planu pomoże, a byli na tyle naiwni, że właściwych celów, o które Niemcom jedynie chodziło, mianowicie zniszczenia Polski i Polaków dla dalszej swej ekspanzji, - nie widzieli, upatrywali w swych rzekomych opiekunach tylko gorących, szlachetnych obrońców w imię sprawiedliwości międzynarodowej.

Wśród Polaków, nie obałamuconych polskim szowinizmem narodowościowym, rozumiano, że symbioza Polaków z Ukraińcami nie może opierać się tylko na mocy silniejszego, ale musi być ugruntowana na sprawiedliwości. Rozumiano też, że musimy uszanować obowiązki, jakie na nas ciążą na podstawie t.zw. "Traktatu o mniejszościach narodowych", że nawet sytuacja międzynarodowa naszego państwa wymaga, żeby z Ukraińcami utworzyć odpowiedni "modus vivendi". Z takich to głównie powodów stało się, że za rządów gabinetu, kierowanego przez premiera Juliana Nowaka, nasz parlament /Sejm i Senat/ uchwalił ustawę ogłoszoną dn.25 października 1922 w Dzienniku ustaw pod datą 26 września 1922 /Dz.u.Nr.90 poz.829/ p.t. "O zasadach powszechnego samorządu wojewódzkiego w szczególności województwa lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego".

Jest to obszerna ustawa ramowa, składająca się z 28 artykułów, z których więcej niż dwie trzecie po-

święcone są normom dotyczącym województw lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego. Ustawa ta przewiduje w całej Polsce sejmiki wojewódzkie, którym ma służyć nie tylko samorząd ale i autonomia, gdyż mają one być uprawnione - w granicach wskazanych artykułami 2 i 3 ustawy, do uchwalania ustaw, które będą otrzymywać moc obowiązującą przez sankcję Prezydenta Rp. Samorząd i autonomia w ustawie z r.1922 zapowiedziane, tworzyły dla ludności ukraińskiej widoki bardzo korzystne, skoro w wymienionych trzech województwach ludność ukraińska posiada większość.

Art.24 ustawy postanawia nadto dosłownie: co następuje: "Sejm R.P. uchwali utworzenie uniwersytetu ruskiego i zapewni mu potrzebne środki finansowe ze Skarbu Państwa. Uniwersytet ten, zorganizowany autonomicznie, zgodnie z przepisami dotyczącymi szkół akademickich podlegać będzie bezpośrednio Ministrowi W.R.i O.P. Art.26 ustawy zarządza dodatkowo, by "Rząd przystąpił do założenia uniwersytetu ruskiego najpóźniej w dwa lata po ogłoszeniu ustawy".

W pierwszych dniach maja r.1924, gdy zaniosłem premierowi Grabskiemu gotowy już projekt rozporządzenia waloryzacyjnego /o czym p. w poprzedniej części Wspomnień/ p.Grabski, podziękowawszy mi za przyniesioną pracę, zatrzymał mnie u siebie. Powiedział, że pragnie mnie obarczyć jeszcze innym zadaniem i o tym zaraz ze mną pomówić. Naprzód przypomniał mi treść powyższej ustawy z r.1922 i dodał: "Sprawa wprowadzenia w całej Polsce samorządów, w ustawie przewidziana, to problem

 391

... Szkolnej zajął wy-
~~bitne polityczne stanowisko w zagadnieniu, dotyczącym~~
~~szkolnictwa ukraińskiego i ogólnego stanowiska naszego~~

bardzo trudny, wchodzący w zagadnienia polityczne, skomplikowane, w szczególności narodowościowe, społeczne i gospodarcze. Do ułożenia odpowiedniego projektu trzebaby wyszukać wybitnego znawcę prawa państwowego, ekonomistę, a przy tym i wytrawnego polityka, znającego nasze stosunki. Oglądam się za odpowiednim kandydatem, ale dotychczas nie znalazłem nikogo, komu mógłbym to trudne zadanie spokojnie powierzyć. Termin dwuletni w ustawie przewidziany jest stanowczo za krótki i dotrzymany być na ogół nie może. Ale w terminie tym możemy rozpocząć pracę na serio nad zadaniem mniej rozległym, a mianowicie przystąpić do ułożenia projektu uniwersytetu ruskiego. Otóż z tym zadaniem zwracam się do Pana. Mam nadzieję, że mi Pan współpracy nie odmówi, jakkolwiek nie wchodzi ona w zakres prawa prywatnego, t.j. w dziedzinę należącą do Pańskiego zawodu. Jednak wiem przecież, że Pan jako Prezydent Galicyjskiej Rady Szkolnej zajął wybitne polityczne stanowisko w zagadnieniu, dotyczącym szkolnictwa ukraińskiego i ogólnego stanowiska naszego do Rusinów - problem nie jest więc Panu obcy - a także jako profesor uniwersytetu ma Pan pełny tytuł do zabrania głosu w tej sprawie".

Odpowiedziałem p.Grabskiemu, że zaszczycony jego zaufaniem, z jakim zwraca się do mnie, podejmuję się współpracy także w tym zadaniu, mimo olbrzymich trudności, z jakimi spotkamy się niewątpliwie ze strony radykalnych nacjonalistycznych żywiołów tak polskich jak i ukraińskich. Podejmuję się tej pracy nawet chętnie, bo sądzę, że gdyby można doprowadzić rzecz do założenia uniwersytetu ukraińskiego w Polsce, to oddałoby się wielką przysługę nie tylko Ukraińcom, temu do życia

budzącemu się narodowi, ale także narodowi polskiemu, co bliżej motywami politycznymi uzasadniłem. W końcu poprosiłem o kilka a może nawet o kilkanaście dni do przemyślenia zadania, o które chodzi, i ułożenia może już jakiegoś avant-projektu. Wszak trzeba widzieć jasno, czego się chce i jakimi środkami dążyć do celu należy zgodnie z paremią rzymską: Quidquid agis, prudenter agas et respice finem.

Po niedługim czasie powróciłem do Warszawy i zgłosiłem się u p.Premiera z exposé, które podaję tu w streszczeniu:

Jestem zdania, że jeżeli Polska ma być państwem potężnym, to nie może ograniczać się do granic etnograficznych, t.zn.obejmujących tylko obszary, w których mamy większość. Rzecz jest zresztą przesądzona. Polska rozciąga się obecnie /w r.1924/ także na ziemie, w których Rusini są w większości, lub na ziemie, w których Polacy wprawdzie tworzą większość, ale Rusini mieszkają tam w stosunkowo wielkich mniejszościach. Musimy więc dążyć do tego, żeby te szczepy ruskie, obecnie dla nas w znacznej części usposobione nieprzychylnie a nawet /jak w Małopolsce/ wrogo, do Polski przyciągnąć, ażeby one nie stanowiły ośrodka, rozsadzającego siły państwa od wewnątrz i dlatego jeszcze niebezpieczniejszego niż wróg zewnętrzny. Niewątpliwie przyciąganie Ukraińców do Polski nie będzie bynajmniej rzeczą łatwą. Prądy narodowościowe, rozwijające się potężnie w Europie, oddziałały także na Rusinów. Wytworzył się wśród nich odłam t.zw. Ukraińców, uważających się za "naród", chociaż są na razie tylko bardzo silnym stronnictwem wśród Rusinów /mie-

szkających na Rusi Czerwonej/ "zalążkiem" ukraińskiego "narodu". W programie swym dążą oni do utworzenia zupełnie niepodległego, suwerennego państwa ukraińskiego, które objąć ma ziemie wschodniej Polski, a głównie rozległe bardzo obszary południowej Rosji z ludnością około 40-to milionową. Jednak plany takie są tylko marzeniami nierealnymi, bo na ich urzeczywistnienie nie zgodzi się nigdy Rosja, uważając Rusinów nie za "naród", lecz za odłam południowych Rosjan, mówiących odrębnym narzeczem. A zresztą do realizacji takich marzeń brak Ukraińcom wielu innych jeszcze warunków, jako to jednolitej historycznej tradycji narodowej i państwowej, brak dostatecznej, dla utworzenia państwa niezbędnej a liczebnie silnej warstwy inteligencji, odpowiednio przygotowanej itd. Wobec tego Rusini muszą z czasem przyjść do przekonania, że, stojąc na gruncie realnym, wybrać im wypadnie związek chociaż pewną zależność albo z Rosją albo z Polską. Dla tych Rusinów, którzy uznają, że Rusini należą do kultury zachodnio-europejskiej a nie bizantyńskiej, a tymi ostatnimi nie chcą być Ukraińcy, związek z Rosją jest niemożliwy i dlatego powinniby dążyć oni do zbliżenia się szczerego do Polski. Cóż kiedy przeciw budzeniu się takiej rozsądnej świadomości wśród Rusinów działa zwłaszcza od lat siedemdziesiątych przeszłego wieku niestrudzenie i konsekwentnie niemieckie Prusactwo, które zgodnie z historycznym "Drang nach Osten" ma w planie zniszczenie Polski, a w sojuszu Polski z Rusinami upatrywałoby wzmocnienie naszego państwa. Dlatego robi się zwłaszcza z Berlina wszystko, aby podjudzać i podburzać Rusinów przeciw Polakom. Zresztą i my popełniliśmy niejeden

błąd w stosunku do Rusinów, przezcośmy ich od siebie odpychali, działając przy tym - chociaż nieświadomie "pour le roi de Prusse".

Trudności w przyciąganiu Rusinów ku Polsce są zatem wielkie, olbrzymie, a jednak istnieją - jak sądzę - środki, które je nie odrazu, ale z czasem przezwyciężyć mogą, a tymi środkami są sprawiedliwość i dobre a mądre rządy.

Mylą się ci Polacy, którzy twierdzą: niechże naprzód Rusini okażą się lojalni i zrobią pierwszy ku nam krok, a wtedy my, Polacy, możemy im podać dłoń. Mylą się, bo zapominają, że my w Polsce rządzimy i dlatego do nas należy inicjatywa.

Otóż jednym z licznych środków takiej inicjatywy jest przystąpienie do założenia uniwersytetu ruskiego /ukraińskiego/, które stało się zresztą od r.1922 prawnym obowiązkiem Rządu, skoro zarządzone zostało ustawą z tegoż roku i stało się tym samym dezyderatem polskiego narodu. Jeżeli Rusini mają mieć do Polski zaufanie, muszą nabrać przekonania, że Polska swe zobowiązania spełnia, ustawy uchwalone szanuje i w życie wprowadza.

Wypełnienie obowiązku, którego treścią jest przystąpienie do założenia uniwersytetu ruskiego, powinno być więc traktowane szczerze, poważnie, a nie tylko jako środek dla chwilowego zaspokojenia żądań radykalnych Ukraińców, którzyby potem z instytucji naukowej zrobili może placówkę polityczną a może nawet irredentystyczną. My Polacy musimy mieć na celu założenie na ziemiach polskich instytucji prawdziwie naukowej, z językiem wykładowym ruskim. Spełnienie tego zadania wymaga wielkich

i wielu przygotowań. Trzeba obszernych i odpowiednich budynków, urządzeń bardzo kosztownych, licznych zakładów a przede wszystkim odpowiedniej liczby fachowców ze wszystkich działów nauki. Uniwersytet to wielka rzecz! Trafnie odpowiedział sławny filolog i minister austriacki, Harth Słoweńcom, gdy zażądali w latach osiemdziesiątych przeszłego stulecia, natychmiastowego założenia uniwersytetu w Cilli: "Man kann eine Universität nicht aus dem Boden stampfen".-Prócz zapewnienia w budżecie polskim znacznych funduszów na założenie i wyposażenie licznych zakładów, najęcie lokali itd., itd., trzeba przede wszystkim upewnić się, że ważniejsze katedry będzie można obsadzić przez naukowe w pełni wykwalifikowane siły, boć przecież dla profesorów uniwersyteckich nie może być wprowadzona venia studiorum! Wśród Ukraińców istnieją wprawdzie wybitni uczeni - zwłaszcza w zakresie filologii ruskiej, nauk przyrodniczych i prawa, - nie ma jednak fachowców do obsadzenia wszystkich katedr najważniejszych, jakie w uniwersytecie istnieć muszą, choćby uniwersytet, wbrew swej nazwie /universitas/ miał ograniczyć się do dwu wydziałów t.j. filozoficznego i prawniczego. A przytem nie można przewidzieć, czy te fachowe siły, jakie możnaby powołać, zechciałyby wszystkie stanąć na stanowisku wierności niepodległej Polsce. Dlatego na razie trzeba ograniczyć się do utworzenia niezupełnego uniwersytetu ruskiego, o charakterze wyższej szkoły akademickiej, posiadającego osobowość prawną, własną administrację, własne władze uniwersyteckie, którego językiem urzędowym i wykładowym miałby być język ruski. Jednak ten niezupełny uniwersytet, wobec niemoż-

liwości obsadzania szeregu katedr, mógłby funkcjonować czasowo tylko przy pomocy innego w polsce już istniejącego zupełnego uniwersytetu i z jego strony musiałby doznawać pomocy. W niezupełnym uniwersytecie ruskim odbywałyby się wykłady i ćwiczenia, prowadzone przez zamianowanych profesorów, przeważnie byłych profesorów i docentów Uniwersytetu lwowskiego. Instytut mógłby nosić nazwę Uniwersytetu Ukraińskiego, bo przecież byłby zawiązkiem przyszłego, przez Sejm do życia mającego być powołanym Uniwersytetu, gdy już będą istnieć kandydaci na wszystkie katedry ważniejsze, przynajmniej na dwóch wydziałach, prawniczym i filozoficznym. Do tego czasu uczniowie ukraińscy zapisywaliby się przede wszystkim jako studencji uniwersyteccy w Uniwersytecie Ukraińskim a nadto, o ile chodziłoby d wykłady i seminaria tamże jeszcze nie prowadzone, - na wykłady i ćwiczenia w uniwersytecie polskim, funkcjonującym jako pomocniczy. Egzamina zdawaliby studenci również naprzód w uniwersytecie ruskim a potem z przedmiotów, dla których nie byłoby tam egzaminatorów, - w uniwersytecie polskim. Świadectwa otrzymywaliby łącznie przez oba instytuty wystawione. Habilitacje z przedmiotów, nie mających w Instytucie przedstawicieli naukowych, odbywałyby się w uniwersytecie pomocniczym polskim.

Który z uniwersytetów polskich miałby objąć funkcje takiego pomocniczego zakładu? Wchodzić mogą - jak dalej przedstawiłem p.Premierowi - trzy uniwersytety: lwowski, warszawski i krakowski. Lwowski byłby ze względu na swe położenie geograficzne na ziemiach zamieszkałych w większości przez Rusinów i ze względu na to, że

we Lwowie koncentrował się ruch naukowy ukraiński - najodpowiedniejszy, jednak projekt ten trzeba zarzucić, gdyż wobec żywej jeszcze pamięci walk bratobójczych we Lwowie i stąd tam wybujałego antagonizmu obu narodowości, nie istnieją dotychczas we Lwowie warunki spokojnej współpracy naukowej. Zresztą miałem już wówczas poufne wiadomości od kilku profesorów Uniw.Jana Kazimierza we Lwowie, że uniwersytet ten odmówiłby współdziałania w założeniu uniwersytetu ukraińskiego. Uniwersytet warszawski wydaje się mniej odpowiedni ze względu na oddalenie od Małopolski. Wybór tedy może paść tylko na uniwersytet Jagielloński w Krakowie, raz, że jego siedziba jest w Małopolsce - chociaż nieco odległa od głównego osiedlania się Ukraińców, - powtóre dlatego, że ten najstarszy uniwersytet polski daje najlepsze warunki dla spokojnej pracy organicznej i naukowej, wolnej od tarć narodowościowych. A zresztą Uniwersytet Jagiell. stał się kilkanaście lat temu azylem dla studentów ukraińskich t.zw. "secesjonistów" z Uniwersytetu lwowskiego, co Ukraińców szczególnie dobrze do starej Alma Mater Jagellonica usposobiło.

Siedziba Uniwersytetu, który zostanie powołany do życia przez Sejm, gdy będą mogły być już obsadzone wszystkie ważniejsze katedry na wydziałach prawniczym i filozoficznym, zostanie oznaczona uchwałą sejmową. Jest to bowiem kwestia polityczna, która należy do Sejmu. Dla przyszłej uchwały sejmowej rzeczą będzie obojętną, że zawiązek tego uniwersytetu powstał w Krakowie, skoro uniwersytet ruski, gdy już do ostatecznego zatwierdzenia przez Sejm będzie przygotowany, może mieć oczywiście siedzibę tylko na ziemiach etnograficznie w większości ruskich.

Siedziba popinlery uniwersytetu z konieczności umieszczona w Krakowie, nie może zatem stanowić żadnego "precedensum". Przypuszczam, że najodpowiedniejszą siedzibą byłby potem Lwów a nie Stanisławów /chociaż w stanisławowskim województwie jest stosunkowo najwięcej ludności ruskiej/ ani Przemyśl lub Łuck - a to ze względu na to, że we Lwowie istnieje biblioteka uniwersytecka, która mogłaby służyć także - bez szkody dla Uniwersytetu polskiego - do użytku uniwersytetu ruskiego, a w innych miastach trzebaby dopiero zakładać nowe biblioteki - co byłoby zadaniem - o ile chodzi o księgozbiór odpowiedni dla uniwersytetu, - prawie nie do spełnienia. Odrzucam naturalnie wszelką myśl utrakwizacji Uniwersytetu Jana Kazimierza. Uniwersytet ten musi pozostać rdzennie polskim. A Uniwersytet Ruski musi tworzyć instytucję całkiem odrębną.

Wywody powyższe przedstawione p.Premierowi zakończyłem uwagą, że jeżeliby projekt mój został przez Rząd przyjęty oraz jeżeliby Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie zgodził się na spełnianie funkcji uniwersytetu pomocniczego, a uczeni ukraińscy, wykładający obecnie w Czeskiej Pradze, na t.zw.Uniwersytecie Ukraińskim, oświadczyli gotowość przybycia do Krakowa,przyjęcia nominacyj, dokonanych przez Rząd Polski i złożenia przysięgi na wierność Rp.P. - w takim razie możnaby przystąpić do otwarcia niezupełnego Uniwersytetu Ukraińskiego z tymczasową siedzibą w Krakowie już w październiku 1924 r. i rozpocząć pierwszy rok szkolny.

Projekt mój spodobał się p.Premierowi Grabskiemu.

Zaprosił on do siebie zaraz celem bliższego omówienia sprawy ministra W.R. i O.P. Miklaszewskiego, potem sekretarza stanu w prezydium Rady Ministrów br.Rodich-Laskowskiego i naczelnika Wydziału z Ministerstwa Spraw Zagranicznych hr.Stanisława Łosia, który od dłuższego czasu zajmował się stosunkiem naszym do Ukraińców i uważał poprawienie go za rzecz wielkiej doniosłości dla obu narodów. Wszyscy projekt mój w zupełności zaaprobowali, tylko jeden z nich, zdaje mi się, że p.Laskowski lub p.Łoś zwrócili uwagę na to, że przy zestawieniu kandydatów na zaczątek Uniwersytetu Ukraińskiego w Krakowie, należałoby rozglądnąć się za odpowiednimi siłami naukowymi w Kijowie, by w ten sposób zaraz z początku obsadzić więcej katedr, a także dlatego, że ludzie z rosyjskiej, wielkiej Ukrainy nie rozpolitykowani jak Galicjanie, nie ulegają antagonizmowi, jakim przeciw Polsce przejęci są byli profesorowie i docenci lwowscy pozostający pod wpływami niemiecko-antypolskimi. Uwagę tę zapisałem dla pamięci jako bardzo trafną.

Wobec tego, że zgoda Rządu na przedstawiony przeze mnie projekt nie ulegała wątpliwości, Minister W.R. i O.P. zwrócił się do Senatu Akademickiego w Krakowie z odpowiednimi wnioskami. Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego Jan Łoś, który w tej sprawie na zaproszenie p.Premiera dwukrotnie był w Warszawie, zwołał osobne nadzwyczajne posiedzenie Senatu na dzień 3 lipca 1924. Senat, po przeprowadzeniu dłuższej dyskusji, w której z ramienia Rządu brał udział Dr.Zawidzki, Dyr.Dep.IV Min.W.R.i O.P., a ja przedstawiłem referat i wyjaśniałem bliżej sprawę, powziął - znaczną większością głosów

/przeciw głosowali tylko dwaj członkowie/ - uchwałę, że w zasadzie ~~gdziaxsię~~ godzi się na udzielenie odpowiedniej pomocy uniwersytetowi ruskiemu a to przez habilitowanie docentów, przyjmowanie studentów z uniwersytetu ukraińskiego na poszczególne wykłady na Uniwersytet Jagielloński, egzaminowania tych studentów z wysłuchanych tu przedmiotów itd., ale pod dwoma warunkami:

1/ że ta pomoc w niczym nie ukróci stanu posiadania Uniwersytetu Jagiellońskiego, jako uniwersytetu polskiego, że więc uniwersytet ruski będzie miał własne sale wykładowe, własne zakłady naukowe, własną i odrębną administrację, że studenci uniwersytetu ruskiego, zapisujący się na Uniwersytet Jagielloński, będą wnosić podania tylko w języku polskim i zdawać egzaminy na tym uniwersytecie w języku polskim;

2/ że ta pomoc zostanie bliżej unormowana umowami, jakie Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego zawrze z władzami akademickimi uniwersytetu ruskiego.

Przyjąwszy do wiadomości powyższe /w streszczeniu tu podane/ uchwały Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego Rząd, a przede wszystkim p.premier Grabski, zamierzał utworzyć jak najrychlej - o ile możliwości w październiku 1924 r. - zawiązek uniwersytetu ruskiego w Krakowie i obsadzić w tym celu te katedry, których obsadzenie w danych warunkach byłoby możliwe, a dopiero wówczas, gdy wydziały prawniczy i filozoficzny uniwersytetu ruskiego będą mogły powstać w komplecie, przedłożyć Sejmowi właściwy projekt ustawy o utworzeniu uniwersytetu ruskiego; ustawa miała ustalić równocześnie sie-

dzibę

tego tak w dwu wydziałach skompletowanego uniwersytetu ruskiego w mieście położonym na ziemiach zamieszkałych w większej części przez ludność rusińską. Uzupełnienie uniwersytetu ruskiego przez wydział medyczny miało nastąpić w drodze analogicznej, jak powołanie do życia wydziałów prawniczego i filozoficznego, ale rzecz tę odłożono na czas znacznie późniejszy, raz z powodu wielkich kosztów z tym przedsięwzięciem połączonych, a powtóre, że nie było na razie uczonych Ukraińców, którzyby na katedry na wydziale lekarskim mogli być powołani.

Na życzenie p.Premiera i Ministra W.R.i O.P. dyrektor Zawidzki zaprosił jeszcze na konferencję na 11 i 12 lipca 1924 r. w Warszawie pp.Łyskowskiego, jako rektora uniw.warszawskiego, rektora Jana Łosia z Krakowa, mnie jako referenta, Dra Tadeusza Waryńskiego, naczelnika Wydziału Min.W.R.i O.P., Leopolda Rutkowskiego, naczelnika Wydz.Min.Spraw Wwewn., hr.Stanisława Łosia,naczelnika Wydz.północnego Min.Spraw Zagran.

Zebrani po wysłuchaniu referatu i po przeprowadzeniu dwudniowej dyskusji wyrazili jednomyślnie zapatrywania następujące:

" 1/ Sprawę założenia Uniwersytetu ruskiego należy traktować lojalnie, otwarcie i szczerze, gdyż tylko ta droga leży w interesie państwa polskiego, a Polska zobowiązała się do tego w ustawie z dn.26 września 1922 r. o zasadach powszechnego samorządu wojewódzkiego a w szczególności województw lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego.

2/ Uniwersytet ruski powinien być instytucją poważną, opartą na obsadzeniu Katedr przez siły naukowe,

należycie ukwalifikowane i dlatego należy go tworzyć w miarę, jak takie siły będą do dyspozycji. Na razie więc można i należy przystąpić do natychmiastowego utworzenia wydziału filozoficznego, przynajmniej humanistycznego, obsadzając w nim te katedry, dla których są poważni kandydaci, a o ile możności, także wydziału prawniczego.

3/ Ten zawiązek uniwersytetu ruskiego - Instytut ruski ma być prowizorycznie umieszczony w Krakowie, aby mógł znaleźć pomoc w dalszej organizacji ze strony najstarszego uniwersytetu polskiego, który nadto daje najlepsze warunki dla spokojnej pracy organizacyjnej, wolnej od tarć narodowościowych.

4/ Ta pomoc nie może w niczym zacieśniać stanu posiadania Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wobec tego Instytut ruski musi powstać. jako zupełnie odrębna szkoła z własnymi profesorami, z własną administracją, z własnymi zakładami. Jedynie Biblioteka Jagiellońska, jako instytucja publiczna dla każdego dostępna będzie służyć i Instytutowi Ruskiemu.

To zasadnicze stanowisko nie przeszkadza porozumieniom, jakie te dwie instytucje naukowe ułożą między sobą celem dopuszczania studentów Instytutu Ruskiego na poszczególne wykłady na Uniwersytecie Jagiellońskim i odwrotnie, zdawania egzaminów uzupełniających z tych przedmiotów, których wysłuchali w Uniwersytecie Jagiellońskim lub w Instytucie Ruskim. Takie układy w niczym nie mogą uwłaczać przepisom ustrojowym i językowym obu uczelni, a podlegają zatwierdzeniu ze strony Ministra W.R. i O.P.

5/ Celem bezzwłocznego założenia Instytutu Ruskiego, zorganizowania go, oraz dalszej jego rozbudowy aż do wytworzenia kompletnego Uniwersytetu Ruskiego, ma być powołana do życia "Komisja Organizacyjna". Przewodniczącego tej Komisji i jego zastępcy mianuje Minister W.R.i O.P., a nadto wchodzą w jej skład również mianowani przez Ministra W.R.i O.P. czterej profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz czterej uczeni ruscy, a nadto stały delegat Wydziału Nauki Ministerstwa W.R. i O.P.

6/ Komisja Organizacyjna jest organem doradczym Ministra W.R.i O.P. i jemu podlega. Jej zadaniem jest:

a/ przedstawianie Ministrowi wniosków o tworzenie katedr w Instytucie Ruskim, o zatwierdzanie habilitacyj, o wyposażania Instytutu w potrzebne zakłady, o zaspakajanie innych jego potrzeb, a zwłaszcza o organizację jego administracji;

b/ inicjatywa i pośredniczenie w zawieraniu układów w stosunkach między Uniwersytetem Jagiellońskim, a Instytutem Ruskim;

c/ opracowanie statutu dla Instytutu Ruskiego, który będzie obowiązywał tak długo, dopóki Instytut nie zostanie przekształcony w Uniwersytet Ruski. W Statucie ma być zapewniona osobowość prawna dla Instytutu Ruskiego. Statut będzie miał moc prawną, odkąd go zatwierdzi Minister W.R.i O.P. Habilitacje w Instytucie będą dopuszczalne z przedmiotów, dla których znajdować się będą w Instytucie profesorowie z tych przedmiotów.

7. Instytut /względnie Uniwersytet/ Ruski ma wyłącznie służyć dla celów kulturalnych ludności ruskiej /ukraińskiej/ i dlatego powinien zachować zupełną odrębność wobec Instytutu Słowiańskiego, który ma być założony przy Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, jak również wobec ewentualnie powstać mogących wyższych studiów w innych językach słowiańskich."

Po powyższych uchwałach zgodzili się obecni jednomyślnie na następujący "PROJEKT USTAWY o utworzeniu Uniwersytetu z językiem wykładowym ruskim /ukraińskim/.

Art.1. Upoważnia się Rząd do utworzenia Uniwersytetu z językiem wykładowym ruskim /ukraińskim/, oraz wydania w tym celu potrzebnych i wskazanych zarządzeń, a w szczególności bezzwłocznego powołania do życia Instytutu Ruskiego /ukraińskiego/ z tymczasową siedzibą w Krakowie - jako zawiązku przyszłego Uniwersytetu Ruskiego /ukraińskiego/.

Art.2. Upoważania się Rząd do wstawienia do preliminarza budżetowego na rok 1925 i lat następnych odpowiednich kredytów dla urzeczywistnienia celów w art.1. wymienionych.

Upoważnia się Rząd do udzielenia do rozporządzenia Ministra W.R.i O.P. funduszu nadzwyczajnego w wysokości.............na pokrycie wstępnych kosztów organizacyjnych.

Art.3. Wykonanie ustawy niniejszej powierza się Ministrowi W.R.i O.P.

Uchwały powyższe, zaopatrzone motywami członkowie konferencji przedłożyli w kilka dni później panu Preze-

sowi Rady Ministrów na ręce p.Ministra W.R.i O.P.

Z motywów zwracam tu uwagę na dwa punkty: Po pierwsze: Członkowie konferencji uważali za stosowne unikać, przynajmniej na razie, nazwy "Ukraiński Uniwersytet", aby przez to nie odsuwać od Uniwersytetu tych z Rusinów /n.p.Starorusinów/, którzy nie należeli do t.zw.Ukraińców. Powtóre: Do projektu ustawy, nader krótkiej, obejmującej tylko trzy artykuły najniezbędniejsze, nie wstawili żadnej wzmianki o przyszłej siedzibie Uniwersytetu Ruskiego, gdyż taka tylko krótka, siedziby uniwersytetu nie przesądzająca z góry ustawa mogła przejść przez Sejm i Senat w kilku dniach, jako pierwszy niewątpliwy i stanowczy krok w wykonaniu ustawy z r.1922. Gdyby zaś w tej ustawie mieścić się miało także postanowienie, wyznaczające siedzibę dla przyszłego Uniwersytetu Ukraińskiego, które ze względu na swe podłoże polityczne wywołałoby niewątpliwie dyskusje bezbrzeżne i spory, natenczas sprawa założenia Uniwersytetu ukraińskiego mogłaby była popaść w niedającą się przewidzieć zwłokę.

Idąc za wnioskiem członków konferencji z dn.11 i 12 lipca 1924 r. pp.Premier i Minister W.R.i O.P. postanowili powołać zaraz do życia Komisję Organizacyjną /p.wyżej pod L.5 i 6/, a p.Minister W.R.i O.P. polecił bezzwłocznie ułożyć "Statut Komisji Organizacyjnej Uniwersytetu Ruskiego /Rusińskiego/". Projekt statutu zatwierdzonego następnie przez p.Ministra, znajduje się u mnie w odpisie wraz z innymi aktami. Jego wstępne i najważniejsze postanowienia zostały podane na kilka tygodni później do wiadomości publicznej przez prasę codzienną w komunikacie dziennikarskim; ~~którego brzmienie~~

~~jest następujące:~~

"Przed otwarciem uniwersytetu ukraińskiego."

Warszawa 6 września 1924. /PAT./ Wykonywując ustawę z dnia 26 września 1922 roku o zasadach powszechnego samorządu wojewódzkiego, zalecające rządowi przystąpienie do założenia uniwersytetu ruskiego /ukraińskiego/, którego zadaniem będzie zaspakajanie kulturalnych potrzeb ukraińskiego społeczeństwa wschodnich województw, rząd poczynił następujące przygotowania:

1/ Minister oświaty jako przewidziany ustawą bezpośredni i najwyższy zwierzchnik powstać mającego uniwersytetu powołał komisję organizacyjną tego uniwersytetu z tymczasową siedzibą w Krakowie.

2/ W skład komisji, której członków zamianuje w najbliższym czasie minister oświaty, wejdą w równej mierze profesorzy polscy i uczeni ukraińscy, posiadający stopień profesora uniwersytetu, a nadto stały delegat ministra oświaty. Przewodniczącego i jego zastępcę mianuje z pośród jej członków minister oświaty.

3/ Do kompetencji komisji należeć będzie: a/ Opiniowanie wniosków ustawodawczych i przedłożeń rządowych związanych z powołaniem do życia uniwersytetu; b/ Stawianie wniosków co do tworzenia katedr i ich obsady, podawania wniosków na zatwierdzenie habilitacji, wyposażenie uniwersytetu w potrzebne zakłady, zaspakajanie wszystkich jego potrzeb organizacyjnych i administracyjnych, udzielanie urlopów, wyznaczanie stypendiów na przygotowanie habilitacji, oraz propozycje na suplentury. c/ Stawianie wniosków odnośnie do utworzenia komisji kontrolującej, mającej orzekać w wypadkach wątpli-

wych o ważności studiów wyższych, odbytych w warunkach anormalnych."

Wstatucie komisji mieści się dalej szereg przepisów szczegółowych, określających bliżej powyższe i inne jeszcze zadania komisji.

Rząd przedłożył Sejmowi projekt ustawy przez konferencję z 11 i 12 lipca 1924 r. ułożony, wstawiając w art.2 na pokrycie jedynie wstępnych kosztów administracyjnych sumę 262 tysięcy złotych. Wydatki połączone z założeniem i uruchomieniem niezupełnego Uniw.Ukraiń. miały być - jak słyszałem - pokrywane przekroczeniami budżetu bieżącego, a następnie oczywiście przez wstawienie odpowiednich sum w preliminarzach lat dalszych.

Na życzenie p.Premiera rozglądnąłem się za tymczasowym lokalem w Krakowie na umieszczenie Uniw.Ukr. Udało mi się wejść w rokowania o najem wielkiego budynku przy ul.Wielopole, w którym później umieszczono Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego. Lokal ten mógł służyć do dyspozycji Rządu na Uniw.Ruski od 1 października 1924 r. Zgłosił się też do mnie m.i. p.Józef Celewicz, em.urzędnik Kasy Oszczędności w Krakowie /wyznania grecko-katol./, który oświadczył gotowość objęcia kierownictwa kwestury w Uniw.Ukr. W Warszawie dowiedziałem się że p.Premier miał zapewnić sobie udział Metropolity, arcybiskupa Szeptyckiego przy uroczystym otwarciu Uniw. Ruskiego. /Skracać będę nadal U.R./.

Ze strony polskiej mimo pewnych głosów, nawet nieraz zjadliwej opozycji, podnoszonej przez skrajnych na-

cjonalistów,x/ wzięto się do sprawy - jak widać z powyższego przedstawienia rzeczy - z najlepszymi zamiarami i pracowano usilnie, aby je urzeczywistnić. Zrobiono, co można było na razie uczynić, aby jak najrychlej - może już w październiku 1924 r. uruchomić w zaczątku U.R., a to tymczasowo tam, gdzie w danych warunkach stać się to mogło, t.j. w Krakowie, przy współdziałaniu życzliwym Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Chodziło teraz już tylko o to, by Ukraińcy ofertę ze strony Rządu naszego przygotowaną, przyjęli. Rząd, zwrócił się w tym celu do dwóch znanych chlubnie Ukraińców, profesorów uniwersyteckich, mianowicie dra Romana Smal-Stockiego prof.U.U.w Pradze, syna głośnego uczonego dra Stefana Smal-Stockiego, b.prof.Uniw.w Czerniowcach, oraz do dra Cyryla Studzińskiego, b.zwyczajnego profesora Uniw.lwowskiego; przedstawił im swe zamiary i plany z prośbą, aby ci dwaj profesorowie udali się do Pragi celem wysłuchania opinii i decyzji profesorów zajętych w t/zw.Uniwersytecie Ukraińskim tamże oraz innych uczonych Ukraińców, mających kwalifikacje na profesorów uniwersyteckich, i aby zakomunikowali potem Rządowi odpowiedź na jego propozycję. Mieli oni także podać do 20 sierpnia 1924 r. nazwiska czterech Ukraińców, którzyby do Komisji Organizacyjnej wstąpić zechcieli.

---

x/ Ze względu na te głosy opozycyjne Redakcja Krakowskiego "Czasu" zwróciła się do mnie z prośbą o wyjaśnienie sprawy dla szerszej publiczności. Udzieliłem go w wywiadzie zamieszczonym w "Czasie" z piątku z dn.12-go września 1924 r.

Jak Ukraińcy zareagowali na projekt rządowy?

Projekt i ważniejsze kroki Rządu i tych Polaków, którzy mu w jego pracy pomagali, nie były wcale utrzymywane w tajemnicy. To też już w kilka dni po uchwałach konferencji z dn.11 i 12 lipca 1924 r. profesor Tomaszewski, Ukrainiec bawiący w Berlinie, napisał memoriał w sprawie projektu i uchwał konferencyjnych. W memoriale tym, z dn.28 lipca 1924 r., który zrobił w sferach polskich korzystne wrażenie, prof.Tomaszewski poddał wprawdzie niektóre szczegóły uchwał z dn.11 i 12 lipca 1924 r. krytyce i zaproponował drobne modyfikacje, na które Rząd mógł się zgodzić, ale na ogół uznał projekt za dobry i celowy. Prof.Tomaszewski w swym memoriale proponuje, żeby "Instytut ruski", który ma powstać w Krakowie, nazwać nie "Instytutem", lecz wprost "Uniwersytetem", przy czym uważa za rzecz pożądaną, aby nazywał się "Uniwersytetem im.Króla Daniela"; żeby zaraz, choćby jeszcze w sierpniu 1924 r. przywrócić członkom Uniwersytetu Ukraińskiego w Pradze, którzy utracili swe profesury we Lwowie w następstwach rewolucji z lat 1918 i 1919, - ich dawne urzędowe stopnie i zamianować ich profesorami z poszanowaniem dawnych praw nabytych, ale z tym dodatkiem, że mają oni spełniać swefunkcje profesorskie nadal nie we Lwowie na Uniw.Jana Kazimierza, ale na U.U. tworzącym się tymczasowo w Krakowie. Inne wnioski dotyczą szczegółów odnoszących się do organizacji fakultetów i Uniwersytetu jako całości "Komisariatu" organizacyjnego itp. P.Tomaszewski, przyklasnąwszy zamiarowi Rządu otwarcia U.U. już z dnia 1 października 1924 r. przesłał swój memoriał zaraz prof.

Smal-Stockiemu /Romanowi/ i prawdopodobnie zawiadomił go równocześnie, o czym do mnie osobno napisał, że bawiący także w Berlinie prof.Łepki i Dr.Kuziela w zupełności jego poglądy i zdania podzielają. Prof.Smal-Stocki wysłał pospiesznie memoriał Tomaszewskiego ~~hr.~~ wandaj Łosiowi do Warszawy, dodając kilka swych uwag, z których wynika, że i on /prof.Roman Smal-Stocki/ w głównych zarysach projekt rządowy akceptuje. W liście swym wyraża przypuszczenie, że skoro Bohdan Łepki i Tomaszewskij projekt na ogół przyjęli, najprawdopodobniej także profesorowie Kolessa, Dniestrzański /Dnistriańskij/ i Rudnicki będą dla projektu przychylnie usposobieni; żałuje, że we Lwowie budzi się opozycja przeciw projektowi w sferach ukraińskich, ale sądzi, że mimo to prof.Studynskij /Studziński/, bawiący stale we Lwowie i Werchanowskij nie zajmą stanowiska przeciwnego projektowi. Proponuje, żeby do Komisji Organizacyjnej Rząd,powołał jego ojca, Stefana i ewentualnie prof.Horbaczewskiego /Horbatschewskij/ "jako firmy", /uważał widocznie, że dwa miejsca pozostałe w Komisji Organiz. należeć się będą jemu samemu i Drowi Studzińskiemu, jako tym, którzy są z wyboru Rządu pośrednikami między profesorami praskimi a Rządem; nadmienia dalej, że każdy z przywróconych na skutek swego podania profesorów, powinien przybyć do Krakowa najpóźniej do dn.25 września 1924 r. /oczywiście by wykłady rozpocząć zaraz po 1 października 1924 r./, ale podkreśla silnie, że "my" /zapewne Ukraińcy/ musimy się zaraz zabrać do propagandy prasowej, aby głosy rosnącej opozycji złamać.

Hr.Łoś odpisał zaraz z podziękowaniem, dając równocześnie p.Smal-Stockiemu pewne wskazówki po myśli planów rządowych, a mnie przesłał kopię całej korespondencji z Tomaszewskim i Smal-Stockim, którą także przechowałem w swych aktach.

Po tak gładko toczącym się przebiegu początkowych działań można było nawet bez większego optymizmu, spodziewać się, że urzeczywistnienie projektu rządowego nie natrafi na poważniejsze przeszkody i że otwarcie U.R. będzie mogło nastąpić może już dn.1 października 1924 r. albo bardzo wnet potem. Wprawdzie pewną burzę zapowiadały owe "głosy opozycji, budzące się w społeczeństwie ukraińskim", ale przypuszczać można było, że one nie staną się dla projektu rządowego groźnymi i że umilkną przy zamierzonej odpowiedniej propagandzie przeciwnej, o jakiej pisał w swym liście Roman Smal-Stocki. Można też było oczekiwać, że taką propagandę poprą inni profesorowie prascy. Wiadomą było bowiem rzeczą, że mimo gościnności rządu czeskiego, czuli się ci profesorowie w Pradze, jakby byli na wygnaniu i do powrotu do kraju tęsknili;x/ wiadomą także było rzeczą, że U.U. w Pradze nie był właściwie żadnym uniwersytetem /wszechnicą/ wobec braku dostatecznej liczby sił fachowych; że dalej z powodu oddalenia od ziem ojczystych liczba studentów była smętnie mała; że Kraków jest stosunkowo bli-

---

x/ Prof.Dr.Studziński, chociaż przestał być profesorem uniw. we Lwowie, nie przyjął zaproszenia do Pragi na U.U.; zbyt był - jak mi mówiono - związany ze Lwowem różnymi stosunkami, żeby skazać się dobrowolnie - jak to kilku jego kolegów uczyniło - na wygnanie dalekie i w Pradze wykładać dla bardzo nielicznej liczby słuchaczy.

skim ziem ukraińskich i że byli profesorowie lwowscy mają otrzymać w Krakowie dawne stanowiska urzędowe a to już nie na uniwersytecie polskim, jak to było we Lwowie, ale na uniwersytecie rdzennie ukraińskim itd. itd.

Mimo to wszystko profesorowie U.U. w Pradze bynajmniej nie spieszyli się z odpowiedzią, obradowali, namyślali się i dopiero we wrześniu 1924 r. dali Rządowi odpowiedź lakoniczną i mało mówiącą, która dopiero przez pośredników, mianowicie przez prof. Smal-Stockiego, a głównie prof. Studzińskiego jako ich "pełnomocnika" została objaśniona. Odpowiedź, jaką Rząd nasz z Pragi otrzymał podaję tu dosłownie tak, jak mi ją w odpisie z Warszawy nadesłano.x/ Brzmi ona:

"Uważając za nasz obowiązek wśród bardzo ciężkiego kulturalno-naukowego położenia ukraińskiego narodu w Polsce, przyczynić się wszelkimi siłami do organizacji

---

x/ Tu nadmieniam, że moje sprawozdanie o stanowisku, jakie Ukraińcy wobec szczerej i poważnej propozycji Rządu naszego zajęli, nie jest zapewne równie dokładne, jak relacja dotychczasowa o działalności naszego Rządu; a to głównie z dwóch powodów: Raz dlatego, że przeważnie o stanowisku i działalności Ukraińców otrzymywałem wiadomości tylko pośrednio, bądź to przez pisma pochodzące od Rządu, bądź przez listy prywatne, pisane do mnie przez Ukraińców, /zwłaszcza prof. Smal-Stockiego, Studzińskiego, Tomaszewskiego/, lub Polaków /ks. Łosia, prof. Abrahama, Alfreda Halbana i in./, powtóre dlatego, że straciłem ochotę i zapał w zajmowaniu się nadal sprawą U.U., gdy we wrześniu i w dwóch następnych miesiącach 1924 r. nabrałem przekonania, że mimo najlepszej woli z naszej strony sprawa przedstawia się prawie beznadziejnie a to skutkiem stanowiska, jakie zajęli Ukraińcy, zostający pod wpływami swych skrajnych szowinistów i fanatyków narodowościowych.

kulturalno-naukowego środowiska w kształcie ukraińskiego uniwersytetu na ukraińskim terytorium, po wysłuchaniu informacji upoważnionego pośrednika, profesora ukraińskiego uniwersytetu w Pradze Dra Romana Smal-Stockiego, a także informacyj prof.Dra Cyryla Studzińskiego, profesorowie i docenci byłych państwowych uniwersytetów przeprowadzili na posiedzeniach dnia 27,28,29,30 i 31 sierpnia 1924 r. szeroką dyskusję, stwierdzili, że oni są powołani zabrać głos w tej kulturalno-naukowej sprawie i uchwalili:

1/ Oświadczyć gotowość podać Rządowi z naukowego "boku" /zapewne w znaczeniu "stanowiska"/ swoje zdanie o założeniu ukraińskiego uniwersytetu, o ile on będzie miał siedzibę na ukraińskim terytorium;

2/ podziękować Dr.Romanowi Smal-Stockiemu za jego szczere i korzystne pośrednictwo;

3/ udzielić pełnomocnictwa prof.Dr.Cyrylowi Studzińskiemu, jako zamieszkałemu w kraju, do dalszej wymiany myśli a Dra Smal-Stockiego prosić o dalsze pośrednictwo."

Następują podpisy:

Dr.Jan Horbaczewski, były rektor Uniw.Karlowego w Pradze, b.minister w Wiedniu, obecnie rektor ukr.uniw. w Pradze.

Dr.Stefan Smal-Stocki, b.prof.uniw.w Czerniowcach, b.marszałek sejmu bukowińskiego, członek Akad.nauk.w Kijowie,

Dr.Aleks.Kolessa, prof.Uniw.lwowskiego i b.dziekan wydziału filozof., pierwszy rektor Ukr.U. w Pradze

Dr.Cyryl Studziński, prof.uniw.we Lwowie, członek

Akad.Nauk w Kijowie i przewodniczący nauk.Towarzystwa im.Szewczenki we Lwowie.

Dr.Stanisław Dniestrański, prof.uniw.we Lwowie, drugi rektor, Ukr.Uniw.w Pradze.

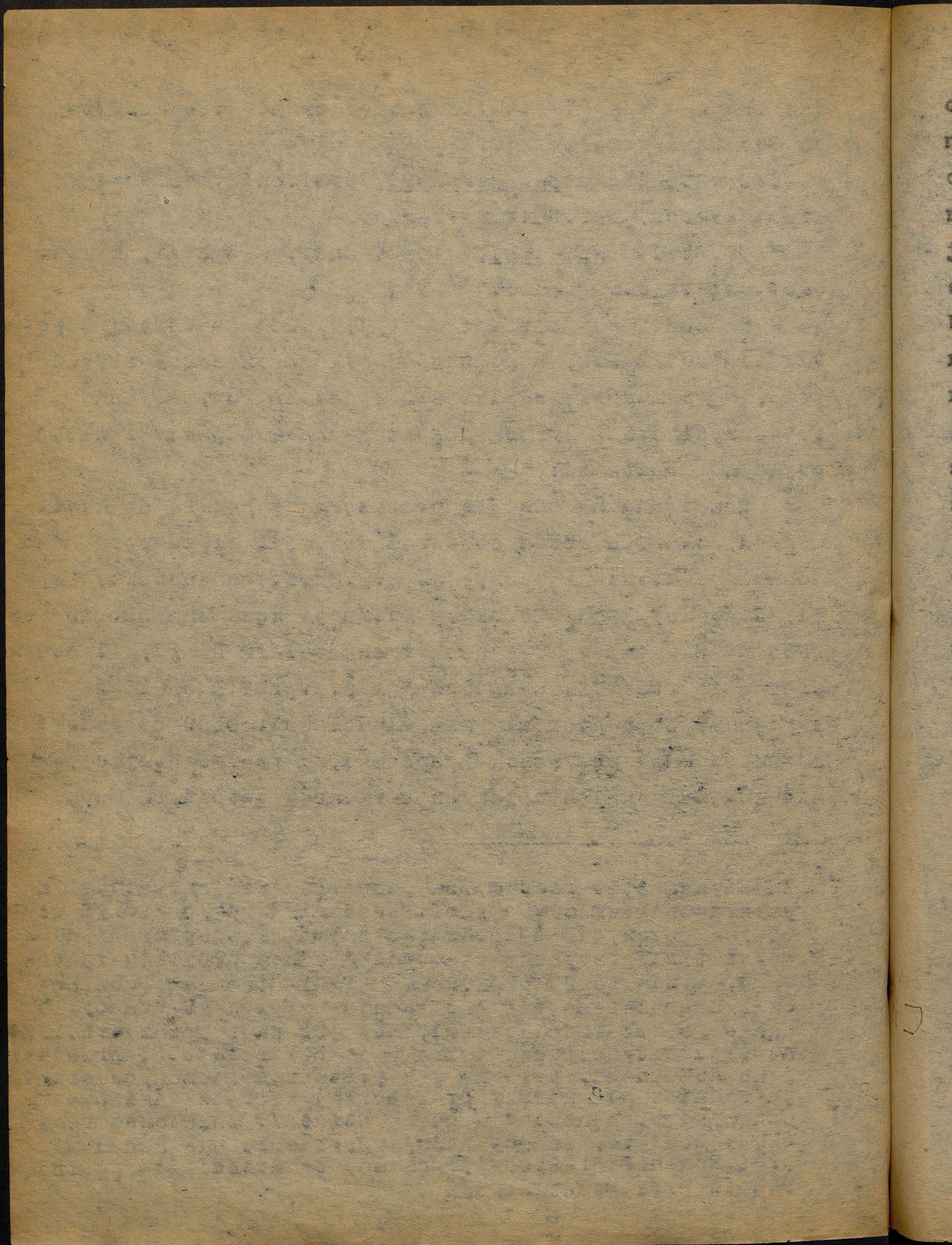
Dr.Stefan Rudnicki, docent uniw.we Lwowie, zwycz. prof.uniw.ukr.w Pradze."x/

Na podstawie korespondencji, jakie co do tej odpowiedzi otrzymałem, a po części wyjaśnień ustnych oraz tego, o czym dowiedziałem się z dzienników, objaśniam lub uzupełniam powyższą dość zagadkową odpowiedź następującymi dodatkami:

Podpisani na odezwie profesorowie należą do nielicznych, znanych uczonych Ukraińców. Nie wielu poza nimi możnaby wymienić takich, jak n.p.prof.Tomaszewski, Łepki, Pańojko, Roman Stocki i kilku jeszcze innych. Abstrahuję od Ukraińców, zamieszkałych stale w Rosji, zwłaszcza profesorów Uniw.Kijowskiego jak p.p.prof.Eichelmana z Kijowa, bo o nich nie mam wiadomości. Otóż ci panowie, na odpowiedzi powyższej podpisani, a reprezentujący, jak się zdaje i innych uczonych Ukraińców gotowi są współ-

---

x/ Znamienną jest rzeczą, że podpisani zamianowali swym pełnomocnikiem tylko prof.Studzińskiego /o którym słyszałem potem, iż od początku zajmował nieprzychylne a nawet nieprzyjazne stanowisko wobec projektu rządowego, a nie także prof.Romana Smal-Stockiego, od początku godzącego się w zasadzie na projekt rządowy i dążącego wszelkimi siłami, aby już na 1 październ.1924 nastąpiło tymczasowo w Krakowie otwarcie U.U. przecież jemu Rząd nasz, zarówno jak p.Studzińskiemu powierzył pośredniczenie między profesorami w Pradze i innymi uczonymi ukraińskimi a sobą /Rządem/. Znamienną rzeczą jest i to, że powyższej odpowiedzi nie podpisał prof.Roman Smal-Stocki, pomimo, że mieści się pod nią podpis prof.Studzińskiego.



działać w tworzeniu U.U., czyto przyjmując nominację na profesorów, czy jako delegaci do Komisji Organizacyjnej, która ma być do Krakowa lub do Warszawy powołana, ale tylko pod warunkiem, że siedzibą U.U. będzie jedno z miast położonych na ukraińskim terytorium. Tym samym odrzucają projekt utworzenia, choćby zaczątku U.U. w Krakowie. Taką to interpretację utwierdza stanowczy list prof. Studzińskiego, "pełnomocnika" profesorów praskich, napisany do mnie pod datą 20 września 1924 r/ List ten, pisany we Lwowie, czego nie uważam za rzecz obojętną ze względu na panujące tam nastroje, zaczyna się od następujących zdań:

"Forsowanie uniwersytetu ukraińskiego w Krakowie doprowadziło do bezwzględnej opozycji ze strony całego społeczeństwa ukraińskiego, które obecnie stoi na stanowisku, że ukraiński uniw. może być tylko we Lwowie. W obec tej jednomyślności nie ma najmniejszych widoków, by komisja organizacyjna mogła w-ogóle zejść się na takiej platformie, a tak samo uważam za rzecz wykluczoną, by ktokolwiek z byłych profesorów uniwersyteckich przyjął katedrę w Krakowie."

Profesorowie podpisani na odpowiedzi z Pragi odrzucili zatem propozycję polskiego Rządu, ale równocześnie, chociaż całkiem ogólnie wysunęli propozycję założenia U.U. z siedzibą na terytorium ukraińskim, ~~co później według listu prof. Studzińskiego zostało ograniczone do samego Lwowa.~~ Jednak ta propozycja nie dała się zrealizować w razie zajęcia jedynie racjonalnego stanowiska, że U.R. nie ma być tylko jakimś prezentem o wątpliwej wartości ofiarowanym dla uspokojenia demagogicz-

nych żądań radykalnych Ukraińców, ale tym, czym być powinien: wysoką, nauce i jedynie nauce w pełni oddaną instytucją.

Propozycja z Pragi nie dała się i nie da zrealizować w szczególności z powodów, jakie powyżej przedstawiłem.

Pomijam z odezwy profesorów praskich alternatywę dalszą założenia U.R. w innym mieście, niż we Lwowie, położonym na "terytorium ukraińskim", bo w żadnym z tych miast, prócz Lwowa, nie ma uniwersytetu, o który U.R. w zaczątku mógłby być oparty i brak bibliotek uniwersyteckich, niezbędnych dla szkół wyższych, a zresztą prof. Dr. Studziński w swym wyżej przeze mnie przytoczonym liście projekt ukraiński wyraźnie i bezwzględnie ograniczył do Lwowa.

Przecież to, co tu napisałem rozumieć musieli uczeni, którzy podpisali ~~w~~ powyżej przytoczoną odpowiedź na propozycję Rządu. Ale w takim razie jak można tłumaczyć sobie stanowisko, jakie oni zajęli?

~~Na to pytanie znajduję odpowiedź następującą:~~

Powodów szukać należy w tych czynnikach, które tyle szkody w nowoczesnych społeczeństwach wywoływały i wywołują, a mianowicie w ciasnym i nierozsądnym radykalizmie szerokich warstw, ulegających szkodliwej demagogii.

Akcja naszego Rządu nie była - jak wspomniałem - otaczana tajemnicą, bo do tajemnicy powodów nie było. Projekty rządowe dostawały się więc do wiadomości społeczeństwa tak polskiego jak i ukraińskiego. W społeczeństwie polskim odezwały się głosy opozycji ze strony ra-

21

dykalnych nacjonalistów, o czym także wyżej wspomniałem. Z nierównie większą namiętnością zwrócili się przeciw projektówi polskiemu skrajni Ukraińcy i ich radykalna prasa. Podnosili między innymi i powtarzali: "że Polska jest obecnie swą racją stanu i sytuacją polityczną zniewolona do założenia jak najrychlej U.U., że zatem Ukraińcy mogą teraz stawiać warunki jakie zechcą, a Polska musi je przyjąć; albo: że z Lachami nie ma zgody i zgoda być nie śmie, że więc nie można przyjmować z ich rąk żadnego Uniwersytetu Ruskiego;x/ albo: że Polacy projektem Krakowskiego Instytutu chcą tylko Ukraińców "wykiwać", przy czym przypominano sławne Vergilego: "Timeo Danaos et dona ferentes"; albo: że we Lwowie trzeba założyć U.R., a polski z tego miasta ukraińskiego usunąć gdzieś poza San, bo tam tylko wolno będzie w przyszłości Polakom mieszkać i swobodnie działać; że każde przyjęcie nominacji na katedrę w Krakowie przez Ukraińca byłoby zdradą ojczyzny, czynem niegodnym, którby już przez samo społeczeństwo został odstraszająco ukarany xx/ niech się więc żaden uczony ukraiński nie waży przyjąć nominacji do Krakowa itd. Między inn. mówiono i pisano, że trudności ze strony Rządu polskiego podnoszone, jakoby nie było dość uczonych Ukraińców, którymi możnaby obsadzić najważniejsze katedry na wydziałach filozoficznym i prawniczym, - nie istnieją, bo Ukraińcy posiadają ~~znakomite siły naukowe we wszystkich kierunkach~~ xxx/

---

x/ Ten argument przypomina mi nieco anegdotkę o miliarderze amerykańskim, który odmówił pomocy w ratowaniu zagrożonego okrętu, którym sam jechał dlatego, że to przecież statek należący do Towarzystwa akcyjnego, konkurującego z przedsiębiorstwem okrętowym, głównie do niego należącym.

xx/ Przypominam tu n.p. skrytobójcze morderstwo popełnione w Przemyślu na Rusinie Matwijasie tylko dla tego, że

znakomite siły naukowe we wszystkich kierunkach.x/

---

dążył do zgody w porozumieniu z Polakami.

x/ Na moje ręce przesłano zestawienie kandydatów ukraińskich na obsadzenie wszystkich katedr. Wykaz ten mam w swych aktach. Przedstawiłem go różnym fachowcom, którzy, uznając kwalifikacje kilku tam wymienionych uczonych, przy nazwiskach większej liczby innych z uśmiechem odpowiedzieli, że o takich uczonych nigdy nic nie słyszeli.

Starałem się zawsze być objektywnym w swych sądach a więc i w ocenianiu zasług Ukraińców w zakresie sztuk pięknych i nauk. Zachwycam się więc pięknością utworów poetyckich Tarasa Szewczenki, uznaję wielkie zalety prac naukowych n.p. mego kolegi po fachu, prof. Dniestrzańskiego, którego pamięci poświęciłem wspomnienie pośmiertne itd., - ale wiem też, że Ukraińcy dla celów propagandowych lubią przesadzać przy przedstawianiu zasług swych współziomków w dziedzinie sztuk pięknych i w naukach, a to niezgodnie z tym, co Rusini dawniejsi o swym narodzie mówili i pisali.

Tylko jako przykład przytaczam, że kiedy rząd austrjacki, po czasach Metternichowskich, dozwolił wprowadzać w gimnazjach galicyjskich w miejsce języka niemieckiego, język wykładowy polski i ruski, - Wacław Zaleski, gubernator galicyjski zaprowadził w r.1849 w kilku gimnazjach - między nimi w Samborze - język polski, stwierdziwszy, że uczniowie w tym gimnazjum byli w znacznej większości Polakami.

Na to zareagowała tamtejsza Rada ruska i zwróciła się do cesarza adresem, w którym prosiła o utrzymanie nadal języka niemieckiego. Języka ruskiego nie domagała się, ponieważ - jak wyraźnie w adresie zaznaczyła - "Język ruski w obecnym czasie nie jest jeszcze tak rozwinięty, aby mógł być językiem wykładowym".
Hr. Stadion, nowy gubernator Galicji, otrzymawszy ów protest Rady ruskiej, cofnął zarządzenie swego poprzednika i przywrócił w gimnazjum język wykładowy niemiecki, mimo, że większość uczniów była narodowości polskiej.

Kiedy rozmawiałem o takich enuncjacjach, jak wyżej przytoczone, w związku z całym zagadnieniem założenia U.U. z jednym bardzo rozsądnym, znanym mi z dawniejszych czasów Rusinem, usłyszałem z ust jego mniej więcej następujące słowa: "Nie łudźcie się panowie, że któryś z profesorów z Pragi przyjmie w panującym wśród Ukraińców nastroju nominację do Krakowa a choćby tylko powołanie do Komisji Organizacyjnej. Z podziwem studiowałem politykę, jaką polscy Stańczycy prowadzili w Austrii, jak to oni coraz szersze prawa dla swego narodu zdobywali w Austrii dzięki mądrości i umiarowi, zadawalniając się częściowymi zdobyczami, nieraz drobnymi, by zdobywać potem większe i coraz iść wyżej dla dobra swego narodu. Jestem przekonany, że podobni Stańczycy znaleźliby się i wśród Rusinów w stosunku do Polski, której Rząd nie po raz pierwszy od czasu powstania wolnej Polski próbuje podać rękę do zgody, ale pamiętajmy, że polscy Stańczycy poświęcali w interesie swej ojczyzny tylko popularność a Stańczykom ukraińskim groziłaby śmierć, gdyby szli drogą wskazaną rozsądkiem. Precednsów pod tym względem nie brak."

Jednak mimo skrajnej agitacji radykałów, znajdowali się Ukraińcy, stający w obronie projektu polskiego. Wspominam tu z przyjemnością, jak prof.Tomaszewski autor memoriału z dn.28 lipca 1924 r., o którym wyżej pisałem, stanął w zasadzie na stanowisku projektu rządowego /wraz z prof.Łepkim i Drem Kuzielą/ i napisali później dla "Diła" artykuł, protestujący przeciw szkodliwej agitacji żywiołów skrajnych nacjonalistycznych, a "Diło" mimo swego ukraińsko-nacjonalistycznego charakteru, artykuł ten zamieściło. Przypominam sobie dalej jak

prof.R.Smal-Stocki, uznawszy już początkowo dobre strony projektu polskiego i widząc szczery zamiar Rządu powołania do życia poważnej instytucji naukowej ukraińskiej, nie zraził się krytyką i opozycją ze strony radykałów rozpętaną, której ulegli profesorowie prascy, lecz starał się ratować sprawę przez próby różnych kompromisowych projektów. O zapale, z jakim sprawę traktował, świadczyły niestrudzone jego zabiegi, korespondencje i podróże pomimo, że nie był pełnomocnikiem profesorów z Pragi. Świadczyły o tym także różne drobne incydenty. I tak przypominam sobie jak raz, dowiedziawszy się, że ja podobnie jak i rektor Łoś pragniemy się z akcji całej usunąć, nie widząc, by mogła doprowadzić do skutku pożądanego, prosił mnie Smal-Stocki gorąco, abym ja, a za moją interwencją także rektor Łoś sprawy nie porzucali, w której chodzi o coś tak ważnego, jak zbliżenie dwóch narodów, obecnie wrogo do siebie nastawionych. Przypominam sobie także, jak innym razem objawił swą wielką radość z tego powodu, że Rząd dla ratowania upadającej sprawy zaprosił do współpracy w niej sędziwego Michała Bobrzyńskiego, licząc na to, że ten wybitny polityk, do którego Ukraińcy mieli z dawniejszych czasów wiele zaufania, swym autorytetem szanse sprawy podniesie.

O różnych projektach kompromisowych, pochodzących, czy od prof.R.Smal-Stockiego, czy innych osobistości polskich lub ukraińskich nie piszę szerzej, gdyż one tylko przewlekały a raczej odkładały załatwienie sprawy bez widoków, żeby doprowadzić mogły do dobrego rezultatu. Takimi były projekty, pochodzące ze strony ukraińskiej, jak n.p., ażeby sprawę ustalenia siedziby U.U. pozosta-

wić porozumieniu Rządu z frakcją parlamentarną ukraińską, a tym czasem, aby Komisja Organizacyjna przygotowała projekt organizacji naukowej U.R. bez względu na siedzibę U.; albo żeby pomocnicza działalność Uniw.Jagiellońskiego dla powstającego U.U. została ograniczona tylko do lat dwóch, lub do roku a potem, aby U.U. już pełny, otrzymał siedzibę we Lwowie, lub żeby obrać jako siedzibę tymczasową lub nawet trwałą Stanisławów, ewent.Przemyśl, a Uniw.Jagielloński by spełniał przytym swe funkcje pomocnicze, dopóki U.R. nie będzie skompletowany. Tych i im podobnych projektów Rząd nasz przyjąć nie mógł, bo były nierealne. Nie dały się one urzeczywistnić, jeżeli się sprawę traktowało nie tylko jako wyłącznie polityczną ale także, czym była ona w rzeczywistości i przede wszystkim, jako naukową. Zresztą profesorowie prascy - o ile słyszałem - wnieśli sami przeciw niektórym z tych projektów kompromisowych poważne zarzuty. Z polskiej strony znajduje się pomiędzy moimi aktami kompromisowy projekt pod tyt. "Rozporządzenie Prez.Rp. w sprawie utworzenia "Instytutu Ukraińskiego" przy Uniw.Warszawskim," który byłby wywołał większą jeszcze opozycję w sferach ukraińskich, aniżeli projekt rządowy założenia tymczasowego U.R. w Krakowie.

Trudno mi nie uznać wyrozumiałości i cierpliwości, jaką okazywał Rząd polski /dzięki zwłaszcza staraniom hr.St.Łosia/, gdy mu przedkładano różne kompromisowe projekty. Oto przykład: Na projekty założenia U.R. w Stanisławowie, ewentualnie w Przemyślu, odpowiedź Rządu kończy się słowami następującymi:

"Ponieważ Rząd Polski nie widzi rzeczowych warun-

ków, niezbędnych do założenia uniwersytetu ruskiego w jednym z powyższych dwóch miast oddalonych tak bardzo od Krakowa, że pomoc Uniw.Jagiellońskiego byłaby wykluczona, nieposiadających żadnych odpowiednich bibliotek itd., przeto nie może przychylić się do żądań profesorów zebranych w Pradze. Mimo to, nie porzucając zamiaru jak najrychlejszego założenia U.R. powołała obecnie Komisję, do której zaprosi kilku profesorów polskich i i kilku uczonych Ukraińców, aby projekt rządowy jeszcze raz rozpatrzyli i wyrazili rządowi swoją opinię wszechstronną. Dalszy rozwój sprawy zależeć będzie od tej opinii".

Raz jednak premier Grabski popełnił pewien błąd, posunął się zbyt daleko w ustępliwości, co wywołało złe następstwa: Prof.R.Smal-Stocki wznowił w pewnym wariancie projekt założenia U.R. w Stanisławowie. Premier Grabski postanowił użyć tego wniosku za pretekst, aby doprowadzić nareszcie raz do zebrania się tak dawno przez Rząd proponowanej Komisji Organizacyjnej, do której profesorowie w Pradze nie chcieli dotychczas wyznaczyć swych delegatów. Dlatego nie odrzucił wprost projektu mimo, że mu był przeciwny, - lecz tylko zaproponował zebranie się naprzód Komisji Organizacyjnej. Profesorowie w Pradze oświadczyli na to, że w Komisji tylko wtedy wezmą udział, jeżeli wiedzieć będą, że Rząd na projekt stanisławowski gotów jest się zgodzić. Br.Rodich Laskowski z polecenia premiera, wysłał odpowiedź telegraficzną do Poselstwa w Pradze, że "Rząd weźmie pod życzliwą rozwagę propozycję umieszczenia prowizorycznego U.R. w Stanisławowie, o ile propozycja ta zostanie po-

stanowiona przez Komisję Organizacyjną." P.Grabski zgodził się na powyższą redakcję telegramu, wiedząc, że przecież projekt ze Stanisławowem nie przejdzie w Komisji Org., skoro w niej ma brać udział czterech Polaków, czterech Rusinów /Ukraińców/ a przewodniczącym będzie rektor Łoś, który nie może oświadczyć się za Stanisławowem. Jednak w sferach ukraińskich spostrzeżono się na tym, co kryło się pod depeszą. Stąd powstały wśród Ukraińców zarzuty przeciw postępowaniu premiera i nowe trudności tak, że znowu nie przyszło do ukonstytuowania się i zebrania Komisji Organizacyjnej.

Po dymisji p.premiera Grabskiego, sprawie U.R.gorąco oddanego, powstała inna trudność, mimo budzącej się drobnej wątpliwości ze strony ukraińskich profesorów w sprawie ukonstytuowania się Komisji. Jako delegaci do Komisji organ. ze strony ukraińskiej wyznaczeni zostali także prof.Dniestrzański, Kolessa i Rudnicki, którzy manifestowali niejednokrotnie w przeszłości jawnie swe wrogie nastawienie wobec Polski. Dlatego Rząd zażądał pewnego oświadczania lojalności wobec Polski ze strony tych trzech profesorów, co wywołało w grudniu 1925 r. nowe zarzuty pod adresem polskim i nie przyjście do skutku zebrań Komisji.

Przytoczyłem kilka powyższych faktów tylko jako ilustrację trudności, które na każdym kroku występowały nawet przy zamiarze utworzenia Komisji Organizacyjnej.

Wobec takiego to stanu rzeczy postanowił parlamentarny Klub Ukraiński ująć sprawę U.R. w swe ręce. Klub ten przedłożył przez posła Sergiasza Chruckiego i tow.

dn.5 lutego 1926 r. /L.2289/ Sejmowi wniosek o założenie Uniwersytetu Ukraińskiego. Zgodnie z tym wnioskiem Uniw.Ukraiński składać się ma z siedmiu /7/ wydziałów: dwóch teologicznych /grecko-katolickiego i grecko-orientalnego/, prawniczego, matematyczno-przyrodniczego, humanistycznego, medycznego i techniczno-agronomicznego. Kreowanie Uniwersytetu w tym komplecie ma nastąpić tego samego roku najpóźniej dn.1 września 1926 r.

Cóż o tym wniosku powiedzieć? Chyba tylko to, że szanowni wnioskodawcy widocznie nie zdawali sobie sprawy, ilu siłami naukowymi Ukraińcy rozporządzają, czego Uniwersytetowi przedmiotowo potrzeba i czym jest Uniwersytet. Wniosek p.Chruckiego przedstawiał się jakby jakiś żart.

Tak to upadła, a przynajmniej poszła w bezterminową odwłokę sprawa bardzo ważna, która byłaby mogła doprowadzić już dawno do powstania i rozwoju U.U. i to na"terytorium ukraińskim", gdyby Ukraińcy byli zgodzili się na polski projekt rządowy, przemyślany, realny i szczerze popierany przez nasz Rząd.-

VIII. Jak zetknąłem się bliżej z kilku wybitnymi Hitlerowcami?

W kilka tygodni po objęciu rządów przez Hitlera w Niemczech zwołany został do Berlina "Deutscher Juristentag". Otrzymałem i ja wówczas - jak to działo się już dawniej - zaproszenie, bo nazwisko moje znane było w świecie prawniczym zagranicznym z dość licznych prac naukowych, które ogłaszałem drukiem w języku niemieckim /niektóre także w języku francuskim/. Na żaden Juristentag nigdy nie pojechałem. Tym razem także odpisałem, że przybyć nie mogę.

Jednak w rok później, mianowicie z końcem maja 1934 r., otrzymałem list od prezydenta Akademii Niemieckiego Prawa, Dra Hansa Franka, ministra Rzeszy, zapraszający mnie na wielką międzynarodową, pierwszą "Juristentagung" Akademii, jaka odbyć się miała w ostatnich dniach czerwca r.1934. List był bardzo uprzejmy z podpisame Franka pod słowami "Hochachtungsvoll". Trzeba więc było również listownie ze zwykłymi formami grzecznościowymi odpisać. Z odpowiedzią nie spieszyłem się, zwłaszcza, że odpowiedź miała być odmowną. Tym-czasem w jednym z dni najbliższych zjawił się u mnie wojewoda krakowski, dr. Kwaśniewski z zapytaniem w imieniu ministra spraw zagr. Becka, czy otrzymałem zaproszenie na międzynarodową "Juristentagung"? Gdy odpowiedziałem potwierdzająco - oraz, że bynajmniej nie mam zamiaru jechać - Kwaśniewski wyraził prośbę ministra, abym się udał w dniach najbliższych do Warszawy, gdzie minister chciałby ze mną o tej sprawie pomówić i powierzyć mi pewną misję.

Kiedy w kilka dni później wyjechałem do Warszawy, ministra tam wprawdzie nie zastałem, ale przyjął mnie z jego polecenia jeden z urzędników ministerstwa, zajmujący się specjalnie stosunkami polsko-niemieckimi i przedstawił mi, - z zastrzeżeniem poufności - o co chodzi, w sposób następujący:

Roku zeszłego odbył się w Berlinie: Deutscher Juristentag. Na ten zjazd pojechał z Polski tylko jeden z profesorów Uniwer.Warszawskiego. Panu temu daliśmy paszport, nie przypuszczając, żeby stąd wyniknąć mogły jakieś złe następstwa. Tymczasem dowiedzieliśmy się, że ów pan na plenarnym posiedzeniu Juristentagu wygłosił apologię Narodowego Socjalizmu, a wśród słów pochwalnych zwrócił uwagę na to, że wielkie postępowe idee N.S. znalazłyby w Polsce niezwykle podatne podłoże, bo wśród społeczeństwa polskiego rozwijają się szybko prądy tak socjalistyczne, jak i narodowościowe. Niestety w Polsce brak ludzi, którzyby umieli poprowadzić odpowiednią propagandę. Byłoby więc wskazanym, żeby Niemcy nas nauczyli, jak się powinno nowe idee popularyzować. Następstwem tej mowy było, że owego profesora zaproszono, aby w jesieni przybył do Berlina i wygłosił wykład o polskiej konstytucji, - ale co gorsza - rząd niemiecki, nie przypuszczając, aby Polak mógł był wygłosić w Berlinie takie, jak ów pan przemówienie - bez porozumienia się ze swym rządem, wysłał do Warszawy ministra propagandy Goebelsa z 14 Niemcami, aby rozpoczęli w Polsce propagandę N.S. Rząd nasz znalazł się w trudnym położeniu, bo nie mógł niemieckich gości wyprosić, Hitler bowiem

niedwuznacznie dawał poznać, jak życzy sobie zbliżenia się do Polski, a nawet dąży do zawarcia z nami sojuszu. Sytuacja międzynarodowa jest zaś taka, że Polska - wobec bezwzględnego pacyfizmu Francji i Anglii - nie może na razie zrazić sobie Niemców i wywołać niebezpieczeństwo napadu w bliskiej przyszłości Niemców na Polskę. Kto wie, czy Polska nie będzie musiała zawrzeć z Niemcami ofiarowanego jej sojuszu. Minister Beck wydał dla gości wielkie przyjęcie; drugie przyjęcie odbyło się u ambasadora hr.Moltke'go a następnie Beck, wytłumaczywszy Goebelsowi, że Niemcy propagandy N.S. w Polsce robić nie mogą, bo Polacy na ogół za mało umieją po niemiecku, aby przemówienia w tym języku przyciągały publiczność i wywarły pożądany skutek - zaprosił delegację niemiecką, aby swym aeroplanem pojechała do Krakowa, gdzie będą mogli poznać klejnot muzealny Polski, jakim jest Kraków, ewentualnie zwiedzić także Wieliczkę. Goebels ze swymi towarzyszami przyjął zaproszenie a honory domu w Krakowie objął hr.Szembek, zastępca ministra Becka.x)/x)Szembek mój były uczeń, który wiedział, że władam całkiem dobrze językiem niemieckim, zaprosił mnie na obiad, wydany w Krakowie w Grand Hotelu na cześć gości niemieckich. Tam zapoznałem się z ministrem Goebelsem i rozmawiałem z nim przez czas dłuższy/. Jednak - mówił dalej mój allokutor - skutki występu owego profesora jeszcze trwają. Od czasu do czasu Ministerstwo Propagandy zwraca się do nas z różnymi projektami, czy planami, jakby można w Polsce propagować N.S. Otóż minister Beck pragnie raz już z tymi naleganiami skończyć i dlatego zwraca się d mnie z prośbą, abym wyjechał do Mona-

chium i tam, korzystając z jakiejś odpowiedniej sposobności - wytłumaczył Niemcom w sposób delikatny, że Polska nie pragnie bynajmniej przeszczepienia u siebie N.S. Delikatność z mej strony nie może jednak iść zbyt daleko, bo proszę pamiętać, że "echte Liebe ist das nicht".

Odpowiedziałem, że nie uchylam się od podjęcia się proponowanej mi misji, ale nie mogę przyrzec, że ją spełnię. Nie wyobrażam sobie bowiem - na razie - jakbym mógł w tej sprawie, o którą chodzi ministrowi Beckowi, zabrać głos publicznie. Ale popróbuję, zwłaszcza, że oblanie zimną wodą zacietrzewionych N.S.Niemców przedstawia mi się jako zadanie ponętne. Poznałem bowiem z "Zeitschrift der Akademie für deutsches Recht", czym jest N.S. i upatruję w tym ruchu wykwit szczytny i chorobliwy szowinizmu narodowościowego, który może podebrować podstawy kultury chrześcijańskiej i zachodnio-europejskiej, do której my należymy.

Wyjechałem więc na ostatnie dni czerwca do Monachium. Na dworcu kolejowym oczekiwał mnie radca Gaeb, zaprosił jako gościa zagranicznego, abym zamieszkał w hotelu Vier Jahreszeiten, a wieczorem przybyć zechciał na raut zapoznawczy, który urządza imieniem rządu niemieckiego prezydent Frank. W czasie rautu p.Gaeb przedstawił mnie ministrowi Frankowi, Tenże nawiązał zemną mimo tak licznych gości, dłuższą rozmowę. Zaczął od tego, jak niezmiernie żałuje, że nie przybył do Monachium ów profesor z Warszawy. Wywarł on bowiem na Juristentagu w Berlinie niezwykle sympatyczne wrażenie. Cóż za przyczyna, że nie przybył? Odpowiedziałem, że zachorował na ciężką grypę i o żadnych podróżach myśleć nie może. /Prawdziwym powodem było to, że mu nasze Minister-

stwo w sposób niedwuznaczny paszportu odmówiło/. Potem Frank, powitawszy mnie jako jedynego gościa z Polski bardzo serdecznie zaczął wywodzić, jak Niemcy żywo interesują się tym, co się dzieje w Polsce i jak przy tym ubolewają, że Polacy - mając tak genialnego stratega, polityka i męża stanu pośród siebie, jakim jest marszałek Piłsudski, nie doceniają dostatecznie jego zdolności i przeszkadzają mu w przeprowadzeniu jego świetnych planów. Kiedy słuchałem takich zdań p.Franka, przyszło mi na myśl: "Inaczej byś Ty śpiewał Franku, gdybyś wiedział o tym, co ja słyszałem tak niedawno w Warszawie: "Echte Liebe ist das nicht". Niemcy mieli dowiedzieć się o tym, czym były uprzejmości naszego Rządu, a w szczególności Piłsudskiego w stosunku do nich, dopiero w r. 1939, kiedy po zajęciu Warszawy i przeszukaniu archiwów Ministerstwa Spraw Zagranicznych zapoznali się z korespondencją naszego Rządu z Francją, przeprowadzoną w r. 1933. Potem to zaraz wycofali straż honorową z nad grobu Piłsudskiego na Wawelu, kazali zgasić znicze gazowe płonące dniem i nocą na rogu ulicy Wolskiej obok popiersia z brązu Piłsudskiego itd.

Po rozmowie z Frankiem wypytywałem się p.Gaeba o przybyszów z Francji, Anglii i Włoch. Dowiedziałem się, że prof.Baker /?/ z Anglii, który zapowiedział swój przyjazd, zachorował i nie przyjechał, że z Włoch przybyło dwudziestu przeszło wybitnych prawników, a z Francji tylko jeden, znany kryminolog z Paryża, profesor Donnedieu de Vabres. Na moją prośbę p.Gaeb zapoznał mnie z profesorem Donnedieu de Vabres. Po oddaleniu się od nas p.Gaeba, powiedziałem p.Donnedieu, że bardzo tu

niechętnie przyjechałem, bo nie spodziewam się niczego dobrego po N.S., ale musiałem to uczynić na wyraźne żądanie mego Rządu. Donnedieu zaczął się śmiać i powiedział: C'est aussi mon cas /że on jest w tym samym położeniu/. Na tej podstawie nawiązałem z miłym bardzo Francuzem bliższą znajomość i pewną łączność.

Na drugi dzień rozpoczęła się Juristentagung w olbrzymiej auli Uniwersytetu pięknym koncertem Filharmonii po czym minister sprawiedliwości Bawarii powitał prezydenta Franka, członków Akademii i wszystkich przybyłych gości - krótkim przemówieniem, zapraszając jako gospodarz w Monachium prezydenta Franka do wygłoszenia odczytu. - Frank mówił przeszło godzinę, co do formy pięknie. Treścią jego mowy było, że Niemcy na tym międzynarodowym zjeździe pragną powiedzieć światu, że rzucają płaszcz zapomnienia na przeszłość. Marzeniem ich jest, by wspólnie z innymi narodami, które hołdują wielkiej kulturze zachodniej zniweczyć tę zarazę i to straszne niebezpieczeństwo, jakie grozi kulturze naszej ze strony Bolszewii. Mowa przyjęta została hucznymi oklaskami. Jednak jej wykładnia nie mogła być wątpliwa dla tych, którzy znali już lub poznali później sławną książkę "Mein Kampf" Hitlera. Wykładnia bardzo prosta: Trzeba zająć dla ekspanzji niemieckiej zgodnie z hasłem "Der Drang nach Osten" olbrzymie i niezwykle z natury bogate przestrzenie południowej Rosji, której skarby leżą dotychczas odłogiem. Niemcy je zdołają wydobyć dzięki swym zdolnościom, pracowitości i niezwykłemu zmysłowi organizacyjnemu. Francuzi i Anglicy nie będą Niemcom w tym planie przeszkadzali, bo narody te skutkiem olbrzymich ofiar krwi w wojnie światowej poniesionych są na wskroś

pacyfistycznie usposobione a zniszczeniu Bolszewizmu będą przychylne. Droga na Wschód prowadzi przez Polskę. Dlatego Hitler stara się z Polską wejść w dobre stosunki a nawet zawrzeć sojusz, na co chyba Polska przystanie, skoro Polacy w przeszłości urządzali powstania tylko przeciw Rosji a nie przeciw Niemcom, - może więc Polacy nawet przyłączą się do wojny Niemców przeciw Rosji. A jeżeli Niemcy obejmą raz pod swe rządy południową Rosję, wówczas zamienienie Polski, otoczonej ze wszystkich stron Reichem, na prowincję niemiecką, nie napotka na trudności, bo ani Francja ani Anglia nie będą walczyły o niepodległość Polski. Podstawę do tego przypuszczenia daje Locarno!

Po uroczystości w auli odbył się obiad w hotelu Vier Jahreszeiten na kilkaset osób. Jedyny toast ze strony Niemców wygłosił na cześć zagranicznych gości, prof.Kisch, wiceprezydent Akademii Niemieckiego Prawa. Wypadało na ten toast dać odpowiedź. Czterech cudzoziemców zapisało się do głosu. Pierwszym był jakiś Norweg, drugim Donnedieu de Vabres, trzecim byłem ja, a czwartym i ostatnim jakiś Bułgar.

Norweg wygłosił swe przemówienie licho po niemiecku i niedołężnie, ale oklaski zbierał huczne, bo w sposób wstrętny gloryfikował N.S. jako prąd otwierający nowe świetne drogi dla rozwoju wielkiej kultury. Donnedieu zwrócił się naprzód w zupełnie poprawnej niemczyźnie - do Franka, jako prezydenta i gospodarza z prośbą aby mu pozwolił przemówić po francusku, gdyż jako Francuz nie posiada zdolności językowych dostatecznych aby swe myśli wyrazić należycie po niemiecku, - a przecież

język francuski nie jest zapewne obcy uczestnikom zjazdu. Frank zgodził się na to, poczem Donnedieu w świetnej wprost formie wypowiedział toast, gloryfikujący naukę prawa i umiejętności politycznych, nie wspominając przy tym ani jednym słowem o N.S. Toast został przyjęty także hucznymi oklaskami. Jako trzeci głos zabrałem ja i powiedziałem mniej więcej co następuje:

"Z wielkim wzruszeniem przekroczyłem wczoraj granicę Państwa niemieckiego. Przypomniały mi się bowiem żywo te czasy, kiedy w r.1889, jako młody doktór praw wyjechałem naprzód do Niemiec a w roku następnym do Francji, aby wejść w kontakt osobisty z uczonymi niemieckimi i francuskimi i w ich seminariach pogłębić różne wiadomości, jakie czerpałem poprzednio z dzieł. Wyjechałem naprzód do Lipska, gdzie pracowałem pod kierunkiem Windscheida, Bülowa, Wacha i Sohma, potem na krótko do Berlina do Kohlera i Dernburga /żyda, co naturalnie N.S. raziło/ a na letni semestr do Regelsbergera i do największego z tych wszystkich ówczesnych prawników niemieckich - Iheringa. Niezapomniane są dla mnie chwile, jakie spędzałem zwłaszcza w seminarium Iheringa i na wieczornych zebraniach, na jakie zapraszał Ihering do siebie profesorów z Wydziału prawa i członków swego seminarium. Za to wszystko jestem wspomnianym tu mistrzom prawdziwie wdzięczny, ale podobną wdzięcznością przepełnieni są także liczni prawnicy polscy za te nauki, które czerpali i czerpią z dzieł prawników zagranicznych a między nimi - niemieckich. Tę wdzięczność silnie tu akcentuję, bo jednym z przymiotów mego narodu jest wdzięczność. Dlatego to do nas nie możnaby zastosować znamiennej anegdotki, którą podobnoć wymyślił

Turgeniew a ktoś z Francuzów ubrał w następującą postać:

"Pan Bóg urządził w niebie wielki raut, na który zaprosił oczywiście wszystkie Cnoty. Bawiono się doskonale, ale już miało się ku końcowi, gdy dwie Cnoty przyszły do Boga, jako do gospodarza, aby je wzajemnie przedstawił. Kto były te dwie Panie? Anegdotka odpowiada w tekście francuskim: C'étaient la Bienfaisance et la Reconnaissance".

Otóż skoro anegdotki tej do Polaków stosować nie można, przeto ja w imieniu wszystkich prawników polskich mogę wyrazić nie tylko wdzięczność za to, czegośmy się od wielkich niemieckich prawników nauczyli, ale także złożyć najlepsze życzenia, aby nauka niemiecka nadal rozwijała się na tych drogach i w tych kierunkach na jakie ją wprowadzili tacy mistrze a nieraz geniusze, jakimi byli Savigny, Puchta, Unger, Windscheid, Sohm, Regelsberger lub Ihering.

Mimo to, co powiedziałem, toast mój przyjęty został oklaskami, co mnie nie ucieszyło. Byłem jednak zadowolony, że Donnedieu powiedział mi po cichu, żem się z trudnego naszego zadania na inny sposób, aniżeli on - ale zdaniem jego bardzo zręcznie - wywiązał. A ucieszyło mnie bardzo, gdy po obiedzie przystąpił do mnie Generalny Konsul Polski w Monachium, Adam Lisiewicz, u którego złożyłem wizytę jeszcze dnia poprzedniego i powiedział mi cicho po polsku: "Winszuję Panu Rektorowi, bo Pan spełnił swe zadanie wyśmienicie. Niemców oblał Pan naprawdę zimną wodą, dając im do poznania, że się nie zachwycamy bynajmniej N.S. Siedziałem - mówił p.Lisiewicz - między kilku Niemcami; oni mnie nie znali

a przedstawiłem się cicho tak, że brzmienia mego polskiego nazwiska nie słyszeli a mówię po niemiecku zupełnie jak rodowity Niemiec. Otóż po Pańskim toaście powiedzieli: "Zoll mówił interesująco i ładnie, ale to jest człowiek pozbawiony co najmniej najprostszego taktu. Jakżeż można było na wielkiej uroczystości narodowo-socjalistycznej wygłaszać hymny pochwalne na cześć różnych niemieckich prawników starej daty, nad którymi Niemcy przechodzą obecnie do porządku dziennego, - i mówić to wszystko w obecności tylu nowych, wybitniejszych znacznie prawników, jak Hedemann, Schlegelberger i tylu, tylu innych, którzy są pionierami i szampionami wielkich nowych idei, pobudzanych do życia geniuszem Hitlera".

P.Lipiewicz nadmienił, że bezzwłocznie napisze do ministra Becka relację, jak skutecznie spełniłem powierzoną mi misję.

W rok potem /1935/ na życzenie Rządu naszego wyjechałem ponownie na drugą Jahrestagung. Wtedy usłyszałem w mowie ministra Franka, wygłoszonej w Auli Monachijskiej, tym razem w obecności Adolfa Hitlera, zdanie, że nauka prawa niemiecka, rozwijająca się pod wpływem narodowego socjalizmu, przyjęła jako zasadę kierowniczą: "Das höchste Gesetz ist der Wille des Führers". /Najwyższą ustawą jest wola Führera/.

Powyższe słowa Niemcy przyjęli hucznymi, niekończącymi się oklaskami. Ja jednak z niepokojem pomyślałem sobie, że słowa te, tak dobrze przyjęte, są widocznie zapowiedzią groźną, że w Niemczech porzuca się zasady nowoczesnego państwa demokratycznego i liberalnego

a skłania ku jakiejś nowej formie despotyzmu, skoro wola a raczej samowola Hitlera nie potrzebuje krępować się ani prawem uchwalonym konstytucyjnie, a określonym w ustawach, ani prawem zwyczajowym, ani zapewne owymi czynnikami, jakie są źródłem i podstawą praw obowiązujących, t.j. etyką, sprawiedliwością i względami ludzkości, poszanowaniem godności ludzkiej, wolności i nietykalności człowieka. Prawda, że ze słów Franka nie wynikało jeszcze, żeby Führer miał zamiar w ten sposób swą samowolę w życie wprowadzać /fakty przemawiały już wówczas za tym/ ale wynikało, że jest on władny tak postępować, a w takim razie tkwi w jego władzy wielkie niebezpieczeństwo, bo wtedy on, a z nim jego urzędnicy mogą rządzić jak zechcą.

Pod takim wrażeniem opuściłem Monachium. Po powrocie do Warszawy oświadczyłem tym razem w Ministerstwie spraw zagranicznych stanowczo, że na przyszłość nie pojadę więcej na żadną Jahrestugung. Ministerstwo zastosowało się wprawdzie do mego życzenia, ale jeszcze dwukrotnie musiałem zetknąć się z reprezentantami Narodowego Socjalizmu w sposób zupełnie poprawny, a nawet na pozór przyjazny.

Naprzód było to w lutym r.1936: Minister Frank zapowiedział przez ambasadora niemieckiego Moltke'go Rządowi naszemu swój przyjazd do Polski, wprawdzie nie w celach jakichś propagandowych, lecz - jak mi później sam powiedział - celem zapoznania się bliższego z kulturą Polski, a w szczególności z rozwojem polskiego prawodawstwa./?/ Przyjechał wówczas w towarzystwie swej żony,

dyrektora Akademii dra Karola Lascha /kiedy to pisałem gubernatora "dystryktu Galicji"[x] i nadprokuratora, dra Józefa Bühlera /sekretarza stanu w rządzie G.G.[xx]/, naprzód do Warszawy, gdzie został przyjęty przez Ministra Spraw Zagranicznych i Ministra Sprawiedliwości, poczem przyjechał do Krakowa, a po dwudniowym pobycie tutaj wyjechał do Zakopanego. - Ministerstwo Spraw Zagranicznych zwróciło się do mnie z prośbą, bym ja - jako wówczas już członek Akademii niemieckiego prawa i jako senior Wydziału prawa - zechciał wraz z mą żoną zaprosić na śniadanie państwa Franków i ich towarzyszy. Zastosowałem się do tego życzenia. Zaprosiliśmy jeszcze dwóch Niemców z ambasady niemieckiej, oraz pana Seweryna Dziembowskiego z Ministerstwa Sprawiedliwości, który z polecenia swego Ministra towarzyszył gościom niemieckim w ich podróży po Polsce. Prócz tych gości przybyło jeszcze kilku profesorów Wydziału Prawa U.J., których o to poprosiłem. Przyjęcie, które dla ułatwienia sobie zadania urządziliśmy w Grand Hotelu, odbyło się w tonie nie tylko uprzejmym, ale nawet poniekąd serdecznym, do czego prowokował nas swym zachowaniem się zwłaszcza minister Frank, ciągle pełen słów uznania, czasem wprost podziwu dla wszystkiego, z czym się w Polsce spotyka.

O tym zdarzeniu wspominam tu także dlatego, by opowiedzieć o zabawnej przygodzie, jaka zdarzyła się w czasie pobytu w Krakowie pani Frankowej: W pierwszym dniu

---

x/ Lasch za nadużycia popełnione we Lwowie, został przez Rząd niem. w r.1942 lub 1943 na śmierć skazany i stracony.

xx/ Bühler awansował z czasem na szefa Rządu w Gen. Gubernatorstwie.

pan Frank pojechał ze swymi towarzyszami na Wawel, aby na trumnie marszałka Piłsudskiego złożyć wieniec. W tym czasie żona jego wybrała się z panem K. sędzią polskim, przydzielonym do pomocy p.Dziembowskiemu, na mały spacer po mieście. Gdy weszli w ulicę Grodzką, p.Frankowa zatrzymała się przed sklepem, w którego oknie wystawione były serdaki zakopiańskie. Frankowa weszła do sklepu i wybrała trzy serdaki dla swych dzieci. Jednak gdy dowiedziała się o cenie, odpowiedziała, że tyle nie mogłaby zapłacić. Na to starsza żydówka, prowadząca sklep, a mówiąca podobnie jak Frankowa akcentem północnoniemieckim zgodziła się na cenę znacznie niższą, przez p.Frankową zaofiarowaną, dodając: "Sprzedaję za tę tak niską cenę, ale tylko dlatego, bo widzę po Pani wymowie i wyglądzie - żeś Pani - podobnie jak ja - zapewne z Niemdec wypędzoną żydówką."

W r.1938 w dniach 14-18 grudnia odbył się zjazd tzw. "Grupy" /Vereinigung/ niemieckich i polskich prawników w Warszawie z odczytami i dyskusjami. Na zaproszenie ze strony "Grupy" wygłosiłem w języku niemieckim odczyt godzinny o nowych prądach w projekcie polskiego prawa rzeczowego. Po odczycie jednak wyjechałem zaraz do Krakowa, tłumacząc się nagłym zasłabnięciem żony w Krakowie, aby nie brać dalszego udziału w zjeździe i w wielkim raucie wydanym przez amb.Moltkego w ambasadzie niemieckiej dla ministra Franka i "Grupy". Nazajutrz żona moja otrzymała wspaniałe kwiaty z polecenia p.Franka z życzeniami rychłego powrotu do zdrowia.

Wśród ~~jakich~~ całkiem innych okoliczności spotkałem się z Narodowymi Socjalistami w niespełna rok później. ~~O tym napisałem w swych Notatkach w rozdziale XI. /Jest to dzieło odrębne.~~

IX i X. Ze wspomnień o Janie Matejce i o Władysławie Żeleńskim.

Za moich lat młodych grałem nieźle na fortepianie. Brałem też udział w produkcjach muzyki kameralnej u moich rodziców, przy czym pierwszym skrzypkiem bywał dyrygent Hock lub Adam Wroński, drugim mój ojciec, a na wiolonczeli grał hr.Zygmunt Cieszkowski, bratanek Augusta Cieszkowskiego. Cieszkowski zapraszał nawzajem mego ojca i mnie na koncerty, które odbywały się w jego mieszkaniu przy ul.św.Jana. Jednak tam byliśmy z ojcem tylko słuchaczami a nie wykonawcami. Poziom koncertów u Cieszkowskiego bywał nieraz bardzo wysoki, zwłaszcza, gdy przybywali do Krakowa wielcy artyści, polscy i zagraniczni, których Cieszkowski podejmował u siebie. Koncerty u Cieszkowskiego odbywały się wobec zapraszanych gości. Przybywał na nie czasem i Jan Matejko, jakkolwiek - jak mówiono - znał się na muzyce mało i mało się nią zajmował. U Cieszkowskiego bywał jednak chętnie, bo go lubił także jako wybitnego znawcę sztuk plastycznych.

Koncerty sił lokalnych odbywały się we czwartki. W jeden z takich czwartków grano naprzód kwartet Beethovena, a potem trio Webera. Matejko przybył po kwartecie Beethovena i usiadł w kąciku, mało oświeconym. Ktoś złośliwy szepnął mi do ucha: "Matejko zajął takie miejsce, by mógł niepostrzeżenie drzemkę urządzić." Trio Webera wypadło świetnie: Na skrzypcach grał Hock, na wiolonczeli Cieszkowski a na fortepianie Władysław Żeleński. Po ukończeniu tria Hock i Cieszkowski odłożyli swe instrumenty, ale Żeleński pozostał przy fortepianie i, nawią-

zując do tematy allegra Weberowskiego, zaczął improwizować; z początku pianissimo, które powolnym crescendo potężniało w motyw całkiem inny i rozwinęło się w przecudny jakiś utwór, porywający słuchaczów w dziedziny nieokreślonego piękna, w jakieś sfery nadziemskie. Żeleński improwizował może z pół godziny i zakończył szeregiem akordów w basie, przepojonych majestatyczną powagą i dziwnym smutkiem. Sądzę, że ta improwizacja była największym dziełem, jakie Żeleński stworzył. Szkoda dla polskiej sztuki, że tej kompozycji nie zdołał napisać, bo jak z ust jego potem słyszałem, wyszła mu ona całkiem z pamięci.

Po ostatnim akordzie Żeleński wstał od fortepianu, znużony, zmieniony, jakby nieprzytomny, oblany potem. A tu z kącika szybko podsuwa się do niego mistrz Matejko, całkiem zapłakany i rzuca mu się w objęcia ze słowami: "Ależ mój drogi, kochany, nigdy nie przypuszczałem, żeś Ty tak wielkim artystą!" Wzruszony tym widokiem uczułem, że i mnie łzy cisną się do oczu. Gdy ochłonąłem ze wzruszenia, pomyślałem, że istnieją zapewne w natchnieniach twórców z Bożej łaski wyżyny tak szczytne, że na nich zacierają się różnice w środkach, jakimi uzmysławia się piękno. Tam to rozumie w zupełności malarz muzyka, a muzyk malarza, bo widocznie prawdziwe piękno jest tylko jedno.

Nie pamiętam, kiedy to mogło być, zdaje się w ostatnich latach osiemdziesiątych. Jechałem w przedziale wagonu razem z Włodzimierzem Tetmajerem. Rozmawialiśmy o różnych zdarzeniach z przeszłości. I wówczas usłyszałem

z ust Tetmajera rzecz, którą postaram się powtórzyć jak najwierniej: "W roku..., opowiadał mi Tetmajer, powołany zostałem na ćwiczenia wojskowe jako rezerwowy oficer, podporucznik austr. pułku 13-go, który był "stacjonowany" na Wawelu, t.zn. w Zamku królewskim, zamienionym swego czasu na koszary. Z jaką boleścią chodziłem po tych salach, ongiś wspaniałych komnatach królewskich a obecnie izbach białych, bez śladów jakiejkolwiek dekoracji, czy ornamentyki, pełnych łóżek żołnierskich. Wracając raz z Wawelu przez planty, spotkałem Matejkę i wspomniałem mu o żalu, jaki odczuwam, chodząc po koszarach wawelskich. Na to Matejko - po chwili milczenia - zapytał mnie czyby nie mógł korzystając z mej"protekcji" w czasie, gdy żołnierze wymaszerują na manewry ~~wielkie~~, pochodzić swobodnie po tych salach. Odpowiedziałem, że zależy to od pułkownika pułku 13-go, który jest człowiekiem bardzo uprzejmym i niewątpliwie wie, kto jest Jan Matejko, i dlatego z pewnością prośbę Mistrza wypełni. Na życzenie Matejki poszedłem do pułkownika, który nie tylko z dużą życzliwością pozwolenia udzielił, ale nadto uwolnił mnie jeszcze na kilka dni od wymarszu na manewry, bym mógł w tych dniach Mistrza oprowadzać, gdziemon tylko zechce. Przybyliśmy w dniu oznaczonym do Zamku Królewskiego i zaczęliśmy zwiedzać sale. Matejko chodził,oglądał, nieraz przystawał, ale - widocznie bardzo skupiony - nic prawie do mnie nie mówił. Ja też usuwałem się na bok, by mu nie przeszkadzać. W jednej ze sal Matejko zatrzymał się dłużej i odezwał się naraz do mnie: "Musi mi Pan jeszcze jedną usługę wyświadczyć. Bardzo proszę, żeby pułkownik czy oficer, który go tu zastępuje, pozwolił dzisiaj lub kiedykolwiek w dniach najbliższych przybyć

tu kilku murarzom, aby w tym miejscu - miejsce to wyraźnie wskazał mi na nagiej, białej ścianie - odbili nieco cegieł według mych wskazówek, poczem miejsce to zamurują z powrotem". Stało się według życzenia Matejki. Murarze nazajutrz cegły odbili i zobaczyłem wówczas nadspodziewanie przepiękny marmurowy kominek. Zdziwiony odkryciem, pytam się Matejkę, skąd wiedział, że na tym miejscu jest tak bezcenny zabytek. A na to Matejko: "Nie wiedziałem, ale dostrzegłem, bom patrzył na te drogie ściany oczami mej duszy".

Na tym zakończył Tetmajer swe opowiadanie, które przypomniałem sobie, gdy, zwiedzając po raz pierwszy odnowiony obecnie Zamek Królewski, zobaczyłem kominek Wazów w Sali pod Ptakami. Przypuszczam, że Matejko ten kominek "oczami swej duszy"odkrył.

Ojciec mój był członkiem Towarzystwa popierania Sztuk Pięknych od czasu założenia tej instytucji. Interesował się żywo sztukami plastycznymi i chodził z moją matką i z dziećmi często na wystawę obrazów urządzaną na pierwszym piętrze w pałacu biskupim przy placu Franciszkańskim. Przybyliśmy tam także zdaje się w r.1877, aby przypatrzyć się jednemu z wielkich obrazów historycznych Matejki. Gdy staliśmy przed obrazem wszedł na salę Jan Matejko. Zobaczywszy mych rodziców, ~~których znał osobiście~~ przywitał się z nimi, a ojciec przedstawił mu swych trzech synów. Najmłodszy z mych braci, Antoś, miał wówczas - zdaje się - lat siedem. Matejko, któremu widocznie Antoś się spodobał, zwrócił się do niego z zapytaniem: "Jakże, Antosiu, podoba Ci się mój obraz". Mój brat ~~braciszek~~ odpowiedział: "O,ramy są bardzo piękne". Matejko zaśmiał

się i rzekł do mych rodziców: "Antoś będzie albo dyplomatą, albo wielkim artystą malarzem". Matejki przepowiednia o tyle się spełniła, że Antoś więcej zajmował się sztukami pięknymi, aniżeli prawem, w którym zawodowo pracował i więcej obracał się w świecie artystów, niż prawników - a jakkolwiek nie kształcił się w malarstwie, malował i rysował jako dyletant wiele i pozostawił po sobie różne ładne obrazki.

Władysław Żeleński był niewątpliwie niezwykle wykształconym i wybitnym muzykiem. Muzykologię, o ile mogę opinię swą tu wyrażać, znał dobrze. Utwory muzyczne wielkich twórców odczuwał i interpretował głęboko, pomimo, że jego gra na fortepianie pod względem technicznym nieco pozostawiała do życzenia. Mimo, że pozostawił po sobie liczne utwory muzyczne /kameralne, operowe pieśni itd./ a zwłaszcza pomniejsze bardzo ładne, trudno go zaliczyć - jak sądzę - do kompozytorów wielkiej miary. Ale twórcza iskra Boża tkwiła w nim niewątpliwie i czasem rozpalała się żywym płomieniem, ~~czego dowodem przepięknym była zachwycająca improwizacja u p.Zygmunta Cieszkowskiego~~.

Żeleński często przychodził do niezwykle muzykalnej pani Zborowskiej, z domu Mikuliczównej, siostry sławnego chirurga, prof.Uniw.Mikulicza, który był znakomitym pianistą. Żeleński grywał z panią Zborowską na cztery ręce. Czasem przygodnie można się było ich grze przysłuchiwać. Ponieważ ja do takich intruzów nieraz należałem, spędziłem tam bardzo piękne chwile. Zawdzięczam im zwłaszcza

głębsze wniknięcie w genialne utwory Jana Sebastiana Bacha.

Przy Bachu przypominam mi się pewna dowcipna złośliwość Żeleńskiego: Raz szedł ze mną Żeleński ul. Studencką w Krakowie i opowiadał mi coś interesującego, gdy właśnie mijała nas pani X, która - jak mi się wydawało - chciała mi coś powiedzieć. Zatrzymałem się więc z p. Żeleńskim i przedstawiam go pani X. Pani X przerwała mi jednak mówiąc: "Ależ my się przecież z p. Dyrektorem znamy dobrze. Byłam Jego uczennicą przez lat kilka, grałam pod Jego kierownictwem Bacha". Na to Żeleński sposępniał i odrzekł: "Przypominam sobie dobrze te lekcje. Ale - dodał po niemiecku - Das war kein reiner Bach". /"Bach" w języku niemieckim znaczy "potok"/.

XI. Z moich wspomnień o Marszałku Piłsudskim.

Było to w Krakowie, w pierwszych dniach listopada 1916 r. Proklamacja Państwa Polskiego przyciągnęła do Krakowa mimo wojny liczny zastęp takich osób, które przybyć mogły. Przybył z kilku swymi oficerami także brygadier Piłsudski, otoczony już aureolą zwycięskiego wodza. Dnia 8 listopada 1916 r. odbyło się na jego cześć przedstawienie galowe w teatrze Słowackiego, połączone z entuzjastycznymi owacjami a po przedstawieniu raut u prezydentostwa Leów w pięknym pałacu Larischa na placu Wszystkich Świętych. Wśród zaproszonych gości przybyło tam także kilku generałów austriackich. Prezydent Leo wziął mnie na bok i wyraził poufnie obawę, żeby zetknięcie się towarzyskie generałów z naszym Komendantem nie wywołało jakichś przykrych niepożądanych tonów. "Znasz bowiem - mówił do mnie Leo - generałów. Niejeden z nich choruje na manię wielkości, a wszyscy przeświadczeni są o wyższości oficerów, którzy wyszli ze szkół wojskowych. Nasz Brygadier, gdyby padł choćby cień lekceważenia ze strony jednego z tych panów, niewątpliwie zareaguje odpowiednio, bo on nie da sobie w kaszę dmuchać. Proszę Cię więc czuwaj i staraj się zapobiec możliwym w tej atmosferze niemiłym zajściom." Prezydent Leo zwrócił się do mnie z tą prośbą, bo do lipca 1916 r. byłem wiceprezydentem miasta, prowadzącym referat wojskowy i znałem skutkiem tego wcale dobrze obecnych generałów. Obawy prezydenta Lea okazały się jednak płonne: Brygadier po wymienieniu najniezbędniejszych słów kurtuazyjnych z obecnymi gośćmi a więc i z generałami, upatrzył sobie na wypicie herbaty kącik w małym saloniku, w którym sie-

działo kilka ładnych pań, zajął obok nich miejsce i w tym towarzystwie spędził większą część wieczoru, nie troszcząc się już wcale o generałów, którzy zresztą wnet raut opuścili. Zwolniony w zupełności z powierzonego mi przez prezydenta Lea zadania i ja wstawiłem sobie stołek w małym saloniku, aby podziwiać to, co było dla mnie prawdziwą niespodzianką: jak to mianowicie Komendant Piłsudski umiał być "causeur aimable et charmant". Obserwowałem wówczas także, jaki na panie widoczny urok roztaczał.

W kilka miesięcy potem miałem przypadkowo sposobność usłyszenia opinii generała austriackiego, nieprzyjaznego Polakom, o naszym Marszałku. Od lipca 1916 r. musiałem mianowicie porzucić na życzenie Koła Polskiego w Wiedniu i na żądanie ministra Galicji, ś.p. Zdzisława Morawskiego swą katedrę uniwersytecką w Krakowie, aby objąć nader wówczas trudne i niemiłe stanowisko jako wiceprezydent Rady Szkolnej ~~Galicyjskiej. I tu~~ miałem nieraz do czynienia z generałami austriackimi, a to najczęściej z powodu donosów osławionych "Kundschaftsstellen". Pewnego razu w rozmowie ze mną wyraził się gen. Brandtner, szef korpusu krakowskiego, z lekceważeniem o żołnierzach narodowości polskiej, a zwłaszcza pułku 13. Ze względu na sprawę, której broniłem, nie mogłem zbyt silnie reagować. Zapytałem go tylko czy jego ujemna opinia o polskich żołnierzach obejmuje także brygadiera Piłsudskiego. Generał na chwilę umilkł a potem powiedział poważnie: "Piłsudski, das ist eine Ausnahme" /Piłsudski, to wyjątek/. I tu rozgadał się, jak to Rosjanie /nie pamiętam już gdzie, zdaje mi się, że nad Nidą/, urządzili okropny ogień huraganowy,

który zdemoralizował wojsko /t.zn.Austriaków, bo legionistów Br. nie uważał za wojsko/ i wywołał popłoch i ucieczkę a jak mimo strasznego ognia, Brygadier rozmawiał z nim najspokojniej i wydawał rozkazy legionistom jakby to były ćwiczenia na manewrach. Zakończył słowami: "Das ist ein Held" /bohater/.

Kiedy później miałem sposobność opowiedzenia Marszałkowi o tej opinii, jaką wówczas usłyszałem, Marszałek uśmiechnął się i powiedział: "Generała Br.pamiętam bardzo dobrze. Był to jednak tylko zwyczajny "troupier".

Po usunięciu w r.1919 przez wojsko generała Iwaszkiewicza wojska ukraińskiego daleko na wschód Małopolski, przybył z końcem czerwca Marszałek, jako Naczelnik Państwa do Lwowa. Dwudziestego siódmego czerwca udzielał w pałacu namiestnikowskim audiencji. I ja tam przybyłem, by w imieniu wówczas jeszcze istniejącej Rady Szkolnej Krajowej, jako jej prezydent i całego mi podległego nauczycielstwa złożyć reprezentantowi Niepodległej Polski hołd. Gdy do salonu recepcyjnego wszedłem, Marszałek stał w pięknym mundurze, wsparty na szabli. Wyraz jego twarzy był ponury, zimny, onieśmielający, oczy jakby głęboko wpadły, iskrzyły się dziwnym niespokojnym światłem. Jakiż to był inny człowiek, niż ten, który bawił panie w salonach pp.Leów w roku 1916! Gdy wypowiedziałem kilka słów hołdowniczych, usłyszałem tylko słowo "dziękuję" w takim tonie, że oznaczał koniec posłuchania. Jednak pomimo to zaryzykowałem jeszcze prośbę o opinię ze strony Marszałka, czy kierunek polityki, jaki co do szkolnictwa ukraińskiego rządowi naszemu za-

projektowałem, jest zdaniem jego właściwy. Kiedy Marszałek poprosił o bliższe przedstawienie sobie rzeczy, opowiedziałem, jak to po mojej nominacji przez rząd polski na prezydenta Rady Szkolnej i delegata Ministerstwa W.R. i O.P. na Małopolskę, opracowałem obszerniejszy projekt organizacji w tym kraju szkolnictwa ukraińskiego. Myślą przewodnią projektu jest samorząd w szkolnictwie ukraińskim, oparty na katastrze narodowym, ale zostający pod kontrolą państwowych władz polskich. /O projekcie tym p.pod V./. Projekt przedłożyłem - mówiłem dalej - Ministerstwu W.R.i O.P. i Wydziałowi Samorządowemu Małopolskiemu. Jednak dostał się on przez niedyskrecję urzędników do prasy, - w skróceniu, częściowo zniekształcony i stał się przedmiotem gwałtownych na mnie ataków. Ówczesne lwowskie "Słowo Polskie" rozpoczęło przeciw mnie gwałtowną nagonkę a "Trybuna" napiętnowała mnie jako zdrajcę Ojczyzny. Najłagodniejsze głosy opozycji zarzucały mi, że jestem nietrzeźwym idealistą, nieznającym stosunków na Wschodzie". Skończyłem sprawozdanie swe słowami: Sądzę, że mimo trwającej wojny i bardzo bolesnych a niezagojonych jeszcze ran musimy na wiele rzeczy rzucić płaszczyk zapomnienia i stosunek nasz do Ukraińców pokojowo urządzić, a samorząd w szkolnictwie w zakresie instytucyj humanitarnych powinien być pierwszym etapem na tej drodze".

W czasie mego opowiadania uważałem, jak chłód z twarzy Marszałka ustępował, jak się on ożywiał, jak go rzecz widocznie interesowała. Gdy skończyłem, Marszałek przez chwilę milczał; robił wrażenie, jakby myśl jego odbiegła gdzieś daleko. Po pauzie podał mi serdecznie rękę na pożegnanie i powiedział: "Masz Pan słuszność,

bagnetami walczy się - ale na nich siedzieć nie można".

Dwudziestego dziewiątego kwietnia 1921 r. odbyła się w Auli Uniwersytetu Jagiellońskiego promocja Marszałka na doktora praw honoris causa, a następnego dnia wieczorem raut u prezydenta miasta Jana Kantego Federowicza. Marszałek był w bardzo wesołym usposobieniu. Gdy przystąpił w czasie rautu do mnie, zapytał się: "Zapewne jesteś Pan zadowolony, żeś się pozbył prezydentury Rady Szkolnej i że powróciłeś na katedrę. A czy Pan należy do Komisji Kodyfikacyjnej?" Kiedy potwierdziłem to zapytanie, ciągnął dalej: "Komisja Kodyfikacyjna martwi mnie. Mam nawet do niej żal. Jest w niej za dużo profesorów. Wy, profesorowie, jesteście ludźmi jednostronnymi, dążycie w waszym fachu do doskonałości i przez to zatrzymujecie postęp prac kodyfikacyjnych. Nie doceniacie, o ile ważniejszą jest dla Polski jak najszybsza unifikacja naszego życia prawnego. Niech kodeksy będą mniej dobre, byle były jak najprędzej jednolite. Potem dopiero starajcie się o ich doskonałość".

Na to odpowiedziałem:

"Dostojny Panie Naczelniku, przepraszam, że ośmielam się nieco zaoponować. Trudności w postępie unifikacji prawa pochodzą nie tyle z jednostronności profesorów pracujących w Komisji Kodyfikacyjnej, ile raczej z tych dużych różnic, jakie wyżłobiły się między dzielnicami porozbiorowymi w ciągu półtora wieku w naszym życiu prawnym, w naszych umysłach i sercach, w poglądach etycznych społecznych i ekonomicznych. Różnice są dzisiaj tak wielkie, że nawet my, prawnicy z poszczególnych obszarów

dzielnicowych, nie rozumiemy się wzajemnie. Przytem tak prawnicy jak i ogół społeczeństwa zostaje pod wpływem tej potęgi, jaką stanowi siła przyzwyczajenia - najgroźniejszy wróg unifikacji. Z każdej dzielnicy odzywają się głosy pod adresem Komisji Kodyfikacyjnej ""obowiązujące u nas prawo jest dobre, unifikować należy prawa przez wprowadzenie naszego prawa do innych dzielnic"". Jeszcze stosunkowo łatwiej da się narzucić przepisy jednolite w tych dziedzinach prawa, w których codzienne interesy życiowe jednostek mało w grę wchodzą, jak w procesie cywilnym i karnym, jak w prawie karnym, w prawie międzynarodowym itd., albo w dziedzinach mających z natury rzeczy charakter międzynarodowy, tak, że w ich dzielnicowym rozwoju nie wystąpiły istotne i jaskrawe różnice, jak zwłaszcza w prawie wekslowym, handlowym w prawie regulującym zobowiązania w prawie autorskim i patentowym, lecz jakże silny jest opór, na tradycji oparty, przeciw zmianom na rzecz unifikacji n.p. w prawie małżeńskim i rodzinnym w ogóle, w prawie rzeczowym a nawet w sprawie spadkowym - t.j. tam, gdzie chodzi o dziedziny życia prawnego, wnikającego w to, co kochamy. To przywiązanie do stanu w dzielnicach obowiązującego, najsilniejszą pobudza opozycję przeciw zmianom nawet niewielkim a przecież bez zmian - w tych właśnie dziedzinach - i to bardzo istotnych, unifikacja nie da się pomyśleć. Dlatego do unifikacji prawa w tych dziedzinach prawa cywilnego stawiam bardzo pesymistyczną prognozę, - chyba, że znajdzie się jakiś Napoleon, który zdoła przełamać nawet głosy opozycji, opierającej się na silnej tradycji".

Po tych słowach przerwał mi Marszałek i zapytał: "Dlaczego Pan wprowadza tu wzór Napoleona?"

"Zajmuję się obecnie - odpowiedziałem - wpływem i udziałem Napoleona w przyjściu do skutku tego wielkiego dzieła legislacyjnego, jakim jest kodeks cywilny Francuzów, zwany słusznie Kodeksem Napoleona i widzę coraz jaśniej, że gdyby nie nadzwyczajna energia a nawet groźny wpływ, jaki pierwszy Konsul wywarł zwłaszcza na Corps Legislatif w latach 1803 i 1804, praca takich prawników jak Cambacérès, Tronchet, Portalis, Précemencu i Treilhard byłaby pogrzebana w archiwach. Wszak o projekcie pisali nawet wybitni i głośni prawnicy, jak n.p. Constant, Andrieux i inni, że jest to nędzna kompilacja, obca duchowi francuskiemu, - robota kilku prokuratorów "osłów" /dosłownie/, prowadzonych na pasku przez żołnierza /t.j. generała Bonapartego/! We Francji trzeba więc było aż energii i gróźb Napoleona, aby wydać kodeks cywilny, a nie było tam trudności ani w części tak wielkich, jakie u nas w Polsce występują. Francja nie powstawała przecież z trzech różnych dzielnic, w których przez półtora wieku zaborcy różne prawa dyktowali. Dlatego Dostojny Panie Naczelniku - zakończyłem - obawiam się, że bez jakiegoś Napoleona, Polska nie zdobędzie się na jednolite prawo familijne, rzeczowe i spadkowe.

Czy Pan coś o tym napisze? - zapytał mnie Marszałek. Odpowiedziałem, że w najbliższych tygodniach wyjdzie o wyniku mych studiów broszura p.t. "Napoleon-Ustawodawca".

"Jeżeli tak - zakończył rozmowę Marszałek, to proszę mi tę broszurę przysłać do Belwederu. Bardzo mnie

451

zaciekawiło to, co tu od Pana usłyszałem". Po chwili dodał jeszcze: "Widzi Pan - ja mam dwa bożyszcza: Jedno - to Napoleon Pierwszy, a drugie - Matka Boska Ostrobramska". x/

---

x/ Patrz Nr.353 "Czasu" z dnia 24 grudnia 1935, str.5.

XII. <u>Władysław Leopold Jaworski.</u>x/

Był uczniem gimnazjum św.Anny w Krakowie w latach 1876-1884. I ja uczęszczałem do tej samej szkoły, ale o dwa lata wyżej. Uczniowie z klas wyższych z lekceważeniem, a nawet z lekką pogardą patrzyli na "sztubaków", t.j.uczniów z klas niższych. A jednak o Jaworskim mówiono w naszej klasie z pewnym poważaniem, że to niezwykle zdolny uczeń, że się odznacza zarówno w "literaturach" - nazwa ta obejmowała naukę języków, historii literatur, historii powszechnej itd. - jednym słowem przedmiotów humanistycznych - jak i w matematyce i w naukach przyrodniczych. Jaworski był zawsze w swej klasie premiantem /otrzymywaliśmy wówczas jeszcze świadectwa półroczne i roczne z lokacjami/.

W r.1884 zapisał się na Uniwersytet Jagielloński na Wydział prawa. W ożywionym życiu studenckim, jakie panowało wówczas wśród młodzieży, objął od początku wybitną rolę. Młodzieniec pełen życia, temperamentu, gotów zawsze do najśmielszych przedsięwzięć, porywał kolegów na zebraniach studenckich świetną wymową, zwłaszcza, gdy "sięgał, gdzie wzrok nie sięga", gdy "łamał, czego rozum nie złamie". Pociągał kolegów ku sobie jakimś dziwnym urokiem. Nikt nie miał tylu przyjaciół i zwolenników

---

x/ W niniejszym dziale mych Wspomnień zajmuję się Jaworskim głównie jako człowiekiem i prawnikiem. Jego działalności politycznej nie omawiam, bo scharakteryzował ją wszechstronnie Stanisław Estreicher w książce wydanej dla uczczenia pamięci Jaworskiego w r.1931 przez jego kolegów i przyjaciół i uczniów p.t.: WP.L.Jaworskiego życie i działalność.

gotowych iść za nim, choćby w ogień, "by piekłu wydrzeć ofiarę", albo i do ~~niebia~~ nieba, "by sięgnąć po laury". Ulubieniec młodzieży starszej i młodszej, ledwie, że wyszedł z warstwy t.zw."embrionów" /najmłodszych studentów/, wybrany został prezesem Czytelni Akademickiej, stowarzyszenia skupiającego wówczas życie ideowe młodzieży akademickiej. - Chodził także pilnie na wykłady, uczył się, pracował w seminariach; egzamina i rygoroza zdawał cum applausu. - Od religii wszczepionej mu w gimnazjum oddalił się zupełnie. Już jako student uniwersytecki zaciągnął się pod sztandar skrajnego pozytywizmu i filozoficznego agnostycyzmu: "Ignoramus et ignorabimus".

Po skończeniu studiów uniwersyteckich wstąpił do Prokuratorii Skarbu, /obecnie Prokuratoria Generalna/, w Krakowie, a równocześnie oddał się studiom nad prawem cywilnym, rozczytując się także z zapałem w pracach ~~xxx~~ z zakresu ekonomii politycznej, zwłaszcza szkoły t.zw. wiedeńskiej Karola Mengera i Böhm-Bawerka, oraz francuskiej prawno-ekonomicznej Jourdan'a i Bechaux. Pod wpływem takich dzieł wzbudziła się w nim myśl, by w nauce prawa zerwać z metodami wówczas jeszcze niepodzielnie panującej szkoły t.zw.historycznej lub historyczno-dogmatycznej i teorię prawa cywilnego posunąć na nowe tory z pomocą zdobyczy, do jakich doszła nauka gospodarstwa społecznego: "Historia prawa - mawiał Jaworski - to przecież "przeżuwanie" ciągłe tego samego materiału. Teoria prawa powinna iść naprzód, powinna rozwijać prawo na podstawie rozwoju gospodarczego. A jeżeli litera ustawy ma być przeszkodą do wprowadzenia takiego postępu w praktykę prawną, to przecież istnieje wykładnia

/interpretacja/, która przeszkody przełamie. Goethe radzi żartobliwie w drugiej księdze "Zahme Xenien": "Im Auslegen seid frisch und munter, und legt ihr's nicht aus, so legt was unter". /Wykładajcie ustawy śmiało i ochoczo, a gdy nie możecie ich wyłożyć, to starajcie się pod nie coś podłożyć/. Ekonomię zatem trzeba pod prawo "podłożyć"!.

Takimi myślami ożywiony Jaworski pisze naprzód dwie rozprawy z zakresu teorii o wynagrodzeniu szkody: "Zarys teorii wynagrodzenia szkody", 1891 i "Szkoda zrządzona wykonywaniem swego prawa na nieruchomościach", 1892, w których stara się wykazać, jak to teorię szkody i odszkodowania powinno się rozwinąć na pojęciach ekonomicznych "wartości subjektywnej i objektywnej" i jak obowiązek odszkodowania należy uzależnić od korzyści gospodarczych, jakie stąd społeczeństwo zyska. Prace te spotkały się z silną krytyką. Zwłaszcza Till, nie atakując w zasadzie myśli pewnego ożywienia teorii prawa zdobyczami nauk ekonomicznych, potępia jednostronność Jaworskiego, który "tak zapatrzył się w kwestie gospodarcze, że stracił z oka czynniki etyczne, podstawy słuszności i sprawiedliwości".

Mimo takiej krytyki Jaworski broni nadal zajętego raz stanowiska, jakkolwiek w łagodniejszej nieco formie w pracy "Nauka o służebnościach" z r.1892 /141 str./. Już we wstępie do tej pracy zaznacza, że tkwimy ciągle jeszcze w kardynalnych błędach komentatorów kod.cywilnego. "System buduje się tylko na przepisach ustawy, nie widząc poza nimi ciągle zmieniającego się życia, ciągle inną siłę i inną wartość mających stosunków ludzkich.

Operowanie pojęciami abstrakcyjnymi, wyzutymi z materialnej treści, zrobiło z nauki prawa matematykę, gdzie obojętnym jest, z czego się składa dany sześcian lub kula lub czy pod liczbą 7 kryje się 7 domów, czy też 7 koni etc. Nauka prawa nie jest jednak nauką o stałych formach stosunków, ale o stosunkach ludzi żyjących w społeczeństwie, jest nauką o materii tych stosunków. Gdyby tak nie było, możnaby odkryć lub stworzyć system prawa niezależny od warunków życia, ważny raz na zawsze, idealny, doskonały, czy też naturalny. Że takie usiłowania istniały i upadły, rzecz to wiadoma i uzasadniona; że wszelkie takie próby pozostaną nieudałymi, rzecz to niewątpliwa dla tego, kto przypatrzył się np. dzisiejszym wysiłkom Francuzów, by skonstruować idealną znajomość tego, co sprawiedliwe i niesprawiedliwe. Prawo jest takim, jakimi są stosunki ludzkie /w prawie prywatnym i majątkowym stosunki gospodarcze/ a nie na odwrót. Jedna i ta sama forma nie dowodzi jednakowej treści, przeciwnie identyczność ich, jeżeli w ogóle ma istnieć, winna być każdym razem udowodniona. Przepis n.p. niedozwalający przenosić służebności użytkowania, wywołany pewnymi potrzebami w pewnej epoce rozwoju prawa rzymskiego, mógł być uzasadniony aż do dziś dnia; myliłby się jednak ktoby sądził, że inaczej być nie może... Zewnętrzny wygląd n.p. stosunku powstającego wskutek zawarcia kontraktu pożyczki jest dziś ten sam, jakim był i w prawie rzymskim.... W identyczność jednak materii takiego stosunku związanego dzisiaj a za czasów Rzymian uwierzyć można dopiero w razie stwierdzenia tożsamości tła, życia, warunków, wśród których one powstały. Nie zaprzeczy chyba nikt, że pożyczka zaciągnięta przez bogatego dla produkcji, ma

inny charakter aniżeli pożyczka konsumpcyjna, zaciągnięta przez biednego... Trudno uwierzyć także, by pożyczka zawarta w czasach nadmiaru kapitału niezajętego była tym samym, czym jest, gdy brak takiego kapitału; czyli innymi słowy: zachodzi różnica między wypadkiem, gdy wierzyciel szuka dłużnika, a tym, gdy się dzieje na odwrót. Istnienie banków zajętych fruktyfikacją kapitałów, lub brak ich, nie może być bez wpływu na materię stosunku pożyczki, jak nie może nie wycisnąć piętna na niej n.p. zmiana waluty itd., itd.... Znajomość prawa oparta jedynie na przepisach prawnych jest łamigłówką, z której urąga co chwila życie... Kosztem prawdy krzywi się pojęcia, naciąga ustawy, tworzy się szereg fikcji i analogii, których świat rzeczywiście nie zna i nie widzi... Tymczasem wartość pracy naukowej polega na odszukaniu lub sprawdzeniu premis t.j. stosunków ludzkich, bądź czasów ubiegłych, bądź obecnych w miarę tego, czy poznać chcemy prawo przeszłe, czy dzisiaj obowiązujące, podczas, gdy wyciągnięcie z nich wniosków ogólnych i usystemizowanie ich jest tylko koroną, jej końcem ale nie podstawą i rdzeniem".

Oto myśli a nawet credo pełnego zapału młodego uczonego, który zwalcza wyszydzoną już przez Iheringa "Begriffsiurisprudenz", wykwit szkoły dogmatyczno-historycznej, a naukę prawa dzisiejszego każe opierać na poznawaniu "dzisiejszych stosunków, życia teraźniejszego i obecnych warunków danej instytucji" i żąda, aby "badanie prawa w normach, zastąpić badaniem prawa w stosunkach życiowych". Dla poznania tych stosunków trzeba - przede wszystkim - mówi w końcu Jaworski - studiować praktykę sądową, w orzeczeniach sądowych wyrażoną, ale

także zapatrywania interesowanych i niesporną ich praktykę, ponadto literaturę ekonomiczną, statystyczną i administracyjną.

Na takim to podłożu metodycznym opiera się praca o służebnościach, dążąca do wykazania, jak różne dogmaty prawa rzymskiego, przejęte przez Kod.cyw.austr. są przeżytkiem przeszłości, dla celów dzisiejszych nieodpowiednim; jaką powinna być konstrukcja służebności i jaką treść norm wnosić należy w prawodzisiaj obowiązujące. Praca odznacza się między innymi barwnym i interesującym zestawieniem przykładów z życia zaczerpniętych.

Dwa lata minęły od pojawienia się rozprawy o służebnościach. Jaworski nie próżnował: czytał i myślał nadal nad metodą naukowej pracy prawniczej a rezultaty swych studiów wypróbował przy pisaniu monografii w prawie nadzastawu, którą ogłosił w r.1894. Rozprawy tej nie wyprzedza obszerniejszym wywodem o metodzie naukowej - jak w pracach poprzednich - a jednak na pierwszy rzut oka widać, że zmienia dotychczasowe swe stanowisko. Punktem wyjścia pracy jest zebranie skrupulatne przepisów prawa obowiązującego, odnoszących się do prawa nadzastawu i łączenie ich w systematyczną całość; dalszym stadium jest badanie, czy stosunki życiowe unormowane zostały w całości, "bez reszty" i w jaki sposób. Normy dane dają mu podstawę do konstrukcji prawniczej i określenia pojęcia prawa nadzastawu nieokreślonego w kodeksie cywilnym. Z pojęcia tego w drodze logicznej odkrywa prawo obowiązujące dla stosunków nieuregulowanych. Gdzie ta droga /logiki/ okazuje się niedostateczną, autor posługuje się analogią. We wszystkich częściach pracy uwzględnione zostało orzecznictwo Najwyższego Trybunału "dla

pomnożenia materiału doświadczalnego".

Praca o prawie nadzastawu, to jakby powrót Jaworskiego do szkoły dogmatycznej, z której na Uniwersytecie wyszedł. Wszak autor upatruje w ustawie źródło wszelkiego obowiązującego prawa, a gdzie brak przepisów lub brak dostatecznych przepisów, tam czy to w drodze budowy syntez z przepisów danych, a potem dedukcji logicznej, czy też w razie potrzeby, w drodze analogii rozwija prawo obowiązujące. Co jest poza tą sferą, a więc czynniki gospodarcze, czy społeczne czy etyczne, to usuwa się z zakresu roztrząsań naukowo-prawnych autora.

Jeszcze silniej przejawia się u Jaworskiego zmiana w sposobie traktowania problemów naukowo-prawnych, dogmatycznych, w dziele dwutomowym: "O księgach publicznych" z r.1897. Jaworski nie tylko powraca w nim już w zupełności do metod dogmatyczno-historycznej szkoły, ale staje się odtąd do końca swego życia - o ile chodzi o naukę prawa - ich najgorętszym zwolennikiem i wyznawcą. Dzieło o "księgach publicznych", przedstawiające prawo hipoteczne ~~/prawo ksiąg gruntowych/~~ w tej postaci, w jakiej ono obowiązywało w ówczesnej Galicji, opiera się na bardzo skrupulatnej egzegezie tekstów ustawowych, a wykładnię dalszą opiera jedynie na ścisłej logice, odrzucając z dociekań wszelkie przymieszki teleologiczne, "jako nie należące do zakresu nauki prawa." Wywody Jaworskiego czyta się jakby ilustrację przykładową zasady przez Labanda głoszonej, że "prawo jest światem myśli, w którym suwerenność należy się logice".

Jeżeli trafnym jest spostrzeżenie któregoś z filozofów, że postęp posuwa się ruchem dialektycznym, to

spostrzeżenie to możnaby przenieść nieraz do uczonych, zwłaszcza tak wrażliwych i impulsywnych, jakim był Jaworski.

Komentarz Jaworskiego do prawa "o księgach publicznych" cieszył się niezwykłym powodzeniem. Krytyka przyjęła go z wielkimi pochwałami a wydanie z r.1897 rozeszło się w niezwykle krótkim czasie, jakkolwiek koło odbiorców było niewielkie, bo ograniczało się przeważnie do prawników byłej Galicji.

Jaworski na podstawie pracy o prawie nadzastawu, otrzymał na Uniwersytecie Jagiellońskim veniam docendi, a na podstawie dzieła "o księgach publicznych" katedrę prawa cywilnego.

Mimo sukcesu, jaki Jaworski osiągnął swym dziełem "o księgach publicznych", nie pojawiło się ono w drugim wydaniu, jakkolwiek nie brakło zachęty ze strony wydawców. Po jego opracowaniu Jaworski zwolnił tempo swych studiów teoretycznych w zakresie nauki prawa cywilnego, a nawet twórczość jego w tej dziedzinie na pewien czas prawie zamarła. Dlaczego? Może jednym z powodów było to, że nauka prawa cywilnego, ograniczona tylko do ścisłej dogmatyki, tak jak ją Jaworski określił w swych ostatnich pracach, zbyt była przedmiotem jałowym, od życia oderwanym, aby mogła zadowolnić na czas dłuższy umysł tak bujny, tak twórczy, tak rwący się do czynów i śmiałych przedsięwzięć, jakim był umysł Jaworskiego. Od nauki odciągać go zaczęło także życie polityczne, tak silnie rozwinięte wówczas w Galicji, tak pociągające ludzi najtęższych, najzdolniejszych wielkimi zadaniami pię-

trzącymi się wobec Polaków w Austrii. Jaworski zostaje wybrany posłem na Sejm krajowy /galicyjski/ i do Rady państwa i staje się jednym z najwybitniejszych i najgłośniejszych szermierzy partii konserwatywnej.

Mimo aktualnej polityki, która ogarnęła Jaworskiego w swe wiry i walki i absorbowała dużo jego sił, energii i czasu Jaworski interesuje się i nadal prawem cywilnym, śledzi jego rozwój, czyta dzieła najnowsze, wykłada na Uniwersytecie Jagiellońskim, studiuje i roztrząsa różne naukowe problemy; zaczyna się także coraz więcej zajmować filozofią prawa; znajduje też czas do opracowania, wspólnie ze sędzią Tadeuszem Bujakiem w roku 1908, komentarza do ustawy z r.1906 o sprostowaniu ksiąg gruntowych w Galicji.

Dopiero wybuch wojny światowej odrywa go zupełnie od studiów naukowych. Jego pęd twórczy, gorący ogień, jaki w nim płonął, marzenia i pragnienia od dzieciństwa, by Polska stała się znowu ciałem - oto, co każe mu wszelkie siły intelektualne i całą energię życia skupić około pracy nad wielkim czynem, którym powinno być wyzwolenie Ojczyzny z więzów. Rozumiał, że nastała teraz chwila, w której ~~ta niewoli stać się może i~~ uważał za rzecz konieczną, aby Polska się odezwała, aby nieprzedawnione swe prawa przypomniała ~~i czynnie wystąpiła~~. Dlatego Jaworski gorąco popiera tworzenie się Legionów, ale też i powołanie do życia Naczelnego Komitetu Narodowego, jako tego organu, który ma wobec rządu austriackiego i armii czuwać, aby dla Legionów zapewnione były środki egzystencji, aby im dostarczano broni i innych środków

 461

wojennych i by uznano należne im jako kombatantom stanowisko. Jaworski wstępuje do N.K.N. jako jeden z głównych jego organizatorów i przodowników, a z czasem zostaje jego prezesem.

Zadania N.K.N. były w danych warunkach bardzo trudne, tym trudniejsze, że akcja Legionów nie tylko spotykała się z coraz to większym brakiem zaufania i z niechęcią ze strony rządu austriackiego i naczelnej Komendy, ale i z rosnącą opozycją w kraju. Jaworskiego nie odstraszały i nie łamały żadne trudności i przeszkody. Wytrwał nieugięty niczym na drodze, którą obrał i uznał za właściwą; ale w ciężkich zmaganiach z trudnościami tracił zdrowie. - Rodzina ś.p. Jaworskiego posiada jego pamiętniki z tych i późniejszych czasów. Jeżeli warunki oznaczone przez Jaworskiego spełnią się, pamiętniki te może zostaną wydane i wtedy świat się dowie, ile wówczas Jaworski przeszedł tragicznych chwil, a historycy, którzy badać będą proces zmartwychwstania Polski, zyskają jeden z bardzo cennych dokumentów do dziejów owej epoki.

Czynxspełniłxsię

Czyn spełnił się. Polska powstała. Jaworski powraca do nauki prawa cywilnego. Ożywiony teraz planem dzieła, któreby objęło całokształt "Prawa cywilnego na ziemiach polskich" zabiera się z nadzwyczajną pilnością do zrealizowania swego zamiaru i w roku 1919 wydaje I tom /453 str./ obejmujący "Źródła, Prawo małżeńskie, osobowo i majątkowe", a w r.1920 pierwszą część II tomu p.t. "Rodzice i dzieci" /210 str./. W tych dwóch książkach Jaworski zestawia przepisy obowiązujące na wszystkich ziemiach Polski w zakresie powyższych sytuacji, objaśnia

je, porównywuje, wydobywa z nich śmiałe syntezy, a nadto w II tomie urozmaica rzecz nader cennymi, pobudzającymi do myślenia o naukowej twórczości autora najchlubniej świadczącymi "Ekskursami". Autor rzuca w nich nowe snopy światła na najdonioślejsze kwestie z dziedziny teorii prawa.

Ekskursów jest sześć. Są one nader zajmujące. Dlatego podałem ich treść w bardzo krótkim zarysie we "Wspomnieniu pośmiertnym", jakie zamieściłem w zbiorowym dziele, wyżej w dopisku powołanym, p.t."Wł.L.Jaworskiego życie i działalność", wydanym w rok po śmierci Jaworskiego /1931/. Ekskursów mieści się na str.30-34 tego dzieła zbiorowego. Ze względu na dalszy ciąg niniejszego wspomnienia zamieszczam tu rzut oka na treść ekskursów piątego i szóstego.

Ekskurs piąty stwierdza w dzisiaj obowiązujących prawach znaczne rozluźnienie rodziny w przeciwstawieniu do przeszłości. Jeżeli posługujemy się obrazem ułatwiającym nam myślenie i rozróżnimy w człowieku dwie istoty, indywidualną i kolektywną a treść historii upatrujemy w proporcji tych dwóch istot, to uderzy nas zmiejszanie się władzy rodzicielskiej jako objaw owego pędu wolnościowego, indywidualistycznego, który zrywa więzy stanów, kast, cechów a wreszcie rodziny. Zmniejszanie władzy rodzicielskiej musi pociągnąć za sobą nieuchronne zwiększanie zależności jednostki od dalszego obszerniejszego związku, którym w obecnej chwili rozwoju jest państwo. Na razie polityka cywilistyczna, licząc się z przywiedzionymi stwierdzeniami, powinna dążyć do tego, aby rozwój istoty indywidualnej człowieka nie następował kosz-

tem dziecka. Protekcja dziecka - to hasło jedynie właściwe polityki cywilistycznej w naszej dziedzinie i epoce.

W ekskursie szóstym Jaworski zajmuje się różnicą między prawem publicznym i prywatnym.

Po wywodach porzucających znaną tezę Ulpiana, a wprowadzających na jej miejsce inne sprawdziany, /o których wspominam poniżej/ Jaworski mówi o transformacji, jakiej ulega w bieżącej dobie prawo prywatne i to w słowach następujących: "Śledząc rozwój prawa prywatnego dostrzegamy, że coraz to nowe dziedziny działalności ludzkiej przechodzą w ręce państwa i wskutek tego podlegają innym regułom porządkującym je, jak te, którym podlegały, gdy były w rękach jednostki. Państwo działa a jednostka kontroluje, gdy dotychczas jednostka działała a państwo kontrolowało. Widzimy to w sprawie wychowania dzieci. Państwo podejmuje się coraz to nowych zadań. Władza rodzicielska maleje, a rośnie wpływ państwa na rodzinę. W dziedzinie prawa własności państwo obejmuje coraz to nowe rodzaje produktów i staje się powszechnym dystrybutorem. Puszcza w dzierżawę grunty, których nie jest właścicielem, rąbie cudze lasy, dyktuje warunki umowy o pracę, liczy skrupulatnie spuściznę i troszczy się o rozdział majątku między jednostki. Wszędzie wyciąga państwo swe ręce ruchliwe, energiczne, bezwzględne. Ostateczną przyczynę tych przemian ~~widzi~~ widzimy w przyroście ludności, któremu nie odpowiada pomnożenie się żywności. W przyroście ludności, idącym w parze z tą psychiką ludzkości, którą nazywamy demokratyzacją. Jeżeli przez demokrację rozumieć będziemy zdobywanie równych warunków



rozwoju dla każdego, to konsekwencją musi być oddanie roli dystrybutora tej równości komuś najodleglejszemu a więc państwu, a usuwanie i osłabianie więzów, które nakładają jednostce ci, którzy są jej bliżsi, jak rodzina, cech, spółka, gmina, nawet większe terytorialne samorządy."Konkurencja jest wrogiem równości, bo daje zwycięstwo silniejszemu".

W powyższych dwóch ekskursach Jaworski daje się już nieco poznać jako przyszły propagator "uniwersalizmu".

Dzieła o "Prawie cywilnym na ziemiach polskich", tak pięknie rozpoczętego, Jaworski nie może kontynuować. Bieg wypadków nie pozwala mu ograniczać się jedynie do badań ściśle naukowych, do poznawania i przedstawiania naukowego "tego co jest", a zniewala do roztrząsań także innych, bardzo aktualnych, politycznych, do szukania układania i wskazywania tego "co być powinno", do pracy w tym dziale umiejętności prawnej, który należy do sztuki, do twórczości. Z boleścią widzi bowiem, że w zmartwychwstałej Polsce nie dzieje się wszystko dobrze, że zwłaszcza budowa Państwa powinna być inna, że n.p. reformę rolną skierowano na niewłaściwe drogi. Chcąc wskazać, jakimi powinny być normy porządkujące ustrój państwa i jego administrację i jakim powinno być prawo gospodarcze w zakresie rolnictwa, rozszerza zakres swych badań i roztrząsań na prawo konstytucyjne, administracyjne i na prawo agrarne a szukając podstaw, na którychby mógł się oprzeć w swej twórczej działalności, oddaje się z większym jeszcze zapałem, niż przed wojną studiom filozoficznym.

Jako młody człowiek pozytywista, lekceważący wszystko, co wchodzi w jakiekolwiek metafizyczne sfery, rozpoczął Jaworski potem swe studia filozoficzne głównie od dzieł Kanta, rozczytywał się także w Heglu, Schellingu i innych. Razi go jednak z czasem relatywizm doktryn kantowskich, razi indywidualistyczny sposób myślenia w nowożytnej filozofii, to wychodzenie przy pojęciu społeczeństwa i państwa ze swego "ja", a nie ze społeczeństwa, jako źródła i początku. Odłożywszy pisma Kanta, Jaworski rozczytuje się w Platonie, który go szczególnie przez to zadawalnia, że we wszystkich swych rozważaniach, bierze absolutne dobro za zasadę wyjścia. Przez Platona - i równocześnie studiując Hoene-Wrońskiego - sięga wreszcie do wielkich filozofów chrześcijańskich, do św. Augustyna /Civitas Dei/ i do św. Tomasza /Summa/. W ich dziełach znajduje to, czego szukał, co daje zadowolenie i spokój: - wartości odwieczne, bezwzględne, niezmienne dla ludzi i aniołów a z nimi zasadę absolutnej moralności, - a nadto chrześcijański pogląd na państwo, uniwersalistyczny, w którym jednostka istnieje jako człon społeczeństwa. Przy tym poglądzie nie potrzebuje już szukać odpowiedzi na pytanie, co jednostki wiąże w państwo, czy kontrakt socjalny, siła, czy inne czynniki, gdyż społeczeństwo, a za nim i państwo żadnego uzasadnienia nie potrzebuje. Człowiek musi się starać tylko o ich poznanie.x/

---

x/ Czy jednak Jaworski nie poszedł tu zadaleko w obronie poglądu uniwersalistycznego a to pod wpływem nauki Platona, który stawia na czoło świat idei? To pytanie nasuwa mi się dlatego, bo św. Augustyn uważa człowieka,

Jaworskiego pogląd uniwersalistyczny, jako chrześcijański jest niewątpliwie dalekim od owego uniwersalizmu, który w nowym zniekształceniu przetworzył się w tzw. dzisiaj "totalizm". Ku uniwersalizmowi pociągnęła Jaworskiego obserwacja szkodliwych a nawet nieraz zgubnych skutków, do jakich prowadził zbyt wybujały indywidualizm rozwijający się pod hasłami liberalizmu oraz skrajnego demokratycyzmu, który, głosząc zasadę suwerenności narodu /społeczeństwa państwowego/ i rzekomo równego wpływu wszystkich obywateli na rządy państwa, wbrew teorii największego demokraty, Monteskiusza, żądał m.in. powszechnego i równego prawa głosowania na posłów do parlamentu i torował drogę demagogii, partyjnictwa a w dalszych następstwach - reakcji w postaci totalizmów, obniżających człowieka do bezdusznej maszyny, do nędznego atomu, działającego a nawet myślącego i czującego tylko to, co nakażą mu nowożytne kacyki z utworzonymi przez nich partiami.

Jaworski uważa równocześnie przyjęcie absolutu za konieczność dla człowieka i społeczeństw ludzkich i jest przeciwny na ogół relatywizmowi. Przy tym kładzie nacisk na czynniki irracjonalne - w przeciwstawieniu do racjonalnych - jako na motywy w życiu narodów. Patrząc jakby na wielkie i piękne objawienie, okazane mu przez filozofów chrześcijańskich, przeciwstawia mu nikłe rezultaty, do których prowadzi sam racjonalizm i pisze dlatego m.i. w swych "Notatkach" /II wyd.pod L.5/: "Ubogim byłoby ży-

---

jednostkę, jako twór boski za prius, podczas gdy w związkach społecznych jako tworach ludzkiego intelektu upatruje środki dla podniesienia dobra jednostki.

cie duchowe, gdyby je wypełniało tylko to, co poznajemy małym okienkiem rozumu".

Św.Augustyn i św.Tomasz, utwierdzają go także w zdaniu niejednokrotnie przez niego akcentowanym, że prawdziwa i zdrowa twórczość istnieje tylko w miłości i dlatego w swej niezrównanej "Modlitwie" /Notatki,89/ prosi Boga: "Uczyń nas Panie, zdolnymi do pojęcia, że świat, który stworzyłeś, stworzyłeś miłością i że go miłością utrzymujesz".

Na takim głębokim podłożu Jaworski kładzie fundamenty pod swe dzieła, poświęcone ustrojowi Polski, administracji i reformie rolnej.

O ile chodzi o "ustrój Polski", ogłasza naprzód szereg prac z zakresu prawa politycznego: W wydawnictwie p.t. "Prawa Państwa Polskiego", którego kierownictwo objął, opracował i wydał ustawy wchodzące w zakres prawa politycznego a zatem m.i. Konstytucję z dn.17 marca 1921 r. z objaśnieniami i z ustawami uzupełniającymi /około 900 str./.

W r.1924 wychodzi dzieło p.t. "Ankieta o Konstytucji z 17 marca 1921 r." w którym Jaworski w porządku wskazanym systemem naukowym, wydaje szereg prac dotyczących polskiej Konstytucji marcowej, napisanych przez różnych autorów. Najwięcej przyczynków dostarczył sam wydawca. Po kilku jeszcze innych drobniejszych pracach Jaworski ogłasza obszerne dzieło p.t. "Projekt Konstytucji" /1928, str.715/. Składa się ono z dwóch części: Pierwsza zawiera projekt konstytucji wraz z motywami, napisany przez Jaworskiego. W drugiej części Jaworski umieścił

memoriały Bobrzyńskiego, Kasznicy i Smólskiego o reorganizacji administracji państwoej tudzież rozprawy Panejki K.Grzybowskiego, L.Oberländera i J.Langroda, na tematy różne, zostające w związku z reformą Konstytucji.

Jaworski nasuwa w tym dziele czytelnikom pytanie "czy nasze dziedzictwo myśli politycznych nie wyczerpało się już i czy nie czas, aby-śmy sami zbierać zaczęli nowy kapitał"x/ - a zarazem wskazuje, w jakim kierunku należy iść, aby ten "nowy kapitał" zdobyć. Artykuł 1 projektu Konstytucji Jaworskiego postanawia: "Organem, który urzeczywistnia porządek prawny stanowiący Państwo Polskie, jest wyłącznie Prezydent Rzeczypospolitej. Prezydentowi Rzeczypospolitej służy władza używania środków przymusowych w granicach prawa. Władzę wykonywa Prezydent wedle zasad moralności Chrystusowej i nie może być w tym żadną normą ograniczony". Jaworski wychodząc tu z założenia, że Państwo jest porządkiem prawnym, że ten porządek prawny musi mieć jakąś absolutną, niezmiennie trwałą podporę, której żadna ustawa naruszać nie śmie, że wszelka volonté générale jest tylko panteizmem politycznym, brakiem właśnie oparcia, żywiołem zmiennym i płynnym, wprowadza do swego projektu Konstytucji moralność Chrystusową, jako ową niezmienną opokę, jako normy, których bezwzględnie przestrzegać trzeba i którym uchybić nie śmie żadna władza.

---

x/ Gdy przeczytałem powyższe zdanie Jaworskiego, przypomniało mi się, że Mickiewicz w rozprawie o duchu narodowym pisał: "Narody wtenczas tylko wzrastają i o tyle mają prawo do życia, o ile wysługują się całemu rodzajowi ludzkiemu, popieraniem i bronieniem wielkiej jakiejś myśli lub wielkiego uczucia."

We wstępie tłumaczy Jaworski swój uniwersalistyczny pogląd, który każe eliminować z projektu teorię o pochodzeniu władzy "od Narodu", uzasadnienie Państwa itd. rzeczy - które zresztą i dlatego nie należą do Konstytucji, gdyż w niej powinny znachodzić się tylko normy. Jednak normą jest powyższa zasada wyrażona w art.1.; ale nie historia,polityka, deskrypcja, socjologia, ani nauka prawa.

To tylko kilka słów dla pierwszej charakterystyki tego wielkiego dzieła, myśli legislacyjnych, jakie stworzył Jaworski w swym projekcie Konstytucji.

Inny charakter ma książka wydana w r.1924 p.t."Nauka Prawa Administracyjnego. Zagadnienia Ogólne". Tu nie chodzi o projekt legislacyjny, lecz o nowe ujęcie naukowe prawa administracyjnego i administracji. Jednak Jaworski, wychodząc z założenia, że prawnik w zakresie administracji wychodzić musi poza właściwą sferę prawa, uważa za nader ważny problem wprowadzenie silnej kontroli administracji. Ten dezyderat jest też powodem, że autor swój system rozpoczyna od przedstawienia sądownictwa administracyjnego.

Oto n.p. jak Jaworski tłumaczy wielkie znaczenie kontroli administracji:

Działalność, którą prawo normuje, może być dwojakiego rodzaju: wychodzi ona albo od człowieka albo od państwa. Normy regulujące działalność człowieka, stanowią prawo prywatne, normy zaś regulujące działalność państwa, stanowią prawo publiczne. Do tych znamion odróżniających prawo prywatne i prawo publiczne przybywa jeszcze, że kontrolę w zakresie pierwszego wykonywa

państwo, w zakres drugiego - jednostka. Przy tym kontrolę pojmuje się w znaczeniu bardzo szerokim. Z takiego poglądu wychodząc, Jaworski uważa za prawo administracyjne, prawo, które reguluje działalność państwa a którego kontrola należy do jednostki. Jednak nauka o prawie administracyjnym jest, jak w ogólności nauka prawa w rozumieniu światopoglądu relatywistycznego jedynie nauką o normach, systemem wniosków wysnutych z norm. Z tej nauki należy więc to wszystko usunąć, co jest psychologią, socjologią i polityką. Ale w takim razie staje się w nauce tylko na stanowisku formalnym a administracji samej wraz z interpretacją, analogią, swobodnym uznaniem nie można uważać za przedmiot prawa administracyjnego. Jednak zadania administracji są rozległe, wymagają zatem, aby 3 w domu prawnika, gospodarzyli obok niego i psycholog i socjolog i polityk i artysta" i dlatego kontrolę wraz ze sądownictwem administracyjnym wysunąć należy w państwie nowożytnym na samo czoło.

Problemem reformy rolnej Jaworski zajął się od czasu sławnych uchwał sejmowych z r.1919, Boleje nad tym, że sprawę tak doniosłą i aktualną traktuje się pod wpływami demagogicznymi, że przeważają w akcji nie względy dobra publicznego, ale motywy partyjne, klasowe, że etatyzm i tu bierze górę, że akcja jest tylko połowiczna i dlatego bezcelowa, a nawet szkodliwa itd. Swym krytycznym spostrzeżeniom daje wyraz początkowo w czasopismach i w licznych konferencjach /zwłaszcza zbiór artykułów i opinij, wydanych w r.1922 p.t. "Państwo praworządne a reforma rolna"/. Aby jednak należycie przygotować wskazówki, jaką drogą iść należy, zestawia i opracowuje

przepisy dotychczas obowiązujące w dwóch książkach, mianowicie w wydawnictwie przez siebie kierowanym "Prawa Państwa Polskiego" w tomie IV a, pod tyt. "Prawo agrarne: Reforma rolna", a potem w dziele: "Reforma rolna" /1926/, w którym zestawia tekst ustaw i rozporządzeń i dodaje do nich komentarz i obszerne uwagi wstępne i końcowe /str.570/.

Minister Reform Rolnych Staniewicz powołał w r.1927 do życia Komisję Uporządkowania Ustawodawstwa Agrarnego" i oddał Jaworskiemu przewodnictwo tejże. Jaworski zabrał się do opracowania projektu "Kodeksu Agrarnego" z zapałem i cechującą go, a podziwienia godną pilnością i po kilku miesiącach wykończył dzieło p.t. "Projekt Kodeksu Agrarnego", wydane przez Ministerstwo.

Projekt Kodeksu agrarnego jest dziełem jedynym w swoim rodzaju, zupełnie oryginalnym. Rzecz jednak charakterystyczna: Jaworski we wstępie do tego dzieła pojmuje swe zadanie jako agrarno-prawnicze, a nie agrarno-polityczne /widocznie tylko zasadniczo, bo przecież wiele jest w projekcie rzeczy nowych, które należą do polityki prawniczej/. Liczy się więc jako z tezą go krępującą /chociaż przewiduje, że ta teza może się zmienić/, że celem uchwalonej przez ustawodawców reformy ma być tworzenie małych, samodzielnych gospodarstw rolnych i że ziemię potrzebną trzeba pozyskać przez wywłaszczenie gospodarstw większych ponad pewne maximum. Lecz po tych zastrzeżeniach przystępuje krytycznie do rzeczy, także z punktu widzenia polityki agrarnej i jakkolwiek godzi się na utrzymanie istotnych postanowień ustawy z dnia 28 grudnia 1925 r. żąda licznych zmian i uzupełnień i

wprowadza ją do swojego projektu. Zwracam uwagę tylko na kilka:

Przede wszystkim zdaniem Jaworskiego nie można owego maximum posiadłości, które ma być wyłączone od wywłaszczenia, oznaczać według samych tylko kryteriów mechanicznych. Aby dać podstawę do oznaczenia maximum, Jaworski zapożycza z pojęć prawa handlowego i wprowadza do swego projektu "przedsiębiorstwo rolne" jako jednostkę gospodarczą, która nie śmie być dzieloną. Nowość to wielkiej wagi, utwierdzające tezę, że ze względu na pożytek publiczny, na interes państwa i społeczeństwa nie można niszczyć warsztatów gotowych, silnych, produkujących o wiele więcej, aniżeliby mogły produkować jakieś sztucznie wykrojone, niezorganizowane jednostki gospodarcze.

Tworzenie małych samodzielnych gospodarstw powinno w pierwszej linii należeć do odpowiednich organizacyj rolniczych. Drogę etatyzmu należy tu na ogół porzucić.

Przez zasadniczą niepodzielność nowo utworzonych tudzież utrzymanych nadal gospodarstw i przez specjalne przepisy spadkowe należy zapobiec, aby nowo utworzone gospodarstwa nie uległy znowu rozdrobnieniu i nie stały się tym samym jednostkami z punktu widzenia gospodarstwa społecznego bezwartościowymi itd.

Projekt Kodeksu agrarnego spotkał się - co było do przewidzenia - z ostrą krytyką. Kto rzuca nowe myśli, ten wywołuje sprzeciwy, a cóż dopiero, gdy jego myśli godzą w różne interesy i nadzieje licznych rzesz. - Aby także zdania przeciwne podać do publicznej wiadomości Ministerstwo Reform Rolnych wydało w r.1929 w tomie II p.t."Materiały do Kodeksu Agrarnego" zebrane przez

Jaworskiego opinie o jego projekcie, wnioski poselskie o reformie rolnej i kończy referat Jaworskiego, będący odpowiedzią na różne zarzuty.

Co dotąd napisałem, jest tylko przeglądem sumarycznym najważniejszych prac Jaworskiego, a raczej kierunków prac w zakresie nauki prawa i tej drugiej umiejętności, która nazywa się sztuką prawa lub polityką. Położyłem nacisk na rzeczy należące do dziedziny prawa cywilnego. By nie przekraczać zbytecznie rozmiarów tego "studium" nie mogę przedstawiać z głębszym wniknięciem w rzecz treść wymienionych dzieł ani wyliczać wielu innych. Tak to pominąłem dużo rzeczy ważnych jak n.p. Jaworskiego projekt prawa małżeńskiego, przedłożony w r. 1920 Komisji Kodyfikacyjnej, jego nie wykończone prace nad projektem instytucji opieki dla przyszłego kodeksu cywilnego, projekt ustawy notarialnej z obszernymi motywami, wydany w r.1929 jako osobna książka /260 str./ p.t. "Reforma Notariatu" i inne. A ileż to jeszcze cennych myśli z zakresu nauki i polityki prawa należałoby zestawić z niezliczonej liczby jego artykułów, zamieszczanych w dziennikach i innych czasopismach, między nimi i tych, które pisywał przez lat kilka jako współredaktor "Czasu".

Pomijam z konieczności także jego prace z nauki filozofii ogólnej i filozofii prawa, jego artykuły z zakresu literatury i sztuk pięknych, którymi się żywo interesował.

Osobne studium możnaby napisać o jego "Notatkach" /II wyd.1929 str.190/, o dziele poświęconym pamięci

Anny Hupkowej, żony ukochanego przyjaciela, a wydanym, jak mi ś.p. Jaworski mówił - także i w tej myśli, by pozostawić po sobie najbliższej mu, ukochanej rodzinie pamiątkę. W nim znalazł się i wyraz wdzięczności i przywiązania dla Żony: "dozgonnego swego Towarzysza i Przyjaciela" /Notatka 86/.

Ś.p.Jaworski wspomniał mi na kilka tygodni przed swą śmiercią, gdyśmy o "Notatkach" rozmawiali, iż pragnąłby, żeby je kiedyś przeczytał jego wnuk; a potem dodał, uśmiechając się, że cieszy się obecnie na pobyt letni w Milanówku, gdyż chciałby tam nawiązać ze swym wnuczkiem wymianę myśli z zakresu aktualnej polityki.

Wyjazd do Milanówka skończył się bardzo smutno. Jaworski przewrócił się tam na schodach tak nieszczęśliwie, że wskutek potłuczenia się zmarł po krótkiej chorobie dnia 14 lipca 1930 r. Przed śmiercią wezwał do siebie księdza. Spowiednik miał wyjść po spowiedzi bardzo wzruszony i powiedzieć, że tak pięknej, duchem prawdziwie chrześcijańskim i katolickim, szczerze i głęboko przejętej spowiedzi, jeszcze nigdy w swym długim życiu nie wysłuchał.

"Notatki" to w miniaturze - po tylu innych pismach świadectwo wszechstronności Jaworskiego, olbrzymiej jego erudycji, twórczości i artyzmu, mądrości i miłości, pogody umysłowej i nigdy go nie opuszczającego humoru - a nade wszystko jego pięknej duszy.

Co do jego humoru, przypominam sobie wiele dowcipów, które nasuwały mu się przy różnych sposobnościach. Czyż o humorze jego nie świadczy n.p. "Notatka" 23: "Kobiety wydają sąd o wartościach szczerze wedle irra-

cjonalistycznego kryterium: "lubię, nie lubię". Mężczyźni tylko w swej zarozumiałości myślą, że mają inne kryteria".

Czasem dowcipy jego bywały złośliwe - zwłaszcza, gdy zwracały się przeciw jego przeciwnikom politycznym. Jednym z nich - a przeciwników w polityce miał bardzo licznych - był pewien książe kościoła, arcybiskup. Był to antagonista nieraz bardzo przykry. Otóż ów wysoki dostojnik duchowny w liczniejszym towarzystwie, gdy mówiono coś o działalności politycznej Jaworskiego, miał powiedzieć: "Słyszę, że Jaworski, ten z młodych swych lat pozytywista, ateusz, trochę socjalista, na starość chce być bogobojny i pcha się gwałtem do nieba. Jakież mogą być powody takiej metamorfozy?" Jaworskiemu doniesiono o tym zapytaniu dostojnika kościelnego. Jaworski poprosił, aby dać arcybiskupowi odpowiedź następującą: "Powodów szukać należy głównie w mych studiach nad dziełami wielkich Ojców Kościoła a zwłaszcza św.Augustyna i św.Tomasza. Ale, że się tak gwałtem pcham do nieba, tego powodem jest to, że na tamtym świecie nie chcę się spotkać z J.E.Księdzem Arcybiskupem".

Jaworski był przede wszystkim nader wybitną indywidualnością. W pracach swych niezwykle śmiały, nadawał im piętno własne, oryginalne a nawet w samej formie tak znamienne, że po przeczytaniu kilku zdań przez niego napisanych każdy, nie widząc nawet nazwiska autora, nie miał co do osoby autora żadnych wątpliwości. Poglądy swe przedstawiał jasno, ze ścisłością, prowadząc je logicznie do ostatecznych konsekwencyj. Wywoływał podziw, ale też

wzniecał opozycję, nieraz bardzo gwałtowną. Ale i oponenci - z wyjątkiem ludzi niemądrych lub złej woli - chylili swe czoło przed jego potężną indywidualnością i talentem.

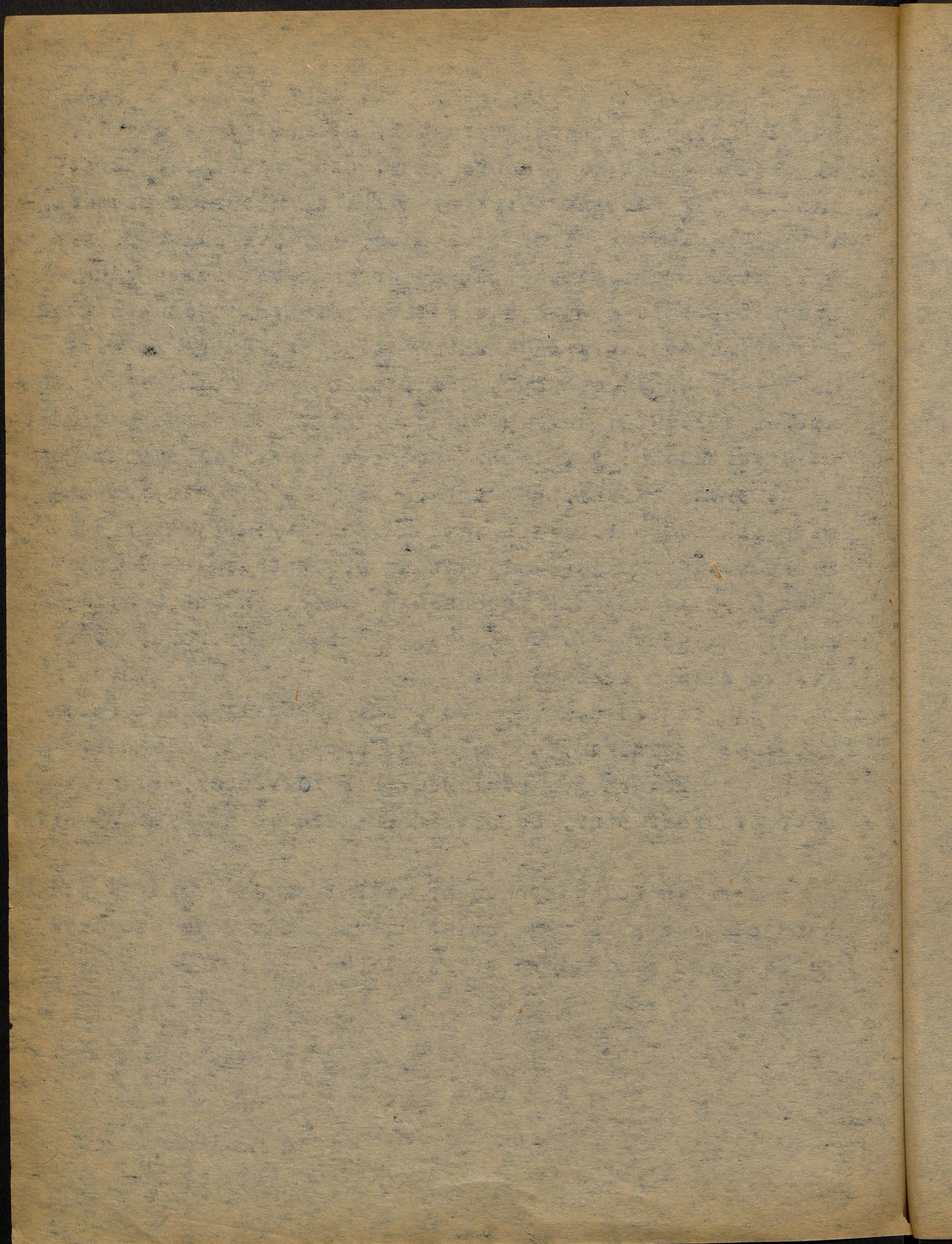
Wielki ten Duch, na przekór teoriom o zależności życia duchowego od fizycznego, rósł ciągle w wiedzy i mądrości, mimo, że choroba chroniczna niszczyła coraz więcej słabiutki organizm. O tego Jaworskiego, co musiał w ostatnich latach siedzieć w fotelu lub leżeć w łóżku, mało się duchowy Jaworski troszczył. Troskę o niego pozostawił swemu lekarzowi, przyjacielowi, a sam czytał, studiował, myślał, tworzył, rozwijał się i coraz więcej uduchowiał.

Ludzie bardzo wybitni najczęściej są mało dostępni a przeważnie swą powierzchownością i swym zachowaniem onieśmielają tych, którzy do nich przystępują. Nic z tego nie miał Jaworski. Każdego, kto do niego przybył, ujmował odrazu uprzejmością, dostosowując się do niego, jakby ich nic nie dzieliło. Nawet dzieci pociągał do siebie, lubiły go one i on je nawzajem lubił, umiał z nimi rozmawiać i zabawiać je, obserwując przy tym ze swego fotelu z najwyższym zainteresowaniem przymioty, wady i sposób myślenia tych małych istotek. W salonie był niezrównanym "causeur'em". Gdy przyszli do niego ludzie poświęcający się nauce, zdumiewał ich swymi głęboko ujętymi pytaniami i otwierał przed nimi nowe horyzonty. Polityków na konferencjach, które tak często odbywały się w ostatnich latach tylko w jego pokoju przy ul.Studenckiej, sprowadzał nieraz na właściwe drogi działania swym jasnym poglądem i trafnym sądem o wartościach.Przy-

jaciół szczerych i licznych, jakich posiadał, udających się do niego w różnych sprawach, cierpliwie słuchał,, by im dać życzliwe i dobre rady. Czas miał dla wszystkich. A jak potężny wpływ wywierał na młodzież uniwersytecką - nawet w latach ostatnich, gdy już nie mógł wykładać a tylko ograniczał się do prowadzenia seminarium, zamknięty w swym pokoju z kilku wybranymi! Jeden z nich dał wyraz oddziaływaniu znakomitego profesora na młodzież w pięknym artykule zamieszczonym w "Czasie" Nr.162 ~~Nr.162~~ z r.1930. Inny powiedział mi w kilka dni po śmierci Jaworskiego: "Profesor Jaworski pokazywał nam drogi na szczytne wyżyny, na które, zdawało nam się, że dostęp dla nas maluczkich jest niemożliwy; a jednak nie wychodziliśmy z jego seminarium przygnębieni ani zniechęceni, ale właśnie pobudzeni i zachęceni do usilnej pracy - i pod wrażeniem jakiegoś dziwnego uroku, który wokoło siebie roztaczał".

Nie znałem nikogo, ktoby tak hojnie jak Jaworski rozdawał wszystkim, co do niego przybywali, klejnoty swego niezrównanego intelektu. Był rozrzutny, ale też mógł być rozrzutny, bo posiadał skarbiec niewyczerpany.

Z rzewnością wspominam, że Poldek Jaworski na kilkanaście lat przed swą śmiercią stał się moim szczerym, serdecznym, prawdziwym przyjacielem.



XIII. Stanisław Wróblewski.

Nie wiadomo, co w Wróblewskim podziwiać należało więcej: czy jego wiedzę olbrzymią i rozległe wykształcenie, zwłaszcza humanistyczne, czy iście benedyktyńską pilność, dokładność i sumienność, czy głębię i logikę myśli, czy nadzwyczajną ścisłość i artyzm w ich przedstawieniu, czy bystrość i szybkość orientacji w każdym, nasuwającym się mu zagadnieniu, czy mistrzostwo w dialektyce, czy zdolność sugestyjną, z jaką umiał swe poglądy innym narzucać, czy wreszcie szlachetność i dobroć - te przymioty niezbędne dla każdego prawnika dobrego, skoro prawo, jak Rzymianie głosili słusznie, jest ars boni et aequi.

Pozostawił po sobie wielką spuściznę dzieł prawniczych nie tylko z zakresu historii i dogmatyki prawa rzymskiego, którego był profesorem, ale i z dzisiejszego prawa cywilnego, handlowego, wekslowego, czekowego i innych jeszcze działów obowiązującego prawa.

Habilitował się na Uniw.Jag. w r.1895 z prawa rzymskiego, które go najwięcej pociągało swą doskonałością dogmatyczną. Jednak mimo, że był romanistą, nie szedł za wzorem nowszej szkoły, dążącej głównie do rozszerzenia wiedzy o prawie rzymskim przez odkrywanie dotąd nieznanych lub bliższe poznawanie dotąd mało znanych źródeł tego prawa, lecz studia swe wytężał w stronę dogmatyczną źródłowo ustalonego prawa rzymskiego, a więc głównie spisanego w corpus iuris civilis. Dowodzi tego już pierwsza jego obszerniejsza /str.248/ praca monogra-

ficzna, ogłoszona drukiem w r.1895 p.t. Zur Lehre von der Kollision der Privatrechte, w której Wróblewski, opierając się przeważnie na tekstach Digestów wyszedł z trafnego założenia, że o kolizji praw w znaczeniu podmiotowym można mówić tam, gdzie ich wykonywanie wyłącza się lub ogranicza wzajemnie, lecz nie tam, gdzie istnienie jednego prawa wyłącza istnienie drugiego. Na tej podstawie rozwinął i uzasadnił w mistrzowski sposób własną konstrukcję /zwłaszcza w części drugiej/, będącą zarazem krytyką różnych sprzecznych z tą konstrukcją poglądów a także poniekąd ujęć ustawodawczych.

Mimo niezwykłych zalet praca Wróblewskiego o kolizji praw nie wywarła w świecie naukowym znaczniejszego wrażenia i wpływu - a to dlatego, że należała swą metodą do zwalczanej wówczas coraz silniej t.zw. Begriffsiurisprudenz. Pod wpływem kilku wybitnych myślicieli, filozofów i prawników, a zwłaszcza wielkiego Iheringa zaczęto coraz więcej wnosić do dogmatyki prawa elementy teleologiczne. Wróblewski rzucił rękawicę tym dążnościom, zamącającym jego zdaniem czystość dogmatyki prawa. Uznawał teleologię w zakresie polityki legislacyjnej, ale usuwał ją zupełnie z dogmatyki prawa. Tego stanowiska bronił zawsze i pozostał mu wiernym do końca życia.Występuje to w szczególności w jego pracach ściśle naukowych; przede wszystkim - poza monografią o kolizji praw w dziele:"Posiadanie na tle prawa rzymskiego", i w dwutomowym "Zarysie wykładu prawa rzymskiego."

Studia nad kolizją praw podmiotowych i nad ich wykonywaniem pobudziły Wróblewskiego do przemyślenia istoty posiadania. Rezultatem roztrząsań jest wymieniona

właśnie monografia, wydana w r.1889 przez Akademię Umiejętności, w której Wróblewski przedstawił nowe ujęcie instytucji posiadania, odbiegające zupełnie od tego, co pisali o posiadaniu Bekker, Bruns, Ihering, Piniński, Randa, Vermond i inni. Wróblewski pojmuje posiadanie głównie jako stan, przejawiający się w faktycznym uznawaniu władzy posiadacza przez jego otoczenie, a więc nie we władzy osoby nad rzeczą, ale w stosunku innych ludzi do posiadacza. Wróblewskiego oryginalna teoria jest jakby przeniesieniem do posiadania dawnej teorii filozofów prawa natury, wznowionej z wielkim talentem przez Thona w jego pracy p.t."Rechtsnorm u.subjektives Recht",1878 r. według której istota praw w znaczeniu podmiotowym polega zawsze tylko na stosunku osób do osób, a nie na władzy nad rzeczami. Podobnej koncepcji broni Wróblewski i przy pojęciu posiadania na tej podstawie, że jakkolwiek posiadanie w znaczeniu podmiotowym nie jest prawem, to jednak normy, które go dotyczą, są instytucją prawną. Wywody swe przeprowadza w sposób mistrzowski.

Nie mniejszym arcydziełem dogmatycznym, a obejmującym znacznie szersze dziedziny jest jego "Zarys". Pod tą skromną nazwą nie można szukać jakiego podręcznika dla młodzieży, uczącej się prawa rzymskiego. Kto "Zarys" Wróblewskiego chce czytać z korzyścią, musi już znać przynajmniej w zarysie instytucje prawa rzymskiego i współczesnego prawa cywilnego, aby, idąc za autorem, wniknąć w ich nowe, oryginalne ujęcia. "Zarys" składa się z trzech części przedstawionych w dwóch tomach. Tom pierwszy /r.1916, 530 str./ obejmuje naprzód historię stosunków wewnętrznych Rzymu i źródeł prawa oraz losów

prawa rzymskiego po śmierci Justyniana. Jest to jakby wstęp historyczny do przedstawienia systemu rzymskiego prawa prywatnego. Po tym wstępie, obejmującym około 200 str., autor poświęca większą część tomu pierwszego części ogólnej prawa prywatnego. W tomie drugim /r.1919, str.215/ przedstawia prawo rzeczowe. Dalszych części systemu prawa prywatnego Wróblewski, niestety, nie napisał. Część ogólną i prawo rzeczowe opracował w sposób dogmatyczny na tle prawa rzymskiego; jest to jednak równocześnie teoria współczesnego prawa prywatnego, o tyle, o ile jego źródła pochodzą z prawa rzymskiego. "Zarys" ze względu na jego wysoką wartość naukową wydała Polska Akademia Umiejętności.

Wróblewski, jakkolwiek wybitny romanista, wnikający głęboko w życie prawne odległej rzymskiej przeszłości - czego dał dowód zwłaszcza w swym "Zarysie" i w kilku rozprawach historycznych - był jednak ze swych ska skłonności i umiłowania dogmatykiem, interesującym się głównie prawem nowoczesnym - dogmatykiem, dla którego logika była suwerenam a dialektyka, którą urozmaicał nieraz paradoksami a czasem i dowcipami, ulubioną sztuką.

Zamiłowania dogmatyczne Wróblewskiego skierowały go do napisania szeregu komentarzy do współcześnie obowiązujących ustaw. Mam tu na myśli zwłaszcza obszerny /około 1000 str./ komentarz austr.kodeksu handlowego /I wyd. r.1898, II wyd. r.1906, III wyd. r.1917/, komentarz do austr. ustawy wekslowej i ustawy czekowej /1905/ komentarze do polskiego prawa wekslowego i czekowego z lat1925 i 1936, komentarz do polskiej ustawy o spółdzielniach /1921/, obszerny /blisko 1000 str.liczący/

komentarz austr. prawa spadkowego /1904/, dwutomowe dzieło, zawierające tekst kod.cyw.austr. wraz z objaśnieniami /1914 i 1918/, komentarz nowel do kod.cyw.austr.z lat 1914-1916, wydany w r.1918, dalej wydania różnych drobniejszych ustaw z objaśnieniami, jak n.p. austr.ustawy o pomocnikach handlowych z r.1910, itd. Ukoronowaniem dzieł komentatorskich byłby niewątpliwie komentarz do polskiego kodeksu handlowego, założony na wielką skalę i oparty na olbrzymiej znajomości tego przedmiotu przez Wróblewskiego, który żywo zajmował się zawsze współczesnym prawem handlowym i brał czynny udział w pracach kodyfikacyjnych nad projektem polskiego kod.handl. Niestety, Wróblewski zdołał wydać tylko trzy zeszyty tego w r. 1935 rozpoczętego dzieła, objaśniając w nich na 240 stronach 43 artykuły kodeksu handlowego. Nie powinny one pójść w zapomnienie, mimo, iż są tylko początkiem zamierzonego dzieła, bo z nich można zaczerpnąć niejedną cenną naukę.

Komentarze Wróblewskiego cieszyły się i cieszą niezwykłą popularnością i miały i mają w praktyce i teorii wysokie znaczenie autorytatywne, a to dzięki wybitnym przymiotom. Wróblewski wkładał w nie bowiem przede wszystkim nadzwyczajną, skrupulatną pracowitość. Nic jego uwagi nie uszło. Nie tylko liczył się na każdym kroku z wszystkimi przepisami w związku z komentowaną ustawą pozostającymi, nie tylko uwzględniał zdobycze literatury naukowej do ostatnich czasów, nie tylko zbierał i cytował wszelkie ważniejsze a ogłoszone drukiem orzeczenia po przeprowadzeniu między nimi odpowiedniej selekcji, ale co najważniejsze, cały ten materiał, skrzętnie

przez siebie zebrany, przemyślał zawsze gruntownie, głęboko i krytycznie, aby na takiej podstawie dać wyraz swym jasnym a świetnie uzasadnionym poglądom, zwłaszcza, gdy chodziło o kwestie wątpliwe, - a to wszystko bez cienia frazeologii, która mu jako człowiekowi prawdziwej nauki była obca. To też w komentarzach Wróblewskiego praktyk znajduje cenne wyjaśnienia i wskazówki we wszystkich ważniejszych zagadnieniach a teoretyk nadto drogę do zapoznania się ze stroną życiową problemów prawnych oraz podnietę do naukowych prac odkrywczych i konstrukcyjnych. Ta ostatnia uwaga dotyczy zwłaszcza obszerniejszych komentarzy, jak n.p. komentarza do austr prawa spadkowego lub rozpoczętego przed czterema laty komentarza do polskiego kodeksu handlowego, w których Wróblewski niejednokrotnie w ekskursach przekraczających miarę komentarza pisanego, zapuszczał się w głębsze konstrukcyjne ujęcia i teoretyczne wywody. W nich przejawia się nieraz silny wpływ romanistyczny - przeważnie nader cenny i interesujący, ale prowadzący czasem autora do skrajnych poglądów - nie dających się zawsze utrzymać, jak się rzecz ma n.p. z tezą, że i w prawie austriackim rzymska zasada: "semel heres semper heres" ma mieć pełne znaczenie. /Wróblewski bronił tej tezy także w osobnej rozprawie, ogłoszonej w "Czasopiśmie prawniczym i ekonomicznym" w r.1903, polemizującej z ogólnie przyjętą wykładnią podstawienia powierniczego według kod.cyw.austr./.

Wszystkie prace Wróblewskiego - a ileż ich napisał, większych i mniejszych rozpraw, recenzji, krytyk,

pism polemicznych, opinii prawnych itd. - znamionuje, obok zalet dotąd podniesionych, także niezwykła siła przekonywania innych. Siła ta była powszechnie znana a występuje zwłaszcza tam, gdzie Wróblewski zwalczać musi zapatrywania innych prawników. Wtedy staje się szermierzem groźnym, wychodzącym prawie zawsze z polemiki zwycięsko. Świadkiem niezrównanego tej jego zdolności byłem raz przy dyskusji prowadzonej przez kilku poważnych prawników nad pewnym trudnym zagadnieniem. W dyskusji zarysowały się ostatecznie dwa zdania przeciwne. Chodziło jeszcze o to, które z nich jest trafne. Nadszedł Wróblewski. Poinformowano go, o co chodzi w kilku słowach, co wystarczyło, bo Wróblewski posiadał także fenomenalną zdolność w szybkim orientowaniu się nawet w najtrudniejszych zagadnieniach. Wróblewski zabrał zaraz potem głos i oświadczył, że nie może przystąpić ani do jednego ani do drugiego z bronionych poglądów, gdyż jego zdaniem rozwiązanie powinno być całkiem inne. Przedstawił je naprzód krótko ku ogólnemu zdziwieniu, poczem w dłuższym wywodzie wykazywał naprzód nietrafność obu poglądów, dotąd przez obecnych bronionych, a potem trafność swego diametrycznie przeciwnego ujęcia rzeczy i postawionej przez siebie tezy. Wywód Wróblewskiego, dialektycznie świetny, przekonał większą część obecnych, a mniejszość straciła widocznie ochotę do beznadziejnego dalszego bronienia swego stanowiska. Z zebrania wyszedłem z Wróblewskim i zapytałem go ze zdziwieniem, czy on rzeczywiście jest zdania, którego bronił. Wróblewski ze śmiechem odpowiedział: "Naturalnie, że nie, przecież to zdanie jest błędne, ale wpadło mi na

myśl, by popróbować swej zdolności o której tyle mówicie, że umiem zręcznie przekonywać innych o trafności swych zapatrywań, choćby sprzeciwiały się zdrowemu rozsądkowi.

I jeszcze inna cecha charakterystyczna, znamionująca prace Wróblewskiego: oto nadzwyczaj ścisły, aż do najdrobniejszych szczegółów subtelny i artystyczny sposób przedstawiania rzeczy. W jego pracach uderza zupełnie niezwykła staranność wypowiedzenia najdokładniej "wszystkiego, co pomyśli głowa", a to nie tylko w ogólnej kasapeji koncepcji, ale i w najdrobniejszych szczegółach. Dlatego prace Wróblewskiego przypominały mi nieraz obrazy Memlinga, które kiedyś z zachwytem oglądałem w Bruges w l'Hopital St.Jean, a w których wielki malarz opracował z największą drobiazgowością nawet szczegóły, - gdzie więc nie ma żadnej kreseczki niepotrzebnej lub niewłaściwie umieszczonej, gdzie wszystko ma swój cel, i to tak, jak zostało umieszczone.

Mimo tak niezwykłych zdolności i dokonania tylu cennych prac Wróblewski był w życiu codziennym i w swych wystąpieniach publicznych bardzo skromny. Poza była mu nie tylko obca, ale wprost wstrętna. Pyszałków umiał i lubił wyśmiewać, nawet w sposób złośliwy. Cechowała go też wielka dobroć i współczucie z ludźmi potrzebującymi pomocy. Cieszył się, gdy mógł im służyć swą radą lub ich odpowiednio wesprzeć.

Wielkie przymioty jego rozumu i serca były powodem, że starano się go wciągać do spełniania różnych zadań naukowych, społecznych i politycznych. Nie odmawiał swej współpracy, gdy ją uważał za wskazaną. Głównym jednak

jego polem działania był Uniwersytet Jagielloński, potem Akademia Umiejętności, a wreszcie Komisja Kodyfikacyjna.

Z Uniwersytetem Jagiellońskim związał się naprzód jako jeden z jego najlepszych uczniów. Doktorat Wróblewskiego odbył się sub auspiciis imperatoris co należało do nadzwyczajnych rzadkości. W r.1895 habilituje się na tymże Uniwersytecie jako docent prawa rzymskiego na podstawie wspomnianego powyżej dzieła: "Zur Lehre von der Kollision der Rechte". W r.1901 zostaje profesorem nadzwyczajnym, a w r.1906 zwyczajnym. Profesorem Uniw. Jag. pozostał bez przerwy do końca życia. Nawet gdy skutkiem nominacji na prezesa Najwyższej Izby Kontroli Państwa w r.1926 Wróblewski formalnie przestał być zwyczajnym profesorem Uniw., zamianowany został na podstawie wniosku kolegów z Wydziału Prawa, profesorem honorowym prawa rzymskiego, by ciągłości związku z Uniwersytetem nie przerywał. Wróblewski, korzystając z tej nominacji, przyjeżdżał od czasu do czasu na wykłady do Krakowa. Czuł się on też zawsze przede wszystkim profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dla kolegów był najlepszym Kolegą, dla uczniów nie tylko najlepszym nauczycielem, ale i szczerym przyjacielem.

W uznaniu zasług naukowych Wróblewskiego Polska Akademia Umiejętności powołała go w r.1910 na członka korespondenta, a w r.1918 na członka czynnego. Pożyteczny jego współudział w pracach Zarządu Akademii w połączeniu z jego wybitnym stanowiskiem naukowym były powodem, że po śmierci prof.Ulanowskiego - Wróblewski został wybrany sekretarzem generalnym Akademii. Jako taki

wzbudzał podziw członków Akademii, także z innych wydziałów, jak szybko i trafnie orientował się w kierunkach i potrzebach nauk, dla siebie obcych, zwłaszcza przyrodniczych i ile pracy wkładał w czynności administracyjne. To też w r.1929 wybrany został wiceprezesem Polskiej Akad.Um., a w r.1934 jej prezesem. Pomimo, że objął to najwyższe stanowisko naukowe w Polsce, pozostał nadal owym skromnym człowiekiem, jakim był zawsze. Przemówienia jego publiczne, jako prezesa, cechowała jak zawsze - głębia myśli, rozległe horyzonty i świetna forma. Gdy po jednym takim wystąpieniu wyraziłem mu swą radość z powodu świetnego przemówienia, które wywarło niezwykłe wrażenie, odpowiedział mi: "Skoroście mnie zaszczycili tak wysoką godnością, starać się muszę, bym się okazał godnym Waszego zaufania".

W Komisji Kodyfikacyjnej był jednym z najgorliwszych pracowników. Początkowo uczestniczył w różnych pracach Sekcji prawa cywilnego i prawa handlowego, a był referentem prawa wekslowego. Potem przewodniczył w trzech podkomisjach, mianowicie w Podkomisji prawa handlowego, obejmującej także ubezpieczenia, w Podkomisji prawa morskiego i rzecznego oraz w Podkomisji dla części ogólnej przyszłego kod.cyw. W ostatnich latach objął w Podkomisji prawa spadkowego referat tego przedmiotu i nad nim do końca życia usilnie pracował. Śmierć prace te przerwała.

Wróblewski został odznaczony wielką wstęgą Orderu Polonia Restituta, a Pan Prezydent powołał go w r.1935 do Senatu Rzeczypospolitej Polskiej.

Wróblewski śmiercią swą osierocił i okrył żałobą Uniwersytet Jagielloński, Polską Akademię Umiejętności, Komisję Kodyfikacyjną, a z nimi i Naród Polski, gdyż był tego Narodu jednym z najpożyteczniejszych synów.-

-------0-------

XIV. Zakończenie. Wzmianki o nienapisanych wspomnieniach.

"Wspomnienia" przestałem spisywać w październiku 1944 r. Zabieram się bowiem - mimo mego podeszłego wieku - do innego zadania, którego wykonanie, choćby tylko w małej części, może zdać się więcej na coś, aniżeli wspomnienia z mniej lub więcej odległej przeszłości.

Pięcioletnie rządy niemieckie wywołały na ziemiach polskich niesłychany chaos. Prawo we właściwym tego słowa znaczeniu nie obowiązywało i nie obowiązuje, było bowiem i jest gwałcone i deptane, ilekroć wchodziło czy wchodzi w kolizję z interesami niemieckimi, których realizacja odbywała się i odbywa t.zw. "prawem siły" i przemocy. Dlatego, skoro tylko Polska odzyska niepodległość, powstaną zagadnienia, w jaki sposób należy przywrócić - o ile to będzie jeszcze możliwe - stan w stosunkach naszych odpowiadający pogwałconemu prawu i sprawiedliwości. Zagadnienia takie ogólne jak i szczególne wystąpią w tysiącach tysięcy przypadków. Okaże się wkrótce, że w Polsce będzie prawników za mało, aby je wszystkie rozwiązać. Dlatego mimo mych lat blisko osiemdziesięciu zaciągam się już teraz /w październiku 1944 r./ do służby dobrowolnie, aby naszemu społeczeństwu przygotować w tym kierunku wskazówki i rady a ewentualnie i pomoc, naturalnie w granicach swych już słabych tylko sił. "Ultra posse nemo tenetur", jak mówili i pisali starożytni Rzymianie.

Oto powód, dlaczego przerywam dalszy ciąg "Wspomnień", a raczej dla ich zaokrąglenia dodaję jeszcze

tylko zakończenie. "Zakończenie", w którym zamieszczam przynajmniej wzmianki o tym, co według z góry ułożonego a potem uzupełnianego planu miało być jeszcze z mych wspomnień przelane obszerniej na papier.. Żeby jednak szanowni Czytelnicy zechcieli taki rejestr przeglądnąć, staram się ożywić go i nieco urozmaicić drobnymi uwagami, spostrzeżeniami i kilku anegdotkami, ale nie zmyślonymi, lecz prawdziwymi.

W plan "Wspomnień" wstawiłem między innymi charakterystykę najbliższych swych znajomych ó przyjaciół. Zgodnie z nim zamieściłem już w częściach poprzednich wspomnienia o dwóch moich najbliższych po fachu kolegach uniwersyteckich, również jak ja prawnikach cywilistach, o L.Jaworskim i S.Wróblewskim. Obu wysoko ceniłem a z pierwszym łączył mnie przez kat kilkanaście ostatnich lat jego życia węzeł szczerej i serdecznej przyjaźni.

Według planu miałem zamiar napisać dalej wspomnienia o innych moich przyjaciołach, co do wieku niedalekich mi rówieśnikach. Są nimi, a raczej byli, bo z wyjątkiem Czyszczana - żaden z nich już nie żyje: Stanisław Krzyżanowski, profesor historii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, Stanisław Windakiewicz, profesor historii literatury polskiej na U.J., Kazimierz Czyszczan, starszy prokurator państwa w Krakowie, Zenon Przesmycki /Miriam/, znany literat, Witold Rubczyński, profesor filozofii /ścisłej/ na U.J., Stanisław Estreicher, profesor historii prawa zachodnio-europejskiego na U.J. /o 5 lat ode mnie młodszy/, Józef Schenk, prezydialista Juliana Dunajewskiego w austr.Ministerstwie Skarbu a w końcu austr.

minister sprawiedliwości, Stanisław Bukowiecki, polski minister sprawiedliwości w Warszawie, a potem prezes polskiej Prokuratorii Generalnej.

Zamieszczam wzmianki o tych przyjaciołach w porządku chronologicznym, t.zn. według czasu, w którym nawiązywałem z nimi bliskie i serdeczne stosunki.

Ograniczenie zamierzonych według planu obszerniejszych wspomnień do krótkich tylko wzmianek co do właśnie wyliczonych przyjaciół staje się poniekąd koniecznością także z tego powodu, gdyż co do kilku z nich mógłbym scharakteryzować odpowiednio ich działalność dopiero po przeprowadzeniu studiów dodatkowych z zakresu filozofii /Przesmycki i Rubczyński/, socjologii /Estreicher/, historii polskiej i historii p.literatury i prawa /Krzyżanowski, Windakiewicz, Przesmycki, Estreicher/ - do czego nie mogę zabierać się w mym późnym wieku.

Z Stanisławem Krzyżanowskim, zeszliśmy się już w pierwszej klasie gimnazjum św.Anny, ale kolegowaliśmy tylko przez niższe gimnazjum, bo potem Krzyżanowski wraz z rodzicami przeniósł się do Nowego Sącza.

W czasie naszego koleżeństwa gimnazjalnego byliśmy nie tylko uczniami celującymi ale i premiantami - premiantem raz Krzyżanowski, raz ja; wówczas klasyfikacje coroczne a nawet półroczne łączyły się z oznaczeniem stopnia, w jakim każdy z uczniów wykazał postępy w stosunku do postępów swych kolegów. Kolejność tę t.zw."lokacje" rozpoczynali premianci a kończyli ultimusi. Krzyżanowski swe premiantury zawdzięczał postępom w historii i literaturze, jak zaś w matematyce i w naukach przyrod-

niczych, zwłaszcza w fizyce. Emulacja, podniecana naturalnie ambicją i zazdrością, były powodem, żeśmy się w gimnazjum ze Stasiem zbytnio nie kochali. Serdeczniejsze stosunki nawiązaliśmy ze sobą dopiero na Uniwersytecie, gdzie on zapisał się równocześnie na wydział prawniczy i filozoficzny, ja zaś w desperacji, że nie mogłem z powodu ciężkiej choroby, jaką przebyłem, wyjechać na politechnikę, postanowiłem zapisać się w Krakowie, idąc w ślad za mym ojcem, - na wydział prawniczy. Krzyżanowski pracować zaczął z zapałem w naukach historycznych na Wydziale filozoficznym a na Wydziale prawniczym interesowały go głównie historia prawa i umiejętności polityczne oraz budząca się już wówczas jako nauka osobna - socjologia. W dogmatyce prawa prywatnego i karnego pracował tylko o tyle, o ile to było konieczne, aby przejść ze stopniem dobrym lub dostatecznym przez egzamina prawnicze. Inaczej było ze mną. Początkowo wprawdzie prawo także i mnie mało zajmowało i dlatego zacząłem pracować w naukach historycznych, ale ponieważ i do nich nie nabrałem szczególniejszego smaku, wróciłem do prawa, które zaczęło mnie pociągać a to bodaj czy nie głównie z tego powodu, że dzięki ścisłości i logice, z jakimi się w nim spotkałem, przypominało mi matematykę. Z czasem obudził się we mnie nawet zapał do dogmatyki prawa, zwłaszcza odkąd zaznajomiłem się bliżej z metodą teleologiczną, jaką wniósł w nią ~~stazszy~~ sławny filozof i prawnik Ihering.

Stosunki serdeczne z Krzyżanowskim zacieśniły się i umocniły w Wiedniu, dokąd ja przybyłem aby tam poznać stosowanie prawa w praktyce życiowej w Prokuratorii Skarbu /zwanej w Polsce Prokuratorią Generalną/ a Krzyżanowski wkrótce po mnie przyjechał do Wiednia, aby zapoznać

się bliżej z pomocniczymi naukami historycznymi pod kierunkiem głośnego uczonego Sickla, a nadto aby pracować w seminariach kilku innych profesorów wydziału filozoficznego. W Wiedniu wieczory spędzaliśmy przeważnie wspólnie, przy bardzo skromnych domowych herbatkach, ale dużo rozmawialiśmy o wszystkim, co nas interesowało. Dyskusje podnosiły się nieraz na wysokie poziomy. Żałowałem tylko, że stosunkowo za mało znałem historię oraz socjologię, którą Krzyżanowski studiował wówczas bardzo żywo pod wpływem prac Comte'a. Nadto odczuwałem z wielką przykrością, że nie mogłem z kochanym Stasiem dzielić tych rozkoszy, jakie mi dawała muzyka w Wiedniu. Krzyżanowski bowiem był zupełnie niemuzykalny - nawet taktu i rytmu w muzyce nie rozpoznawał. Muzyka była dla niego szumem jakichś tonów bez znaczenia i wyrazu. W tym więc mieście, może najmuzykalniejszym wówczas na świecie, zwykle sam bez Stasia chodziłem do opery i na koncerty filharmonii, kierowanej wówczas przez genialnego Hansa Richtera, lub na inne koncerty solistów i kameralne, a Stasia zostawiałem w domu przy herbatce i książkach. Żal, który odczuwałem z tego powodu dał mi się szczególnie we znaki razu pewnego, gdy przechodząc koło sali koncertowej BÖsendorfera, na Herzengassie, dowiedziałem się, że nazajutrz ma śpiewać tenor Walter /ojciec/ pieśni Schuberta i Schumann'a. Kupiłem dla siebie zaraz bilet, żeby znowu dać się unieść przez tego nadzwyczajnego interpretatora pieśni w jakieś nadziemskie sfery Piękna, ale w kilka godzin po kupieniu biletu przyszło mi na myśl, że tak utalentowany śpiewak jak Walter zdoła chyba oddziałać nawet na niemuzykalnego Krzyżanowskiego. Mimo więc, że pieniędzy nie miałem za

dużo, kupiłem jeszcze bilet dla Stasia, ale już nie dostałem miejsca obok mego numeru. Wieczorem przy herbatce przyznałem się przed Stasiem do tego, co zrobiłem. Zgniewał się początkowo na mnie, gdyż za dwa dni miał wygłosić referat w seminarium historii sztuki o Madonnie Sykstyńskiej, co wszystkie jego myśli absorbowało. Gniew jednak potem się uspokoił, a Staś, nie chcąc mi zrobić odmową przykrości, poszedł ze mną - chociaż bardzo niechętnie - na ten koncert. Gdy spotkaliśmy się w czasie pierwszej pauzy w westybulu, Staś rozpromieniony przystępuje do mnie i mówi: "Oh! jakże jestem Ci wdzięczny"! Przerywam mu słowami: "Nie prawda, co to za wielki artysta ten Walter?! Ile w nim iskry bożej, którą oświetla arcydzieła Schuberta i Schumann'a?" A na to Staś: "Ależ, mój drogi ja go wcale nie słuchałem. Myślałem cały czas tylko o Madonnie Sykstyńskiej, ale myśli miałem nadzwyczajne, - rewelacyjne! Referat mój będzie znakomity. Dziękuję Ci, bo w domu nie byłbym nigdy odkrył i utworzył tyle ciekawych rzeczy, jak tu na tym niesłuchanym koncercie!"

Podaję ten fakt, jako temat, który może psychologów zainteresować, jak to mianowicie wielka muzyka może oddziałać pobudzająco nawet na człowieka zupełnie niemuzykalnego, ale o bardzo wysokim intelekcie i o niezwykłej sile twórczej w innych kierunkach - a takim był Staś.

O <u>Stanisławie Windakiewiczu</u> nie miałem zamiaru dużo we Wspomnieniach napisać. Wprawdzie kolegowaliśmy przez całe gimnazjum i żyliśmy wówczas jak dwaj "Bracia sjamscy", uczyliśmy się razem i przebywał on więcej ze mną

w domu rodziców moich, niż swoich. Jednak po maturze odrębne studia a potem i oddalenie geograficzne - Windakiewicz dużo jeździł po świecie i przebywał za granicą - usunęły wspólne zainteresowania tak, że przyjaźń nasza z lat młodocianych zamieniła się w znajomość spotęgowaną przez wspomnienia z przeszłości.

Windakiewicz zmarł dn.9 kwietnia 1944 w Krakowie skutkiem ogólnego wycieńczenia i osłabienia, jakkolwiek cieszył się przed tym zawsze najlepszym zdrowiem. Śmierć uwolniła go od ciosu najboleśniejszego, jaki byłby w niego uderzył, gdyby żył jeszcze o pół roku dłużej i dożył zburzenia i spalenia Warszawy, gdzie spłonął także m.i. rękopis dwutomowego dzieła, do druku przygotowanego, w którym Staś przedstawił jeden, może największy z owoców swych studiów i myśli całego życia: "Dzieje teatru polskiego od początku do r.1900." Rękopis przesłał do Warszawy w roku - zdaje się - 1942 swemu byłemu i wdzięcznemu uczniowi a potem koledze drowi Julianowi Krzyżanowskiemu, profesorowi historii literatury polskiej na Uniwersytecie Warszawskim, z prośbą, aby zajął się wydaniem dzieła na wszelki przypadek, t.zn. w razie, gdyby autor przed możnością druku zmarł. Manuskrypt ten razem z rękopisami i biblioteką prof.Krzyżanowskiego spłonął w Warszawie w czasie powstania w lecie 1944 r.

Z Kazimierzem Czyszczanem kolegowaliśmy w gimnazjum św.Anny od piątej klasy. Podobnie jak Krzyżanowski, Windakiewicz i ja należał i on do uczniów celujących. Na Uniwersytecie, gdzie zapisał się ze mną na Wydział prawa, zawiązaliśmy znacznie bliższe stosunki, ucząc się wspól-

nie do wszystkich egzaminów prawniczych. Prawie równocześnie zostaliśmy też doktorami praw. Ale to, co mnie tak silnie ku niemu pociągało i co nas potem wzajemnie łączyło, były nie tyle nasze studia prawnicze, zwłaszcza, że ja interesowałem się głównie prawem cywilnym a on prawem karnym, ale inne powody. Do nich zaliczam przede wszystkim Kazka niezwykłą dobroć i szlachetność. Dalej jego wielkie umiłowanie i rozumienie muzyki, która ze wszystkich sztuk pięknych najsilniej i na mnie działała. Moje wykształcenie muzyczne wprawdzie nie dorównywało wykształceniu Kazka a mimo to on, prawie wirtuoz na skrzypcach, nie gardził bynajmniej takim akompaniatorem fortepianowym, jakim ja byłem, dzięki czemu grywaliśmy wspólnie niejedno wielkie dzieło muzyczne. W Wiedniu w czasie kilkuletniego pobytu ileż to razy zachwycaliśmy się najszczytniejszą muzyką, chodząc razem pilnie na różne koncerty i przedstawienia operowe. Były to czasy największego kultu Ryszarda Wagnera, którego całą twórczość mieliśmy sposobność dobrze poznać w operze wiedeńskiej, gdzie prym dzierżył wówczas słynny tenor Winkelman. Mówiono o nim, że ma w głosie "eine Träne" /łezkę/. Nieopuszczaliśmy żadnego ze sławnych koncertów filharmonicznych i kameralnych, /kwartet "Hellmesbergera"/. Zachwycaliśmy się wspaniałym wykonaniem potężnych symfonii Beethovena i Mozarta i utworów innych wielkich mistrzów. Kazka wielkie umiłowanie i głębokie pojmowanie muzyki uwiecznił Jacek Malczewski w pięknym portrecie, przedstawiającym go, jak gra na wiolonczeli, - ~~waskx~~ wsłuchany w thernę, którą z tego intstrumentu wydobywa. Nadmieniam w końcu, że zawiązkiem naszej przyjaźni był

także bardzo serdeczny stosunek, jaki łączył naszych ojców już od ławy szkolnej, także w gimnazjum św.Anny.

Kazek chociaż według metryki o 2 tygodnie odemnie starszy, jest jednak w rzeczywistości nierównie młodszy. Jeszcze obecnie biega na dalekie okoliczne spacery a można go spotkać późnymi wieczorami na mieście, najczęściej w drodze powrotnej z jakiegoś wieczoru muzycznego lub amatorskiego kwartetu. Zawsze zachowuje wesołe usposobienie. On jedyny z mych przyjaciół przeszedł przez życie w celibacie i chyba już w nim wytrwa. Niedawno, wracając do domu późnym wieczorem, po godzinie policyjnej, został silnie okaleczony przez auto wojskowe tak, że musiał parę tygodni pozostać w łóżku. Napisałem wówczas do niego list, - bo sam odwiedzić go nie mogłem -, że już czas najwyższy, aby się ożenił, bo tylko chyba żona wyleczyć go może z lekkomyślności i nieuważania na siebie. Na to odpisał mi, że chyba nie jest z nim jeszcze tak źle, iżby się żenić musiał.

On też jedyny z mych przyjaciół, o których we Wspomnieniach piszę, dotąd żyje i najprawdopodobniej mnie przeżyje, a kto wie, czy, - gdy z jakiegokolwiek powodu nie będę mógł sam zająć się wydaniem swych Wspomnień i Notatek - nie podejmie się tego zadania, skoro go tak Wspomnienia jak i Notatki moje żywo interesowały.

Wiele bardzo miłych i pięknych wspomnień, związanych z uczuciem wdzięczności łączyło mnie z Zenonem Przesmyckim /"Miriamem"/ a prawie równocześnie z Witoldem Rubczyńskim.

Zenon Przesmycki przybył z Paryża do Wiednia, gdzie

ja mieszkałem już od lat kilku. Naprzód prawnik i filozof, który ukończył studia uniwersyteckie w Petersburgu i uzyskał tam stopień naukowy kandydata praw, potem literat, poeta, zwłaszcza autor poezji lirycznych, wydanych w książce p.t. "Z czary młodości", więcej jednak esteta i krytyk literacki z czasem główny redaktor czasopisma "Chimera", - wyjechał po ukończeniu studiów petersburskich do Paryża, aby tam zbierać i studiować olbrzymi duchowy spadek filozoficzny i literacki, jaki pozostał po Hoene-Wrońskim, - spadek w wielkiej części jeszcze nie wydany, zachowany w rękopisach, które znajdowały się w Paryżu i w innych miastach, niejednokrotnie u różnych osób prywatnych. Przesmycki zbierał co mógł, względnie notował co i gdzie się znajduje; odczytywał rękopisy i studiował wszystkie dzieła Wrońskiego a dla ich zrozumienia pogłębiał coraz więcej swe wiadomości filozoficzne i uczył się wyższej matematyki - a wszystko to w tym celu, aby z czasem wydać pomnikowe dzieło, poprawne obejmujące wszystkie prace tak już wydane jak i niewydane Hoene-Wrońskiego/, którego uważał za jednego z największych myślicieli świata. Tak to Przesmycki stworzył dla siebie w Paryżu szczytny cel życia. Studia nad Wrońskim zapędziły go m.i. na lat kilka do Wiednia, gdzie wszedł w kółko kilku Polaków, którzy gromadzili się codziennie po południu w kawiarni Centralnej na Herzengasse.[x] Ja do nich także należałem. Tam przychodził - prócz wielu innych

---

x/ W pobliskiej kawiarni Puchera na Kohlmarkt gromadzili się Polacy zajmujący się polityką.

innych - także Witold Rubczyński przez czas swych studiów filozoficznych we Wiedniu. Członkowie naszego Kółka bywali często w gościnnym domu państwa Edwardostwa Rittnerów, rodziców Tadeusza Rittnera. Edward Rittner, kanonista, profesor Uniwersytetu Lwowskiego był wówczas szefem sekcji w austr. Ministerstwie Wyznań i Oświaty a potem ministrem.

Od czasu przybycia Przesmyckiego do Wiednia, Kółko nasze ożywiło się niezwykle. Przesmycki wnosił wiele inicjatywy, poruszał różne tematy, które stawały się przedmiotem bardzo zajmujących dyskusyj, wyprowadzał nas na spacery i dalekie wycieczki w piękne okolice Wiednia, zachęcał do uczęszczania do teatrów i na koncerty. Nie liczył się z porą dnia, a raczej doby, bo nie związany żadnymi obowiązkami dla zarobku, noce zamieniał na dnie i na odwrót, aby tym lepiej pracować lub bawić się. Ja jakkolwiek zostawałem w służbie państwowej i pracowałem równocześnie nad habilitacją na Wiedeńskim Uniwersytecie a potem jako docent tegoż Uniwersytetu starałem się zawsze być przynajmniej słuchaczem interesujących dyskusyj, które toczyły się w Kawiarni Centralnej albo po kolacji w restauracji Bazar lub z początkiem nocy w Volksgarten. Bardzo zajmującymi były zwłaszcza dyskusje na różne tematy filozoficzne, poruszane przez Przesmyckiego lub Rubczyńskiego albo literackie, które szczególnie ożywiał serdeczny przyjaciel Przesmyckiego a potem i mój, Polak-Litwin Hrubant, niestety przedwcześnie zmarły na gruźlicę.

Zdarzały się przy dyskusjach takich czasem i zabawne epizody, wywoływane skutkiem różnych usposobień i temperamentów dwóch niepodobnych do siebie ludzi i filozofów, jakimi byli Przesmycki i Rubczyński. Pierwszy wprawdzie

ostrożny w sądzie, ale gdy rzecz przemyślał, stawał się stanowczym a nawet upartym. Drugi ustępliwy, ale wysuwający ciągle nowe wątpliwości, jak to bywa u bardzo ścisłych i dlatego czasem zbyt skrupulatmych badaczy. Razu jednego Przesmycki zirytowany wątpliwościami podnoszonymi przez Rubczyńskiego przeciw tezie bronionej przez siebie, powiedział: Witoldku, Twe roztrząsania, skrupuły i wątpliwości idą stanowczo za daleko! Na tej drodze doszedłbyś do wątpliwości przy odpowiedzi na pytanie czy nos dla tabakiery czy tabakiera dla nosa. Rubczyński - jak zwykle nie odpowiedział i tym razem natychmiast a dopiero po chwili rzekł: "Kochany Zenusiu, odpowiedź nawet na to pytanie nie jest tak całkiem prosta, jakby się w pierwszej chwili zdawało:" Na to Przesmycki przerwał mu dalsze wywody i autorytatywnie zamknął dyskusję oraz zaproponował spacer po Volksgartenie.

Przypomina mi sęę także zdarzenie z naszego Kółka innego rodzaju: Zeszliśmy się, jak zwykle, w czerwcu 1895 r. na podwieczorkową kawę w Café Central i żywo omawialiśmy następstwa dymisji ministra oświaty - o ile pamiętam - Gautscha. Kto w przyszłości zostanie jego następcą? To pytanie żywo zajmowało Wiedeń i nasze Kółko. Życzeniem naszym było, żeby ministrem został E.Rittner, przez nas wszystkich nadzwyczaj ceniony, znakomity prawnik, niezwykle uzdolniony i rozległe horyzonty ogarniający a przytem człowiek rzadkiej zacności i dobroci i najlepszy Polak. Ktoś z nas wyraził zdziwienie, że dotychczas dzienniki wiedeńskie nazwiska Rittnera nawet nie wymieniły. Usłyszawszy to Przesmycki, odezwał się:

"Francuzi w takim kółku, jak nasze, znaleźliby zaraz

drogę właściwą. Dlaczego także my, Polacy, nie mamy popróbować szczęścia i wymienić Rittnera. Jednak trzeba wziąć się zręcznie do rzeczy a moglibyśmy - kto wie - uczynić kandydatturę czcigodnego, przezacnego i tak niezwykle mądrego Polaka aktualną. Jeżeli jego nazwiska dotychczas nie wysunięto, to zapewne powodem jest jego narodowość polska, zawsze dla większości Niemców niepożądana." Słów tych Przesmyckiego nikt z nas nie traktował zbyt na serio. Uważaliśmy je raczej za żart. Jednak Zenon po chwili odszedł od naszego stolika i przysiadł się do jakiegoś gościa kawiarnianego, wybitnie semickiego wyglądu, i dość długo z nim rozmawiał. Kiedy do naszego stolika wrócił, na zapytanie, co to za znajomy, z którym właśnie rozmawiał, - odpowiedział lakonicznie: "Jest to p.M., którego poznałem raz przygodnie w Krakowie". Ale mnie, do którego miał najwięcej zaufania, wyjaśnił potem pod tajemnicą, o czym mówił z p.M. Tenże M., jak dowiedziałem się od Zenona, pracuje w redakcji dziennika "Fremdenblatt", jedynego dziennika przez cesarza czytanego codziennie. Otóż Przesmycki, przywitawszy p.M., zaczął z nim rozmawiać o kandydatach na ministra oświaty. P.M. - jak się pokazało - nie miał pod tym względem bliższych informacji. "Ja jednak - powiedział Przesmycki panu M. - już wiem, kto będzie ministrem, bo mam wiadomość ze źródła pierwszorzędnego, ale jest to tajemnica, której zdradzić nie mogę." Zaciekawiony p.M. wtrącił: "Ale przecież mnie mógłbyś Pan tę tajemnicę wyjawić, jeżeli dam Panu słowo, że nie zrobię żadnego z niej użytku mimo, że pracuję w redakcji "Fremdenblattu". "Pod takim

warunkiem - odpowiedział Przesmycki - nie odmówię Panu zakomunikowania "tajemnicy"; a kiedy p.M. złożył uroczyste przyrzeczenie dyskrecji, Przesmycki oświadczył, że osobą prawie już dezygnowaną na ministra jest Edward Rittner". Na drugi dzień rano zamieszczona była we "Fremdenblacie" notatka o Rittnerze jako najprawdopodobniejszym przyszłym ministrze oświaty i wszystkie dzienniki popołudniowe powtórzyły za "Fremdenblattem" tę wiadomość, a w dwa dni potem Rittner powołany został na ministra oświaty. /Potym w r.1896 Rittner został ministrem dla Galicji/. Oczywiście nie mogliśmy dowiedzieć się, jak pierwsza nominacja doszła do skutku. Może finta Przesmyckiego zbiegła się przypadkowo z wyborem Rittnera przez cesarza lub premiera Kielmannsegga. Ale nie jest też rzeczą wykluczoną, że cesarzowi, który doborem ministrów osobiście żywo się interesował i nieraz podejmował inicjatywę, wiadomość ogłoszona we "Fremdenblacie" zasugerowała wybór Rittnera, o którym poprzednio wcale nie myślał.

Przesmycki interesował się dużo moimi pracami, niejednokrotnie mnie w mych koncepcjach utwierdzał i do wytrwałości zachęcał. Ale i ja nawzajem czytałem jego nieczytelne rękopisy, dużo z nim o jego pracach rozmawiałem a m.i. pilnowałem, żeby Przesmycki, który nie był punktualny, Sarneckiemu do "Świata" przesyłał artykuły w terminach przyrzeczonych.

Przesmycki po powrocie na stałe do Warszawy rozpoczął tam wydawnictwo "Chimery", miesięcznika, który miał wielkie powodzenie.

W owym czasie poznał też pannę Hoene-Wrońską z którą się ożenił.

W r.1919 powołany na polskiego Ministra Kultury i Sztuki zaprosił mnie do siebie oficjalnie z propozycją, abym opracował projekt ustawy o prawie autorskim. /O tym projekcie pisałem wyżej pod VI C./.

Po wcieleniu Ministerstwa Kultury i Sztuki do Ministerstwa W.R.i O.P. Przesmycki na mój wniosek, zaproszony został przez Prezydium Komisji Kodyfikacyjnej na eksperta Podkomisji dla prawa autorskiego. Odtąd pozostawaliśmy znowu w częstym i ścisłym kontakcie, przyczym łączyły nas najsilniej sprawy prawa autorskiego. Przez Przesmyckiego zapoznałem się z wielu wybitnymi osobistościami z polskiego świata literackiego i artystycznego w Warszawie; bywaliśmy dużo razem w teatrach; odwiedzałem często państwa Przesmyckich, bądź to w Warszawie /Mazowiecka 4/, bądź też w posiadłości jego pod Warszawą, zwanej "Samotnią" i oczywiście w "Zenusia" towarzystwie spędziłem wiele, wiele bardzo miłych i dla mnie pożytecznych chwil. Pracowaliśmy też wspólnie w Polskim Towarzystwie Ochrony Prawa Autorskiego /Warszawa, Pałac Staszica/, Przesmycki jako prezes a ja jako stały członek Zarządu,

Naprzód "Chimera" a potem studia nad prawem autorskim, a więcej jeszcze zadanie, którego Przesmycki podjął się, rozpoczynając wydawnictwo pism Norwida, znacznie osłabiły dawny jego zapał, z jakim pracował niestrudzenie przez pierwszych kilkanaście lat nad dziełami Hoëne Wrońskiego. Trapiło mnie to nieraz, zwłaszcza że słyszałem często od Zenona ale i z ust innych powag w zakresie filozofii, /m.i. od L.Jaworskiego/, że Hoëne-Wroński był jednym z najgłębszych myślicieli nie tylko Polski ale i całego świata, i że wtedy, gdy wszystkie jego prace zostaną

udostępnione przez odpowiednie wydawnictwo, świat cały zainteresuje się żywo jego wielkimi odkryciami naukowymi i nowymi zdobyczami jego twórczej działalności. Przesmycki wprawdzie przygotowywał dalej materiał do zamierzonego wydawnictwa całej spuścizny literackiej i filozoficznej H.Wrońskiego, gromadził u siebie liczne jego rękopisy, zagłębiał się coraz intenzywniej w jego pisma, notował, gdzie i jakie ma dodawać uwagi i objaśnienia a przy tym troszczył się także wiele o przyszłą zewnętrzną stronę wydawnictwa i dlatego postarał się o kilkadziesiąt nader starannie do druku wykonanych klisz, które zapełniły dwie szafy w jego wielkiej pracowni i bibliotece, ale z przykrością widziałem, że nie zanosi się bynajmniej na rozpoczęcie wydawnictwa a przecież biegły lata a z nimi Przesmycki stawał się coraz starszym. W sposób delikatny starałem się, niestety bezskutecznie, wpłynąć na Zenona, by prace swe przyspieszył i przystąpił do wykonania planu wielkiego tak dawno już powziętego.

Przez powstanie w Warszawie w r.b./1944/ nastąpiła katastrofa, która między tylu niepowetowanymi naszymi stratami zniweczyła, jak się zdaje, cel tyloletnich wysiłków Przesmyckiego. Niedawno /piszę te słowa w listopadzie 1944 r./ słyszałem - ale nie z pewnego źródła - że oficyny domu, w którym mieszkał Przesmycki /Mazowiecka 4/ miały runąć a wszystko co w mieszkaniu znajdowało się a zatem i wszelkie książki, rękopisy, klisze itd. zostały spalone lub uległy całkowitemu zniszczeniu x/ a Przesmycki

---

x/ Później otrzymałem wiadomość, że rękopisy Przesmyckiego ocalały.

sam, wywieziony do Pruszkowa zmarł tam - zapewne z powodu braku najprymitywniejszych wygód - a kto wie, czy także nie z nędzy i rozpaczy.

Mniej silny duchowy związek łączył mnie z Witoldem Rubczyńskim, bo on zatopiony przeważnie w swych badaniach i myślach filozoficznych mało stosunkowo zajmował się tym, co się około niego działo, a ja za mało znałem się na filozofii, aby interesować się dostatecznie jego roztrząsaniami naukowymi i móc je należycie ocenić. Jednak kochałem go szczerze już nie tylko po tylu dawniej, - zwłaszcza w Wiedniu wspólnie spędzonych, pięknych i podniosłych chwilach ale i ze względu na jego wprost anielską dobroć, znaną zresztą powszechnie. Kiedy przybył raz do mnie w dzień moich imienin, aby mi złożyć życzenia, dziękując mu za to, powiedziałem: "jak ja zdołam odwzajemnić Ci się, kochany Witoldku za to, że pamiętasz corocznie o moich imieninach, skoro Ty nie masz nigdy imienin, bo brak dotychczasw w kalendarzu św.Witolda; jednak - dodałem - /całkiem szczerze/ - ta luka będzie niezawodnie wypełniona po Twej śmierci, bo Ty chaba świętym zostaniesz". Witold, który nie lekceważył nigdy tego, co do niego mówiono, zastanowił się dłużej nad moimi słowami i zdawało mi się, jakby robił jakiś rachunek sumienia, przy którym nie chciałem mu przeszkadzać. Po chwili odpowiedział: "Przeceniasz mnie - kochany przyjacielu - ja nie będę mógł zostać świętym!".

Żałuję, że dla braku odpowiednich kwalifikacyj z dziedziny filozofii, nie mogę w tych Wspomnieniach poruszyć zasług naukowych Witolda a ograniczam się jedynie

do wzmianek o objawach jego znanego powszechnie roztargnienia, którego nie można oczywiście poczytywać za żadną wadę, lecz tylko za dowód, w jak wysokim stopniu skupienia umysłowego Witold pozostawał często w dziedzinie swej szczytnej nauki, skoro nie zwracał uwagi na rzeczy małe, codzienne i skutkiem tego uchodził za prototyp roztargnionego profesora. Pełno o nim kursowało anegdotek, oczywiście często zmyślonych. Opowiem tu kilka prawdziwych, których byłem świadkiem.

Rubczyński został powołany przez Uniwersytet Jagielloński do objęcia katedry filozofii /ścisłej/ za czasów mego rektoratu. Wpierw był profesorem we Lwowie. Wykład wstępny odbyć się miał, jak tradycja wskazywała, w wielkiej sali Kopernika. Słuchaczów przybyło wielu. Wśród nich i ja się znalazłem. O oznaczonej godzinie wszedł do sali Witold i powitany został hucznymi oklaskami, bo wyprzedziły go słowa wybitnego uczonego. Ukłonił się, ale widać było, że mu pewną trudność sprawia trzymanie w rękach skryptów i kapelusza, twardego melonika. Skrypt rozłożył więc na pulpicie, ale miejsca na kapelusz tam brakło. Zakłopotany widocznie wstępnym zagadnieniem, gdzie ma melonik umieścić, rozglądał się a mimo to nie xxxxxx dostrzegł haka, który był tuż koło katedry umieszczony, aby na nim wykładający wieszali palta i kapelusze i po pewnym wahaniu położył melonik na krześle. Potem, stojąc jeszcze przemówił do reprezentantów Senatu Akademickiego i do zebranej publiczności, która jednak nie mogła słuchać z należytą uwagą słów wstępnych, bo ją zajął najbliższy los kapelusza. Rubczyński po skończeniu przemówienia otworzył skrypt, aby się nim przy wykładzie posłu-

giwać i zaraz potem - zaspakajając pierwsze zainteresowanie publiczności - usiadł jak przewidywano na swym meloniku!

W dwa miesiące potem odbyła się promocja jakiegoś kandydata, który poprosił prof.Rubczyńskiego za promotora. Ten akt uroczysty miał przebieg nieprawidłowy, bo Rubczyński znał wprawdzie już przed tym tekst łacińskiego przemówienia promotora i rotę przysięgi, jaką miał doktorandowi przeczytać, ale nie zaznajomił się uprzednio z różnymi drobnymi formalnościami, w instrukcji zaznaczonymi, jak n.p. kiedy należy zdjąć biret, kiedy wdziać go z powrotem, kiedy wstać, a kiedy usiąść, kiedy rękę doktorowi podać itd. Ponieważ ja jako rektor, siedzący obok prorektora /po drugiej stronie siedział dziekan/ musiałem promotorowi dawać kilkakrotnie wskazówki a nawet kilka razy poprawić słowa w rocie przysięgi i w przemówieniu początkowym i końcowym niedokładnie przez Rubczyńskiego przeczytane, więc publiczność przyjmowała omyłki z uśmiechem. Po promocji powiedziałem Witoldowi, że jeżeli znowu będzie miał być promotorem - to musi przyjść do mnie w przededniu, abyśmy przerobili próbę aktu promocji w pustej Auli. Witold był zawsze bardzo posłuszny i zastosował się do mego zlecenia. Na dzień przed następną promocją przybył do mnie. Ubraliśmy się obydwaj w togi, wdzialiśmy birety i poszliśmy do Auli, gdzie dwa razy powtarzaliśmy próbę, bo za pierwszym razem nie udała się bez zarzutu. Nazajutrz przyszedł Witold i powiedział, żebym był spokojny, bo on pamięta dobrze wszystkie formalności. "Wszystko będzie tak samo - dodał - jak wczoraj". I niestety, wszystko było rzeczywiście tak samo, jak dnia po-

przedniego: Weszliśmy do Auli /tym razem wraz z dziekanem/, usiedliśmy w swych fotelach i Witold tak jak dnia poprzedniego rozpoczął czytać wstępne przemówienie do doktoranda: "Doctorande clarissime! Superatis cum laude examinibus... etc." Wśród śmiechu publiczności przerwałem Witoldowi dalszą lekturę, bo kandydata nie było jeszcze w sali! Mieli go dopiero wprowadzić pedele z berłami!

Było to w restauracji Hotelu Francuskiego w Krakowie: Kolacja wspólna kilkunastu znajomych skończyła się. Wśród nas był Witold. Kiedy mieliśmy się rozejść, zbliżył się on do mnie, prosząc, abyśmy razem wyszli, gdyż ma mi coś ważnego do zakomunikowania. Odpowiedziałem, że mu chętnie służyć będę, ale mam jeszcze pokazać jednemu z obecnych jakiś dokument. Kiedy potem wszedłem do przedpokoju, Witold miał już futro na sobie - była to pora zimowa - i z wielkim wysiłkiem starał się wdziać na głowę czapkę futrzaną, widocznie za małą. Widząc jego daremny wysiłek mówię: "Ależ Witoldku, to przecież zapewne czapka nie Twoja, widać przecież, że za mała". Rubczyński podziękował za moją uwagę, czapkę zawiesił z powrotem i zaczął rozglądać się za własną, gdy jakiś pan zagadnął go słowami: "Ależ, Panie Profesorze, wdział Pan moje futro - proszę je zdjąć a wdziać swe własne".

Po skończeniu wojny światowej Senat Akademicki postanowił zamieścić w Auli marmurową płytę żałobną z nazwiskami i imionami studentów, którzy zginęli na polach walk. Zebranie nazwisk i imion poruczono prof.Rubczyńskiemu. Witold zbierał skrzętnie, nadchodzące wskutek wezwań, zgłoszenia poległych i spis alfabetyczny wydał kamieniarzowi. Odsłonięcie wmurowanej tablicy odbyło się

uroczyście po przemówieniu wygłoszonym przez Rubczyńskiego. Na końcu miał być odczytany w porządku alfabetycznym spis poległych. Kiedy Rubczyński rozpoczął czytanie nazwiskiem: "Anczyc Władysław", odezwał się głos z publiczności: "Jestem obecny". Był to rzeczywiście żywy Anczyc. Tak jego imię i nazwisko jak i dwóch innych jeszcze studentów, którzy w czasie zbierania zgłoszeń poległych zdali colloquia z filozofii, Rubczyński zanotował na kartkach a nazwiska kolokwiantów przez pomyłkę umieścił w spisie studentów poległych. Żałobna uroczystość nie obeszła się przez to bez śmiechu. Ktoś z profesorów powiedział, że Rubczyński motto do Schillera "Liedvon der Glocke": Vivos voco, mortuos plango" zmienił, bo mógł o sobie powiedzieć: "Etiam Vivos plango".

Tego rodzaju objawy roztargnienia naszego w swych myślach zatopionego filozofa, nie umniejszały oczywiście w niczym głębokiego szacunku, jakim się ogólnie cieszył i przywiązania młodzieży do niezwykle ukochanego profesora.

O Stanisławie Estreicherze i Józefie Schenku żadnej wzmianki w tej końcowej części nie zamieszczam, bo o nich obu pisałem już kilkakrotnie w części oznaczonej II, a o Estreicherze także w książce "Notatki" w rozdziałach XI i XII.

Ze stanisławem Bukowieckim zapoznałem się w 1889 r. przelotnie w Lipsku, dokąd ja jako młody dr praw przybyłem, aby pod kierunkiem Windscheida, Bülowa i Wacha pogłębić swe studia w dziedzinie prawa cywilnego a on, aby

w Niemczech uzyskać stopień doktora praw. Bukowiecki był o dwa lata odemnie młodszy. Przypomnieliśmy sobie ową przelotną znajomość, z gdy z końcem października 1918 r., na zaproszenie ministra Ponikowskiego brałem udział w Warszawie w posiedzeniach, dotyczących organizacji szkolnictwa polskiego.

Bukowiecki był jedną z najwybitniejszych postaci w odradzającej się Polsce, a to dzięki swym wielkim przymiotom. Do nich zaliczam zwłaszcza wysoką inteligencję i ogólną kulturę, dokładną znajomość praw obowiązujących w b.Królestwie Kongresowym, niezłomny charakter, niepozwalający mu ani o krok odstępować ze względów utylitarnych od zasad, którym hołdował, a nade wszystko najgoretszy patriotyzm polski. Chociaż różniliśmy się zasadniczo w naszych poglądach na religię, na prawo i sprawiedliwość, mimo to miałem dla niego zawsze bezwzględny szacunek. Różnice w naszych poglądach prawnych były powodem niejednokrotnie starć w Podkomisji prawa rzeczowego, której on przewodniczył, a ja byłem jej głównym referentem. Starcia te jednak nie przeszkadzały, że po dwóch latach współpracy Bukowiecki zaproponował mi - czego zresztą podobno prawie nigdy nie czynił - żebyśmy się "tykali" t.zn. byśmy do siebie przemawiali przez "Ty". Jednak szczera i głęboka przyjaźń połączyła nas dopiero po roku 1939 utrwalana coraz silniej przez wzajemną, częstą korespondencję. Listy Bukowieckiego z tego czasu przechowuję jako bardzo cenne dla mnie i dla mych dzieci pamiątki. Pewne wzmianki o naszej współpracy w Podkomisji prawa rzeczowego mieszczą się zresztą już w niniejszych Wspomnieniach w części VI. pod lit.G. a charakterystyka

Z Kraszewskiego

mych współpracowników w tejże Podkomisji w Kwartalniku Prawa Prywatnego z r.1938, Kwartał II. Z.I.

Za szczęście dla tego drogiego mi przyjaciela poczytywać muszę, że zmarł już 2 lutego b.r., że zatem nie dożył okropnej katastrofy, jaka spotkała całą Polskę i naszą kulturę przez zupełne zniszczenie Warszawy w sierpniu, wrześniu i październiku b.r.

Poza charakterystyką przyjaciół zamieściłem swego czasu w planie Wspomnień różne inne jeszcze tematy; m.i. wspomnienia z sal teatralnych i koncertowych. W tym Zakończeniu dodam o nich kilka wzmianek.

Z teatrem łączy mnie wspomnienie już dość wczesne. W r.1879, a więc gdy miałem dopiero lat 14-cie, obchodzono w Krakowie Jubileusz półwiekowej pracy literackiej najpłodniejszego chyba z powieściopisarzy, Ignacego Kraszewskiego. Kraków zapełnił się gośćmi z różnych stron świata. W teatrze krakowskim odbyło się wówczas przedstawienie "Miodu Kasztelańskiego" Korzeniowskiego i to przy współudziale takich artystów jak Hofmannowa, Modrzejewska Rapacki i Rychter a reżyserem był sam dyrektor teatru, Stanisław Koźmian. Pamiętam, że mi się bardzo podobała gra aktorów, ale wprost zachwycała mnie Helena Modrzejewska i to nie tylko grą ale i pięknością i elegancją. Odtąd często i dużo o niej myślałem i w kilka lat potem, gdy byłem już uczniem VIII klasy gimn. następnie studentem uniwersyteckim, korzystając z pobytu Modrzejewskiej w Krakowie, chodziłem, gdy tylko było to możliwe, na dramaty, w których występowała. Szczególnie zachwycałem się

jej grą w Marii Stuart Schillera i w Damie Kameliowej. Zachwyt podnosił się do jakiejś miłości i adoracji. Cóż więc za radość miałem, gdy otrzymałem pocztą fotografię Modrzejewskiej z podpisem: "Mojemu adoratorowi - Helena". Chciałem się zaraz wybrać do niej z podziękowaniem, - szczęśliwy, że będę mógł się jej przedstawić i znią pomówić. Lecz wstrzymał mnie od tego zamiaru jeden z moich kuzynów, który mi figla wypłatał; on to bowiem kupił fotografię i postarał się o podpis podobny do autentycznego, dokonany jakąś ręką kobiecą.

O "Damie Kameliowej" Modrzejewskiej dlatego specjalnie wspomniałem, bo widziałem potem inne jeszcze dwie wielkie artystki w tej roli, mianowicie Eleonorę Duzę i Sarę Bernhardt. Modrzejewska wywoływała swą grą przede wszystkim najgoretsze współczucie. Duze - jak zawsze - w drodze jakiejś autosuggestii przez trzy godziny swego występu w teatrze przestawała być sobą a zamieniała się w rozkochaną w swym drogim mężczyźnie kobietą. Ona przechodziła faktycznie jej smutki i rozpacz, jej błędy i radości a wszystko na podstawie szczerej a wielkiej miłości. Ułuda znikała zamieniając się w grze tej artystki, w rzeczywistość. Całkiem inna była Sara Bernhardt. Jej gra była widocznie wynikiem głębokiego studium i na tej podstawie opierała także mise en scene swej gry we wszystkich posunięciach, wszystkich ruchach i akcentach. Podziwiało się jej grę intelektualnie, ale odczuwało się ją chłodno. Przypominam sobie n.p. jak w scenie, w której ojca Armanda Duvala, zapewnia o swej gorącej miłości, - powtarza trzy razy "kocham", każdym razem to "kocham" w inny sposób: raz głosem podniesionym, drugi raz, kładąc

rękę celem przysięgi na krzyżu, a trzeci raz na fotografii swego narzeczonego. Duże słowo "kocham" trzy razy powtórzyła pospiesznie, prawie w jakimś szale zalana łzami i jakby w rozpaczy, że ktoś może wątpić o jej miłości.

Z wielkich aktorów podziwiałem naprzód Królikowskiego i to w "Zbójcach". Jego Franz Moor był potworem, jakim go chciał mieć Schiller a gra wywoływała ogólny podziw. Z późniejszych wielkich artystów polskich zachwycałem się może najwięcej Solskim i Kamińskim. Obu widywałem często i w wielu rolach. Solski najwięcej podobał mi się w roli Fryderyka Wielkiego i Judasza z Karyotu, a Kamiński jako Stańczyk w Weselu. Jednak ze wszystkich aktorów jakich widziałem - a widziałem i to nie raz takich artystów jak znacznie później n.p. Leszczyńskiego, Boneczę, Osterwę itd. z obcych n.p. Sonnenthala, Kainza Lewinsky'ego, zachwycał mnie ponad wszystkich największy zd.m. mistrz Coquelin starszy. Cóż to był za artysta? Sławny Talma z pierwszej połowy wieku XIX nie mógł być chyba większym. W Précieuses Ridicules jego gra służącego, udającego markiza, rzuciła mi dopiero światło na genialność Moliera. W Thermidarze odtwarzał rolę Martial'a, kierownika registratury, który ratował zagrożonych śmiercią w ten sposób, że w nocy wynosił do Sekwany akty, ich dotyczące. Nie zapomnę nigdy wrażenia niedługiej sceny, w której przychodzi do niego Labussière oficer z Garde Nationale, aby błagać registratora o podobny ratunek dla swej narzeczonej, markizy Fabienne Marie Clotilde Leconbleux, /ani nazwiska i imienia jej nie pamiętam dokładnie, może się w nich mylę, ani szczegółów z dramatu, którego na razie nie mogę z nikąd dostać/. Coquelin odpowiada, że tego uczynić nie może, bo narze-

czona oficera jest już na śmierć skazana, że zatem wyrok musi być wykonany. Jednak oficer podsuwa myśl, czyby w miejsce jego narzeczonej nie można podstawić innej osoby tego samego nazwiska będącej dotąd w śledztwie, która napewno zostanie także na śmierć skazana; w takim razie możnaby akt jego narzeczonej już teraz wrzucić do Sekwany. Registrator projektu nie odrzuca natychmiast; bierze do rąk akt innej markizy Leconbleux i wgląda weń. Coquelin w swym niemym zachowaniu się okazuje, że walkę moralną z sobą toczy; a wreszcie odpowiada oficerowi: C'est impossible, elle a deux enfants! Wrażenie tej sceny było tak wstrząsające, że publiczność zalewała się łzami. Przedstawienie Coquelin'a i jego trupy odbywało się wówczas w wiedeńskim Carl-Theater.- Po jednym z aktów wyszedł z łoży Sonnethal, sławny aktor z Burgteatru z panią Wolter, z panną Hohenfels i z Lewinsky'm i w korytarzu usłyszałem, jak Sonnethal pod wrażeniem gry Coquelina powiedział do swych towarzyszy: "Do szkoły Coquelin'a powinniśmy się wszyscy zapisać, bo przecież nikt z Burgteatru nie może równać się z Coquelin'em. Sonnethal tak mi wówczas zaimponował swym objektywnym sądem, że chociaż był stary i brzydki byłbym go chętnie uściskał, gdybym go był znał osobiście. Więcej mi wtedy zaimponował aniżeli, gdy podziwiałem jego świetną ~~intapza~~ interpretacją roli Wallensteina w "Wallensteins Tod".

Lubiłem słuchać dobrych deklamacyj. Najwięcej ze wszystkich, jakie słyszałem, zachwyciło mnie odczytanie "Ody do młodości" przez Osterwę w Sali Kopernika Uniw. Jag. Była to prawdziwa uczta duchowa ożywiona nadzwyczajnym zapałem młodości.

Z sal koncertowych niezatarte dotąd wrażenia odniosłem z przecudnego śpiewu słowiczka, jakim była Adelina Patti, z gry skrzypków Joachima i Sarasatego oraz pianisty, starego Antoniego Rubinsteina. Po jednym z koncertów Rubinsteina w wielkiej sali Towarzystwa Muzycznego /Musikvereinssaal/ powiedział do mnie K.Czyszczan: "Rubinstein ten pianista-tytan, panuje tak nad fortepianem, że, dziwię się, dlaczego po koncercie nie wziął fortepianu pod pachę i z nim nie dziękował ukłonami rozentuzjazmowanej publiczności za huraganowe oklaski".

W epoce wiedeńskiej byłem częstym gościem, zwłaszcza, gdy orkiestrą kierował Hans Richter. Poznałem w latach 1888 i 1889 także opery w Lipsku a potem w Berlinie i w Paryżu. Opera wiedeńska a nawet i lipska przewyższały - zdaniem moim - znacznie operę berlińską i paryską.

W tym samym czasie byłem także na wspaniałym przedstawieniu Parsifala w sławnym teatrze Wagnera w Bajrucie /na północ od Norymbergi/. Teatr ten zbudowany został na życzenie i według wskazówek Wagnera na niewielkim wzgórzu w lesie bliziutko miasta Baireuth. Widownia olbrzymia zbudowana amfiteatralnie obejmuje 2.500 foteli. Nie ma żadnych lóż ani galerii. Orkiestra jest prawie ukryta pod sceną tak, że tony wychodzą jakby z pod ziemi. Obok teatru i budynków na rekwizyty teatralne, maszynerie itd. znajduje się wielki budynek bufetowy w lesie. Przedstawienie rozpoczęło się o godzinie 4-ej po południu a skończyło koło 11-ej w nocy. Antrakty były bardzo długie. Przy pogodzie chodziło się w antraktach po lesie lub siadywało w salach bufetowych. Zaraz po godzinie 4-ej teatr został szczelnie zamknięty i bezpośrednio przed początkiem uwertury zgaszono całkiem światła widowni. Wśród

ciemnej nocy odzywać się zaczęły tony orkiestry, której z widowni nie było widać. Orkiestra znakomita, podobnie jak śpiewacy, dobrani byli na sezon teatralny z całych Niemiec, tak soliści jak i chóry. Dekoracje wspaniałe. Mise en scene opracowana z wielką starannością. Mimo to wszystko i mimo, że z operą Parsifal zapoznałem się nieco już poprzednio, grając wyimki na fortepianie a zwłaszcza przyswoiłem sobie Leitmotywy /jak Liebes=Glaubens=Kundry=Motiv/ i mimo, że w czasie pauz chodziłem po lasku dla odpoczynku, cała moja psyche i system nerwowy tak były podrażnione i znużone, że po przedstawieniu i powrocie do hotelu, długo nie mogłem wrócić do równowagi i zasnąłem dopiero po wschodzie słońca.- Nie ośmielam się o tym bądź co bądź wielkim, wspaniałym, majestatycznym, podniosłym dziele muzyki i poezji Wagnera wypowiadać sądu. Jednakże zdawało i zdaje mi się, że w żym, na wielką miarę pomyślanym i opracowanym utworze, brak wielkiego natchnienia, które zastępuje wytężona robota. A może nie wyczułem iskry bożej tylko dlatego, że nie dorosłem do tak wysokiego poziomu. Fakt jednak pozostanie faktem, że "Parsifal" przedstawiony w Wiedniu w 50 lat po zgonie Wagnera, nie zrobił oczekiwanego wrażenia i po jednym jedynym przedstawieniu znikł z repertuaru opery wiedeńskiej.

Na zakończenie wzmianek o operach opowiem miłe dla mnie zdarzenie z opery wiedeńskiej.

Do opery chodziłem zwykle na IV galerię. Tam uczęszczali ludzie bardzo muzykalni, od których można się było

dużo nauczyć. Wielu słuchało oper, trzymając przed sobą partytury.

Jednak raz byłem - wyjątkowo - przy pieniądzach i kupiłem sobie fotel na trzecią galerię na przedstawienie Tannhäusera, którego słuchałem już nie wiem po raz który. Obok mnie zasiadła jakaś interesująca parka: młoda pani, bardzo ładna a dalej jej mąż, dość młody, ale brzydki. Mówili ze sobą po polsku i prowadzili rozmowę przed rozpoczęciem przedstawienia, z której nie trudno było mi poznać zaraz, że jest to młoda parka małżeńska, która w miesiącach miodowych, odbywa podróż poślubną i przybyła ze Lwowa naprzód do Wiednia. Kiedy padły słowa tak serdeczne, których nie powinien był ktoś inny słyszeć, uważałem za swój obowiązek zwrócić uwagę mej sąsiadki, że jestem Polakiem i wszystko co mówią rozumiem. Piękna pani mocno się zmieszała i zarumieniła. Rozmowy nie kontynuowaliśmy na razie, bo rozpoczęła się wspaniała uwertura z motywem chóru pielgrzymów, zmieniającym się w motyw Venusbergu, aby zakończyć się powrotem do motywu pierwotnego. Po pierwszym akcie na życzenie małżeństwa mówiłem im o muzyce Wagnera różne rzeczy a specjalnie o Tannhäuserze. Po drugim akcie małżonkowie nie wyszli do foyer i ja także pozostałem z nimi w fotelach; sąsiadka zagadnęła mnie mniej więcej następującą alokucją: "Pan widocznie musi znać dobrze Wiedeń, to nam Pan poradzi, jak najłatwiej dostać bilety na jutrzejsze przedstawienie do Burgteatru. Grają mianowicie "Właściciela Kuźnic", Maitre des forges i to z panią Schratt, Sonnethalem i kilku innymi wybitnymi artystami. Na to odpowiedziałem: "Zechciejcie Państwo mej rady posłuchać i przyjdźcie jutro znowu do opery. Grają tu Don Juana t.j. najpiękniejszą operę Mozarta, tego -

jak Gounod wyraził się - jedynego boga w muzyce, bo rodził wszystko bez boleści, a jego Geisterscene w Don Juanie - zdaniem Gounoda - więcej muzykalnie warta, aniżeli wszystkie opery Wagnera razem wzięte. Przedstawienie - dodałem - będzie świetne, bo przy pulcie kapelmistrza zasiada genialny interpretator, Hans Richter". Na to jednak piękna Pani odrzekła: "Nie posłuchamy Pańskiej rady, bo nam specjalnie zależy na "Właścicielu Kuźnic" a zwłaszcza chcielibyśmy widzieć panią Schratt w kreacji narzeczonej i żony właściciela Kuźnic". "Jeżeli tak - odpowiedziałem - to zamiar Państwa nie jest uzasadniony. P.Schratt jest bowiem wprawdzie jeszcze zawsze poważną aktorką i dlatego, jak wiadomo, podoba się bardzo cesarzowi, ale jako aktorka nie należy artystek bardzo wysokiej miary a przypomina nieco deklamatorki starej szkoły; Comedie française. Radzę więc stanowczo, abyście Państwo przyszli jutro na Don Juana, a po powrocie do Lwowa wybrali się tam na "Właściciela Kuźnic". Przed rokiem widziałem ten piękny dramat we Lwowie, gdzie rolę narzeczonej hrabianki gra świetnie i na wskróś naturalistycznie śliczna Stachowiczówna zwana "Stachowiczką". Na to moja sąsiadka: "Widzę, że musimy się przedstawić. Ja jestem Stachowiczką, obecnie Grekową, a to mój mąż, adwokat lwowski dr.Grek". Trudno było o lepsze rozwiązanie znajomości. Następstwem było, że po Tannhäuserze poszliśmy razem na kolację, gdzie bawiłem się świetnie.

[W pierwotnym programie "Wspomnień" mieściły się jeszcze różne zdarzenia z mego życia. Z nich wybieram

jedno, które mi szczególnie pozostało w pamięci, mianowicie, jak to po raz pierwszy w mym życiu poznałem nieco Tatry - te Tatry w których tyle pięknych chwil miałem potem spędzić. Temu wspomnieniu poświęcę jeszcze kilka stronic druku.

Było to w lipcu 1876 r. Miałem wtedy lat 11-ście. Ojciec postanowił wyjechać do Zakopanego, aby z bliska oglądnąć Tatry i wziął mnie ze sobą. Towarzyszył nam przyjaciel ojca, Karol Cieśliński, prokurator państwa z N.Sącza. Ojciec na dzień przed wyjazdem zamówił na Kleparzu w Krakowie furkę dwukonną z Zakopanego, aby nas w dwóch dniach dowiozła na miejsce. W pierwszym dniu podróży przybyliśmy po 6-godzinnej jeździe do Myślenic, gdzie u znajomych ojca spędziliśmy dwie godziny przy miłej pogadance i dobrym obiadku. Na 9-tą wieczór dowiózł nas nasz góral na nocleg do karczmy w Zaborni, wiosce położonej tuż koło Rabki, miejscowości znanej już wówczas jako doskonałe zdrojowisko słono-jodowe dla dzieci skrofulicznych. Podróż odbywała się dotąd przyjemnie. Pogoda śliczna, droga doskonała prowadziła wprawdzie przez liczne pagórki a nawet góry jak Mogilany lub stoki Lubonia; gdy droga wznosiła się wysiadaliśmy z furki, przykrytej białą płachtą na obręczach rozłożoną, by w pełni oddychać świaxxxx świeżym powietrzem, napawać się pięknymi widokami i użyć nieco ruchu. Nocleg w Zaborni nie był najgorszy. Na drugi dzień wyjechaliśmy wczesnym xakiax rankiem zaraz po śniadaniu z Zaborni i w 3 godziny potem dostaliśmy się, idąc przeważnie obok furki pieszo na najwyższe wzniesienie Obidowej, przeszło 800 m nad poziomem morza położone z którego odsłoniło się nam, przy pięknej pogodzie w ca-

łej okazałości wspaniałe pasmo Tatr zachodnich i wschodnich i to stosunkowo dość blisko, bo na jakieś 30 km.odległości w linii powietrznej. Nasz góral pokazywał nam poszczególne szczyty i podawał ich nazwy a u mnie budziło się coraz gorętsze pragnienie, by dostać się jak najrychlej na jeden ze szczytów. Po dwu godzinach przeważnie szybkiej jazdy z góry na dół przybyliśmy do Nowego Targu, położonego o 200 m. niżej jak szczyt Obidowej. Tam zjedliśmy w hotelu Hertza dobry obiad, a po dwugodzinnym popasie nastąpił dalszy wyjazd ku Zakopanemu,ale odtąd drogą złą i przykrą bardzo, pełną wielkich kamieni, która nie prowadziła wprawdzie po żadnych górach lub pagórkach, bo biegła ciągle doliną Białego Dunajca, ale przecinała kilkakrotnie tę rzekę, którą dla braku zaufania do istniejących mostów trzeba było dwa razy w bród przejeżdżać. O 8-ej wieczorem dojechaliśmy na teren Zakopanego, wsi bardzo rozległej, składającej się z kilku części, noszących różne nazwy. W niespełna godzinę potem znaleźliśmy się w części najwyżej położonej zwanej Kuźnicami, gdzie dotarliśmy do kresu naszej dwudniowej podróży. Góral dowiózł nas bowiem do t.zw.hotelu Głowackiego, gdzie mieliśmy zamieszkać. Hotel Głowackiego znajdował się w budynku wprawdzie tylko parterowym, ale murowanym, jedynym w Zakopanem, zbudowanym z cegieł a nie z belek i desek drzewnych, bardzo rozległym i położonym na wysokości przeszło 1.000 m nad poz.m. W tym domu, który dotychczas istnieje a nazywa się obecnie "Cepculkami" od Zakładu wychowawczego gospodyń wiejskich, tam prowadzonego, mieściły się wówczas - oprócz domu zajezdnego Głowackiego, składającego się z czterech przyzwoicie urzą-

dzonych pokoji gościnnych i wcale dobrej restauracji, mieszkanie Niemca, Ludwika barona Eichborna, właściciela Zakopanego /t.zn.właściciela obszaru dworskiego, na który składały się przynależne góry, lasy i wielki "Zwierzyniec we wsi/, dalej mieszkanie właściciela przedsiębiorstwa hutniczego "Kuźnice" lub "Hamry", Magnusa Peltza, także Niemca i mieszkania kilku oficjalistów Polaków zajętych u p.Eichborna i Pełtza.

Kuźnice rozpoczynają się pod stokami z jednej strony Nosala a z drugiej strony Krokwi i obejmują dolinę między tymi górami, długości przeszło 1 km. Droga prowadząca przez nią była wówczas doskonała, jakby asfaltowana, bo żużlami wytłoczona a dzieliła dolinę na dwie części: Po stronie zachodniej t.j. prawej, jadąc od centrum Zakopanego w górę znajdowały się wielkie kuźnie z piecami i z kolosalnymi młotami a na najniższym punkcie był tartak. Niezwykle silny prąd Bystrej, potoku spływającego z gór zwłaszcza z wywierzyska w Kalatówkach a obfitego w wodę, wprawiał w ruch ciężkie młoty w kuźniach odległych od siebie po kilkadziesiąt metrów oraz tartak. Szczególnie interesująco wyglądały kuźnie z początkiem nocy, gdy młoty biły w rozpalone w wielkich piecach do czerwoności żelazo, z których odpryskiwały daleko iskry. Dolina otoczona Nosalem i Krokwią z ognistymi maszynami robiła wrażenie jakiegoś wejścia do piekła. Tak się mi przynajmniej wówczas zdawało!

Po doskonale przespanej nocy wybraliśmy się z Kuźnic do centrum wsi Zakopane. Tam oglądnęliśmy dotąd jeszcze istniejący stary, mały kościółek drewniany. W centrum wsi znajdował się Zarząd gminny, domy zajezdne

Sieczki i Staszeczka, karczma, sklep Riegelhaupta i bardzo skromny zaczątek siedziby Towarzystwa Tatrzańskiego; poza tym liczne domki góralskie, parterowe drewniane z ganeczkami i bramkami wejściowymi, ozdobionymi wyrzeźbionymi w nich i drzwiach ostami górskimi.

Zapoznaliśmy się z ówczesnym proboszczem ks.kanonikiem Józefem Stolarczykiem, postacią nader interesującą i sympatyczną. Mężczyzna bardzo wysoki, barczysty i silny; chodził po Tatrach świetnie, jak mało który z górali. Utrzymywał wśród swych owieczek stosunki iście patriarchalne. Każdy góral i góralka musieli się raz na rok spowiadać, ale poza tym ks.Stolarczyk wpływał na podniesienie moralności u swych parafian także przez wykonywanie w pewnym kierunku jurysdykcji zastępującej sądową. Po kazaniu niedzielnym wymieniał z ambony nazwiska górali, którzy po skończeniu nabożeństwa mieli się u niego stawić. Chodziło głównie o takich, którym ks.Stolarczyk miał do zarzucenia różne występki. Na wezwanie stawił się każdy, bo proboszcza wysoko szanowano a więcej jeszcze obawiano. Stosownie do wielkości przestępstwa ks. Stolarczyk ograniczał się często do upomnień lub zagrożenia karami ostrzejszymi, ale nieraz kazał przestępcy położyć się na przygotowaną ławę, na której wymierzał własnoręcznie z pomocą kija karę chłosty cielesnej a że był silnym mężczyzną bił dotkliwie. Najczęstszymi przestępstwami było pijaństwo, uprawiane głównie w karczmie Riegelhaupta, znajdującej się w najbliższym sąsiedztwie kościoła, albo bójki, które często doprowadzały do rozlewu krwi, kalectw a nawet do zabójstw. Wówczas wkraczać musiały sądy. Kradzieże nie zdarzały się zupełnie, były

bowiem uważane za najpodlejsze z przestępstw. Górala, któryby kradł, byliby inni górale uśmiercili. Jednak kłusownictwo po turniach za kozicami i świstakami uważano za coś dozwolonego, za coś w rodzaju szlachetnego sportu, połączonego z niebezpieczeństwem, wymagającego odwagi. Przeciw kłusownictwu nie mógł nawet ks.Stolarczyk występować i karać za nie, bo tkwiło ono zbyt w naturze śmiałego górala. Za najhojniejszy dar uważał góral strzelbę!

Po wizycie u czcigodnego ks.kanonika wybraliśmy się z powrotem do Kuźnic i oglądaliśmy przytym piękny zwierzyniec, wysoko oparkaniony, obejmujący całą przestrzeń między dzisiejszymi ulicami Marszałkowską, Jagiellońską, Chałubińskiego, Zamoyskiego i Krupówkami. W zwierzyńcu podziwialiśmy piękne sarny i rogacze, jelenie i daniele. Po południu zrobiliśmy spacer do doliny Strążyskiej - a wieczór spędziliśmy w bardzo uprzejmym i gościnnym domu barona Eichborna, który, dowiedziawszy się rano od Głowackiego, że do jego hotelu przybył profesor Uniw.Jagiel. /t.j. mój ojciec/, zaprosił nas na kolację sutą, z pstrągami i szampanem. Wieczór był miły, ale ja nudziłem się trochę, gdyż jeszcze zbyt mało umiałem po niemiecku a rozmowa toczyła się tylko w tym języku.

Eichborn nabył Zakopane od poprzednich właścicieli, t.j. od Homolacsów, ale nie umiał na tym majątku dobrze gospodarować; zadłużył się i majątek musiał być licytacyjnie sprzedany. Jako oferenci wystąpili karczmarz Riegelhaupt i hr.Zamoyski z Księstwa Poznańskiego. Pierwszy zgłaszał oferty coraz wyższe, a drugi dodawał do każdej nowej oferty jednego centa. Riegelhaupt dociągnął do

oferty, jaką uznał za możliwie najwyższą a hr.Zamoyski i do niej dodał znowu centa. Riegelhaupt odstąpił więc od licytacji a hr.Zamoyski nabył Zakopane. Mówiono, wówczas, ze względu na nadofertę, jaką Zamoyski na końcu postawił, że nabył on Zakopane za centa austriackiego.

W czasie, kiedy byłem z ojcem w Zakopanem /r.1876/, Zakopane zaczęło dopiero stawać się miejscowością nieco głośniejszą w Polsce. Do rozgłosu przyczynił się naprzód prof.Walery Eljasz, który jeździł do Zakopanego corocznie począwszy - jak się zdaje - od r.1862 i zaczął wydawać od r.1881 "Przewodniki do Tatr i Pienin", które miały powodzenie i w coraz to nowszych wydaniach musiały się pojawiać. Potem Dr.Tytus Chałubiński, słynny lekarz z Warszawy, który po przybyciu do Zakopanego, po raz pierwszy w r.1873, tak pokochał Tatry, że od tego czasu rokrocznie do Zakopanego w lecie zjeżdżał i urządzał kilkudniowe wycieczki wysoko-górskie w Tatry w towarzystwie nie tylko przewodników i tragarzy ale i małej orkiestry góralskiej. Nie mało przyczyniły się też do rozwoju Zakopanego Towarzystwo Tatrzańskie, które zaczęło zajmować się udostępnieniem Tatr dla turystów, a później założenie kolei transwersalnej, którą można było dostać się z Krakowa początkowo tylko do Chabówki, - skąd był już tylko jeden dzień drogi do Zakopanego, a w kilka lat potem do samego Zakopanego. Zakopane przestało być wsią a zamieniło się w miasteczko, które nazywano później letnią stolicą Polski. Zbudowano kilka wygodnie urządzonych domów z pensjonatami - tak, że przyjeżdżający nie musieli mieszkać w domach góralskich i przywozić z Krakowa pościeli ani wszelkich urządzeń kuchennych i kredensowych, jak to

dawniej bywało. Domki góralskie znikały lub przenosiły się na peryferie Zakopanego, ustępując miejsca szablonowo budowanym kamienicom lub jednopiętrowym willom. Zaczął też zanikać i zanika w dalszym ciągu wśród górali ich dawny charakter, które cechowało szlachetne poczucie godności osobistej i pewna duma niezależnych społecznie gospodarzy /"gazdów"/ na własnej roli. Górale stawali się coraz więcej pracownikami ustępującymi przyjezdnym; moralnie na ogół obniżali się, zwłaszcza, że rozpanoszyło się pijaństwo, a słabło tak silne dawniej przywiązanie do gór i turni, ich piękności i grozy.

Drugi dzień naszego pobytu w Zakopanem zajęło zwiedzenie uroczej doliny Kościeliskiej, do której dostaliśmy się furką góralską po niesłychanie złej i kamienistej drodze. W jednym miejscu przepaścisty spadek drogi łączył się z pewnym niebezpieczeństwem dla jadących tak, że góral radził nam wysiąść z furki i ten kawałek drogi przebyć piechotą.

W trzecim dniu wybraliśmy się t.j. mój ojciec, p.Cieśliński i ja do Morskiego Oka przez Zawrat. Przygotowania były wielkie, bo trzeba było zaopatrzyć się w żywność na dwa dni i to dla pięciu osób, t.j. dla nas trzech oraz dla przewodnika, Jaśka Gąsienicy z Bystrego i tragarza Józka Gąsienicy. Wyruszyliśmy po śniadaniu po godzinie 6-ej z Kuźnic i po niespełna trzech godzinach dostaliśmy się przez t.zw.Upłaz na Halę Gąsienicową drogą utartą przez górali, trzody i konie, noszące na sobie do Zakopanego w blaszankach mleko, sery i żętycę. Od Hali Gąsienicowej szło się dalej niewygodną "percią" /ścieżką/ wzdłuż potoku płynącego z Czarnego Stawu. Od

tego Stawu do Zmarzłego perć była coraz mniej widoczna i coraz bardziej stroma, a dalej już trzeba było wspinać się w górę na przełęcz Zawratu żlebem po piargach, które się przy każdym kroku pod stopami zesuwały. Ja, lekki, jedenastoletni chłopczyk wysunąłem się za zezwoleniem przewodnika naprzód, zająłem jego miejsce i pierwszy stanąłem na szczycie przełęczy między Kozimi Wierchami i Świnicą, t.j. na Zawracie. Tu olśnił mnie cudowny widok, o jakim marzyć nie mogłem. Oko objęło niezmiernie rozległe przestrzenie. Naprzeciw mnie, najdalej na zachód, górował olbrzymi przepaścisty kadłub Krywania, który wyglądał jakby był całkiem czarny, gdyż go słońce od strony Zawratu /od strony północnej/ wcale nie oświecało. Obok Krywania, coraz dalej na wschód piętrzyły się liczne szczyty i turnie różnych postaci. Podemną w dole widziałem wielką dolinę Pięciu Stawów Polskich a w środku tejże największy z nich: Wielki Staw; obok tychże, przylegające zielone zasłane kosodrzewiną przestrzenie, a dalej jeszcze niekończące się lasy. Wszystko to tak mnie zachwyciło, że bezwiednie ukląknąłem przed tym majestatem i pięknością przyrody i łzy mi w oczach stanęły a główce chłopca nasunęła się myśl: Och jaki śliczny jest ten świat i ta polska ziemia! Ale i na moich starszych towarzyszy, mego ojca i p.Cieślińskiego widok z przełęczy przy wspaniałej pogodzie i prześlicznym oświetleniu słonecznym wywarł wielkie wrażenie. Jan Gąsienica, jako przewodnik rozgadał się wkrótce i zaczął nam naprzód wymieniać nazwy szczytów, mówił, jakie te góry śliczne, z rana, w południe i wieczorem, o każdej porze dnia inne, ale jakie straszne przy wichrze i burzach z pioru-

nami, błyskawicami i ulewami lub śnieżycami; ile to on nabiegał się po nich za "kózkami" /kozicami/, jakie miał różne przygody itd. itd. Po długiej pauzie przystąpiliśmy do pokrzepienia się żywnością, którą niósł tragarz Józek Gąsienica. Jedzenie smakowało nam naturalnie nadzwyczajnie.

Po zejściu z Zawratu oglądnęliśmy po drodze okazały wodospad potoku płynącego z Wielkiego Stawu, zwany Siklawą a potem przez Świstówkę i Opalone, skąd wiedzieliśmy już Morskie Oko i różne turnie, doszliśmy jeszcze przed nocą do Morskiego Oka, tak, że i tam mogliśmy jeszcze podziwiać inny całkiem obraz, niż niezapomniany z Zawratu, ale także przepiękny, tatrzańskiego jeziorka otoczonego szczytami Żabiego, Rysami, Mięguszowieckim i Miedzianym.

Przy Morskim Oku był duży szałas, w którym w osobnej izdebce zostaliśmy nieźle na noc umieszczeni. W szałasie prócz górali i nas nie było nikogo. Po skromnej kolacji z naszych zapasów urządzonej, zasnęliśmy snem głębokim. Dość wczas rano obudził nas jakiś dziwny hałas. Powodem jego były okrzyki podziwu górali: Po nas bowiem przybyło jeszcze wieczorem do szałasu trzech Anglików ze Szmeksu przez Rysy i po przespanej nocy zerwali się wczas rano z tapczanów, aby się ukąpać w Morskim Oku - pomimo, że przewodnik ostrzegał ich, iż woda jest na kąpiel za zimna. Jeden z tych Anglików popłynął około 20 m. od brzegu, potem zawrócił; dwaj inni ukąpali się tylko przy samym brzegu.

Po wycieczce do Czarnego Stawu nad Morskim Okiem wybraliśmy się z powrotem do Kuźnic przez Roztokę i Waksmundzką Polanę, którędy wówczas prowadziła wcale nie zła,

przez górali i przyjezdnych uczęszczana ścieżka do Jaszczurówki. Z tej ścieżki prowadzącej przeważnie lasami skusił nas nie wielki odskok na "Gęsią Szyję", aby z niej raz jeszcze popatrzyć na dość bliski łańcuch wschodnich tatrzańskich szczytów ze wspaniałym "Lodowym". W Jaszczurówce wykąpaliśmy się w bardzo prymitywnie wówczas urządzonym basenie /ciepłota wody 15°C./ a potem w trzy kwadranse wróciliśmy do hotelu Głowackiego w Kuźnicach.

Po pięknej wycieczce do Morskiego Oka i dwudniowym jeszcze pobycie w Zakopanem, wróciliśmy do Krakowa znowu furką dwukonną, ale tym razem jazda trwała nieco krócej, bo jechało się więcej na dół niż pod górę.

Następstwem tej eskapady do Zakopanego było, że rodzice moi wraz ze swymi 3-ma synami przez kilka lat następnych rok rocznie wyjeżdżali do Zakopanego na wakacje i mieszkali u Jaśka Gąsienicy na Bystrem, a to pomimo, że podróż odbywać się jeszcze zawsze musiała furami z Krakowa najętymi, trwała dwa dni, a brać trzeba było z sobą wszystko co do życia codziennego konieczne, z wyjątkiem łóżek drewnianych, stołu, kilku krzeseł, skrzyni i szafy, które znajdowały się w dwóch izbach przez nas zajmowanych i były własnością gospodarza.

W tych kilku latach poznałem bliżej nasze prześliczne góry.

-----0-----